

Dean R. Koontz

Odwieczny wróg

(Phantoms)

Przełożył: Paweł Korombel

CZĘŚĆ PIERWSZA
OFIARY

Strach mnie ogarnął i drżenie.

Księga Hioba, 4; 14

(tł. za Biblią Tysiąclecia)

Umysł człowieka cywilizowanego

wciąż lgnie do niesamowitości.

Doktor Faustus, Thomas Mann

ARESZT MIEJSKI

Krzyk był daleki i krótki. Kobięcy krzyk.

Zastępca szeryfa, Paul Henderson, podniósł wzrok znad *Time'a*. Przekrzywił głowę, wyęczył słuch.

Pyłki kurzu leniwie dryfowały w promieniach słońca przesywających jedno z wielodzietnych okien. Cienka, czerwona wskazówka sekundnika bezszelestnie obiegała tarczę ściennego zegara.

Ciszę biura mącił tylko skrzyp fotela zastępcy.

Przez wielkie, frontowe okna widać było kawałek Skyline Road, głównej ulicy Snowfield. W złotym blasku spokojnego letniego popołudnia panował absolutny bezruch. Jedyne liście drzew szeptały w łagodnym wietrzyku.

Po kilku sekundach nasłuchiwania Henderson uznał, że się przesłyszał.

Wyobraźnia, pomyślał sobie. Pobożne życzenia. Aaa, już lepiej, żeby ktoś wrzasnął. Nie mógł usiedzieć spokojnie.

Poza sezonem, od kwietnia do września, był jedynym pełnoetatowym zastępcą szeryfa w podkomisariacie w Snowfield. Przeróżliwie nudna służba. W zimie, kiedy miasteczko gościło kilkanaście tysięcy narciarzy, było co robić. Pijacy, bijatyki, dochodzenia w sprawie włamań w hotelach, zajazdach i motelach. Ale teraz, na początku września, funkcjonował tylko Zajazd Pod Płonącą Świeczką, jeden pensjonat i dwa motele. Tubylcy zachowywali się grzecznie, a Henderson – który liczył dopiero dwadzieścia cztery lata i miał za sobą rok służby – nudził się.

Westchnął, spojrzął na magazyn leżący na biurku – i znów usłyszał krzyk. Jak i poprzedni, był daleki i krótki. Tym razem jednak krzyczał mężczyzna. Nie był to okrzyk podniecenia albo nawet alarm. Wyrażał najwyższe przerażenie.

Henderson zmarszczył brwi, wstał i ruszył do drzwi, poprawiając na prawym biodrze kaburę z rewolwerem. Pchnął bramkę w balustradzie oddzielającej poczekalnię od „zagrody byków”, jak dziennikarze mówili o części dostępnej tylko dla policjantów. Znajdował się w połowie drogi do drzwi, kiedy usłyszał za swoimi plecami ruch.

To niemożliwe. Siedział tu sam całutki dzień. Cele stały puste od początku zeszłego tygodnia. Tylne drzwi chronił zamek. Innego wejścia nie było.

Jednakże kiedy odwrócił się, odkrył, że nie jest już sam. A znudzenie opuściło go szybko i na zawsze.

POWRÓT DO DOMU

Niedzielny, wczesnopiądziernikowy zmierzch malował góry wyłącznie dwoma kolorami: zielonym i niebieskim. Drzewa – sosny, jodły, świerki – wyglądały jak przybrane w sukno bilardowe. Wszędzie leżały chłodne niebieskie cienie, z każdą minutą większe, głębsze i ciemniejsze.

Siedząca za kierownicą trans ama Jennifer Paige uśmiechnęła się czując, jaką słodczą napawa ją piękno gór.

Tu jest mój dom, pomyślała.

Zjechała z trzypasmowej drogi stanowej w utrzymywaną przez władze okręgu asfaltówkę, która wiała się w górę cztery mile do przełęczy w Snowfield.

– Cudnie tu – odezwała się z siedzenia pasażera czternastoletnia siostra Jenny, Lisa.

– Też tak myślę.

– Kiedy spadnie pierwszy śnieg?

– W przyszłym miesiącu, może wcześniej.

Drzewa rosły gęsto przy szosie. Trans am wjechał w tunel zwisających konarów. Jenny zapaliła światła.

– Nigdy nie widziałam śniegu. Tylko na zdjęciach – powiedziała Lisa.

– Nim przyjdzie wiosna, będzie cię mdliło na jego widok.

– W życiu. Coś ty. Zawsze marzyłam, żeby żyć w górach, jak ty.

Jenny zerknęła na dziewczynę. Ich podobieństwo – niezwykle nawet jak na siostry – było uderzające: te same zielone oczy, te same kasztanowe włosy, te same mocno zarysowane kości policzkowe.

– Nauczysz mnie jeździć na nartach? – zapytała Lisa.

– Wiesz, skarbie, kiedy narciarze zjadą do miasta, będzie jak zwykle masa złamań, zwichniętych kostek, nadwreżonych kręgosłupów, porwanych wiązań... Będę miała pełne ręce roboty.

– Och... – westchnęła Lisa; nie umiała ukryć rozczarowania.

– Poza tym dlaczego miałabyś uczyć się ode mnie, skoro możesz brać lekcje u prawdziwego profi?

– Profi? – zapytała Lisa, odzyskując nieco humor.

– Jasne. Hank Sanderson pokieruje tobą, jak go o to poproszę.

– Kto to?

– Jest właścicielem Pensjonatu Pod Wykręconą Sosną i udziela lekcji jazdy na nartach, ale tylko garstce wybrańców.

– Twój facet?

Jenny uśmiechnęła się. Też miała kiedyś czternaście lat. W tym wieku większość dziewcząt ma obsesję na punkcie chłopców, chłopców i jeszcze raz chłopców.

– Nie, Hank nie jest moim facetem. Znam go od dwóch lat, od kiedy przyjechałam do Snowfield, ale jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Minęły zieloną tabliczkę z białym napisem:

SNOWFIELD – 3 MILE.

– Założę się, że zjedzie masa fajnych chłopaków w moim wieku.

– Snowfield to niewielkie miasto – ostrzegła ją Jenny. – Ale przypuszczani, że trafi się paru nie najgorszych.

– Och, ale w sezonie będzie ich na kopy!

– Fiu, fiu, mała! Żadnych randek z przyjezdnymi – przynajmniej jeszcze przez kilka lat.

– Czemu?

– Bo ja tak mówię.

– Ale dlaczego?

– Zanim zaczniesz chodzić z chłopakiem, powinnaś się dowiedzieć, skąd pochodzi, jaki jest i jaka jest jego rodzina.

– O jejku, w lot rozszyfrowuję ludzi. Mój pierwszy sąd jest absolutnie godny zaufania. Nie musisz się nade mną trząść. Nie zamierzam dać się zarwać jakiemuś mordercy z toporkiem albo obłąkanemu gwałcicielowi.

– Jestem pewna, że nie – powiedziała Jenny, zwalniając na ostrym zakręcie – ponieważ będziesz chodzić tylko z miejscowymi chłopakami.

Lisa westchnęła, potrząsnęła głową, teatralnie demonstrując frustrację.

– Wiesz, Jenny, może to się nie rzuca w oczy, ale przeszłam już dojrzewanie. Kiedy cię nie było.

– Ależ jak najbardziej, zauważyłam to.

Minęły zakręt. Przed nimi rozciągała się kolejna prosta. Jenny przyspieszyła.

– Nawet strzeliły mi cycuszki.

– To również zauważyłam – powiedziała Jenny, nie wytrącona z równowagi bezpośredniością dziewczyny.

– Już nie jestem dzieckiem.

– Ale nie jesteś też dorosła. Dorastasz.

– Jestem młodą kobietą.

– Młodą – tak. Kobietą? Jeszcze nie.

– Jeeezu.

– Słuchaj, prawnie jestem twoją opiekunką. Odpowiadam za ciebie. Poza tym jestem twoją siostrą i kocham cię. Będę robiła to, co uważam za... to, o czym wiem, że jest najlepsze.

Lisa westchnęła głośno.

– Ponieważ cię kocham – powtórzyła z naciskiem Jenny.

– Robisz się taka piczka-zasadniczka jak mamusia – nachmurzyła się Lisa.

Jenny kiwnęła głową.

– Może jeszcze gorsza.

– Jeeezu...

Jenny zerknęła na Lisę. Dziewczyna patrzyła w okno. Jej twarz nie wyglądała na zagniewaną ani nadętą. Tak naprawdę to usta wyginał lekki uśmiech.

Świadomie czy nie, pomyślała Jenny, wszystkie dzieciaki chcą żyć w jakichś ustalonych ramach. Dyscyplina jest dowodem opieki i miłości. Rzecz w tym, żeby nie przesadzić.

– Powiem, co ci będzie wolno. – Mówiąc te słowa starsza siostra wróciła spojrzeniem do szosy, rozluźniła ręce na kierownicy.

– Co?

– Pozwolę ci samej wiązać sznurówki.

Lisa mrugnęła.

– Hę?

– I będziesz mogła chodzić do toalety, kiedy tylko zechcesz.

Lisie trudno było dłużej przybierać pozy dotkniętej do żywego damy. Zachichotała.

– A wolno mi będzie jeść, kiedy zgłodnieję?

– Ależ owszem – uśmiechnęła się szeroko Jenny. – Pozwolę ci nawet ślać codziennie łóżko.

– Wiwat samorząd więzienny! – zawołała Lisa.

W tym momencie dziewczyna wyglądała na jeszcze młodszą, niż była. W tenisówkach, džinsach, džinsowej bluzie, chichocząc nieopanowanie, Lisa wyglądała słodko, miło i bardzo bezbrinnie.

– Zgoda? – spytała Jenny.

– Zgoda.

Jenny była zadowolona i zaskoczona bezpośredniością, z jaką odnosiły się do siebie podczas długiej jazdy z Newport Beach. Przecież mimo więzów krwi były sobie całkiem obce. Jenny miała trzydzieści jeden lat, o siedemnaście więcej niż Lisa. Opuściła dom, kiedy siostra nie skończyła jeszcze dwóch lat, na sześć miesięcy przed śmiercią ojca. Podczas studiów medycznych i stażu w Columbia Presbyterian Hospital w Nowym Jorku była zbyt zapracowana i zbyt daleko od domu, żeby utrzymywać regularne kontakty czy to z matką, czy z Lisa. Po specjalizacji wróciła do Kalifornii, otworzyła gabinet w Snowfield. Przez ostatnie dwa lata pracowała jak szalona, poszerzając stałą praktykę w Snowfield i kilku innych małych górskich miejscowościach. Dopiero od niedawna, od śmierci matki, zaczęła odczuwać potrzebę bliskiego kontaktu z Lisą. Może uda im się odrobić stracone lata – teraz kiedy zostały same.

Okrągowa szosa wznosiła się równomiernie i zmierzch na moment przejaśniał, kiedy trans am wynurzył się z ocienionej górskiej doliny.

– Czuję się, jakbym miała w uszach kłęбки waty – powiedziała Lisa, ziewając, aby wyrównać ciśnienie.

Mijały ostry zakręt i Jenny zwolniła. Przed nimi ciągnęła się długa, idąca w górę stoku, prosta szosa; przechodziła w Skyline Road, główną ulicę Snowfield.

Lisa z napięciem wpatrywała się w krajobraz przez zabrudzoną przednią szybę, oglądając miasteczko z wyraźnym zachwytem.

– Zupełnie inne, niż myślałam!

– A czego się spodziewałaś?

– No wiesz, masy koszmarnych, dziuplowatych moteli z neonami, jednej na drugiej stacji benzynowej, tych spraw. A tu jest naprawdę, naprawdę miło!

– Mamy bardzo surowe przepisy budowlane. O neonach mowy nie ma. Żadnych plastikowych szyldów. Żadnych wrzaskliwych kolorów, kawiarni w kształcie dzbanków do kawy.

– Super – powiedziała Lisa, wytrzeszczając z podziwem oczy na mijane ulice.

Szyldy w wiejskim stylu odrobiono wyłącznie w drewnie. Każdy głosił nazwisko właściciela sklepu i branżę. Architektura była nieco eklektyczna – norweska, szwajcarska, bawarska, alpejska, francuska i włoska – ale wszystkie domy zaprojektowano wyłącznie w góralskim stylu, swobodnie korzystając przy konstrukcji ścian i dachów z kamienia, łupku, cegły, drewna. Okna wielodzielne, witrażowe lub ze szkła ołowiowego. Wszędzie skrzynki z kwiatami, balkoniki i frontowe werandy z rzeźbionymi balustradami.

– Naprawdę cudnie – zachwycała się Lisa, kiedy samochód wspinał się w kierunku wyciągów narciarskich w górze miasteczka. – Ale zawsze tak tu cicho?

– Och, nie. A w zimie ta miejscowość naprawdę ożywa i...

Przerwała. Uświadomiła sobie, że miasto nie jest ciche. Zamarło.

We wrześniu, w każde ciepłe niedzielne popołudnie nieliczni stali mieszkańcy spacerowali po wyłożonych kamienną kostką chodnikach, przesiadywali na werandach i balkonach wychodzących na Skyline Road. Szła zima i skwapliwie wykorzystywano ostatnie dni dobrej pogody. Ale teraz popołudnie

przechodziło w wieczór, a chodniki, balkony i werandy ziały pustką. Nawet w sklepach i oświetlonych domach nie widać było znaku życia. Trans am Jenny był jedynym wozem sunącym po bezludnej ulicy.

Zatrzymała się na światłach przy pierwszym skrzyżowaniu. St. Moritz Way przecinała Skyline Road, sięgając trzy kwartały w kierunku wschodnim i cztery w zachodnim. Jenny rozejrzała się w obu kierunkach. Nikogo.

Następny kwartał Skyline Road był również pusty. Podobnie kolejny.

– Dziwne – stwierdziła.

– Musi być niesamowity program w telewizji – powiedziała Lisa.

– Na to wygląda.

Minęły restaurację Górski Widok na rogu Vail Lane i Skyline. W środku paliły się światła i spora część wnętrza była widoczna przez wielkie narożne okno, ale nie dojrzały nikogo. Restauracja Górski Widok stanowiła popularne miejsce spotkań tubylców, zarówno w zimie jak i poza sezonem, i kompletna pustka o tej porze była czymś niezwykłym. Nie widać było nawet żadnej kelnerki.

Lisa jakby straciła zainteresowanie niesamowitym bezruchem, choć to ona pierwsza zwróciła na niego uwagę. Znów z pełnym zachwytem chłonęła oryginalną architekturę.

Ale Jenny nie mogła uwierzyć, że wszyscy zapadli w fotele przed ekranami odbiorników tv. Ze zmarszczonymi brwiami, zaniepokojona, spoglądała w każde okno. Nie dostrzegała najmniejszych oznak życia.

Snowfield ciągnęło się przez sześć kwartałów wzdłuż biegnącej po stoku głównej ulicy i dom Jenny stał w środku najwyższego kwartału, po zachodniej stronie, u stóp wyciągu narciarskiego. Jednopiętrowy, z okapem wystającym jak w szwajcarskich góralskich domkach, był zbudowany z kamienia i drewna. Trzy mansardowe okna poddasza wychodziły na ulicę. Łupkowa dachówka w szaro-niebiesko-czarne cętki kryła opadający pod wieloma kątami dach. Dom stał dwadzieścia stóp od brukowanego chodnika, od którego dzielił go wysoki do pasa żywopłot z wiecznie zielonych krzewów. Na rogu werandy wisiała tabliczka: JENNIFER PAIGE, DR MED., niżej godziny przyjęć.

Jenny zaparkowała trans ama na krótkim podjeździe.

– Jajcarska chałupka! – zawołała Lisa.

Był to pierwszy dom Jenny; uwielbiała go i była z niego dumna. Na sam jego widok robiło się jej ciepłej i bezpieczniej – i na moment zapomniiała o dziwnej ciszy otulającej Snowfield.

– Wiesz, jest przymały, zwłaszcza że połowę dolnej kondygnacji przeznaczyłam na gabinet i poczekalnię. Należy bardziej do banku niż do mnie. Ale ma charakter, nie?

– Na kopy – powiedziała Lisa.

Wysiadły z wozu i Jenny poczuła, że zachodzące słońce obudziło lodowaty wiatr. Miała na sobie zielony sweter z długimi rękawami i dzinsy, ale mimo to zadygotała. Jesień w Sierra to ciąg ciepłych dni i kontrastujących z nimi ostrych nocy.

Przeciągnęła się, rozluźniając mięśnie zeszywniałe podczas długiej jazdy. Zatrzasnęła drzwi samochodu. Dźwięk rozszedł się echem po wysokich górach i miasteczku w dole. Był to jedyny dźwięk w ciszy zmierzchu.

Na moment przystanąła i spojrzała w dół Skyline Road, w kierunku centrum Snowfield. Nic się nie poruszyło.

– Mogłabym zostać tu na wieczność – oświadczyła Lisa. Obejmowała się ramionami, z rozmarzeniem rozglądając po ulicach.

Jenny nasłuchiwała. Echo po trzaśnięciu drzwi cichło – i nie zastąpiło go nic poza łagodnym jękiem

wiatru.

Są cisze i cisze. Każda inna. Żałobna cisza w udrapowanym aksamitem, wyłożonym gęstymi dywanami domu pogrzebowym, jakże potrafi być różna od ponurej, okropnej żałobnej ciszy pustej sypialni wdowca. Jenny doznawała przedziwnego wrażenia, że cisza w Snowfield ma również swą przyczynę w żałobie, jednak nie miała pojęcia, skąd płynie owo przypuszczenie. Przyszła jej też na myśl cisza łagodnej letniej nocy, która właściwie wcale nie jest ciszą, ale delikatnym chórem ćmich skrzydełek trzepoczących o okna, graniem skaczących w trawie świerszczy, cichuteńkim-leciuteńkim szmerem i skrzypieniem huśtawek na werandach. Bezszelestny, nieprzytomny sen Snowfield też jakby krył gorączkową działalność – głosy, ruchy, zmagania – wibrującą tuż poza granicami zmysłowego postrzegania. Ale nie tylko to. Było w tym i coś z milczenia zimowej nocy, kryjącej wprawdzie zapowiedź ożywionych, tętniących gwarem hałasów wiosny, ale głębokiej, zimnej i bezwzględnej. Ta cisza mówiła również i o tym i Jenny czuła rosnące zdenerwowanie.

Chciała zawołać, sprawdzić, czy ktoś się odezwie. Ale powstrzymała się. Mogli wyrzeć zaskoczeni jej krzykiem sąsiedzi, cali i zdrowi, zdumieni. Wyszłaby na idiotkę. Lekarka robiąca z siebie publicznie idiotkę w poniedziałek ma pustą poczekalnię we wtorek.

– ...zostać tu po wieczne czasy – Lisa rozplątywała się nad pięknem górskiej miejscowości.

– Nie czujesz się... zdenerwowana?

– A dlaczego?

– Przez tę ciszę.

– Uwielbiam taką ciszę. Ile w niej spokoju.

Cisza była spokojna. Żadnych powodów do zdenerwowania. To dlaczego wszystkie nerwy skaczą mi jak zwariowane? – zasepiła się Jenny.

Otworzyła bagażnik i zaczęła wyjmować walizki siostry. Lisa sięgnęła po jedną i zamierzała wyjąć torbę z książkami.

– Żebyś się nie podźwigała – powiedziała Jenny. – Poza tym i tak trzeba będzie obrócić kilka razy.

Przecięły trawnik, doszły do wyłożonej kamieniami ścieżki biegnącej do frontowej werandy, gdzie malowane bursztynowo-purpurowym zachodem słońca otwierały się, rosnąc, kolejne cienie; kwiaty nocy.

Jenny uchyliła frontowe drzwi i weszła do ciemnego przedpokoju.

– Hildo, jesteście!

Jedyne światło w domu biło z głębi korytarza, zza otwartych kuchennych drzwi.

Jenny postawiła walizkę i zapaliła lampę w korytarzu.

– Hilda?

– Kto to jest Hilda? – spytała Lisa, składając bagaże na podłodze.

– Moja gosposia. Wie, o której powinnyśmy przyjechać. Spodziewałam się, że będzie właśnie przygotowywać kolację.

– Rany, masz gosposię! Na stałe?

– Mieszka w pokoju nad garażem. – Jenny odłożyła torebkę i klucze od samochodu na stoliczek stojący w przedpokoju pod dużym, oprawionym w mosiężne ramy lustrem.

Siostra zaimponowała Lisie.

– To jesteś dziana, co?

– Gdzie tam! – Jenny roześmiała się. – Ledwie mnie stać na Hildę. Ale też nie stać mnie na to, żeby bez niej funkcjonować.

Zastanawiając się, dlaczego pali się światło kuchenne, skoro Hildy nie ma w domu, Jenny szła

korytarzykiem. Lisa krok w krok za nią.

– Jak mogłabym utrzymać stałe godziny przyjęć i odpowiadać na nagłe wezwania do trzech innych miejscowości w tych górach? Jadłabym tylko kanapki z serem i pączki gdyby nie Hilda.

– Dobrze gotuje?

– Wspaniale. A jeśli chodzi o desery, to zbyt wspaniale.

Kuchnia była wielkim pomieszczeniem z wysokim sufitem. Rondle, patelnie, olbrzymie łyżki i inne części ekwipunku kuchennego zwisały z błyszczącego wieszaka z nierdzewnej stali. Otaczał on wolno stojący blok kuchenny: cztery palniki, ruszt i ladę. Blaty były z ceramicznych płytek, szafki z ciemnego dębu. W głębi podwójny zlew, podwójny piekarnik, kuchenka mikrofalowa i lodówka.

Jenny prosto od drzwi podeszła do wbudowanego w ścianę stolika, przy którym Hilda planowała menu i układała listy zakupów. Jeśli zostawiła wiadomość, to tu. Ale nic nie było. Jenny właśnie odwracała się, kiedy usłyszała, jak Lisa głośno zaczerpnęła powietrza.

Dziewczyna obeszła blok kuchenny z drugiej strony. Stała teraz przy lodówce, wpatrując się w coś na podłodze przed zlewem. Twarz miała koloru mąki. Dygotała.

Zdjęta nagłym przerażeniem, Jenny szybko obeszła kuchenkę.

Hilda Beck leżała na plecach na podłodze. Martwa. Niewidzące oczy wlepiła w sufit. Odbarwiony język sztywno sterczał pomiędzy spuchniętych warg.

Lisa oderwała wzrok od nieżywej kobiety, spojrzała na Jenny. Otworzyła usta. Nie mogła wykrztusić słowa.

Jenny wzięła siostrę pod rękę, zaprowadziła na drugą stronę kuchenki, skąd nie było widać ciała. Objęła Lisę.

Dziewczyna oddała uścisk. Mocno. Gorączkowo.

– Czujesz się dobrze, skarbie?

Lisa nie odpowiedziała. Nie mogła opanować dygotu.

Zaledwie sześć tygodni temu, wróciwszy po południu z kina, Lisa znalazła matkę leżącą na podłodze w kuchni, w ich domu w Newport Beach. Umarła w wyniku rozległego wylewu krwi do mózgu. Dziewczyna była zmiażdżona. Nie znając ojca, który zmarł, kiedy miała dwa lata, Lisa była wyjątkowo związana z matką. Jakiś czas po tej stracie pozostawała w głębokim szoku, oszołomiona i zrozpaczona. Powoli pogodziła się ze śmiercią matki, na powrót nauczyła się śmiać i cieszyć życiem. Przez ostatnie kilka dni wyglądała jak dawniej. A teraz to.

Jenny podprowadziła siostrę do stolika, kazała usiąść, przyklękła obok. Wyjęła chusteczkę higieniczną z pudełka leżącego na stoliku, osuszyła jej mokre czoło. Ciało dziewczyny miało nie tylko kolor lodowatej bieli. Również w dotyku było lodowate.

– Jak mogę ci pomóc, siostrzyczko?

– Nic... nic mi nie będzie – powiedziała drżącym głosem Lisa.

Trzymały się za ręce. Uścisk dziewczyny był niemal bolesny. Odezwała się w końcu.

– Pomyślałam... Kiedy ją zobaczyłam... tak na podłodze... pomyślałam... to wariactwo, ale tak pomyślałam... że to mamusia. – Łzy zalśniły jej w oczach. Zapanowała nad nimi. – Wie... wiem, że mamusia nie żyje. I ta kobieta w ogóle nie jest do niej podobna. Ale to się tak nagle stało... taki wstrząs... i rozwaliło mnie.

Dalej trzymały się za ręce i uścisk Lisy z wolna słabł.

– Jak, lepiej? – zapytała po chwili Jenny.

– No. Trochę.

– Chcesz się położyć?

– Nie.

Puściła rękę Jenny, żeby sięgnąć po chusteczkę. Wytarła nos. Spojrzała na kuchenkę, za którą spoczywało ciało.

– To jest Hilda?

– Tak.

– Współczuję ci.

Jenny ogromnie lubiła Hildę Beck. Serce ścisnęło się jej z bólu, ale w tej chwili najważniejsza była Lisa.

– Siostrzyczko, chyba najlepiej będzie, jak cię stąd zabierzemy. Jak myślisz, może zaczekasz w gabinecie? Ja przez ten czas zbadam ciało. Potem muszę zadzwonić po szeryfa i koronera okręgowego.

– Zostanę tutaj z tobą.

– Lepiej będzie, jak...

– Nie! – powiedziała Lisa. Znów dostała dreszczy. – Nie chcę być sama.

– W porządku – uspokoila ją Jenny. – Posiedź tu.

– Och, Jeeezu – żałośnie westchnęła Lisa. – Jak ona wyglądała... cała spuchnięta... cała sina. I ten grymas... – Otarła oczy wierzchem dłoni. – Ale dlaczego jest cała taka czarna i opuchnięta?

– Cóż, musiała umrzeć przed kilku dniami. Ale słuchaj, przestań myśleć o takich rzeczach, które...

– Jeśli umarła kilka dni temu – Lisa mówiła łamiącym się głosem – to dlaczego tu nie śmierdzi? Przecież powinno?

Jenny zastanowiła się. Oczywiście, powinno cuchnąć, jeśli Hilda Beck była tak długo martwa, że szerniała, a tkanki obrzmiały do tego stopnia. Powinno. Ale nie cuchnęło.

– Jenny, co jej się stało?

– Jeszcze nie wiem.

– Boję się.

– Nie bój się. Nie ma powodu.

– Ten jej wyraz twarzy. To okropne.

– Tak czy inaczej, musiała umrzeć szybko. Chyba na nic nie chorowała. Brak śladów przemocy. Nie powinna była cierpieć.

– Ale... wygląda na to, że umarła krzyżąc.

MARTWA KOBIETA

Jenny Paige nigdy nie zetknęła się z takim stanem zwłok. Nic, czego nauczyła się na studiach i podczas praktyki, nie mogło wyjaśnić przedziwnego wyglądu ciała Hildy Beck. Kucnęła obok trupa i przyglądała mu się ze smutkiem i obrzydzeniem – ale równocześnie z ogromną ciekawością i stale rosnącym zdumieniem.

Twarz martwej była spuchnięta; robiła wrażenie autokarykatury: okrągła, gładka i nieco świecąca. Reszta ciała również obrzmiała i w niektórych miejscach rozepchnęła szwy żółto-szarej podomki. W widocznych miejscach: na szyi, przedramionach, dłoniach, łydkach, kostkach wyglądało jak zgniłe. Ale nie świadczyło to o obecności gazów gnilnych, w naturalny sposób towarzyszących rozkładowi. Po pierwsze, żołądek musiałby być mocno wysadzony, dużo bardziej obrzmiały niż jakakolwiek inna część ciała, a był tylko nieco wydęty. Poza tym nie czuło się woni gnicia.

Po bliższych oględzinach ciemno cętkowana skóra przestała robić na Jenny wrażenie rezultatu degeneracji tkanki. Jenny nie mogła zlokalizować żadnych wyraźnych oznak postępującego rozkładu: zmian organicznych, pęknięć skóry, ropiejących wrzodów. Oczy, zbudowane ze stosunkowo miękkiej tkanki, zwykle psuły się wcześniej niż reszta ciała. Ale oczy Hildy Beck – szeroko otwarte, wypatrujące czegoś – były w znakomitym stanie. Białka czyste, nie pożółkłe ani nie przekrwione od popękanych naczynek krwionośnych. Tęczówki również czyste; żadne mleczone, pozgonne bielma nie mąciły ciepłego błękitu.

Za życia w oczach Hildy Beck zwykle widniała życzliwość i rozbawienie. Licząca sześćdziesiąt dwa lata siwowłosa kobieta o słodkim obliczu była sympatyczna jak dobra babunia. Mówiła z lekkim niemieckim akcentem i miała zaskakująco miły, śpiewny głos. Często nuciła przy sprzątanii lub gotowaniu i potrafiła znaleźć radość w najprostszyc domowych czynnościach.

Jenny poczuła rozdzierający smutek: bardzo będzie jej brakowało Hildy. Na chwilę zamknęła oczy, nie mając sił patrzeć na zmarłą. Pozbierała się, zdusiła łzy. W końcu odzyskała profesjonalny chłód i obiektywizm, otworzyła oczy i kontynuowała oględziny.

Im dłużej spoglądała na trupa, tym bardziej skóra wydawała się jej posiniaczona. Zabarwienia wskazywały na ciężkie potłuczenie: czarne, niebieskie i ostro żółte plamy zlewały się, przenikały. Ale nie przypominało to żadnej kontuzji, z jaką Jenny kiedykolwiek się zetknęła. O ile mogła się zorientować, tu całe ciało było jednym siniakiem. Nawet jeden cal kwadratowy skóry nie pozostał nietknięty. Ostrożnie ujęła rękaw podomki martwej kobiety i podciągnęła ile się dało w górę spuchniętego przedramienia. Pod materiałem skóra była również szerniała i Jenny podejrzewała, że cała pokryta jest nieprawdopodobną liczbą stykających się siniaków.

Powróciła spojrzeniem do twarzy pani Beck. Każdy, dosłownie każdy centymetr skóry był potłuczony. Czasami ofiara poważnego wypadku samochodowego doznawała takich obrażeń, że siniaki pokrywały prawie całą twarz, ale podobny stan zwykle łączył się z cięższymi urazami, takimi jak złamanie przegrody nosowej, przecięcie warg, złamanie szczęki... Jakim cudem pani Beck mogła zostać aż tak posiniaczona, nie narażając się na inne, poważniejsze okaleczenia?

– Jenny? – odezwała się Lisa. – Co tam robisz tak długo?

– Już, już. Nie ruszaj się stamtąd.

Więc... może kontuzje widoczne na ciele pani Beck nie były spowodowane uderzeniami zadanymi z zewnątrz. Czy to możliwe, że zmiana koloru skóry spowodowana została ciśnieniem od wewnątrz,

obrzemieniem podskórnej tkanki? Było ono zresztą wyraźne. Ale żeby spowodować tak mocne posiniaczenie, obrzęk z pewnością musiałby nastąpić bardzo szybko, z niewiarygodną gwałtownością. Cholera, to nie ma sensu. Żywa tkanka nie ma prawa puchnąć w takim tempie. Jasne, nagłe obrzmienie jest symptomatyczne dla pewnego typu alergii; do najgorszych należy ostra alergiczna reakcja na penicylinę. Ale Jenny nie było wiadomo, aby cokolwiek mogło tak szybko wywołać krytyczne spuchnięcie i równie ohydne, jednolite posiniaczenie.

A jeśli spuchnięcie nie było klasycznym pozgonnym obrzękiem – czego była zresztą pewna – i jeśli nawet przyjąć, że to ono spowodowało posiniaczenie, co, na litość boską, było przyczyną spuchnięcia? Wykluczyła reakcję alergiczną.

Trucizna? Ależ musiałaby wchodzić tu w grę jakaś bardzo egzotyczna odmiana. I gdzie Hilda mogłaby zetknąć się z egzotyczną trucizną? Nie miała wrogów. Sam pomysł morderstwa był absurdalny. Można oczekiwać, że dziecko spróbuje dziwnej substancji. Hilda nie zrobiłaby czegoś równie głupiego. Nie, nie trucizna.

Choroba?

Jeśli tak, byłoby to zatrucie bakteryjne lub wirusowe, którego Jenny nie umiała rozpoznać. A jeśli okaże się zaraźliwe?

– Jenny?! – zawołała Lisa.

Choroba.

Z ulgą, że nie dotknęła bezpośrednio ciała, i żałując, że dotknęła nawet rękawa podomki, Jenny zerwała się na równe nogi, zachwiała się i cofnęła od trupa.

Przebiegł ją dreszcz.

Dopiero teraz zauważyła, co leży na desce do krajania, przy zlewie. Cztery duże ziemniaki, główka kapusty, paczka marchewki, długi nóż, obierak do jarzyn. Hilda przygotowywała kolację w momencie, w którym padła martwa. Ot tak, bum. Wyglądało na to, że nie była chora, nie miała pojęcia o tym, co ją czeka. Tak nagła śmierć, do cholery, nie mogła wskazywać na chorobę.

Jaka choroba mogła spowodować śmierć tak, żeby chory nie przechodził wpierw przez coraz bardziej wyniszczające stadia słabości, złego samopoczucia, fizycznej niesprawności? Żadna. Żadna choroba znana współczesnej medycynie.

– Jenny, wyjdźmy stąd, co? – poprosiła Lisa.

– Ciii! Za minutkę. Daj mi pomyśleć.

Jenny oparła się o blok kuchenny. Spoglądała na martwą kobietę.

Zaczęło się w niej powoli rodzić złowieszcze przypuszczenie: dżuma. Dżuma – dymieniczna i inne jej odmiany – nie była nieznana w Kalifornii i na Południowym Zachodzie. W ostatnich latach zgłoszono kilka przypadków; jednak zgon z powodu dżumy należał obecnie do rzadkości dzięki streptomycynie, chloramfenikolowi albo jakiejś tetracyklinie. Niektóre odmiany dżumy charakteryzowało pojawienie się wybroczyn: tych małych, purpurowych, krwawiących plamek na skórze. W przypadkach ekstremalnych wybroczyny stawały się niemal czarne i rozprzestrzeniały się po dużych partiach ciała; stąd w średniowieczu mówiono na to po prostu Czarna Śmierć. Ale czy wybroczyny mogły pojawić się w takiej obfitości, że ciało ofiary czerniało jak ciało Hildy?

Poza tym Hilda umarła nagle, podczas prac kuchennych, nie wymiotując, nie gorączkując, nie mając kłopotu z utrzymaniem moczu – a to wykluczało dżumę. W istocie – wykluczało również każdą inną znaną chorobę zakaźną.

A równocześnie brak widocznych śladów przemocy. Żadnych krwawiących ran postrzałowych.

Żadnych ran klutych. Ani śladu wskazującego, że gospodyni została pobita albo uduszona.

Jenny okrążyła ciało i podeszła do lady przy zlewie. Dotknęła kapusty i zdumiała się. Była jeszcze zmrożona. Nie leżała na desce do krajania dłużej niż jakąś godzinę.

Odwróciła się od lady i znów spojrzała na Hildę, z jeszcze większą grozą niż poprzednio.

Ta kobieta umarła w ciągu ostatniej godziny. Gdyby lekarka dotknęła ciała, mogłoby okazać się jeszcze ciepłe.

Ale co spowodowało śmierć?

Jenny była równie daleko od rozwiązania tej zagadki, jak w chwili kiedy przystąpiła do oględzin. I chociaż nie choroba wydawała się tu winna, nie dało się jej wykluczyć. Możliwość zarażenia, nawet odległa, była przerażająca.

– Chodź, skarbie. – Jenny ukrywała zafrasowanie przed Lisa. – Skorzystam z telefonu w gabinecie.

– Już mi lepiej – powiedziała młodsza siostra, ale od razu wstała, najwyraźniej nie mogąc doczekać się wyjścia.

Jenny objęła ją ramieniem. Opuściły kuchnię.

Nieziemski spokój przepełniał dom, cisza tak głęboka, że szelest stóp na dywanie w korytarzyku brzmiał ogłuszająco.

Mimo świecących z sufitu jarzeniówek, gabinet Jenny nie był surowy i bezosobowy jak wiele pomieszczeń preferowanych przez współczesnych lekarzy. Przeciwnie, jego staromodny wystrój przywodził na myśl obrazy Normana Rockwella z *Saturday Evening Post*. Półki biblioteki pękały w szwach od książek i magazynów medycznych. Sześć antycznych drewnianych szafek, za które Jenny wyłożyła ładną sumkę na aukcji, mieściło akta. Ściany pokryte były dyplomami i wykresami anatomicznymi. Wisiały tam również dwie duże akwarele – pejzaże Snowfield. Obok zamkniętej szafki z lekarstwami stała waga, a obok wagi, na stolyczku, pudełko z niedrogimi zabawkami – małe plastikowe samochody, żołnierzyki, laleczki – i dwa opakowania bezcukrowej gumy do żucia. Służyły jako nagrody – lub łapówki – dla dzieci, które nie płakały podczas badań.

Centrum pokoju zajmowało duże, porysowane biurko z ciemnej sosny i Jenny podprowadziła Lisę do wielkiego skórzanego fotela stojącego za nim.

– Przepraszam – powiedziała dziewczyna.

– Przepraszam? – powtórzyła Jenny, siadając na skraju biurka i przysuwając telefon.

– Przepraszam, że odpadłam i dałam ci czadu. Kiedy zobaczyłam... ciało... wiesz... zaczęłam histeryzować.

– Wcale nie histeryzowałam. Przeżyłaś tylko wstrząs, przestraszyłaś się. To zrozumiałe.

– Ale ty nie byłaś zszokowana ani przestraszona.

– Ależ tak. Nie tylko byłam zszokowana. Osłupiałam.

– Ale nie bałaś się jak ja.

– Bałam się i wciąż się boję.

Jenny zawahała się, a potem uznała, że jednak nie powinna ukrywać przed dziewczyną prawdy. Powiedziała jej o niepokojącej możliwości zarażenia.

– Nie sądzę, że mamy tu do czynienia z chorobą, ale mogę się mylić. A jeśli się mylę...

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy z podziwu.

– Bałaś się tak samo jak ja, ale mimo to cały ten czas byłaś przy trupie. Jeeezu, nie stać mnie na coś takiego. W życiu. Nie dałabym rady.

– Cóż, skarbie, jestem lekarzem. Uczono mnie tego.

– Ale...

– Nie odpadłaś i nie dałaś mi czadu – zapewniła ją Jenny.

Lisa skinęła głową bez przekonania.

Jenny podniosła słuchawkę. Zamierzała zadzwonić na podkomisariat szeryfa w Snowfield, zanim skontaktuje się z koronerem w Santa Mira, stolicy okręgu. Brak sygnału, tylko cichy syk. Nacisnęła widełki, ale aparat pozostał głuchy.

Niesprawny telefon w domu, w którym leżał trup – było w tym coś złowrogiego. Ktoś mógł przeciąć druty telefoniczne, a potem wkraść się i zaatakować Hildę w sposób przemyślny i skuteczny... Cóż... mógł zadać jej cios w plecy nożem o długim ostrzu, które sięgnęło serca, zabijając od razu. W takim razie rana znajdowałaby się tam, gdzie Jenny nie mogła dojrzeć – chyba że odwróci zwłoki całkiem na brzuch. To nie wyjaśnia braku krwi. Ani wszędzie obecnych sińców, spuchnięcia. Tym niemniej rana mogła znajdować się na plecach, a skoro gospoia zmarła w ciągu ostatniej godziny, można było również przyjąć, że zabójca – jeśli był zabójca – przebywa nadal tu, w domu.

Ponosi mnie wyobraźnia, pomyślała Jenny.

Uznała, że zrobi najlepiej, jeśli razem z Lisa natychmiast opuszczą dom.

– Musimy iść do sąsiadów i poprosić Vince’a albo Angie Santini, żeby zadzwonili w naszym imieniu – powiedziała spokojnie, podnosząc się od biurka. – Nasz telefon się zepsuł.

Lisa uniosła brwi.

– Czy to ma jakiś związek z... z tym, co się stało?

– Nie wiem – odpowiedziała Jenny.

Serce biło jej mocno, kiedy szła przez gabinet do półprzymkniętych drzwi. A nuż ktoś stoi po drugiej stronie?

– Ale telefon zepsuty teraz... jakież to dziwne, nie? – spytała Lisa, idąc za nią.

– Trochę.

Jenny prawie spodziewała się spotkania z ogromnym, szczerzącym zęby nieznajomym, uzbrojonym w nóż. Jednym z tych socjopatów, których pełno w dzisiejszych czasach. Jednym z naśladowców Kuby Rozpruwacza, których krwawe robótki dostarczały materiału filmowego dla reporterów telewizyjnych, prezentujących koszmarne migawki w wiadomościach o szóstej wieczorem.

Wyrzała do przedpokoju, nim ruszyła dalej, gotowa odskoczyć i zatrzaskać drzwi, w razie gdyby kogoś zobaczyła. Nikogo.

Zerknęła na Lisę. Dziewczyna w mig przeniknęła jej myśli.

Ruszyły szybko korytarzem, a kiedy znalazły się przy schodach prowadzących na piętro, nerwy Jenny były napięte do ostateczności. Zabójca (jeśli był zabójca, napomniała samą siebie, poirytowana) mógł znajdować się na schodach i nasłuchiwał, kiedy szły do drzwi. Runie na nie teraz z wysoko uniesionym nożem...

Ale nikt nie czekał na schodach.

Ani w przedpokoju. Ani na frontowej werandzie.

Na dworze zmierzch szybko przechodził w noc. Resztki światła lśniły purpurą, a cienie – jak armia żywych trupów – wyłaniały się dziesiątkami tysięcy z zakamarków, w których kryły się przed blaskiem słońca. Za dziesięć minut zapadnie mrok.

DOM SĄSIADÓW

Zbudowany z kamienia i modrzewia dom Santinich zaprojektowano dużo nowocześniej niż domek Jenny. Pełno w nim było zaokrąglonych rogów i łagodnych krzywizn. Wyłaniał się z kamienistej ziemi, przedłużając kontury zbocza, osadzony na tle ogromnej sosny, jakby sformowany przez samą naturę.

W kilku pokojach na parterze świeciły się lampy. Frontowe drzwi były lekko uchylone. Z wewnątrz dobiegała muzyka klasyczna.

Jenny nacisnęła dzwonek i cofnęła się kilka kroków do miejsca, gdzie czekała Lisa. Uważała, że nie powinny zbyt blisko zbliżyć się do Santinich. Mogły zarazić się nawet tylko przebywając w jednym pomieszczeniu ze zwłokami pani Beck.

– Trudno wymarzyć sobie lepszych sąsiadów – zwróciła się do Lisy, pragnąc by twardy, lodowaty sopel w żołądku rozpuścił się. – Mili ludzie.

Nikt nie zareagował na dzwonek.

Jenny podeszła, znów nacisnęła dzwonek i wróciła do Lisy.

– Są właścicielami sklepów ze sprzętem narciarskim i z pamiątkami.

Muzyka rosła, opadała, rosła. Beethoven.

– Może nie ma nikogo w domu – powiedziała Lisa.

– Ktoś musi być. Muzyka, światła...

Nagle, ostre uderzenie wiatru zawirowało pod okapem werandy, powietrzne śmigła poszatkowały Beethovena, na krótko zamieniając słodką muzykę w irytujący, fałszywy akord.

Jenny pchnęła półotwarte drzwi. Lampa płonęła w gabinecie po lewej stronie. Mleczny blask lał się po dębowej podłodze od otwartych drzwi do krawędzi mrocznej bawialni.

– Angie? Vince?! – zawołała Jenny.

Brak odpowiedzi.

Tylko Beethoven. Wiatr ucichł, a rozwiana muzyka splotła się na powrót w bezwietrznej ciszy. Trzecia symfonia, *Eroika*.

– Halo? Jest tam ktoś?

Symfonia dotarła do swego poruszającego zwieńczenia, a kiedy ostatnia nuta ucichła, nie zabrzmiała kolejna melodia. Stereo chyba wyłączyło się automatycznie.

– Halo?

Nic. Jenny za plecami miała cichą noc, a przed sobą cichy dom.

– Nie wchodzisz? – zapytała z niepokojem Lisa.

Jenny spojrzała na dziewczynę.

– O co ci chodzi? – spytała.

Lisa przygryzła wargę.

– Coś tu jest nie tak. Też to czujesz, nie?

Jenny zawahała się.

– Tak. Też to czuję – przyznała opornie.

– Jest tak, jakbyśmy... były tu same... tylko ty i ja... a równocześnie... nie same.

Jenny dręczyło przedziwne uczucie, że są obserwowane. Obróciła się i z uwagą przyjrzała trawnikowi, zarośłom, prawie kompletnie połkniętym już przez ciemność. Omiotła wzrokiem każde okno wychodzące na werandę. W gabinecie paliło się światło, ale pozostałe były ślepe, czarne, lśniące. Ktoś

mógł stać za tymi szklanymi taflami, otulony w cieniu, widząc, ale nie będąc widziany.

– Chodźmy, proszę – powiedziała Lisa. – Chodźmy na policję albo do kogoś. Ruszmy się. Proszę.

Jenny potrząsnęła głową.

– Jesteśmy przeczulone. Nasza wyobraźnia przerasta rzeczywistość. W każdym razie powinnam tam zajrzeć, na wypadek gdyby komuś się coś stało – Angie, Vince’owi, może któremuś dziecku...

– Nie. – Lisa złapała Jenny za ramię, powstrzymywała ją.

– Jestem lekarką. Jestem zobowiązana do udzielenia pomocy.

– Ale jeśli złapałaś zarazka albo coś tam od pani Beck, możesz zainfekować Santinich. Sama tak powiedziałaś.

– Tak, ale może właśnie umierają od tego samego, co zabiło Hildę. Co wtedy? Mogą potrzebować opieki lekarskiej.

– Nie sądzę, żeby to była choroba – stwierdziła ponuro Lisa, wtórując myślom Jenny. – To coś gorszego.

– Co może być gorsze?

– Nie wiem. Ale czuję to. Coś gorszego.

Wiatr znów się obudził i zaszeleścił w krzakach przy werandzie.

– Dobra – powiedziała Jenny. – Zaczekasz tu, aż rzucę okiem na...

– Nie – szybko przerwała Lisa. – Jak ty wchodzisz, to ja też.

– Skarbie, nie odpadniesz i nie dasz mi czadu, jeśli...

– Ja idę – uparcie powtórzyła dziewczyna, puszczając ramię Jenny. – Miejmy to z głowy.

Weszły do domu. Jenny stanęła w przedpokoju, zajrzała przez otwarte drzwi z lewej.

– Vince?

Dwie lampy rzucały ciepły złoty blask w każdy zakątek gabinetu Vince’a Santiniego, ale pomieszczenie wionęło pustką.

– Angie? Vince? Jest tam kto?

Żaden dźwięk nie zakłócał grobowej ciszy, chociaż sama ciemność wydawała się czuć i obserwować – jak niewyobrażalnie wielkie, przyczajone zwierzę.

Po prawej ręce Jenny bawialnia – cała udrapowana w cienie, gęste jak ciasno pleciona krepa. Daleko kilka odprysków światła jaśniało po bokach i u dołu dwuskrzydłowych drzwi, dzielących bawialnię od jadalni. Skąpy blask w niczym nie rozpraszał mroku tej strony.

Znalazła na ścianie przycisk światła. Ukazała się bawialnia – pusta.

– Widzisz – powiedziała Lisa. – Nikogo.

– Zajrzyjmy do jadalni.

Przeszły przez bawialnię umeblowaną wygodnymi beżowymi sofami i eleganckimi szmaragdowymi uszakami w stylu królowej Anny. Stereofoniczny gramofon i deck magnetofonowy umieszczono dyskretnie w narożnej meblościance. Stąd dobiegała muzyka. Santini wyszli i zostawili czynny sprzęt.

Jenny otworzyła drzwi do jadalni. Zaskrzypiały lekko.

Tu też nie było nikogo, ale żyrandol oświetlał dziwny obraz. Stół nakryto do wczesnej niedzielnej kolacji: cztery serwetki, cztery puste duże talerze, cztery talerzyki do sałaty, z tego trzy nieskazitelnie czyste, czwarty pełny; cztery zestawy sztućców z nierdzewnej stali, cztery szklanki – dwie napełnione mlekiem, jedna wodą, a jedna bursztynowym płynem, może sokiem jabłkowym. Częściowo roztopione kostki lodu pływały w soku i w wodzie. Na środku stołu naczynia z potrawami: misa z sałatą, półmisek z szynką, rondel z zapiekanką ziemniaczaną i duża płytką waza z groszkiem i marchewką. Poza sałatą,

z której zaczerpnięto jedną porcję, jedzenie stało nietknięte. Szynka wystygła. Ale serowa pokrywa zapiekanki była cała i Jenny poczuła pod ręką, że naczynie jest wciąż ciepłe. Jedzenie musiało się znaleźć na stole w ciągu ostatniej godziny, może zaledwie pół godziny temu.

– Wygląda, jakby pogнали gdzieś na łeb, na szyję – powiedziała Lisa.

– Jakby zostali porwani – zmarszczyła brwi Jenny.

Kilka niepokojących detali. Na przykład przewrócone krzesło. Leżało na boku, kilka stóp od stołu. Pozostałe krzesła stały przy stole, ale na podłodze leżała duża łyżka i dwuzębny widelec do podawania mięsa. Zmięta serwetka na podłodze w kącie, jakby nie tylko spadła, ale została odrzucona. Na stole przewrócona solniczka.

Drobiazgi. Nic poważnego. Nic, do czego można by się przyczepić.

Ale mimo to Jenny martwiła się.

– Porwani? – Lisa była zdumiona.

– Może.

Jenny nadal mówiła cicho, jak i siostra. Nadal miała niepokojące wrażenie, że coś czyha nie opodal, kryje się, obserwuje – a przynajmniej nasłuchuje.

Paranoja, napomniała samą siebie.

– Jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś porwał całą rodzinę – powiedziała Lisa.

– Więc... mogę się mylić. Prawdopodobnie jedno z dzieci nagle zachorowało i musieli szybko jechać do szpitala w Santa Mira. Coś w tym rodzaju.

Lisa znów obejrzała pokój. Przechyliła głowę, wsłuchując się w cmentarną ciszę.

– Nie, nie wydaje mi się.

– Ani mnie – przyznała Lisa.

Lisa z wolna obeszła stół. Rozglądała się, jakby oczekiwała potajemnej wieści od Santinich. Strach zaczął ustępować miejsca ciekawości.

– Przypomina mi to coś, co kiedyś czytałam w książce o dziwnych wydarzeniach. Wiesz – *Trójkąt bermudzki* albo coś w tym rodzaju. Kiedyś był taki wielki żaglowiec „Mary Celeste”... jakoś w 1870 albo coś koło tego... W każdym razie znaleźli tę „Mary Celeste” dryfującą na środku Atlantyku. Stoły nakryte do obiadu, ale cała załoga zniknęła. Statek nie został uszkodzony przez sztorm, nie przeciekał, nic z tych rzeczy. Załoga nie miała żadnego powodu, żeby go opuścić. Poza tym łódzie ratunkowe wisiały na swoich miejscach. Lampy się paliły, żagle postawione jak należy i, jak mówiłam, jedzenie stało na stołach. Wszystko było tak jak być powinno, poza tym że załoga znikła co do jednego człowieka. To jedna z największych zagadek morskich.

– Ale w tym na pewno nie ma żadnej wielkiej zagadki – stwierdziła niespokojnie Jenny. – Jestem pewna, że Santini nie zniknęli na zawsze.

Lisa znajdowała się po drugiej stronie stołu. Zatrzymała się i zmrużyła oczy.

– A jeśli zostali porwani, to czy ma to jakiś związek ze śmiercią twojej gosposi?

– Może. Za mało wiemy, żeby mieć pewność.

– Nie uważasz, że powinniśmy wziąć broń albo coś? – spytała Lisa głosem jeszcze cichszym niż poprzednio.

– Nie, nie. – Jenny spojrzała na nietknięte jedzenie, na którym zastygał tłuszcz. Rozsypała sól. Przewrócone krzesło. Odwróciła się od stołu. – Chodź, skarbie.

– Gdzie teraz?

– Sprawdźmy, czy telefon działa.

Minęły drzwi łączące jadalnię z kuchnią. Jenny zapaliła światło.

Telefon wisiał na ścianie, obok zlewu. Jenny podniosła słuchawkę. Posłuchała. Nacisnęła widełki. Brak sygnału.

Jednakże tym razem aparat nie był kompletnie głuchy, jak w jej własnym domu. Słyszała miękki trzask elektrycznych wyładowań. Numery straży pożarnej i podkomisariatu widniały na naklejce pod aparatem. Mimo braku sygnału Jenny wycisnęła siedem cyfr, żeby połączyć się z policją, ale nie dostała połączenia.

W momencie w którym położyła palce na widełkach, żeby znów je nacisnąć, obudziło się w niej podejrzenie, że ktoś jest na linii, słucha.

– Halo? – odezwała się.

Odległy syk. Jak jajka smażone na patelni.

– Halo? – powtórzyła.

Tylko odległy syk. „Biały szum”, jak mówią.

Powiedziała sobie, że to nic. Tylko normalne odgłosy przy podniesionej słuchawce. Ale równocześnie pomyślała, że podczas kiedy ona chciwie nasłuchuje, ktoś inny robi to samo.

Nonsens.

Nonsens czy nie nonsens, lodowaty chłód zjeżył jej włosy na karku i szybko odłożyła słuchawkę.

– Biuro szeryfa nie może być daleko w takim małym miasteczku – powiedziała Lisa.

– Kilka przecznic.

– Czemu tam nie podejźmiemy?

Jenny zamierzała przejrzeć pozostałą część domu, na wypadek gdyby Santini leżeli gdzieś ranni albo chorzy. Teraz uderzyła ją myśl, że ktoś mógł podsłuchiwać przez aparat z innego pokoju. Ta możliwość zmieniała wszystko. Nie traktowała lekko powołania lekarza. W gruncie rzeczy lubiła tę specjalną odpowiedzialność idącą w parze z pracą. Była osobą poddającą stałej weryfikacji swe oceny, inteligencję i wytrzymałość. Lubiła stawiać czoło przeciwnościom. Ale teraz odpowiadała w pierwszym rzędzie za Lisę i siebie samą. Być może najmądrzej było zwrócić się do zastępcy szeryfa, Paula Hendersona, wrócić z nim, a potem przejrzeć resztę domu.

Chciała wierzyć, że to jedynie wyobraźnia, ale nadal czuła, jak ktoś przewierca ją wzrokiem, obserwuje... czeka.

– Chodźmy – powiedziała do Lisy. – Już.

Dziewczyna wyraźnie odetchnęła. Pierwsza ruszyła przez jadalnię i bawialnię do frontowych drzwi.

Tymczasem zapadła noc. Powietrze oziębiło się i wkrótce zapanuje całkowity chłód – siedem do pięciu stopni Celsjusza – może i większy. Jesień w Sierra gości krótko, a zima niecierpliwi się, żeby jak najszybciej zająć jej miejsce.

Z nadejściem nocy wzdłuż Skyline Road lampy uliczne zapaliły się automatycznie. Na niektórych wystawach również włączyło się wieczorne oświetlenie, pobudzone światłoczułymi diodami.

Jenny i Lisę, stojące na chodniku przed domem Santinich, uderzył widok w dole.

Miasteczko schodzące tarasami po górskim zboczu, z ostrymi, dwuskrzydłowymi dachami domów tnącymi ciemnogrnatowe niebo, było jeszcze piękniejsze niż o zmierzchu. Z paru kominów sterczały widmowe pióropusze. To na kominkach płonęło drewno. Kilka okien jarzyło się światłem bijącym z wewnątrz, ale reszta jak mroczne lustra odbijała światła latarni. Wiatr łagodnie poruszał drzewami w rytmie kołysanki. Szemrał łagodnie, jakby naśladował oddechy tysięcy głęboko, spokojnie uspiomych dzieci.

Jednakże nie tylko samo piękno widoku spętało Jenny. Także absolutny bezruch i cisza. W chwili przyjazdu uznała to jedynie za rzecz dziwną. Teraz poczuła zagrożenie.

– Podkomisariat jest na głównej ulicy – wyjaśniła. – Za drugą przecznicą.
Szybkim krokiem skierowały się ku zniechęconemu sercu miasta.

TRZY POCISKI

Pojedyncza świetlówka rozjaśniała ponury mrok aresztu miejskiego. Ale ruchome ramię lampy zostało mocno przygięte, skupiając światło na blacie biurka, gdzie na bibularzu leżał otwarty magazyn w snopie mocnego białego światła; poza tym w pomieszczeniu prawie nic nie było widać i byłoby całkiem ciemno, gdyby nie blady poblask wciskający się od ulicy oknami.

Jenny otworzyła drzwi. Weszła do środka. Lisa tuż za nią.

– Halo? Paul? Jesteś tu?

Odnalazła wyłącznik, zapaliła górne światła – i szarpnęła się w odruchu fizycznego obrzydzenia na widok tego, co leżało przed nią na podłodze.

Paul Henderson. Szerniałe, posiniaczone ciało. Opuchlizna. Żadnych oznak życia.

– Och, Jezu! – krzyknęła Lisa. Obróciła się i zataczając podeszła do drzwi. Oparta o framugę gwałtownie, urywanymi haustami, wciągała chłodne nocne powietrze.

Znacznym wysiłkiem woli Jenny powstrzymała narastający lęk. Podeszła do Lisy. Położyła dłoń na szczupłym ramieniu dziewczyny.

– Jak się czujesz? Będziesz wymiotować?

Lisa z trudem zapanowała nad torsjami. W końcu potrząsnęła głową.

– Nie. N...nie będę wymiotować. Nic mi nie jest. Ch...chodźmy stąd.

– Za chwilę – powiedziała Jenny. – Najpierw chcę obejrzeć ciało.

– Nie można chcieć patrzeć na coś takiego.

– Masz rację. Nie chcę. Ale może jakoś wpadnę, z czym mamy tu do czynienia. Zostań w drzwiach.

Dziewczyna westchnęła z rezygnacją.

Jenny podeszła do trupa rozciągniętego na podłodze. Uklękła.

Paul Henderson był w takim samym stanie jak Hilda Beck. Każdy widzialny cal ciała posiniaczony, spuchnięty. Obrzmiała, zniekształcona twarz, szyja prawie objętości głowy, palce jak sznury serdelków, wzdęty żołądek. A równocześnie Jenny nie wyczuwała najłżejszego odoru gnicia.

Niewidzące oczy wytrzeszczone w cętkowanej, sinej twarzy. Te oczy w połączeniu z rozdziawionymi, wykrzywionymi ustami przekazywały wyraźnie jedno uczucie: lęk. Jak Hilda Beck, Paul Henderson umarł nagle – i w potężnym, lodowatym uścisku krańcowego przerażenia.

Jenny nie była bliską przyjaciółką zmarłego. Oczywiście, znała go, ponieważ wszyscy się znali w tak małym miasteczku jak Snowfield. Robił dość sympatyczne wrażenie, był dobrym stróżem prawa. Czuli się okropnie na widok tego, co go spotkało. Kiedy wpatrywała się w wykrzywioną twarz, mdłości ścisnęły jej boleśnie żołądek. Musiała odwrócić wzrok.

Zastępca nie miał broni w kaburze. Leżała na podłodze, blisko ciała. Rewolwer kaliber 45.

Wpatrywała się w rewolwer. Rozważała. Może wyśliznął się z kabury, kiedy zastępca upadł na podłogę? Może. Ale to wątpliwe. Narzucił się wniosek, że Henderson wyciągnął rewolwer, aby się bronić przed napastnikiem.

A jeśli tak, to nie padł ofiarą trucizny ani choroby.

Jenny obejrzała się. Lisa nadal stała w otwartych drzwiach z ręką opartą o framugę i rozglądała się po Skyline Road.

Jenny podniosła się z kolan. Obróciła od trupa. Pochylona nad bronią patrzyła i zastanawiała się: dotknąć rewolweru czy nie? Nie przejmowała się już tak zakażeniem jak po znalezieniu ciała pani Beck.

Coraz mniej wyglądało to na przypadek jakiejś dziwnej zarazy. Poza tym jeśli Snowfield nawiedziła jakaś egzotyczna choroba, była przerażająco gwałtowna i Jenny prawie na sto procent byłaby już zakażona. Nic nie ryzykowała biorąc rewolwer do ręki i dokładniej mu się przyglądając. Jedyne, co ją martwiło, to możliwość zatarcia śladów.

Ale nawet jeżeli Henderson został zamordowany, niemożliwe, żeby zabójca użył broni ofiary, podsuwając policji pod nos własne odciski palców. Dalej: nie wyglądało na to, żeby Paul został zastrzelony. Przeciwnie, jeśli miała tu miejsce jakaś strzelanina, on prawdopodobnie pociągał za spust.

Podniosła rewolwer. Zbadała. Bęben mieścił sześć naboji, ale trzy komory były puste. Ostro zapach spalonego prochu strzelniczego świadczył o tym, że z broni korzystano niedawno. Dzisiaj, może nawet w ciągu ostatniej godziny.

Z czterdziestką piątką w ręku, rozglądając się po niebieskich płytkach podłogowych, wstała i przeszła na drugi koniec ogólnodostępnej części posterunku. Błysnął kawałek miedzi, następny i jeszcze następny. Trzy wystrzelone łuski.

Żaden ze strzałów nie został oddany w dół, w podłogę. Mocno wyfroterowane płytki były niedrażnione.

Jenny pchnęła bramkę w balustradzie i weszła do „zagrody byków”. Szła przejściem między szafkami z aktami a szeregiem biurek i stołów do pracy. Zatrzymała się w centrum pomieszczenia. Jej wzrok wolno powędrował ku jasnozielonym ścianom i sufitowi z dźwiękochłonnymi płytek. Szukała śladów pocisków. Bez skutku.

Poczuła się zaskoczona. Jeśli nie strzelano w podłogę, jeśli nie mierzono w okna – a nie były pęknięte, szkło pozostało całe – to znaczyło, że lufa w momencie strzału była wymierzona w tę część pomieszczenia, na wysokość biodra lub wyżej. Więc gdzie są pociski? Nie mogła dopatrzeć się zniszczeń na meblach, drzazg drewna, rozerwanych metalowych ścianek, dziur w płytkach podłogi, a wiedziała, że nabój kalibru 45 uderzając czyni znaczną szkodę.

Jeżeli w tym pokoju nie było wystrzelonych pocisków, to mogły się one znajdować tylko w jednym miejscu: w człowieku lub w ludziach, w których mierzył Paul Henderson.

Ale jeśli zastępca zranił napastnika – lub dwóch, trzech napastników – trzema strzałami z policyjnego rewolweru kaliber 45, trzema strzałami tak precyzyjnymi, że pociski ugrzęzły w ciele, to winno być tu pełno krwi. A nie było jej nawet kropli.

Zadziwiona, odwróciła się do biurka, na którym zgięta lampa rzucała blask na otwarty egzemplarz *Time'a*. Miedziana wizytówka głosiła: SIERŻANT PAUL J. HENDERSON. Tu musiał siedzieć podczas tego prawdopodobnie nudnego popołudnia, kiedy to, co się stało... stało się.

Wiedząc co usłyszy, Jenny podniosła słuchawkę telefonu stojącego na biurku Hendersona. Brak sygnału. Tylko elektroniczny, przypominający trzepot owadzych skrzydełek syk.

Jak poprzednio w kuchni Santinich miała uczucie, że nie jest jedyną osobą na linii.

Odłożyła słuchawkę – zbyt nagle, zbyt mocno.

Ręce jej się trzęsły.

Na tylnej ścianie pomieszczenia wisały dwie tablice ogłoszeń, stała fotokopiarka, zamknięta szafka na broń, radio policyjne (model stacjonarny) i końcówka dalekopisu. Jenny nie umiała się posługiwać dalekopisem. I tak zresztą milczał; wyglądał na zepsuty. Nie potrafiła włączyć radia. Chociaż wyłącznik sieciowy był w pozycji „włączony”, lampka kontrolna nie świeciła się. Mikrofon nie reagował. Ten, kto załatwił zastępcę, załatwił też dalekopis i radio.

Jenny ruszyła do części ogólnodostępnej. Zobaczyła, że Lisa nie stoi już w drzwiach. Serce zamarło

w niej na moment. Ale dziewczyna przykłękała tylko obok trupa Paula Hendersona. Wpatrywała się w niego intensywnie.

Podniosła wzrok, kiedy Jenny minęła barierkę. Wskazała na mocno opuchłe ciało.

– Pojęcia nie miałam, że skóra może się tak naciągnąć i nie pęknąć.

Jej poza – „naukowa” ciekawość, dystans, wystudiowana obojętność na okropność całej sceny – była widoczna jak na dłoni. Zdradzały ją rozbiegane oczy. Ciągłe udając, że jej to nie obeszło, Lisa odwróciła wzrok od policjanta i wstała.

– Skarbie, dlaczego nie zostałeś przy drzwiach?

– Poczulałam się obrzydliwie, że taki ze mnie tchórz.

– Posłuchaj, siostrzyczko, mówiłam ci...

– Boję się, że coś nas spotka, coś złego, właśnie tu w Snowfield, dziś, może za chwilę, coś naprawdę strasznego. Ale nie wstydzę się tego. Zdrowy rozsądek nakazuje się bać po tym, co widzieliśmy. Ale ja bałam się nawet ciała tego policjanta, a to już czysta dziecinada.

Lisa przerwała, a Jenny nie odzywała się. Dziewczyna miała więcej do powiedzenia i musiała to z siebie wyrzucić.

– On nie żyje. Nie może mnie skrzywdzić. Nie ma powodu się go bać. To błąd ulegać irracjonalnym lękom. To błąd, słabość, głupota. Człowiek powinien stawiać czoło takim lękom – podkreślała Lisa uparcie. – To jedyny sposób na to, żeby mieć je z głowy, no nie? Więc zdecydowałam się spojrzeć na to.

– Ruchem głowy wskazała nieżywego mężczyznę.

Ileż niepokoju ona ma w oczach, pomyślała Jenny.

Nie tylko sytuacja w Snowfield przygniatała dziewczynę. Dochodziła jeszcze pamięć zmarłej na wylew matki znalezionej w tamto upalne, czyste, lipcowe popołudnie. Nagle z powodu tego tutaj wszystko, co stało się tam, powracało. Powracało z całą bezwzględnością.

– Teraz jestem już spokojna – mówiła Lisa. – Dalej boję się tego, co może nas spotkać, ale nie boję się jego. – Zerknęła na ciało jakby na potwierdzenie tych słów. Podniosła wzrok i spotkała oczy Jenny. – Rozumiesz? Teraz możesz na mnie liczyć. Nie odpadnę i nie dam ci znowu czadu.

Po raz pierwszy Jenny uświadomiła sobie, że jest wzorem dla Lisy. Oczami, twarzą, głosem, rękami, na liczne subtelne sposoby Lisa okazywała, że jej szacunek i podziw dla siostry jest daleko większy, niż Jenny to sobie wyobrażała. Bez uciekania się do słów dziewczyna przekazywała coś bardzo wzruszającego: *Kocham cię, a nawet więcej, lubię cię, jestem z ciebie dumna, jesteś fantastyczna i jak uda ci się ze mną wytrzymać, to jeszcze będziesz dumna i szczęśliwa, że masz taką siostrę jak ja.*

Tak wysoka pozycja w osobistym panteonie Lisy zaskoczyła Jenny. Dzieliła je znaczna różnica wieku, a od kiedy Lisa skończyła dwa latka, Jenny stała przebywała poza domem. Sądziła więc, iż jest dla niej prawie obca. Ten nowy aspekt ich związku pochlebiał jej i budził zakłopotanie.

– Wiem, że mogę na ciebie liczyć – zapewniła siostrę. – Nigdy nie sądziłam inaczej.

Lisa uśmiechnęła się zażenowana.

Jenny uściskała ją gorąco.

Na moment Lisa przytuliła się do niej mocno, a kiedy się rozdzieliły, spytała:

– Więc... masz jakieś wytłumaczenie na to, co się tu stało?

– Nic, co by się trzymało kupy.

– Telefon nie działa, co?

– Nie.

– Więc tak jest wszędzie.

– Prawdopodobnie.

Podeszły do drzwi, wyszły na chodnik.

– Wszyscy nie żyją – powiedziała Lisa. Rozglądała się po zamartej ulicy.

– Nie możemy być takie pewne tego.

– Wszyscy – powtórzyła dziewczyna z uporem, cicho i rozpaczliwie. – Całe miasto. Wszyscy. To się czuje.

– Santinich nie było. Nie wiemy, czy umarli – przypomniała Jenny.

Księżyc w trzeciej kwadrze wyłonił się ponad górami, kiedy jeszcze były na podkomisariacie. Srebrne promienie obrysowywały cieniem odziane w noc zakamarki. Ale poblask miesiąca niczego nie rozjaśniał. Przeciwnie, opadał jak welon, czasem gęściej, czasem luźniej, zamazując kształty, i jak welon zacierał kontury, a wszystko, czego dotknął, stawało się bardziej tajemnicze i niepojęte niż w całkowitej ciemności.

– Cmentarz – powiedziała Lisa. – Całe miasto to cmentarz. Nie możemy po prostu wsiąść do samochodu i pojechać po pomoc?

– Wiesz, że nie możemy. Jeśli choroba...

– To nie choroba.

– Nie mamy absolutnej pewności.

– Ja mam. Jestem pewna. Zresztą powiedziałaś, że prawie na pewno też to wykluczasz.

– Ale tak długo, jak istnieje najmniejsza wątpliwość, choćby minimalna, musimy wziąć pod uwagę, że powinniśmy przejść kwarantannę.

Lisa zauważyła broń.

– To tego policjanta?

– Tak.

– Naładowana?

– Strzelił z niej trzykrotnie, ale w bębnie zostały jeszcze trzy naboje.

– Do czego strzelił?

– Sama chciałabym wiedzieć.

– Weźmiesz ją? – zapytała Lisa. Miała dreszcze.

Jenny spojrzała na rewolwer. Kiwnęła głową.

– Zdaje się, że powinnam.

– No. Ale z drugiej strony... jego to nie uratowało, co?

Szły Skyline Road, na przemian zanurzając się w cieniach, żółtawym blasku lamp sodowych, ciemności i fosforyzujących plamach księżycowego światła. Po prawej stronie regularnie rozmieszczone drzewka wyrastały z ozdobnych donic. Minęły sklep z pamiątkami, niewielką kafejkę i sklep Santinich. Stawały, zaglądały przez okna. Szukały śladów życia, nie znajdowały żadnych.

Mijały też domy mieszkalne stojące tuż przy chodniku. Jenny wchodziła po stopniach, naciskała dzwonek. Nikt nie odpowiadał, nawet tam, gdzie światło padało przez okna. Zastanawiała się, czy nie nacisnąć klamki i nie wejść. Ale nie robiła tego. Podejrzewała tak jak Lisa, że mieszkańcy (jeśli w ogóle da się ich odnaleźć) będą martwi, a ich ciała tak samo groteskowe jak ciała Hildy Beck i Paula Hendersona. Potrzebowała żywych ludzi, tych, którzy przeżyli, świadków. Niczego nie dowie się od trupów.

– Jest tu gdzieś elektrownia atomowa? – zapytała Lisa.

– Nie. Dlaczego?

– Duża jednostka wojskowa?

– Nie.

– Myślałam, że może... promieniowanie.

– Promieniowanie nie zabija tak nagle.

– A naprawdę mocne promieniowanie?

– Ofiary wyglądałyby inaczej.

– Jak?

– Oparzenia, pęcherze, zmiany chorobowe.

Podeszły do Salonu Pięknej Pani, gdzie Jenny zawsze robiła sobie włosy. Zakład był opustoszały jak w każdą niedzielę. Jenny zastanawiała się, co spotkało Madge i Dani, kosmetyczki, właścicielki zakładu. Lubiła Madge i Dani. Modliła się do Boga, żeby się okazało, iż wyjechały na cały dzień z miasta, z wizytą do swoich chłopaków w Mount Larson.

– Trucizna? – pytała Lisa, kiedy odeszły od salonu piękności.

– Jak można za jednym zamachem zatruć całe miasto?

– Zepsuta żywność?

– Och, gdyby wszyscy wybrali się na piknik, jedli tę samą sałatkę z przyskanych pomidorów, zakażoną wieprzowinę albo coś w tym rodzaju... Ale nie. Jest tylko raz piknik dla całego miasta. Czwartego lipca.

– Zatrucie ujęcia wody?

– Nie, chyba że wszyscy napiliby się dokładnie w tym samym momencie i nikt nie miał szansy ostrzec reszty.

– Co jest równie niemożliwe.

– Poza tym, to mi nie przypomina reakcji na żadną znaną mi truciznę.

Cukiernia Libermannów. Czysty, biały budynek z markizą w niebiesko-białe pasy. W sezonie turyści stali tu w kolejce do połowy kwartału, dzień w dzień, siedem dni w tygodniu, żeby kupić wielkie cynamonowe obwarzanki z francuskiego ciasta, tłuste bułeczki z rodzynkami, ciastka z całymi kawałkami czekolady i orzechami, babeczki migdałowe z gęstym budyniem czekoladowym i mandarynką w środku i inne dobroci, które Jakob i Aida Libermannowie tworzyli z ogromną dumą i iście niebiańskim

mistrzostwem. Libermannowie tak uwielbiali swoją pracę, że zdecydowali się nawet na mieszkanie nad cukiernią (teraz nie padało stamtąd żadne światło). Choć od kwietnia do października interes nie przynosił im takich dochodów jak przez resztę roku, poza sezonem otwierali go od poniedziałku do soboty. Ludzie zjeżdżali się z odległych górskich miejscowości – Mount Larson, Shady Roost i Pineville – żeby wrócić z torbami i pudłami pełnymi łakoci Libermannów.

Jenny pochyliła się do wielkiego okna. Lisa oparła czoło o szybę. Z głębi, z otwartych drzwi kuchni padało jasne światło, wyraźnie oświetlając jedną część cukierni. Małe, kawiarniane stoliki stały na lewo, koło każdego dwa krzesła. Oszklone białe emaliowane lady wystawowe były puste.

Jenny modliła się, żeby Jakoba i Aidę ominął los, który prawdopodobnie dotknął resztę Snowfield. Byli parą najmilszych, najśladziej ludzi, jakich kiedykolwiek poznała. Tacy ludzie jak Libermannowie sprawiali, że Snowfield było miejscem, gdzie dobrze się żyło, było schronieniem przed grubiańskim światem, w którym gwałt i chamstwo stawały się niepokojąco powszechne. Lisa odwróciła się od okna cukierni.

– A co z odpadkami chemicznymi? Wyciek chemikaliów. Coś, co sformowało chmurę zabójczych gazów.

– Nie tu. W tych górach nie ma żadnych wysypisk odpadków chemicznych. Żadnych fabryk. Nic z tych rzeczy.

– Czasami pociąg się wykoleja, wagon z chemikaliami rozwała i dzieją się straszne rzeczy.

– Najbliższa linia kolejowa jest dwadzieścia mil stąd. Z czołem zmarszczonym od natłoku myśli Lisa zrobiła kilka kroków oddalając się od cukierni.

– Poczekaj. Chcę tam zajrzeć – powiedziała Jenny. Podeszła do frontowych drzwi.

– Dlaczego? Nikogo nie ma.

– Nie mamy pewności. – Nacisnęła klamkę. – Światła nadal pałą się z tyłu, w kuchni. Mogą tam być. Przygotowują jutrzejsze wypieki. Nie wiedzą, co się stało. Te drzwi są zamknięte. Obejdźmy od tyłu.

Solidna drewniana bramka prowadziła do wąskiego służbowego przejścia między Cukiernią Libermannów a Salonem Pięknej Pani. Bramka była zamknięta pojedynczą zasuwą. Ustąpiła pod niepewnie szperającymi palcami Jenny. Drzwi otworzyły się z piskiem i chrobotem nie oliwionych zawiasów. Kryty pasaż między budynkami był odstręczająco mroczny. Jedyne światło jaśniało u jego wylotu z drugiego końca, tam gdzie na tylnej uliczce rozplywała się szara, łukowata plama.

– Nie podoba mi się tu – powiedziała Lisa.

– Nie przejmuj się, skarbie. Idź tylko za mną i nie zostawaj w tyle. Jak poczujesz się niepewnie, macaj ręką ściany.

Jenny nie miała zamiaru powiększać lęku siostry, ale nie oświetlony pasaż również i w niej budził dreszcze. Z każdym krokiem robił wrażenie węższego, ściany jakby napierały z obu stron.

W jednej czwartej drogi ogarnęło ją niesamowite wrażenie, że nie są z Lisą same. Natychmiast potem poczuła, że coś porusza się w najciemniejszych regionach, pod dachem, osiem, dziesięć stóp nad ich głowami. Nie miała pojęcia skąd to wie. Nie słyszała nic poza echem kroków własnych i Lisy, poza tym prawie nic nie widziała. Nagle jakby poczuła wrogą obecność, a wyteżając wzrok w czarny jak węgiel dach pasażu uzyskała niemal pewność, że coś w ciemności... zmienia się.

Posuwa się. Rusza. Rusza się w górze, w krokwiach.

To urojenia, powiedziała sobie, ale już w połowie drogi zwierzęcy instynkt w niej wrzeszczał, że ma wynosić się, zwiewać. Lekarze nie powinni ulegać panice. Zachowanie równowagi stanowiło część zawodowego treningu. Trochę przyspieszyła, ale tylko trochę, niewiele, bez paniki. Po kilku następnych

krokach przyspieszyła jeszcze i jeszcze, aż wbrew sobie rzuciła się do biegu.

Wypadła na uliczkę. Było tu mroczno, ale nie tak ciemno jak w pasażu.

Lisa wybiegła za nią potykając się, pośliznęła się na mokrym asfalcie, prawie lądując na ziemi.

Jenny złapała siostrę, uratowała przed upadkiem.

Wycofywały się, obserwując wyjście z pozbawionego światła, krytego pasażu. Jenny uniosła rewolwer.

– Czułaś to? – Lisa nie mogła złapać tchu.

– Coś w dachu. Może ptaki albo w najgorszym razie nietoperze.

Lisa potrząsnęła głową.

– Nie, nie. N...nie w dachu. Czaiło się przy ś...ścianie.

Dalej wpatrywały się w wylot pasażu.

– Widziałam coś w krokwiach – powiedziała Jenny.

– Nie. – Dziewczyna z uporem potrząsała głową.

– A ty gdzie widziałaś?

– Było przy ścianie. Po lewej. W połowie pasażu. Prawie na to wpadłam.

– Co to było?

– Dok...dokładnie nie wiem. Nie widziałam dobrze.

– Słyszałaś coś?

– Nie. – Lisa nie odrywała wzroku od pasażu.

– Jakiś zapach?

– Nie. Ale... ta ciemność była... No, tam w jednym miejscu ciemność była... inna. Czułam, że coś się rusza... coś jakby się ruszało... posuwało...

– Mnie tak samo wydało się, że coś widzę... tylko że w krokwiach.

Czekały. Nic nie wyszło z pasażu.

Stopniowo serce Jenny zwolniło, z dzikiego galopu przeszło w szybki kłus. Oddech się uspokoił. Opuściła rewolwer.

Nocna cisza napływała z powrotem jak gęsty olej.

Teraz ogarnęły ją wątpliwości. A jeżeli uległy hysterii? To wyjaśnienie za grosz jej nie zadowalało. Nie, to do niej niepodobne... Ale była na tyle uczciwa wobec siebie, by spojrzeć w twarz niemiłej prawdy. Mogła wpaść w panikę.

– Po prostu jesteśmy rozdygotane – powiedziała. – Gdyby coś albo ktoś niebezpieczny tam siedział, dobrałby się już do nas, nie sądzisz?

– Może.

– Hej, wiesz, co to mogło być?

– Co? – spytała Lisa.

Podniósł się znów zimny wiatr. Sucho zaszeleścił w uliczce.

– To mogły być koty – stwierdziła Jenny. – Kilka kotów. Lubią się pałętać w takich krytych przejściach.

– Nie wydaje mi się, żeby to były koty.

– A może? Kilka kotów między krokwiemi. I jeden, dwa na podłodze, przy ścianie, tam gdzie coś zobaczyłaś.

– To było większe niż kot. Dużo większe. – Lisa była zdenerwowana.

– Dobra, więc może nie koty. Najprawdopodobniej niczego nie było. Jesteśmy podminowane. Mamy

napięte nerwy. – Westchnęła. – Zobaczmy, czy tylne wejście cukierni jest otwarte. Po to tutaj przyszliśmy, pamiętasz?

Poszły na tyły Cukierni Libermannów, ale wciąż oglądały się za siebie, na wyłot pasażu.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Padało spod nich ciepłe światło. Jenny i Lisa weszły do długiego, wąskiego magazynu.

Następne drzwi oddzielały magazyn od ogromnej kuchni. Pachniało cynamonem, ciastem, czarnymi orzechami włoskimi i esencją pomarańczową. Jenny głęboko wciągnęła powietrze. Apetyczne wonie snujące się od kuchni były tak zwykłe, tak naturalne, tak jednoznacznie i uspokajająco związane z powszednim dniem i powszednimi miejscami, że czuła, jak opuszcza ją napięcie.

Cukiernia była dobrze zaopatrzona: podwójne zlewy, specjalne pomieszczenie-chłodnia, kilka piekarników, kilka ogromnych, emaliowanych na biało gablot, maszyna do wygniatania ciasta i bogaty zestaw innych urządzeń. Środek zajmowała długa, szeroka lada, podstawowe miejsce pracy, składające się z dwóch części: błyszczącego blatu z nierdzewnej stali i – po drugiej stronie – grubej, drewnianej stolnicy. Półki kryte także nierdzewną stalą – najbliższe drzwi magazynu – były wysoko zastawione garnkami, blachami do pieczenia, foremkami na babeczki, uchwytami do blach, formami do bab, tortownicami. Wszystko wypucowane do połysku. Cała kuchnia lśniła.

– Nikogo tu nie ma – stwierdziła Lisa.

– Na to wygląda – powiedziała Jenny. Im dalej zapuszczała się w kuchnię, tym bardziej podniesiona była na duchu.

Jeżeli rodzina Santinich uciekła i jeżeli Jakobowi i Aidzie udało się uratować, to może większość mieszkańców miasta nie była martwa. Może...

Och, Boże!

Za spiętrzonymi naczyniami, na środku stolnicy leżał ogromny placek surowego ciasta. Na nim drewniany wałek. Dwie ręce zacisnęły się na uchwytach wałka. Dwie odcięte, ludzkie ręce.

Lisa cofnęła się z taką siłą na metalową gablotę, że zawartość zagrzecotała.

– Co się tu, do diabła, dzieje? Cóż, do diabła...?

Popychana złowrogą fascynacją, a jednocześnie nieprzemogłą chęcią zrozumienia, Jenny podeszła do kontuaru. Wpatrywała się w odrąbane ręce. Patrzyła z obrzydzeniem i niewiarą – i ze strachem, tnącym głęboko jak ostrza brzytwy. Ręce nie były posiniaczone ani spuchnięte. Zachowały kolor ciała, choć był on sino szary. Krew – pierwsza krew, jaką Jenny dziś ujrzała – kapała z poszarpanych przegubów. Jej świeże, wilgotne ślady, strużki i krople, błyszczały na cienkiej powłoce rozsypanej mąki. Ręce były silne, ściślej rzecz biorąc – kiedyś były silne. Mocne palce. Duże kłykcie. Bez wątplenia były to męskie ręce. Pokryte siwym, kędzierzawym włosiem. Ręce Jakoba Libermann.

– Jenny!

Jenny podniosła wzrok, zaskoczona.

Uniesiona sztywno ręka Lisy wskazywała drugi kraniec kuchni.

Przy długiej ścianie stały trzy piekarniki. Jeden podwójny – ogromny, wysoki, z parą solidnych drzwiczek z nierdzewnej stali, dwa skromniejsze, choć i one były okazalsze niż zwykłe modele w większości domów; oba w drzwiczkach miały szklane płyty. Żaden na szczęście nie był teraz czynny, gdyż inaczej kuchnię przepelniałby mdlący smród.

W każdym była odcięta głowa.

Jezu.

Widmowe, trupie twarze z nosami przyciśniętymi do szkła wizjerów gapiły się na kuchnię.

Jakob Libermann. Siwe włosy zbryzgane krwią. Jedno oko zamknięte, drugie wytrzeszczone. Usta zaciśnięte z bólu.

Aida Libermann. Oczy otwarte. Usta rozdziawione, jakby szczęka wyskoczyła z zawiasów.

Przez chwilę Jenny nie mogła uwierzyć, że to głowy ludzkie. Tego już za wiele. Za wielki szok. Przyszły jej na myśl drogie, jak żywe, maski na Halloween, zerkające przez celofanowe okienka z tekturowych pudeł, ponure nowości handlowe w sklepach z zabawkami – te woskowe głowy z nylonowymi perukami i szklanymi oczami – okropności, które młodzi chłopcy potrafią uwielbiać do szaleństwa (bo i przywołują do szaleństwa) – i wariacko przyszedł jej do głowy tekst z telewizyjnej reklamówki gotowego ciasta – W PIEKARNIKU MASZ GOTOWCA, SERCE CI Z RADOŚCI PŁAŚA!

Uderzenia krwi rozsadzały jej czaszkę.

Czuła dreszcze i zawroty głowy.

Na stolnicy odcięte ręce nadal trzymały wałek do ciasta. Prawie oczekiwała, że nagle przemkną po kontuarze jak dwa kraby.

Gdzie są zdekapitowane ciała Libermannów? Wepchnięte do wielkiego piekarnika, za stalowe drzwi bez okien? W chłodni, sztywne i oszronione?

Gorycz urosła jej w gardle. Przełknęła ją.

Czterdziestka piątka nagle wydała się nieskuteczną bronią przeciw niewiarygodnie okrutnemu, nieznanemu wrogowi.

Znów poczuła się obserwowana i werbelek serca przeszedł w łomot kotłów orkiestry.

Obróciła się do Lisy.

– Wynośmy się stąd.

Dziewczyna ruszyła do magazynu.

– Nie tędy! – krzyknęła Jenny.

Lisa zawróciła. Mrugnęła, zdezorientowana.

– Nie przez uliczkę. I nie drugi raz przez ten ciemny pasaż.

– Boże, nie – jęknęła Lisa.

Szybko minęły kuchnię, następne drzwi. Weszły do sklepu. Minęły puste pojemniki na ciastka, stoliczki z krzesłami.

Jenny nie mogła sobie poradzić z ryglowym zamkiem przy frontowych drzwiach. Zaciął się. Przemknęło jej przez myśl, że może jednak będą zmuszone wyjść przez pasaż. Wreszcie wpadła na to, że obraca blokadę rygla w złym kierunku. Obróciła prawidłowo, rygiel cofnął się, trzask. Jenny szarpnęła drzwi, otworzyła.

Szybko wyszły na zimne powietrze nocy.

Lisa podeszła do wysokiej sosny. Musiała się o coś oprzeć.

Jenny dołączyła do siostry. Z obawą zerknęła na cukiernię. Nie byłaby zaskoczona, gdyby pozbawione głów ciała wybiegły do niej w złowieszczych zamiarach. Ale nic się tam nie poruszyło, tylko fryzowany brzeg markizy falował w kapryśnym powiewie wiatru.

Noc dalej milczała.

Księżyc uniósł się nieco i stał wyżej niż w momencie, kiedy siostry weszły do krytego pasażu.

– Promieniowanie, choroba, trucizna, toksyczny gaz... – odezwała się po chwili Lisa. – O rany, byliśmy na zupełnie złym tropie. Tylko ludzie, chorzy ludzie, potrafią tak świrować. Nie? Jakiś świrnięty szajbus nakręcił to wszystko.

Jenny potrząsnęła głową.

– Jeden człowiek nie dałby rady. Żeby opanować miasteczko z prawie pięciuset mieszkańcami, trzeba by armii psychopatycznych zabójców.

– Więc to była armia – powiedziała Lisa drżącym głosem.

Jenny rozejrzała się nerwowo po pustej ulicy. Wydawało się nieostrożnością, prawie zuchwalstwem stać tak na widoku, ale nie była w stanie wymyślić bezpieczniejszego miejsca.

– Psychopaci nie planują wielokrotnych morderstw i nie zakładają klubów niby rotarianie organizujący potańcówkę na cele dobroczynne – mówiła Jenny. – Prawie zawsze działają samotnie.

Wzrok Lisy biegał od jednego cienia do drugiego, jakby podejrzewała, że mają ciała i złowrogie zamiary.

– A co z komuną Charlesa Mansona, wtedy w latach sześćdziesiątych, ci ludzie co zabili tę gwiazdę filmową – jak jej było?

– Sharon Tate.

– No. To nie mogłaby być taka paczka walniętych?

– Trzon rodziny Mansona liczył najwyżej z pół tuzina osób. To bardzo rzadkie odstępstwo od szablonu samotnego wilka. W każdym razie pół tuzina nie mogło załatwić Snowfield. Potrzeba by pięćdziesięciu, stu, może więcej. Tylu psychopatów nie może działać ręka w rękę.

Przez chwilę milczały.

– Jeszcze jedna rzecz nie pasuje – odezwała się Jenny. – Dlaczego w kuchni nie było więcej krwi?

– Trochę było.

– Ledwo, ledwo. Kilka smug na ladzie. Wszędzie powinno być pełno.

Lisa mocno rozmasowała sobie ramiona. Było jej zimno. W świetle najbliższej lampy sodowej jej twarz miała kolor wosku. Wyglądała starzej niż na czternaście lat. Groza przydała jej wieku.

– I żadnych śladów walki.

– Zgadza się. – Jenny zmarszczyła brwi. – Nic.

– Od razu to zauważyłam. Wydało mi się takie dziwne. Jakby nie stawiali oporu. Nic nie spadło. Nic się nie rozbiło. Wałek do ciasta to niezła broń, co? Ale nie użył go. I nic nie zostało przewrócone.

– Jakby w ogóle się nie opierali. Jakby... z własnej woli położyli głowy na pniu.

– Ale dlaczego?

Dlaczego?

Jenny spoglądała w górę Skyline Road na swój dom stojący niecałe trzy przecznice dalej. Przeniosła wzrok na Waszą Stareńką Miejską Knajpę, Sklep z Różnościami za Wielkie Nic, Salon z Lodami Pattersena, Pizzerię Maria.

Są cisze i cisze. Każda inna. Jest cisza śmierci, zalegająca grobowce, opuszczone cmentarze, chłodnie miejskich kostnic i czasami szpitalne pokoje. Cisza bez skazy, nie tyle spokój, co próżnia. Jako lekarz mający do czynienia z beznadziejnie chorymi, Jenny знаła tę wyjątkową, ponurą ciszę.

I teraz to samo. Słyszała ciszę śmierci.

Wcześniej nie chciała się do tego przyznać. Dlatego właśnie nie krzyknęła „hej!” w pogrzebne ulice. Obawiała się, że nikt nie odpowie.

A teraz nie krzyczała, ponieważ obawiała się, że ktoś odpowie. Ktoś lub coś. Ktoś niebezpieczny lub coś niebezpiecznego.

W końcu stanęła wobec nagich faktów. Snowfield było bez wątpienia martwe. Przestało być już miastem. Stało się cmentarzem, wyszukaną kolekcją kamiennych, drewnianych, dachówkowych, ceglanych, spadzisto dachowych, balkonowych grobowców. Cmentarzyskiem ukształtowanym na obraz

oryginalnej górskiej wioseczki.

Wiatr znów się wzmógł, gwizdał pod okapami. Szumiał jak powiew wieczności.

SZERYF OKRĘGOWY

Władze okręgu z siedzibą główną w Santa Mira nie były jeszcze świadome kryzysowej sytuacji w Snowfield. Miały własne problemy.

Porucznik Talbert Whitman wszedł do sali przesłuchań właśnie w chwili, kiedy szeryf Bryce Hammond włączył magnetofon i zaczął informować podejrzanego o jego konstytucyjnych prawach. Tal zamknął bezszelestnie drzwi. Nie chciał przerywać przesłuchania już na samym początku. Nie zajął więc miejsca przy dużym stole obok trzech mężczyzn. Podeszedł do wielkiego okna, jedyne w prostokątnej sali.

Wydział Szeryfa Okręgu Santa Mira zajmował budowlę w kolonialnym stylu, wzniesioną pod koniec lat trzydziestych. Drzwi z pełnego drewna po zamknięciu głuzyły wszelkie odgłosy. Ściany były tak grube, że parapety miały osiemnaście cali głębokości, jak ten, na którym przysiadł właśnie Tal Whitman.

Za oknem rozciągało się Santa Mira, stolica okręgu, osiemnaście tysięcy ludzi. Porankami, kiedy słońce w końcu podniosło się nad Sierras, spalając górskie cienie, Tal czasem łapał się na tym, że ze zdumieniem i zachwytem spogląda na łagodne zalesione podnóża gór, na których wznosiło się Santa Mira, albowiem to wyjątkowo zadbane, czyste miasto zapuściło swe betonowe i żelazne korzenie zachowując szacunek dla piękna natury, wśród którego wzrosło. Teraz zapadła noc. Tysięczne światełka błyszczały na falujących poniżej skał wzgórzach. Wyglądały jak deszcz gwiazd.

Tal Whitman, czarne jak ostrzony wiatrem zimowy cień dziecko Harlemu, urodzone w nędzy i ciemnocie, wylądował w najmniej oczekiwanym miejscu. Najmniej oczekiwanym, ale cudownym.

Po tej stronie okna sceneria jednak nie była aż tak wyjątkowa. Sala przesłuchań przypominała inne niezliczone pomieszczenia na posterunkach policyjnych i komisariatach szeryfów w całym kraju. Tanie płytki z linoleum na podłodze. Poobijane szafki na akta. Okrągły stół konferencyjny i pięć krzeseł. Biurowa zieleń ścian. Nagie jarzeniówki.

Przy stole na środku pokoju miejsce podejrzanego zajmował teraz wysoki, przystojny, dwudziestosześcioletni handlarz nieruchomości. Nazywał się Fletcher Kale. Wprowadzał się w imponujący stan słusznego oburzenia.

– Słuchaj pan, szeryfie – mówił – nie moglibyśmy sobie oszczędzić tych pierdoł? Na litość boską, nie musi pan odczytywać jeszcze raz moich praw. Wałkowaliśmy to już sto razy przez ostatnie trzy dni.

Bob Robine, adwokat Kale'a, szybko uciszył klepieniem po ramieniu swojego klienta. Robine miał nadwagę, krągłe oblicze, słodki uśmiech, a do tego świdrujące oczka właściciela hazardowej speluny.

– Fletch – odezwał się – szeryf Hammond wie, że zatrzymał cię jako podejrzanego na tak długo, jak zezwala prawo, i wie, że ja też to wiem. I dlatego chce zamknąć tę sprawę tak czy inaczej w ciągu następnej godziny.

Kale zamrugnął, kiwnął głową i zmienił taktykę. Zapadł się w krzesło, jakby wielki ciężar rozpaczy spoczął mu na barkach. Kiedy przemówił, głos mu drżał.

– Przykro mi, jeśli straciłem na chwilę głowę, szeryfie. Nie powinienem na pana tak naskoczyć. Ale jest mi tak ciężko... tak bardzo, bardzo ciężko. – Twarz mu się ściągnęła, drżenie głosu wzrosło. – Przecież, na litość boską, straciłem rodzinę. Moja żona... synek... odeszli.

– Przepraszam, jeśli dotknęło pana moje zachowanie, panie Kale – przemówił Bryce Hammond. – Staralem zachować się jak najwłaściwiej. Czasem to mi się udaje. Może tym razem nie wyszło.

Fletcher najwyraźniej uznał, że kłopoty ma za sobą i może sobie teraz pozwolić na wielkoduszność.

Otarł łzy, wyprostował się i rzekł:

– No... tego, hm... rozumiem, co pan ma na myśli, szeryfie.

Kale nie doceniał Bryce'a Hammonda.

Bob Robine znał szeryfa lepiej niż jego klient. Spochmurniał, zerknął na Tala, a potem bystro spojrzął na Bryce'a.

Tal Whitman wiedział z doświadczenia, że większość ludzi, mając do czynienia z szeryfem, nie doceniała go – jak Fletcher Kale. Łatwo dawali się nabrać. Bryce nie miał imponującego wyglądu. Liczył trzydzieści dziewięć lat, ale wydawał się dużo młodszy. Gęsta rozczochrana konopna czupryna opadała mu na czoło jak chłopcu. Miał mięsisty, zadarty nos, pokryty na środku piegami, które rozbiegały się dalej na policzki. Błękitne oczy, wyraziste i o przenikliwym spojrzeniu, ale przesłonięte grubymi powiekami, zwodziły sprawiając wrażenie, że jest znudzony, śpiący, może nawet nieco tępawy.

Jego głos również wprowadzał w błąd. Cichy, melodyjny, łagodny. Czasem mówił powoli, a zawsze z wyraźnym zastanowieniem, co niektórzy ludzie odbierali jako trudność w formułowaniu myśli. Nic nie mogło bardziej rozmijać się z prawdą. Bryce Hammond był całkowicie świadomy, jak ludzie go widzą, a kiedy mogło mu się to przydać, w sposób niewyczuwalny utwierdzał ich w błędzie: niemal bezmyślnym uśmiechem, jeszcze cichszym głosem. Robił z siebie klasycznego wsiowego glinę.

Tal z jednego tylko powodu nie mógł do końca rozkoszować się tym starciem: wiedział, że śledztwo w sprawie Kale'a dotyka Bryce'a Hammonda głęboko, wręcz osobiście. Bryce cierpiał, przybity bezsensowną śmiercią Joanny i Danny'ego Kale'ów. W dziwny sposób ta sprawa przypominała mu zdarzenia z własnego życia. Jak Fletcher Kale, szeryf stracił żonę i syna, choć okoliczności zdarzeń były całkiem odmienne.

Rok temu Ellen Hammond zginęła na miejscu w katastrofie samochodowej. Siedmioletni Timmy, siedzący obok matki, doznał poważnej kontuzji głowy i trwał w stanie śpiączki przez ostatnie dwanaście miesięcy. Lekarze nie dawali mu wielkich szans na odzyskanie świadomości.

Ta tragedia niemal zniszczyła Bryce'a. Dopiero ostatnio Tal Whitman poczuł, że jego przyjaciel wydobywa się z otchłani rozpacz.

Sprawa Kale'a na nowo otworzyła rany Bryce'a Hammonda, ale nie pozwolił, żeby smutek zaćmił mu rozum; nie przeoczył niczego. Tal wiedział, w którym dokładnie momencie Bryce zaczął podejrzewać Kale'a o popełnienie dwóch morderstw z premedytacją. Ostatni czwartek, wieczór. Wtedy nagle coś zimnego i nieubłaganego zjawilo się w osłoniętych ciężkimi powiekami oczach Bryce'a.

Teraz, smarując coś w żółtym notatniku, jakby tylko połowicznie uczestnicząc w przesłuchaniu, szeryf powiedział:

– Panie Kale, czy pozwoli pan, że zamiast zadawać pytania, na które udzielił już pan wielokrotnie odpowiedzi, podsumuję, co usłyszeliśmy? Jeśli w podsumowaniu będzie wszystko grało, przejdziemy do nowych spraw, o które chcę zapytać.

– Jasne. Chcę to mieć z głowy i zjeżdżam stąd – zgodził się Kale.

– No to w porządku. Zgodnie z tym, co pan zeznał, pańska żona, Joanna, czuła się spętana przez małżeństwo i opiekę nad dzieckiem, była zbyt młoda, żeby podolać takim obowiązkom. Czuła, że popełniła okropny błąd i że będzie musiała za niego płacić przez resztę życia. Chciała jakiegoś kopa od życia, sposobu ucieczki, więc chwyciła się narkotyków. Czy nie tak określił pan stan jej umysłu?

– Tak – odpowiedział Kale. – Dokładnie.

– Dobrze. Więc zaczęła palić trawkę. Po niedługim czasie przestała wychodzić ze stanu odurzenia. Przez dwa i pół roku żył pan z ćpunką, cały czas nie tracąc nadziei, że ją pan zmieni. Po czym tydzień

temu dostała szału, potłukła masę talerzy i cholernie dużo czasu zabrało panu uspokojenie jej. Wtedy właśnie odkrył pan, że ostatnio zaczęła brać PCP – „anielski pył”, jak mówią. Przeżył pan wstrząs. Wiedział pan, że niektórzy ludzie stają się niezwykle agresywni pod wpływem PCP, więc kazał pan sobie pokazać miejsce, w którym trzyma towar, i zniszczył go. Potem pan powiedział, że jeśli kiedyś jeszcze weźmie narkotyk w obecności małego, wytrzęsę pan z niej duszę.

Kale odchrząknął.

– Ale tylko mnie wyśmiała. Powiedziała, że żaden ze mnie damski bokser i lepiej żeby nie robił z siebie superfaceta. Powiedziała: „Do diabła, Fletch, dam ci kopa w jaja, a ty mi podziękujesz, że ożywiłam twój powszedni dzień”.

– I wtedy załamał się pan i rozplakał? – spytał Bryce.

– Po prostu... no, załapałem, że nie mam na nią żadnego wpływu.

Z miejsca w oknie Tal Whitman obserwował złamaną smutkiem twarz Kale’a – lub jej wiarygodną podróbkę. Skurwiel był dobry.

– A kiedy zobaczyła, jak pan łka – kontynuował Bryce – to ją trochę otrzeźwiło.

– Zgadza, się – powiedział Kale. – Zdaje się... że ją ruszyło... Wielki byk jak ja, maże się jak gówniarz. Też popłakała i obiecała, że nie weźmie więcej PCP. Pogadaliśmy o tym, co było, o tym, czego spodziewaliśmy się po naszym małżeństwie; powiedzieliśmy sobie masę rzeczy, które może trzeba było obgadać wcześniej, i staliśmy się sobie bliżsi niż w ciągu ostatnich kilku lat. Przynajmniej ja się tak poczułem. Wydawało mi się, że ona też. Przysięgła, że zacznie odpuszczać sobie z trawką.

Bryce dalej machinalnie smarował w notatniku.

– W ostatni czwartek wraca pan wcześniej z pracy i trafia na martwe ciało pańskiego synka w dużej sypialni. Słyszysz pan coś za sobą. To Joanna z tasakiem do mięsa, którym zabiła Danny’ego.

– Była nawalona. PCP. Od razu to spostrzegłem. Obłąd w oczach, takie zwierzęce spojrzenie.

– Krzyczała na pana. Bezsensowne rzeczy o węzach żyjących w ludzkich głowach, o ludziach kontrolowanych przez złe węże. Odsuwał się pan, a ona za panem. Nie próbował jej pan odebrać tasaka...

– Myślałem, że mnie zabije. Chciałem ją zagadać.

– I cofał się pan, aż doszedł do szafki nocnej, w której trzyma pan samopowtarzalną trzydziestkę ósemkę.

– Ostrzegłem ją, żeby rzuciła tasak. Ostrzegłem.

– Ale ona rzuciła się na pana z podniesionym tasakiem. Więc strzelił pan do niej. Raz. W pierś.

Kale siedział teraz zgięty, z twarzą w dłoniach. Szeryf odłożył długopis: Splótł ręce na brzuchu.

– Otóż, panie Kale, mam nadzieję, że wytrzyma pan jeszcze chwilkę ze mną. Tylko kilka pytań i będziemy mogli stąd wyjść i zająć się własnymi sprawami.

Kale opuścił ręce. Tal Whitman jasno pojął ten gest. Kale wyobraził sobie, iż „zająć się własnymi sprawami” oznaczało wypuszczenie z aresztu.

– Wytrzymam, szeryfie. Jedź pan dalej.

Bob Robine nie odezwał się słowem.

Zapadnięty w fotel, sflaczały, Bryce Hammond kontynuował:

– Kiedy trzymaliśmy pana jako podejrzanego, panie Kale, wynikło kilka rzeczy, które należałoby wyjaśnić, żebyśmy mogli dać sobie spokój z tą całą okropną sprawą. Otóż niektóre z nich mogą się panu wydać zupełnie duperelne, niewarte pańskiego albo naszego czasu. To drobiazgi, przyznaję. A męczę pana nimi dlatego... no, dlatego, że zależy mi na przyszłorocznych wyborach, panie Kale. Kiedy moi przeciwnicy dopadną mnie na jednym formalnym obsuwie, na choć jednym cholernym drobiazgu,

rozdmuchają to i wybuchnie skandal. Powiedzą, że robię się mniej sprawny, leniwy albo coś takiego.

Bryce uśmiechnął się do Kale'a. Nie: wyszczerzył do niego zęby. Tal nie wierzył własnym oczom.

– Rozumiem, szeryfie – powiedział Kale.

Na swoim miejscu, na parapecie, Talbert Whitman napiął się, pochylił do przodu.

A Bryce Hammond rzekł:

– Po pierwsze – zachodziłem w głowę, dlaczego zastrzelił pan żonę, potem zrobił duże pranie, a potem dopiero zgłosił nam, co się stało.

BARYKADY

Odcięte ręce. Odcięte głowy.

Jenny szła chodnikiem obok Lisy. Nie mogła otrząsnąć się z koszmarnych obrazów.

Dwie przecznice na wschód od Skyline Road, na Vail Lane, noc była równie spokojna i nieuchwytnie groźna jak w całym Snowfield. Drzewa, wyższe niż na głównej ulicy, nie przepuszczały księżycowych promieni. Latarni było tu mniej i niewielkie kałuże bursztynowego światła widniały z rzadka między złowieszczymi jeziorkami mroku.

Jenny stanęła na ceglanej ścieżce, prowadzącej do angielskiego wiejskiego domku w głębi dość dużej posesji. Ciepłe światło biło przez okna z ołowiowego szkła z romboidalnymi szybami.

Z zewnątrz domek Toma i Karen Oxleyów sprawiał wrażenie skromnego. Zwodził. Mieścił siedem pokoi i dwie łazienki. Tom był księgowym w większości pensjonatów i moteli w miasteczku. Karen prowadziła w sezonie uroczą francuską kafejkę. Obydwoje byli radioamatorami, mieli krótkofalówkę. Oto powód zjawienia się tutaj Jenny.

– Jeśli ktoś rozmyślnie zniszczył radio na posterunku, to dlaczego sądzisz, że nie załatwił i tego? – spytała Lisa.

– Może nie wiedział o nim. Warto sprawdzić.

Zadzwoiła, a kiedy nikt nie odpowiedział, spróbowała otworzyć drzwi. Były zamknięte na klucz.

Obeszły dom od tyłu. Światło w odcieniu koniaku snuło się przez okna. Jenny z niepokojem spoglądała na trawnik, na którym cienie drzew pochłaniały światło księżyca. Kroki pustym echem odbijały się na tylnej werandzie. Spróbowała otworzyć drzwi kuchenne. Również zamknięte.

W najbliższym oknie kotary rozsunięto. Jenny zajrzała i zobaczyła tylko zwykłe kuchenne wnętrze: zielone blaty, kremowe ściany, dębowe szafki, błyszczące urządzenia – brak śladów przemocy.

Następne dwuskrzydłowe okna wychodziły na werandę. Jenny wiedziała, że jedno z nich to okno małego pokoju. Światło paliło się, lecz kotary były zasunięte. Zastukała w szybę, ale nikt nie odpowiedział. Popchnęła ramę. Baskwile trzymały. Chwyciła rewolwer za lufę, rozbiła romb szyby obok klamki. Dźwięk tłuczonego szkła był irytująco głośny. Czuli się jak złodziej. Sięgnęła przez pękniętą szybę, odsunęła baskwil, otworzyła na oścież, wdrapała się na parapet i weszła do domu. Przez chwilę mocowała się z zasłonami, rozsunięła je, ułatwiając wejście Lisie.

Dwa trupy znajdowały się w małym pokoju. Tom i Karen Oxleyowie.

Karen leżała na podłodze bokiem, w pozycji płodowej, nogi podciągnęła do brzucha, ramiona skrzyżowała na piersi. Była posiniaczona i spuchnięta. Wytrzeszczone oczy spozierały w dzikim przerażeniu. Rozdziawione usta zamarły na zawsze w krzyku.

– Te twarze są najokropniejsze – powiedziała Lisa.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego mięśnie twarzy nie rozluźniły się po śmierci. Jak to możliwe, że są tak napięte?

– Co oni zobaczyli? – zastanawiała się Lisa.

Tom Oxley siedział przed krótkofalówką. Osunął się na radio. Głowa przekrzywiona. Siniaki pokrywały go całego, spuchł koszmarnie. Tak jak Karen. Prawą rękę zacisnął na stolikowym mikrofonie. Wyglądało na to, że zginął, nie chcąc wypuścić go z dłoni. Ale nie zdołał wezwać pomocy. Inaczej policja dotarłaby już na miejsce.

Radio było zepsute.

Jenny zrozumiała to wszystko, kiedy tylko zobaczyła trupy.

Jednakże ani stan radia, ani stan ciał nie był tak interesujący jak barykada. Drzwi pokoju zasunięto i prawdopodobnie zamknięto na klucz. Karen i Tom przystawili do nich ciężką serwantkę, parę foteli klubowych, wreszcie odbiornik telewizyjny.

– Starali się coś powstrzymać, żeby nie weszło do pokoju – powiedziała Lisa.

– Ale mimo to weszło.

– Jak?

Obie spojrzały na okno, przez które dostały się do środka.

– Było zamknięte od wewnątrz – przypomniała Jenny.

Pokój miał jeszcze jedno okno.

Podeszły do niego i odsunęły zasłony.

Także było zabezpieczone od wewnątrz.

Jenny wpatrywała się w noc, aż poczuła, że coś ukrytego w ciemności spogląda na nią. Widzi ją bezbronną w jasnym oknie. Szybko ściągnęła zasłony.

– Zamknięty pokój – stwierdziła Lisa.

Jenny obróciła się powoli, obrzucając spojrzeniem pomieszczenie. Niewielki wylot przewodu wentylacyjnego, zasłonięty wąskimi metalowymi listewkami. Pod zabarykadowanymi drzwiami półcalowa szpara. Nie było sposobu, żeby ktokolwiek mógł dostać się do pokoju.

– Tylko bakterie, trujący gaz albo jakiś rodzaj promieniowania mogły tu wtargnąć i zabić – powiedziała.

– Ale Libermannowie nie zginęli od niczego takiego.

Jenny skinęła głową.

– Poza tym nie buduje się barykady w obawie przed promieniowaniem, gazem albo zarazkami.

Ilu mieszkańców Snowfield pozamykało się w domach w nadziei, że znajdą pewne kryjówki – po to tylko, żeby umrzeć tak nagle i w tak tajemniczy sposób jak ci, którzy nie mieli czasu się ukryć? I co potrafiło wejść do zamkniętych pokoi, nie otwierając drzwi ani okien? Co pokonało barykadę, nie burząc jej?

Dom Oxleyów stał cichy jak powierzchnia księżyca.

W końcu Lisa zapytała:

– Co teraz?

– Chyba musimy zaryzykować przeniesienie choroby. Wyjedziemy z miasta do najbliższego automatu, zadzwonimy do szeryfa w Santa Mira, przedstawimy sytuację i niech zadecyduje, co robić. Potem wrócimy i zaczekamy. Nie będziemy miały z nikim bezpośredniego kontaktu i mogą wydezynfekować budkę, jeśli uznają to za konieczne.

– Wracać, jak już się stąd wydostaniemy, to okropne – niespokojnie powiedziała Lisa.

– Mam to samo uczucie. Ale musimy zachowywać się odpowiedzialnie. Chodźmy.

Jenny skierowała się ku oknu, którym weszły.

Zadzwonił telefon.

Jenny, zaskoczona, obróciła się na przeraźliwy odgłos. Telefon stał obok radia. Znów zadzwonił. Złapała za słuchawkę.

– Halo?

Ten, kto dzwonił, nie odpowiedział.

– Halo?

Lodowata cisza.

Dłoń Jenny zacisnęła się na słuchawce.

Ktoś pilnie słuchał. Wyczekiwał w całkowitej ciszy, aż ona się odezwie. Była zdecydowana nie dostarczyć mu tej satysfakcji. Przycisnęła słuchawkę do ucha starając się coś usłyszeć, cokolwiek, choćby niewiele.

Nic – poza wątlym, przypominającym morskie pływy oddechem. Najmniejszego dźwięku. Ale mimo to czuła po drugiej stronie słuchawki tę samą obecność, co wtedy, w domu Santinich i na podkomisariacie.

Stojąc w zabarykadowanym pokoju, w cichym domu, do którego Śmierć wśliznęła się w tak niepojęty sposób, skrycie, Jenny Paige poczuła, jak dokonuje się w niej przedziwne przeistoczenie. Była wykształconą, trzeźwo, logicznie myślącą kobietą bez cienia przesądów. Jak dotąd starała się rozwikłać tajemnicę Snowfield, stosując zasady logiki i zdrowego rozsądku. Ale po raz pierwszy w życiu kompletnie ją zawiodły. Obecnie, gdzieś głęboko w jej umyśle coś... przesunęło się. Jakby żelazna pokrywa o niezwykłym ciężarze, rozsuwając się, odkryła mroczną czeluść podświadomości. Tam, w przedwiecznych komnatach umysłu, spoczywały zastępy prymitywnych odczuć i wrażeń, zabobonny strach, zupełnie jej nie znany do tej pory. Na poziomie sięgającej początku gatunku pamięci genetycznej wyczuwała, co zdarzyło się w Snowfield. Posiadała tę wiedzę; jednakże była ona tak odległa, tak głęboko sprzeczna z logiką, że Jenny stawiała jej opór, walcząc ze wszystkich sił z zabobonnym lękiem, podchodzącym do gardła.

Ścisnęła mocno słuchawkę, wsłuchana w czyjąś milczącą obecność, i kłóciła się sama z sobą.

...To nie człowiek, to jakiś stwór.

...Nonsens.

...To coś nieludzkiego, ale zdolnego do myślenia.

...Ulegasz hysterii.

...Niewyrażalnie złowróżbne, idealne, czyste zło.

...Przestań, przestań, przestań!

Chciała cisnąć słuchawką. Nie mogła. Stwór po drugiej stronie zahipnotyzował ją. Lisa podeszła bliżej.

– Coś się stało? Co się dzieje?

Jenny trzęsła się, spływała potem. Przytłaczało ją wrażenie, że sama obecność ohydnej istoty plugawi ją do cna. Już była gotowa oderwać słuchawkę od ucha, kiedy usłyszała syczenie, metaliczny trzask – i sygnał.

Przez moment, oszołomiona, nie zareagowała.

Potem zachłysnęła się szlochem, nacisnęła zero.

Usłyszała dzwonienie. Cudowny, kochany, uspokajający dźwięk.

– Centrala.

– Centrala, nagły wypadek. Muszę połączyć się z biurem szeryfa w Santa Mira.

NA RATUNEK

– Pranie? – spytał Kale. – Jakie pranie?

Bryce widział, że pytanie wstrząsnęło Kale'em i tylko udaje głupiego.

– Szeryfie, o co panu znowu chodzi? – wkroczył Bob Robine.

Opuszczone powieki Bryce'a pozostały opuszczone i nadal mówił spokojnie, wolno.

– Rany, Bob, chcę tylko przyjrzeć się wszystkiemu jak trza, żebyśmy wszyscy mogli sobie stąd pójść. Przysięgam, nie przepadam za robotą, w niedzielę i to pewnie chybiony strzał. Mam kilka pytań i pan Kale wcale nie musi na nie odpowiadać, ale będę pytał. Jak będę miał to z głowy, idę do chaty, strzelam piwko z girami na stole.

Robine westchnął. Spojrzał na Kale'a.

– Nie odpowiadaj, dopóki nie powiem, że możesz.

Kale skinął głową. Teraz był przejęty.

– Kiedy przyjechaliśmy do domu pana Kale'a w ostatni czwartek – mówił Bryce – wtedy gdy zgłosił telefonicznie zgony, zauważyłem, że skraj nogawki u spodni i ściągacz na jego swetrze są lekko wilgotne. Prawie nie było widać. Pomyślałem sobie, że musiał wyprać wszystko co ma na sobie i za krótko trzymał w suszarce. No to rzuciłem okiem na pralnię i znalazłem coś interesującego: w szafce obok pralki, tam gdzie pani Kale trzymała wszystkie mydła, proszki i środki do zmiękczenia wody, na dużym pudle cheer były dwa zakrwawione odciski palców. Jeden zatarty, ale drugi wyraźny. Laboratorium mówi, że to odciski pana Kale'a.

– Czyja krew była na pudle? – szybko odezwał się Robine.

– Zarówno pani Kale jak i Danny mieli grupę 0. Tak samo pan Kale. Ten fakt nieco utrudnia nam...

– Krew na pudle z proszkiem? – przerwał Robine.

– Grupa 0.

– To znaczy, że to mogła być krew mojego klienta! Mógł zostawić ją na pudle dawniej, z jakiegoś tam powodu. Może w zeszłym tygodniu, wtedy gdy zaciął się podczas pracy w ogrodzie.

Bryce potrząsnął głową.

– Orientujesz się, Bob, że ten cały interes z oznaczaniem krwi poszedł obecnie mocno do przodu. Masz pojęcie, potrafią rozłożyć próbkę na tyle indywidualnych enzymów i protein, że oznaczają krew danej osoby jak odciski palców. Mogli jednoznacznie zawyrokować, że krew na pudle cheer, to znaczy krew na ręce pana Kale'a, kiedy zrobił tamte dwa odciski – była krwią małego Danny'ego Kale'a.

Szare oczy Fletchera Kale'a pozostały płaskie i bez wyrazu, ale jego twarz zbladła całkowicie.

– Jestem w stanie to wyjaśnić.

– Zaczekaj! – powiedział Robine. – Najpierw wyjaśnij to mnie – na boku.

Adwokat odciągnął swojego klienta w najdalszy kąt pokoju.

Bryce siedział zapadnięty w fotel, zgorzkniały, wyprany z sił. Był w takim stanie od dnia, w którym zobaczył żałosne, skulone ciało Danny'ego Kale'a.

Spodziewał się, że męki, jakie zgotuje Kale'owi, sprawią mu niemałą przyjemność. Ale nie było to przyjemne.

Robine i jego klient wrócili.

– Szeryfie, obawiam się, że mój klient palnął głupstwo.

Kale usiłował przybrać stosowny wyraz zakłopotania.

– Zrobił coś, co może zostać opacznie pojęte – tak jak pan to opacznie pojął. Pan Kale był wystraszony, zdezorientowany i złamany smutkiem. Nie rozumował jasno. Jestem pewien, że każdy sąd by go zrozumiał. Widzi pan, kiedy odnalazł ciało swego synka, wziął je na ręce...

– Powiedział nam, że w ogóle go nie dotykał.

Kale spojrzawszy Bryce'owi prosto w oczy i rzekł:

– Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Danny'ego, jak leżał na podłodze... nie mogłem do końca uwierzyć, że... nie żyje. Podniosłem go... myślałem, że zawiozę do szpitala... Później, jak już zastrzeliłem Joannę, spojrzałem na siebie i zobaczyłem, że mam... że mam na sobie krew Danny'ego. Zastrzeliłem żonę, ale nagle dotarło do mnie: może wyglądać, że to samo zrobiłem z synem.

– Pańska żona ścisnęła wciąż tasak – przypomniał Bryce. – I tak samo miała pełno krwi Danny'ego na sobie. I mógł pan skojarzyć, że koroner znajdzie w jej krwi PCP, więc czemu się pan zabezpieczał?

– Teraz to wiem – powiedział Kale. Wyciągnął chustkę z kieszeni i otarł oczy. – Ale wtedy bałem się, że zostanę oskarżony o to, czego w życiu nie popełniłem.

Słowo „psychopata” nie pasowało dokładnie do Fletchera Kale'a, uznał Bryce. Nie był szaleńcem. Ani socjopatą w dokładnym tego słowa znaczeniu. Nie istniało określenie, którym można by go dokładnie zdefiniować. Jednakże dobry gliniarz potrafi rozpoznać ten typ i dostrzec w nim zdolność do przestępczej działalności, jak i – być może – talent do brutalnej przemocy. Istnieje taki typ mężczyzny, który ma wiele żywotności, który lubi wokół siebie ruch, u którego dawka powierzchownego czaru przekracza przeciętną, którego ubrania są nie na jego kieszeń, który nie ma ani jednej książki (jak Kale), który nie ma żadnych przemyślanych opinii na temat polityki, gospodarki i na żaden poważny temat, który nie jest religijny, z wyjątkiem chwil, kiedy pogłębia go zły los lub kiedy chce wyrzucić na kims wrazenie swoją pobożnością (jak Kale, nie należący do żadnego kościoła, obecnie czytający codziennie cztery godziny Biblię w celi), który ma atletyczną budowę, ale nie cierpi żadnych korzystnych dla zdrowia ćwiczeń fizycznych, który spędza wolny czas w knajpach i barach hotelowych, który stale zdradza żonę (jak Kale, zgodnie ze wszystkimi doniesieniami), który jest impulsywny, nierzetelny i zawsze spóźnia się na umówione spotkania (jak Kale), którego cele są albo mgliste albo nierealne („Fletcher Kale? – Marzyciel!?”), który często przekracza swój rachunek w banku i kłamie w sprawach pieniędzy, który zawsze pożycza i nigdy nie oddaje, który przesadza, który wie, że pewnego dnia będzie bogaty, ale nie ma żadnego konkretnego planu zdobycia fortuny, który nigdy nie martwi się ani nie zastanawia nad przyszłością, który przejmuje się tylko sobą, a i to wyłącznie wtedy, kiedy jest za późno. Istnieje taki mężczyzna, taki typ – i Fletcher Kale był idealnym przedstawicielem rzeczonoego gatunku.

Bryce znał takich jak on. Oczy zawsze bez wyrazu. Na twarzy emocje stosowne do sytuacji, choć zawsze o cień za odpowiednie. Kiedy wyrażali troskę o wszystkich tylko nie o siebie, w ich głosie brzmiał ton nieszczeroci. Nie obciążały ich wyrzuty sumienia, poczucie moralności, miłość czy empatia. Często siali zniszczenie, za które nie groziła kara. Rujnowali bliskich, napawali goryczą tych, którzy ich kochali. Łamali los szukających w nich oparcia przyjaciół. Zawodzili zaufanie. Ale dbali, by nie złamać granic wykreślonych prawem. Jednakże od czasu do czasu taki typ przekraczał granicę, a ponieważ nie umiał sobie powiedzieć „nie”, posuwał się o wiele, o wiele za daleko.

Mały Danny Kale. Poszarpane, okrwawione ciało, leżące bezwładnie.

Gorycz, która opanowała Bryce'a, rosła, dusiła jak zimny oleisty opar.

– Powiedział pan nam, że pańska żona od dwu i pół roku brała duże dawki marihuany – zwrócił się do Kale'a.

– Zgadza się.

– Kierując się moimi wskazówkami koroner zerknął na to i owo. Na to, na co normalnie nie zwróciłby uwagi. Na przykład stan płuc Joanny. W ogóle nie paliła, co dopiero mówić o trawce. Płuca były czyste.

– Mówiłem, że paliła trawkę, nie papierosy – powiedział Kale.

– Dym z marihuany i dym tytoniowy w jednakowym stopniu powodują uszkodzenie płuc. W przypadku Joanny nie było śladu uszkodzeń.

– Ale ja...

– Cicho – doradził Bob Robine. Wycelował długi, cienki palec w Bryce'a, pokiwał nim i rzekł: – Miała we krwi PCP, czy nie? To jest istotne.

– Miała. Miała we krwi, ale nie paliła tego. Wzięła PCP doustnie. Nadal dużo zalegało jej w żołądku. Robine zamrugnął, zaskoczony, ale szybko się opanował.

– No i masz. Brała. Czy to ważne, jak brała?

– W rzeczywistości w żołądku miała dużo więcej PCP niż we krwi.

Kale usiłował przybrać minę zaciekawionego, przejętego i niewinnego – wszystko za jednym zamachem; nawet przy jego elastycznych mięśniach twarzy nie odbywało się to bez trudności.

Bob Robine nachmurzył się.

– A więc w żołądku miała więcej niż we krwi. I co z tego?

– Anielski pył jest łatwo przyswajalny. Brany doustnie nie utrzymuje się długo w żołądku. Otóż, choć Joanna połknęła dość, żeby odlecieć, zabrakło czasu, żeby narkotyk mógł zadziałać. Wie pan, wzięła PCP z lodami. Pokryły ściany żołądka i opóźniły absorbcję. Podczas autopsji koroner natrafił na częściowo strawione lody karmelowe. Tak więc zabrakło czasu, aby PCP mógł wywołać halucynację albo doprowadzić ją do szaleńczej furii. – Bryce przerwał, złapał oddech. – W żołądku Danny'ego również znalazły się lody karmelowe, ale nie PCP. Kiedy pan Kale opowiedział nam o swym wcześniejszym powrocie do domu w czwartek, nie wspomniał, że zadbał o podwieczorek dla rodziny. Przyniósł pół galona lodów karmelowych.

Twarz Fletchera Kale'a straciła wszelki wyraz. Przypuszczalnie nareszcie wyczerpał swój zapas min.

– Znaleźliśmy w lodówce Kale'ów częściowo opróżniony pojemnik po lodach. Karmelowe. Oto co sobie myślę, panie Kale. Podał pan wszystkim lody. Porcję żony posypał pan po cichu PCP, aby potem móc utrzymywać, że pod wpływem narkotyku dostała fioła. Nie wpadło panu do głowy, że koroner to odkryje.

– Zaczekaj jedną cholerną minutę! – wrzasnął Robine.

– Potem, kiedy wyprał pan swoją skrwawioną odzież – mówił Bryce – umył pan naczynia po lodach i wstawił do szafki, bo pańska historyjka zakładała, że po powrocie do domu znalazł pan małego Danny'ego martwego, a jego matkę na odlocie po PCP.

– To tylko przypuszczenie – stwierdził Robine. – Zapomniał pan o motywie? Dlaczego, na miłość boską, mój klient miałby dopuścić się takiej potworności?

Bryce obserwował oczy Kale'a.

– *High Country Investments*.

Twarz Kale'a była nadal bez wyrazu. Ale zamrugnął.

– *High Country Investments?* – zapytał Robine. – A co to takiego?

Bryce nie odrywał wzroku od Kale'a.

– Czy kupował pan lody, zanim przyszedł pan do domu we czwartek?

– Nie – beznamiętnie odpowiedział Kale.

– Kierownik sklepu 7-Eleven na Calder Street mówi, że tak.

Kale zacisnął wściekle szczęki, mięśnie zagrały mu na policzkach.

– Co z *High Country Investments*? – dopytywał się Robine.

Bryce wystrzelił w Kale’a następnym pytaniem.

– Zna pan człowieka o nazwisku Gene Terr?

Kale tylko patrzył na Bryce’a.

– Ludzie czasem mówią na niego „Jeeter”.

– Kto to taki? – zapytał Robine.

– Przywódca Chromowego Demona – mówił Bryce, patrząc na Kale’a. – To gang motocyklowy. Jeeter rozprowadza narkotyki. Tak naprawdę nigdy nie udało się nam go przyłapać, przymknęliśmy tylko kilku jego ludzi. Przycisnęliśmy w tej sprawie Jeetera i wskazał nam kogoś, kto przyznał się do regularnego dostarczania trawki panu Kale’owi. Nie pani Kale. Ona nigdy nie kupowała.

– I kto to mówi? – Robine podniósł głos. – Ten świr na motorze? Ten wyrzutek społeczny? Ten pchacz? To nie jest wiarygodny świadek!

– Zgodnie z tym, co twierdzi nasz informator, pan Kale we czwartek kupował nie tylko trawkę. Nabył też anielski pył. Sprzedawca narkotyków będzie zeznawał w zamian za zwolnienie od oskarżenia.

Nagle Kale zerwał się ze zwierzęcą zwinnością, chwycił stojące obok krzesło, cisnął je przez stół w Bryce’a Hammonda i rzucił się do drzwi sali przesłuchań.

Nim krzesło wystrzeliło z rąk Kale’a i znalazło się w powietrzu, Bryce już był na nogach. Uchylił się. Krzesło nieszkodliwie przemknęło mu obok głowy. Bryce obiegał stół, kiedy roztrzaskało się o podłogę, za jego fotelem.

Kale otworzył drzwi i rzucił się na korytarz.

Bryce cztery kroki za nim.

Tal Whitman wystartował z parapetu jak zdmuchnięty ładunkiem wybuchowym. Biegł jeden krok za Bryce’em; krzyczał.

Bryce dopadł korytarza, zobaczył, że Kale zmierza do żółtych drzwi wyjścia ewakuacyjnego, dwadzieścia stóp dalej. Skurwysyn. Rzucił się za nim.

Kale walnął w metalowy uchwyt, z rozmachem otworzył stalowe drzwi.

Bryce znalazł się w nich o ułamek sekundy później, kiedy Kale stawiał stopę na tłuczniowej nawierzchni parkingu.

Czując Bryce’a za sobą, Kale odwrócił się płynnie jak kot i wypuścił uderzenie potężną pięścią.

Bryce zrobił unik, uderzył. Trafił w twardy, płaski brzuch Kale’a. Dołożył jeszcze raz, w szyję.

Kale zatoczył się w tył, złapał za gardło, krztusił się i kaszłał.

Bryce skrócił dystans.

Ale Kale nie był tak oszołomiony, jak udawał. Skoczył do przodu i złapał Bryce’a w niedźwiedzi uścisk.

– Ty draniu – sapnął bryzgając śliną.

Szare oczy miał wybałuszone. Wargi zjechały z zębów w zajadłym, wilczym grymasie.

Bryce miał ręce przyszpilone do boków i chociaż był silnym mężczyzną, nie mógł rozerwać żelaznego uchwytu. Zatoczyli się kilka stóp w tył, potknęli i upadli. Kale na górze. Głowa Bryce’a stuknęła mocno o ziemię; przez moment myślał, że zemdleje.

Kale uderzył go jeszcze raz, nieskutecznie. Stoczył się z szeryfa, szybko odczołgał.

Walcząc z rosnącą w oczach ciemnością, zaskoczony, że Kale nie wykorzystał przewagi, Bryce

uniósł się na czworaki. Potrząsnął głową i wtedy zobaczył, o co tamtemu chodziło.

Rewolwer.

Leżał na ziemi o kilka jardów. Błyszczał ciemno w poblasku żółtawych sodowych lamp.

Bryce chwycił za kaburę. Pusta. To jego rewolwer leży na ziemi. Pewnie wysunął się z kabury w czasie walki.

Ręka mordercy zacisnęła się na broni.

Tal Whitman doskoczył. Świsnęła policyjna pałka, uderzyła w kark Kale'a. Wielki mężczyzna padł na broń nieprzytomny.

Tal przykleknął, odwrócił Kale'a na plecy, sprawdził, czy żyje.

Trzymając się za pulsującą bólem potylicę, Bryce podszedł do nich ostrożnymi krokami.

– Nic mu nie jest, Tal?

– Eee, tam. Dojdzie do siebie za kilka chwil. – Podniósł broń.

Bryce'a, wstał.

– Mam u ciebie dług – powiedział Bryce, odbierając rewolwer.

– Nie gadaj. Jak głowa?

– Marzę o własnej fabryce aspiryny.

– Nie spodziewałem się, że będzie uciekać.

– Ja też nie. Zwykle kiedy takiemu facetowi ziemia zaczyna się usuwać spod nóg, to robi się spokojniejszy, bardziej opanowany, ostrożniejszy.

– No wiesz, poczuł za sobą ścianę.

Bob Robine stał w otwartych drzwiach, wpatrywał się w nich i potrząsał głową skonsternowany.

Kilka chwil potem, kiedy Bryce Hammond siedząc za biurkiem wypisywał formularze, w których oskarżał Fletchera Kale'a o dwa morderstwa, Bob Robine zastukał w otwarte drzwi.

Bryce podniósł wzrok.

– A więc, mecenasie, jak pański klient?

– Ma się dobrze. Ale już nie jest moim klientem.

– Ach tak? To twoja decyzja czy jego?

– Moja. Nie mogę zajmować się klientem, który kłamie mi we wszystkich sprawach. Nie lubię, jak się robi ze mnie durnia.

– Chce zadzwonić dziś po innego obrońcę?

– Nie. Kiedy zostanie postawiony w stan oskarżenia, chce poprosić sędziego o obrońcę z urzędu.

– Od tego jutro zacznę.

– Nie tracisz czasu, co?

– Nie z kimś takim – odpowiedział Bryce.

Robine pokiwał głową.

– Dobrze. To bardzo robaczywe jabłko, Bryce. Wiesz, jestem niepraktykującym katolikiem od piętnastu lat. – Robine mówił cicho. – Dawno uznałem, że nie ma czegoś takiego jak aniołowie, demony, cuda. Byłem zbyt wykształcony, żeby uwierzyć, że Zło – przez duże „Z” – stąpa po ziemi podkutymi kopytami. Ale teraz, w celi, Kale nagle rzucił się do mnie: „Nie dostaną mnie. Nie zniszczą. Nikomu się to nie uda. Wyjdę z tego”. Kiedy ostrzegałem go przed nadmiernym optymizmem, powiedział: „Nie boję się takich jak ty. Poza tym nie popełniłem morderstwa. Pozbyłem się tylko trochę śmiecia, które zasmradzało mi życie”.

– Jezu – powiedział Bryce.

Milczeli obaj.

– Co z tym *High Country Investments*? – zapytał w końcu z westchnieniem Robine. – Jak się to ma do motywu zbrodni?

Zanim Bryce miał szansę odpowiedzieć, wszedł z pośpiechem Tal Whitman.

– Bryce, mogę z tobą zamienić parę słów? – Zerknął na Robine'a. – Mhm, lepiej w cztery oczy.

– Jasne – powiedział Robine.

Tal zamknął drzwi za prawnikiem.

– Bryce, znasz Jennifer Paige?

– Nigdy jej nie spotkałem. Ale słyszałem, że nieźła z niej lekarka. A ludzie w tym małym górskim miasteczku są zadowoleni, że nie muszą się już wlec do lekarza w Santa Mira.

– Ja też nigdy jej nie widziałem. Zastanawiałem się tylko, czy nie obito ci się coś, że... że pije. Chodzi mi o ostre grzanie.

– Nie, w życiu czegoś takiego nie słyszałem. Dlaczego? Co jest?

– Dzwoniła kilka minut temu. Mówi, że w Snowfield była katastrofa.

– Katastrofa? O co jej chodzi?

– No, ona mówi, że nie wie.

Bryce zmarszczył brwi.

– Robiła wrażenie rozhisteryzowanej?

– Przestraszonej. Tak. Ale nie rozhisteryzowanej. Nie chciała mówić nic więcej. Chciała gadać z tobą. Jest teraz na trójce.

Bryce sięgnął po telefon.

– Jeszcze jedna sprawa. – Tal zmarszczył z niepokojem czoło.

Bryce czekał z ręką na słuchawce.

– Powiedziała mi coś, ale to nie ma sensu. Powiedziała...

– No?

– Powiedziała, że tam wszyscy zginęli. Całe Snowfield. Powiedziała, że tylko ona i jej siostra żyją.

SIOSTRY I GLINIARZE

Jenny i Lisa opuściły dom Oxleyów tą samą drogą, którą weszły: przez okno.

Noc stawała się coraz zimniejsza. Znowu podniósł się wiatr.

Wróciły do domu Jenny po kurtki, w obawie przed chłodem.

Potem zeszły w dół Skyline Road, na podkomisariat. Przy krawężniku, z nogami w kocich łbach, stała drewniana ławka. Przysiadły. Czekwały na pomoc z Santa Mira.

– Ile czasu zajmie im przyjazd? – spytała Lisa.

– Cóż, Santa Mira jest ze trzydzieści mil stąd, jechać trzeba bardzo krętymi drogami. I muszą przedsięwziąć wyjątkowe środki ostrożności. – Jenny zerknęła za zegarek. – Sądzę, że zjawią się za czterdzieści pięć minut. Najdalej za godzinę.

– Jeeezu...

– To nie tak długo, skarbie.

Dziewczyna postawiła kołnierz dżinsowej, podbitej barankiem kurtki.

– Jenny, kiedy u Oxleyów zadzwonił telefon i wzięłaś słuchawkę...

– Tak?

– Kto dzwonił?

– Nikt.

– Co usłyszałaś?

– Nic – skłamała Jenny.

– Wyglądałaś, jakby ktoś ci groził albo co.

– No, oczywiście, że byłam zdenerwowana. Gdy usłyszałam dzwonek, myślałam, że telefony już działają, ale kiedy podniosłam słuchawkę i znów usłyszałam ciszę, poczułam się... załamana. To wszystko.

– I wtedy dostałaś sygnał?

– Tak.

Prawdopodobnie mi nie wierzy, pomyślała Jenny. Myśli, że chcę jej czegoś zaoszczędzić. I oczywiście ma rację. Jak mam jej wytłumaczyć, że poczułam po drugiej stronie jakiegoś zło? Sama nie wiem, co mam o tym myśleć. Kto albo co było na linii? Dlaczego on – albo ono – w końcu dał mi sygnał?

Kawał papieru frunął ulicą. Poza tym ani śladu ruchu.

Cienka, poszarpana chmura przesłoniła róg księżyca.

– Jenny – odezwała się po chwili Lisa – gdyby dziś coś miało mi się stać...

– Nic ci się nie stanie, skarbie.

– Ale gdyby mi się coś stało – powtórzyła uparcie Lisa – chcę żebyś wiedziała, że... no... naprawdę jestem... z ciebie dumna.

Jenny objęła siostrę ramieniem i przysunęły się do siebie jeszcze bliżej.

– Siostrzyczko, żałuję, że przez te lata nie miałyśmy nigdy dla siebie czasu.

– Przyjeżdżałaś do domu, kiedy tylko mogłaś. Wiem, że nie było to łatwe. Przeczytałam dobrych kilkanaście książek, z których dowiedziałam się, ile to człowiek musi się namęczyć, żeby zostać lekarzem. Zawsze wiedziałam, że masz kupę zajęć i wciąż coś na głowie.

– Mimo wszystko mogłam częściej wpadać, wiesz – usprawiedliwiała się Jenny zaskoczona.

Często, nawet gdy miała okazję przyjechać, trzymała się z dala od domu. Nie była w stanie sprostać

smutnemu spojrzeniu matki, które zdawało się oskarżać ją niemo: *Zabiłaś swojego ojca, Jenny. Złamałaś mu serce i to go zabiło.*

– I mama też zawsze była z ciebie taka dumna – powiedziała Lisa. To oświadczenie nie tylko zaskoczyło Jenny. Wstrząsnęło nią.

– Mama rozповідаła na prawo i lewo, że jej córka jest lekarką – wspominała uśmiechnięta Lisa. – Zdawało się, że jak powie jeszcze słowo o twoich stypendiach albo dobrych ocenach, to przyjaciele wyrzucają ją z kółka brydżowego.

Jenny zamrugwała.

– Nie żartujesz?

– Jasne, że nie.

– Ale czy mama...

– Co „czy mama”? – zapytała Lisa.

– No... czy nigdy nie powiedziała coś... o tacie? Zmarł dwanaście lat temu.

– Jeeezu, wiem przecież. Zmarł, jak miałam dwa i pół roku. – Lisa zmarszczyła brwi. – Ale o co ci chodzi?

– Mówisz, że mama nigdy nie miała do mnie pretensji?

– O co?

Nim Jenny zdążyła odpowiedzieć, cmentarny spokój Snowfield znikł jak zdmuchnięty. Zgasły wszystkie światła.

Błyskając czerwonymi światłami „kogutów” trzy wozy patrolowe wysłane z Santa Mira zmierzały wśród okrytych nocą wzgórz ku wysokim, skąpanym światłem księżyca stokom Sierras, w kierunku Snowfield.

Konwój szybko połykał drogę.

Tal Whitman siedział za kierownicą pierwszego wozu, obok miał szeryfa Hammonda, a z tyłu dwóch zastępców: Gordy’ego Brogana i Jake’a Johnsona.

Gordy bał się.

Wiedział, że jego lęk jest, chwała Bogu, niewidoczny. Wyglądał na kogoś, kto nie umie się bać. Wysoki, grubokościsty, potężnie umięśniony. Dłonie silne i szerokie jak u profesjonalnego koszykarza; robił wrażenie, że potrafi gołymi rękoma ogłuszyć każdego, kto stanie mu na drodze. Wiedział, że ma wcale przystojną twarz, kobiety mu to mówiły. Ale była to również nieco ordynarna, ponura twarz. Wąskie usta nadawały jej pozór okrucieństwa. Jake Johnson ujął to najlepiej: „Gordy, kiedy ty się śmiejesz, wyglądasz, jakbyś na śniadanie wsuwał żywe kurczaki”.

Ale mimo tego srogiego wyglądu Gordy Brogan bał się. Nie choroby, nie zatrucia. Szeryf powiedział, że wszystko wskazuje na to, jakoby ludzie w Snowfield zostali zabici nie przez zarazki czy substancje toksyczne, ale przez innych ludzi. Gordy obawiał się, że po raz pierwszy, od kiedy został zastępcą szeryfa osiemnaście miesięcy temu, będzie musiał użyć broni. Obawiał się, że zostanie zmuszony zastrzelić kogoś – aby ratować życie swoje, innego policjanta albo jakiejś ofiary. Czuł się do tego niezdolny.

Pięć miesięcy temu odkrył w sobie tę niebezpieczną słabość. Został wezwany telefonicznie na ratunek do Sklepu Sportowego Donnera. Rozwścieczony eks-sprzedawca, krzepki mężczyzna nazwiskiem Sipes, wrócił dwa tygodnie po zwolnieniu go z pracy, pobił kierownika i złamał rękę ekspedientowi zatrudnionemu na jego miejsce. Nim Gordy się zjawił, Leo Sipes – wielki, durny i zalany – toporkiem do drewna rozwalął i niszczył wszelkie artykuły. Gordy nie zdołał skłonić go do poddania

się. Kiedy Sipes ruszył na niego wywijając toporkiem, Gordy wyciągnął rewolwer. I wtedy okazało się, że jest bezsilny. Palec na spuście był sztywny i nieruchomy jak z lodu. Musiał zrezygnować z broni i zaryzykować fizyczną konfrontację z Sipesem. Jakoś odebrał mu toporek.

Teraz, w pięć miesięcy później, siedząc z tyłu patrolowego wozu i słuchając gadaniny Jake'a Johnsona z szeryfem Hammondem, Gordy czuł, jak żołądek zwija mu się i piecze na myśl o tym, co kula kaliber 45 może zrobić z człowiekiem. Zdmuchnąć głowę. Dosłownie. Z barku zostawi strzępy ciała i odłamki kości. Otworzy na oścież klatkę piersiową, rozszarpie serce i wszystko co po drodze. Jak wejdzie w rzepkę, oderwie nogę. Z twarzy zrobi krwawą kaszę. A Gordy Brogan, niech Bóg ma go w swej opiece, nie potrafił nikomu zrobić czegoś takiego.

Taką to straszną słabością grzeszył. Są ludzie, którzy powiedzieliby, że niemożność zastrzelenia człowieka to nie słabość, lecz oznaka moralnej wyższości. Wiedział o tym. Ale wiedział też, że to nie zawsze prawda. Zastrzelenie bywa czynem moralnym. Stróż prawa jest zobowiązany przysięgą do strzeżenia obywateli. Niestrzelenie, kiedy jest się gliną (i kiedy jest to wyraźnie usprawiedliwione), to nie tylko słabość, ale szaleństwo, może nawet grzech.

Podczas pięciu miesięcy po denerwującym epizodzie w Sklepie Sportowym Donnera Gordy miał fart. Trafiło mu się tylko kilka wezwań do przypadków z gwałtownymi podejrzanymi. I szczęśliwie zdołał poskromić przeciwników za pomocą pięści, pałki albo grózb – lub strzelając ostrzegawczo w powietrze. Raz, kiedy wydawało się, że użycie broni jest nieuniknione, inny funkcjonariusz, Frank Autry, strzelił pierwszy i ranił bandytę, zanim Gordy stanął wobec nieprawdopodobnej konieczności pociągnięcia za spust.

Ale teraz coś niesłychanie gwałtownego zdarzyło się w Snowfield. I Gordy wiedział aż za dobrze, że na przemoc często trzeba odpowiedzieć przemocą.

Zastanawiał się, jak bliski jest czas, kiedy jego słabość zostanie odkryta. Zastanawiał się, czy umrze dziś – lub czy spowoduje, że z winy jego słabości ktoś inny poniesie niepotrzebnie śmierć.

Gożąco się modlił, żeby udało mu się poskromić to uczucie. Przecież człowiek może być z natury łagodny, a mimo to mieć odwagę konieczną do uratowania siebie, przyjaciół, bliskich.

Czerwone koguty błyskały na dachach trzech biało-zielonych wozów patrolowych, jadących krętą szosą ku otulonym w noc górcom, coraz wyżej, tam gdzie księżycowe światło na wierzchołkach łudziło, że spadł już pierwszy w tym sezonie śnieg.

Gordy Brogan bał się.

Uliczne lampy i wszystkie inne światła zgasły. Ciemność spadła na miasto.

Jenny i Lisa zerwały się z ławki.

– Co się stało?

– Ciii! – syknęła Jenny. – Słuchaj!

Ale nadal panowała cisza.

Wiatr ucichł, jakby zaskoczony nagłym wyciemnieniem. Drzewa czekały, gałęzie zwisały nieruchomo jak stare ubrania w szafie.

Dzięki Bogu za księżyc, pomyślała Jenny.

Z bijącym sercem obróciła się i spojrzała na budynki z tyłu. Areszt miejski. Mała kafejka. Sklepy. Domy mieszkalne.

Wszystkie drzwi były tak oblepione ciemnością, że trudno było orzec, czy są otwarte, czy zamknięte – albo czy może nie otwierają się właśnie bardzo, bardzo powoli, wypuszczając zmarłych na nocne ulice,

ohydnych, spuchniętych, ożywionych demoniczną sztuczką.

Przestań! – przykazała sobie Jenny. Umarli nie wracają do życia.

Jej wzrok spoczął na furtce przed służbowym przejściem między podkomisariatem a sklepem z pamiątkami. Było dokładnie takie samo jak ciasny, ponury pasaż obok Cukierni Libermannów.

Czy również i w tym tunelu coś się ukrywa? I przy zgaszonym świetle pełnie niepowstrzymanie do furtki, gotowe wyjść na mroczny chodnik?

Znów prymitywny lęk.

Poczucie zła.

Zabobonna groza.

– Chodź – powiedziała do Lisy.

– Gdzie?

– Na ulicę. Tam nic nas nie dopadnie...

– ...zanim tego nie zobaczymy – dokończyła siostra.

Weszły na środek oświetlonej księżycem jezdni.

– Ile jeszcze do przyjazdu szeryfa?

– Jeszcze przynajmniej z piętnaście, dwadzieścia minut.

Wszystkie światła miasteczka zapaliły się równocześnie. Brylantowy strumień elektrycznej jasności zakłuł nagle w oczy – i powróciła ciemność.

Jenny uniosła broń, nie wiedząc, gdzie ją skierować.

Strach palił w gardle, w ustach zabrakło śliny.

Uderzenie dźwięku – jak pogańskie wycie – przewaliło się przez Snowfield.

Krzyknęły obie, wstrząśnięte. Obróciły się, zderzyły, wyteżyły oczy w podmalowaną księżycem noc.

Cisza.

Następny ryk.

Cisza.

– Co to? – zapytała Lisa.

– Remiza!

I znów: krótki, przeszywający dźwięk syreny ze wschodniej strony St. Moritz Way, z remizy Ochotniczej Straży Pożarnej Snowfield.

DING!

Jenny znów podskoczyła, obróciła się.

DONG! DONG!

– Dzwon kościelny – szepnęła Lisa.

– Kościół katolicki po zachodniej stronie Vail.

Dzwon uderzył raz jeszcze – głośny, głęboki, żałobny dźwięk, wibrujący w pustych szybach całej ciemnej Skyline Road i w innych, niewidocznych oknach wymarłego miasta.

– Żeby dzwon dzwonił, ktoś musi ciągnąć za sznur – powiedziała Lisa. – I trzeba nacisnąć guzik syreny, żeby wyła. Więc ktoś musi tu być poza nami.

Jenny się nie odezwała.

Syrena zabrzmiała znowu, zawyła i zgasła, zawyła i zgasła. Dzwon kościelny bił. I dzwon, i syrena odezwały się równocześnie, jeszcze i jeszcze, jakby zwiastując początek czegoś o niezmiernej wadze.

W górach, o milę od skrętu na Snowfield, nocny pejzaż był oddany wyłącznie w czerni i księżycowej

srebrzystości. Przygarbione drzewa, zielone za dnia, rysowały się teraz ponurymi ciemnymi kształtami; na ich obrzeżach białły niewyraźne frędzle igieł i liści.

Na pobocza szosy łały się krwiste światła z obracających się na dachach fordów kogutów. Przednie drzwi wszystkich wozów nosiły insygnia Wydziału Szeryfa Okręgu Santa Mira.

Frank Autry prowadził drugi wóz. Na siedzeniu obok rozwalił się funkcjonariusz Stu Wargle.

Frank Autry był szczupły, żylasty, z krótko ostrzyżoną czupryną koloru „sól z pieprzem”. Miał ostre, oszczędne rysy twarzy, jakby w dniu tworzenia jego genetycznego zapisu Bóg był usposobiony bardzo praktycznie. Migdałowe oczy pod delikatnie zarysowanymi brwiami; wąski, patrycjuszowski nos; usta ani zbyt wąskie, ani zbyt wydatne; małe, prawie pozbawione małżowin uszy, płasko przylegające do głowy. Wąs przystrzyżony wzorowo.

Mundur ściśle wedle wymagań regulaminu: czarne buty wyglansowane na lustrzany połysk, brązowe spodnie z kantem ostrym jak brzytwa, pas i kabura świecące i natarte lanoliną, brązowa koszula wykrochmalona i świeża.

– To, kurwa, niesprawiedliwość – stęknął Stu Wargle.

– Szarże nie muszą być zawsze sprawiedliwe, wystarczy, żeby były w porządku – odrzekł Frank.

– Jakie szarże? – kłótliwie zapytał Wargle.

– Szeryf Hammond. Nie o niego ci chodziło?

– Jaka on dla mnie szarża.

– Cóż, taką ma funkcję.

– Chciałby naskoczyć mi na odcisk – powiedział Wargle. – Skurwiel.

Frank Autry nie odezwał się.

Przed podjęciem służby w policji okręgowej Frank Autry był zawodowym żołnierzem. Opuścił szeregi Armii Stanów Zjednoczonych w wieku czterdziestu czterech lat, po dwudziestu pięciu latach nienagannej służby. Wrócił do Santa Mira, miasta, w którym się urodził i wychował. Zamierzał otworzyć jakiś skromny interes, dorabiać do emerytury, znaleźć jakieś zajęcie, ale nie trafiło mu się nic ciekawego. Stopniowo uświadomił sobie, że – w jego przypadku – zawieszenie munduru na kołku, praca nie regulowana nakazami służby dobru publicznemu, bez elementu fizycznego ryzyka jest nic niewarta. Trzy lata temu, w wieku czterdziestu sześciu lat podpisał kontrakt z wydziałem szeryfa i mimo degradacji ze stopnia majora, bo tego dosłużył się w armii, był zawsze zadowolony.

To jest, był zadowolony poza tymi okazjami, kiedy to (zwykle raz w miesiącu) za partnera dostawał Stu Wargle'a. Wytrzymywanie z tym gościem miało dla Franka wyłącznie jeden walor: służyło za dowód samodyscypliny.

Wargle był niechluj. Jego łeb często wołał o umycie. Zawsze golił się niedbale. Mundur miał pomięty, a buty nigdy nie wypastowane. Był za gruby w pasie, w biodrach i w dupie.

Wargle był nudziarz. Absolutny brak poczucia humoru. Nie czytał nic, niczym się nie interesował – ale miał niezłomne przekonania na każdy, i błahy, i istotny temat.

Wargle był faja. Miał czterdzieści pięć lat i stale dłuwał w nosie. Czkał i pierdział ogłuszająco.

Nadal rozwalony, oparty o drzwi, Wargle głądził:

– Kończę służbę o dziesiątej. Cholernej dziesiątej! To niesprawiedliwe, że Hammond każe mi się targać do tego dziadostwa w Snowfield. A tu jeszcze mam nagrany taki gorący numer.

Frank nie chwycił przynęty. Nie zapytał Wargle'a, z kim się umówił. Prowadził dalej, oczu nie odrywał od drogi i żywił nadzieję, że Wargle zachowa dla siebie wiadomość, co to za „gorący numer”.

– To kelnerka z Jadłodajni Spanky'ego – powiedział Wargle. – Widziałeś może? Blondyna. Beatryce.

Wołają na nią Bea.

– Rzadko wpadam do Spanky’ego.

– Aha. No, buziuchnę ma niczego, wiesz. Kołatki jak marzenie. Ciut nadwagi, ale ma nie za dobre mniemanie o sobie. Brak pewności siebie, kapujesz? Więc jak nią odpowiednio pokręcisz, jak popracujesz, żeby zwątpiła w siebie, kapujesz, a potem powiesz, że masz na nią chęć, i to chociaż się trochę zapuściła – no to, cholera, da ci jak dusza zapragnie. Jak dusza zapragnie.

Niechluj zaśmiał się, jakby powiedział coś niewymownie dowcipnego.

Frank zapragnął dołożyć mu w mordę. Nie dołożył.

Wargle nienawidził kobiet. Mówił o nich, jakby były przedstawicielami innego, gorszego gatunku. Pogląd, że mężczyzna szczęśliwie może dzielić życie i najbardziej intymne myśli z kobietą, że kobieta może być kochana, otaczana opieką, podziwiana, szanowana, ceniona za mądrość, przenikliwość i humor – oto pogląd z gruntu obcy Stu Wargle’owi.

Frank Autry przeciwnie, był żonaty ze swoją drogą Ruth dwadzieścia sześć lat. Uwielbiał ją. Chociaż wiedział, że to egoistyczne, modlił się czasem, żeby śmierć zabrała go pierwszego. Żeby nie musiał stawiać czoła życiu bez Ruth.

– Ten pieprzony Hammond zawsze chce mi przyszpilić dupę do ściany. Lubi mi dawać do wiwatu.

– Kiedy?

– Zawsze. Nie podoba mu się, jak noszę mundur. Nie podoba mu się, jak piszę raporty. Powiedział, że powinienem zmienić swoją postawę. Chryste, postawę! Chce mnie wykopać, ale mu się nie uda. Wytrzymam jeszcze pięć lat, kapujesz, żeby dostać emeryturę po trzydziestu latach. Ten drań nie wydrze mi mojej emerytury.

Prawie dwa lata temu wyborcy miasta Santa Mira wyrazili w plebiscycie zgodę na rozwiązanie policji miejskiej, oddając ochronę prawa i porządku w ręce szeryfa okręgu. Był to wyraz zaufania dla Bryce’a Hammonda, który stworzył wydział. Ale wyborcy zastrzeżli, aby żaden funkcjonariusz miejski nie stracił pracy lub emerytury z powodu zmiany zakresu uprawnień władz. I tak Bryce’owi Hammondowi spadł na głowę Steward Wargle.

Dojechali do skrzyżowania na Snowfield.

Frank spojrzął w lusterko i zobaczył, że trzeci wóz odłącza się od konwoju. Jak zaplanowano, zajeżdżał odgałęzienie, blokując drogę.

Samochód szeryfa Hammonda jechał nadal w kierunku Snowfield, Frank za nim.

– Po jakiego diabła wieziemy wodę? – spytał Wargle.

Trzy pięciogalonowe butle stały na podłodze, za siedzeniami.

– Woda w Snowfield może być skażona.

– A całe to żarcie wepchane do bagażnika?

– Nie możemy też korzystać z tamtejszego jedzenia.

– Nie wierzę, żeby oni wszyscy umarli.

– Szeryf nie mógł się połączyć z Paulem Hendersonem na podkomisariacie.

– No i co? Henderson umie tylko walić konia.

– Lekarka stamtąd mówiła, że Henderson nie żyje, podobnie jak...

– Chryste, tej doktorce odbiło albo się wlała. Kto, do diabła, chodzi zresztą do lekarza-baby? Dupą załatwiła sobie studia.

– Co?

– Żadnej baby nie stać, żeby dojść do tego pracą!

– Wargle, nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać.

– Co ci? – zapytał Wargle.

– Nic. Nieważne.

Wargle czknał.

– Zresztą, nie wierzę, żeby oni wszyscy umarli.

Jeszcze jeden problem ze Stu Wargle'em; brak mu było wyobraźni.

– Co za dziadostwo. A taki gorący numerek sobie nagrałem.

Frank Autry, przeciwnie, miał bardzo bujną wyobraźnię. Może za bujną. Kiedy samochód coraz bardziej zanurzał się w góry, kiedy minął znak SNOWFIELD – 3 MILE, wyobraźnia Franka pracowała jak dobrze naoliwiona maszyna. Miał niepokojące wrażenie (przecucie? przeświadczenie?) – że jada wprost do piekła.

Strażacka syrena wyła.

Kościelny dzwon bił coraz szybciej i szybciej.

Ogłuszająca kakofonia grzmiała po całym mieście.

– Jenny! – krzyknęła Lisa.

– Miej oczy otwarte! Patrz, czy gdzieś się coś nie rusza!

Ulica była zlepkiem nieskończonej ilości cieni; zbyt wiele mrocznych miejsc należało obserwować.

Syrena wyła, dzwon bił; a oto i w domach, w sklepach, na ulicach światła na powrót zaczęły błyskać – jasno, ciemno, jasno i ciemno – w takim rytmie, że dawały stroboskopowy efekt. Skyline Road migotała; budynki wydawały się skakać do ulicy, a potem odskakiwały; cienie podrygiwały tanecznie.

Jenny zrobiła pełny obrót z rewolwerem w wyprężonych rękach.

Jeżeli coś zbliżało się pod osłoną stroboskopowego pokazu, nie była w stanie tego dojrzeć.

Pomyślała: A jeśli szeryf zjawi się i znajdzie dwie odcięte głowy na środku ulicy? Moją i Lisy?

Kościelny dzwon bił głośno jak nigdy, nieprzerwanie, szaleńczo.

Wycie syreny urosło do wibrującego w zębach, przeszywającego kości skrzeku. Cud, że szyby nie pękały.

Lisa zacisnęła dłonie na uszach.

Broń skakała Jenny w ręce.

Pandemonium urwało się tak nagle, jak się zaczęło. Wycie syreny opadło. Dzwon zamilknął. Światło znieruchomiało.

Jenny rozejrzała się po ulicy. Oczekiwała, że teraz nastąpi coś gorszego.

Ale nic nie nastąpiło.

Miasto znów było spokojne – jak cmentarz.

Wiatr wyskoczył nie wiadomo skąd, przygiął drzewa, jakby reagując na nieziemską muzykę, nie docierającą do ludzkiego ucha.

Lisa otrząsnęła się z oszołomienia.

– To wyglądało prawie, jakby... jakby próbowało nas przestraszyć... drażniło się z nami.

– Drażniło się – powtórzyła Jenny. – Tak, dokładnie tak to wyglądało.

– Bawiło się nami.

– Jak kot z myszką – cicho powiedziała Jenny.

Stały na środku ulicy, obawiając się wrócić na ławkę, a nuż ruch obudzi znów syreny i dzwony.

Nagle usłyszały niski pomruk. Przez chwilę Jenny czuła skurcz żołądka. Podniosła jeszcze raz broń,

choć nie widziała nic, do czego mogłaby strzelać. Potem rozpoznała dźwięk: silniki samochodów pokonujących górską stromiznę.

Obróciła się, spojrzała w dół ulicy. Pomruk stał się głośniejszy. Na zakręcie, w dole miasteczka pojawił się samochód.

Błysk czerwonego światła na dachu. Wóz policyjny. Dwa wozy.

– Dzięki Bogu – westchnęła Lisa.

Jenny szybko pociągnęła siostrę na brukowany chodnik przed posterunek.

Dwa biało-zielone wozy patrolowe wolno sunęły opustoszałą ulicą. Zjechały do krawężnika przed drewnianą ławką. Dwa silniki zgasły równocześnie. Śmiertelna cisza Snowfield jeszcze raz zawładnęła nocą.

Przystojny czarnoskóry mężczyzna w mundurze zastępcy szeryfa wysiadł z pierwszego samochodu. Drzwi zostawił otwarte. Spojrzał na Jenny i Lisę, ale nie od razu się odezwał. Jego uwagę zaprzętnęła nadnaturalna cisza bezludnej ulicy.

Drugi mężczyzna wysunął się z przedniego siedzenia tego samego pojazdu. Rozwiczrzone blond czupryna. Powieki tak grube, jakby padał na nos z wyczerpania. Ubrany po cywilnemu – szare spodnie, jasnoniebieska koszula, granatowa marynarka, ale w klapie odznaka.

Jeszcze czterech mężczyzn wysiadło z wozów patrolowych. Cała szóstka nowo przybyłych stała tak bez słowa, przez długą chwilę błędząc wzrokiem po cichych sklepach i domach mieszkalnych.

W tej dziwnej, jakby zatrzymanej w czasie chwili Jenny dopadło lodowate przeświadczenie. Nie chciała mu uwierzyć. Ale była pewna, czuła, wiedziała, że nie wszyscy z nich opuszczą to miejsce żywi.

PRZESZUKIWANIE

Bryce ukląkł na jednym kolanie obok trupa Paula Hendersona.

Pozostała siódemka – jego ludzie, Jenny Paige i Lisa – tłoczyli się za drewnianą barierką. Milczeli w obliczu Śmierci.

Paul Henderson był dobrym, przyzwoitym człowiekiem. Jego śmierć była okropną stratą.

– Doktor Paige? – odezwał się Bryce.

– Tak? – Przykucnęła po drugiej stronie trupa.

– Nie ruszała pani ciała?

– Nawet nie dotknęłam, szeryfie.

– Nie było krwi?

– Jak pan widzi, nie.

– Rana może być na plecach.

– Jeśli nawet, to trochę krwi powinno być na podłodze.

– Może. – Wpatrywał się w jej przepiękne oczy – w zieleń nakrapianą złotem. – W normalnych warunkach nie ruszałbym ciała przed zjawieniem się koronera. Ale ta sytuacja jest wyjątkowa. Muszę odwrócić tego człowieka.

– Nie wiem, czy bezpiecznie jest go dotykać.

– Ktoś musi to zrobić – powiedział Bryce.

Doktor Paige wstała. Wszyscy cofnęli się kilka kroków.

Bryce przyłożył dłoń do czarno purpurowej, zniekształconej twarzy.

– Ciało jest wciąż letnie – stwierdził zaskoczony.

– Nie sądzę, żeby minęło dużo czasu od ich śmierci.

– Ale ciało nie zmienia barwy ani nie puchnie w ciągu zaledwie kilku godzin – wtrącił Tal Whitman.

– Te ciała tak – rzekła lekarka.

Bryce przewrócił trupa, odsłonił plecy. Żadnej rany.

Licząc, że znajdzie może jakieś uszkodzenie czaszki, Bryce zanurzył palce w gęste włosy zmarłego, obmacywał kości. Jeśli zastępca został mocno uderzony w potylicę... Ale o tym też nie mogło być mowy. Czaszka była nietknięta.

Bryce podniósł się.

– Pani doktor, te dwie dekapitacje, o których pani wspomniała... Lepiej rzućmy na to okiem.

– Czy któryś z pańskich ludzi mógłby zostać z moją siostrą?

– Rozumiem, o co pani chodzi – powiedział Bryce. – Ale nie uważam za rozsądne rozdzielać moich ludzi. Może bezpieczeństwo nie leży w ilości, a może jednak tak.

– Nie ma sprawy. – Lisa uspokoiła Jenny. – I tak nie chcę zostać.

Odważny dzieciak. Ona i starsza siostra intrygowały Bryce'a Hammonda. Były blade, w oczach przemykały im cienie pobudzone przez szok i grozę, ale z tym przedziwnym, toczącym się na jawie koszmarem radziły sobie o niebo lepiej, niż radziłaby sobie większość ludzi, których znał.

Siostry Paige wyprowadziły całą grupę z podkomisariatu. Ruszyli w dół ulicy, do cukierni.

Bryce nie mógł uwierzyć, że jeszcze niedawno Snowfield było normalnym, tętniącym życiem miasteczkiem. Stało puste, wypalone, martwe jak starożytne, zagubione miasta na dalekiej pustyni, na zapadłym krańcu świata, które nawet wiatr często zapomina odwiedzać. Cisza spowijająca miasto była

ciszą niezliczonych lat, dekad, wieków, ciszą niewyobrażalnie wielkiej liczby epok.

Tuż po przyjeździe Bryce wołał przez ręczny megafon do milczących domów. Teraz głupotą wydawało się oczekiwanie jakiegokolwiek odzewu.

Wkroczyli do Cukierni Libermannów frontowymi drzwiami, przeszli na tyły, do kuchni.

Na stolnicy odcięte dłonie ścisnęły uchwyt wałka.

Odcięte głowy wyglądały przez drzwiczki piekarników.

– Och, mój Boże – cicho jęknął Tal.

Bryce zadrżał.

Jake Johnson oparł się o wysoką białą szafkę. Wyraźnie nie mógł ustać o własnych siłach.

– Chryste, zaszlachtowani jak para cholernych krów – powiedział Wargle i nagle odezwali się wszyscy naraz.

– ...dlaczego, do diabła, ktoś miałby...

– ...chore, pokrecone...

– ...a gdzie ciała?

– Tak – głos Bryce'a zapanował nad gwarem – gdzie ciała? Poszukajmy ich.

Przez kilka sekund wszyscy zamarli, sparaliżowani na myśl o tym, co mogą znaleźć.

– Doktor Paige, Liso... nie musicie nam pomagać – powiedział Bryce. – Zaczekajcie.

Lekarka skinęła głową. Dziewczynka uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Z drżeniem przeszukiwali wszystkie szafy, otwierali szuflady i drzwiczki. Gordy Brogan zajrzał do wielkiego piekarnika, a Frank Autry wszedł do pomieszczenia-chłodni. Bryce sprawdził niewielką, nieskazitelnie czystą toaletę obok kuchni. Ale nie znaleźli ciał ani części ciał dwójki starszych ludzi.

– Po co zabójca miałby wywozić ciała? – zapytał Frank.

– Może mamy do czynienia z wyznawcami jakiegoś kultu – powiedział Jake Johnson. – Może potrzebowali ciał do jakiegoś trzepniętego rytuału.

– Jeśli miał miejsce jakiś rytuał – odrzekł Frank – to wydaje mi się, że odbył się tutaj.

Gordy Brogan rzucił się do toalety, potykając się i wymachując rękami; wielki, niezdarny chłopak, który zdawał się składać wyłącznie z długachnych nóg i rąk, łokci i kolan. Odgłosy torsji dobiegły zza zatrzaśniętych drzwi.

– Jezu, co za pieszczoszek – zaśmiał się Stu Wargle.

Bryce obrócił się i zrugął go.

– Co, na Boga, tak cię bawi, Wargle? Tu są nieżywi ludzie. Wydaje mi się, że reakcja Gordy'ego jest o wiele normalniejsza niż nasza.

Twarz Wargle'a ze świńskimi oczkami i wystającą szczęką przesłoniła wściekłość. Był na tyle tępy, że nie stać go było na zażenowanie.

Boże, nie cierpię tego człowieka, pomyślał Bryce.

Gordy wrócił z toalety. Jeszcze był trochę zamroczony.

– Przepraszam, szeryfie.

– Nie ma za co, Gordy.

Wyszli jedno za drugim z kuchni, przez sklep, na chodnik.

Bryce natychmiast podszedł do drewnianej furki między cukiernią a sklepem obok. Spojrzał ponad bramkę, w głąb pozbawionego światła pasażu. Doktor Paige stanęła obok.

– To tu wydało się pani, że coś jest w krokwiach?

– No, Lisa uważała, że coś jest przy ziemi, pod ścianą.

– Ale to właśnie to przejście?

– Tak.

Tunel był całkiem ciemny.

Bryce wziął od Tala długą latarkę, otworzył skrzypiącą furtkę, wyciągnął broń i wszedł do pasażu. Unosił się tu nieuchwytny, wilgotny zapach. Pisk zardzewiałych zawiasów i odgłos kroków Bryce'a odbiły się echem od ścian.

Potężne światło latarki docierało do połowy pasażu. Jednak Bryce kierował jego strumień blisko, przesuwając tam i z powrotem po najbliższym otoczeniu, oglądał betonowe ściany, potem sufit wiszący osiem, dziesięć stóp nad głową. Krokwie były puste – przynajmniej tu.

Z każdym krokiem rosło w nim przekonanie, że niepotrzebnie wyciągnął rewolwer – aż dotarł prawie do połowy tunelu. Nagle poczuł... coś dziwnego... swędzenie, lodowaty dreszcz biegnący po kręgosłupie. Jak przecucie przyszłości. Poczuł, że nie jest już sam.

Ufał swoim przecuciom, więc nie zlekceważył i tego. Zatrzymał się, podniósł rewolwer, dokładniej niż przed chwilą wsłuchał się w ciszę, szybko przesuwając latarką po ścianach i suficie, wyjątkowo uważnie wbijał wzrok w krokwie, spoglądał do przodu, w mrok, aż do wylotu pasażu i nawet obejrzał się, jakby coś magicznym sposobem mogło go zająć od tyłu. Nic nie oczekiwało w ciemności. A jednak dalej czuł, że obserwują go nieprzyjazne oczy.

Ruszył, i strumień światła coś liznął. W podłodze pasażu mieścił się osłonięty metalową kratką o powierzchni czterech stóp kwadratowych wąż do kanału. Wewnątrz błyszczało coś nieokreślonego; odbijało promień latarki, poruszało się.

Bryce ostrożnie podszedł bliżej i skierował światło prosto na wąż. To, co przed chwilą tam błyszczało, znikło.

Kucnął i zajrzał przez żeberka kratki. W świetle ukazały się tylko ściany studzienki. Był to odpływ burzowy, mający z osiemnaście cali średnicy, suchy. Co oznaczało, że nie woda w nim błyszczała.

Szczur? Snowfield było ośrodkiem wypoczynkowym odwiedzanym przez stosunkowo zamożną klientelę, stąd też miasto stosowało niezwykle surowe środki zapobiegawcze wobec wszelkiego rodzaju plag. Oczywiście istnienia kilku szczurów nie dało się wykluczyć. To mógł być szczur. Ale Bryce w to nie wierzył.

Przeszedł do tylnej uliczki, a potem wrócił do furtki.

– Widziałeś coś? – zapytał Tal.

– Niewiele. – Wszedł na chodnik, zamknął za sobą furtkę.

Opowiedział im, co czuł i co zaobserwował w kanale.

– Libermannowie zostali zabici przez ludzi – skwitował Frank Autry. – Nie przez coś małego, co mieści się w odpływie burzowym.

– Na to wygląda – zgodził się Bryce.

– Ale czuł pan tam coś? – z niepokojem spytała Lisa.

– Czulem. Chyba nie odebrałem tego tak mocno jak ty. Ale na pewno było... dziwne.

– Dobrze – powiedziała Lisa. – Cieszę się, że nie wziął pan nas za histeryzujące baby.

– Biorąc pod uwagę to, co przeszłyście, obie wydajecie się jak najdalsze od hysterii.

– No cóż – westchnęła Lisa – Jenny jest lekarką, a myślę, że i ja może też kiedyś zostanę lekarką, a u lekarki po prostu histeryzowanie jest wykluczone.

Była z niej śliczna dziewczyna – choć Bryce nie mógł nie zauważyć, że siostrę miała jeszcze ładniejszą. Obie miały ten sam piękny kolor włosów: głęboką czerwień mocno lśniącej wiśni, gęstą

i połyskującą. Skóra obu jaśniała tą samą złotą barwą. Ale że rysy doktor Paige były dojrzsze, mocniej przemawiały do Bryce'a. Oczy miała też o ton zieleńsze niż młodsza siostra.

– Doktor Paige – zwrócił się do niej – chciałbym zobaczyć ten dom z ciałami w zabarykadowanym małym pokoju.

– No właśnie – potwierdził Tal. – Te morderstwa w zamkniętym pokoju.

– To dom Oxleyów, tam, na Vail. – Poprowadziła ich w dół ulicy na róg Vail Lane i Skyline Road.

Słychać było tylko suche szurnięcia stóp. Bryce'owi przywiodły na myśl opustoszałe miejsca, skarabeusze nieustannie łązące po starożytnych, kruchych zwojach papirusów w pustynnych grobowcach.

Jenny Paige minęła róg Vail Lane, stanęła i powiedziała:

– Tom i Karen Oxleyowie mieszkają... hm... mieszkali dwie przecznice dalej.

Bryce rozejrzał się po ulicy.

– Zamiast iść od razu do domu Oxleyów, zajrzyjmy po drodze do wszystkich domów i sklepów – przynajmniej po tej stronie ulicy. Chyba bezpiecznie możemy podzielić się na dwa oddziały, po cztery osoby w każdym. Nie rozchodzimy się całkiem. W razie kłopotów będziemy mogli się wzajemnie wesprzeć. Doktor Paige, Liso – zostajecie z Talem i ze mną. Frank, zawiadujesz drugim zespołem.

Frank kiwnął głową.

– Wasza czwórka trzyma się razem – ostrzegł ich Bryce. – I jak mówię razem, to znaczy razem. Przez cały czas każdy jest widziany przez pozostałą trójkę. Zrozumiano?

– Tak jest, szeryfie – potwierdził Frank Autry.

– Dobra, wasza czwórka zagląda do pierwszego budynku za tą restauracją, a my zajmiemy się sąsiednim domem. Załatwiamy na przemian dom za domem i na końcu kwartału obgadamy, co zobaczyliśmy. Jeśli traficie na coś interesującego, coś poza ciałami, wezwijcie mnie. Jeśli będziecie potrzebowali pomocy, wystrzelcie parę razy w powietrze. Strzały usłyszymy nawet z wnętrza budynku. A wy słuchajcie, czy my nie będziemy strzelać.

– Mogę coś zaproponować? – spytała doktor Paige.

– Jasne – powiedział Bryce.

– Jeśli traficie na ciała ze śladami krwotoku z oczu, uszu, nosa lub ust albo na ślady torsji czy biegunki, od razu dajcie mi znać.

– Bo to może wskazywać na chorobę? – domyślił się Bryce.

– Tak – potwierdziła. – Albo zatrucie.

– Ale wykluczylismy to, nie? – zapytał Gordy Brogan.

– To nie zarazki odcięty tamtym ludziom głowy – odezwał się Jake Johnson. W tej chwili wyglądał starzej niż na swoje pięćdziesiąt pięć lat.

– Myślałam o tym. A co, jeśli to choroba albo zatrucie chemikaliami, jakich nigdy do tej pory nie spotkaliśmy – powiedzmy jakaś mutacja wścieklizny – która zabija jednych, ale tylko doprowadza do wybuchów szaleństwa innych? Co, jeśli okaleczenia zostały zrobione przez tych, którzy oszaleli?

– Czy taka rzecz jest możliwa? – zapytał Tal Whitman.

– Nie. Ale też nie jest niemożliwa. Poza tym, kto może w ogóle powiedzieć, co jest, a co nie jest możliwe? Zacznijmy od tego: czy to, co spotkało Snowfield, wydaje się możliwe?

Frank Autry szarpnął wąsa i powiedział:

– Ale jeśli włączą się tu bandy szaleńców, to... gdzie oni są?

Rozejrzeli się po cichej ulicy: po głębokich jeziorach cieni zalewających trawniki, chodniki i stojące samochody, po nie oświetlonych okienkach na strychach, po ciemnych oknach piwnic.

– Kryją się – powiedział Wargle.

– Czatują – dodał Gordy Brogan.

– Nie, to bez sensu – wkroczył Bryce. – Szaleńcy nie kryją się, nie czatują i nie planują. Zaatakowaliby nas.

– W każdym razie – cicho stwierdziła Lisa – to nie są ludzie chorzy na wściekliznę. To coś dużo dziwniejszego.

– Masz prawdopodobnie rację – przytaknęła jej siostra.

– Jakoś wcale nie jest mi od tego lepiej – dodał Tal.

– Cóż, jeśli znajdziemy jakieś oznaki torsji, biegunki albo krwotoku – rzekł Bryce – wtedy będziemy wiedzieli. A jeśli nie...

– Będę musiała postawić nową hipotezę – dokończyła doktor Paige.

Milczeli, nie paląc się do rozpoczęcia przeszukiwania. Nie wiedzieli, co mogą spotkać – lub co może spotkać ich.

Czas jakby stanął w miejscu.

Świt nigdy nie nadejdzie, jeśli się nie ruszymy, pomyślał Bryce Hammond.

– Chodźmy – powiedział.

Pierwszy budynek był wąski i głęboki. Na parterze stanowił połączenie galerii sztuki i sklepu z rzemiosłem artystycznym. Frank Autry rozbił szybę w drzwiach frontowych, sięgnął do środka i otworzył zamek. Wszedł, zapalił światła.

Przywołał swoich ludzi.

– Rozciągnijcie się. Nie kleić się do siebie. Nie wystawiać się na cel.

Mówiąc to, przypomniał sobie dwie tury odsłużone w Wietnamie, prawie dwadzieścia lat temu. Dzisiejsza operacja szarpała nerwy jak wypad rozpoznawczo-atakujący na terytorium kontrolowane przez partyzantkę wroga.

Ostrożnie zbadali wnętrze, ale nie znaleźli nikogo. Nie było też nikogo w małym biurze na tyłach galerii. Jednakże drzwi biura otwierały się na schody prowadzące na piętro.

Schody opanowali na sposób wojskowy. Frank sam, z rewolwerem w dłoni wspiał się na górę, podczas gdy pozostała trójka czekała. Odnalazł wyłącznik światła, zapalił. Zorientował się, że dotarł do salonu właściciela galerii. Upewnił się, że salon jest pusty, i gestem wezwał czekających. Kiedy pokonywali schody, on ruszył w głąb salonu, trzymając się ściany, ostrożnie.

Przeszukali całe mieszkanie, traktując każde drzwi jako potencjalne miejsce zasadzki. Gabinet i jadalnia puste. Nikt nie czaił się w szafach.

Na podłodze kuchni znaleźli martwego mężczyznę. Miał na sobie tylko niebieskie spodnie od piżamy. Jedną ręką podpierał otwarte drzwi lodówki. Żadnych widocznych ran. Na twarzy brak wyrazu przerażenia. Wyglądało na to, że zmarł zbyt nagle, by ujrzeć choć zarys napastnika – i bez najmniejszego ostrzeżenia, że śmierć jest blisko. Składniki kanapek leżały wokół niego na podłodze: pęknięty słoik musztardy, paczka salami, nadgnieciony pomidor, paczka szwajcarskiego sera.

– Na pewno nie zabiła go żadna choroba – powiedział bezbarwnie Jake Johnson. – Jak mógł być chory, skoro brał się za salami?

– I to stało się piorunem – dodał Gordy. – Ręce miał pełne zarcia z lodówki i kiedy się odwrócił... stało się. Bęc i już.

W sypialni znaleźli kolejnego trupa. Kobieta. Leżała w łóżku, naga. Nie młodsza niż dwadzieścia, nie starsza niż czterdzieści lat. Trudno było odgadnąć wiek z powodu ogólnego posiniaczenia i spuchnięcia.

Twarz wykrzywiona w dzikim przerażeniu, dokładnie tak jak twarz Paula Hendersona. Umarła krzycząc.

Jake Johnson wyjął długopis z kieszeni koszuli i wsunął go w osłonę spustu samopowtarzalnej dwudziestki dwójki, leżącej na zmiętym prześcieradle obok ciała.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy musieli się nad tym trząść – zauważył Frank. – Nie została zastrzelona. Nie ma żadnych ran, krwi. Jeśli ktoś tu użył broni, to ona. Pokaż.

Wziął pistolet od Jake'a, wyrzucił magazynek. Był pusty. Ruszył suwadło, wycelował w lampkę nocną i zajrzał w lufę; w komorze nie było kuli. Przyłożył wylot lufy do nosa, powąchał. Poczł zapach prochu.

– Strzelano niedawno? – spytał Jake.

– Bardzo niedawno. Jeśli przyjąć, że magazynek był pełny, kiedy użyła broni, wystrzeliła dziesięć pocisków.

– Popatrz tu – odezwał się Wargle.

Frank obrócił się. Wargle wskazywał na dziurę po pocisku w ścianie naprzeciw łóżka. Znajdowała się na wysokości siedmiu stóp.

– I tu – powiedział Gordy Brogan, zwracając ich uwagę na następny pocisk, który utkwił w roztrzaskanym fragmencie szyfonierki z ciemnej sosny.

Znaleźli w łóżku lub wokół niego wszystkie dziesięć miedzianych łusek, ale nie mogli doszukać się miejsc, w których spoczęło osiem pocisków.

– Jak myślisz, chyba nie wyciągnęła osiem trafień na dziesięć strzałów? – zapytał Gordy Franka.

– Chryste, jak?! – wykrzyknął Wargle, poprawiając pas z bronią na tłustych biodrach. – Jakby trafiła kogo osiem razy, to w tym pokoju byłoby więcej cholernych trupów.

– Racja – powiedział Frank, chociaż nie cierpiał zgadzać się ze Stu Wargle'em w czymkolwiek. – Poza tym nie ma krwi. Ośmiokrotne trafienie – to oznacza dużo krwi.

Wargle podszedł do nóg łóżka i gapił się na martwą kobietę. Leżała, wsparta na kilku grubych poduszkach. Rozchyliła nogi w groteskowej parodii pożądania.

– Facet z kuchni musiał tu być, posuwał tę panią. Jak z nią skończył, poszedł do kuchni wrzucić coś na ruszt. Wtedy ktoś wszedł i ją zabił.

– Najpierw zabito mężczyznę w kuchni – sprostował Frank. – Nie dałby się wziąć z zaskoczenia, gdyby został zaatakowany po tym jak ona oddała dziesięć strzałów.

– Człowieku, ale bym się walnął do wyra z taką panią. Na cały dzień.

Frank wbił w niego wzrok.

– Wargle, jesteś obrzydliwy. Rajcuje cię nawet spęczniały trup – tylko dlatego, że jest nagi?

Wargle sczerwieniął i oderwał wzrok od ciała.

– Co z tobą, do diabła, Frank? Co ty kombinujesz – że jestem jakiś perwers, czy co? Do jasnej cholery, skądże! Patrzyłem na zdjęcie na stoliku. – Wskazał na fotografię w srebrnych ramach, obok lampki. – Widzi? Ma bikini. Widzi? Zgrabna pani jak ta lala. Cyce jak balony. Nogi bomba, nie? To mnie podrajcowało, stary.

Frank potrząsnął głową.

– Zdumiewa mnie tylko, że cokolwiek mogło cię ruszyć tutaj, tutaj, gdzie jest tyle śmierci.

Wargle uznał, że to komplement. Mrugnął.

Jeśli wyjdę żywy z tego interesu, pomyślał Frank, nigdy nie dam się zrobić w partnerstwo z Wargle'em. Prędzej odejdę ze służby.

– Jak to możliwe, że ona wyciągnęła osiem trafień i nie zatrzymała tego czegoś? – spytał Gordy

Brogan. – Jak to możliwe, że tu nie ma kropli krwi?

Jake Johnson znów przesunął ręką po swoich siwych włosach.

– Nie wiem, Gordy. Ale jedno wiem – że niczego tak nie żałuję, jak tego, że Bryce mnie tu zaciągnął.

Następny szyld obok galerii na froncie oryginalnego, jednopiętrowego domu głosił:

U Brookharda
Piwo * Wino * Wódka * Tytoń * Czasopisma * Gazety * Książki

Światła były zapalone, a drzwi nie zamknięte na klucz. U Brookharta w niedzielne wieczory było otwarte aż do dziewiątej, nawet poza sezonem.

Bryce wszedł pierwszy, za nim Jenny i Lisa. Tal ostatni. Wybierając sobie osłonę, Bryce zawsze decydował się na Tala. Nikomu nie ufał tak bardzo jak jemu, nawet Frankowi Autry'emu.

U Brookharta było ciasno, ale przytulnie. Stały tu wysokie lodówki o przeszklonych drzwiach z puszkami i butelkami piwa. Na półkach, stelażach, w skrzyniach pełno win i wódek, a inne stelaże ugiwały się pod książkami, czasopismami i gazetami. Cygara i papierosy spoczywały w pudełkach i kartonach, a puszki z tytoniem fajkowym zalegały lady chybotliwymi stosami. Gdzie się dało upchano przeróżne artykuły: batony, wafle, gumę do żucia, orzeszki ziemne, prażoną kukurydzę, paluszki, chrupki ziemniaczane i tortillowe, zawijane bułeczki.

Bryce szedł pierwszy przez opustoszały sklep. Szukał w przejściach ciał. Ale nie znalazł żadnego.

Była tu za to ogromnych rozmiarów rozlana na pół podłogi kałuża wody, głęboka na jakiś cal. Obeszli ją na palcach.

– Skąd ta cała woda? – zastanawiała się Lisa.

– Jedna z odsączarek pod lodówkami z piwem musi przeciekać – powiedział Tal Whitman.

Obeszli półkę z winami, skąd mieli dobry widok na wszystkie lodówki. Żadne z cicho szumiących urządzeń nie ciekło.

– Może jest dziura w rurach – zasugerowała Jennifer Paige.

Szukali dalej. Zeszli do piwnicy, której używano do magazynowania kartonowych pudeł z winem i wódką. Poszli na piętro, do biura. Nie znaleźli niczego, co by odbiegało od normy.

Kiedy wrócili do sklepu, idąc do frontowych drzwi Bryce przystanął i kucnął, żeby dokładniej przyjrzeć się kałuży. Zanurzył palec w płynie; był jak woda, bezwonny.

– Coś nie tak? – zapytał Tal.

Bryce wstał.

– Dziwna ta cała woda.

– Najprawdopodobniej to nic innego jak to, co mówiła doktor Paige – dziura w rurze.

Bryce skinął głową. Ale, nie wiedzieć czemu, wielka kałuża wydała mu się istotna.

Apteka Taytona obsługiwała Snowfield i wszystkie dalsze górskie miejscowości. Pomieszczenia mieszkalne obejmowały dwa piętra nad apteką; pomalowano je w odcieniach kremu i brzoskwini, tu i ówdzie dodając akcent szmaragdowej zieleni. Stało tu kilka niebrzydkich antyków.

Frank Autry przeprowadził swoich ludzi przez cały budynek i nie znaleźli nic godnego uwagi – poza przemoczonym dywanem w salonie. Woda dosłownie lała się z niego; chlupotało pod stopami.

Zajazd Pod Płonącą Świeczką promieniował łagodnym czarem. Wystające okapy i kunsztownie rzeźbione gzymsy, wielodzielne okna oflankowane białymi okiennicami. Dwie powozowe lampy umieszczono na stałe na kamiennych słupach, stojących po obu stronach wyłożonej kamieniem ścieżki. Trzy niewielkie reflektory rzucały dramatyczne wachlarze światła na fasadę hotelu.

Jenny, Lisa i porucznik Whitman przystanęli na chodniku przed zajazdem.

– Mają gości o tej porze roku? – spytał Hammond.

– Tak – powiedziała Jenny. – Poza sezonem udaje im się przetrwać na półkomplecie. Ale turyści zachwycają się obsługą – i jest tu tylko szesnaście pokoi.

– Cóż... rzućmy na to okiem.

Frontowe drzwi otwierały się na mały, wygodnie urządzonej hall: dębowa podłoga, ciemny, orientalny dywan, jasnobezowe sofy, para fotelików w stylu królowej Anny z tapicerką w różę, przy ścianach stoliczki z wiśniowego drewna, mosiężne lampy.

Po prawej recepcja. Na drewnianym kontuarze dzwonek. Jenny uderzyła weń szybko kilka razy. Nie oczekiwała i nie otrzymała odpowiedzi.

– Dan i Sylvia mają mieszkanie za biurem – poinformowała, wskazując ciasne pomieszczenia biurowe za kontuarem.

– Właściciele? – spytał szeryf.

– Tak. Dan i Sylvia Kanarsky.

Szeryf przyglądał się jej przez moment.

– Przyjaciele?

– Tak. Bliscy.

– To może lepiej nie zaglądamy do mieszkania.

Sympatia i zrozumienie jaśniały w błękitnych oczach pod grubymi powiekami. Jenny była zaskoczona. Nagle odkryła, że twarz mężczyzny wyraża łagodność i inteligencję. W ciągu ostatniej godziny, przyglądając mu się w działaniu, stopniowo uświadomiła sobie, że jest znacznie bardziej czujny i sprawny, niż sądziła na początku. Obecnie patrząc w jego współczujące oczy, odgadła, że jest wrażliwy, interesujący, pociągający.

– Nie możemy odejść jakby nigdy nic – powiedziała. – Ten dom wcześniej czy później musi zostać przeszukany. Całe miasto musi zostać przeszukane. Zajrzyjmy tam, będziemy mieli to za sobą.

Podniosła klapę na kontuarze i pchnęła bramkę, za którą było pomieszczenie biurowe.

– Pani doktor – rzekł szeryf – niech zawsze ja lub porucznik Whitman idzie pierwszy, proszę.

Cofnęła się posłusznie i wszedł przed nią do mieszkania Dana i Sylvii, ale nie natknęli się na nikogo. Nie było ciała.

Dzięki Bogu.

Szeryf odnalazł klucz uniwersalny na tablicy obok przegródek na listy.

Z prawie rutynową przezornością weszli na górę i przeszukali sześć pokoi. W pierwszych pięciu znaleźli bagaże, aparaty fotograficzne, nie dokończone kartki pocztowe i inne dowody, świadczące o gościach, ale samych gości nie znaleźli.

W szóstym pokoju porucznik Whitman spróbował otworzyć drzwi łazienki. Okazało się, że są zamknięte. Uderzył w drzwi i krzyknął:

– Policja! Jest tam kto?

Nikt nie odpowiedział.

Whitman spojrział na gałkę, potem na szeryfa.

– Po tej stronie nie ma otworu na klucz, więc ktoś musi być w środku. Wyważyć?

– Wyglądają na grube – powiedział Hammond. – Nie ma potrzeby wybijać sobie barku. Strzel w zamek.

Jenny odciągnęła Lisę na bok, poza zasięg odłamków, które mogły odskoczyć.

Porucznik Whitman ostrzegł tego, kto mógłby przebywać w łazience. Wystrzelił. Kopnięciem otworzył drzwi na oścież, wpadł do środka.

– Nikogo.

– Może wyszli oknem – powiedział szeryf od drzwi.

– Tu nie ma żadnych okien – zmarszczył czoło Whitman.

– Jesteś pewien, że drzwi były zamknięte na klucz?

– Tak. A to da się zrobić tylko od wewnątrz.

– Ale jak, jeśli nikogo nie było w środku.

Whitman wzruszył ramionami.

– Poza tym jest coś, na co powinieneś rzucić okiem.

W rezultacie wszyscy rzucili okiem, gdyż łazienka była na tyle duża, że pomieściła całą czwórkę. Na lustrze nad umywalką dużymi, tłustymi, czarnymi literami wypisano wiadomość:

**Timothy
Flety
Odwieczny
Wróg**

W innym mieszkaniu, nad innym sklepem, Frank Autry i jego ludzie znaleźli inny ociekający wodą, chlupocący pod stopami dywan. W salonie, jadalni i sypialniach dywany były suche, ale w korytarzu prowadzącym do kuchni pełno wody. A w samej kuchni na trzech czwartych podłogi, wysłanej winylowymi płytkami, stała woda miejscami na cal głęboka.

Jake Johnson zatrzymał się w korytarzyku i oglądał kuchnię.

– Musi być dziura w kanalizacji.

– To samo mówiłeś gdzie indziej – przypomniał mu Frank. – To chyba przypadek, co?

– To tylko woda – powiedział Gordy Brogan. – Nie łąpię, co to ma wspólnego z... tymi wszystkimi morderstwami.

– Srać na to – odezwał się Stu Wargle. – Czas tracimy. Nic tu nie ma. Chodźmy.

Nie zwracając na nich uwagi, Frank wszedł do kuchni, obszedł ostrożnie brzeg małego jeziora. Zmierzał do suchego miejsca przy rzędzie stojących szafek. Otworzył kilkoro drzwiczek, zanim znalazł małe plastikowe wiadro na odpadki. Było czyste i suche. Dociskana sprężyną pokrywka chroniła przed dopływem powietrza. Łyżką znaną w szufladzie Frank wlał wodę do plastikowego pojemnika.

– Co ty robisz? – spytał od drzwi Jake.

– Biorę próbkę.

– Próbkę? Po co? To tylko woda.

– No tak – powiedział Frank – ale jest w niej coś dziwnego.

Łazienka. Lustro. Duże, tłuste, czarne litery. Jenny wpatrywała się w cztery wyrazy.

– Kim jest Timothy Flyte? – zapytała Lisa.
– Może to facet, który to tu napisał – domyślał się Tal Whitman.
– Czy ten pokój wynajmował Flyte? – spytał szeryf.
– Jestem pewien, że nie widziałem tego nazwiska w książce hotelowej – stwierdził porucznik. – Możemy to sprawdzić, kiedy zejdziemy na dół, ale jestem pewny.

– Może Timothy Flyte to jeden z morderców – powiedziała Lisa. – Może facet, który wynajmował ten pokój, rozpoznał go i zostawił tę wiadomość.

Szeryf potrząsnął głową.

– Nie. Jeśli Flyte ma coś wspólnego z tym, co spotkało to miasto, nie zostawiłby swojego nazwiska na lustrze. Stałby je.

– Chyba że nie wiedział o napisie – zauważyła Jenny.

– Albo wiedział, ale jest jednym z szaleńców, o których pani mówiła, i ma gdzieś to, czy go złapiemy, czy nie – podsunął porucznik.

Bryce Hammond spojrział na Jenny.

– Ktoś w mieście nazywa się Flyte?

– Nigdy o takim nie słyszałam.

– Zna pani wszystkich w Snowfield?

– Tak.

– Całą pięćsetkę?

– Prawie każdego – odpowiedziała.

– Prawie każdego, hm? Więc Timothy Flyte może tu mieszkać?

– Nawet jeśli nigdy go nie spotkałam i tak musiałabym o nim słyszeć. To niewielkie miasto, szeryfie, zwłaszcza poza sezonem.

– Może to ktoś z Mount Larson, Shady Roost albo Pineville – zasugerował porucznik.

Pragnęła, żeby gdzie indziej przedyskutować wiadomość z lustrem.

Na zewnątrz. Na dworze. Gdzie nic nie mogło podkraść się blisko i niepostrzeżenie. Miała niesamowitą, pozbawioną podstaw, ale niezłomną pewność, że coś – coś cholernie dziwnego – porusza się w tej chwili w innej części zajazdu, skrycie wykonując jakąś przerażającą pracę, o której oni wszyscy nie mają zielonego pojęcia.

– A co z drugą częścią? – zapytała Lisa, wskazując na napis

ODWIECZNY WRÓG.

– Cóż, wracamy do tego, co Lisa powiedziała na początku – odezwała się w końcu Jenny. – Wygląda na to, że człowiek, który to napisał, informuje nas, iż Timothy Flyte jest jego wrogiem. I zdaje się, naszym też.

– Może – rzekł z powątpiewaniem Bryce Hammond. – Ale to niezwykle wyrażenie – „odwieczny wróg”. Jakoś dziwne. Prawie archaiczne. Jeśli zamknął się w łazience przed Flyte’em i machnął na chybcika ostrzeżenie, dlaczego nie napisał: „Timothy Flyte, mój stary wróg” albo coś bardziej wprost?

Porucznik Whitman przytaknął.

– Rzeczywiście, gdyby chciał zostawić tekst wskazujący Flyte’a, napisałby: „Zrobił to Timothy Flyte” albo może: „Flyte pozabijał ich wszystkich”. Ostatnia rzecz, na której by mu zależało, to brak jasności.

Szeryf zaczął przeglądać drobiazgi na głębokiej półce nad umywalką, pod lustrem: butelka balsamu do skóry Mennen, cytrynowy płyn po goleniu, męska elektryczna maszynka do golenia, para szczoteczek

do zębów, szczotka do włosów, zestaw do makijażu.

– Wygląda na to, że pokój zajmowało dwoje ludzi. Więc może oboje zamknęli się w łazience – co oznacza, że dwójka rozplynęła się w powietrzu. Ale czym pisali na lustrze?

– To musiał być ołówek do brwi – stwierdziła Lisa.

Jenny skinęła głową.

– Też mi się tak zdaje.

Przeszukali łazienkę. Nikt nie znalazł czarnego ołówka do brwi.

– Wspaniale – szeryf był rozdrażniony. – Więc ołówek do brwi znika razem z dwojgiem ludzi, którzy się zamknęli. Dwójka ludzi porwanych z zamkniętego pokoju.

Zeszli na dół do recepcji. Zgodnie z zapisem w księdze gości, pokój, w którym znaleziono wiadomość, zajmowali państwo Haroldostwo Ordnowie z San Francisco.

– Żaden z gości nie nazywał się Timothy Flyte. – Szeryf Hammond zamknął księgę.

– Cóż – westchnął Tal Whitman – zdaje się, że teraz nie możemy nic więcej zrobić.

Jenny poczuła ulgę.

– Dobra – powiedział Bryce. – Dołączmy do Franka i reszty. Może natrafili na coś, czego myśmy nie znaleźli.

Ruszyli wszyscy przez hali. Zatrzymał ich przeraźliwy wrzask Lisy, która szła pierwsza.

Zobaczyli to w sekundę potem. Leżała na bocznym stoliku, pod lampą z abażurem w kształcie róży. Była tak ślicznie oświetlona, że wyglądała jak dzieło sztuki na wystawie. Męska ręka. Odcięta ręka.

Lisa odwróciła się od makabrycznego widoku.

Jenny trzymając siostrę, spoglądała jej przez ramię z upiorną fascynacją. Ręka. Przekłeta, szydząca z niej, niesamowita ręka.

Między kciukiem a palcem wskazującym i wielkim mocno tkwił ołówek do brwi. Ten ołówek do brwi. Ten sam. To musiał być ten sam.

Przerażenie Jenny dorównywało przerażeniu Lisy, ale przygryzła wargę i powstrzymała się od krzyku. Nie tylko widok ręki budził w niej obrzydzenie i grozę. To, co zapierało jej dech, paliło w piersi, to pewność, że jeszcze przed chwilą ręki nie było na bocznym stoliku. Ktoś umieścił ją tu, kiedy byli na górze, wiedząc, że ją znajdą; ktoś naigrawał się z nich, ktoś o nieskończenie przewrotnym poczuciu humoru.

Jenny zauważyła, że na wpół przymknięte oczy Bryce'a Hammonda były otwarte szerzej niż zwykle.

– Do cholery, tego nie było tu przedtem, co?

– Nie – powiedziała Jenny.

I szeryf, i zastępca dotąd trzymali rewolwery lufami w dół. Teraz podnieśli broń, jakby spodziewając się, że okaleczona ręka ciśnie ołówek, rzuci się na kogoś przez stół i wydłubie mu oczy.

Nikt nie był w stanie wydusić z siebie słowa.

Spiralne wzory na orientalnym dywanie wyglądały jak opary z lodówki, wyrzucającej fale lodowatego powietrza.

W odległym pokoju na górze deski parkietu albo nie naoliwione drzwi zaskrzypiały, zajęczały, zaskrzypiały.

Bryce Hammond spojrział na sufit.

SKRZRZRZRZYYYYYYYYYYP...

Mógł to być jedynie naturalny odgłos osiadania budynku. Lub coś innego.

– Teraz nie ma wątpliwości – stwierdził szeryf.

– Nie ma wątpliwości w jakiej sprawie? – zapytał porucznik Whitman, spoglądając nie na szeryfa, ale na wejścia do hallu.

Szeryf obrócił się do Jenny.

– Powiedziała pani, że kiedy tuż przed naszym przyjazdem usłyszała syrenę i dzwon kościelny, przyszło pani na myśl, iż to, co stało się w Snowfield, może dzieć się tu nadal.

– Tak.

– I teraz wiemy, że miała pani rację.

Jake Johnson czekał z Frankiem, Gordym i Stu Wargle'em przy końcu kwartału, na jasno oświetlonym odcinku chodnika przed sklepem spożywczym o nazwie Sam Gilmartina.

Obserwował Bryce'a Hammonda wychodzącego z zajazdu. Wolałby, żeby, na Boga, szeryf ruszał się szybciej. Nie podobało mu się wystawanie w tym całym świetle. Do diabła, to jakby się stało na scenie. Jake czuł się bezbronny.

Kilka chwil wcześniej, kiedy przeszukiwali jeden z ciemnych budynków przy ulicy, oczywiście musieli minąć mroczne obszary, w których cienie pulsowały i ruszały się jak żywe stwory, i Jake spoglądał wtedy na tenże sam kawałek jasno oświetlonej nawierzchni z palącą tęsknotą. Ciemność poprzednio budziła w nim ten sam lęk, co teraz światła.

Nerwowo przejechał ręką po gęstych siwych włosach. Drugą rękę trzymał na kolbie rewolweru w kaburze.

Jake nie tylko wierzył w ostrożność. Czczył ją, była mu bogiem. *Na zimne dmuchaj; lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu; tam gdzie głupiec bieży, anioł krok swój mierzy...* Miał milion takich złotych myśli na podorędziu. Były dla niego jak latarnie, wyznaczające jedyny bezpieczny szlak; poza nim leżała tylko zimna toń ryzyka, przypadku i chaosu.

Jake nie był żonaty. Małżeństwo oznaczało przyjęcie nowej, wielkiej odpowiedzialności. Ryzyko uczuciowe, pieniężne, ryzyko w ogóle.

Jeśli chodzi o finanse, również wiódł przezorny, oszczędny żywot. Odłożył całkiem spory fundusik emerytalny, umieszczając wkłady w przeróżnych inwestycjach.

Jake, obecnie lat pięćdziesiąt osiem, pracował dla Wydziału Szeryfa Okręgu Santa Mira ponad trzydzieści siedem lat. Mógł się wycofać i przejść na emeryturę. Ale martwił się inflacją, więc pracował dalej, podwyższając emeryturę, odkładając coraz więcej pieniędzy.

To, że został policjantem, było chyba jedyną nieostrożnością, jaką Jake popełnił kiedykolwiek. Nie chciał być gliną. Bóg świadkiem, że nie! Ale ojciec, Wielki Ralph Johnson, szeryf okręgu w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, oczekiwał, że syn pójdzie w jego ślady. Wielki Ralph był głuchy na słowo „nie”. Jake był całkowicie pewien, że Wielki Ralph wydziedziczyłby go, gdyby nie był podjął pracy w policji. Rodzina nie posiadała dużego majątku, co to, to nie. Ale był ładny dom i niezgorsze wkłady bankowe. A za garażem, trzy stopy pod trawnikiem, spoczywało kilka wielkich szklanych słoików wypełnionych ciasno skręconymi rulonami dwudziesto-, pięćdziesięcio – i studolarowych banknotów. Forsa z łapówek zgarniętych przez Wielkiego Ralpha, odłożona na czarną godzinę. Więc Jake Johnson został gliną jak jego tata, któremu w końcu zmarło się, kiedy dociągnął do osiemdziesięciu dwóch lat. Jake miał wtedy pięćdziesiąt jeden, ale już ugrzązł w policji do końca swego pracującego żywota, bo była to jedyna rzecz, którą umiał.

Był ostrożnym gliną. Na przykład unikał wezwań do awantur domowych, ponieważ bywało, że policjant padał trupem, wkraczając między rozżartych małżonków; przy takich konfrontacjach emocje szły za bardzo w górę. No, weźmy choćby tego handlarza nieruchomościami, Fletchera Kale'a. Rok temu Jake kupił przez Kale'a kawałek górskiego terenu i gość robił wrażenie całkiem normalnego. Teraz zabił żonę i syna. Gdyby gliniarz trafił na taką scenę, Kale by go też zabił. Kiedy dyżurny informował Jake'a o rabunku w pobliżu, Jake zwykle nie przyznawał się, gdzie jest i ulatniał z sąsiedztwa zbrodni. Sprawę przejmowali bliżsi funkcjonariusze. Zjawiał się później, po akcji.

Nie był tchórzem. Zdarzały się chwile, gdy trafiał na linię ognia i wtedy przeistaczał się w tygrysa, lwa, rozwścieczonego niedźwiedzia. Był po prostu ostrożny.

Trafiały się w policji miłe robótki. Kontrola ruchu – proszę bardzo. Prace biurowe – istna rozkosz. Lub jedyna miła rzecz, wiążąca się z aresztowaniem: wypełnianie mnogich formularzy. Kilka bezpiecznych godzin w komisariacie.

Na nieszczęście, tym razem sztuczka ze ślęczeniem nad papierkami zemściła się. Wypełniał w biurze raporty, kiedy zadzwoniła doktor Paige. Gdyby miał służbę patrolową, wyslizgałby się z tego zadania.

I oto gdzie się znalazł! Sterczał w pełnym świetle jak tarcza na strzelnicy. Cholera.

Co gorsza, wyglądało na to, że coś niezwykle brutalnego wydarzyło się w Samie Gilmartina. Dwie z pięciu wielkich tafli okien frontowych zostały strzaskane od wewnątrz; szkło zaścielało chodnik. Konserwy dla psów i sześciopuszkowe transporterki Dr. Peppera wyrzucone przez okna leżały teraz porozrzucane na jezdni. Jake obawiał się, że szeryf każe im wejść do marketu i zobaczyć, co się stało. Obawiał się, że coś groźnego tkwi tam nadal – i czeka.

Szeryf, Tal Whitman i dwie kobiety w końcu dobrnęli do samu i Frank Autry pokazał plastikowe wiadro z próbką wody. Szeryf powiedział, że sam znalazł inną ogromną kałużę wody na zapleczu u Brookharta, i zgodzili się, że to coś znaczy. Tal Whitman opowiedział o napisie na lustrze i o odciętej ręce – słodki Jezu! – w Zajeździe Pod Płonącą Świeczką i nikt nadal nic nie rozumiał z tego wszystkiego.

Szeryf Hammond popatrzył na strzaskane okna samu i rzekł to, czego Jake się właśnie obawiał:

– Zajrzyjmy.

Jake nie chciał pierwszy przekraczać drzwi. Ani ostatni. Wepchnął się w środek grupy.

Wnętrze było doszczętnie skotłowane. Czarne półki przy kasach wywrócone. Guma do żucia, cukierki, żyletki, książki w tanich wydaniach i inne niewielkie przedmioty wały się po podłodze.

Przeszli frontem sklepu zaglądając w każde przejście między półkami. Artykuły pościągane na podłogę. Pudła z płatkami śniadaniowymi pogniecione i porozdzierane; jasnokolorowe kartony wзираły spomiędzy zasp płatków kukurydzianych i cheerios. Z rozbitych butli octu winnego unosił się ostry zapach. Słoje z dżemem, piklami, musztardą, majonezem i słodyczami leżały wymieszane w zjeżony szkłem, kleisty stos.

Przy ostatnim przejściu Bryce Hammond odwrócił się do Jenny:

– Czy dziś wieczór sklep byłby otwarty?

– Nie, ale zdaje się, że czasem w niedzielę wieczór uzupełniają braki na półkach. Nieczęsto, ale czasem.

– Zajrzyjmy na tył – powiedział szeryf. – Może znajdziemy coś interesującego.

Tego się właśnie obawiam, pomyślał Jake.

Szli za Bryce'em, przestępując i obchodząc kolejne pięcioletnie torby cukru i mąki, z których kilka było rozprutych.

Chłodziarki wysokości stołu na mięso, sery, jajka i mleko stały na tylnej ścianie. Za chłodziarkami rozciągała się nieskazitelnie czysta sortownia masarska, w której dzielono, ważono i paczkowano mięso. Oczy Jake'a nerwowo biegały po emaliowanych i drewnianych stołach. Kiedy przekonał się, że nic na nich nie ma, odetchnął z ulgą. Nie byłby zaskoczony, gdyby zobaczył starannie rozebranego na steki, pieczeniowe i kotlety trupa szefa sklepu.

– Zajrzyjmy do chłodni – powiedział Bryce Hammond.

Nie zaglądamy, pomyślał Jake.

– Może my... – zaczął Hammond.

Zgasły światła.

Okna znajdowały się jedynie na froncie sklepu, ale nawet tam było ciemno: lampy uliczne też zgasły. Tu ciemność był całkowita, osłepiająca. Kilka głosów odezwało się jednocześnie:

– Latarki!

– Jenny!

– Latarki!

Potem wiele rzeczy wydarzyło się bardzo szybko.

Tal Whitman zapalił latarkę i ostry jak brzytwa strumień światła ukłuł podłogę. W tej samej chwili coś uderzyło go z tyłu, coś niewidzialnego, co nadeszło z niewiarygodną szybkością, chyłkiem, pod osłoną mroku. Tal poleciał do przodu. Wpadł na Stu Wargle'a.

Autry sięgał po swoją latarkę, przyczepioną do pasa. Jednak zanim ją zapalił, Wargle i Tal Whitman wpadli na niego i całą trójką zwalili się na podłogę.

Kiedy Tal się przewracał, latarka wyleciała mu z dłoni.

Bryce Hammond, na krótko oświetlony ruchomym promieniem, wyciągnął po nią rękę; nie złapał.

Latarka uderzyła o podłogę i wirowała podskakując i rzucając szaleńcze blaski, niczego nie rozjaśniając.

I coś zimnego dotknęło karku Jake'a. Zimnego i lekko wilgotnego – a równocześnie żywego.

Otrząsnął się, chciał się oderwać i stawić temu czoło.

Coś owinęło mu się wokół szyi błyskawicznie jak bat.

Jake'owi zabrakło tchu.

Jeszcze zanim zdołał podnieść ręce i zewrzeć się z napastnikiem, coś objęło mu ramiona, chwyciło w kleszcze.

Został uniesiony w powietrze. Jak dziecko.

Spróbował krzyknąć, ale sztywna dłoń zamknęła mu usta. Przynajmniej myślał, że to dłoń. Ale wyczuwał coś jak ciało węgorza, zimne i mokre.

Śmierdziało. Nie bardzo. Nie wionęło gęstymi oparami. Ale ten odór był inny niż cokolwiek, co Jake przedtem wąchał. Tak gorzki, ostry i obcy, że nawet w niewielkich dawkach prawie nie do zniesienia.

Fale obrzydzenia i grozy rosły, zapieniły się. Jake poczuł obecność czegoś niewyobrażalnie dziwnego, bezwzględnie złego.

Latarka nadal kręciła się na podłodze. Minęło tylko kilka sekund od chwili, kiedy Tal ją upuścił, choć Jake nie wiedział o tym. Teraz obróciła się jeszcze ostatni raz i z brzękiem oparła o podstawę pojemnika z mlekiem. Szkło rozbiło się na niezliczone kawałeczki i zabrakło nawet tego martwego, chimerycznego światła, które choć niczego nie rozjaśniało, było lepsze od całkowitej ciemności. Razem z nim znikła również nadzieja.

Jake napinał się, wykręcał, rozluźniał, podskakiwał i wił się w panice w epileptycznym tańcu, jak w spazmatycznym fandango wyrażającym chęć ucieczki. Ale nie uwolnił nawet dłoni. Jego niewidzialny przeciwnik wzmocnił tylko uścisk.

Jake usłyszał, jak inni nawołują się nawzajem. Usłyszał ich z bardzo daleka.

Jake Johnson znikł.

Zanim Tal zlokalizował drugą latarkę, tę upuszczoną przez Franka Autry'ego, światła w samie zamigotały i zapaliły się, jasne i równe. Ciemność nie trwała dłużej niż piętnaście, dwadzieścia sekund.

Ale Jake'a nie było.

Szukali go. Nie było go w przejściach, w chłodni, w magazynie, w biurze ani toalecie dla personelu.

Wyszli z samu – była ich teraz tylko siódemka – Bryce pierwszy. Poruszali się z maksymalną ostrożnością. Mieli nadzieję, że znajdą Jake'a na ulicy. Ale tu też go nie było.

Cisza Snowfield brzmiała jak głuchy, drażniący okrzyk szyderstwa.

Tal Whitman pomyślał, że noc jest teraz nieskończenie ciemniejsza niż kilka minut temu. Była jak przeogromna sieć, w którą zaplątali się bezwiednie. Ta głęboka, czujna noc była – głodna.

– Gdzie on mógł poleżeć? – spytał Gordy, marszcząc się, co zawsze nadawało jego twarzy wyraz dzikości, choć teraz faktycznie tylko się bał.

– Nigdzie nie polazł – powiedział Stu Wargle. – Zabrano go.

– Nie wołał o ratunek.

– Nie dano mu tej szansy.

– Żyje... czy umarł? Jak pan myśli? – zapytała mała Paige.

– Laluńciu – odpowiedział Wargle, drapiąc szczecinę na brodzie – na twoim miejscu nie podniecałbym się nadzieją. Stawiam ostatniego dolca, że znajdziemy gdzieś Jake'a sztywnego jak decha, spuchniętego i purpurowego jak cała reszta.

– Hej, nie skreślajmy Jake'a tak szybko – powiedział Bryce Hammond.

– Pewnie – dodał Tal. – W tym mieście jest masa trupów. Ale zdaje mi się, że większość mieszkańców nie umarła. Po prostu zaginęli.

– Są bardziej strupieszali niż niemowlęta po ataku napalmowym. No nie, Frank? – Wargle nigdy nie pominął okazji, żeby wbić szpilę Autry'emu z powodu jego służby w Wietnamie. – Tylko że nie potknęliśmy się o nich.

Frank nie chwycił przynęty. Był na to zbyt inteligentny i opanowany. Zamiast tego powiedział:

– Nie rozumiem jednego. Dlaczego ono nie załatwiło nas wszystkich, kiedy miało okazję? Dlaczego tylko przewróciło Tala?

– Zapalałem latarkę – wyjaśnił Tal. – Ono nie chciało, żebym to zrobił.

– Tak – zastanawiał się Frank – ale dlaczego złapało właśnie Jake'a i dlaczego zaraz potem dało szybko dyla?

– Drażni się z nami – stwierdziła Jenny Paige. W świetle lamp jej oczy płonęły zielonym ogniem. – A kościelny dzwon i syrena. Bawi się jak kot z myszką.

– Ale dlaczego? – zapytał Gordy z przejęciem. – Co ono ma z tego? Czego chce?

– Zaczekajcie – wkroczył Bryce. – Jak to się stało, że nagle każdy mówi „ono”? Kiedy ostatnim razem dokonywałem nieformalnej oceny sytuacji, panowała powszechna zgoda, że może być ona wynikiem działalności bandy psychopatycznych zabójców. Szaleńców. Ludzi.

Spoglądali po sobie niespokojnie. Nikt nie spieszył się z wyjawieniem tego, co mu chodziło po głowie. Rzeczy niewyobrażalne stały się możliwe. A były to rzeczy, które ludzie o zdrowych zmysłach niełatwo nazywają głośno i po imieniu.

Wiatr wychylił się z mroku i posłuszne drzewa pokłoniły mu się z czcią.

Uliczne światła zamigotały.

Wszyscy drgnęli, zaskoczeni niestałością światła. Tal położył rękę na chwycie rewolweru. Ale lampy nie zgasły.

Wsluchiwali się w ciszę cementarnego miasta. Jedyne odgłosy, szept poruszanych wiatrem drzew, brzmiał jak przedłużające się śmiertelne westchnienie przed spoczynkiem wiecznym.

Jake nie żyje, pomyślał Tal. Przynajmniej raz Wargle ma rację. Jake nie żyje i może my wszyscy też, tylko że jeszcze o tym nie wiemy.

Bryce zwrócił się do Franka Autry'ego.

– Frank, dlaczego powiedziałeś „ono” zamiast „oni” lub coś takiego?

Frank zerknął na Tala szukając wsparcia, ale Tal sam nie był pewien, dlaczego powiedział „ono”. Frank przełknął ślinę. Przeształ z nogi na nogę, spojrzął na Bryce'a. Wzruszył ramionami.

– Cóż, sir. Zdaje mi się, że powiedziałem „ono”, bo... hm... żołnierz, ludzki przeciwnik zdmuchnąłby nas od razu w markecie, kiedy miał możliwość. Wszystkich od razu, w ciemności.

– Więc co? Myślisz, że ten przeciwnik nie jest z rodzaju ludzkiego?

– Może to jakiś rodzaj... zwierzęcia?

– Zwierzęcia. Naprawdę tak uważasz?

Frank wyglądał wyjątkowo nieporadnie.

– Nie, sir.

– Co więc myślisz? – nalegał Bryce.

– Do diabła, nie wiem, co myśleć – odrzekł Frank, sfrustrowany. – Wie pan, że mam wykształcenie wojskowe. Żołnierz nie lubi pchać się na oślep w żadną sytuację. Woli zaplanować strategię. Ale dobre, rozsądne plany opierają się na godnym zaufania zasobie doświadczenia. Co wydarzyło się w porównywalnych bitwach w poprzednich wojnach? Co inni zrobili w podobnych sytuacjach? Odnieśli sukces czy ponieśli porażkę? Ale tym razem po prostu nie ma żadnych porównywalnych bitew, nie ma żadnych doświadczeń, z których można by czerpać. Jest to tak dziwne, że jestem gotów nazywać tego nieprzyjaciela bezosobowo, neutralnie: „ono”.

Bryce zwrócił się do Jenny Paige.

– A pani? Dlaczego użyła pani słowa „to”?

– Nie jestem pewna. Może dlatego, że użył go funkcjonariusz Autry.

– Ale to pani wysunęła teorię o zmutowanym szczepie wścieklizny, który mógł stworzyć bandę morderczych szaleńców. Czy teraz pani to wyklucza?

Zmarszczyła czoło.

– Nie. W tej fazie nie możemy wykluczyć niczego. Ale, szeryfie, nigdy nie twierdziłam, że to jedyna dająca się przyjąć teoria.

– Ma pani inne?

– Nie.

Tal był co do joty tak bezradny jak Frank.

– No, wydaje mi się, że użyłem słowa „ono”, bo nie mogłem się dłużej godzić z teorią zabójcy-szaleńca.

Ciężkie powieki Bryce'a uniosły się wyżej niż zwykle.

– Och, dlaczego nie?

– Z powodu tego, co się stało w Zajeździe Pod Płonącą Świeczką.

Kiedy zeszliśmy na dół i znaleźli tę rękę z ołówkiem na stoliku w hallu... no... to nie pasowało mi do zwariowanego mordercy. Już dość długo jesteśmy glinami, żeby wiedzieć coś o niezrównoważonych ludziach. Czy któryś z was spotkał takiego typu z poczuciem humoru? Nawet z ohydny, pokręconym poczuciem humoru? To ponuracy. Nie umieją się śmiać z niczego i pewnie między innymi dlatego mają fioła. Więc kiedy zobaczyłem tę rękę na stole, to mi po prostu nie pasowało. Zgadzam się z Frankiem. I ja teraz myślę o naszym nieprzyjacielu: bezosobowe „ono”.

– Dlaczego żaden z was nie przyzna się do tego, co czuje? – łagodnie powiedziała Lisa Paige. Była czternastolatka, dorastającą panienką, która kiedyś wyrośnie na uroczą młodą damę, ale patrzyła na każdego z bezpośredniością dziecka. – Przecież gdzieś w środku, a to jest naprawdę ważne, wszyscy wiemy, że to nie ludzie zrobili te rzeczy. To musi być coś naprawdę strasznego – Jeeezu, wystarczy to poczuć – coś dziwnego i obrzydliwego. Czymkolwiek to jest, wszyscy to czujemy. Wszyscy się tego boimy. I dlatego wszyscy bardzo staramy się do tego nie przyznać.

Tylko Bryce wytrzymał spojrzenie dziewczyny. Spoglądał na nią zamyślony. Reszta wbiła wzrok w podłogę.

Nie chcemy zajrzeć w głąb siebie, pomyślał Tal, i to właśnie mówi nam ta dziewczyna. Nie chcemy zajrzeć w głąb siebie, znaleźć się oko w oko z prymitywnymi zabobonami. Wszyscy jesteśmy cywilizowanymi, wykształconymi jak trzeba dorosłymi ludźmi, a dorośli nie powinni wierzyć w straszdyła z nocnych koszmarów.

– Lisa ma rację – powiedział Bryce. – Jedyne rozwiązanie tej sprawy – może jedyny sposób, żebyśmy sami nie zostali ofiarami – to mieć otwarte głowy i popuścić cugli wyobraźni.

– Zgadzam się – przytaknęła Jenny Paige.

Gordy Brogan potrząsnął głową.

– Ale w końcu co mamy sobie wyobrażać? Wszystko? Znaczą, nie ma żadnych ograniczeń? Mamy zacząć sobie zaprzętać głowy duchami, upiorami i wilkołakami i... i wampirami? Muszą być jakieś rzeczy, które da się wykluczyć.

– Oczywiście – ciągnął cierpliwie Bryce. – Gordy, nikt nie mówi, że mamy do czynienia z duchami i wilkołakami. Ale musimy przyjąć, że mamy do czynienia z nieznanym. To wszystko. Z nieznanym.

– Nie kupuję – posępnie odezwał się Wargle. – Nieznane! Żeby mnie obesrało. Kiedy już będzie po wszystkim, dowiemy się, że to robota jakiegoś perwersa, takiego samego cuchnącego wyrzutka jak wszystkie cuchnące wyrzutki, z którymi mieliśmy dotąd do czynienia.

– Wargle – powiedział Frank – takie myślenie da tylko jeden efekt: przeoczymy jakiś ważny szczegół. I jeszcze coś: zaprowadzi nas prosto do grobu.

– Sami zobaczycie. Przekonacie się, że miałem rację. – Wargle splunął na chodnik, wsadził kciuki za pas z bronią, pozując na jedyne gościa, który ma tu równo pod sufitem.

Tal Whitman przejrzał to: zgrywa się na superfaceta, ale też boi się jak wszyscy diabli. Choć Stu był jednym z najmniej wrażliwych ludzi, jakich Tal kiedykolwiek spotkał, i on doznał tych pierwotnych uczuć, o których mówiła Lisa Paige. Przyznawał się do tego czy nie, wyraźnie przenikał go do szpiku kości ten sam chłód, który przewiercał ich wszystkich.

Frank również dostrzegł, że to poza. Odezwał się tonem przesadnej, nieszczerzej admiracji:

– Stu, swoją świetlaną postawą dodajesz nam sił. Jesteś nam wzorem. Co byśmy bez ciebie poczęli?

– Beze mnie – kwaśno stwierdził Wargle – nadajecie się tylko do spuszczenia w rurę starego sracza.

Frank spojrział z udanym rozczarowaniem na Tala, Gordy’ego i Bryce’a.

– Czy nie wydaje się wam, że ten gość puchnie z dumy?

– Jasne, że tak – powiedział Tal. – Ale nie wińcie Stu. W jego przypadku opuchlizna byłaby tylko rezultatem rozpaczliwych usiłowań natury, żeby zapełnić pustkę.

Dowcip był średni, ale radość, jaką wzbudził, powszechna. I nawet Stu, choć lubił dopiekać innym i nie cierpiał być celem żartów, zdobył się na uśmiech.

Tal wiedział, że nie chodzi im o dowcip. Śmieją się ze Śmierci, prosto w jej trupa twarz.

Ale wesołość opadła, a noc nadal trwała, nieprzenikniona.

Miasto nadal było nienaturalnie ciche.

Jake Johnson nadal był nieobecny.

A ono nadal było blisko.

Jenny Paige zwróciła się do Bryce'a Hammonda:

– Czy jest pan gotów rzucić okiem na dom Oxleyów?

Bryce potrząsnął głową.

– Nie w tej chwili. Dopóki nie zostaniemy wzmocnieni, dalsze przeszukiwania nie wydają mi się słuszne. Nie zamierzam tracić jeszcze jednego człowieka. Zwłaszcza jeśli mogę temu zapobiec.

Tal dostrzegł niepokój w oczach Bryce'a, kiedy ten wspominał Jake'a.

Pomyślał: Bryce, przyjacielu, zawsze bierzesz na siebie zbyt wielką odpowiedzialność, kiedy coś nie wypali, tak samo jak zawsze jesteś zbyt chętny do dzielenia się zasługą za sukces, który jest wyłącznie twoim dziełem.

– Wracajmy na podkomisariat – powiedział Bryce. – Musimy zastanowić się co dalej, a ja mam do wykonania kilka telefonów.

Wracali tą samą drogą, którą przyszli. Stu Wargle, wciąż demonstrujący swoją nieustraszoną uparł się tym razem zamykać pochód. Stapał buńczucznie w tylnej straży.

Kiedy doszli do Skyline Road, zaskoczyło ich uderzenie dzwonu. Zadzźwięczał wolno jeszcze raz i jeszcze raz, wolniej...

Tal poczuł, jak metaliczny dźwięk wibruje mu w zębach.

Stanęli wszyscy na rogu, wsłuchani w dzwon, i patrzyli w kierunku zachodnim, na drugi kraniec Vail Lane. Nie dalej niż o jedną przecznicę ceglana wieża kościoła wyrastała ponad budynki; słabe światło biło spod jej spiczastego, krytego dachówką dachu.

– Kościół katolicki – poinformowała ich Jenny Paige, przekrzykując głos dzwonu. – Obsługuje wszystkie okoliczne miasteczka. Nasza Pani Opiekunka Gór.

Dzwony kościelne potrafią zabrzmieć radosną muzyką. Ale w tej nie ma nic radosnego, pomyślał Tal.

– Kto ciągnie za sznur? – głośno zastanowił się Gordy.

– Może nikt nie ciągnie – powiedział Frank. – Może jest podłączony do jakiegoś mechanicznego urządzenia. Może działa na elektryczny zegar.

Dzwon w oświetlonej dzwonnicy kołysał się równomiernie, a każdy czysty dźwięk poparty był błyskiem miedzi.

– Czy zwykle dzwoni o tej porze w niedzielę wieczór? – zwrócił się Bryce do Jenny Paige.

– Nie.

– No to nie działa na elektryczny zegar.

Kiedy doszli do następnej przecznicy, dzwon mrugnął – błysnął wysoko nad ziemią i znów zadzwonił.

– No to kto szarpie za sznur? – zapytał Gordy.

Makabryczny obraz nawiedził Tala: Jake Johnson, posiniaczony, spuchnięty; trup zimny jak kamień

stoi w komorze dzwonnika u stóp kościelnej wieży, ściska linę w bezkrwistych dłoniach, martwy, ale demoniczną mocą ożywiony, martwy, ale ciągnący za linę raz za razem, martwa twarz zadarta w górę, zęby wyszczerzone w niewesołym trupim uśmiechu, wysadzone oczy wpatrują się w dzwon, który kołysze się i dźwięczy pod ostro spadającym dachem. Tal zadygotał.

– Może powinniśmy podejść do kościoła i zobaczyć, kto tam jest – podsunął Frank.

– Nie – natychmiast zaprotestował Bryce. – Ono tego od nas chce. Ono chce, żebyśmy przyszli popatrzeć. Chce, żebyśmy weszli do kościoła, a wtedy znów zgasi światła...

Tal zauważył, że Bryce też używa teraz zaimka „ono”.

– No pewnie – powiedziała Lisa. – Ono jest tam teraz, czeka na nas.

Nawet Stu Wargle nie zachęcał ich do natychmiastowej wizyty w kościele.

W otwartej na przestrzał dzwonnicy dzwon kołysał się, rozsypując kolejne odłamki miedzianego światła, kołysał, błyskał, kołysał, mrugał, jak semafor wysyłający przekaz o hipnotycznej mocy wraz z monotonnym brzękiem: *Robicie się coraz bardziej śpiący, bardziej śpiący, śpiący, śpiący... zasnęliście głęboko, jesteście w transie... w mojej władzy... przyjdźcie do kościoła... przyjdźcie teraz, chodźcie, chodźcie, chodźcie do kościoła i zobaczcie, jaka tu na was czeka cudowna niespodzianka... chodźcie, chodźcie...*

Bryce potrząsnął głową, jakby budząc się ze snu.

– Jeśli ono chce, żebyśmy przyszli do kościoła, tym bardziej nie należy tam iść. Żadnych poszukiwań przed świtem.

Wszyscy odwrócili się od Vail Lane i skierowali na północ Skyline Road, na podkomisariat.

Przeszli może z dwadzieścia stóp, kiedy dzwon przestał bić.

Raz jeszcze niezwykła cisza napłynęła nad miasto jak lepki, pokrywający wszystko płyn.

Na posterunku odkryli, że ciało Paula Hendersona zniknęło. Wyglądało na to, że zastępca po prostu wstał i poszedł. Jak *Łazarz*.

POWSTRZYMYWANIE

Bryce siedział za biurkiem należącym kiedyś do Paula Hendersona. Wcześniej odsunął *Time'a*, którego Paul musiał czytać, kiedy Snowfield zostało oczyszczone z ludzi. Żółta kartka na bibularzu wypełniona była ciasnym pismem Bryce'a.

Pozostała szóstka starannie wypełniała przydzielone zadania. Wojenna atmosfera zapanowała na podkomisariacie. Posępna zawziętość, z jaką zdecydowali się stawić czoło śmierci, sprawiła, że zaczęło się rodzić między nimi wątle, ale wciąż rosnące poczucie braterstwa. Pojawił się nawet ostrożny optymizm: w końcu jeszcze żyją, kiedy tak wielu umarło.

Bryce szybko przebiegł wzrokiem sporządzoną przez siebie listę, badając, czy czegoś nie przeoczył. W końcu przysunął do siebie telefon. Od razu dostał sygnał, co przywitał z ulgą.

Zawahał się nad wyborem pierwszego numeru. Świadomość wagi chwili ciążyła mu nieznośnie. Okrutne wymordowanie całej ludności Snowfield nie dało się z niczym porównać. W ciągu kilku godzin dziennikarze z całego świata pojawią się tabunami w okręgu Santa Mira. Do rana sensacja Snowfield zepchnie z pierwszych stron gazet wszystko inne. CBS, ABC i NBC będą regularnie przerywać zaplanowane programy, aktualizując dawne i podając świeże wiadomości. Zainteresowanie mass mediów będzie ogromne. Dopóki świat nie dowie się, czy jakaś zmutowana bakteria odegrała tu rolę, czy nie, setki milionów ludzi będzie z zapartym tchem zastanawiało się, czy w Snowfield nie wypisano już świadectw śmierci dla nich samych. Nawet jeśli choroby zostaną wykluczone, uwaga świata nie odwróci się od Snowfield aż do chwili wyjaśnienia tajemnicy. On, Bryce, będzie poddany presji nie do zniesienia.

I jego życie osobiste ulegnie całkowitej zmianie. Stoi tu na czele sił policyjnych; będzie wymieniany w czołówkach wszystkich sensacyjnych wiadomości. Skóra mu cierpła na tę myśl. Nie należał do szeryfów lubiących rozgłos. Wolał stać w cieniu.

Ale nie mógł, ot tak sobie, dać drapaką ze Snowfield.

Wykręcił numer pogotowia w swoim biurze w Santa Mira, omijając telefonistę w centrali. Podoficerem dyżurnym był Charlie Mercer, równy gość, na którym można było polegać; zrobi dokładnie to, co mu się każe.

Charlie podniósł słuchawkę w połowie drugiego dzwonka.

– Wydział szeryfa. – Miał płaski, nosowy głos.

– Charlie, tu Bryce Hammond.

Zwięźle opisał mu sytuację w Snowfield.

– Dobry Boże! – sapnął Charlie. – Jake też nie żyje?

– Nie wiemy na pewno. Miejmy nadzieję, że jest inaczej. Teraz słuchaj, Charlie. Jest masa spraw, które musimy załatwić w następnych kilku godzinach i będzie nam wszystkim łatwiej, jeśli uda się utrzymać tajemnicę aż do utworzenia tu bazy i zamknięcia szczelnie miasta. Powstrzymywanie, Charlie. To kluczowe słowo. Snowfield musi zostać szczelnie zamknięte, a dokonamy tego dużo łatwiej, jeśli dziennikarze nie zaczną rwać do nas przez góry. Wiem, że będziesz trzymał gębę na kłódkę, ale jest paru innych...

– Nie przejmuj się. Przez kilka następnych godzin będziemy trzymać karty przy orderach.

– W porządku. Najważniejsze: potrzebuję jeszcze dwunastu ludzi. Dodatkową dwójkę do blokady na zjeździe do Snowfield. Dziesięciu tu, do mnie. Jak się da, wybierz kawalerów bez rodzin.

– Naprawdę tak źle to wygląda?

– Naprawdę. I lepiej wybierz takich, którzy nie mają krewnych w Snowfield. Następną sprawą: muszą przywieźć ze sobą zapas wody i żywności na kilka dni. Nie chcę, żeby brali coś tutejszego do ust, dopóki nie będziemy pewni, że żywność jest czysta.

– Tak jest.

– Każdy człowiek ma wziąć broń krótką, broń do rozpraszania tłumów i gaz łzawiący.

– Kojarzę.

– Będziesz miał niedobór ludzi, zwłaszcza kiedy zaczną napływać dziennikarze. Wezwiesz dodatkowych funkcjonariuszy do kierowania ruchem i pilnowania tłumów. I jeszcze: Charlie, znasz dobrze tę część okręgu, nie?

– Urodziłem się i wychowałem w Pineville.

– Tak myślałem. Spojrzałem na mapę okręgu i jak się zdaje, są tylko dwie drogi do Snowfield. Pierwsza to droga publiczna, na której już postawiliśmy blokadę. – Bryce obrócił się na fotelu i wpatrywał w wielką mapę ścienną. – I jest jeszcze stara przecinka przeciwpożarowa, idąca od jednej trzeciej stoku z przeciwnej strony gór. U końca przecinki zaczyna się oznakowany szlak. Od tego miejsca to zwykła ścieżka, ale z mapy wynika, że wychodzi jak w pysk strzeleń na początek najdłuższej trasy zjazdowej z tej strony góry, nad Snowfield.

– No tak – potwierdził Charlie. – Przeszedłem ten szlak z plecakiem. Oficjalnie nazywa się to Dziki Szlak Sosnowy na Starej Górze. Albo jak wołają miejscowi – Autostrada na Rozgrzanie Kości.

– Musimy ustawić kilku ludzi na dole, niech zwracają z przecinki każdego, kto będzie chciał tamtędy przejść.

– Musiałby to być cholernie zawzięty reporter.

– Nie możemy ryzykować. Wiesz o jakiejś innej drodze, której nie ma na mapie?

– Nie. Trzeba by iść do Snowfield na przełaj, wybierając własny szlak z każdym cholernym krokiem. Tam naprawdę jest dziki teren, na Boga, to nie zagajnik dla niedzielnych turystów. Żaden niedoświadczony łązik nie pójdzie na przełaj. To byłaby czysta głupota.

– W porządku. Potrzebuję jeszcze numeru z akt. Pamiętasz to seminarium o pracy policji, na które pojechałem do Chicago... mmm... jakieś szesnaście miesięcy temu. Jednym z wykładowców był wojskowy. Copperfield, zdaje się. Generał Copperfield.

– Jasne – potwierdził Charlie. – Korpus Medyczny, Oddział CBW.

– O to właśnie chodzi.

– Zdaje mi się, że mówią na jego grupę Cywilny Oddział Obrony. Zaczekaj. – Charliego nie było przy słuchawce dłużej niż minutę. Wrócił z numerem, podał Bryce'owi. – To aż w Dugway, Utah. Jezu, czy myślisz, że to coś może postawić tych chłopaków na nogi? To straszne.

– Naprawdę straszne – zgodził się Bryce. – Kilka następnych spraw: chcę, żebyś wrzucił nazwisko na dalekopis. Timothy Flyte. – Broń chemiczna i bakteriologiczna. Przeliterował. – Brak rysopisu. Brak adresu. Zorientuj się, czy nie jest gdzieś poszukiwany. Sprawdź też w FBI. Potem dowiedz się, ile możesz o państwie Haroldostwu Ordnyach z San Francisco. – Podał Charliemu adres z księgi hotelowej. – Jeszcze jedna rzecz. Ci nowi ludzie niech wezmą z kostnicy okręgowej plastikowe worki na ciała.

– Ile?

– Na początek... dwieście.

– Co... dwieście?

– Zanim skończymy, możemy potrzebować dużo więcej. Może będziemy zmuszeni pożyczyć z innych okręgów. Bądź na to przygotowany. Wygląda, że wielu ludzi po prostu znikło, ale ich ciała

mogą być odnalezione. Możemy jeszcze potrzebować wielu worków.

I może nawet więcej niż pięćset, pomyślał Bryce. Bo może kilka przyda się nam samym.

Charlie słuchał Bryce'a uważnie, kiedy ten powiedział mu, że całe miasto zostało zgłodzone, i choć bez wątplenia wierzył szeryfowi, było oczywiste, że emocjonalnie nie pojął do końca okropnych rozmiarów katastrofy, dopóki nie usłyszał o zapotrzebowaniu na dwieście worków. Obraz wszystkich trupów zamkniętych w przezroczystym plastyku, ułożonych stosami na ulicach Snowfield – to dopiero przeszło mu serce.

– Matko Boska, módl się za nami – powiedział Charlie Mercer.

Kiedy Bryce Hammond rozmawiał z Charlie Mercerem, Frank i Stu Wargle zaczęli rozkładać niezgrabne, działające na policyjnej częstotliwości radio, stojące pod tylną ścianą pokoju. Bryce kazał im zorientować się, co nawaliło, gdyż nie widać było żadnych uszkodzeń.

Przednia płyta była przymocowana dziesięcioma mocno dokręconymi wkrętami. Frank usuwał je po kolei.

Jak zwykle Stu Wargle nie na wiele się przydał. Bez przerwy oglądał się na Jenny Paige, która pracowała z Talem Whitmanem po drugiej stronie pomieszczenia.

– Niezła z niej laska – stwierdził, pozerając oczami lekarkę i równocześnie wsadzając palec do nosa.

Frank zachował milczenie.

Stu obadał wykopalisko z nosa jak perłę wydobytą z muszli. Znów zerknął na lekarkę.

– Popatrz, jak te dzinsy ją opinają. Chryste, ale bym ją wsadził na dzidę.

Frank wbił wzrok w trzy wyjęte wkręty, odliczył do dziesięciu, opanowując gorące pragnienie wkręcenia jednego z nich w grubą czaszkę Stu.

– Mam nadzieję, że nie jesteś aż tak głupi, żeby próbować ją zerwać.

– A czemu nie? Raz popatrzę i już rozpoznaję gorący numer.

– Spróbuj tylko, a szeryf dokopie ci do dupy.

– Nie strasz.

– Zdziwiasz mnie, Stu. Jak możesz właśnie teraz myśleć o seksie? Nie dotarło do ciebie, że wszyscy możemy umrzeć? Dziś w nocy. Może nawet za minutę, za dwie.

– Tym bardziej wypada zabawić damę, kiedy ma się okazję. Kapujesz, jak, cholera, żyjemy na kredyt, to po co się przejmować? Kto chce zdychać jak flak? Co, nie? Nawet ta druga jest fajna.

– Jaka druga?

– Dziewczyna, ta mała.

– To dopiero czternastka.

– Słodki towar.

– To dziecko, Wargle.

– Nadaje się już.

– Jesteś chory.

– A nie chciałbyś, żeby cię ścisnęła tymi swoimi mocnymi nóżkami, Frank?

Śrubokręt osunął się z karbowanej główki wkrętu i przejechał po metalowej płycie z nierównym zgrzytem.

Prawie niedosłyszalnie, ale na tyle wyraźnie, żeby zamrozić Wargle'owi uśmiech na wargach, Frank powiedział:

– Jeśli dowiem się, że dotknąłeś jednym brudnym paluchem tę dziewczynę albo inną młodą dziewczynę – gdziekolwiek i kiedykolwiek, nie tylko postaram się postawić cię w stan oskarżenia;

dobiorę się do ciebie. Wiem, jak wykończyć człowieka, Wargle. Nie siedziałem za biurkiem w Wietnamie. Byłem w polu. I dalej umiem wyjść na solo. I wiem, jak załatwić ciebie na solo. Dociera? Wierzysz mi?

Przez moment Wargle nie mógł wydusić z siebie słowa. Gapił się tylko w oczy Franka.

W końcu zamrugał, oblizał wargi, spojrzął na własne buty. Podniósł oczy i ustroił twarz w uśmiech typu „oj, wielka mi rzecz”.

– Niech cię, Frank, nie bądź taki wrażliwy. Spuść trochę pary. Tylko tak gadałem.

– Wierzysz mi? – powtórzył z naciskiem Frank.

– Jasne, jasne. Ale mówię ci, to było tylko takie gadanie. Plotłem, co ślina na język przyniosła. Męskie pogaduszki. Wiesz, jak to jest. Wiesz, że nie mówiłem poważnie. Czy to ja jestem jakiś perwers, czy co, na litość boską? Przestań, Frank, rozchmurz się. Lepiej już?

Frank wpatrywał się jeszcze w niego przez moment, a potem powiedział:

– Rozłóżmy to radio.

Tal Whitman otworzył wysoką szafkę na broń.

– Wielkie nieba, toż to normalny arsenał – powiedziała Jennifer Paige.

Podawał jej broń, a ona układała ją na pobliskim stole.

Broni było dużo jak na Snowfield. Dwa karabiny dalekiego zasięgu z lunetkami snajperskimi. Dwie strzelby półautomatyczne. Dwie nieszkodliwe sztuki broni do rozpraszania tłumów – specjalnie zmodyfikowane okazy wyłącznie na miękki, plastikowy śrut. Dwie raketnice. Dwa karabiny na granaty z gazem łzawiącym. Trzy egzemplarze broni krótkiej: para trzydziestek ósemek i wielki smith & wesson kaliber 357 magnum.

Kiedy porucznik układał na stole pudełko z amunicją, Jenny dokładniej zbadała magnum.

– To jest prawdziwy potwór, prawda?

– No. Tym to można zatrzymać bawołu indyjskiego.

– Wygląda na to, że Paul utrzymywał wszystko w pierwszorzędym stanie.

– Obchodzi się pani z bronią jak osoba, która ma to w małym palcu – powiedział porucznik, kładąc na stół pudełko naboii.

– Zawsze nie cierpiałam broni. Nigdy nie sądziłam, że będę miała coś takiego na własność. Ale w trzy miesiące potem jak się tu osiedliłam, zaczęły się kłopoty z gangiem motocyklowym. Zrobili sobie obóz wypoczynkowy gdzieś przy drodze do Mount Larson.

– Chromowy Demon.

– Tak, to o nich chodzi – przytaknęła Jenny. – Okropne chamy.

– Łagodnie mówiąc.

– Kilka razy, kiedy jechałam wieczorem do chorych do Mount Larson albo Pineville, miałam niepożądaną eskortę. Jechali po obu stronach mojego wozu ryzykując wypadek, szczyrzyli głupio zęby, wrzeszczeli, machali rękami, zachowywali się idiotycznie. Nie próbowali niczego na serio, ale czułam się...

– Zagrożona.

– Zgadł pan. Więc kupiłam broń, nauczyłam się z nią obchodzić i dostałam pozwolenie na noszenie jej przy sobie.

Porucznik zaczął otwierać pudełko z amunicją.

– Miała pani okazję jej użyć?

– Cóż, dzięki Bogu, nigdy nie było okazji. Ale raz trzeba było ją wyciągnąć. Tuż po zmierzchu

jechałam do Mount Larson i Demon zabawił się znowu w eskortę, choć tym razem trochę inną. Otoczyło mnie czterech na motorach, zaczęli zwalniać, zmuszali, żebym też zwalniała. W końcu doprowadzili do tego, że stanęłam na środku drogi.

– Serce musiało pani siedzieć w gardle.

– Jak nigdy! Jeden zszedł z motoru. Wielki, chyba ze sześć stóp i trzy albo cztery cale, długie kręcone włosy i broda. Na głowie opaska. I złoty kolczyk. Wyglądał jak pirat.

– Czy miał wytatuowane czerwono-żółte oczy na obu dłoniach?

– Tak! No, przynajmniej na tej, którą przycisnął do okna samochodu, kiedy na mnie patrzył.

Porucznik oparł się o stół.

– Nazywa się Gene Terr. Jest przywódcą gangu. Stara się nie wychylać za bardzo. Siedział w pace kilka razy, ale za drobne sprawy i nigdy długo. Za każdym razem, gdy mu grozi coś poważnego, jeden z jego ludzi bierze całą winę na siebie. Ma na nich nieprawdopodobny wpływ. Zrobią wszystko, czego zażąda, częściej go prawie jak boga. Nawet gdy usadzi się kogoś, Jeeter opiekuje się nim, przemyca pieniądze i narkotyki, więc pozostają mu wierni. Wie, że nie jesteśmy w stanie go tknąć i dlatego jest zawsze denerwująco uprzejmy, zgrywa się na prawego obywatela. Bardzo go to bawi. A więc Jeeter podszedł do pani wozu i zajrzał do środka?

– Tak. Chciał, żebym wyszła, a ja nie chciałam. Powiedział, że powinnam przynajmniej spuścić szybę, żebyśmy nie musieli do siebie krzyczeć. Odpowiedziałam, że odrobina krzyku mi nie przeszkadza. Zagroził, że wybije szybę, jeśli jej nie spuszczę. Wiedziałam, że jak to robi, sięgnie do środka i odblokuje drzwi, więc doszłam do wniosku, że lepiej wyjść z własnej woli. Mówię mu, że wyjdę, gdy się trochę cofnie. Cofnął się trochę, a ja wyjęłam szybko broń spod siedzenia. Kiedy tylko otworzyłam drzwi i wysiadłam, próbował rzucić się na mnie. Wsadziłam mu lufę w brzuch. Kurek był cofnięty do oporu, od razu się zorientował.

– Boże, ale bym chciał wtedy zobaczyć jego gębę! – Porucznik Whitman uśmiechnął się szeroko.

– Byłam śmiertelnie przerażona – wspominała Jenny. – To znaczy, oczywiście bałam się jego, ale bałam się też, że mogę zostać zmuszona do pociągnięcia za spust. Nie byłam nawet pewna, czy mi się to uda. Ale wiedziałam, że nie mogę pozwolić, by Jeeter zauważył choć cień wahania we mnie.

– Wtedy zjadłby panią na surowo.

– Tak sobie pomyślałam. Więc byłam bardzo chłodna i opanowana. Powiedziałam mu, że jestem lekarką i jadę do bardzo chorego pacjenta i nie życzę sobie, aby mnie zatrzymywano. Mówiłam cicho. Pozostali trzej faceci siedzieli na motorach trochę dalej i nie mogli widzieć broni ani dokładnie słyszeć, co mówiłam. Ten Jeeter wyglądał na typa, który raczej padnie, niż pozwoli, żeby ktoś zobaczył, jak słucha kobiety, więc nie chciałam go stawiać w kłopotliwej sytuacji i zmuszać do zrobienia czegoś jeszcze głupszego.

Porucznik potrząsnął głową.

– Pięknie go pani rozpracowała.

– Przypomniałam mu też, że on może kiedyś potrzebować lekarza. Co będzie, gdy mnie skrzywdzi i potem pewnego dnia wyłoży się na tym swoim motoru i wyląduje na drodze w krytycznym stanie i to ja pojawię się z pierwszą pomocą? Czyż to nie będzie świetna okazja, żeby zrewanżować mu się tym samym? Powiedziałam, że w przypadku skomplikowanych obrażeń istnieje wiele sposobów, dzięki którym lekarz może zapewnić pacjentowi długą i bolesną rekonwalescencję. Kazałam mu to sobie przemyśleć.

Whitman wpatrywał się w nią z otwartymi ustami.

– Nie wiem, czy to go powstrzymało, czy po prostu broń, ale zawahał się, a potem odegrał wielką scenę na cześć koleśków. Powiedział im, że jestem daleką przyjaciółką. Zna mnie od dawna, a teraz nie rozpoznał od razu. Cały Chromowy Demon ma mi okazywać wszelką pomoc. Nikt nigdy nie będzie mnie zaczepiał, obiecał. Potem wsiadł na swojego harleya i odjechał, a reszta za nim.

– A pani pojechała do Mount Larson?

– A co innego miałam zrobić? Pacjent czekał.

– Niewiarygodne.

– Ale przyznaję, że pociłam się i trzęsłam całą drogę do Mount Larson.

– I żaden motocyklista już pani nie napastował?

– W rzeczy samej. Kiedy mijają mnie, uśmiechają się i machają przyjaźnie łapami.

Whitman wybuchnął śmiechem.

– Więc odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: tak, umiem obchodzić się z bronią, ale mam nadzieję, że nigdy nie będę strzelać do nikogo.

Spojrzała na magnum kaliber 357, które trzymała w ręce, wzdrygnęła się, otworzyła opakowanie z amunicją i zaczęła ładować rewolwer.

Porucznik wyjął kilka nabozi z innego kartonu i ładował strzelbę.

Przez moment milczeli, a potem on przemówił:

– Zrobiłaby to pani Gene'owi Terrowi?

– Co? Czybym go zastrzeliła?

– Nie, chodzi mi o to, czy gdyby panią skrzywdził, może zgwałcił, a potem miałaby pani szansę zająć się nim jako pacjentem, to... czy pani...?

Jenny zakończyła ładowanie magnum, wrzuciła bęben, odłożyła rewolwer.

– Cóż, czułabym pokusę. Ale z drugiej strony, mam wielki szacunek dla przysięgi Hipokratesa. Więc... cóż... To oznacza chyba, że w głębi serca jestem słabo-silna i Jeeter miałby najlepszą opiekę, na jaką mnie stać.

– Wiedziałem, że pani to powie.

– Jestem twarda w gębie, ale w środku łagodna jak baranek.

– Niech mnie diabli – powiedział. – Żeby się postawić tak jak pani wtedy, trzeba być twardym jak rzadko kto. Ale gdyby panią skrzywdził, a pani wykorzystywała potem zaufanie, jakim się darzy lekarza, żeby wyrównać rachunki... no to już inna śpiewka.

Jenny podniosła oczy znad trzydziestki ósemki, którą się właśnie zajmowała, i spotkała wzrok czarnego mężczyzny. Patrzył szczerze i bezpośrednio.

– Doktor Paige, z pani, jak my mówimy, jest twarda sztuka. Chce pani, to proszę mi mówić Tal. Tak ludzie przeważnie mi mówią. Od Talbert.

– W porządku, Tal. A ty mów mi Jenny.

– No, co to, to... nie wiem.

– Och!?! A czemu?

– Jest pani lekarką i w ogóle. Moja ciocia Becky – ona mnie wychowała – zawsze miała wielki szacunek dla lekarzy. To po prostu niepoważne mówić do lekarza po imieniu.

– Lekarze to też ludzie, wiesz. I biorąc pod uwagę, że wszyscy siedzimy w tym kotle...

– To nie ma znaczenia – powiedział, potrząsając głową.

– Jak ci to przeszkadza, to mów mi jak większość pacjentów.

– A jak?

– Po prostu doktorku.

– Doktorku? – Zastanowił się nad tym i uśmiech powoli rozciągnął mu twarz. – Doktorek... To przypomina jednego z tych posiwiiałych, kłótliwych tumanów, których Barry Fitzgerald grywał w filmach w latach trzydziestych i czterdziestych.

– Wybacz mi, że jeszcze nie posiwiałam.

– Nie szkodzi. Na tumana też nie wyglądasz.

Roześmiała się łagodnie.

– To ci ironia! – powiedział Whitman. – Doktorek. Taak... i kiedy wyobrażę sobie, jak wsadzasz rewolwer w brzuch Gene'a Terra. Pasuje.

Załadowali jeszcze dwie sztuki broni.

– Tal, po co tyle broni na takim małym podkomisariacie jak w Snowfield?

– Żeby budżet okręgowego wydziału policji dostał odpowiednie stanowe i federalne fundusze, musi spełnić całą furę idiotycznych wymagań. Jednym z nich jest taki miniarsenał. A teraz... cóż... może powinniśmy chwalić Boga za całe to żelastwo.

– I za to, że jak do tej pory nie ujrzeliśmy niczego, do czego moglibyśmy strzelać.

– Podejrzewam, że przyjdzie na to czas – powiedział Tal. – I powiem ci coś.

– Co takiego?

Jego szeroka, ciemna, przystojna twarz umiała przybrać niepokojąco gorzki wyraz.

– Nie wydaje mi się, żebyś musiała się przejmować strzelaniem do ludzi. Jakoś nie wierzę, że powinniśmy bać się ludzi.

Bryce wystukał prywatny, zastrzeżony numer w rezydencji gubernatora w Sacramento. Przemawiał do pokojówki, która upierała się, że gubernator nie może podejść do telefonu, nawet jeśli to dzwoni stary przyjaciel z wieścią na wagę życia i śmierci. Chciała, żeby Bryce zostawił wiadomość. Potem rozmawiał z majordomusem, który domagał się tego samego. Następnie przełączono go i rozmawiał z Garym Poe, pierwszym asystentem i głównym doradcą politycznym gubernatora Jacka Retlocka.

– Bryce – powiedział Gary. – Jack nie może teraz podejść. Mamy tu właśnie ważny obiad. Japoński minister handlu i konsul generalny z San Francisco.

– Gary...

– Wyłazimy ze skóry, żeby załatwić dla Kalifornii te nowe elektroniczne japońsko-amerykańskie zakłady. Boimy się cholernie, że założą je gdzieś w Teksasie albo Arizonie, a może nawet w Nowym Jorku. Jezu, w Nowym Jorku!

– Gary...

– Co im strzeliło do głowy z Nowym Jorkiem, przy wszystkich tamtejszych problemach ze związkami i podatkami? Czasem myślę...

– Gary, stul pysk.

– Hę?

Bryce nigdy w życiu nie naskoczył na nikogo. Nawet Gary Poe – który potrafił mleć językiem szybciej i głośniejszym niż żywa reklama przed wesołym miasteczkiem – zaniemówił, oszołomiony.

– Gary, to nagły wypadek. Daj mi Jacka.

Poe, urażony, zaczął:

– Bryce, jestem upoważniony...

– Gary, w ciągu godziny muszę załatwić do cholery i trochę spraw. I to jeśli uda mi się ją przeżyć.

Nie stać mnie na stratę piętnastu minut, żeby objaśniać sprawę najpierw tobie, a potem znowu Jackowi. Słuchaj, jestem w Snowfield. Wygląda na to, że wszyscy, którzy tu mieszkali, nie żyją.

– Co?

– Pięciuset ludzi.

– Bryce, jeśli to jakiś kawał albo...

– Pięćset trupów. A to dopiero początek. A teraz dasz mi Jacka, na litość boską?

– Bryce, pięciuset ludzi...

– Dawaj Jacka, cholera jasna!

Poe zawahał się i powiedział:

– Tylko lepiej, żebyś nie wstawiał tu żadnych góvien, stary druhu. – Odłożył słuchawkę i poszedł po gubernatora.

Bryce znał Jacka Retlocka od siedemnastu lat. Kiedy zaczął pracować w policji w Los Angeles, trafił pod jego komendę. Wtedy Jack był w służbie siedem lat – weteran, fachman. Miał łeb na karku i znał miasto na wylot. Bryce zrazu rozpacział, że nie dorównuje mu choć w połowie. Jednak po roku był lepszy. Przysięgli sobie trzymać się razem. Ale osiemnaście miesięcy później, mając dość systemu regularnie uwalniającego ulicznych bandytów, których oni z takim trudem pakowali za kraty, Jack rzucił pracę w policji i wziął się za politykę. Jako gliniarz zebrał worek pochwał za odwagę w akcjach.

Wykorzystał *image* bohatera, żeby zostać członkiem rady miejskiej Los Angeles, potem startował na burmistrza i wygrał bezapelacyjnie. Z tego stanowiska wskoczył w fotel gubernatora. Była to dużo bardziej widowiskowa kariera niż powolne wspinanie się Bryce'a na urząd szeryfa Santa Mira, ale z tej dwójki Jack był zawsze agresywniejszy.

– Doody? To ty? – zapytał Jack, podnosząc słuchawkę w Sacramento.

Jack tak przezwał Bryce'a. Zawsze twierdził, że jasne włosy Hammonda, piegi, zdrowa cera i oczy drewnianej lalki przypominają mu Howdy'ego Doody'ego.

– To ja, Jack.

– Gary bredzi jakieś bzdury...

– To prawda.

Opowiedział Jackowi o Snowfield.

Wysłuchawszy całej historii, Jack nabrał powietrza w płuca i powiedział:

– Chciałoby się, żebyś był na bani, Doody.

– To nie gadka po wódzie, Jack. Posłuchaj, pierwsza rzecz, której potrzebuję, to...

– Gwardia Narodowa?

– Nie! Ich właśnie chcę uniknąć, jak długo się da.

– Jeśli nie wykorzystam gwardii i każdej formacji, którą dysponuję, a potem się okaże, że powinienem zacząć od nich, zmczę pięknie dupę i cały rój kleszczy wpije mi się tam, gdzie najbardziej boli.

– Jack, liczę, że podejmiesz absolutnie właściwą decyzję, nie tylko właściwą politycznie. Dopóki nie rozpoznam lepiej sytuacji, nie potrzeba tu hord gwardzistów, rozłazących się po mieście. Oni są wspaniali na wypadek powodzi albo strajku pocziarzy. Ale to nie żołnierze. To komiwojażerowie, prawnicy, cieśle i nauczyciele. Tu trzeba rygorystycznie nadzorowanej skutecznej operacji policyjnej, a takie sprawy mogą wykonać tylko gliny, stuprocentowe gliny.

– A jak twoi ludzie nie dadzą rady?

– Wtedy pierwszy będę wołał o gwardię.

W końcu Retlock powiedział:

– W porządku. Żadnych gwardzistów. Jak na razie.

Bryce odetchnął.

– I chcę, żeby Stanowy Wydział Zdrowia też nie wsadzał w to nosa.

– Doody, zastanów się. Jak mam to zrobić? Jeżeli istnieje choć cień podejrzenia, że jakaś zaraza wykończyła Snowfield albo że to jakieś zatrucie środowiska...

– Słuchaj, Jack. Zdrowie jest znakomite do odkrycia źródeł i kierunków roznoszenia zarazy, wie, jak zapobiec masowemu zatruciu żywności albo skażeniu wody. Ale w gruncie rzeczy to biurokraci. Nie spieszą się. W tym przypadku nie stać nas na powolność. W każdej chwili może tu wybuchnąć prawdziwe piekło. Prawdę mówiąc, będę zdziwiony, jeśli nie wybuchnie. Czuję przez skórę, że funkcjonujemy tu wyłącznie na kredyt. Poza tym Wydział Zdrowia nie ma odpowiedniego wyposażenia i planów na wypadek zagłady ludności całego miasta. Ale, Jack, istnieje ktoś, kto jest na to przygotowany. Korpus Medyczny, Oddział CBW, tak zwany Cywilny Oddział Obrony, ma stosunkowo świeży program.

– Oddział CBW? – zapytał Retlock. Napięcie w jego głosie wzrosło. – Chyba nie masz na myśli chłopców od broni biologicznej i chemicznej?

– Mam.

– Chryste, nie myślisz chyba, że to ma jakiś związek z gazem psychotoksycznym albo użyciem bakterii...

– Prawdopodobnie nie – powiedział Bryce. Myślał o odciętych głowach Libermannów, niesamowitym uczuciu, jakie ogarnęło go w krytym pasażu, nieprawdopodobnie nagłym zniknięciu Jake'a Johnsona. – Ale nie orientuję się jeszcze w tym na tyle dobrze, żeby cokolwiek wykluczać.

Gniew zabarwił ostrym tonem głos gubernatora.

– Jeśli cholerne wojo wypuściło bezmyślnie jakiegoś pieprzonego śmiercionośnego wirusa, polecą kilka głów!

– Spokojnie, Jack. Może to nie przypadek. Może to robota terrorystów, którzy dostali w łapy próbkę jakiegoś środka chemiczno-bakteriologicznego. Albo mogą to być Rosjanie. Przeprowadzają sobie teścik na nasz system rozpoznania i obrony. To ze względu na takie sytuacje Korpus Medyczny nakazał Oddziałowi CBW stworzenie zespołu generała Copperfielda.

– Co to za Copperfield?

– Generał Galen Copperfield. Jest dowódcą Cywilnego Oddziału Obrony. Tu mają właśnie taką sytuację, o jakich chcą być informowani. W ciągu kilku godzin Copperfield może dostarczyć do Snowfield zespół wyszkolonych naukowców. Pierwszorzędni biolodzy, wirusolodzy, bakteriologowie, patolodzy obeznani w najświeższych odkryciach medycyny sądowej, przynajmniej jeden immunolog i biochemik, neurolog i nawet neuropsycholog. Wydział Copperfielda zaprojektował bogato wyposażone połowe laboratoria. Stacjonują w magazynach wojskowych w całym kraju, więc muszą być stosunkowo blisko i nas. Przytrzymaj ekipę ze Zdrowia, Jack. Nie mają ludzi kalibru zespołu Copperfielda i nie mają tak nowoczesnego sprzętu diagnostycznego, równie mobilnego jak sprzęt Copperfielda. Chcę zadzwonić do generała, i rzeczywiście zadzwonię zaraz do niego, ale wolę wpięć swoją zgodę i gwarancję, że biurokraci z agencji stanowych nie będą się tu plątać i przeszkadzać.

Jack Retlock zastanawiał się krótko i powiedział:

– Doody, w jakim my świecie żyjemy, jeśli konieczny okazuje się nawet wydział Copperfielda?

– Przytrzymasz Zdrowie?

– Tak. Czego ci jeszcze trzeba?

Bryce spojrział na listę przed sobą.

– Może zechciałbyś nawiązać łączność z przedsiębiorstwem telekomunikacyjnym. Niech wyłączy Snowfield z połączeń automatycznych. Kiedy świat się dowie, co się tu dzieje, telefony w mieście oszaleją i nie utrzymamy komunikacji podstawowej. Jeśli mogą przeprowadzić całą łączność do i z Snowfield przez kilka dobranych telefonistek, wykluczyć szajbusów i...

– Załatwione – powiedział Jack.

– Oczywiście, możemy w każdej chwili stracić łączność. Doktor Paige miała kłopoty z nawiązaniem łączności, kiedy próbowała zadzwonić po raz pierwszy, więc potrzebuję krótkofalówki. Egzemplarz na podkomisariacie wygląda na rozmyślnie zniszczony.

– Mogę załatwić ci ruchomą stację nadawczo-odbiorczą. To mikrobus z własnym generatorem benzynowym. Urząd Stałego Pogotowia na Wypadek Trzęsień Ziemi ma ich kilka. Coś jeszcze?

– Jeśli jesteśmy przy generatorach; byłoby miło, gdybyśmy nie byli zależni od publicznej sieci energetycznej. To oczywiste, że nasz wróg robi z nią, co chce. Mógłbyś przysłać nam dwa generatory?

– Mógłbym. Coś jeszcze?

– Jak mi coś wpadnie do głowy, zadzwonię.

– Powiem ci coś, Bryce: jako przyjacielowi diabelnie mi się nie podoba, że siedzisz w środku tego wszystkiego. Ale jako gubernator jestem cholernie zadowolony, że to diabelstwo podpada pod twój rejon. Jest kilku nadętych dupków, którzy już by to spieprzyli, gdyby na nich padło. A w razie choroby roznieśliby ją na pół stanu. Jesteś tam potrzebny.

– Dzięki, Jack.

Milczeli obaj przez chwilę.

Po jakimś czasie odezwał się Retlock:

– Doody?

– Co, Jack?

– Uważaj na siebie.

– Będę, Jack. Wiesz, muszę teraz dorwać Copperfielda. Zadzwonię później.

– Koniecznie, Bryce – powiedział gubernator. – Zadzwonź do mnie później. Nie zniknij, stary druhu.

Bryce odłożył słuchawkę i rozejrzał się po podkomisariacie. Stu Wargle i Frank zdejmowali przednią płytę z radia. Tal i doktor Paige ładowali broń. Gordy i mała Lisa Paige, największa i najmniejsza osoba w grupie, parzyli kawę i szykowali jedzenie.

Nawet tu, w Krainie Gdzie Wszystko Zdarzyć Się Może, pomyślał Bryce, musimy wypić kawę i zjeść kolację. Życie toczy się dalej.

Podniósł słuchawkę, żeby zadzwonić do Copperfielda w Dugway, Utah.

Nie było sygnału. Nacisnął widelki.

– Halo – powiedział.

Nic.

Bryce poczuł, że ktoś – albo coś – słucha. Czuł czyjąś obecność, tak jak opisała to doktor Paige.

– Kto to? – zapytał.

Nie oczekiwał naprawdę odpowiedzi, ale otrzymał ją. To nie był głos ludzki. Był to szczególny, choć znajomy dźwięk: krzyk ptaków, może mew; tak, okrzyk mew, skrzeczących wysoko nad brzegiem smaganego wiatrem morza.

Dźwięk zmienił się. W klekot. Grzechot. Jak fasola wrzucana do pustej tykwy. Ostrzegawczy sygnał

grzechotnika. Tak, nie ma wątpliwości. Bardzo wyraźne ostrzeżenie grzechotnika.

I znów się zmienił. Elektroniczny bzyk. Nie, nie elektroniczny. Pszczoły. Pszczoły brzęczą, roją się.

I jeszcze raz krzyk mew.

I wołanie innego ptaka, muzyczny tryl.

I ziajanie. Jak u zmęczonego psa.

I warczenie. Nie pies. Coś większego.

I fuknięcia, miauczenie walczących kotów.

Choć w samych dźwiękach nie było nic groźnego – może z wyjątkiem klekotu i warczenia – Bryce'owi mróz poszedł po kościach.

Zwierzęce hałasy urwały się. Bryce czekał, nasłuchiwał.

– Kto tam? – spytał.

Żadnej odpowiedzi.

– Czego chcesz?

Inny dźwięk pojawił się na linii. Przeszył serce Bryce'a jak ostry sople lodu. Krzyki. Mężczyzn, kobiet i dzieci. Więcej niż kilka osób. Dziesiątki, setki. Nie udawane krzyki; nie fabrykowana groza. Były to wyraźne, wstrząsające krzyki potępionych: jęki agonii, lęku i spalającej serce rozpacz.

Bryce poczuł gorycz w ustach.

Serce waliło mu jak opętane.

Wydało mu się, że połączył się z trzewiami piekieł.

Czy to krzyki umarłych ze Snowfield nagrane na taśmę magnetofonową? Przez kogo? Po co? Czy to odgłosy na żywo, czy zarejestrowane?

Jeden, ostatni krzyk. Dziecko. Mała dziewczynka. Krzyczała, przejęta grozą, bólem, niewyobrażalnym cierpieniem, jak rozrywana żywcem. Jej głos rósł, wznosił się coraz wyżej i wyżej...

Milczenie.

Milczenie – nawet gorsze niż krzyk – ponieważ bezimienna istota była nadal na linii i Bryce czuł ją tym silniej. Uderzyła go świadomość czystego, nieubłaganego zła.

Ono było blisko.

Szybko odłożył słuchawkę.

Trząśnięcie. Nie stał twarzą w twarz z żadnym niebezpieczeństwem – a przecież trząśnięcie.

Rozejrzał się po „zagrodzie byków”. Ludzie nadal zajmowali się tym, co im przydzielili. Chyba nikt nie zauważył, iż jego ostatnia rozmowa telefoniczna bardzo różniła się od wcześniejszych.

Pot spływał mu po szyi.

W końcu będzie musiał powiedzieć innym, co się stało. Ale nie teraz. Bo teraz nie potrafił zaufać własnemu głosowi. Z pewnością usłyszeliby nerwowe drżenie i zorientowali się, że to dziwne przeżycie mocno nim szarpnęło.

Dopóki nie zjawią się posiłki, dopóki ktoś ich nie wesprze w Snowfield, dopóki nie umocnią się, dopóki nie przestaną mniej się bać, będzie lepiej, aby inni nie widzieli, jak telepie się w dzikim przerażeniu. Przecież ufali mu, przewodził im; nie mógł ich zawieść.

Wziął długi, głęboki, oczyszczający oddech.

Podniósł słuchawkę i natychmiast dostał sygnał. Z ogromną ulgą zadzwonił do Cywilnego Oddziału Obrony CBW w Dugway, Utah.

Gordy Brogan spodobał się Lisie.

Na początku robił wrażenie groźnego i posepnego. Było z niego takie chłopsko, z tak wielkimi

dłońmi, że człowiekowi przychodził na myśl Frankenstein. Twarz miał całkiem przystojną, ale kiedy się marszczył, nawet jak nie był zły, nawet kiedy po prostu martwił się czymś albo myślał szczególnie uporczywie, brwi łączyły mu się w surowym grymasie, a głębokie, czarne oczy robiły się jeszcze czarniejsze niż zwykle i wyglądał jak demon przeznaczenia.

Uśmiech przemieniał go. To było po prostu nie do uwierzenia. Kiedy się uśmiechał, od razu wiedziałeś, że masz przed sobą prawdziwego Gordy'ego Brogana. Wiedziałeś, że tamten Gordy to tylko wymysł wyobraźni. Ciepły, szeroki uśmiech podkreślał uprzejmość bijącą z oczu, łagodność szerokiego czoła.

A kiedy się go rozgryzło, okazywało się, że jest jak wielki szczeniak łaszący się o pieśczoły. Jeden z tych niewielu dorosłych, którzy potrafią mówić do młodszych bez skrepowania, zniżania się albo protekcyjności. Był w tym jeszcze lepszy niż Jenny. I nawet w obecnej sytuacji potrafił się śmiać.

Gdy przygotowali na stole jedzenie: mielonkę, chleb, ser, świeże owoce, pączki, i parzyli kawę, Lisa powiedziała:

– W ogóle nie wyglądasz na glinę.

– Ho, ho – zdziwił się Gordy. – A jak ma wyglądać glina?

– Psiakość. Źle powiedziałam? Czy „głina” to obraźliwe słowo?

– W niektórych miejscach, tak. W więzieniach na przykład.

Była zdumiona, że dalej potrafi się śmiać, po wszystkim, co wydarzyło się tego wieczoru.

– Ale serio. Jak według ciebie należy się zwracać do stróżów prawa? Panie policjancie?

– To bez znaczenia. Jestem zastępcą, policjantem, gliną – jak chcesz. Tylko żebyś nie myślała, że nie pasuję do nich.

– Och, pasujesz – powiedziała Lisa. – Zwłaszcza kiedy się marszczysz. Ale nie robisz wrażenia gliny.

– A na kogo wyglądam według ciebie?

– Daj pomyśleć. – Ta zabawa spodobała się jej od razu, bo odwróciła uwagę od koszmaru wokół. – Może na... młodego pastora.

– Ja?

– No, byłbyś fantastyczny na mównicy, wygłaszając płomienne kazanie. I widzę, jak siedzisz na plebani i z zachęcającym uśmiechem na twarzy rozwiązujesz ludzkie problemy.

– Ja pastorem? – powtórzył, wyraźnie zaskoczony. – Z twoją wyobraźnią powinnaś zostać pisarką.

– Zdaje mi się, że powinnam być lekarką, jak Jenny. Lekarz może działać dużo dobrego. – Zamilkła.

– Wiesz, dlaczego nie wyglądasz na glinę? Bo nie mogę sobie wyobrazić, jak używasz tego. – Wskazała na rewolwer. – Nie wyobrażam sobie, że strzelasz do kogoś. Nawet gdyby na to zasługiwał.

Wyraz, który pojawił się na twarzy Gordy'ego Brogana, zaskoczył ją. Chłopak był wyraźnie wstrząśnięty.

Zanim zdążyła zapytać, co się stało, światła zamigotały.

Podniosła wzrok.

Zamigotały jeszcze raz. I jeszcze.

Spojrzała na okna. Na dworze latarnie też mrugnęły.

Nie, pomyślała. Nie, proszę, Boże, już nie. Nie rzucaj nas znów w ciemność. Proszę, proszę!

Światła zgasły.

STWORZENIE ZA OKNEM

Bryce Hammond rozmówił się z oficerem mającym nocną służbę przy numerze alarmowym w Cywilnym Oddziale Obrony CBW w Dugway, Utah. Nie musiał zbyt strześcić języka, zanim przełączono go na domowy numer generała Galena Copperfielda. Copperfield słuchał, ale nie odzywał się wiele. Bryce chciał wiedzieć, czy w ogóle jest możliwe, że czynnik bakteriologiczny lub chemiczny spowodował śmierć i spustoszenie Snowfield. Copperfield powiedział „tak”, ale do tego się ograniczył. Ostrzegł Bryce’a, że są na otwartej linii, i poczynił mgliste, choć szorstko brzmiące uwagi na temat zastrzeżonych informacji i przepisów o ich tajności. Kiedy poznał podstawowe wydarzenia, nie pytał o szczegóły, obciął Bryce’a dość stanowczo i zasugerował, by omówili resztę, gdy spotkają się twarzą w twarz. „Wiem dość, aby mieć pewność, że moja organizacja winna się w to zaangażować”. Obiecał przysłać do Snowfield laboratorium polowe i zespół badawczy. Dotrą tam nad ranem lub nieco później.

Bryce odkładał słuchawkę, kiedy światła zamigotały, przygasły, zamigotały, zafalowały – i zgasły.

Poszukał na ślepo latarki, spoczywającej na biurku, znalazł ją i włączył.

Wcześniej na podkomisariacie znaleźli dwie długie policyjne latarki. Gordy wziął jedną, Jenny Paige drugą. Teraz obie zaświeciły, wycinając w ciemności jasne rany światła.

Wcześniej także przedyskutowali plan działania, na wypadek gdyby światło znowu zgasło. Teraz więc wszyscy odsunęli się od drzwi i okien i zbrali się w kole na środku pokoju, zwróceniem twarzami na zewnątrz, zmniejszając do minimum własną bezbronność.

Nikt za dużo nie mówił. Wszyscy skupili się na nasłuchiowaniu.

Lisa Paige na lewo od Bryce’a. Szczupłe ramiona zgarbiła, schyliła głowę.

Tal Whitman stał po prawej ręce szeryfa. Obnażył zęby w milczącym warknięciu, wpatrywał się w mrok poza wyrzucany przez latarki promienisty strumień.

Tal i Bryce trzymali w rękach rewolwery.

Ta trójka stała twarzami do tylnej części pomieszczenia, pozostali – Jenny Paige, Gordy, Frank i Stu – skierowali twarze do frontu.

Bryce uważnie sunął promieniem swojej latarki. Cieniste obrzeża najzwyklejszych przedmiotów nagle stały się groźne. Ale nie odkrył niczego. Nic nie pełzło po meblach czy urządzeniach.

Cisza.

Tylna ściana. W kącie na prawo dwoje drzwi. Jedne na korytarz, z którego wchodziło się do cel dla aresztantów. Wcześniej przejrzeni tę część budynku. Cele, sala przesłuchań i dwie toalety były puste. Drugie drzwi wiodły na górę, do mieszkania zastępcy; również w tych kwaterach nikogo nie znaleźli. Niemniej jednak Bryce bez przerwy wracał światłem do uchylonych drzwi. Niepokoiły go.

W ciemności usłyszeli miękkie tupnięcie.

– Co to? – zapytał Wargle.

– To stamtąd – rzekł Gordy.

– Nie, stąd – powiedziała Lisa Paige.

– Cisza! – przerwał ostro Bryce.

TOMP... TOMP – TOMP

Był to odgłos wygłuszonego uderzenia. Poduszki upadającej na podłogę.

Bryce szybko przesunął światłem po ścianie.

Tal poszedł rewolwerem za latarką.

Bryce pomyślał: Co zrobimy, jeśli nie będzie światła przez resztę nocy? Co zrobimy, kiedy baterie w końcu się wyczerpią? Co wtedy?

Nie bał się ciemności od czasu, kiedy był małym chłopcem. Teraz przypomniał sobie, jak to jest.

TOMP – TOMP... TOMP... TOMP – TOMP

Głośniej. Ale nie bliżej.

TOMP!

– Okna! – krzyknął Frank.

Bryce obrócił się błyskawicznie, szukając światłem. Trzy jasne promienie odnalazły równocześnie frontowe okna, zmieniając liczne kwadraty szyb w kryjące wszystko lustra.

– Świećcie na sufit albo podłogę – powiedział Bryce.

Jeden promień poszedł w dół, drugi w górę. Poblask ukazał okna, nie zmieniając ich w srebrne powierzchnie.

TOMP!

Coś uderzyło o okno, zatrzęsło luźną ramą. Echo poszło w noc. Bryce'owi wydało się, że słyszał skrzydła.

– Co to było?

– ...ptak...

– ...w życiu takiego ptaka...

– ...coś...

– ...okropnego...

Powróciło, biło o szybę z większą determinacją niż poprzednio: TOMP – TOMP – TOMP – TOMP – TOMP!

Lisa wrzasnęła.

Frank Autry głośno nabrał powietrza.

– Ja pierdołę! – zaklął Stu Wargle.

Gordy wydał przyduszony, nieartykułowany dźwięk.

Wpatrując się w okno, Bryce miał wrażenie, że zajrzał za kurtynę oddzielającą realny świat od krainy koszmarów nocnych i zjaw.

Na pokrytej mrokiem Skyline Road ścieliło się jedynie opalizujące światło księżyca, jednakże stworzenie za oknem było częściowo widoczne.

Widok nawet niewyraźnego zarysu tej potworności był trudny do wytrzymania. To, co Bryce zobaczył po drugiej stronie szkła – lub zdawało mu się, że widzi w kalejdoskopowej grze światła, cienia, drgających księżycowych promieni – napłynęło jakby z gorączkowego snu. Miało skrzydła rozpiętości trzech, czterech stóp. Owadzią głowę. Krótkie, drgające czułki. Niewielkie, ostre, bezustannie pracujące szczęki. Segmentowy, zwieszony między szarymi skrzydłami odwłok o kształcie dwóch piłek do rugby, stykających się spiczastymi końcami, w tym samym odcieniu co skrzydła – szary omszała, mdląca szarością – puszysty i połyskujący wilgocią. Bryce dojrzał również oczy: wielkie, przepastnie czarne, złożone z wielu soczewek łąpiących i rozszczepiających i odbijających światło. Połyskiwały ciemno i żarłocznie.

Jeśli widział to, co wydawało mu się, że widział, stworzenie za oknem było ćmą wielkości orła. Szaleństwo.

Thukło się o okno z nową furją, gorączkowo; blade skrzydła biły tak szybko, że zacierał się ich kształt. To pełzło wzdłuż ciemnych framug, to odlatywało w noc, to wracało, gorączkowo usiłując stłuc

szybę. TOMPTOMPTOMPTOMPTOMP. Ale nie miało dość siły, by się przebić. Całe ciało, pozbawione pancerza, było miękkie i mimo niewiarygodnych rozmiarów i budzącego grozę wyglądu nie potrafiło rozbić szkła.

TOMPTOMPTOMPTOMPTOMP

Potem znikło.

Światła zabłyśły na nowo.

A to cholerne przedstawienie! – pomyślał Bryce.

Kiedy uzmysłowili sobie, że stworzenie zza okna nie powraca, wszyscy zgodnie, choć bez słowa, ruszyli przez bramkę w balustradzie i część ogólnodostępną, ku oknu, stanęli i wpatrywali się w ciemność, w dzwoniącej w uszach ciszy.

Skyline Road, nie zmieniona.

Noc wionęła pustką.

Wszystko spoczywało w bezruchu.

Bryce siadł na skrzypiącym fotelu za biurkiem Paula Hendersona.

Reszta zgromadziła się wokół.

– Tak to – powiedział Bryce.

– Tak to – zawtórował Tal.

Spoglądali po sobie niespokojnie.

– Ktoś ma coś mądrego do powiedzenia? – spytał Bryce.

Nikt nie rzekł słowa.

– Żadnych teorii, co by to mogło być?

– Ohyda. – Lisa zadrżała.

– To prawda, masz rację. – Jenny Paige położyła dłoń na ramieniu siostry, chcąc dodać jej otuchy.

Bryce był pod wrażeniem niezłomności charakteru i odporności lekarki. Miało się wrażenie, że żaden wstrząs, jakim częstowało ją Snowfield, nie był w stanie jej zaszkodzić. Prawdę mówiąc trzymała się lepiej niż jego ludzie. Tylko ona odpowiadała mu spojrzeniem prosto w oczy, pozostali spuszczaali wzrok.

Niezwykła kobieta, pomyślał.

– Nieprawdopodobne – powiedział Frank Autry. – Ot co. Właśnie to: nieprawdopodobne.

– Do diabła, ludzie, co się z wami porobiło? – zapytał Wargle. Skrzywił mięsistą twarz. – To był tylko ptak. Nic poza tym. Zwykły, cholerny ptak.

– Idź do diabła – powiedział Frank.

– Jakieś marne ptaszysko – upierał się Wargle, a kiedy nie zgadzali się, dodał: – Słabe światło i te wszystkie cienie zaćmiły wam wzrok. To, coście widzieli, zdawało wam się.

– A co według ciebie nam się zdawało? – zapytał go Tal.

Twarz Wargle'a podeszła szkarłatem.

– Czy widzieliśmy to samo co ty? Stworzenie, którego wygląd nie może ci się pomieścić we łbie? – naciskał Tal. – Ćmę? Czy widziałeś jakąś cholerną, wielką, nieprawdopodobną ćmę?

Wargle przyglądał się swoim butom.

– Widziałem ptaka. Tylko ptaka.

Bryce uświadomił sobie, że Wargle jest tak ograniczony, iż nie stać go na objęcie wyobraźnią rzeczy nieprawdopodobnych. Nawet kiedy ujrzał je na własne oczy.

– Skąd się to wzięło tutaj? – spytał Bryce.

Nikt nie miał żadnego pomysłu.

– Czego chciało? – pytał.

– Nas – odpowiedziała Lisa.

Wszyscy myśleli podobnie w głębi duszy.

– Ale nie to stworzenie zza okna dopadło Jake’a – powiedział Frank. – Jest słabe. Zawodniczka wagi lekkiej. Nie dałaby rady unieść dorosłego mężczyzny.

– To co dopadło Jake’a? – pytał Gordy.

– Coś większego – ciągnął Frank. – Coś o wiele silniejszego i groźniejszego.

Bryce uznał, że czas powiedzieć im o istotach, które słyszał – i czuł – w słuchawce, o milczącej obecności: odległych krzykach mew, ostrzegawczym grzechocie węża i, co najgorsze, rozpaczliwych krzykach umierających ludzi. Nie zamierzał wspominać o tym aż do rana, do nadejścia światła i posiłków. Ale przecież inni mogli dostrzec coś ważnego, co umknie jego uwagi, jakiś strzęp czegoś, co mogłoby być pomocną wskazówką. Poza tym teraz, kiedy wszyscy ujrzeli stworzenie za oknem, incydent z telefonem przestał być tak bardzo szokujący.

Wysłuchali Bryce’a i nowa informacja przygnębiła ich jeszcze bardziej.

– Co za degenerat rejestruje krzyki ofiar? – zapytał Gordy.

Tal Whitman potrząsnął głową.

– To mogło być coś innego. To mogło być...

– Tak?

– Cóż, może wolelibyście tego nie usłyszeć.

– Jak zacząłeś, to kończ – przycisnął go Bryce.

– Dobra. A jeśli nie słyszałeś nagrania? Wiemy, że ludzie ze Snowfield zniknęli. Ale na to wygląda, że raczej zniknęli, niż umarli. Więc... co, jeśli ci zaginieni są gdzieś trzymani? Jak zakładnicy? Może to krzyczeli ludzie wciąż jeszcze żywi, torturowani i może wtedy właśnie zabijani, wtedy kiedy byłeś na linii i słuchałeś?

Bryce przypomniał sobie straszliwe krzyki i czuł, jak lodowacieje z wolna do szpiku kości.

– Taśma czy nie – powiedział Frank Autry – ale to chyba błąd widzieć sprawę w schemacie porwania.

– Tak – podchwyciła Jenny Paige. – Jeśli pan Autry uważa, że nie powinniśmy ograniczać naszego myślenia do sytuacji konwencjonalnych, zgadzam się całym sercem. To po prostu nie pasuje do klasycznego porwania. Tu dzieje się coś cholernie niezwykłego, coś, z czym nikt z nas nie zetknął się do tej pory, więc nie zaczynamy oglądać się wstecz tylko dlatego, że łatwiej, wygodniej będzie nam ze znanymi schematami. Poza tym co ma do terrorystów stworzenie zza okna? Nic.

Bryce skinął głową.

– Ma pani rację. Ale chyba Tal nie sądzi, że ci ludzie są porwani z konwencjonalnych przyczyn.

– Nie, nie – zaprzeczył Tal. – To nie muszą być terroryści albo porywacze. Nawet jeśli ludność wzięto jako zakładników, to jeszcze nie oznacza, że trzymają ich inni ludzie. Jestem nawet gotów brać pod uwagę, że więzi ich coś nieludzkiego. Podoba się wam taka otwartość umysłu? Może ono ich trzyma, to coś, czego nikt z nas nie potrafi określić? Może rozkoszuje się ich powolnym konaniem? Może drwi z nas, każąc nam słuchać ich krzyków, tak jak Bryce’owi przez telefon? Do diabła, jeśli mamy do czynienia z czymś naprawdę wyjątkowym, naprawdę nieludzkim, to przyczyny porwania – jeśli ono trzyma jakichś zakładników – mogą nam się w głowach nie mieścić.

– Chryste, gadasz jak opętany – dodał swoje Wargle.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Przeszli na drugą stronę lustra. Nieprawdopodobne stało się możliwe. Wróg był nieznanym.

Lisa Paige odchrząknęła. Twarz miała koloru mąki. Ledwo słyszalnym głosem powiedziała:

– Może rozwinęło gdzieś pajęczynę, głęboko w mroku, w piwnicy albo pieczarze, i może zwinęło wszystkich tych zaginionych, zamknęło, żywych, w kokonach. Odłożyło do chwili, kiedy znów poczuje głód.

Jeśli królestwo możliwości jest nieskończone, jeśli nawet najbardziej wyuzdane teorie mogą okazać się prawdziwe, to może dziewczyna ma rację, pomyślał Bryce. Może na ogromnej, drgającej w mrocznym zakątku pajęczynie wisi setka, dwie albo więcej smakowitych kąsków ludzkich. Pojedyncze opakowania, wygodne i świeże. Gdzieś w Snowfield znajdują się żywe istoty ludzkie, zredukowane do przerażających ekwiwalentów gotowych kanapek. Nie czeka ich nic, staną się pokarmem jakiejś brutalnej, niewyobrażalnie złej, mrocznej, inteligentnej potworności.

Nie. To śmieszne.

Z drugiej strony: a może?

Jezu.

Bryce przykucnął przed krótkofalówką i zmrzywszy oczy wpatrywał się w potrzaskane bebechy. Płytki z obwodami połamane. Kilka części zapoznało się chyba z obcęgami albo młotkiem.

– Zdjęto przednią osłonę, żeby się dostać do środka, tak jak my to zrobiliśmy – powiedział Frank.

– Ale skoro przerobili to na złom – zauważył Wargle – po co zawracali sobie głowę wstawianiem osłony?

– A po co w ogóle zawracali sobie głowę? – zastanawiał się Frank. – Mogli zwyczajnie rozbroić sprzęt wyrywając przewód sieciowy.

Lisa i Gordy podeszli, gdy Bryce odwracał się od radia. – Jak ktoś ma ochotę – powiedziała dziewczyna – to jedzenie i kawa czekają.

– Umieram z głodu. – Wargle obliznął wargi.

– Wszyscy powinniśmy coś zjeść, nawet jak nie mamy ochoty – rzekł Bryce.

– Szeryfie – odezwał się Gordy – Lisa i ja zastanawialiśmy się nad zwierzętami. Nad domowymi zwierzętami. Zaczęliśmy główkować, jak pan powiedział, że słyszał psy i koty przez telefon. Sir, co się stało ze zwierzętami?

– Nikt nie widział psa ani kota – powiedziała Lisa. – Nie słyszał szczekania.

Bryce pomyślał o cichych ulicach, wzdrygnął się.

– Masz rację. To dziwne.

– Jenny mówi, że w mieście było kilka wielkich psów. Parę niemieckich owczarków. Wie o dobermanie. Nawet o dogu. Nie uważa pan, że walczyłyby? Nie sądzi pan, że kilka mogłoby uciec?

– Dobra – powiedział szybko Gordy, uprzedzając odpowiedź Bryce'a – więc może to jest dość wielkie, żeby pokonać zwykłego złego psa. Dobra, wiemy też, że kule tego nie powstrzymają, że może nic go nie powstrzyma. Jest wielkie i silne. Ale, sir, coś wielkiego i silnego niekoniecznie da sobie radę z kotem. Koty są jak błyskawica. Trzeba coś naprawdę cholernie zwinnego, żeby mogło chapnąć każdego kota w mieście.

– Naprawdę zwinnego i naprawdę szybkiego – zawtórowała Lisa.

– No – potwierdził niespokojnie Bryce. – Coś naprawdę szybkiego.

Jenny napoczęła właśnie kanapkę, kiedy szeryf Hammond siadł na krześle obok, kładąc talerzyk na kolanach.

– Mogę się dołączyć?

– Ależ proszę.

– Tal Whitman opowiadał mi, że z pani bicz boży na nasz gang motocyklowy.

Uśmiechnęła się.

– Tal przesadza.

– Ten człowiek nie umie przesadzać – powiedział szeryf. – Opowiem pani coś. Szesnaście miesięcy temu byłem przez trzy dni na konferencji w Chicago i kiedy wróciłem, Tal był pierwszą osobą, którą spotkałem. Zapytałem, czy zdarzyło się coś nadzwyczajnego, gdy mnie nie było, a on na to, że tylko drobne powszednie sprawy z pijanymi kierowcami, bójki w barach, kilka włamań, różne CIT-y...

– Co to jest CIT? – zapytała Jenny.

– Och, to po prostu zgłoszenie: kot-na-drzewie.

– Policjanci naprawdę nie zajmują się kotami, co?

– Uważa pani, że jesteśmy bez serca? – spytał, udając wielką urazę.

– CIT-y? Żarty.

Uśmiechnął się. Miał urzekający uśmiech.

– Raz na kilka miesięcy zdejmujemy kota z drzewa. Ale CIT nie oznacza tylko kota na drzewie. To nasz skrót na określenie każdego zawracania głowy, które odrywa nas od poważniejszej pracy.

– Ach...

– W każdym razie, kiedy wróciłem wtedy z Chicago, Tal mi powiedział, że to były bardzo zwyczajne trzy dni. A potem, jakby po namyśle, mówi, że zdarzyła się próba napadu na sklep nocny. Tal wpadł tam wtedy jako zwykły klient, bez munduru. Ale glina nawet poza służbą jest obowiązany nosić przy sobie broń i Tal miał rewolwer w kaburze przy kostce. Powiada mi, że musiał zabić jednego z bandytów – facet miał broń. Nie muszę się zastanawiać, czy użycie broni było uzasadnione, czy nie. Było jak najbardziej uzasadnione. Kiedy zapytałem, czy jemu nic się nie stało, mówi: „Bryce. To naprawdę była bułka z masłem”. Później dowiedziałem się, że ci dwaj bandyci zamierzali wystrzelać wszystkich. Zamiast tego Tal zastrzelił faceta z bronią – choć na ułamek sekundy wcześniej sam dostał w lewe ramię. Rana nie była poważna, ale krwawiła jak wszyscy diabli i musiała boleć jak cholera. Oczywiście nie widziałem opatrunku, bo Tal miał go pod koszulą i oczywiście nie uważał, że warto o nim wspominać. W każdym razie Tal jest w sklepie, krwawi na potęgę i wystrzelał całą amunicję. Drugi bandyta złapał za broń kolesia, okazuje się, że też jest już bez naboju i chce uciekać. Tal za nim i zaczyna się bójka z mordobiciem i maglowaniem po podłodze, od jednego końca sklepiku do drugiego. Facet dwa cale wyższy od Tala, dwadzieścia funtów cięższy i nie był ranny. A wie pani, co powiedział mi funkcjonariusz, który przyjechał ze wsparciem? Powiedział, że Tal siedział na ladzie przy kasie, popijał kawkę, którą dostał w podzięce, a kasjerka usiłowała zatamować mu upływ krwi. Jeden bandyta trup. Drugi leży nieprzytomny na grząskiej kupie batonów, cukierków i babeczek kokosowych. Wyglądało na to, że podczas walki przewrócili ladę z ciastkami, że sto opakowań poleciało na podłogę i Tal z tamtym gościem stratowali prawie wszystkie. Lukier, pokruszone ciastka i pogniecione batony zaścielały całe jedno przejście.

Szeryf zakończył opowieść i spojrzał wyczekująco na Jenny.

– Och! I powiedział, że to było łatwe zatrzymanie – bułka z masłem.

– No. Bułka z masłem. – Szeryf zaśmiał się.

Jenny spojrzała na Tala Whitmana. Stał w kącie, jadł kanapkę i rozmawiał z funkcjonariuszem Broganem i Lisa.

– Więc widzi pani – ciągnął szeryf – kiedy Tal mówi, że jest pani biczem bożym na Chromowego

Demona, wiem, że nie przesadza. Przesada nie leży w jego naturze.

Jenny z uznaniem potrząsnęła głową.

– Kiedy opowiadałam Talowi o spotkaniu z tym facetem, Gene'em Terrem, słuchał tego jak relacji o superwyczywie. W porównaniu z tą jego „bułką z masłem”, przeżyłam kłótnię z przedszkolnego ogródka.

– Nie, nie – powiedział Hammond. – Tal wcale nie chciał pani schlebiać. Naprawdę myśli, że dokonała pani czegoś cholernie odważnego. Ja też tak myślę. Jeeter to wąż, doktor Paige. Z tych jadowitych.

– Może pan mi mówić Jenny, jak pan chce.

– No, Jenny-jak-pan-chce, możesz mi mówić Bryce.

Miał najbardziej błękitne oczy, jakie w życiu widziała. A uśmiech rozjaśniał całą jego twarz.

Jedząc, rozmawiali o głupstwach, jakby to był zwykły wieczór. Bryce posiadał imponującą umiejętność tworzenia swobodnej atmosfery, niezależnie od okoliczności. Wnosił pogodną aurę. Była mu wdzięczna za to spokojne interludium.

Kiedy jednak skończyli jeść, skierował rozmowę na aktualną sytuację.

– Znasz Snowfield lepiej ode mnie. Musimy znaleźć do tej operacji odpowiednią kwaterę główną. To miejsce jest za ciasne. Niezadługo będę miał jeszcze dziesięciu ludzi. I rano zespół Copperfielda.

– Ile osób sprowadzi?

– Co najmniej kilkanaście. Może ze dwadzieścia. Potrzebuję kwatery, w której da się skoordynować wszystkie działania. Możemy utkwic tu na kilka dni, więc potrzeba pokoju, w którym ludzie po służbie mogliby się wyspać, i musimy zorganizować coś w rodzaju stołówki.

– Jakiś hotel byłby najlepszy – powiedziała Jenny.

– Może. Ale nie chcę, żeby ludzie spali dwójkami w osobnych pokojach. Zbyt łatwo było by ich dosięgnąć. Musimy stworzyć jedną salę sypialną.

– To najlepiej będzie ci pasował Zajazd Na Wzgórzu, przecznica stąd. Po drugiej stronie ulicy.

– Och, tak, rzeczywiście. Największy hotel w mieście, tak?

– Taak. Ma duży hall. Służy zarazem za bar hotelowy.

– Byłem tam raz czy dwa na drinku. Kiedy przestawimy meble w hallu, zrobi się dość miejsca do pracy dla wszystkich.

– I jest duża restauracja z dwoma salami. Jedna może zostać stołówką. Zniesiemy materace z górnych pokoi i wykorzystamy drugą połowę jako sypialnię.

– Rzućmy na to okiem.

Jenny spojrzała na okna. Myślała o dziwnym stworzeniu objającym się o szyby. W wyobraźni znów usłyszała miękkie, choć gorączkowe TOMPTOMPTOMPTOMPTOMP.

– Chodzi ci o to, żeby rzucić okiem... teraz? – zapytała.

– Czemu nie?

– Nie lepiej poczekać na posiłki?

– Prawdopodobnie nie zjawią się szybko. Nie ma sensu tylko siedzieć i kręcić palcami młynka. Wszyscy pocujemy się lepiej, kiedy zrobimy coś konstruktywnego; to oderwie nas od... najgorszych rzeczy.

Jenny nie mogła uwolnić się od wspomnienia czarnych owadzich oczu, złowrogich, żarłocznych. Patrzyła w okna, w noc. Miasto przestało być swojskie. Było teraz całkiem obce, wrogie. Czuła się jak niepożądany przybysz.

– Tu nie jesteśmy ani trochę bezpieczniejsi niż tam – łagodnie przekonywał Bryce.

Skinęła głowę, wspominając Oxleyów w zabarykadowanym pokoju. Podnosząc się zza biurka, powiedziała:

– Nigdzie nie jest bezpiecznie.

Bryce Hammond wyszedł z podkomisariatu pierwszy. Przecięli cętkowany światłem księżycy bruk, minęli bursztynowe plamy światła bijącego z lamp ulicznych i skierowali się na Skyline Road. Bryce niósł strzelbę. Tal Whitman także.

Cisza dzwoniła w uszach. Drzewa wstrzymały oddech. Budynki wyglądały jak przezroczyste, mgliste miraż wiszące na powietrznych ścianach.

Bryce wyszedł ze światła, wkroczył na zaledwie oproszoną księżycowym pyłem jezdnię, przeciął ulicę, zagłębił się w cienie rozrzucone pośrodku asfaltu. Zawsze cienie.

Pozostali w milczeniu szli jego śladem.

Coś zachręściło mu pod stopą. Wzdrygnął się. Zeschnięty liść.

Dostrzegł Zajazd Na Wzgórzu przecnicę dalej, wyżej Skyline Road. Trzypiętrowy, bardzo ciemny budynek z szarego kamienia. Kilka okien na trzecim piętrze odbijało prawie pełny księżyc, ale wewnątrz hotelu nie płonęło ani jedno światło.

Dotarli do środka ulicy, kiedy coś wynurzyło się z ciemności. Bryce najpierw ujrzał tylko cień trzepoczący po nawierzchni jak falowanie wody na stawie. Instynktownie przykucnął. Usłyszał szum skrzydeł. Poczuł, jak coś łagodnie omiotło mu włosy.

Stu Wargle zakrzyczał.

Bryce błyskawicznie poderwał się z przysiadu i obrócił.

Ćma.

Przywarła mocno do twarzy Wargle'a, trzymając się jej jakimś niewidzialnym sposobem. Zasłoniła policjantowi całą głowę.

Wargle nie był jedynym, który wrzasnął. Wszyscy krzyczeli.

Zaskoczeni, rzucili się w tył. Ćma kwiliła, piszcząc głośno, wysoko, przeszywająco.

W srebrnych promieniach księżycy nieprawdopodobnie wielkie, blade, jedwabiste skrzydła trzepotały, składały i rozkładały się z potworną gracją, tłukąc o głowę i ramiona Wargle'a.

Wargle zatoczył się, obrócił bezradnie. Próbował oderwać koszmarnie stworzenie, które przylgnęło mu do twarzy. Jego krzyki szybko przycichły, po kilku sekundach zamilkł całkowicie.

Bryce, jak wszyscy, stał sparaliżowany obrzydzeniem, nie wierząc własnym oczom.

Wargle zaczął biec, ale pokonał zaledwie kilka jardów i stanął jak wryty. Ręce odpadły mu od twarzy. Ugiął kolana.

Bryce otrząsnął się z chwilowego transu, cisnął beużyteczną strzelbę i pobiegł do Stu.

Wargle zresztą nie osunął się na ziemię. Przeciwnie, wyprostował trzęsące się kolana; usztywnił się cały. Ramiona ściągnął w tył. Jego ciało drgało i telepało jak przeszywane prądem.

Bryce spróbował złapać ćmę, aby oderwać ją od Wargle'a. Ale ten słaniał się, miotany tańcem świętego Wita; dusił się, targany bólem. Ręce Bryce'a złapały powietrze. Wargle poruszał się niezbornie, podskakiwał to tu, to tam, opadał, zwijał się, kręcił w kółko, jak zawieszony na sznurkach, którymi szarpie pijany lalkarz. Ręce zwisały mu bezwładnie po bokach, co sprawiało, że jego gorączkowe, spazmatyczne płasy były tym bardziej niesamowite. Trzepoczące dłonie kurczyły się słabo, ale nie uniósł ich, nie oderwał napastnika. Zdawało się teraz, że jest raczej przejęty ekstazą niż bólem. Bryce biegał za nim, usiłował dopaść, ale nie mógł.

Wtem Wargle runął jak podcięty.

Równocześnie ćma uniosła się w obrocie, zawisła w powietrzu, biła szybko skrzydłami, z okiem czarnym jak noc i nienawistnym. Runęła na Bryce'a.

Cofnął się nieporadnie, zasłonił twarz ramionami. Upadł.

Ćma przesunęła się nad jego głową.

Bryce obrócił się, podniósł wzrok.

Owad, wielki jak latawiec, sunął bezszelestnie nad ulicą w kierunku budynku po drugiej stronie.

Tal Whitman podniósł strzelbę. Huk głośny jak armatni wystrzał przetoczył się nad milczącym miastem.

Ćma kiwnęła się w bok. Zawinęła pętlę, opadła niemal do ziemi, uniosła się, frunęła, znikła po drugiej stronie dachu.

Stu Wargle leżał rozciągnięty na jezdni, płasko na plecach. Nieruchomo.

Bryce podniósł się, podszedł do niego. Wargle leżał na środku ulicy. Było dość światła, aby zobaczyć, że ubyło mu twarzy. Jezu. Ubyło. Jakby została zerwana. Włosy i strzępy skóry błyszcząły nad białą kością czoła. Czaszka wpatrywała się w Bryce'a.

GODZINA PRZED PÓLNOCĄ

Tal, Gordy, Frank i Lisa siedzieli w obitych czerwonym skajem fotelach w kącie hallu Zajazdu Na Wzgórzu. Zajazd był zamknięty od zakończenia ostatniego sezonu narciarskiego i nim zapadli się w fotele, sztywni od przeżytego wstrząsu, zdjęli białe pokrowce. Ale owalny niski stolik nadal był przykryty; gapili się w pofałdowaną płaszczyznę, nie mogąc spojrzeć sobie w oczy.

W drugim końcu Bryce i Jenny stali nad ciałem Stu Wargle'a. Leżało pod ścianą na niskim kredensowym stole. Nikt z siedzących w fotelach nie potrafił zdobyć się na spojrzenie w tamtą stronę.

– Postrzeliłem to cholerstwo – powiedział Tal. – Trafiłem. Wiem, że trafiłem.

– Wszyscy widzieliśmy, jak dostało kopa – zgodził się Frank.

– No to dlaczego się nie rozleciało? – pytał gniewnie Tal. – Bezpośrednie trafienie nabojem kaliber dwadzieścia. Powinno rozlecieć się na kawałki, cholera jasna.

– Broń nas nie uratuje – powiedziała Lisa.

Gordy odezwał się niewyraźnie, z wysiłkiem dobywając głosu:

– To mógł być każdy z nas. To stworzenie mogło wykończyć mnie. Byłem tuż za Stu. Gdyby kucnął albo uskoczył...

– Nie – zaprzeczyła Lisa. – Nie. Ono chciało funkcjonariusza Wargle'a. Nikogo innego. Tylko funkcjonariusza Wargle'a.

Tal wpatrywał się w dziewczynę.

– O co ci chodzi?

Lisa była śmiertelnie blada.

– Funkcjonariusz Wargle nie chciał przyznać, że widział to, kiedy tłuło się o okno. Upierał się, że to ptak.

– Więc?

– Więc to chciało jego. Najbardziej jego – powiedziała. – Chciało dać mu nauczkę. Ale przede wszystkim chciało dać nauczkę nam.

– Nie mogło słyszeć, co Stu gadał.

– Słyszało. Słyszało.

– Ale nie mogło zrozumieć.

– Zrozumiało.

– Wydaje mi się, że przypisujesz temu zbyt dużą inteligencję – oponował Tal. – Było wielkie, zgoda, i nie przypominało niczego, co widzieliśmy do tej pory. Ale był to wyłącznie owad. Ćma. Zgadza się?

Dziewczyna nie odpowiedziała.

– To nie jest wszechpotężne. – Tal usiłował bardziej przekonać siebie niż innych. – Ani wszystkowidzące, wszystkosłyszające, wszystkowiedzące.

Dziewczyna milcząc wpatrywała się w zasłany pokrowcem niski stolik.

Powstrzymując mdłości, Jenny zbadała ohydny ranę Wargle'a. Światło hallu nie było wystarczająco mocne, więc użyła latarki, żeby zbadać brzegi okaleczenia i zajrzeć do wnętrza czaszki. Środek zniszczonej twarzy zmarłego mężczyzny został wyżarty do kości, cała skóra, ciało, wszystkie chrząstki znikły. Nawet kość miejscami robiła wrażenie rozpuszczonej, podziurawionej, jakby bryźnięto na nią kwasem. Oczy znikły. Jednakże wokół całej rany ciało zachowało się; gładkie i nietknięte, rozciągało się po obu stronach twarzy, od krańców szczęk do kości policzkowych. Skóra od środka podbródka w dół

i od środka czoła w górę również pozostała nietknięta. Wyglądało to tak, jakby jakiś artysta od zadawania tortur stworzył koszmarny eksponat kości twarzy.

Jenny zgasiała latarkę. Wcześniej przykryli ciało pokrowcem z fotela. Teraz Jenny naciągnęła materiał na twarz zmarłego mężczyzny, z ulgą zasłoniła trupi uśmiech.

– I co? – spytał Bryce.

– Nie ma śladów zębów – odpowiedziała.

– Czy takie stworzenie może mieć zęby?

– Widziałam otwór gębowy, mały chitynowy dziób. Widziałam, jak pracowało szczękami, kiedy tłukło się o szyby.

– No. Też widziałem.

– Taki otwór gębowy zostawiłby ślady. Rany cięte, ugryzienia. Ślady żucia, rany szarpane.

– Ale nie ma ich?

– Nie. Ciało nie wygląda na poszarpane. Robi wrażenie... rozpuszczonego. Nawet brzegi rany; resztki robią wrażenie skauteryzowanych, przypalonych.

– Myślisz, że ten, ten... owad... wydzielał kwas?

Skinęła głową.

– I rozpuścił twarz Stu Wargle'a?

– I wysssał upłynnione ciało – powiedziała.

– O Jezu!

– Tak.

Twarz Bryce'a była blada jak twarz nieboszczyka. Kontrastujące z bielą piegi płonęły i migotały mu na obliczu.

– To wyjaśnia, jak mogło tak szybko dokonać takiego zniszczenia.

Jenny starała się nie myśleć o kościstej twarzy wyglądającej jak oblicze jakiegoś monstrum, które zerwało właśnie maskę.

– Wydaje mi się, że krew wypłynęła – kontynuowała. – Wszystka.

– Co?

– Czy ciało leżało w kałuży krwi?

– Nie.

– Nie było też krwi na mundurze.

– Zauważyłem.

– Powinna być. Powinno z niego tryskać jak z fontanny. Oczodoły winny być zalane krwią. Ale nie było ani kropli.

Bryce otarł twarz. Otarł tak mocno, że trochę rumieńca powróciło mu na policzki.

– Spójrz na jego szyję – powiedziała. – Na tętnicę szyjną.

Nie ruszył w kierunku ciała.

– I spójrz na przedramiona po wewnętrznej stronie. Na wierzchy rąk. Nigdzie śladu niebieskich linii, „koronek”.

– Zapadnięcie naczyń krwionośnych?

– Właśnie. Wydaje mi się, że cała krew z niego wyciekła.

Bryce nabrał głęboko tchu.

– Ja go zabiłem. Ja ponoszę za to odpowiedzialność. Powinniśmy poczekać na posiłki, nie opuszczać podkomisariatu. Tak jak mówiłaś.

– Nie, nie. Miałaś rację. Tam nie było bezpieczniej niż na ulicy.

– Ale on zginął na ulicy.

– Posiłki nie zmieniłyby sytuacji. Kiedy to cholerne stworzenie spadło z nieba... do diabła, nawet cała armia by go nie powstrzymała. Było zbyt szybkie, zaskakujące.

Dotychczas nieustępliwe, jego oczy teraz były pełne rozpacz. Zbyt przejmował się odpowiedzialnością. Winił siebie za śmierć swojego funkcjonariusza.

– Jest coś gorszego – powiedziała z pewnymi oporami.

– Nie może być.

– Mózg...

Bryce czekał.

– Co? Co z jego mózgiem? – spytał w końcu.

– Przepadł.

– Przepadł?

– Jego czaszka jest pusta. Całkowicie pusta.

– Skąd możesz to wiedzieć, nie otwierając...

Podniosła latarkę, przerwała mu:

– Weź to i zajrzyj mu w oczodoły.

Nie ruszył się. Teraz powieki nie przesłaniały mu oczu. Oczy miał szeroko otwarte, przestraszone.

Sama nie była w stanie utrzymać latarki. Ręce trzęsły się jej gwałtownie.

Też to dostrzegł. Wziął latarkę, odłożył na stolik obok zakrytego trupa. Ujął jej ręce i trzymał w swoich dużych, szorstkich, zaciśniętych dłoniach, grzał swym ciepłem.

– Nie ma nic w oczodołach, w ogóle nic, nic, całkiem nic, widać tylko tył czaszki.

Bryce uspokajająco rozcierał jej dłonie.

– Tylko mokra, wytrepanowana dziura – powiedziała. Mówiła coraz wyższym, coraz bardziej łamiącym się głosem. – Zżarło mu twarz, przeżarło się przez oczy, prawdopodobnie tak szybko, że nawet nie mrugnął, na litość boską, zżarło usta, wyrwało język z nasadą, oderwało dziąsła od zębów, przeżarło się przez podniebienie, Jezus, po prostu skonsumowało mózg i krew z całego ciała, prawdopodobnie wysssało ją dokumentnie i...

– Spokojnie, spokojnie – mówił Bryce.

Ale słowa wypadały z niej, grzechotały, brzęczały jak ogniwa łańcucha na rękach skazańca.

– ...to w zaledwie kilkanaście sekund, to niemożliwe, cholera, do diabła, po prostu niemożliwe! Wyżarło – rozumiesz? Wyżarło funty tkanki – sam mózg ma sześć, siedem funtów – wyżarło w kilkanaście sekund!

Stała dysząc ciężko, z rękami w jego dłoniach.

Podprowadził ją do sofy przykrytej zakurczonym białym pokrowcem. Siedli obok siebie.

Nikt na nich nie patrzył.

Chwała Bogu, pomyślała Jenny. Lepiej żeby Lisa nie widziała mnie w takim stanie.

Bryce położył jej dłoń na ramieniu. Przemawiał cichym, uspokajającym tonem.

Rozdygotanie ustępowało stopniowo. Wciąż była przejęta. Wciąż wystraszona. Ale mniej rozdygotana.

– Lepiej?

– Jak mówi moja siostra, odpadłam i dałam ci popalić.

– Bynajmniej. Żartujesz, czy co? Ja nawet nie byłem w stanie wziąć od ciebie latarki i zajrzeć w te

oczy. To ty miałaś odwagę zbadać ciało.

– Cóż, dzięki, że pomogłeś mi się pozbierać. Umiesz uspokoić stargane nerwy.

– Ja? Nic nie zrobiłem.

– Bardzo uspokajająco nic nie robisz.

Siedzieli w milczeniu, myśląc o rzeczach, o których nie chcieli myśleć.

– Ta ćma... – zaczął.

Czekała.

– Skąd ona się wzięła?

– Z piekła?

– Widzisz inne możliwości?

Jenny wzruszyła ramionami.

– Z ery mezozoicznej? – powiedziała półzartem.

– Kiedy to było?

– Za czasów dinozaurów.

Jego błękitne oczy zamrugały z ciekawością.

– Wtedy żyły takie ćmy?

– Nie wiem – przyznała się.

– Mogę sobie wyobrazić, jak unoszą się nad prehistorycznymi rozlewiskami.

– No. Polują na mniejszą zwierzynę i dokuczają tyranozaurom tak samo jak dzisiejsze letnie ćmy dokuczają nam.

– Ale jeśli to jest z mezozoiku, to gdzie ukrywało się przez ostatnie sto milionów lat? – zapytał.

Tykały kolejne sekundy.

– Może to z laboratorium inżynierii genetycznej? – zastanawiała się. – Jakiś eksperyment z krzyżówkami DNA?

– Doszli już tak daleko? Mogą reprodukować całkiem nowe gatunki? Wiem tyle, co przeczytam w gazetach, ale myślałem, że całe lata dzielą ich od takich spraw. Że dalej ślęczą nad bakteriami.

– Chyba masz rację. Ale...

– Noo... Nic nie jest niemożliwe, skoro ta ćma żyje.

Po chwili ciszy powiedziała:

– A co poza tym tu pełza albo fruwa?

– Zastanawiasz się, co spotkało Jake'a Johnsona?

– No. Co go porwało? Nie ćma. Jest zabójcza, ale nie dałaby rady zabić go po cichu i wynieść. – Westchnęła. – Wiesz, przedtem nie chciałam wyjeżdżać z miasta, bo bałam się, że rozniesiemy epidemię. Teraz nie chcę tego próbować, bo wiem, że nie ujdziemy z życiem. Zostaniemy zatrzymani.

– Nie, nie. Jestem pewien, że będziemy mogli was stąd wywieźć – powiedział Bryce. – Jeśli zdołamy dowieść, że sprawa nie ma związku z chorobą, jeśli ludziom generała Copperfielda uda się to wykluczyć, to oczywiście ty i Lisa natychmiast zostaniecie odesłane w bezpieczne miejsce.

Potrząsnęła głową.

– Nie. Tu coś jest, Bryce, coś o wiele bardziej przebiegłego i sprawniejszego niż ćma i ono nie chce, żebyśmy odjechali. Chce sobie z nami poigrać, zanim nas zabije. Nie pozwoli odejść nikomu, więc lepiej, do cholery, zorientujmy się, co to za ono i znajdziemy na to sposób, nim znudzi się zabawą.

W obu salach dużej restauracji zajazdu poukładane na stolikach krzesła przykryte były plastikowymi zielonymi pokrowcami. Teraz w pierwszej sali Bryce i inni zsunęli osłony, zdjęli krzesła i zaczęli

przekształcać to miejsce w stołówkę.

W drugiej sali odsunęli meble, robiąc miejsce na materace, które później zniesie się z góry. Ledwie się wzięli do tej roboty, rozległ się z dala słaby, ale nie dający się pomylić z niczym innym hałas silników samochodowych.

Bryce podszedł do francuskiego okna. Spojrzał w lewo, w dół Skyline Road. Trzy wozy patrolowe policji okręgowej wspinały się po wzgórzu, czerwone koguty błyskały.

– Oto i są – oznajmił.

Poprzednio myślał, że posiłki znakomicie wzmocnią ich malejący oddziałek. Teraz pojął, że to wszystko jedno: dziesięciu ludzi więcej czy jeden.

Jenny Paige miała rację, kiedy powiedziała, że życia Stu Wargle'a nie uratowałoby siedzenie na podkomisariacie i oczekiwanie na posiłki.

Wszystkie światła w Zajeździe Na Wzgórzu i wszystkie lampy przy głównej ulicy zamigotały. Przygasły. Zgasły. Ale powróciły po zaledwie sekundowej ciemności.

Była 23.15, niedziela. Noc wkraczała w godzinę duchów.

Kiedy w Kalifornii wybiła północ, w Londynie była ósma rano, poniedziałek.

Dzień zapowiadał się ponuro. Szare chmury rozpanoszyły się na niebie. Uporczywa, smętna mżawka siała od brzasku. Mokre drzewa obwisały bezwładnie, jezdnie połyskiwały smutno, a każdy spieszący chodnikiem przechodzień wydawał się okryty czarnym parasolem.

W hotelu Churchill na Portman Square deszcz bił o okna, spływał strugami po szybach, zniekształcając widok z jadalni. Od czasu do czasu brylantowe rozbłyski piorunów rozjaśniały pokryte paciorkami deszczu szyby, rzucały krótkotrwałe, cieniste desenie na czystym białym obrusie.

Burt Sandler, przybyły w interesach z Nowego Jorku, siedział przy stoliku blisko okna, zachodząc w głowę, jak, na Boga, rozliczając koszty pobytu w Londynie, wytłumaczy rachunek za śniadanie. Jego gość zaczął od zamówienia butelki dobrego szampana: extra dry Mumma, za co przyjdzie słono zapłacić. Do szampana zażądał kawioru – szampan i kawior na śniadanie! – i dwóch rodzajów świeżych owoców. I dziadunio wyraźnie nie miał zamiaru na tym skończyć.

Doktor Timothy Flyte – obiekt zdumienia Sandlera – siedział po drugiej stronie stołu i studiował menu z dziecięcym zachwytem.

– I proszę jeszcze o wasze croissanty – odezwał się do kelnera.

– Służę, sir – powiedział kelner.

– Czy aby są dość kruche?

– Tak, sir. Bardzo.

– Och, znakomicie. I jajka. Dwa śliczne jajeczka. Rzecz jasna, na miękko, jeśli łaska, z grzanką z masłem.

– Grzanka? – spytał kelner. – Oprócz dwóch croissantów, sir?

– Tak, tak – odpowiedział Flyte, poprawiając nieco wystrzępiony kołnierzyk białej koszuli. – I platek bekonu z jajkami.

Kelner zamrugał.

– Tak, sir.

W końcu Flyte podniósł wzrok na Sandlera.

– Czymże jest śniadanie bez jajek na bekonie?

– Życie bez jajek na bekonie to nie życie – zgodził się Burt Sandler, zmuszając się do uśmiechu.

– Wielce roztropne spostrzeżenie – z powagą stwierdził Flyte. Druciane okulary zsunęły mu się i tkwiły teraz na okrągłym czerwonym czubku nosa. Drugim, cienkim palcem popchnął je na stosowne miejsce.

Sandler zauważył, że mostek w okularach złamał się i został zlutowany. Reperacji dokonano tak po amatorsku, że podejrzewał, iż Flyte z oszczędności wykonał ją sam.

– Czy macie dobre parówki wieprzowe? – dopytywał Flyte kelnera. – Tylko szczerze. Odeślę je natychmiast z powrotem, jeśli nie okażą się najwyższej jakości.

– Nasze parówki są całkiem niezłe – powiedział kelner. – Sam mam do nich słabość.

– A więc parówki.

– To w miejsce bekonu, sir?

– Nie, nie, nie. Oprócz – zdecydował Flyte, jakby pytanie nie tylko było dziwne, ale i świadczyło o słabości umysłu kelnera.

Flyte miał pięćdziesiąt osiem lat, ale na oko można mu było dać dziesiątkę więcej. Siwe włosy ledwo zakrywały mu czubek głowy. Kilka wątych kędziorków sterczało wokół dużych uszu, jak nastroszone prądem elektrycznym. Szyję miał chudą i pomarszczoną, wąskie ramiona, a w ogóle składał się głównie z kości i chrząstek. Istniały uzasadnione wątpliwości, czy zdoła zjeść wszystko, co zamówił.

– Słodkie ziemniaczki – zarządził.

– Znakomicie, sir – powiedział kelner, zapisując to w swym notatniku, w którym zostało już bardzo niewiele wolnego miejsca.

– Posiadacie jakieś godne uwagi ciastka? – badał dalej sytuację Flyte.

Kelner, wzór dobrych manier, w tych okolicznościach, nie czynił najmniejszej aluzji do zadziwiającej żarłoczności Flyte'a, spojrział tylko na Burta Sandlera, jakby chciał powiedzieć: *Czy pański dziadek cierpi na nieodwracalny uwiąd starczy, czy też mimo swego wieku uprawia biegi maratońskie i potrzebuje kalorii?*

Sandler tylko się uśmiechnął.

Kelner odpowiedział Flyte'owi.

– Tak, sir, mamy kilka rodzajów ciastek. Doskonałe są...

– Przynieś cały zestaw. Na koniec posiłku, rzecz jasna.

– Proszę mi zaufać, sir.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Znakomicie! – powiedział Flyte. Promieniał. W końcu, z pewnymi oporami, dał sobie odebrać menu.

Sandler prawie odetchnął z ulgą. Zamówił sok pomarańczowy, jajka na bekonie, grzanekę. W tym czasie profesor Flyte manewrował przy kłapie wyświechtanej niebieskiej marynarki, poprawiając mocno przywiedły goździk.

Kiedy Sandler skończył zamawiać, Flyte pochylił się do niego konspiracyjnie.

– Łyknie pan szampana, panie Sandler?

– Kieliszek, dwa nie zaszkodzi – zgodził się Sandler, licząc, że bąbelki rozjaśnią mu umysł i pomogą sformułować wiarygodne wytłumaczenie tej ekstrawagancji: prawdopodobną historyjkę, która przekona skąpego księgowego, nawet gdy weźmie rachunek pod mikroskop elektronowy.

Flyte spojrział na kelnera.

– To lepiej zrobisz przynosząc dwie butelki.

Sandler, pociągający właśnie wodę z lodem, zakrztusił się.

Kelner odszedł, a Flyte wyjrzał przez splukiwane deszczem okno.

– Obrzydliwa pogoda. Jesienią w Nowym Jorku jest tak samo?

– Deszcz nie jest rzadkością. Ale jesień potrafi być piękna.

– Tu też. Jednakże myślę, iż mamy więcej takich dni niż wy. Reputacja Londynu w kwestii dżdżu nie jest całkiem niezasażona.

Dopóki nie podano kawioru i szampana, profesor nie dał się sprowadzić z błahych tematów, jakby się lękał, że Sandler szybko odwoła resztę zamówienia, kiedy załatwi interesy.

Postać z Dickensa, pomyślał Sandler.

Kiedy tylko wzniesli toasty, życząc sobie nawzajem powodzenia i popili mumma, Flyte powiedział:

– Więc przybył pan aż z Nowego Jorku, żeby się ze mną spotkać? – W oczach miał ogniki rozbawienia.

– Po prawdzie, żeby spotkać się z kilkoma pisarzami – odparł Sandler. – Robię taką wycieczkę raz w roku. Szperam poszukując gotowych książek. Brytyjscy pisarze są w Stanach popularni, zwłaszcza

autorzy powieści sensacyjnych.

– McLean, Follet, Forsythe, Bagley, ta banda?

– Tak, niektórzy z nich są niezwykle popularni.

Kawior był boski. Ulegając namowom profesora, Sandler spróbował trochę z siekaną cebulką. Flyte łądował kopczyki na grzanki i zjadał bez dodatków.

– Ale nie szperam tylko w sensacjach – ciągnął Sandler. – Rozglądam się za różnymi książkami. Również za nieznanymi autorami. I czasem podsuwam temat, kiedy znajdę coś odpowiedniego dla danego autora.

– Mam wrażenie, że ma pan coś dla mnie.

– Pozwoli pan, że zacznę od tego, iż czytałem *Odwiecznego wroga*, kiedy został wydany, i zafascynował mnie.

– Zafascynował wielu ludzi. Ale większość doprowadził do furii.

– Słyszałem, że ta książka przyniosła panu wiele kłopotów.

– Dosłownie same kłopoty.

– Na przykład?

– Utraciłem moją pozycję w świecie akademickim piętnaście lat temu, w wieku czterdziestu trzech lat, kiedy większość ludzi z mego środowiska zapewnia sobie bezpieczną pracę do emerytury.

– Z powodu *Odwiecznego wroga*?

– Nie powiedzieli tego otwarcie. – Flyte wsadził sobie do ust odrobinę kawioru. – Okazałoby się zbyt ograniczeni. Administracja mojego college’u, głowa wydziału i większość szanownych kolegów wybrała pośrednie drogi ataku. Mój drogi panie Sandler, konkurencja wśród oszalałych na punkcie władzy polityków i godne Machiavellego zakulisowe rozgrywki młodszych administratorów wielkich korporacji to zero w porównaniu z bezwzględnością i zawziętością akademickich typków, którzy nagle dojrzelili szansę wdrapania się na wyższe szczeble drabiny uniwersyteckiej kosztem kogoś ze swego grona. Rozpuścili pogłoski pozbawione podstaw, skandaliczne bujdy o moich seksualnych upodobaniach, sugerowali, iż nawiązywałem poufale, intymne stosunki z moimi studentkami. A nawet studentami. Żadna z tych potwarzy nie padła na forum, gdzie mógłbym ją odeprzeć. Tylko plotki, jadowite, szeptane za plecami. A otwarcie czyniono uprzejme sugestie o niekompetencji, przepracowaniu, wyczerpaniu umysłu. Uwolniono mnie od tego wszystkiego, tak to nazwali, choć ja sam do końca nie jestem jeszcze od tego wszystkiego wolny. Osiemnaście miesięcy po opublikowaniu *Odwiecznego wroga* przestałem istnieć. I żaden inny uniwersytet nie chciał mnie zatrudnić, pozornie z powodu mej skandalicznej reputacji. Prawdziwa przyczyna to fakt, że moje teorie okazały się zbyt dziwaczne jak na akademickie gusta. Oskarżono mnie, że chcę zbić fortunę, schlebając prostackim upodobaniom do pseudonauki i sensacji. I swoją pozycję, dorobek i tytuł miałem jakoby traktować jak towar.

Flyte przerwał, łyknął szampana, posmakował.

Sandler poczuł autentyczne oburzenie.

– Ależ to ohydne! Pańska książka była rozprawą naukową. Nigdy nie miał pan na celu wędrówki na listy bestsellerów. Prosty człowiek miałby przeogromne kłopoty z przebrnięciem przez *Odwiecznego wroga*. Zrobienie fortuny na takim dziele nie jest możliwe.

– To fakt potwierdzony wysokością moich honorariów. Jestem na procencie od nakładu – powiedział Flyte. Dokończył kawioru.

– Był pan szanowanym archeologiem.

– Ech tam, nigdy nie aż tak bardzo szanowanym – stwierdził autokrytycznie Flyte. – Choć nie byłem

nigdy parszywą owcą, jak to często później mówiono. Postępowanie moich kolegów nie mieści się panu w głowie, panie Sandler, dlatego że nie rozumie pan natury tego zwierzęcia – mam na myśli zwierzę-naukowca. Ma on wpojone, iż wszelka wiedza przyrasta pomalutku, ziarno do ziarnka. W istocie, przeważnie tak jest. Dlatego też naukowcy nie są w ogóle przygotowani na to, aby zrozumieć wizjonerów, dochodzących z dnia na dzień do takiego wglądu w istotę rzeczy, który wstrząsa całym obszarami nauki. Kopernik był wyśmiewany przez współczesnych, gdyż wierzył, że planety obracają się wokół Słońca. Oczywiście okazało się, że Kopernik miał rację. Takich przykładów w historii nauki jest mnóstwo. – Flyte splonął rumieńcem i popił trochę szampana. – Nie chcę porównywać się z Kopernikiem lub którymś z tamtych wielkich mężów. Próbuję tylko wytłumaczyć, dlaczego moi koledzy byli skazani na obrócenie się przeciwko mnie. Powinienem dostrzec, co się święci.

Kelner zabrał półmisek po kawiorze, a podał sok pomarańczowy dla Sandlera i świeże owoce dla Flyte'a.

– Czy nadal wierzy pan w prawdziwość pańskiej teorii? – zapytał Sandler, kiedy zostali sami.

– Bez zastrzeżeń! – wykrzyknął uczony. – Mam rację, a przynajmniej istnieje diablo wyraźna szansa, że tak jest. Historia jest pełna niewyjaśnionych, tajemniczych zaginięć zbiorowych. Historycy i archeolodzy nie potrafią ich sensownie wytłumaczyć.

Łzawiące oczy profesora spojrzały bystro i przenikliwie spod siwych krzaczastych brwi. Pochylił się nad stolikiem. Utkwił w Sandlerze hipnotyczny wzrok.

– 10 grudnia 1939 roku – mówił – u podnóża Nanling armia trzech tysięcy żołnierzy chińskich, maszerując na front z Japończykami, najzwyczajniej rozplynęła się w powietrzu, nie wszedłszy w rejon walk. Nie znaleziono ani jednego ciała. Ani jednego grobu. Ani jednego świadka. Japońscy historycy wojskowi nigdy nie odnaleźli ani jednego zapisu mówiącego o tym właśnie chińskim oddziale. We wsiach, przez które szli zaginioni żołnierze, żaden wieśniak nie usłyszał strzałów ani innych oznak walki. Armia rozplynęła się w powietrzu. A w roku 1711, podczas hiszpańskiej wojny sukcesyjnej, wysłano do walk w Pirenejach czterotysięczny oddział. Zginęli co do jednego! Na znanym, łatwym terenie, przed rozbięciem pierwszego obozowiska.

Flyte nadal był zafascynowany swoim tematem jak siedemnaście lat temu, kiedy pisał książkę. Owoce i szampan przestały być ważne. Wpijał się wzrokiem w Sandlera, jakby chciał go sprowokować, by zaprzeczył niesłychanym teoriom profesora Flyte'a.

– A na większą skalę? Niech pan weźmie pod uwagę wielkie miasta Majów: Copan, Piedras Negras, Palenque, Menche, Seibal i kilka innych, wyludnionych z dnia na dzień. Dziesiątki tysięcy, setki tysięcy Majów porzuciło swe domostwa, gdzieś koło 610 roku naszej ery, w ciągu jednego tygodnia, może nawet dnia. Niektórzy prawdopodobnie uciekli na północ, założyli nowe miasta, ale istnieją dowody, że niezliczone tysiące po prostu znikły. Wszystko w ciągu szokująco krótkiego czasu. Nie zawracali sobie głowy zabieraniem garnków, narzędzi, przyborów kuchennych... Moi uczeni koledzy powiadają, że ziemia wokół tych miast stała się jałowa, przez co ludy te musiały koniecznie przenieść się na północ, na bardziej żyzne tereny. Ale jeśli ten wielki exodus był planowany, dlaczego zostawiono dobytek? Cenne ziarno siewne? Dlaczego nawet jedna osoba, która przeżyła, nie powróciła, aby zgarnąć pozostawione skarby? – Flyte lekko stuknął w stół pięścią. – To kłóci się ze zdrowym rozsądkiem! Emigranci nie wyruszają na długą, wyczerpującą wędrówkę bez przygotowania, nie biorąc każdego narzędzia, które może się przydać. Poza tym ślady w niektórych domach w Piedras Negras i Seibal wskazują na to, że rodziny wyruszyły po przygotowaniu wyszukanych posiłków – ale przed ich zjedzeniem. To na pewno świadczy o pośpiechu. Żadna współczesna teoria nie odpowiada zadowalająco na te pytania – poza moją,

choćby i była niesamowita, dziwna czy nieprawdopodobna.

– Lub straszna – dodał Sandler.

– Właśnie.

Profesor zapadł się w krzesło bez tchu. Zoczył swój kieliszek, złapał, opróżnił i oblizał wargi.

Kelner wyrósł przy nich, napełnił kieliszki.

Flyte szybko skonsumował swoje owoce, jakby w obawie, że kelner zdmuchnie mu sprzed nosa ciepłarniane truskawki, jeśli długo pozostaną nieruszone.

Sandlerowi zrobiło się żal starego pana. To jasne, że minęło sporo czasu, odkąd profesor mógł zakosztować drogiego posiłku w eleganckiej atmosferze.

– Oskarżono mnie, że usiłuję wytłumaczyć każde tajemnicze zniknięcie od czasu Majów do sędziego Cratera i Amelii Earhart jedną teorią. To wielce krzywdzące. Nigdy nie wspominałem sędziego ani nieszczęsnej pilotki. Interesują mnie tylko nie wyjaśnione zbiorowe zaginięcia zarówno ludzi jak i zwierząt, co na przestrzeni dziejów zdarzyło się dosłownie setki razy.

Kelner doniósł croissanty.

Na zewnątrz błyskawica szybko zstąpiła z ponurego nieba, wbiła spiczastą stopę w odległą część miasta; temu potokowi ognia towarzyszył straszliwy huk i łoskot, echem odbijający się po całym firmamencie.

– Gdyby po opublikowaniu pańskiej książki nastąpiło nowe zaskakujące zbiorowe zaginięcie, uwiarygodniłoby to znacznie...

– Ach – przerwał Flyte, stukając z emfazą sztywnym palcem w stół – ale takie zaginięcia nastąpiły!

– Ależ z pewnością na pierwszych stronach pojawiłyby się...

– Wiem o dwóch przypadkach. Mogły być i inne – z uporem kontynuował Flyte. – Jeden to zbiorowe zaginięcie niższych form życia – dokładnie mówiąc ryb. Prasa odnotowała to, ale bez wielkiego zainteresowania. Polityka, morderstwa, seks i dwugłowe kozy, oto czym zajmują się gazety. Jeśli chce się wiedzieć, co się naprawdę dzieje, należy czytać pisma naukowe. I stąd wiem, że osiem lat temu biolodzy morscy spostrzegli dramatyczny spadek populacji ryb w pewnym regionie Pacyfiku. W istocie liczba niektórych gatunków spadła do połowy. W pewnych kręgach naukowych zrazu wybuchła panika. Obawiano się, że to temperatury oceanu nagle się zmieniają, co spowoduje wyginiecie wszystkich gatunków – poza najbardziej wytrzymałymi. Ale okazało się, że nam to nie grozi. Stopniowo życie morskie na tych obszarach – a były to setki mil kwadratowych – stało się równie bogate jak ongi. W końcu nikt nie potrafił wyjaśnić, co stało się z wieloma milionami stworzeń, które znikły.

– Zatrucie środowiska – zasugerował Sandler między łykiem soku owocowego a szampanem.

– Nie, nie, nie – zaprzeczył Flyte, smarując kawałek croissantu marmoladą. – Nie, drogi panie. Taką depopulację na tak wielkim obszarze musiałoby spowodować największe w historii zatrucie wód. Wypadek o podobnej skali nie uszedłby nie zauważony. Ale nie było żadnego wypadku, wycieku ropy – nic. Prawdę mówiąc, sam wyciek ropy nie mógłby tego spowodować: zagrożony region i obszar wód były na to zbyt rozległe. A martwe ryby nie zostały wyrzucone na brzeg. Znikły jedynie bez śladu.

Burt Sandler był podniecony. Poczł zapach pieniądza. Miewał przecucia co do pewnych książek, a żadne przecucie go nie zawiodło. (No, może poza podręcznikiem dietetycznym tej gwiazdy filmowej, która tydzień przed ukazaniem się książki umarła z niedożywienia, żyjąc przez ostatnie sześć miesięcy na grejpfrutach, papajach, grzankach z rodzynkami i marchewce). Oto szykował się pewny bestseller: dwieście, trzysta tysięcy w twardych okładkach, może nawet więcej, dwa miliony w broszurze. Jeśli uda mu się przekonać Flyte'a do spopularyzowania i uwspółcześnienia suchego, akademickiego materiału

w *Odwiecznym wrogu*, profesora będzie stać na szampana z własnej kieszeni jeszcze przez długie lata.

– Powiedział pan, że wiadomo mu o dwóch zbiorowych zaginięciach od czasu publikacji książki – rzekł, zachęcając rozmówcę do kontynuowania tematu.

– Drugie miało miejsce w Afryce w 1980 roku. Około trzech tysięcy tubylców – różnego wieku i płci – znikło ze stosunkowo odosobnionego obszaru Afryki Centralnej. Ich wioski opustoszały; porzucili cały swój dobytek, w tym duże zapasy żywności. Wyglądało na to, że uciekli do buszu. Jediną oznaką gwałtu było kilka potłuczonych naczyń. Oczywiście, zbiorowe zaginięcia w tej części świata są o wiele częstsze teraz niż kiedyś. Bardzo to bolesne. Winna jest temu głównie przemoc w służbie polityki. Kubańscy najemnicy uzbrojeni w sowiecką broń przyczynili się do likwidacji całych plemion, które nie chciały zrzec się swojej tożsamości etnicznej na rzecz rewolucyjnej ideologii. Ale całe wioski mordowane z przyczyn politycznych są zawsze grabione i palone, a ciała wrzucane do masowych grobów. W tym przypadku obyło się bez grabieży, pożarów, nie znaleziono ciał. Kilka miesięcy później strażnicy rezerwatów w tym okręgu zgłosili niewytłumaczalny spadek populacji dzikiej zwierzyny. Nikt nie skojarzył tego z zaginionymi wieśniakami.

– Ale pan wie co innego.

– Cóż, podejrzewam co innego. – Flyte nakładał dżem truskawkowy na ostatni rożek croissanta.

– Wiele z tych zniknięć miało miejsce daleko, na prawie niedostępnych obszarach – powiedział Sandler. – To utrudnia weryfikację.

– Tak. Ten argument również ciśnięto mi w twarz. Rzeczywiście większość prawdopodobnie zdarzyła się w morzu, gdyż pokrywa ono większą część naszej planety. Morze bywa dla nas tak odległe jak księżyc i to, co się dzieje pod falami, umyka często naszej uwadze. Atoli niech pan nie zapomina o dwóch wspomnianych armiach – chińskiej i hiszpańskiej. Tamte zniknięcia dotknęły nowoczesną cywilizację. A jeśli dziesiątki tysięcy Majów padło ofiarą odwiecznego wroga, którego egzystencji dowiodłem w teorii, wtedy mamy do czynienia ze zjawiskiem, które dotknęło również miasta, skupiska cywilizacji.

– Myśli pan, że to może zdarzyć się teraz, dziś...

– Nie mam żadnych wątpliwości!

– ...w miejscu takim jak Nowy Jork albo nawet tu, w Londynie?

– Oczywiście! To może zdarzyć się dosłownie wszędzie, gdzie jest odpowiednia struktura geologiczna, opisana w mojej książce.

Obydwaj popijali szampana, pogrążeni w myślach.

Deszcz obijał się o okna z rosnącą furią.

Sandler nie był pewny, czy ma wierzyć teoriom wysnuwanym przez Flyte'a w *Odwiecznym wrogu*. Mogły stanowić podstawę szaleńczego sukcesu popularnej książki, ale to nie znaczyło, że musi w nie wierzyć. Tak naprawdę to nie chciał wierzyć. Wierzyć oznaczało rozewrzeć wrota do piekła.

Spojrzał na Flyte'a, który znów poprawiał zwiędły goździk w klapie, i powiedział:

– Mam od tego dreszcze.

– Prawidłowo. – Flyte pokiwał głową. – Prawidłowo.

Zjawił się kelner. Niósł jajka na bekonie, parówki i grzanki.

NAJGŁĘBSZĄ NOCĄ

Zajazd przemienił się w fortecę.

Bryce był zadowolony z przygotowań.

W końcu, po dwóch godzinach ciężkich trudów siadł przy stoliku w sali restauracyjnej, popijając bezkofeinowaną kawę z białego porcelanowego kubka, ozdobionego niebieskim herbem hotelu.

Do wpół do drugiej w nocy z pomocą dziesięciu funkcjonariuszy, którzy przyjechali z Santa Mira, dokonano wiele. Jedną z dwóch sal przekształcono w sypialnię, na podłodze leżało już dwadzieścia materaców, dość dla jednej zmiany, nawet gdy zjawią się ludzie generała Copperfielda. W drugiej części restauracji zsunięto kilka stolików, tworząc miejsce do wydawania posiłków. Kuchnię sprzątnięto i uporządkowano. Obszerny hall zmienił się w ogromnych rozmiarów centrum operacyjne – z biurkami, maszynami do pisania, szafkami na akta, tablicami ogłoszeń i wielką mapą Snowfield.

Przeprowadzono też dokładną inspekcję stanu zabezpieczenia zajazdu i podjęto kroki mające zapobiec włamaniu się nieprzyjaciela. Dwa tylne wejścia – jedno od kuchni, drugie od hallu – zamknięto na klucz i zabezpieczono każde dwoma skrzyżowanymi dechami, przybitymi do framug; Bryce zarządził te dodatkowe środki ostrożności, aby nie zatrudniać ludzi do pilnowania wejść. Drzwi na schody ewakuacyjne zabezpieczono podobnie. Nic nie mogło wejść przez wyższe piętra hotelu i zaskoczyć ludzi Bryce'a od góry. Obecnie tylko para małych wind łączyła hali z piętrami. Postawiono przy nich dwóch wartowników, trzeci stał przy wejściu frontowym. Czteroosobowy patrol ustalił, że wszystkie okna na poziomie zerowym są zamknięte, w większości naглуcho. Niemniej jednak okna były słabymi punktami ich fortyfikacji.

W końcu, pomyślał Bryce, jeśli coś spróbuje dostać się przez okno, dźwięk rozbijanej szyby nas zaalarmuje.

Zadbane o wiele innych szczegółów. Okaleczone ciało Stu Wargle'a zostało na razie złożone w pomieszczeniu gospodarczym przylegającym do hallu. Bryce sporządził grafik wart, ustalając dwunastogodzinne zmiany na następne trzy dni, na wypadek gdyby kryzys trwał tak długo. W końcu uznał, że zadbał o wszystko, co należało wykonać do brzasku.

Teraz siedział sam przy okrągłym stoliku, popijał sanke i usiłując jakoś pojąć to, co zdarzyło się w nocy, walczył nieustannie z natrętnie powracającą myślą: Mózg znikł. Każda kropla krwi została wysrana. Każda cholerna kropelka.

Odpędził obrzydliwy obraz zniszczonej twarzy Wargle'a. Wstał, dołał sobie kawy, wrócił do stolika.

Zajazd był bardzo cichy.

Przy innym stole trójka z nocnej zmiany – Miguel Hernandez, Sam Potter i Henry Wong – grała w karty, prawie milcząc. Kiedy zabierali głos, to mówili nieomal szeptem.

Zajazd był bardzo cichy.

Zajazd zamienił się w fortecę.

Zajazd był fortecą, do cholery.

Ale czy był bezpieczny?

Lisa wybrała materac w kącie sypialni, tam gdzie mogła plecami ułożyć się przy ścianie.

Jenny rozłożyła jeden z dwóch koców, przykryła dziewczynę.

– Chcesz drugi?

– Nie. Wystarczy. Trochę głupio iść do łóżka w ubraniu.

– Niedługo wszystko będzie, jak powinno... – powiedziała Jenny, ale nie skończyła zdania; zorientowała się, że wygłasza głupoty.

– Idziesz już spać?

– Za chwileczkę.

– Chodź spać – poprosiła Lisa. – Połóż się obok mnie.

– Nie jesteś sama, skarbie. – Jenny pogładziła siostrę po włosach.

Kilku ludzi – w tym Tal Whitman, Gordy Brogan i Frank Autry – położyło się. Byli tu też trzej mocno uzbrojeni wartownicy, którzy mieli czuwać, by nikomu nic się nie stało przez całą noc.

– Czy przyciemnił światło? – zapytała Lisa.

– Nie. Nie możemy ryzykować przebywania w ciemności.

– Dobrze. Już jest dość ciemno. Pobędziesz przy mnie, dopóki nie zasnę? – zapytała Lisa. Nagle ubyło jej lat.

– Jasne.

– I rozmawiaj ze mną.

– Jasne. Ale będziemy rozmawiały cicho, żeby nikomu nie przeszkadzać.

Jenny położyła się obok siostry, podparła głowę na rękę.

– O czym będziemy rozmawiały?

– Nieważne. O czym chcesz. O czym chcesz... z wyjątkiem dzisiejszej nocy.

– Dobra, chcę cię o coś zapytać – powiedziała Jenny. – Pamiętasz, jak siedziałyśmy przed aresztem miejskim i czekałyśmy na szeryfa? Pamiętasz, jak rozmawiałyśmy o mamie? Powiedziałas, że mama lubiła... lubiła się mną chwalić.

Lisa uśmiechnęła się.

– Jej córeczka, pani doktor. Och, jaka ona była z ciebie dumna, Jenny.

Tak jak poprzednio, to stwierdzenie obudziło niepokój Jenny.

– I mama nigdy nie miała do mnie pretensji za wylew taty? – zapytała.

Lisa zmarszczyła brwi.

– A dlaczego miałyby mieć?

– No... bo wydaje mi się, że przysporzyłam mu wtedy wiele zmartwień. Zmartwień i kłopotów.

– Ty? – spytała Lisa z niedowierzaniem.

– A kiedy lekarz taty nie mógł już obniżyć mu ciśnienia i tato dostał wylewu...

– Według mamy, jedyna niedobra rzecz w całym twoim życiu, to gdy na Halloween wykapałaś łaciatego kota w czarnej farbie i rozlałaś clairol po wszystkich meblach na tylnej werandzie.

Jenny, zaskoczona, wybuchnęła śmiechem.

– Zapomniałam o tym. Miałam wtedy tylko osiem lat.

Uśmiechnęły się do siebie i bardziej niż kiedykolwiek poczuły się siostrami.

– Dlaczego myślisz, że mama mogłaby cię winić za śmierć taty? To była śmierć z przyczyn naturalnych, no nie? Wylew. Dlaczego miałyby to być twoja wina?

Jenny zawahała się, cofając w myślach o trzynaście lat. Nagła świadomość faktu, że matka nigdy nie winiła jej za śmierć ojca, stała się głębokim, wyzwalającym doznaniem. Poczuała się wolna – pierwszy raz, od kiedy skończyła dziewiętnaście lat.

– Jenny?

– Mhm?

– Płaczesz?

– Nie, nic mi nie jest – powiedziała powstrzymując łzy. – Jeśli mama nie miała mi tego za złe, to chyba nie powinnam sama sobie tego wyrzucać. Jestem po prostu szczęśliwa, skarbie. Szczęśliwa, że mi to powiedziałaś.

– Ale co sobie ubrdałaś? Jak mamy być dobrymi siostrami, to nie powinnyśmy ukrywać przed sobą niczego. Powiedz, Jenny.

– To długa opowieść, siostrzyczko. Kiedyś ci ją opowiem, ale nie teraz. Teraz chcę dowiedzieć się wszystkiego o tobie.

Porozmawiały o bzdurkach kilka chwil. Powieki Lisy stawały się coraz cięższe.

Jenny przypomniały się oczy Bryce'a Hammonda, łagodne i przesłonięte grubymi powiekami.

I oczy Jakoba i Aidy Libermannów, świecące w odciętych głowach.

I oczy funkcjonariusza Wargle'a. Nieobecne. Wypalone, puste oczodoły w wydrążonej czaszce.

Chciała oderwać myśli od tej okropności, od tego zbyt dobrze zapamiętanego spojrzenia Ponurego Żeńcy. Ale jej myśli nadal powracały do obrazu monstrialnej przemocy i śmierci.

Zaprzęgnęła, aby znalazł się ktoś, kto rozmową ukołby ją do snu. Zapowiadała się niespokojna noc.

W pomieszczeniu gospodarczym, przylegającym do hallu i oddzielonym tylko ścianą od szybu wind, nie paliło się światło, nie było okien.

Unosiła się tu zastała woń płynów czyszczących. Pinesol. Lizol. Pasta do mebli. Pasta do podłogi. Zapasy sprzątaczek leżały na półkach wzdłuż ścian.

W prawym kącie, najbardziej oddalonym od drzwi, był duży metalowy zlew. Woda kapiała z ciekącego kranu – co dziesięć, dwanaście sekund. Każda kropla uderzała o metalową komorę z cichym, przytłumionym *ping*.

Na środku pokoju, okryte jak wszystko inne nieprzeniknioną czernią, spoczywało pozbawione twarzy ciało Stu Wargle'a. Leżało na stole, osłonięte pokrowcem. Wszędzie panował bezruch. Słysząc jedynie było monotonne *ping* kapiącej wody.

Bezdźwięczne oczekiwanie zawisło w powietrzu.

Frank Autry skulił się pod kocem, zacisnął powieki. Myślał o Ruth. Wysokiej, gibkiej Ruthie o słodkiej twarzy. Ruthie o ciepłym, łamiącym się głosie. Ruthie o gardłowym śmiechu, któremu nikt nie mógł się oprzeć. Była jego żoną od dwudziestu sześciu lat: jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochał.

Rozmawiał z nią przez telefon kilka minut tuż przed położeniem się spać. Nie mógł opowiedzieć jej dużo o tym, co się tu działo – jedynie to, że mają w Snowfield stan obłączenia i nie będzie go w domu dziś w nocy. Ruthie nie naciskała, nie wypytywała o szczegóły. Cały czas była dobrą żoną żołnierza. Pozostała nią nadal.

Myślenie o Ruthie było jego podstawowym mechanizmem obronnym. W stresie, lęku, bólu i depresji po prostu myślał o Ruth, skupiał się tylko na niej i świat zamętu się rozplątywał. Dla mężczyzny, który spędził szmat życia na niebezpiecznej pracy, mężczyzny, któremu zajęcia rzadko pozwalały zapomnieć, że śmierć jest nierozłącznie spleciona z życiem, kobieta taka jak Ruth była niczym niezbędne lekarstwo, szczepionka przeciw rozpacz.

Gordy Brogan znów bał się zamknąć oczy. Za każdym razem, kiedy poprzednio to robił, prześladowały go krwawe obrazy wyłaniające się z ciemności, spod zamkniętych powiek. Teraz przykryty kocem leżał z otwartymi oczami i wpatrywał się w plecy Franka Autry'ego.

W myślach układał rezygnację, którą wręczy Bryce'owi Hammondowi. Nie mógł wystukać

i przedłożyć pisma, póki ten interes w Snowfield nie zostanie załatwiony. Nie chciał zostawić swoich kumpli w środku bitwy; to nie byłoby w porządku. Faktycznie, może się im na coś przydać, biorąc pod uwagę, że chyba nie będzie trzeba strzelać do ludzi. Ale jak tylko zamknie się sprawę, kiedy wszyscy wrócą do Santa Mira, zaraz machnie pismo i osobiście wręczy je szeryfowi.

Nie miał teraz wątpliwości: praca w policji nie jest – i nigdy nie była – dla niego.

Był jeszcze młodym człowiekiem; miał czas na zmianę drogi życiowej. Został gliną częściowo z buntu przeciw rodzicom, gdyż była to ostatnia rzecz, której sobie życzyli. Zauważyli jego niezwykłą umiejętność zdobywania zaufania i nawiązywania przyjaźni z każdym czworonogiem w ciągu niespełna pół minuty i mieli nadzieję, że zostanie weterynarzem. Gordy zawsze czuł się przytłoczony niezmordowaną opiekuńczością matki i ojca, więc kiedy popychali go w kierunku weterynarii, odrzucił tę możliwość. Teraz wiedział, że mieli rację i chcieli dla niego tylko tego co najlepsze. W gruncie rzeczy, na dnie serca, wiedział, że mają rację. Nadawał się do uzdrawiania, nie do egzekwowania prawa.

Mundur i noszenie odznaki zawsze go pociągały. Zawód gliny był dobrym sposobem na udowodnienie męskości. Mimo wielkiego wzrostu i mięśni, mimo niezwykłego zainteresowania kobietami, ciągle wyobrażał sobie, że inni widzą w nim obojnaka. Jako chłopiec nigdy nie zajmował się sportem, podczas gdy jego rówieśnicy mieli na tym punkcie kręćka. Nie kończące się rozmowy o gruchotach, przerabianych na postrachy szos, najzwyczajniej go nudziły. Jego zainteresowania były niemęskie według niektórych. Nie miał wybitnego talentu, ale lubił malować. Grał na rożku francuskim. Fascynowała go natura i był zapalonym obserwatorem ptaków. Wstręt do przemocy nie przyszedł z wiekiem; już jako dziecko unikał bójek. Ten pacyfizm, w połączeniu z nieśmiałością wobec dziewcząt, brano – a przynajmniej on tak uważał – za brak męskości. Ale w końcu przejrzał na oczy: nie musi niczego udowadniać.

Pójdzie do szkoły, zostanie weterynarzem. Będzie szczęśliwy. Rodzice też. Jego życie z powrotem wejdzie na właściwe tory.

Zamknął oczy, westchnął, zapragnął snu. Ale z ciemności nadeszły koszarne obrazy okaleczonych głów kotów i psów, obrazy poćwiartowanych i torturowanych zwierząt. Cierpła od tego skóra. Otworzył gwałtownie oczy, zaczerpnął tchu.

Co się stało ze wszystkimi domowymi zwierzętami w Snowfield?

Pomieszczenie gospodarcze.

Bez okien, bez światła.

Monotonne *ping* wody kapiącej do metalowego zlewu urwało się.

Ale tym razem cisza nie powróciła. Coś poruszało się w ciemności. Wydawało cichy, mokry, nieuchwytny odgłos. Skradało się w nieprzeniknionej czerni.

Jenny nie mogła zasnąć. Weszła do sali restauracyjnej, nalała sobie filiżankę kawy i przysiadła się do szeryfa.

– Lisa śpi? – zapytał.

– Jak kamień.

– Jak to wytrzymujesz? Musi ci być ciężko. Wszyscy twoi sąsiedzi, przyjaciele...

– Nie poddaję się – powiedziała. – Czuję się odrętwiała. Gdybym reagowała na każdy z tych zgonów, rozwaliłabym się kompletnie. Więc nie chcę wyjść z tego odrętwienia.

– To normalna, zdrowa reakcja. Wszyscy postępujemy podobnie.

Wypili trochę kawy, pogawędzili.

– Mężatka? – spytał po chwili.

– Nie. A ty, żonaty?

– Byłem.

– Rozwiedziony?

– Ona nie żyje.

– O Chryste, wiem przecież. Czytałam. Przepraszam. Rok temu, prawda? Wypadek drogowy?

– Ciężarówka. Kierowca zwiął.

Spoglądała mu w oczy, które zachmurzyły się i stały mniej błękitne.

– Jak ma się twój syn?

– Nadal w śpiączce. Chyba nigdy z niej nie wyjdzie.

– Współczuję ci, Bryce. Naprawdę.

Oplótnął rękoma kubek z kawą i utopił w nim wzrok.

– Dla Timmy’ego byłoby naprawdę błogosławieństwem, gdyby się w końcu poddał. Przez jakiś czas byłem jak odrętwiąły. Nie czułem nic. Psychiczenie ani fizycznie. Kiedyś obierając pomarańczę, przeciąłem sobie palce, polałem krwią całą cholerną kuchnię i nawet zjadłem kilka pokrwawionych cząstek, zanim dotarło do mnie, że coś jest nie w porządku. I nawet wtedy nie poczułem żadnego bólu. Później zacząłem to ogarniać, pogodziłem się z losem. – Podniósł wzrok, napotkał spojrzenie Jenny. – Dziwne, od kiedy znalazłem się tu, w Snowfield, szarość odeszła.

– Szarość?

– Przez długi czas wszystko było jak wyprane z kolorów. Wszystko szare. Ale dziś wieczór przeciwnie. Dziś wieczór było tyle podniecenia, tyle napięcia, tyle strachu, że wszystko wydaje się niezwykle żywe.

Jenny zaczęła mówić o śmierci matki, o zadziwiająco potężnym wrażeniu, jakie to na niej wywarło, pomimo dwunastu lat obcości i oddalenia.

I znów ją uderzyło, że w obecności Bryce’a Hammonda czuje się swobodnie. Jakby się znali od lat.

Opowiedziała mu nawet o błędach, które popełniła mając osiemnaście, dziewiętnaście lat, o upartym i głupim postępowaniu, które boleśnie raniło rodziców. Pod koniec pierwszego roku college’u poznała mężczyznę, który ją urzekł. Był na ostatnim roku – Campbell Hudson, nazywała go Cam – starszy od niej o pięć lat. Jego uprzedzająca grzeczność, wdzięk, namiętne zainteresowanie jej osobą kompletnie zawróciły jej w głowie. Do tej pory wiodła bezpieczny żywot, nigdy nie związana na stałe z żadnym chłopakiem, nawet rzadko wychodziła. Stanowiła łatwą zdobycz. Zakochawszy się w Camie Hudsonie, stała się nie tylko jego kochanką, pilną uczennicą i naśladowczynią, ale i prawie, prawie oddaną niewolnicą.

– Nie wyobrażam sobie ciebie podporządkowanej komukolwiek – powiedział Bryce.

– Byłam młoda.

– To zawsze dobra wymówka.

Zamieszkała z Camem, nie kryjąc się ze swym grzesznym związkiem przed matką i ojcem. W ich oczach to był grzeszny związek. Później zdecydowała się – raczej pozwoliła, żeby Cam za nią zdecydował – rzucić college i pracowała jako kelnerka, co pozwalało opłacać jego rachunki, póki nie zrobił magisterium i doktoratu.

Stała się częścią maszyny obsługującej Cama Hudsona, i wtedy stopniowo spostrzegła, że jest mniej grzeczny i mniej czarujący niż dawniej. Doświadczyła jego gwałtownego temperamentu. Nagle umarł

ojciec i na pogrzebie wydało się jej, że matka wini ją za to przedwczesne odejście. W miesiąc po złożeniu ojca do grobu dowiedziała się, że zaszła w ciążę. Była brzemienna, kiedy ojciec zmarł. Cam wściekł się i zażądał natychmiastowej skrobanki. Poprosiła o dzień do namysłu, ale nawet dwudziestoczterogodzinna zwłoka wprawiła go w szał. Pobił ją tak dotkliwie, że poroniła. Wtedy nastąpił koniec. Głupota wywietrzała jej z głowy. Nagle wydorosła – choć ta szybka dojrzałość przyszła za późno, aby ucieszyć ojca.

– Od tej chwili ciężko harowałam – opowiadała Bryce’owi. – Może zbyt ciężko. Chciałam udowodnić matce, że żałuję i mimo wszystko zasługuję na jej miłość. Pracowałam w weekendy, odrzucałam niezliczone zaproszenia na zabawy, prawie rezygnowałam z wakacji w ciągu ostatnich dwunastu lat – wszystko w imię poprawy. Nie jeździłam do domu tak często, jak powinnam. Nie umiałam patrzeć matce w oczy. Mogłabym dojrzeć w nich oskarżenie. I oto dziś w nocy Lisa powiedziała mi coś zdumiewającego.

– Matka nigdy nie obciążała cię winą. – Bryce okazał nieprzeciętną wrażliwość i przenikliwość, które dostrzegła w nim już wcześniej.

– Tak! – zawołała Jenny. – Nigdy nie miała o nic do mnie pretensji.

– Prawdopodobnie była nawet z ciebie dumna.

– To także! Nigdy nie winiła mnie za śmierć taty. To ja wymyśliłam to wszystko. Oskarżenie, które dostrzegałam w jej oczach, było tylko odbiciem mojego własnego poczucia winy. – Jenny roześmiała się łagodnie, gorzko. Potrząsnęła głową. – To byłoby śmiechu warte, gdyby nie było tak cholernie smutne.

W oczach Bryce’a Hammonda zobaczyła współczucie i zrozumienie. Potrzebowała tego od dnia pogrzebu ojca.

– Jesteśmy do siebie bardzo podobni, ty i ja. Wydaje się, że oboje mamy kompleks męczeństwa.

– Koniec z tym – powiedziała. – Życie jest krótkie. Dotarło to do mnie dziś wieczorem. Od dziś zamierzam żyć – naprawdę żyć – jeśli Snowfield mi na to pozwoli.

– Damy sobie radę.

– Chciałabym mieć taką pewność.

– Wiesz, jak będziemy mieli przed sobą jakiś miły cel, pomoże nam to przetrwać. Co myślisz o tym, żeby mi zaoferować taki cel?

– Co?

– Randka. – Pochylił się ku niej. Gęste konopne włosy opadły mu na czoło. – Ristorante Gervasia w Santa Mira. Minestrone. Scampi polane masłem czosnkowym. Jakiś niezły medalion cielęcy albo może stek. Pasta na przystawkę. Podają cudowne vermicello al pesto. Dobre wino.

Uśmiechnęła się, wniebowzięta.

– Cudo.

– Zapomniałem wspomnieć o chlebie czosnkowym.

– Uwielbiam chlebek czosnkowy.

– Na deser zabaglione.

– Będą musieli nas wynieść.

– Zamówię taczki.

Pogwarzyli kilka minut, rozładowując napięcie i w końcu oboje byli gotowi iść spać.

PING

W mrocznym pomieszczeniu gospodarczym, gdzie na stole spoczywało ciało Stu Wargle’a, woda

zaczęła znów skapywać do metalowego zlewu.

PING

Nadal coś ukradkowo poruszało się w ciemności, krążyło wokół stołu. Odgłos pełzania przez kleiste, mokre błoto.

Nie był to jedyny dźwięk, rozległo się wiele innych, wszystkie przytłumione, ciche. Ziajanie zmęczonego psa. Puknięcia rozzłoszczonego kota. Łagodny, srebrzysty, upiorny śmieszek; śmieszek dziecka. Bolesny szloch kobiety. Jęk. Westchnienie. Świergot jaskółki, czysty, ale stłumiony, jakby ze względu na wartowników w hallu. Ostrzeżenie grzechotnika. Buczenie trzmieli. Wysokie, złowrogie bzyczenie os. Warczenie psa.

Odgłosy urwały się równie nagle, jak się zaczęły.

Powróciła cisza.

PING

Ciszę punktowały tylko regularnie odmierzane nuty spadających kropelek.

PING

W pozbawionym światła pokoju dał się słyszeć szelest materiału. Całun na trupie Wargle'a. Zsunął się ze zmarłego i upadł na podłogę.

Odgłos pełzania powrócił.

Łamanie suchego drewna. Kruchy, przytłumiony choć gwałtowny dźwięk. Ostry trzask łamanej kości.

Cisza.

PING

Cisza.

PING PING PING

Kiedy Tal Whitman oczekiwał na sen, myślał o Strachu. To było kluczowe słowo; forma, która nadała kształt jego życiu. Strach. Przez całe życie uparcie stawiał mu czoło, nawet odmawiał istnienia. Nie pozwalał mu się dotknąć, poniżyć, nie chciał mu ulec. Nie chciał się nawet przyznać, że cokolwiek może go przestraszyć. Twardy los od początku nauczył go, iż niekiedy wystarczy uznać, że strach istnieje, by zostać przezeń pozartym.

Urodził się i wychował w Harlemie, gdzie strach był wszechobecny; strach przed ulicznymi gangami, strach przed ćpunami, strach przed przypadkową przemocą, strach przed nędzą, strach przed wypchnięciem z głównego nurtu życia. W czynszowych kamienicach, stojących wzdłuż szarych ulic, strach czyhał, by cię zeżreć, kiedy tylko lekkim skinieniem głowy potwierdziłeś jego istnienie.

W dzieciństwie nie czuł się bezpiecznie nawet w mieszkaniu, które dzielił z matką, bratem i trzema siostrami. Ojciec Tala był socjopatą. Bił żonę. Zjawiał się raz albo dwa razy na miesiąc w poszukiwaniu rozrywki. Tłukł żonę do nieprzytomności i napędzał nieziemskiego strachu dzieciom. Prawdę mówiąc mama nie była wiele lepsza od starego. Chlała za dużo wińska, ćpała za dużo i była prawie tak samo bezwzględna wobec dzieci jak ojciec.

Kiedy Tal miał dziewięć lat, w jedną z tych rzadkich nocy, gdy ojciec spał w domu, pożar ogarnął czynszówkę. Tal jeden przeżył z całej rodziny. Mama i stary zginęli w łóżku, uduszeni dymem we śnie. Brat Tala, Oliver, siostry – Heddy, Louisa i malutka Francesca – zginęli. Teraz, po wielu latach, trudno było uwierzyć, że kiedyś istnieli.

Po pożarze przygarnęła go siostra matki, ciocia Rebecca. Też mieszkała w Harlemie. Becky nie piła.

Nie brała prochów. Nie miała własnych dzieci. Ale za to miała pracę, chodziła do szkoły wieczorowej, wierzyła, że człowiek może sobie sam poradzić. Miała aspiracje. Często powtarzała Talowi, że nie ma się czego bać – tylko Samego Strachu i że Sam Strach jest jak nocne straszidło, jak cień. „Bóg dał ci zdrowie, Talbercie, i olej w głowie. Jak ci go ubędzie, to tylko z twojej winy”. Dzięki miłości, dyscyplinie i wskazówkom cioci Becky młody Talbert uwierzył w końcu, że jest dosłownie niezwyciężony. Nie bał się niczego w życiu. I nie bał się też śmierci.

Właśnie dlatego po latach, przeżywszy strzelaninę w nocnym sklepiku, tam, w Santa Mira, mógł powiedzieć Bryce’owi Hammondowi, że to była tylko bułka z masłem.

Teraz po raz pierwszy od długich, długich lat przygiął go ciężar, którego wagi zapomniał: brzemię strachu.

Tal pomyślał o Stu Wargle’u i to brzemię zaciążyło mu jeszcze mocniej.

Oczy miał wyżarte z czaszki.

Sam Strach.

Ale to nocne straszidło istniało.

Pół roku po trzydziestych pierwszych urodzinach Tal Whitman odkrywał, że nadal czuje strach, jakkolwiek dzielnie by mu się opierał. Nieustraszonosc zawiodła go wysoko. Ale wbrew temu, co myślał do tej pory, uświadomił sobie, że bywają w życiu chwile, kiedy bać się oznaczało mieć olej w głowie.

Tuż przed brzaskiem Lisa obudziła się z koszmaru, którego nie była w stanie sobie przypomnieć.

Spojrzała na Jenny i resztę śpiących, potem obróciła się do okien. Noc dobiegała końca, Skyline Road była zwodniczo spokojna.

Lisa musiała zrobić siusiu. Wstała i cicho przemknęła się między dwoma rzędami materacy. W hakowatym przejściu do następnej sali uśmiechnęła się do wartownika. Mrugnął do niej.

Następny siedział w stołówce. Kartkował magazyn.

W hallu dwójka trzymała straż przy windach. Polerowane podwójne drzwi frontowe zajazdu, każde skrzydło z elipsą szlifowanego szkła w środku, były zamknięte na klucz i stał przy nich trzeci wartownik. Trzymał strzelbę i patrzył przez szkło na podejście do budynku.

Czwarty mężczyzna siedział w hallu. Lisa poznała go wcześniej: łysy, z rumianą twarzą, nazywał się Fred Turpner. Siedział za dużym biurkiem, obsługiwał telefon. Aparat musiał często odzywać się w nocy, gdyż kilka sporego formatu kartek z wiadomościami leżało obok. Kiedy Lisa przechodziła, telefon znów zadzwonił. Fred pozdrowił ją podniesieniem dłoni. Złapał za słuchawkę.

Lisa poszła prosto do toalet mieszczących się w kącie hallu. Napisy na drzwiach głośno: SARENKI, KOZIOŁKI.

Ta głupawa wesołość nie współgrała z resztą Zajazdu Na Wzgórzu.

Pchnęła drzwi z napisem SARENKI. Toalety uznano za bezpieczny teren, ponieważ nie miały okien, a wejść można było tylko przez hali, w którym zawsze stała warta. Damska toaleta była przestronna i czysta: cztery kabiny, umywalnie. Podłoga i ściany pokryte białymi kafelkami. Wzdłuż brzegów podłogi i po górnych krawędziach ścian biegły pasy granatowych płytek.

Lisa skorzystała z pierwszej kabiny i najbliższej umywalni. Kiedy skończyła myć ręce i podniosła wzrok do lustra, zobaczyła jego. Jego. Nieżywego funkcjonariusza Wargle’a.

Stał osiem, dziesięć stóp za nią na środku toalety. Szczerzył zęby.

Obróciła się, pewna, że to skaza zwierciadła, oszustwo lustra. Nie może go tam być.

Ale stał tam. Nagi, obrzydliwie szczerzył zęby.

Twarz odzyskała normalny wygląd: mocne szczęki, grube, tłuste wargi, świński nos, małe, ruchliwe oczka. Magicznym sposobem ciało powróciło na miejsce.

Niemożliwe.

Zanim Lisa zdążyła zareagować, Wargle stanął między nią a drzwiami. Jego bose stopy klapnęły o podłogę.

Ktoś tłukł w drzwi.

Wargle nie zwracał na to uwagi.

Tłukł i tłukł, i tłukł...

Dlaczego ten ktoś najzwyczajniej nie otworzy drzwi i nie wejdzie?

Wargle wyciągnął ręce i przyzywał ją do siebie. Szczerzył zęby.

Od pierwszej chwili Wargle nie podobał się Lisie. Przyłapała go na ukradkowych spojrzeniach, kiedy wydawało mu się, że jest zajęta czym innym. Miał wtedy niepokojący wyraz twarzy.

– Słodki z ciebie towar. Chodź tu.

Spojrzała na drzwi i uświadomiła sobie, że nikt się nie dobija. Słyszała tylko gorączkowe walenie swojego serca.

Wargle oblizwał wargi.

Lisa zakrztusiła się nagle, niespodzianie. Była tak całkowicie sparaliżowana powrotem zza grobu tego mężczyzny, że zapomniała oddychać.

– Chodź tu, suczko.

Spróbowała krzyknąć. Na nic.

Wargle pomacał się nieprzyzwoicie.

– Założę się, że lubisz sobie go posmakować, he? – powiedział. Usta miał wilgotne od pożądliwie biegającego języka.

Znów spróbowała krzyknąć. Znów nic. Płuca jej płonęły. Zachłannie potrzebowała oddechu, ale wciągała powietrze tylko nieludzkim wysiłkiem.

To nieprawda. Jeśli na kilka sekund zamknę oczy, ścisnę mocno powieki, policzę do dziesięciu i otworzę, on zniknie.

– Suczunia.

Był widziadłem. Może nawet częścią snu. Może faktycznie przyszła do toalety tylko w sennym koszmarze.

Ale nie wypróbowała swojej teorii. Nie zamknęła oczu i nie policzyła do dziesięciu. Nie ośmieliła się.

Wargle zrobił krok. Nadal masował sobie krocze.

Jego naprawdę nie ma. Jest widziadłem.

Kolejny krok.

– Chodź, słodzińska, daj pociamkać te twoje cycuchy.

Jego naprawdę nie ma, jest widziadłem, jego naprawdę nie ma, jest...

– Będiesz miała radochę, słodziuchna.

Cofnęła się.

– Słodki z ciebie towar. Chodź. Naprawdęś milusia.

Wciąż się zbliżał.

Wszedł w światło. Jego cień padł na nią. Duchy nie rzucają cieni.

Pomimo śmieszku i wyszczerzonych zębów jego głos stawał się coraz bardziej chrapliwy, wstrętny.

– Ty mała, głupia dziwko. Wyżyję się na tobie do oporu. Cholera, do oporu. Zrobię ci lepiej niż chłoptysie z liceum. Jak cię posunę, nie ruszysz się tydzień, słodziuchna.

Jego cień połknął ją całą.

Serce biło jej tak mocno, że myślała, iż wyskoczy z piersi. Cofała się krok po kroku – ale niebawem wpadła na ścianę. Znalazła się w kącie.

Rozejrzała się za jakąś bronią, za czymś, czym przynajmniej mogłaby w niego rzucić. Nie było niczego.

Każdy oddech kosztował ją coraz więcej. Czowała zawroty głowy, słabość.

Jego naprawdę nie ma. Jest widziadłem.

Ale nie mogła dalej się oszukiwać; to nie sen.

Wargle stał na odległość ramienia. Wpatrywał się w nią. Kiwał się na nagich piętach – w przód, w tył – jakby słyszał jakąś wariacką-mroczną-tylko-sobie-wiadomą muzykę. Rosła w nim i opadała, rosła i opadała. Zamknął ziejące nienawiścią oczy, kiwał się, rozmarzony.

Minęła sekunda.

O co mu chodzi?

Dwie sekundy, trzy, sześć, dziesięć.

Nadal miał zamknięte oczy.

Czowała, jak wciąga ją wir hysterii.

Prześliznąć się obok niego? Oczy ma zamknięte... Jezu. Nie. Stoi za blisko. Musiałaby się o niego otrzeć. Jezu. Otrzeć się o niego? Nie. Boże, to by go wytrąciło z transu czy czegoś tam, złapie ją, a jego ręce będą zimne, zimne jak to u trupa. Za nic go nie dotknę. Nie.

Wtem zauważyła, że coś dziwnego dzieje się z jego oczami. Jakby coś się w nich mrowiło. Pod powiekami widziała, że krzywizna gałek uległa zmianie.

Otworzył oczy.

Znikły.

Zostały tylko puste, czarne oczodoły.

Wreszcie krzyknęła, ale to wołanie było niesłyszalne dla ludzkiego ucha. Wycisnęła szybko powietrze z gardła, czuła konwulsyjnie pracujące mięśnie, ale to absolutnie nie był dźwięk, który mógł sprowadzić ratunek.

Te oczy.

Te puste oczy.

Była pewna, że puste oczodoły nadal ją widzą. Wysysają.

Straszliwy grymas nie znikał.

– Cipulka – odezwał się.

Krzyczała bezgłośnie.

– Cipulka. Pocałuj mnie, cipulko.

Ciemne jak północ, okolone kośćmi oczodoły zachowały blask złowrogiego życia.

– Pocałuj mnie.

Nie!

Daj mi umrzeć, modliła się. Boże, niech wpierv umrę.

– Daj, possam sobie soczku z twojego języczka – napierał Wargle, wybuchając chichotem. Wyciągnął ręce.

Przykleiła się niemal do twardej ściany. Wargle dotknął jej policzka. Wzdrygnęła się, usiłowała

odchylić twarz. Palce z wolna przesunął w dół jej twarzy. Dłoń miał lodowatą, śliską. Usłyszała cienki, wąły, dziwny jęk:

– *Uła-uła-uła-uła-aaaaa...*

Słyszała samą siebie.

Poczuła dziwny, kwaśny smród. Jego oddech? Oddech martwego mężczyzny, wydobywający się z gnijących płuc? Czy umarli powstali z grobu oddychają? Smród był lekki, ale nieznośny. Wymiociny podeszły jej do gardła.

Przybliżył swoją twarz do jej twarzy.

Wpatrywała się w wyżarte oczy, w mrowiącą się w głębi czaszki czerń. Jakby zaglądała przez dwa judasze w najgłębsze komnaty piekieł. Zacisnął dłoń na jej gardle. Powiedział:

– Dajże mi...

Wciągnęła palący haust.

– ...całuska.

Wydała kolejny krzyk.

Tym razem nie był bezgłośny. Tym razem wrzasnęła rozdzierająco, krzykiem zdolnym rozbić lustro toalety, roztrzaskać kafelki.

Kiedy martwa, pozbawiona oczu twarz Wargle'a z wolna, z wolna pochyliła się ku niej, kiedy usłyszała echo własnego krzyku tłukące się o ściany, wir historii, z którym walczyła, wessał światło i utonęła w mroku.

PORYWACZE TRUPÓW

Przy najbardziej oddalonej od toalet ścianie hallu Zajazdu Na Wzgórzu, na obitej tapicerką koloru rdzy sofie Jennifer Paige tuliła Lisę.

Bryce przykucnął obok, trzymał dziewczynę za rękę. Nie pomagało żadne ściskanie i masowanie. Ręką wciąż była lodowata.

Wszyscy oprócz wartowników zgromadzili się półkolem przy sofie.

Lisa wyglądała strasznie. Oczy miała zapadłe, czujne, wzrok zagonionego zwierzęcia. Twarz tak białą jak kafelki na podłodze w damskiej toalecie, gdzie znaleźli ją nieprzytomną.

– Stu Wargle nie żyje – uspokajał ją bezustannie Bryce.

– Chciał mnie po...po...pocałować – powtarzała dziewczyna, stanowczo trzymając się swojej niesamowitej opowieści.

– W toalecie nie było nikogo oprócz ciebie – przekonywał Bryce. – Ni-ko-go.

– Był tam – upierała się.

– Wpadliśmy, gdy tylko krzyknęłaś. Byłaś sama...

– On tam był.

– ...na podłodze, w środku, lodowata.

– On tam był.

– Jego ciało leży w pomieszczeniu gospodarczym – mówił Bryce, łagodnie ściskając ją za rękę. – Złożyliśmy je tam wcześniej. Pamiętasz, prawda?

– A ciągle tam leży? – zapytała. – Może lepiej byście sprawdzili.

Bryce napotkał spojrzenie Jenny. Kiwnęła głową. Przekonany, że wszystko może zdarzyć się dzisiejszej nocy, Bryce dźwignął się na nogi, wypuścił dłoń dziewczyny. Obrócił się w kierunku pomieszczenia gospodarczego.

– Tal?

– No?

– Chodź ze mną.

Tal wyciągnął rewolwer.

– Reszta niech zostanie – rozkazał Bryce, wyjmując swoją broń. Ramię w ramię z Talem podeszli do drzwi pomieszczenia gospodarczego, zatrzymali się.

– Ona nie wygląda mi na dzieciaka, który wymyśla niestworzone historie – powiedział Tal.

– Masz rację.

Bryce myślał o ciele Paula Hendersona, które znikło z podkomisariatu. Ale, do cholery, tamto to coś zupełnie innego. Trup Paula był łatwo dostępny, nie pilnowany. Ale tu nikt nie mógł dostać się do trupa Wargle'a – a sam Wargle też nie mógł wstać i pójść. Któryś z trzech ludzi rozstawionych w hallu zobaczyłby go. A nie widziano ani Wargle'a, ani niczego innego.

Bryce stanął przy lewej framudze, wskazał Talowi, żeby zajął pozycję po drugiej stronie.

Kilka sekund nasłuchiwali. Zajazd był cichy. Żaden dźwięk nie dobiegał z pomieszczenia gospodarczego.

Nie wchodząc w światło drzwi, Bryce sięgnął z boku do gałki, przekręcił ją powoli i cicho do oporu. Zawahał się. Zerknął na Tala, który dał znak, że jest gotowy. Bryce wciągnął oddech, szarpnął za drzwi, otworzył. Odskokzył.

Nic nie wybiegło z ciemnego pomieszczenia.

Tal wolniutko wsunął dłoń za framugę, odnalazł wyłącznik światła.

Bryce przykucnął, czekał. W momencie w którym zapłonęło światło, rzucił się przez próg z rewolwerem w wyprostowanych rękach.

Ostre fluorescencyjne światło spływało w dół z bliźniaczych sufitowych paneli, odbijało się od brzegów metalowego zlewu, butelek, środków czyszczących.

Całun, którym okryli ciało, leżał zwinięty na podłodze obok stołu.

Trup Wargle'a przepadł.

Deke Coover trzymał straż przy frontowych drzwiach zajazdu. Niewiele pomógł Bryce'owi. Większość czasu spędził wyglądając na Skyline Road, plecami do wnętrza. Ktoś mógł wywieźć ciało Wargle'a i Coover nawet by tego nie zauważył.

– Szeryfie, kazał mi pan pilnować frontowego podjazdu – powiedział. – Jeśli tylko Wargle nie wyszedł z pieśnią na ustach, to bez niczego mógł się wymknąć. Wykonał dobry stary numer cichaczem tup-tup i jakby nawet miał po chorągiewce w łapie, tobym go przegapił.

Kelly MacHeath i Danny Jessup stali przy windach w pobliżu pomieszczenia gospodarczego. Zaliczali się do młodszych podkomendnych Bryce'a, mieli po dwadzieścia pięć lat, ale obydwaj byli zdolni, godni zaufania i mieli niezłe doświadczenie.

MacHeath, nabity blondyn z byczym karkiem i mocnymi barami, potrząsnął głową i rzekł:

– Nikt tam nie wchodził ani nie wychodził przez całą noc.

– Nikt – potwierdził Jessup. Był żyłastym mężczyzną z kręconymi włosami i oczami koloru herbaty.
– Widziałyby się.

– Drzwi są tuż obok – zauważył MacHeath.

– I stało się tu całą noc, szeryfie.

– Zna pan nas, szeryfie – dodał MacHeath.

– Wie pan, że się nie opieprzamy – powiedział Jessup.

– Kiedy jest się na służbie...

– ...to jest się na służbie – dokończył Jessup.

– Cholera – zaklął Bryce. – Trup Wargle'a znikł. Nie zszedł po prostu ze stołu i nie przemaszerował przez ścianę.

– Nie zszedł też ze stołu i nie przemaszerował przez drzwi – upierał się MacHeath.

– Sir, Wargle nie żył – stwierdził Jessup. – Samemu nie widziało się ciała, ale z tego co się słyszało, to był bardzo nieżywy. Nieżywi ludzie zostają tam, gdzie się ich położy.

– Niekoniecznie – napomniał ich Bryce. – Nie w tym mieście. Nie dziś w nocy.

W pomieszczeniu gospodarczym Bryce zwrócił się do Tala:

– Stąd można wyjść tylko drzwiami.

Obeszli powoli pokój, zlustrowali go.

Ciekący kran upuścił kroplę wody. Uderzyła o dno metalowego zlewu z miękkim *ping*.

– Kratka wentylacyjna – powiedział Tal, wskazując przesłonięty otwór tuż pod sufitem. – Co z tym?

– Mówisz poważnie?

– Lepiej rzućmy na to okiem.

– Za mała, żeby człowiek mógł się przecisnąć.

– Pamiętasz włamanie do sklepu jubilerskiego Krybinsky'ego?

– Jak mógłbym zapomnieć? Sprawa jest wciąż nie zamknięta. Krybinsky wytyka mi to za każdym

razem, gdy mnie zobaczy.

– Tamten facet wszedł do piwnicy Krybinsky’ego przez nie zamknięte okno, prawie tak wąskie jak ten otwór.

Jak wielu gliniarzy, którzy mieli do czynienia z włamaniami, Bryce wiedział, że przeciętnie zbudowanemu człowiekowi, chcącemu dostać się do budynku, wystarczy zadziwiająco wąski otwór. Dziura wielkości głowy umożliwia wślizgnięcie się całego ciała. Oczywiście, ramiona są szersze niż głowa, ale można je stulić lub wykręcić. Podobnie da się zniwelować szerokość bioder, by przeszły za ramionami. Ale Stu Wargle nie miał przeciętnej budowy.

– Bandzioch Stu utknąłby tu jak korek w butelce. Niemniej jednak podstawił stojący w kącie taboret, wszedł na niego i zlustrował kratkę.

– Nie jest mocowana na wkrety – powiedział do Tala. – To model na zawiasy sprężynowe. Można więc przyjąć, że zaskoczyła z powrotem, kiedy Wargle przeszedł, ale musiał się czołgać nogami do przodu.

Odciągnął kratkę.

Tal podał latarkę.

Bryce skierował strumień światła do ciemnego przewodu wentylacyjnego. Zmarszczył brwi. Wąski metalowy komin po kilku stopach skręcał pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w górę.

Zgasił latarkę, oddał Talowi.

– Niemożliwe. Żeby tędy przejść, Wargle musiałby być nie większy niż Sammy Davis junior i tak giętki jak człowiek-guma z cyrku.

Frank Autry podszedł do Bryce’a Hammonda. Szeryf siedział przy biurku dyżurnego i czytał informacje, które napłynęły przez noc.

– Sir, jest coś, co powinien pan wiedzieć o Wargle’u.

Bryce podniósł wzrok.

– Co takiego?

– No... nie chcę źle mówić o zmarłym.

– Żaden z nas za nim nie przepadał – powiedział beznamyślnie Bryce. – Jakakolwiek próba uszanowania jego pamięci zakrawa na hipokryzję. Jak więc wiesz o czymś, co mogłoby mi pomóc, śpiewaj, Frank.

Frank uśmiechnął się.

– Miałby pan przed sobą karierę w armii. – Siadł na skraju biurka. – Tego wieczoru, kiedy rozkładaliśmy radio na posterunku, Wargle zrobił kilka obrzydliwych uwag na temat doktor Paige i Lisy.

– O charakterze seksualnym?

– No.

Frank powtórzył rozmowę.

– Chryste – powiedział Bryce, potrząsając głową.

– To, co mówił o dziewczynie, najbardziej mnie ruszyło. Ta gadka, że jak okoliczności pozwolą, dobierze się do niej, nie była całkiem serio. Nie sądzę, że mógłby posunąć się aż do gwałtu, ale stać go było na dużą natarczywość. Pod płaszczykiem swojego autorytetu, władzy, mógłby ją przymusić. Dziewczyna chyba mu się nie dała, jest za żwawa. Ale Wargle mógłby próbować.

Szeryf postukiwał ołówkiem w biurko, zerkał w dal, zamyślony.

– Ale Lisa nie mogła o tym wiedzieć – dokończył Frank.

– Nie usłyszała czegoś z waszej rozmowy?

– Jak? Ani słowa.

– Mogła podejrzewać Wargle’a, widzieć, jak się jej przyglądał.

– Ale nie mogła wiedzieć – powtórzył Frank. – Wie pan, co mam na myśli?

– Tak.

– Większość dzieciaków, kiedy już zmyśla, zadowala się opowieścią o tym, jak to gonił ich umarły.

Na ogół nie dodają ozdóbek o seksualnym napastowaniu.

Bryce był skłonny się z tym zgodzić.

– Dzieciaki nie mają głowy na takie barokowe ozdobniki. Ich kłamstwa zwykle są proste, niewymyślne.

– Właśnie – powiedział Frank. – To że Wargle był nagi i chciał się do niej dostać... no... według mnie, to dodaje wiarygodności jej słowom. Zgoda, wszyscy wolelibyśmy wierzyć, że ktoś wśliznął się do pomieszczenia gospodarczego i ukraść trupa Wargle’a. Wolelibyśmy wierzyć, że podrzucił trupa do damskiej toalety, Lisa zobaczyła go, uległa panice i dokonponowała resztę. Chcielibyśmy wierzyć, że po tym jak zemdlą, ktoś jakimś niewiarygodnie sprytnym sposobem wyciągnął stamtąd ciało. Ale to wyjaśnienie ma pełno dziur. Stało się coś dużo bardziej niezwykłego.

Bryce upuścił ołówek i odchylił się w fotelu.

– Niech to szlag! Wierzysz w duchy, Frank? W umarłych, wstających z grobu?

– Nie. Na to musi być prawdziwe wytłumaczenie. Nie zabobony, czary-mary. Prawdziwe wytłumaczenie.

– Zgadza się – powiedział Bryce. – Ale twarz Wargle’a...

– Wiem. Widziałem.

– Jak mógł ją odzyskać?

– Nie wiem.

– A Lisa powiedziała, że jego oczy...

– No. Słyszałem, co mówiła.

Bryce westchnął.

– Układałeś kiedyś kostkę Rubika?

Frank zamrugał.

– Nie. Nigdy.

– A ja tak. To cholerstwo doprowadziło mnie prawie do obłądzenia, ale uparłem się i w końcu ułożyłem.

Każdy myśli, że to trudna zagadka, ale w porównaniu z tą sprawą kostka Rubika to przedszkolna zabawa.

– Jest jeszcze jedna różnica – powiedział Frank.

– Jaka?

– Jeśli nawet nie ułożysz kostki Rubika, będziesz żył.

W Santa Mira, w celi więzienia okręgowego Fletcher Kale, rzeźnik własnej żony i syna, obudził się przed świtem. Leżał bez ruchu na cienkim piankowym materacu i patrzył ze swego punktu obserwacyjnego w okno, w prostokątną płytę porannego nieba.

Nie spędzi całego życia w więzieniu. O, nie.

Był zrodzony do wielkości. Nikt nie potrafił tego pojąć. Widzieli Fletchera Kale’a takiego, jakim był teraz, niezdolni przewidzieć czekającej go przyszłości. Przeznaczone było mu wszystko: nieprzeliczone bogactwa, niewyobrażalna władza, sława, szacunek.

Kale wiedział, że różni się od ludzkiej mierzwy, i to pozwalało mu przetrwać wszelkie przeciwności

losu. Ziarna wielkości zaczynały już w nim kiełkować. W swoim czasie pokaże im wszystkim, jak się mylili.

Spostrzegawczość, myślał wpatrując się w zakratowane okno, spostrzegawczość – oto mój największy walor. Jestem niezwykle spostrzegawczy.

Dostrzegął, że wszystkie bez wyjątku istoty ludzkie kierują się własnym interesem. Nic w tym złego. Taka jest natura tego gatunku. Ludzkość jest na to skazana. Ale większości nie stać na spojrzenie prawdzie w twarz. W głowie im tak zwane budujące pojęcia, jak miłość, przyjaźń, honor, prawdomówność, wiara, zaufanie i godność jednostki. Twierdzą, że wierzą w te i jeszcze w inne rzeczy, choć w głębi serca wiedzą, że to wszystko kupa gówna. Tylko że nie umieją się do tego przyznać. I dlatego tak głupio wiążą sobie ręce pobożnymi życzeniami, bezcelowymi zasadami, szlachetnymi, lecz pustymi sentymentami, nie zaspokajając przez to swoich autentycznych potrzeb, skazując się na porażki i niedolę.

Durnie. Boże, ale ich nienawidzę! – pomyślał.

Ze swej wyjątkowej perspektywy Kale widział, że ludzkość jest w rzeczywistości najokrutniejszym, najniebezpieczniejszym gatunkiem na ziemi. Upajał się tą wiedzą. Był dumny, że zalicza się do tego gatunku.

Wyprzedzam mój czas, myślał Kale, siedząc na skraju pryczy, z bosymi stopami na zimnej podłodze celi. Jestem kolejnym szczeblem drabiny ewolucji. Zostawiłem za sobą wiarę w moralność. To mi niepotrzebne. Dlatego tak mnie nienawidzą. Nie dlatego, że zabiłem Joannę i Danny'ego. Nienawidzą mnie dlatego, że jestem od nich lepszy, żyję w większej zgodzie z prawdziwą ludzką naturą.

Nie miał wyboru. Musiał zabić Joannę. Przede wszystkim odmówiła mu pieniędzy. Była gotowa go poniżyć, zrzuć zawodowo i finansowo, pogрузić całą jego przyszłość.

Musiał ją zabić. Stała mu na drodze.

Danny. Wielka szkoda. Kale jakoś żałował tego etapu. Nie zawsze. Tylko czasami. Wielka szkoda. Konieczność, ale wielka szkoda.

W każdym razie Danny był nieodrodnym synkiem swojej mamusi. W istocie to faktycznie całkiem odbił od ojca. Robótka Joanny. Na pewno robiła dzieciakowi pranie mózgu, ustawiała przeciwko staremu. W końcu Danny przestał być w ogóle jego synem. Stał się obcy.

Kale położył się na podłodze i zaczął robić pompki.

Raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa.

Musi być w formie, gotów na chwilę, w której pojawi się szansa ucieczki. Dokładnie wiedział, gdzie ucieknie. Nie na zachód, nie poza okręg, nie do Sacramento. Tego się po nim będą spodziewali.

Raz-dwa, raz-dwa.

Znał idealną kryjówkę. Tuż pod nosem, w okręgu. Nie będą go szukali pod nosem. Kiedy nie znajdą go w ciągu jednego, dwóch dni, uznają, że dał dyla i zaprzestaną aktywnych poszukiwań w najbliższej okolicy. A kiedy minie kilka tygodni, kiedy przestaną o nim myśleć, opuści kryjówkę i wracając przez miasto, pojedzie na zachód.

Raz-dwa.

Ale najpierw w góry. Tam czeka kryjówka. Góry dają największą szansę ukrycia się przed glinami. Czuł to. Góry. Taak. Wzywały go.

Brzask ogarnął góry. Rozciągnął się po niebie jasną plamą, wsiąkał w mrok, odbarwiał go.

Las nad Snowfield był cichy. Bardzo cichy.

Krople rosy perliły się na liściach poszycia. Miły zapach żyznego humusu bił z gąbczastego podłoża. Powietrze było chłodne, jakby ostatnie westchnienie nocy nadal otulało ziemię.

Na wapiennej formacji skalnej, która wystrzeliwała z nagiego stoku, tuż poniżej linii drzew, stał lis. Wiatr łagodnie mierzwił szare futro.

Oddech zwierzęcia unosił się w ostrym powietrzu niewielkimi, fosforyzującymi chmurkami.

Lis nie był nocnym łowcą, a mimo to ruszył na polowanie już godzinę przed świtem. Nie jadł prawie od dwóch dni.

Nie mógł trafić na zwierzynę. Lasy stały nienaturalnie ciche. Nigdzie nawet zapachu żeru.

Nigdy, o żadnej porze roku, lis nie słyszał równie głuchoj ciszy. Najdokuczliwsze dni w środku zimy obiecywały więcej niż dzisiejszy. Nawet w styczniowe śnieżyce zawsze trafiał na zapach krwi, zwierzyny.

A teraz nie.

Teraz nie było niczego.

Wyglądało na to, że śmierć zagarnęła wszystkie stworzenia w tej części lasu – poza małym, głodnym lisem. A przecież nie czuł nawet zapachu śmierci, gęstej woni ściierwa gnijącego w poszyciu.

Gdy w końcu susami pokonał łagodną wapienną skałę, uważając, by nie wsadzić łapy w jedną z licznych dziur lub wąskich rozpadlin zbiegających tu w podziemne jaskinie, dojrzał na stoku coś, co poruszało się samodzielnie, nie popychane wiatrem.

Wiewiórka. Dwie wiewiórki. Nie, było ich nawet więcej – pięć, dziesięć, dwadzieścia. Usadowiły się rzędem w mroku, wzdłuż linii drzew.

Najpierw w ogóle nie było zwierzyny. Teraz pojawiła się w obfitości. Dziwne i jedno, i drugie.

Lis łapał wiatr.

Choć wiewiórki siedziały tylko o pięć, sześć jardów, nie czuł ich woni.

Spoziały wprost na niego, ale nie wyglądały na przestraszone.

Lis przekrzywił łeb. Podejrzliwość stępiła głód.

Wiewiórki ruszyły w lewo, wszystkie jednocześnie, ściśnięte w małą grupę. Wyszły z cienia drzew prosto na lisa. Kotłowały się jedna przez drugą, gorączkowa plątanina brązowych futerek, ruchoma brązowa plama na brązowej trawie. Kiedy wszystkie zatrzymały się gwałtownie, jednocześnie, były tylko o dwa, trzy jardy od lisa. To nie wiewiórki.

Lis zmarszczył pysk, prychnął.

Dwadzieścia małych wiewiórek było teraz czterema wielkimi szopami.

Lis szczerzył cicho.

Jeden z szopów, ignorując go, siadł i zaczął czyścić łapy.

Lis zjeżył grzbiet.

Łapał wiatr.

Żadnego zapachu.

Opuścił łeb i z uwagą śledził szopy. Napięte mięśnie sprężyły mu się jeszcze bardziej. Nie do ataku. Zbierał się do ucieczki.

Działo się coś bardzo niedobrego.

Cała czwórka szopów siadła. Przednie łapy podniosły. Wystawiły miękkie brzuchy.

Przyglądały się lisowi.

Szop rzadko stawał się celem ataku lisa. Był zbyt agresywny, miał zbyt ostre zęby, zbyt szybkie pazury. Ale choć nic nie groziło mu ze strony lisa, nigdy nie ryzykował próby sił. Nigdy nie zadzierał

nosa, jak ta czwórka.

Lis wystawił język na zimne powietrze.

Łapał wiatr. W końcu poczuł zapach.

Stulił uszy i szczechnął głośnie.

To nie była woń szopów. To nie była woń żadnego mieszkańca lasu. Była to nieznajoma, ostra, nieprzyjemna woń. Słaba. Ale budząca obrzydzenie.

Fatalny smród nie wiał od szopów, które upozowały się przed lisem. Nie był w stanie odgadnąć, skąd to wieje.

Wietrząc poważne niebezpieczeństwo, lis zwinął się w miejscu, obrócił od szopów, choć wystawienie się plecami do nich dużo go kosztowało.

Poduszki łap otarły się o twardą nawierzchnię, pazury stuknęły, gdy rzucił się w dół stoku, przecinając płaską, zniszczoną wiatrem i deszczem skałę; ogon rozwinął jak chorągiew. Przeskakiwał szeroką na stopę dziurę...

...i w najwyższym punkcie paraboli lotu coś ciemnego, zimnego i pulsującego zwinęło go z powietrza.

To stworzenie wyskoczyło z dziury z brutalną, wstrząsającą siłą i prędkością.

Rozdzierający pisk lisa był ostry i krótki.

Zaledwie został schwycony, znikł w rozpadlinie. Pięć stóp niżej, na dnie miniaturowej przepaści znajdowała się dziura wiodąca do jaskini pod wapienną formacją. Dziura była za wąska dla lisa, ale opierające się zwierzę i tak zostało przez nią przeciągnięte. Trzasnęły kości.

Przepadł.

Wszystko w okamgnieniu. W połowie okamgnienia.

Lis został wessany w ziemię, zanim echo jego śmiertelnego wołania powróciło, odbite od dalekich wzgórz.

Szopy znikły.

Teraz fala polnych myszy pokryła wypolerowane płyty wapienia. Zastępy myszy. Przynajmniej setka.

Podbiegły do brzegu dziury.

Spoglądały w dół.

Jedna po drugiej ześlizgiwały się po brzegu, spadały na dno, a potem przez naturalny otwór w jamę poniżej.

Wkrótce wszystkie myszy również przepadły.

Las nad Snowfield ogarnęła znowu cisza.

CZĘŚĆ DRUGA

FANTOMY

Zło nie jest pojęciem abstrakcyjnym.

Istnieje. Ma kształt. Stąpa po ziemi.

Jest aż nazbyt realne.

dr Tom Dooley

Fantomy! Kiedykolwiek myślę, że do końca

zrozumiałem cel ludzkiego losu, lub kiedy

głupio wyobrażę sobie, że pojąłem znaczenie życia

... nagle widzę tańczące w cieniu fantomy, tajemnicze fantomy,

których gawot równie wyraźnie jak słowa, przemawia:

– To, co wiesz, chłopaczkę, to drobiazg; to, co musisz jeszcze pojąć, to bezmiar.

Charles Dickens

WIELKA SENSACJA

Santa Mira. Poniedziałek – 1:02.

- Halo?
- Czy to *Santa Mira Daily News*?
- No.
- Gazeta?
- Paniusiu, nie pracujemy. Jest po pierwszej w nocy.
- Nie pracujecie? Nie wiedziałam, że redakcje mają przerwę.
- Tu nie *New York Times*.
- A nie drukujecie jutrzejszego wydania?
- Drukujemy nie tu. Tu są biura i pomieszczenia redakcyjne. Chce pani drukarnię, czy co?
- No... mam sensację.
- Jeśli to nekrolog, kierasz na cele kościelne albo coś w tym rodzaju, dzwoń pani jutro rano, po dziewiątej i...
- Nie, nie. To wielka sensacja.
- Ho, ho, wyprzedaż staroci.
- Co?
- Nieważne. Musi pani zadzwonić rano.
- Czekaj, słuchajże pan! Pracuję w firmie telekomunikacyjnej.
- To żadna sensacja.
- Nie, zrozumże pan, to dlatego, że siedzę ze słuchawkami na uszach, wpadłam na ten cały interes. Jest pan redaktorem?
- Nie. Mam pod sobą reklamy.
- No tak... ale może dałby pan radę mi pomóc.
- Paniusiu, jest niedziela w nocy – nie, już poniedziałek nad ranem. Tkwię sam jak palec w tej ponurej klicie i próbuję wykombinować, jak, do diabła, zachęcić ludzi z biznesu, żeby ta gazeta utrzymała się na powierzchni. Jestem zmęczony. Jestem zirytowany...
- To okropne.
- ...i obawiam się, że musi pani zadzwonić jeszcze raz rano.
- Ale coś strasznego stało się w Snowfield. Dokładnie nie wiem co, ale wiem, że zginęli ludzie. Może nawet zginęło dużo ludzi albo przynajmniej grozi im śmierć.
- Chryste, muszę być bardziej zmęczony, niż myślałem. Jestem zainteresowany wbrew sobie. Mów pani.
- Zmieniliśmy telefoniczną obsługę Snowfield, wyłączyliśmy je z ruchu automatycznego, ograniczyli wszystkie telefony „do”. Można dzwonić tylko na dwa numery, oba obsługiwane przez ludzi szeryfa. Zrobiono tak, żeby odciąć miasto, zanim dziennikarze coś wyczują.
- Paniusiu, co piłaś?
- Nie piję.
- No to co ćpałaś?
- Słuchaj pan, wiem jeszcze coś. Otrzymują telefony z biura szeryfa w Santa Mira, z urzędu gubernatora, z jakiejś bazy wojskowej w Utah i...

San Francisco. Poniedziałek – 1:40.

- Tu Sid Sandowicz. Czym mogę służyć?
- Toż mówię w kółko, że chcę gadać z reporterem z *San Francisco Chronicle*, człowieku.
- To ja.
- Człowieku, jużście odstawili mnie trzy razy! Co z wami, kurwa?
- Uważaj, co mówisz.
- Sram na to.
- Słuchaj, masz pojęcie, ile dzieciaków wydzwania do gazet, marnuje nasz czas szczeniackimi wygłupami i niby gorącymi informacjami?
- He? A skąd wiesz, że nie jestem dorosły?
- Bo na słuch masz dwanaście.
- Mam piętnaście!
- Gratuluję.
- Sram na to.
- Słuchaj, synku, mam chłopca w twoim wieku i tylko dlatego cię znoszę, inni się nie palili do tego. Więc jak masz coś naprawdę ciekawego, wal.
- No, mój stary jest profesorem w Stanford. Jest wirusologiem i epidemiologiem. Wiesz, o co biega, człowieku?
- Bada wirusy, choroby zakaźne, takie tam.
- No. I dał się kupić.
- Co to znaczy?
- Przyjął stypendium od pieprzonego woja. Człowieku, przypisali go do jakiegoś oddziału broni chemicznej. Niby że to pokojowe zastosowanie jego badań, ale to wszystko pieprzenie w bambus. Sprzedał swoją duszę i w końcu się o nią upomnieli. Gównno walnęło pod sufit.
- Fakt, że twój ojciec się sprzedał – jeśli faktycznie się sprzedał – to może wielka sprawa w twojej rodzinie, ale obawiam się, że moi czytelnicy nie oszaleją z wrażenia.
- Hej, człowieku, nie dzwonię, żeby zawracać wam dupę. Mam prawdziwą bombę. Dziś w nocy wpadli po niego. Jakiś kryzys. Oficjalnie to poleciał na Wschodnie Wybrzeże w interesach. Podkradłem się na górę i podsłuchiwałem ich w sypialni, klarował wszystko staruszce. Jakieś skażenie w Snowfield. Sakramencko nagła sprawa. Wszyscy mają trzymać język za zębami.
- Snowfield, Kalifornia?
- No, no. Skombinowałem, człowieku, że po cichu robili jakąś próbę broni biologicznej na własnym narodzie i wysnęło im się to z ręki. A może to przypadkowe skażenie. Coś naprawdę dużego tam się dzieje, nie ma gadania.
- Jak się nazywasz, synku?
- Ricky Bettenby. Mój stary nazywa się Wilson Bettenby.
- Mówisz Stanford?
- No. Pójdziecie za tym, człowieku?
- Może jest w tym coś. Ale zanim zacznę dzwonić do Stanford, muszę zadać ci jeszcze dużo pytań.
- Odpalaj pan. Powiem wszystko, co wiem. Chcę, żeby się to rozniosło, człowieku. Chcę, żeby zapłacił za to, że się sprzedał.

Przez noc liczba przecieków rosła. W Dugway, Utah, pewien oficer, któremu coś padło na mózg, zadzwonił z budki telefonicznej poza bazą do Nowego Jorku. Wygadał sprawę ukochanemu młodszemu braciszкови, który był nieopierzonym reporterem *New York Timesa*. W łóżku, załatwiwszy sprawy seksualne, doradca gubernatora wygadał się swojej kochance, reporterce. Te i inne dziury w tamie spowodowały, że upływ informacji wzrósł ze strumyczka w powódź.

Do trzeciej nad ranem centrala w Wydziale Szeryfa Okręgu Santa Mira była przeciążona. Zanim nastał świt, reporterzy z prasy, telewizji i radia napłynęli rojnie do Santa Mira. W godzinach porannych ulica przed biurami szeryfa była zatłoczona samochodami prasy, mikrobusami ze sprzętem tv stacji z Sacramento i San Francisco, reporterami i gapiami w każdym wieku.

Zastępcy poddali się i przestali przeganiać ludzi z ulicy. Było ich za dużo, żeby zmieścić się na chodnikach. Policja odcięła kwartał barierkami i zamieniła go w jeden wielki ośrodek prasowy na wolnym powietrzu. Kilka przedsiębiorczych dzieciaków z pobliskiego domu zaczęło handelek narkotykami, sprzedaż słodczy i – za pomocą najdłuższej serii przedłużaczy, jaką ktokolwiek widział w życiu – gorącej kawy. To stoisko stało się centrum plotkarskim, zbierali się tu dziennikarze, snując teorie, wymieniając pogłoski i oczekując na najświeższe informacje oficjalne.

Inni reporterzy rozbiegli się po Santa Mira, szukając przyjaciół i krewnych mieszkańców Snowfield albo rodzin policjantów tam oddelegowanych. Na skrzyżowaniu drogi stanowej i Snowfield Road reporterzy bezustannie obozowali przy blokadzie.

Zamieszanie trwało w najlepsze, a na miejsce nie dotarła nawet połowa prasy. Wielu przedstawicieli mediów Wschodniego Wybrzeża i prasy zagranicznej było jeszcze w drodze. Władze, starające się w pocie czoła zaradzić temu zamieszaniu, czekało dopiero najgorsze. Na popołudnie zapowiadał się istny cyrk.

PORANEK W SNOWFIELD

O brzasku dostarczono dwoma mikrobusami nadajnik krótkofalowy i dwa napędzane benzyną elektryczne generatory. Pojazdy prowadzili policjanci CHP (Drogowego Patrołu Kalifornijskiego). Dojechali do blokady, wyznaczającej obrzeże strefy kwarantanny, minęli ją, dotarli do połowy czteromilowej Snowfield Road. Tam pozostawili pojazdy.

O powrocie funkcjonariuszy CHP do miejsca blokady drogą radiową poinformowano komisariat w Santa Mira. Z kolei komisariat wezwał do działania Bryce'a Hammonda w Zajeździe Na Wzgórzu.

Tal Whitman, Frank Autry i jeszcze dwaj ludzie dojechali wozami patrolowymi do połowy Snowfield Road i wsiedli do zaparkowanych mikrobusów. W ten sposób zabezpieczono się przed rozszerzeniem zarazy.

Krótkofalówkę umieszczono w kącie hallu zajazdu. Wysłano wiadomość, komisariat w Santa Mira przyjął ją i potwierdził. Obecnie w razie awarii telefonów ludzie Bryce'a nie będą całkowicie odcięci.

W ciągu godziny jeden z generatorów został podłączony do obwodów oświetlenia ulicznego po zachodniej stronie Skyline Road, drugi podłączono do sieci hotelowej. Gdyby w nocy główna linia przesyłowa została w tajemniczy sposób odcięta, generatory zaczną pracować automatycznie. Ciemności nie będą trwały dłużej niż dwie sekundy.

Bryce miał pewność, że nawet ich nieznany nieprzyjaciel nie zdoła porwać ofiary aż tak szybko.

Jenny Paige rozpoczęła rano mizerną kąpielą w miednicy, po czym spożyła całkiem niemizerne śniadanie: jajka na szynce, grzanekę i kawę.

Następnie w towarzystwie trzech ciężko uzbrojonych mężczyzn ruszyła do swojego domu po czyste ubrania dla siebie i Lisy. Zaszła również do gabinetu, skąd wzięła stetoskop, sfigmomanometr, opaski uciskowe, szpatułki, opatrunki gazowe, szyny, bandaże, aseptyki, strzykawki jednorazowe, środki przeciwbólowe, antybiotyki i inne instrumenty oraz środki medyczne niezbędne do utworzenia polowego punktu opatrunkowego.

W domu panowała cisza.

Policjanci wciąż rozglądali się nerwowo, a do każdego pokoju wchodził z poczuciem, że nad drzwiami wisi gilotyna.

Kiedy tylko Jenny skończyła pakowanie w gabinecie, zadzwonił telefon. Wszyscy spojrzeli na aparat.

Wiedzieli, że w mieście działają tylko dwa telefony, obydwa w Zajeździe Na Wzgórzu.

Jenny bez słowa podniosła słuchawkę.

Cisza.

Jenny czekała.

Po chwili usłyszała odległy krzyk mew. Bzyczenie os. Miauczenie kotki. Szloch dziecka. Śmiech innego. Dyszenie psa. *Czika – czika – czika – czika*: grzechotnik.

Bryce słyszał podobne dźwięki zeszłej nocy, tuż przed tym, jak ćma zaczęła tłuc się o okno. Powiedział, że były absolutnie zwyczajne, ot normalne zwierzęce hałasy. A jednak zaniepokoiły go. Nie potrafił wyjaśnić dlaczego.

Teraz Jenny wiedziała dokładnie, co Bryce czuł.

Ptaki śpiewały.

Żaby rechotały.

Kot prychał.

Prychnięcie przeszło w syk. Syk we wściekły wrzask. Wrzask zakończył się krótkim, lecz okropnym, pełnym bólu piskiem.

Usłyszała głos:

– Niezadługo wsadzę pałę tam, gdzie chlupoce twojej siostruni. Jenny rozpoznała ten głos. Wargle. Trup.

– Słyszysz mnie, doktorku?

Nie odezwała się.

– I olewam to, w którą dziurę mi się zmieści. – Zachichotał.

Cisnęła słuchawkę na widełki.

Policjanci spoglądali na nią wyczekująco.

– Mhm... nikogo na linii – powiedziała. Zdecydowała się nie mówić im, co usłyszała. Dość byli zdenerwowani.

Z domu Jenny przeszli do Apteki Taytona na Vail Lane, skąd dobrała lekarstw: dodatkowe środki przeciwbólowe, szeroki zestaw antybiotyków, opatrunki w sprayu, środki do ich zdejmowania – wszystko mogło się przydać.

Kiedy kończyła pracę w aptece, zadzwonił telefon.

Jenny stała najbliżej. Nie chciała podnieść słuchawki, ale nie mogła się powstrzymać.

Znów dzwoniło ono.

Jenny odczekała moment, odezwała się:

– Halo?

Wargle:

– Posunę twoją siostrunię tak, że tydzień się nie ruszy.

Jenny odłożyła słuchawkę.

– Nie odpowiada – powiedziała.

Chyba jej nie uwierzyli. Patrzyli na jej trzęsące się ręce.

APB wysłany za Timothyem Flyte'em nie przyniósł żadnych rezultatów. Flyte nie był poszukiwany przez żadną agencję policyjną Stanów Zjednoczonych ani Kanady. FBI nigdy o nim nie słyszało. Nazwisko na lustrze łazienki Zajazdu Pod Płonącą Świeczką pozostawało tajemnicą.

Policja z San Francisco dostarczyła brakujących informacji o zaginionym Haroldzie Ordnyu i jego żonie. Ordnayowie prowadzili dwa sklepy z książkami w San Francisco. Jeden był zwyczajną księgarnią. Drugi zajmował się tytułami antykwarycznymi i rozprowadzał edycje niskonakładowe. Ordnayowie byli znani i szanowani w kręgach bibliofilów. Jak twierdziła ich rodzina, Harold i Blanche udali się na czterodniowy weekend, aby uczcić swoją trzydziestą pierwszą rocznicę ślubu. Rodzina nigdy nie słyszała o Timothyem Flycie. Policja dostała pozwolenie na wgląd w książkę adresową Ordnayów i nie znalazła nikogo o tym nazwisku.

Policji nie udało się jeszcze odnaleźć żadnego z pracowników księgarni, ale spodziewano się, że to nastąpi, kiedy tylko obydwie sklepy zostaną otwarte, to znaczy o dziesiątej. Istniała nadzieja, że Flyte był współnikiem handlowym Ordnayów i osobą znaną ekspedientom.

– Informujcie mnie na bieżąco – powiedział Bryce do dyżurnego z porannej zmiany w Santa Mira. – Jak leci?

– Pandemonium.

– Będzie jeszcze gorzej.

Kiedy Bryce odkładał słuchawkę, Jenny Paige wróciła z polowania na lekarstwa i ekwipunek

medyczny.

– Gdzie Lisa?

– Jest z ludźmi od żywienia.

– Nic jej nie grozi?

– Jasne, że nie. To trzech wielcy, silni, dobrze uzbrojeni mężczyźni. Coś nie tak?

– Powiem ci później.

Bryce wyznaczył trójcę, która poprzednio ochraniała Jenny, nowe zadania, następnie pomógł lekarce zorganizować punkt opatrunkowy.

– To prawdopodobnie strata czasu – stwierdziła.

– Dlaczego?

– Jak do tej pory, nikt nie został ranny. Sami zabici.

– Cóż, może być inaczej.

– Wydaje mi się, że ono atakuje tylko wtedy, kiedy chce zabić. Nie stosuje półśrodków.

– Może. Ale kiedy wszyscy chodzą obwieszani bronią, cholernie napięci, nie byłbym wcale zdziwiony, gdyby ktoś został postrzelony przypadkowo albo nawet sam wpakował sobie pocisk w stopę.

– Aparat zadzwonił u mnie w domu i jeszcze raz w aptece – powiedziała Jenny, układając butelki w szufladzie biurka. – To był Wargle.

Opowiedziała mu o telefonach.

– Pewna jesteś, że to był naprawdę on?

– Wyraźnie pamiętam jego głos. Był niemiły.

– Ale, Jenny, on...

– Wiem, wiem. Twarz wyżarta, mózg znikł, cała krew wyszana. Wiem. Dostaję fioła, kiedy próbuję coś z tego pojąć.

– Ktoś podszywa się pod niego?

– Jeśli tak, to przy tym ktosiu najlepszy imitator głosów wygląda jak amator.

– Czy robił wrażenie, jakby...

Bryce przerwał w pół zdania i razem z Jenny obrócili się, bo do sali wbiegła Lisa.

– Chodźcie! – przynagliła ich gestem. – Szybko! Coś dziwnego dzieje się w kuchni.

Nim Bryce zdążył ją powstrzymać, wróciła biegiem tam, skąd przyszła. Kilku mężczyzn ruszyło za nią, wyciągając po drodze broń, ale Bryce rozkazał im się zatrzymać.

– Zostańcie tu. Nie odchodźcie od roboty.

Jenny pobiegła już za dziewczyną do sali restauracyjnej.

Bryce za nią. Wyprzedził ją, wyciągnął rewolwer i za Lisą wszedł przez wahadłowe drzwi do kuchni.

Trzech mężczyzn – Gordy Brogan, Henry Wong i Max Dunbar – zmieniło otwieracze do konserw i inne przyrządy kuchenne na rewolwery, ale nie wiedzieli, w co mają celować. Spojrzeli na Bryce'a z zaskoczenia, ogłupiali.

Kołem biegniemy wokół morwy, krzewu morwy, krzewu morwy.

W powietrzu unosił się chłopięcy śpiew. Śpiew małego chłopczyka. Kruchy głos brzmiał czysto i słodko.

Kołem biegniemy wokół morwy raniutko, całkiem raaaaanooooo!

– Zlew – wskazała Lisa.

Zdumiony Bryce podszedł do najbliższego z trzech dwukomorowych zlewozmywaków. Jenny szła tuż za nim.

Zabrzmiała inna piosenka. Głos pozostał ten sam:

Ten staruszek sobie gra; szkiełka na bębenu ma. Szkiełka skaczą stuku-puku, centa ciśnij mu pod nogi...

Dziecięcy głos wydobywał się z kolanka pod zlewem, jakby został uwięziony głęboko w rurach.

...do dom dziadek wróci z drogi.

Przez kilka pustych sekund Bryce słuchał jak zakłęty. Nie mógł wydobyć z siebie słowa.

Spojrzał na Jenny. Odpowiedziała mu tym samym pełnym zdumienia spojrzeniem, które dostrzegał na twarzach swoich ludzi.

– Zaczęło się z niczego – powiedziała Lisa przez śpiew.

– Kiedy? – spytał Bryce.

– Kilka minut temu – odrzekł Gordy Brogan.

– Stałem przy zlewie – rzekł Max Dunbar. Był to tęgi, mocno owłosiony, wyglądający na prostego człowieka, mężczyzna z ciepłymi, brązowymi oczami, spoglądającymi wstydliwie. – Kiedy to śpiewanie się zaczęło... Jezu, chyba podskoczyłem na dwie stopy w górę!

Piosenka znów się odmieniła. Słodycz została zastąpiona przez przesadną, niemal szyderczą pobożność:

Jezu kocha mnie, to wiem, w Biblii czytam to co dzień.

– Nie podoba mi się to – powiedział Henry Wong.

Każde dziecko do Niego łgnie. One są słabe, w Nim siła jest.

W śpiewie nie było nic groźnego, a jednak podobnie jak hałasy, które Bryce i Jenny słyszeli w telefonie, dziecięcy czuł głosik, dobiegający z tak niezwykłego miejsca, przesywał ich lękiem. Zrobiło się strasznie.

Tak, Jezus kocha mnie. Tak, Jezus kocha mnie. Tak, Jezus...

Śpiew urwał się gwałtownie.

– Dzięki Bogu! – Max Dunbar westchnął z ulgą, jakby słuchali nie dziecięcego, melodyjnego głosiku, ale niezdolnie fałszującego zawodzenia. – Od tego śpiewania aż mnie rwało w dziąsłach!

Po kilku sekundach, które minęły w ciszy, Bryce zaczął pochylać się nad dziurą odpływową zlewu, zaglądać...

...i Jenny powiedziała, że powinien uważać...

...i coś wybuchło z czarnej, okrągłej dziury.

Rozległy się krzyki, Lisa wrzasnęła, Bryce zatoczył się w tył, przestraszony i zaskoczony. Przeklinał się za brak ostrożności, wyszarpnął rewolwer, skierował lufę na to, co wyskoczyło z otworu.

Ale to była tylko woda.

Wysoki, pchany wysokim ciśnieniem strumień wyjątkowo brudnej, tłustej wody wystrzelił pod sufit, opryskując wszystko w kilka sekund.

Kilka cuchnących bryzgów spadło Bryce'owi na twarz. Ciemne plamy osadu pojawiły mu się na gorsie koszuli.

Było to dokładnie to, co mogło wylecieć z przetkanego zlewu: brudna, ciemna woda, nitki ciągnącego się szlamu, pośniadaniowe resztki, które przeleciały przez sito.

Gordy sięgnął po rolkę papierowego ręcznika i wszyscy otarli sobie twarze i ubrania.

Jeszcze się czyścili, niepewni, czy śpiew nie powróci, kiedy Tal Whitman pchnął drzwi.

– Bryce, właśnie był telefon. Generał Copperfield ze swoim oddziałem dojechał do blokady i minął ją kilka minut temu.

ODDZIAŁ ALARMOWY

W kryształowym świetle poranka Snowfield stało czyste i spokojne. Świeży wiaterek poruszał drzewami. Niebo było bezchmurne.

Wychodząc z zajazdu z Bryce'em, Frankiem, doktor Paige i kilkoma innymi osobami, Tal zerknął na słońce i przypomniało mu się dzieciństwo w Harlemie. W Kiosku Boaza po drugiej stronie kwartału, w którym mieściło się mieszkanie cioci Becky, miał zwyczaj kupować sobie landrynki. Uwielbiał cytrynowe. Miały najpiękniejszy odcień żółcieni, jaki w życiu widział. I dziś, tego poranka, dostrzegł, że słońce ma dokładnie ten sam odcień. Na niebie wisiała wysoko przeogromna landryna. Z zadziwiającą mocą przywróciła widoki, dźwięki i zapachy dzieciństwa.

Lisa stanęła obok Tala. Wszyscy zatrzymali się na chodniku i patrzyli w dół wzgórza, czekając na zjawienie się Oddziału Obrony CBW.

Nic nie ruszało się na drodze w dole. Stok zalegała cisza. Najwidoczniej oddział Copperfielda był jeszcze daleko.

Czekając w landrynkowym słońcu, Tal zastanawiał się, czy Kiosk Boaza nadal stoi na starym miejscu. Najprawdopodobniej, jak inne sklepiki, opustoszał, zaśmiecony i zniszczony. Albo może sprzedają tam gazety, papierosy i słodczyce tylko jako przykrywkę dla handlu narkotykami.

W miarę jak dorastał, coraz ostrzej dostrzegał, jak wszystko chyli się ku upadkowi. Miłe dzielnice zamieniały się w nędzne dzielnice; nędzne dzielnice rozpadały się; rozpadające się dzielnice stawały się slumsami. Porządek ustępował chaosowi. W dzisiejszych czasach to rzecz powszednia. Z każdym rokiem więcej zabójstw. Coraz większe nadużywanie narkotyków. Więcej napadów, gwałtów, włamań. Tala od pesymizmu ratowało jedynie gorące przekonanie, iż dobrzy ludzie – tacy ludzie jak Bryce, Frank i Jenny Paige, tacy ludzie jak ciocia Becky – zdołają zatamować falę upadku, a może nawet zawrócić ją niekiedy.

Ale ta wiara w moc i odpowiedzialne postępowanie dobrych ludzi narażona była na ciężką próbę tu, w Snowfield. Tutaj zło wydawało się niezwyciężone.

– Słuchajcie! – krzyknął Gordy Brogan. – Słyszcie silniki.

Tal spojrzął na Bryce'a.

– Myślałem, że nie należy się ich spodziewać aż do południa. Są trzy godziny przed czasem.

– Południe to był termin ostateczny – powiedział Bryce. – Copperfield chciał zjawić się tu jak najwcześniej. Wygląda na twardego szefa, na faceta, który zwykle wydobywa z ludzi to, czego chce.

– Tak jak ty, no nie?

Bryce spojrzął na niego spod śpiących, opadających powiek.

– Ja? Twardy? Coś ty, jestem jak kot na zapiecku.

Tal błysnął zębami w uśmiechu.

– Uhm, ale jak pantera też.

– Są, są!

W dole Skyline Road zjawił się duży pojazd, a warkot ciężko pracującego silnika wzrósł.

W Cywilnym Oddziale Obrony CBW były trzy pojazdy. Jenny obserwowała je, kiedy z wolna pełżyły po długim stoku do Zajazdu Na Wzgórzu.

Konwój otwierał połyskujący biały samochód mieszkalny, długi na trzydzieści sześć stóp behemot, poddany pewnym modyfikacjom. Nie miał okien, a jedyne wejście znajdowało się z tyłu. Wygięta, zachodząca na boki przednia szyba była bardzo ciemna, tak że nie widziało się wnętrza kabiny,

i wyglądała na wykonaną z dużo grubszego szkła niż w zwykłych samochodach mieszkalnych. Samochód nie miał żadnych oznak identyfikacyjnych, nazwy wiążącej się z zastosowaniem, śladów przynależności do armii. Tablice rejestracyjne były typowe dla Kalifornii. Widocznie anonimowość podczas transportu stanowiła część programu Copperfielda.

Za pierwszym samochodem mieszkalnym jechał drugi. Konwój zamykała nie oznaczona ciężarówka, ciągnąca trzydziestostopową, szarą, zwykłą naczepę. Nawet okna ciężarówki były z barwionego zbrojonego szkła.

Niepewny, czy kierowca prowadzącego pojazd zobaczył ich grupę, Bryce wszedł na jezdnię i zamachał rękami nad głową.

Obciążenie i samochodów mieszkalnych, i ciężarówki musiało być spore. Silniki pracowały ciężko i wozy poruszały się w górę ulicy nie szybciej niż dziesięć mil na godzinę, nie wolniej niż pięć – powoli, z jękiem i zgrzytem. W końcu dotarły na miejsce, zatrzymały się, wykonały skręt w prawo i wjechały w szeroką przecnicę wychodzącą na zajazd.

Jenny, Bryce i pozostali obeszlą róg zajazdu. Prawie wszystkie idące ze wschodu na zachód ulice w Snowfield szły płasko w poprzek wzgórza. Dużo łatwiej było tu zaparkować i zabezpieczyć pojazdy niż na pochyłości Skyline Road.

Jenny stała na chodniku i obserwowała tylne drzwi pierwszego samochodu mieszkalnego, czekając, aż ktoś wyjdzie.

Trzy przegrzane silniki wyłączono, jeden po drugim. Cisza całym swym ciężarem opadła na miasto.

Po raz pierwszy od przyjazdu do Snowfield Jenny czuła się tak pokrzepiona na duchu. Oto zjawili się specjaliści. Jak większość Amerykanów, wierzyła święcie w specjalistów, technologię i naukę. Prawdę mówiąc jej wiara była większa, gdyż sama była specjalistką, kobietą nauki. Wkrótce dowiedzą się, co zabiło Hildę Beck, Libermannów i wszystkich innych. Przybyli specjaliści. Wreszcie nadciągnęła kawaleria.

Najpierw otworzyły się tylne drzwi ciężarówki. Wskoczyli mężczyźni przygotowani do działania w skażonej biologicznie atmosferze. Ubrani byli w białe, nie przepuszczające powietrza winylowe stroje typu używanego przez NASA, duże hełmy z wielkimi osłonami pleksiglasowymi na twarzach. Każdy dźwigał butle z powietrzem i urządzenie do gromadzenia wydalanych nieczystości wielkości małej walizki.

Ciekawe, ale Jenny nie kojarzyli się z astronautami. Wyglądali na wyznawców jakiejś dziwnej religii. Ich stroje, niby szaty kapłanów, słały biały, oślepiający blask.

Szóstka mężczyzn szybko i sprawnie wyskoczyła już z ciężarówki. Za nimi następni. Jenny dostrzegła, że są ciężko uzbrojeni. Szybko rozciągnęli się w szeregi po obu stronach konwoju, zajmując pozycję między swoimi środkami transportu a ludźmi na chodniku, tyłem do pojazdów. Ci ludzie nie byli naukowcami. To ochrona. Ich nazwiska były podane na hełmach, powyżej zasłon na twarze: SIERŻ. HARKER, SZER. FODOR, SZER. PASCALLI, POR. UNDERHILL. Podnieśli broń, skierowali przed siebie, zabezpieczając obszar z determinacją wykluczającą jakąkolwiek ingerencję.

Oślupiała i zmieszana Jenny spoglądała w otwór lufy pistoletu maszynowego.

– Co to, do diabła, ma znaczyć? – powiedział Bryce, robiąc krok do przodu.

Sierżant Harker, stojący najbliżej Bryce'a, podniósł swój automat i oddał serię ostrzegawczą.

Bryce zatrzymał się gwałtownie.

Tal i Frank automatycznie sięgnęli po swoje rewolwery.

– Nie! – krzyknął Bryce. – Żadnego strzelania, na litość boską! Jesteśmy po tej samej stronie.

Przemówił jeden z żołnierzy. Porucznik Underhill. Jego głos zabrzączał z małego wzmacniacza, który miał w pudełku o powierzchni sześciu cali kwadratowych, umieszczonym na piersi.

– Proszę nie zbliżać się do pojazdów. Naszym pierwszym obowiązkiem jest zabezpieczenie laboratoriów i wypełnimy go za wszelką cenę.

– Do cholery – powiedział Bryce – nie chcemy sprawiać żadnych kłopotów. Przecież to ja was tu ściągnąłem.

– Nie zbliżać się – z uporem powtórzył Underhill.

W końcu otworzyły się tylne drzwi pierwszego samochodu mieszkalnego. Pojawiła się czwórka osobników, również w strojach nie przepuszczających powietrza, ale nie byli to żołnierze. Ruszali się bez pośpiechu. Nie mieli broni. Jednym z nich była kobieta. Jenny przez moment dostrzegła orientalną, niezwykle piękną twarz. Ich nazwiska na hełmach nie poprzedzały stopnie służbowe: BETTENBY, VALDEZ, NIVEN, YAMAGUCHI. Byli to cywilni lekarze i naukowcy, którzy w razie nagłej konieczności wywołanej wojną biologiczno-chemiczną rozstawali się ze swoim prywatnym życiem w Los Angeles, San Francisco, Seattle i innych miastach Zachodniego Wybrzeża, oddając się do dyspozycji Copperfielda. Zgodnie z tym, co było wiadome Bryce’owi, jeden taki oddział stacjonował na Zachodzie, drugi na Wschodzie, a jeden nad Zatoką Meksykańską.

Szóstka wyszła z drugiego samochodu mieszkalnego. GOLDSTEIN, ROBERTS, COPPERFIELD, HOUK. Ostatnia dwójka nie nosiła nazwisk nad osłonami na twarzy. Szli za linią utworzoną przez żołnierzy, dołączyli do Bettenby’ego, Valdeza, Nivena i Yamaguchi.

Ta dziesiątka przeprowadziła między sobą krótką rozmowę, korzystając z wewnętrznego systemu komunikacyjnego. Jenny widziała usta poruszające się za pleksiglasowymi przyłbicami, ale skrzeczące pudełka na piersiach nie przekazały ani słowa, co znaczyło, że mogą prowadzić zarówno publiczną jak i wyłącznie prywatną rozmowę. Jak na razie cenili sobie prywatność.

Ale dlaczego? – zastanawiała się Jenny. Nie mają przed nami nic do ukrycia. Prawda?

Generał Copperfield, najwyższy z dwudziestki, odłączył od grupy, wszedł na chodnik i zbliżył do Bryce’a.

Zanim generał otworzył usta, Bryce stawiał mu czoło.

– Generale, żądam wyjaśnień. Dlaczego grozi się nam bronią?

– Przepraszam – odpowiedział generał i obrócił się do swoich żołnierzy stojących z kamiennymi twarzami. – W porządku, chłopcy. Sytuacja jest niegroźna. Spocznij.

Z powodu pojemników ze sprężonym powietrzem żołnierze nie mogli wygodnie przyjąć klasycznej postawy swobodnej. Ale poruszając się z płynnością precyzyjnie wymusztrowanego oddziału, natychmiast opuścili broń, rozsunęli stopy na odległość dokładnie dwunastu cali, zwiesili automaty przy boku i stali bez ruchu, patrząc przed siebie.

Bryce nie pomylił się, mówiąc Talowi, że Copperfield jest twardym szefem. Dla Jenny było oczywiste, że w oddziale generała nie znano kłopotów z dyscypliną.

Copperfield obrócił się do Bryce’a, uśmiechnął przez osłonę.

– Tak lepiej?

– Lepiej – odpowiedział Bryce. – Ale nadal proszę o wyjaśnienia.

– To tylko SOP – wyjaśnił Copperfield. – Standardowa Operacyjna Procedura. Część zwykłej musztry. Nie mamy nic przeciw panu ani pańskim ludziom, szeryfie. Bo pan jest szeryfem Hammondem, prawda? Pamiętam pana z konferencji w Chicago, z zeszłego roku.

– Tak, sir. Jestem Hammond. Ale nadal nie usłyszałem pełnego wyjaśnienia. SOP to za mało.

– Nie musi pan podnosić głosu, szeryfie. – Copperfield klepnął dłonią w rękawicze w piszczące pudełko na piersi. – To nie tylko głośnik. Również bardzo czuły mikrofon. Widzi pan, jadąc do miejsca poważnego skażenia chemicznego lub bakteriologicznego musimy wziąć po uwagę, że zostaniemy otoczeni przez wielu chorych i umierających. Po prostu brak nam ekwipunku do leczenia albo choćby złagodzenia skutków skażenia. Jesteśmy oddziałem badawczym. Tylko rozpoznanie, żadnego leczenia. Naszą rzeczą jest dowiedzieć się wszystkiego o naturze skażenia, tak żeby odpowiednio wyekwipowane oddziały medyczne mogły zjawić się tuż po nas i zająć tymi, którzy przeżyli. Ale umierający, ciężko chorzy ludzie mogą nie zrozumieć, że nie jesteśmy w stanie się nimi zająć. Mogą zaatakować laboratoria, zropaczeni i wściekli.

– I przerażeni – dodał Tal Whitman.

– Właśnie – przytaknął generał, nie wyczuwszy ironii. – Podczas symulacji sytuacji stresogennych okazało się, że istnieje taka możliwość i to bardzo poważna.

– A jeśli chorzy lub umierający faktycznie mieliby przeszkodzić wam w pracy – spytała Jenny – zabilibyście ich?

Copperfield obrócił się do Jenny. Słońce odbiło się od osłony twarzy. Na moment pleksiglasowe zwierciadło zasłoniło oblicze generała. Potem lekko się poruszył i twarz znów stała się widoczna, ale nie na tyle, by Jenny mogła dostrzec, jak naprawdę wygląda. Zamknięta w przezroczystym fragmencie hełmu twarz pozostała bez wyrazu.

– Doktor Paige, jak mniemam?

– Tak.

– Cóż, pani doktor, jeśli terroryści albo agenci obcego rządu zastosują bakteriologiczną broń bojową przeciw społeczności amerykańskiej, zadaniem moim i moich ludzi będzie wyizolować, zidentyfikować oraz zaproponować środki zdolne powstrzymać mikroba. To wielka odpowiedzialność. Jeśli pozwolimy, by ktokolwiek – nawet cierpiące ofiary – przeszkodził nam, niebezpieczeństwo rozszerzenia zarazy wzrośnie dramatycznie.

– Więc – naciskała Jenny – jeśli chorzy i umierający przerwą wam pracę, zabijecie ich.

– Tak – powiedział beznamyślnie. – Nawet uczciwi ludzie czasem muszą wybrać mniejsze zło.

Jenny popatrzyła z góry na Snowfield. W porannym słońcu tak samo przypominało cmentarz jak w mroku nocy. Generał Copperfield miał rację. Cokolwiek uczyni dla bezpieczeństwa swojego oddziału, będzie to tylko mniejsze zło. Większym złem było to, co się stało – co działo się nadal – w tym mieście.

Dlaczego więc była tak uszczypliwa wobec generała?

Może dlatego, iż myślała przedtem o nim i jego ludziach jak o kawalerii, której przybycie obraca klęskę w zwycięstwo. Pragnęła, aby zjawienie się Copperfielda rozwiązało wszystkie problemy, zniwelowało wszystkie dwuznaczności. Kiedy zorientowała się, że sprawy nie potoczą się tym torem, kiedy stanęła oko w oko z wymierzoną w siebie bronią, jej sen się rozwiął. Obwiniła generała irracjonalnie.

To do niej nie pasowało. Musiała mieć nerwy zszargane mocniej, niż to sobie wyobrażała.

Bryce zaczął przedstawiać swoich ludzi, ale Copperfield mu przerwał.

– Nie chcę być niegrzeczny, szeryfie, ale nie mamy czasu na prezentację. Później. Teraz chcę działać. Chcę zobaczyć wszystkie te rzeczy, o których mówił mi pan przez telefon, a potem chcę rozpocząć sekcje zwłok.

Chce ominąć prezentację, bo nie ma sensu zaprzysiężać się z ludźmi, którzy może mają niewiele życia przed sobą, pomyślała Jenny. Jeśli w ciągu kilku następnych godzin pojawią się u nas symptomy

choroby, która okaże się jakąś chorobą mózgu, jeśli wpadniemy w szaf i zaatakujemy laboratoria, łatwiej mu przyjdzie rozkazać strzelać, gdy nie będzie nas znał.

Przestań! Była zła na siebie.

Spojrzała na Lisę i pomyślała: Wielkie nieba, jeśli ja jestem tak roztrzęsiona, w jakim stanie musisz być ty. Trzymasz się dzielnie jak nikt. Co za cholerna frajda mieć taką siostrę.

– Zanim was oprowadzimy – powiedział Bryce do Copperfielda – powinniście dowiedzieć się o stworzeniu, które widzieliśmy wczoraj w nocy, i co stało się z...

– Nie, nie – przerwał niecierpliwie Copperfield. – Chcę poznać to krok po kroku, tak jak wam się przytrafiało. Będzie mnóstwo czasu na opowiadanie, co się stało ostatniej nocy. Ruszajmy.

– Ale niech pan zrozumie, zaczyna wyglądać na to, że to wcale nie choroba wyludniła miasto – zaprotestował Bryce.

– Moi ludzie przyjechali zbadać możliwe powiązania z CBW. Od tego zaczniemy. Potem zbadamy inne możliwości. SOP, szeryfie.

Bryce odesłał większość swoich ludzi do zajazdu. Zatrzymał tylko Tala i Franka.

Jenny wzięła Lisę za rękę i też ruszyła do zajazdu.

– Pani doktor! Proszę zaczekać – zawołał za nią Copperfield. – Chcę mieć panią przy sobie. Była tu pani pierwszą lekarką. Jeśli stan ciał uległ zmianie, tylko pani może to ocenić.

Jenny spojrzała na Lisę.

– Dołączysz do nas?

– Z powrotem do cukierni? Nie, dzięki. – Dziewczyna zadygotała.

Jenny pomyślała o słodkim dziecięcym głosiku, wydobywającym się ze zlewu.

– Nie idź do kuchni. A kiedy będziesz chciała iść do toalety, poproś kogoś, żeby poszedł z tobą.

– Jenny! To sami faceci.

– Nieważne. Poproś Gordy'ego. Może stanąć plecami do kabiny.

– Jeeezu, ale to krępujące.

– Chcesz znów iść tam sama?

Rumieniec odpłynął z twarzy dziewczyny.

– Mowy nie ma.

– Dobrze. Trzymaj się blisko reszty. Naprawdę blisko. Bądź w tej samej części pokoju co oni. Obiecujesz?

Jenny pomyślała o telefonach od Wargle'a, o ordynarnych groźbach. Choć groźby umarłego nie powinny mieć znaczenia, bała się.

– Ty też uważaj – powiedziała Lisa.

Jenny pocałowała siostrę w policzek.

– Teraz biegiem do Gordy'ego, zanim skręci za róg.

Lisa pobiegła, wołając:

– Gordy! Czeka!

Wysoki młody policjant przystanął na rogu i odwrócił się.

Patrząc jak Lisa biegnie brukowanym chodnikiem, Jenny poczuła ucisk w piersiach.

Pomyślała: A jeśli wrócę i okaże się, że przepadła? A jeśli nigdy jej nie zobaczę?

NAGI STRACH

Cukiernia Libermannów.

Bryce, Tal, Frank i Jenny weszli do kuchni. Generał Copperfield i dziewięciu naukowców z jego oddziału tuż za nimi. Tyły zamykała czwórka żołnierzy z bronią gotową do strzału.

W kuchni zrobiło się tłoczno. Bryce poczuł się nieswojo. A co, jeśli atak zostanie ich wszystkich razem? Co zrobią, kiedy trzeba będzie szybko wyjść?

Dwie głowy były dokładnie tam, gdzie poprzedniej nocy: w piekarnikach; oczy spozierały zza szybek. Na stole odcięte ręce nadal ścisnęły wałek.

Niven, jeden z ludzi generała, zrobił kilka różnych ujęć kuchni, a potem kilkanaście zbliżeń głów i rąk.

Pozostali ruszali się po obrzeżach piekarni, nie wchodząc w plan. Dokumentacja fotograficzna musi być zakończona, zanim rozpoczną się badania kryminologiczne. Przypominało to rutynowe zabiegi policyjne na miejscu zbrodni.

Kiedy naukowcy ruszali się, ich podgumowane stroje popiskiwały. Ciężkie buty głośno szurały po posadzce.

– Dalej się wam to wydaje zwykłym przypadkiem działania CBW? – spytał Bryce Copperfielda.

– To możliwe.

– Naprawdę?

– Phil, ty jesteś naszym głównym ekspertem od gazów. Myślisz to samo co ja?

Odpowiedzi udzielił mężczyzna, którego hełm nosił napis HOUK.

– Jest o wiele za wcześnie na jednoznaczne oceny, ale wydaje mi się, że mamy do czynienia z trucizną neuroleptyczną. A jest tu coś – zwłaszcza wyjątkowa, psychopatyczna gwałtowność – co kojarzy mi się z T-139.

– Całkiem możliwe – zgodził się Copperfield. – To samo przyszło mi do głowy.

Niven dalej robił zdjęcia.

– Co to jest ten T-139? – zapytał Bryce.

– Jeden z podstawowych gazów psychotoksycznych w arsenale Rosjan – wyjaśnił generał. – Pełna nazwa brzmi Timoszenko-139. Od Ili Timoszenki, uczonego, który go wynalazł.

– Co za wspaniały dowód uznania – zauważył sarkastycznie Tal.

– Większość gazów psychotoksycznych powoduje śmierć w trzydzieści sekund do pięciu minut po kontakcie ze skórą – powiedział Houk. – Ale T-139 nie jest tak miłosierny.

– Miłosierny! – wykrzyknął Frank Autry, oburzony.

– T-139 nie jest zwykłym zabójcą – mówił Houk. – Gdyby tak było, to w porównaniu z tym, jak działa, byłby miłosierny. T-139 jest – jak nazywają to dowódcy wojskowi – demoralizatorem.

– Przenika przez skórę i wchodzi do krwiobiegu w dziesięć sekund albo szybciej, potem przenika do mózgu i prawie natychmiast powoduje zniszczenie kory mózgowej – powiedział Copperfield.

– Przez okres od czterech do sześciu godzin – ciągnął Houk – ofiara utrzymuje pełną władzę w członkach i sto procent normalnej siły. Na początku cierpi jedynie mózg.

– Demencja paranoidalna – uzupełnił Copperfield. – Utrata władz umysłowych; lęk, wściekłość, utrata kontroli nad emocjami i bardzo silne przekonanie ofiary, że wszyscy spiskują przeciwko niej. Jest to połączone z przemożną skłonnością do popełniania gwałtownych czynów. W istocie, szeryfie, T-139

na cztery do sześciu godzin zmienia ludzi w bezmyślne maszyny do zabijania. Polują na siebie i na ludzi zdrowych, przebywających poza obszarem ataku gazowego. Pojmuje pan, jaki wyjątkowo demoralizujący wpływ może to wyrzucić na nieprzyjaciela.

– Wyjątkowy – powtórzył Bryce. – I doktor Paige zeszłej nocy przypuściła teoretycznie możliwość takiej zarazy. Mutacja wściekliczny, która zabija niektórych, a innych zamienia w obłąkanych morderców.

– T-139 nie jest zarazą. – szybko sprostował Houk. – To gaz psychotoksyczny i gdybym musiał wybierać, wolałbym raczej, żeby to był gaz. Kiedy raz użyje się gazu, zagrożenie mija. Zagrożenie biologiczne jest dużo trudniejsze do powstrzymania.

– Gdyby to był gaz – powiedział Copperfield – rozwiąłyby się już dawno, ale jego osady zostałyby prawie wszędzie. Moglibyśmy go bezzwłocznie zidentyfikować.

Przysunęli się do ściany, żeby zrobić miejsce dla Nivena i jego aparatu.

– Doktorze Houk – powiedziała Jenny – wspomniawszy pan, że w przypadku tego T-139 stan obniżonej sprawności trwa od czterech do sześciu godzin. Co potem?

– Cóż, faza druga to stan agonalny. Trwa od sześciu do dwunastu godzin, różnie. Zaczyna się od zakłóceń w działaniu nerwów odśrodkowych, potem dochodzi do paraliżu centrum oddechowego, sercowego, naczyniowo-ruchowego w mózgu.

– Dobry Boże – westchnęła Jenny.

– Jeszcze raz, dla laików – poprosił Frank.

– Oznacza to, że w drugim stadium choroby – wyjaśniła Jenny – w ciągu sześciu do dwunastu godzin, T-139 stopniowo redukuje zdolność mózgu do automatycznego regulowania czynności ciała – takich jak oddychanie, praca serca, funkcjonowanie organów... Ofiara cierpi na zakłócenia w pracy serca, ma wyjątkowe trudności w oddychaniu. Stopniowo ustaje praca każdego gruczołu i organu. Dwanaście godzin może się wam wydać okresem krótkim, ale ofierze dłuży się jak wieczność. Następują wymioty, biegunka, nietrzymanie moczu, stałe gwałtowne skurcze mięśni... I jeśli uszkodzeniu ulegają tylko nerwy odśrodkowe, jeśli reszta systemu nerwowego pozostaje nietknięta, trwa rozdzierający, nieprzerwany ból.

– Sześć do dwunastu godzin piekła – potwierdził Copperfield.

– Aż serce przestaje bić – dokończył Houk – lub aż ofiara po prostu dusi się.

Przez długie sekundy, podczas których słychać było trzask migawki aparatu Nivena, nikt się nie odezwał.

W końcu zabrała głos Jenny:

– Nadal nie sądzę, żeby odegrał tu rolę gaz psychotoksyczny – nawet coś takiego jak T-139 – który mógłby tłumaczyć te dekapitacje. Poza tym żadna ze znalezionych ofiar nie wymiotowała i nie miała kłopotu z utrzymaniem moczu czy kału.

– Cóż – powiedział Copperfield – może mamy do czynienia z odmianą T-139, która nie wywołuje tych symptomów. Albo to jakiś inny gaz.

– Żaden gaz nie tłumaczy ćmy – rzekł Tal Whitman.

– Albo tego, co spotkało Stu Wargle'a – dodał Frank.

– Ćma? – zapytał Copperfield.

– Nie chciał pan o tym słyszeć przed obejrzeniem reszty – przypomniał Bryce. – Ale wydaje mi się, że nadszedł czas, żeby pan...

– Skończone – oznajmił Niven.

– W porządku – powiedział Copperfield. – Szeryfie, doktor Paige, panowie, jeśli to możliwe, proszę zachować milczenie do czasu zakończenia naszych działań. Będziemy wam wdzięczni za współpracę.

Pozostali natychmiast zabrali się do pracy. Yamaguchi i Bettenby przenieśli odcięte głowy do przeszklonych pojemników ze szczelnymi pokrywami. Valdez ostrożnie oderwał ręce od wałka i włożył do trzeciego pojemnika. Houk zdrapał trochę mąki ze stołu i wsypał do małego plastikowego słoiczka, zapewne dlatego iż sucha mąka musiała wchłonąć – i zachowała – ślady gazu. Jeśli rzeczywiście był jakiś gaz. Houk zebrał również próbki ciasta spod wałka. Goldstein i Roberts zbadali dwa piekarniki, z których wyjęto głowy, a potem Goldstein za pomocą małego odkurzacza na baterie oczyścił pierwszy piekarnik. Po wykonaniu tych czynności, Roberts wyjął worek z odkurzacza, zamknął go, oznaczył, a w tym czasie Goldstein zebrał drobne, nawet najdrobniejsze ślady z drugiego piekarnika.

Wszyscy naukowcy byli zajęci. Tylko dwaj mężczyźni, których hełmy nie miały nazwisk, stali z boku i obserwowali.

Bryce obserwował obserwatorów, zastanawiał się, kim są i jakie zadania wykonują.

Podczas pracy naukowcy opisywali, co robią, i wygłaszali komentarze na temat tego, co znaleźli, używając żargonu obcego Bryce'owi. Nigdy nie odzywali się jednocześnie. Ten fakt – w połączeniu z rozkazem Copperfielda zachowania ciszy przez osoby nie należące do oddziału – nasuwał myśl, że ich słowa są rejestrowane. Wśród innych przedmiotów zwisających na pasie Copperfielda był też magnetofon podłączony bezpośrednio do systemu komunikacyjnego generalskiego ubrania. Bryce zauważył, że krążki się obracają.

Kiedy naukowcy zebrali wszystko, co chcieli zebrać, Copperfield powiedział:

– W porządku, szeryfie. Gdzie teraz?

Bryce wskazał magnetofon.

– Nie wyłącz go pan do chwili, kiedy tam dojdziemy?

– Nie, nie. Zaczęliśmy nagrywać od chwili, gdy minęliśmy blokadę drogową i będziemy nagrywać aż do czasu, kiedy dowiemy się, co spotkało to miasto. W ten sposób, jeśli przydarzy się nam coś złego, jeśli wszyscy zginiemy przed znalezieniem rozwiązania, nowy zespół będzie znał każdy nasz krok. Nie zaczną od zera, a być może otrzymają nawet dokładny zapis tej fatalnej pomyłki, która przyniosła nam zgubę.

Następny przystanek – galeria sztuki i rzemiosła artystycznego, do której Frank Autry poprowadził trzech ludzi zeszej nocy. I znów szedł pierwszy przez salę wystawową do biura na tyłach, a potem po schodach do mieszkania na pierwszym piętrze.

Frankowi ta scena wydała się niemal komiczna: wszyscy ci kosmonauci, stłoczeni na wąskich schodkach, z teatralnie ponurymi twarzami za osłonami z pleksi, odgłosy ich oddechów w ograniczonej przestrzeni hełmów, dochodzące przesadnie wyraźnym, złowróżbnym dźwiękiem z głośników na piersiach. Jak na filmie s-f z lat pięćdziesiątych *Atak astronautów spoza Ziemi* albo jakiejś innej staroci – Frank nie mógł zapanować nad rozbawieniem.

Ale szeroki uśmiech znikł z jego twarzy, kiedy weszli do kuchni i znów stanęli nad zmarłym mężczyzną. Ciało leżało tam, gdzie i poprzedniej nocy, obok lodówki, ubrane tylko w niebieskie spodnie od piżamy. Opuchlizna i siniaki pozostały. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się w pustkę.

Frank usunął się z drogi ludziom Copperfielda. Razem z Bryce'em stanął przy ladzie, na której mieścił się opiekacz do grzanek.

Kiedy Copperfield ponownie zażądał milczenia od niezawodowców, naukowcy ostrożnie obeszlą rozrzucone po podłodze produkty do kanapek. Stłoczyli się nad ciałem.

Po kilku minutach skończyli wstępne badanie.

– Zabierzemy go do sekcji – powiedział Copperfield do Bryce'a.

– Nadal pan uważa, że mamy do czynienia z prostym przypadkiem działania CBW? – zapytał znowu

Bryce.

– Tak, to całkowicie prawdopodobne.

– Ale to posiniaczenie i spuchnięcie? – zauważył Tal.

– Możliwość reakcji alergicznej na gaz psychotoksyczny – rzucił Houk.

– Jeśli podciągniecie nogawkę piżamy – podsunęła Jenny – przekonacie się, iż ta reakcja nastąpiła również na zakrytej partii skóry.

– Tak, wiemy – powiedział Copperfield. – Już patrzyliśmy.

– Ale jak skóra mogła zareagować nawet tam, gdzie nie dotarł gaz?

– Takie gazy mają wysoki wskaźnik przenikania – wyjaśniał Houk. – Przenikają przez większość ubrań. Prawdę mówiąc jedyna rzecz, na której mogą się zatrzymać, to kombinezon winylowy lub gumowy.

Właśnie to, co macie na sobie, pomyślał Frank. I to, czego nam brakuje.

– Jest tu jeszcze jedno ciało – powiedział Bryce do generała. – Także chcecie rzucić na nie okiem?

– Bezwzględnie.

– Tędy, sir – wskazał Frank.

Prowadził ich korytarzem z kuchni. Broń trzymał w pogotowiu.

Frank śmiertelnie bał się wejścia do sypialni, gdzie martwa kobieta leżała na zmiętych prześcieradłach. Pamiętał sprośności, które wygadywał o niej Wargle i miał straszne przeczucie, że zastanie Stu kopulującego z blondynką, splecionych w lodowatym, wiecznym uścisku.

Ale była tylko kobieta. Rozciągnięta na łóżku. Nogi szeroko rozrzucone. Usta na zawsze otwarte w krzyku.

Kiedy Copperfield i jego ludzie zakończyli wstępne oględziny ciała i byli gotowi do wyjścia, Frank zwrócił ich uwagę na samopowtarzalną dwudziestkę dwójkę, z której kobieta prawdopodobnie strzelała do zabójcy.

– Czy uważa pan, generale, że strzelała do chmury gazu?

– Oczywiście, że nie. Ale mogła być już zatruta, mieć uszkodzony mózg. Mogła mieć halucynacje, strzelała do fantomów.

– Fantomy – powtórzył Frank. – Tak, sir, na to właśnie wygląda. Bo, widzi pan, wystrzelała cały magazynek, dziesięć naboju, a znaleźliśmy tylko dwa pociski – jeden w tej szyfonierce, jeden w ścianie. Widzi pan tę dziurę. To znaczy, że reszta trafiła w to, w co ona celowała.

– Znałam tych ludzi – powiedziała Jenny Paige, wysuwając się naprzód. – Gary i Sandy Wechlasowie. Była z niej prawdziwa snajperka. Ciągle siedziała na strzelnicy. Wygrała kilka konkurencji na jarmarku okręgowym w zeszłym roku.

– Więc stać ją było na wyciągnięcie ośmiu trafień na dziesięć – podsumował Frank. – I nawet osiem pocisków nie zatrzymało tego, co ona chciała zatrzymać. To nie krwawiło nawet po ośmiu pociskach. Oczywiście fantomy nie krwawią. Ale, sir, czy fantom wyniosłby osiem pocisków?

Copperfield patrzył na niego, marszczył brwi.

Wszyscy naukowcy też mieli zasępione czoła.

Żołnierze nie tylko marszczyli czoła. Rozglądali się po kątach z niepokojem.

Frank widział, że stan obu trupów – zwłaszcza wygląd kobiety, obraz jak z koszmaru sennego – wywarł wrażenie na generale i jego ludziach. Strach, jaki mieli w oczach, wzrósł. Natrafili na coś niepojętego, choć nie chcieli się do tego przyznać. Nadal trzymali się wyjaśnień, które były im bliskie – gaz psychotoksyczny, wirus, trucizna – ale zaczęli mieć wątpliwości.

Ludzie Copperfielda przynieśli plastikowe worki na ciała. Wsadzili trupa do worka, wynieśli z budynku i złożyli na chodniku. Wezmą go, wracając do pojazdów.

Bryce poprowadził ich do Samu Gilmartina. Wewnątrz, przy chłodziarkach na mleko, opowiedział im o zniknięciu Jake'a Johnsona.

– Żadnego krzyku. W ogóle nic nie słyszeliśmy. Tylko kilka sekund ciemności. Kilka sekund. Ale kiedy lampy znów się zaświeciły, Jake przepadł.

– Patrzyliście... – zaczął Copperfield.

– Wszędzie.

– Mógł uciec – powiedział Roberts.

– Tak – przytaknęła doktor Yamaguchi. – Może zdezerterował. Kiedy weźmie się pod uwagę, co widział...

– Mój Boże – stropił się Goldstein – a co będzie, jeśli opuścił Snowfield? Może minął linię kwarantanny, roznosi infekcję...

– Nie, nie, nie. Nie Jake – zaprzeczył Bryce. – Może nie był z niego najodważniejszy policjant, ale nie zostawiłby mnie na lodzie. Miał poczucie odpowiedzialności.

– Z pewnością – poparł go Tal. – Poza tym stary Jake'a był kiedyś szeryfem okręgowym, w grę wchodzi poczucie tradycji rodzinnej.

– I Jake był ostrożny – powiedział Frank. – Nie zrobiłby niczego nie przemyślanego.

Bryce kiwnął głową.

– A w każdym razie, gdyby wystraszył się tak, żeby uciec, wsiałby do wozu patrolowego. Na pewno nie poszedłby na piechotę.

– Słuchajcie – odezwał się Copperfield – wiedział, że nie przepuszczą go przez blokadę, więc nie skorzystał z drogi publicznej. Mógł ruszyć przez las.

Jenny pokręciła przecząco głową.

– Nie, generale. Teren jest tu naprawdę dziki. Zastępca Johnson wiedziałby, że zgubi się i zginie.

– I czy przerażony człowiek – dodał Bryce – rzuca się na łeb na szyję w obcy las nocą? Nie sądzę, generale. Sądzę natomiast, że nadszedł czas, żeby dowiedział się pan, co spotkało innego mojego zastępcę.

Oparty o chłodziarkę pełną sera i mielonki, Bryce opowiedział im o ćmie, ataku na Wargle'a i mrozącym krew w żyłach stanie trupa. Opowiedział im o spotkaniu Lisy ze zmartwychwstałym Wargle'em i zniknięciu ciała.

Copperfield i jego ludzie wyrazili na początku zdziwienie, potem zmieszanie, a w końcu lęk. Ale gdy Bryce opowiadał, prawie cały czas spozierali na niego w napiętej ciszy i wymieniali znaczące spojrzenia.

Zakończył opowiadaniem o dziecięcym głosiku, dochodzącym z kuchennego zlewu.

– Cóż, generale – odezwał się potem, trzeci raz zadając to pytanie – czy nadal uważa pan, że to prosty wypadek użycia CBW?

Copperfield zawahał się, błędził przez chwilę wzrokiem po rozsypanych wszędzie towarach, w końcu spojrzął Bryce'owi w oczy i rzekł:

– Szeryfie, chcę, żeby doktor Roberts i doktor Goldstein zbadali dokładnie pana i wszystkich, którzy widzieli tę... mmm... ćmę.

– Nie wierzy mi pan.

– Och, wierzę, że autentycznie i szczerze sądzi pan, że widział to wszystko.

– Cholera! – zaklął Tal.

– Pojmujecie na pewno, że dla nas brzmi to tak, jakbyście wszyscy zostali skażeni i mieli halucynacje.

Bryce był znużony i sfrustrowany, a ich niewiara i ograniczoność napawały go gniewem. Byli naukowcami, należało się raczej spodziewać, że okażą się otwarci na nowe idee i nieoczekiwane możliwości. Zamiast tego na siłę dopasowywali materiał dowodowy do wcześniej wyrobionych poglądów.

– Uważa pan, że wszyscy możemy mieć te same halucynacje? – spytał.

– Spotyka się zbiorowe halucynacje – odparł Copperfield.

– Generale – powiedziała Jenny – w tym co widzieliśmy, nie było cienia ułudy. Miało twardą fakturę rzeczywistości.

– Doktor Paige, w normalnych warunkach przywiązywałbym wielką wagę do każdego pani spostrzeżenia. Ale że jest pani jedną z osób, które twierdzą, iż widziały tę ćmę, nie mogę pani sądu uznać za obiektywny.

Frank Autry, nachmurzony, wpatrywał się w Copperfielda.

– Ale sir, jeśli to wszystko było halucynacją – to gdzie jest Stu Wargle?

– Może zarówno on jak i ten Jake Johnson zostawili was na lodzie – powiedział Roberts. – I skojarzyliście ich zniknięcia z waszymi złudzeniami.

Bryce wiedział z doświadczenia, że spór stawał się nie do rozwiązania z chwilą pojawienia się emocji. Narzucił sobie luz, oparł się o chłodziarkę. Mówił powoli cichym głosem:

– Generale, na podstawie tego, co pan i pańscy ludzie powiedzieli, można mniemać, że Wydział Szeryfa Okręgu Santa Mira zatrudnia wyłącznie tchórzy, durniów i ofermę.

Copperfield wykonywał uspokajające gesty dłońmi w gumowych rękawicach.

– Nie, nie, nie. Nie twierdzimy niczego takiego. Szeryfie, proszę nas zrozumieć. Jesteśmy tylko szczerzy. Przedstawiamy obraz sytuacji z naszego punktu widzenia – punktu widzenia każdego specjalisty od broni chemicznej i bakteriologicznej. Ludzie, którzy przeżyli, są skazani na halucynacje. To jeden z elementów, które musimy wziąć pod uwagę. Otóż gdyby zechciał pan nam przedstawić logiczne wyjaśnienie egzystencji tej ćmy wielkości orła... cóż, może wtedy sami potrafilibyśmy w nią uwierzyć. Ale nie zdołacie tego uczynić. Wobec tego nasz pogląd, że doznaliście halucynacji, jest jedynym sensownym wyjaśnieniem sprawy.

Bryce zauważył, że czterej żołnierze spoglądają teraz na niego w zupełnie inny sposób. Człowiek cierpiący na dziwne halucynacje jest oczywiście niebezpieczny, może nawet aż tak pozbawiony hamulców, że gotów odcinać ludziom głowy i wsadzać je do piekarników. Żołnierze, choć nie celowali w Bryce'a, podnieśli broń o kilka cali. Nagle zaczęli spoglądać na niego – oraz Jenny, Tala i Franka – z wyraźną podejrzliwością.

Zanim Bryce zdążył odpowiedzieć Copperfieldowi, zaskoczył go głośny hałas na tyłach samu, dochodzący spoza stołów masarskich. Bryce odsunął się od chłodziarek, obrócił do źródła zamieszania i położył dłoń na chwycie rewolweru.

Kątem oka zobaczył ruch od strony dwóch żołnierzy. Reagowali raczej na niego niż na hałas. Kiedy położył rękę na broni, natychmiast podnieśli pistolety maszynowe.

Rozpoznał przyczynę hałasu: łomot o drzwi. I wołanie. Oba odgłosy dochodziły z chłodni na mięso. Mieściła się z drugiej strony sortowni, nie dalej niż o piętnaście stóp, prawie dokładnie naprzeciwko miejsca, w którym stali. Grube hermetyczne drzwi głośny uderzenia, ale łomot był mimo to słyszalny. Głos był przygłuszony, słowa niezrozumiałe, Bryce jednak rozróżniał krzyki o pomoc.

– Ktoś jest tam uwięziony – powiedział Copperfield.

– Niemożliwe – zaprzeczył Bryce.

– Nie może być uwięziony, bo drzwi otwierają się z obu stron – dodał Frank.

Łoskot i krzyki urwały się raptownie.

Stukot.

Brzęk metalu o metal.

Dzwignia z polerowanej stali otwierająca drzwi poruszyła się w górę i w dół, w górę i w dół...

Stuknęła zapadka. Drzwi uchylły się. Ale tylko na kilka cali. Stały.

Zmrożone powietrze wysnuło się z chłodni, mieszało z ciepłym powietrzem samu. Czułki szroniastych oparów wspięły się na całą wysokość framugi.

Choć zza drzwi dobiegało światło, Bryce nie dostrzegął nic przez wąską szparę. Ale wiedział, jak wygląda wnętrze. Podczas wczorajszych poszukiwań Jake'a Johnsona zajrzał do środka. Lodowate, odpychające pomieszczenie, pozbawione okien, dwanaście na piętnaście stóp. Drugie drzwi do odbioru dostaw – zaopatrzone w dwie zasuwki – otwierały się na tylną uliczkę. Pomalowana betonowa podłoga. Hermetyczne, betonowe ściany. Świetłówki. Z trzech otworów wentylacyjnych nawiew zimnego powietrza chłodzącego połówki wołowiny, cielęciny i połcie wieprzowiny na hakach.

Bryce słyszał jedynie zwielokrotnione oddechy naukowców i żołnierzy. Choć nawet te odgłosy przycichały; niektórzy z nich chyba wstrzymali oddechy.

Nagle z chłodni dobiegł jęk. Żałosne, słabe wołanie o ratunek. Głos wibrował, zatarty, ale znajomy, odbity od zimnych betonowych ścian, niesiony prądami uciekającymi przez wąsko uchylone drzwi.

– *Bryce... Tal? Kto tam? Frank? Gordy? Jest tam kto? Niech... mi... ktoś... pomoże...*

To był Jake Johnson.

Bryce, Jenny, Tal i Frank trwali w zupełnym bezruchu, nasłuchiwali.

– Ktokolwiek tam jest, bardzo potrzebuje pomocy – powiedział Copperfield.

– *Bryce... proszę... niech ktoś...*

– Zna go pan? – zapytał Copperfield. – Woła pana, prawda, szeryfie?

Nie czekając na odpowiedź, generał rozkazał zajrzeć do środka dwóm swoim ludziom, sierżantowi Harkerowi i szeregowemu Pascallemu.

– Zaczekajcie! – krzyknął Bryce. – Niech nikt tam nie wchodzi. Nie ruszamy się za te chłodziarki, póki nie dowiemy się czegoś więcej.

– Szeryfie, jestem gotów iść z panem na możliwie najściślejszą współpracę, ale nie ma pan władzy nade mną ani moimi ludźmi.

– *Bryce... to ja... Jake... Pomóż, na litość boską. Złamałem cholerną nogę.*

– Jake? – zapytał Copperfield. Zmrużył oczy i spojrzał zdumiony na Bryce'a. – Ten człowiek, o którym mówił pan, że został wczoraj porwany?

– *Niech ktoś... pomoże... Jezu, tu jest zi... zimno... tak zimno.*

– To jakby jego głos – przyznał Bryce.

– No i ma pan! – powiedział Copperfield. – Okazuje się, że to nic tajemniczego. Siedział tu cały czas.

Bryce wbił wzrok w generała.

– Mówiłem panu, że przeszukaliśmy wszystko zeszłej nocy. Nawet tę cholerną chłodnię. Nie było go tam.

– No, ale teraz jest – odpowiedział generał.

– *Hej, wy tam! Jest mi zimno. Nie mogę ru... ru... ruszyć... cholerną nogą!*

Jenny dotknęła ramienia Bryce'a.

– Tu coś nie gra. Tu coś kompletnie nie gra.

– Szeryfie, nie możemy tak stać i pozwalać, żeby ranny człowiek cierpiał.

– Gdyby Jake naprawdę siedział tam całą noc – powiedział Frank Autry – zamarłby na śmierć.

– No, na ogół chłodnie w sklepach – zauważył Copperfield – nie mrozą. Jest tam tylko zimno. Jeśli ten człowiek był ciepło ubrany, łatwo mógł przeżyć do tej chwili.

– Ale jak się tam dostał? – zapytał Frank. – Co tam, do diabła, robił?

– I nie było go wczoraj – niecierpliwie odezwał się Tal.

Jake Johnson znów zawołał o pomoc.

– Tam czyha niebezpieczeństwo – powiedział Bryce do Copperfielda. – Czuję to. Moi ludzie to czują. Doktor Paige to czuje.

– Ja nie – stwierdził Copperfield.

– Generale, jest pan za krótko w Snowfield, aby wiedzieć, że czekają tu pana rzeczy, których nikt nie jest w stanie przewidzieć.

– Jak ćmy wielkości orłów?

Bryce powstrzymał gniew.

– Jest pan tu za krótko, żeby zrozumieć, że... no... nic nie jest takie, jakim się wydaje.

Copperfield spojrzał na niego sceptycznie.

– Niech pan nie bierze mnie na mistycyzm, szeryfie.

Jake Johnson zaczął płakać. Żałosne biadolenia robiły straszne wrażenie. Wywoływały obraz rozdzieranego bólem, przerażonego starca, który w niczym nie może być groźny.

– Musimy pomóc temu człowiekowi. Już – powiedział Copperfield.

– Nie będę ryzykował życia swoich ludzi – zaproponował Bryce. – Jeszcze nie.

Copperfield jeszcze raz rozkazał sierżantowi Harkerowi i szeregowemu Pascallemu zajrzeć do chłodni. Nie ulegało wątpliwości, że nie sądzi, by jakieś niebezpieczeństwo mogło zagrozić ludziom uzbrojonym w pistolety maszynowe, nakazał jednak, żeby zachowali ostrożność. Wciąż wierzył, że nieprzyjaciel jest wielkości bakterii albo cząsteczki gazu.

Dwaj żołnierze szybko pokonali przestrzeń między chłodziarkami i doszli do bramki, za którą znajdowała się sortownia mięsa.

– Jeśli Jake otworzył te drzwi, to dlaczego nie zrobił tego do końca, żebyśmy mogli go zobaczyć? – zapytał Frank.

– Prawdopodobnie wyczerpał wszystkie siły na podniesienie uchwytu – zasugerował Copperfield. – Na litość boską, z jego głosu można wnioskować, że jest całkowicie wyczerpany.

Harker i Pascalli minęli bramkę.

Ręka Bryce'a zacisnęła się na chwycie rewolweru.

– Cholera, coś tu jest kompletnie nie w porządku. Jeśli to naprawdę Jake, jeśli potrzebuje pomocy, to dlaczego czekał aż do teraz?

– Dowiemy się, jak go spytamy. Nie ma innego sposobu – powiedział generał.

– Chodzi mi o to, że z tej chłodni można wyjść od tyłu – wyjaśnił Tal. – Mógł otworzyć drzwi wcześniej i krzyknąć w tylną uliczkę. Jest tak cicho, że usłyszelibyśmy go nawet w Zajeździe Na Wzgórzu.

– Może do tej pory był nieprzytomny – odrzekł Copperfield.

Harker i Pascalli szli wzdłuż stołów obok elektrycznej piły. Jake Johnson znów się odezwał.

– *Idzie... ktoś? Czy ktoś... idzie?*

Jenny zaczęła zgłaszać kolejne obiekcje, ale Bryce powiedział:

– Szkada gardła.

– Pani doktor – zapytał Copperfield – czy spodziewa się pani, że zignorujemy wołanie o pomoc?

– Oczywiście, że nie – powiedziała. – Ale powinniśmy odczekać i zastanowić się nad bezpiecznym sposobem wejścia do środka.

Copperfield potrząsnął głową.

– Musimy bezzwłocznie mu pomóc – przerwał. – Niech pani go posłucha. Jest ciężko ranny.

Jake znów zajęczał z bólu.

Harker ostrożnie sunął do drzwi chłodni.

Pascalli cofnął się kilka kroków i z boku osłaniał swojego sierżanta, najlepiej jak mógł.

Bryce poczuł, jak z napięcia tężeją mu mięśnie na plecach, ramionach i karku.

Harker był przy drzwiach.

– Nie – cicho szepnęła Jenny.

Skrzydło drzwi stało uchylone do środka. Harker wysunął lufę automatu i pchnął je do końca. Zimne zawiasy zaskrzypiały, zapiszczały.

Bryce zadygotał na ten dźwięk.

Jake nie leżał w progu. Nie było go widać.

Za sierżantem nie było widać nic poza połówkami wołowiny: wisały ciemne, poprzecinane jaśniejszymi smugami tłuszczu, krwawe.

Harker zawahał się...

Nie rób tego! – pomyślał Bryce.

...i skoczył przez próg. Minął go w półprzysiadzie, rozejrzał się w lewo, idąc za ruchem głowy lufą broni, i prawie natychmiast spojrzął w prawo, obracając broń w tym kierunku.

Wtedy coś zobaczył. Podskoczył, przerażony. Szybko uskoczył w tył, zderzył się plecami z wiszącą wołowiną.

– Ja pierdolę!

Podkreślił krzyk krótką serią z automatu.

Bryce skrzywił się. Huk i grzechot broni zabrzmiały ogłuszająco.

Coś pchnęło drzwi chłodni, zamknęło je z hukiem. Ono uwięziło Harkera. Ono.

– Chryste! – krzyknął Bryce. Nie tracąc czasu wdrapał się na wysoką do pasa chłodziarkę, stanął na paczkach sera „Kraft swiss” i oblanej woskiem goudzie. Przebiegł na czworakach, zeskoczył po drugiej stronie.

Następna seria z automatu. Tym razem dłuższa. Chyba dość długa, żeby opróżnić magazynek.

Pascalli był już przy drzwiach, zmagął się gorączkowo z dźwignią.

Bryce obiegł stoły sortowni.

– Co jest?!

Szeregowy Pascalli wyglądał zbyt młodo jak na żołnierza – i był bardzo wystraszony.

– Wyciągnij go stamtąd, do diabła! – krzyknął Bryce.

– Nie da się! Kurwa, nie chce się otworzyć!

Strzały w chłodni ustały.

Zaczęły się wrzaski.

Pascalli szarpał rozpaczliwie za zablokowaną dźwignię.

Chociaż grube, szczelnie dopasowane drzwi powinny tłumić wrzaski Harkera, rozlegały się bardzo głośno, a szybko stały się jeszcze głośniejsze. Dochodząc przez walkie-talkie Pascallego, śmiertelne szlochy musiały brzmieć ogłuszająco, gdyż szeregowy nagle przyłożył dłoń do hełmu, jakby próbował odciąć dźwięk.

Bryce odepchnął żołnierza. Złapał obiema rękami za długą dźwignię. Ani drgnęła – w żadną stronę.

W chłodni przeraźliwe krzyki rosły i opadały, i rosły, i stawały się coraz głośniejsze, bardziej przeszywające i okropniejsze.

Co, do diabła, ono robi Harkerowi? – myślał gorączkowo Bryce. Żywcem obdziera biedaka ze skóry?

Obejrzał się. Tak przeczołgał się po chłodziarkach i dołączył do niego. Generał i jeszcze jeden żołnierz, szeregowy Fodor, biegli przez bramkę. Frank wskoczył na jedną z chłodziarek, ale obserwował wnętrze sklepu, na wypadek gdyby zamieszanie w chłodni było tylko dywersją. Wszyscy inni stali w grupie, w przejściu.

– Jenny! – zawołał Bryce.

– No?

– Czy w tym sklepie jest dział z żelastwem?

– Z takimi różnościami.

– Potrzebuję śrubokrętu.

– Robi się. – Już biegła.

Harker wrzeszczał.

Jezu, co to za straszny krzyk! Z koszmaru sennego. Ze szpitala wariatów. Z piekła.

Bryce złał się zimnym potem. Copperfield dotarł do chłodni.

– Puść mnie do dźwigni.

– Nic nie pomoże.

– Puść!

Bryce zszedł mu z drogi.

Generał był krzepkim mężczyzną – w istocie największym z obecnych. Wyglądał na dość silnego, by wrywać stuletnie dęby. Wysilał się, kłął – nie pchnął dźwigni dalej niż Bryce.

– Cholerny zatrask musiał się złamać albo wygiąć – powiedział Copperfield, ciężko dysząc.

Harker wrzeszczał nieprzerwanie.

Bryce pomyślał o Cukierni Libermannów. Wałek na stole. Ręce. Obcięte ręce. Tak może krzyżeć człowiek, kiedy patrzy, jak odcina mu się ręce w przegubach.

Copperfield tłukł o drzwi z bezsilną wściekłością.

Bryce spojrział na Tala. Pierwszy raz w życiu zobaczył wyraźny lęk na twarzy Tala Whitmana.

Jenny przebiegła bramkę wzywając Bryce'a. Ścisnęła trzy śrubokręty, każdy opakowany w jasny karton z plastikową osłoną.

– Nie wiedziałam, którego rozmiaru potrzebujesz – powiedziała.

– W porządku – podziękował Bryce – teraz znikaj stąd szybko. Wracaj do reszty.

Zignorowała polecenie, podała mu dwa śrubokręty, zatrzymała trzeci.

Wrzaski Harkera stały się tak przeraźliwe, tak straszne, że nie przypominały ludzkich odgłosów.

Kiedy Bryce rozerwał pierwsze opakowanie, Jenny potargała na strzępy swój karton i wyciągnęła śrubokręt.

– Jestem lekarką, zostaję.

– Żaden lekarz nie jest mu w stanie pomóc – powiedział Bryce, gorączkowo rozdzierając ostatnie

opakowanie.

– A może jednak. Gdybyś myślał, że nie ma szansy, nie starałbyś się wyciągać go stamtąd.

– Do cholery, Jenny!

Bał się o nią, ale wiedział, że już podjęła decyzję i nie wyperswaduje jej, żeby odeszła.

Wyjął jej z ręki trzeci śrubokręt, przepchnął się obok generała Copperfielda, stanął przy drzwiach.

Nie mógł wykręcić szpilek trzymających zawiasy. Drzwi otwierały się do wewnątrz, zawiasy były w chłodni.

Ale mechanizm dźwigni i zamka był osłonięty szeroką metalową nakładką przymocowaną do lica drzwi czterema wkrętami. Bryce pochylił się, wybrał odpowiedni śrubokręt, usunął pierwszy wkręt; wkręt upadł na podłogę.

Wrzaski Harkera urwały się.

Cisza, która nastąpiła, była gorsza niż krzyk.

Bryce usunął drugi, trzeci i czwarty wkręt.

Sierżant Harker nadal milczał.

Kiedy nakładka była luźna, Bryce przesunął ją wzdłuż dźwigni, zdjął, odrzucił. Mrużąc oczy objął wzrokiem wnętrze zamka, pogrzebał śrubokrętem. Ostre kawałki popękanego metalu wypadły z zamka; inne ze stukotem osunęły się w dół do pustej szpary wewnątrz drzwi. Zamek został dokładnie zniszczony od środka. Bryce znalazł szczelinę, przez którą ręcznie zwalnia się rygiel, wsunął w nią śrubokręt, pociągnął w prawo. Sprężyna była chyba mocno zgięta lub zerwana, gdyż ledwo dała się poruszyć. Wysunął jednak rygiel na tyle, że wyszedł z dziury w ościeżu. Pchnął: coś metalicznie trzasnęło; drzwi zaczęły się otwierać.

Wszyscy się odsunęli, Bryce także.

Ciężar własny skrzydła drzwi wystarczał, aby z wolna, niespiesznie odchyłało się do środka.

Szeregowy Pascalli trzymał je na muszce pistoletu maszynowego, Bryce wyciągnął swoją broń, podobnie jak i Copperfield, chociaż los sierżanta Harkera udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że broń palna jest tu nieskuteczna.

Drzwi otworzyły się na oścież.

Bryce oczekiwał, że coś z chłodni wyskoczy. Nic nie wyskoczyło.

Poprzez światło padające od drzwi, które przecinało w poprzek chłodnię, dostrzegł, że drugie drzwi również są otwarte. Kilka minut temu, kiedy Harker wszedł do środka, z pewnością było inaczej. Za nimi rozciągała się osłoneczniona uliczka.

Copperfield rozkazał Pascallemu i Fodorowi sprawdzić chłodnię. Szybko weszli, znikli z oczu, jeden na lewo, drugi na prawo.

Po kilku sekundach Pascalli wrócił.

– Teren czysty, sir.

Copperfield wszedł do środka, Bryce za nim.

Pistolet maszynowy Harkera leżał na podłodze.

Sierżant Harker wisiał na metalowym haku u sufitu, obok połówki wołowej – wisiał na ogromnym, groźnie sterczącym, dwuzębny haku na mięso, który przeszywał mu pierś.

Żołądek podszedł Bryce'owi do gardła. Już zaczął obracać się od wiszącego mężczyzny – gdy wtem dotarło do niego, że to nie Harker. To jedynie pusty strój ochronny sierżanta i jego hełm. Twardy winylowy materiał był rozcięty. Pleksiglasowa osłona na twarz pękła, wyrwana z gumowej obudowy, do której poprzednio mocno przylegała. Harker został wyciągnięty ze stroju, zanim ubranie powieszono.

Ale gdzie jest Harker?

Przepadł.

Pascalli i Fodor wyszli na rampę, rozglądali się w górę i w dół uliczki.

– Słyszeliśmy krzyki – powiedziała Jenny, stając u boku Bryce’a – a nie ma krwi na podłodze ani na stroju.

Tal Whitman zebrał kilka wystrzelonych łusek z pistoletu automatycznego; wiele ich zaścielało podłogę. Miedź połyskiwała mu w otwartej dłoni.

– Dużo tego, ale nie za wiele. Wygląda na to, że sierżant trafił w to, do czego strzelał. Musiał trafić przynajmniej ze sto razy. Może dwieście. Ile nabojów mieszczą te duże magazynki, generale?

Copperfield wpatrywał się w błyszczące łuski, ale nie odpowiedział.

– Nie ma po nim śladu, sir – powiedział Pascalli, kiedy razem z Fodorem wrócili z rampy. – Chce pan, żebyśmy przejrzyli dalej uliczkę?

– Generale, to bolesne, ale musi pan skreślić sierżanta Harkera – rzekł Bryce, zanim Copperfield zdążył odpowiedzieć. – On nie żyje. Niech pan się nie łudzi, żadnych nadziei. Tu naprawdę grasuje śmierć. Śmierć. To nie porwania. Nie terroryści. Nie gaz psychotoksyczny. Nic połowicznego. Gramy o cały bank. Nie wiem, co to jest, do diabła, ani skąd się zjawilo, ale wiem, że to sama Śmierć. Tam jest Śmierć, w takiej postaci, że nawet jej sobie nie jesteśmy w stanie wyobrazić, kierowana celem, którego nie rozumiemy. Ćma, która zabiła Stu Wargle’a – to nie było prawdziwe oblicze tego stwora. Czuję to. Ćma była tym samym co ożywiony trup Wargle’a, napastujący Lisę w toalecie: zepchnięciem na fałszywy trop... zmyłką.

– Fantomy – powiedział Tal, używając terminu wprowadzonego przez Copperfielda z nieco innym podtekstem.

– Tak, fantomy – powtórzył Bryce. – Jeszcze nie spotkaliśmy prawdziwego wroga. To coś, co znajduje czystą rozkosz w zabijaniu. Potrafi robić to szybko i po cichu, jak z Jake’em Johnsonem. Ale Harkera zabiło wolniej, zadając mu wielki ból, zmuszając do krzyku. Bo chciało, żebyśmy te krzyki usłyszeli. Morderstwo Harkera służyło temu samemu co T-139 – było demoralizatorem. To stworzenie nie porwało sierżanta Harkera. Wykończyło go, generale. Ono go wykończyło. Niech pan nie ryzykuje życia następnych ludzi, poszukując ciała.

– Ale głos, który słyszeliśmy – powiedział Copperfield po chwili milczenia. – To był głos pańskiego człowieka, Jake’a Johnsona.

– Nie – powiedział Bryce. – Nie sądzę, żeby to naprawdę był Jake. Głos brzmiał podobnie, ale teraz zaczynam podejrzewać, że mamy do czynienia z jakimś niesamowitym naśladowcą.

– Naśladowcą? – powtórzył Copperfield.

Jenny spojrzała na Bryce’a.

– Te zwierzęce odgłosy w telefonie.

– Koty, psy, ptaki, grzechotniki, płaczące dziecko... To robiło wrażenie pokazu. Jakby ono chełpiło się: „Hej, popatrzcie, na co mnie stać; patrzcie, patrzcie, jakie jestem sprytnie”. Głos Jake’a Johnsona był jeszcze jedną próbką z jego repertuaru.

– Co pan tu sugeruje? – zapytał Copperfield. – Coś nadnaturalnego?

– Nie. To jest prawdziwe.

– Więc co to jest? Proszę to nazwać – domagał się Copperfield.

– Nie potrafię, do cholery! Może to naturalna mutacja, a może coś, co wydostało się z jakiegoś laboratorium genetycznego. Może pan wie coś o tym, generale? Może armia ma całą cholerną dywizję

genetyków, tworzących żywe maszyny bojowe, potwory, których celem jest mordować i siać postrach; stwory pozszywane do kupy z DNA pół tuzina zwierzaków. Weź trochę kodu genetycznego tarantuli i połącz z kawałkiem kodu krokodyla, kobry, osy, może nawet niedźwiedzia brunatnego; dorzuć geny ludzkiej inteligencji, tak sobie, dla czystej zabawy. Wsadź do probówki, hoduj w inkubatorze, karm. Co z tego wyjdzie? Jak będzie wyglądało? Czy samo mówienie o tym nie brzmi jak brednie wariata? Współczesny Frankenstein? Czy już doszli do takich rezultatów z przekształcaniem DNA? A może nie powinienem wykluczać nawet rzeczy nadnaturalnych? Chodzi mi o to, generale, że to może być cokolwiek. Dlatego nie potrafię tego nazwać. Niech pańska wyobraźnia zaszaleje, generale. Jakikolwiek koszmar wykluje się panu w myślach, nie wolno go wykluczyć. Mamy do czynienia z niewiadomym, a niewiadome kryje wszystkie nasze koszmary.

Copperfield wpatrywał się w Bryce'a, potem spojrzął na strój i hełm sierżanta Harkera, zwisające z rzeźnickiego haka. Obrócił się do Pascallego i Fodora.

– Nie przeszukujemy tej uliczki. Szeryf prawdopodobnie ma rację. Sierżant Harker zaginął i nic nie możemy dla niego zrobić.

Po raz czwarty od zjawienia się Copperfielda w mieście, Bryce zapytał:

– Czy nadal uważa pan, że to wygląda na zwykłe użycie CBW?

– Możemy mieć do czynienia ze środkiem chemicznym lub bakteriologicznym. Jak pan to zauważył, nie da się niczego wykluczyć. Ale nie jest to zwykły przypadek. Tu ma pan rację, szeryfie. Przepraszam za sugestię, iż miał pan halucynacje i...

– Przyjmuję przeprosiny – powiedział Bryce.

– I cóż teraz? – zapytała Jenny.

– Cóż – zarządził Copperfield – chcę, żeby zaczęto od sekcji i testów patologicznych. Natychmiast. Może nie znajdziemy choroby ani gazu psychotoksycznego, ale nadal możemy trafić na coś, co naprowadzi nas na jakiś ślad.

– Niech pan to robi – powiedział Tal – bo mam czuć, że czas nam się kończy.

PYTANIA

Kapral Billy Velazquez, jeden z żołnierzy osłony, opuszczał się w dół wjazdu do odpływu burzowego. Choć nie kosztowało go to wiele wysiłku, oddychał ciężko. Ze strachu.

Co się stało z sierżantem Harkerem?

Ci, którzy wrócili, wyglądali, jakby dostali po łbie. Staruszek Copperfield powiedział, że Harker nie żyje. Nie mają pewności, co go zabiło, ale zamierzają się dowiedzieć. Człowieku, co to za kupa gówna. Muszą wiedzieć, co go zabiło. Nie chcą tylko powiedzieć. Typowe dla szarży. Robienie ze wszystkiego sekretów.

Szczebble biegły krótkim pionowym kominem do horyzontalnego odcinka. Billy zszedł na dół. Buty stuknęły głucho po betonowym dnie.

Tunel był za niski, aby się wyprostować. Billy pochylił się trochę, poświecił w krąg latarką.

Szare betonowe ściany. Kable telefoniczne i energetyczne. Trochę wilgoci. Gdzieniedzie grzyb. Nic poza tym.

Billy cofnął się od szczebli. Ron Peake, następny żołnierz z osłony, zszedł na dół.

Dlaczego przynajmniej nie przynieśli ciała Harkera?

Billy w dalszym ciągu świecił wokół latarką i oglądał się nerwowo za siebie.

Dlaczego Copperfield-Żelazna Dupa powtarzał na okrągło, że na dole trzeba się pilnować i uważać?

„Sir, a za czym mamy się rozglądać?” – spytał Billy.

Na co Copperfield: „Za czymkolwiek. Za wszystkim. Nie wiem, czy jest tam bezpiecznie, czy nie. A nawet jeśli nie jest, nie wiem dokładnie, jak wam opisać to, na co macie uważać. Bądźcie tylko cholernie ostrożni. A jak się tam coś ruszy, to choćby było niewinne jak myszka, spieprzajcie w podskokach”.

I to ma być odpowiedź? Do diabła!

Jezusie!

Billa przeszedł dreszcz.

Żeby tak pogadać z Pascallim albo Fodorem. Oni to nie cholerne szarże. Daliby cynk, co z Harkerem. Gdyby tylko miał okazję z nimi pogadać.

Ron Peake zszedł z ostatniego szczebbla. Spojrzał z niepokojem na Billy'ego.

Velazquez śmignął latarką wokoło, aby kolega wiedział, że nie ma przed czym trząść gaciami.

Ron zapalił latarkę, uśmiechnął się głupawo, zażenowany własną nerwowością.

Ludzie z góry zaczęli spuszczać przewód elektryczny. Przeciagnęli go z dwóch ruchomych laboratoriów, zaparkowanych kilka jardów od wejścia do kanału.

Ron złapał końcówkę i Billy pochyłony szurając nogami skierował się pierwszy w kierunku wschodnim. Z góry podawali dalej kabel.

Ten tunel powinien krzyżować się z równie szerokim albo może jeszcze większym kanałem pod główną ulicą, Skyline Road. Tam winna znajdować się rozdzielnia, w której zbiegało się kilka odgałęzień miejskiej sieci elektrycznej. Billy posuwał się z zalecaną przez Copperfielda ostrożnością, macał latarką po ścianach tunelu, szukając znaków przedsiębiorstwa energetycznego.

Rozdzielnia była na lewo, pięć, sześć stóp dalej. Billy minął ją i podszedł do odpływu pod Skyline Road, zajrzał do podziemnego korytarza, skierował światło na lewo i prawo, upewnił się, że nic się tu nie czai. Nitka Skyline Road była tych samych rozmiarów co ta, w której teraz stał, ale szła za stokiem;

opadała w dół wzgórza. Jak okiem sięgnąć nie było niczego widać.

Spoglądając w dół, w opadający z lekka tunel z przeświecającą w dali szarością, Billy Velazquez przypomniał sobie historyjkę czytaną przed laty w komiksie. Zapomniał tytułu. Była to historyjka o bandycie obrabiającym banki, który trachnął dwóch gości podczas napadu, a potem uciekając przed policją, wśliznął się do miejskiej sieci kanałów. Wybrał opadający w dół tunel, wyobrażając sobie, że poprowadzi go do rzeki, ale zamiast do rzeki zszedł do piekła. I tak wyglądał tunel pod Skyline Road: jak droga do piekła.

Billy odwrócił się. Zerknął w górę. Czy ten kierunek będzie wyglądał jak droga do niebios? Ale oba wyglądały identycznie. W górę i w dół; wszędzie piekło.

Co spotkało sierżanta Harkera?

Czy to samo czeka każdego, wcześniej czy później?

Nawet Williama Luisa Velazqueza, zawsze pewnego (aż do teraz), że będzie żył wiecznie?

Nagle zrobiło mu się sucho w ustach.

Obrócił głowę w hełmie i przyłożył spierzchnięte usta do cycka przewodu odżywiającego. Zassał, wciągając słodki, zimny, nasycony węglowodanami, bogaty w witaminy i sole mineralne płyn. Naprawdę miał chęć na piwo. Ale dopóki nie wygrzebie się z tego stroju, jest skazany na odżywkę. Miał przy sobie zapas na czterdzieści osiem godzin – jeśli nie będzie łykał więcej niż dwie uncje na godzinę.

Zawrócił z drogi do piekła, podszedł do rozdzielni. Ron Peake już pracował. Sprawnie, mimo obszernych strojów ochronnych i ciasnoty, podłączyli swój kabel do sieci.

Oddział przywiózł własny generator, ale będzie wykorzystywany tylko wtedy, gdy siądzie wygodniejsza w użyciu sieć miejska.

W kilka minut Velazquez i Peake skończyli. Billy wywołał przez radio ludzi z góry.

– Panie generale, podłączenie zrobione. Powinien pan mieć już prąd, sir.

Odpowiedź przyszła od razu:

– Mamy. Teraz wypieprzać stamtąd raz-dwa!

– Tak jest, sir.

Billy usłyszał... coś.

Szelest.

Ziajanie.

I Ron Peake złapał Billy'ego za ramię. Wskazał. Za Billy'ego. Na nitkę Skyline.

Billy obrócił się szybko, pochylił mocniej i oświetlił skrzyżowanie, tam gdzie Peake skierował już swoją latarkę.

Zwierzęta posuwały się w dół tunelu Skyline Road. Dziesiątkami. Psy. Białe, szare, czarne, brązowe, rude, złote, psy wszelkich rozmiarów i ras; głównie kundle, ale i wyżły, pudelki miniatutki i duże pudle, owczarki niemieckie, spaniele, dwa dogi, para airedale'ów, sznaucer, para czarnych jak węgiel dobermanów z podpalanymi pyskami. I biegły też koty. Wielkie i małe. Chude i tłuste. Czarne i łaciate, białe, żółte, z ogonami w obwarzanki, brązowe, plamiaste, w paski i szare. Żaden pies nie zawarczał. Żaden kot nie zamiauczał ani nie fuknął. Jedyne odgłosy to ziajanie, miękki tupot i drapanie łap po betonie. Zwierzęta sunęły w dziwnym skupieniu, zapatrzone przed siebie; żadne nawet nie zerknęło w odpływ, w którym stali Billy i Peake.

– Co one tu robią? – dopytywał się Billy. – Jak się tu dostały?

Z ulicy nad ich głowami Copperfield pytał przez radio:

– Co się dzieje, Velazquez?

Billy był tak zaskoczony zwierzęcą procesją, że nie odpowiedział od razu.

Pojawiły się inne zwierzęta, mieszały z psami i kotami. Wiewiórki. Zające. Szary lis. Szopy. Znów lisy i znowu wiewiórki. Śmierdziele. Wszystkie wpatrzone przed siebie, obojętne na wszystko, uparcie dążące naprzód. Oposy i borsuki. Myszy i wiewiórki ziemne. Kojoty. Wszystko to z pośpiechem sunęło drogą do piekła, wymieszonym strumieniem, a jednak ani razu nie potknęły się, nie zawahały, nie rzuciły na siebie. Ta dziwna parada była szybka, nieprzerwana, harmonijna jak rzeczny nurt.

– Velazquez! Peake! Zgłóście się!

– Zwierzęta – doniósł Billy generałowi. – Psy, koty, szopy, wszystkie stworzenia. Cała rzeka.

– Sir, posuwają się w dół tunelu pod Skyline Road, przed wylotem naszej nitki – powiedział Ron Peake.

– Pod ziemią – dodał ogłupiały Billy. – Wariactwo.

– Wycofać się, do cholery jasnej! – natychmiast rozkazał Copperfield. – Wysuwać stamtąd. Już!

Billy pamiętał ostrzeżenie generała: „Jak się tam coś ruszy... to choćby było niewinne jak myszka, spieprzajcie w podskokach”.

Na początku podziemna parada była zaskakująca, ale nieszczególnie groźna. Teraz w tym dziwnym pochodzie zobaczył coś zastraszającego, coś nie z tej ziemi.

Pokazały się węże. Mnóstwo węży. Długie, czarne węże, szybko wijące się, z głowami uniesionymi na stopę czy dwie. I grzechotniki. Trzymały swoje płaskie, złowrogie łby niżej od czarnych węży, ale poruszały się równie szybko, tym samym węzowym ruchem. Sunęły w tajemniczym celu w kierunku mrocznego i tajemniczego przeznaczenia.

Chociaż węże nie zwracały uwagi na Velazqueza i Peake’a, podobnie jak koty i psy, ich pojawienie się wyrwało Billy’ego z transu. Nie cierpiał węży. Zawrócił, popędzając Peake’a:

– Idziemy. Startuj. Wynosimy się stąd. Gazem!

Coś zawyło-krzyknęło-ryknęło.

Serce Billy’ego waliło z siłą wiertarki udarowej.

Dźwięk nadszedł z odpływu Skyline, z drogi do piekła. Billy nie odważył się spojrzeć w tył.

Nie był to ani ludzki krzyk, ani odgłos żadnego zwierzęcia, a jednak niewątpliwie odezwała się żyjąca istota. W tym nieziemskim, ścinającym krew w żyłach beczeniu słyszało się nieomylnie nagie emocje. Nie lęk czy strach. Był to wybuch wściekłości, nienawiści i gorączkowej żądy krwi.

Na szczęście złowrózby ryk nie dobiegał z bliska, ale z dalszej odległości, z gór, z najwyższego końca tunelu Skyline. Bestia – jakimkolwiek mianem Bóg ją obdarzył – jeszcze nie dotarła blisko. Ale zbliżała się szybko.

Ron Peake pobiegł do szczebli, Billy za nim. Krępowani obszernymi strojami, spowalniani pochyłością kanału, biegli, ciągnąc za sobą nogi. Choć do celu było niedaleko, pokonywali dystans irytująco powoli.

Stworzenie w kanale odezwało się znów.

Bliżej.

Słysząc było skomlenie, warczenie, wycie, ryk i proszący pisk, wszystko zmieszane razem w dźwięk ostry jak kolczasty drut. Przebił uszy Billy’ego i ranił serce zimnymi, metalowymi kolcami.

Bliżej.

Gdyby Billy był lękającym się Boga nazarejczykiem lub wymachującym Biblią, grożącym siarką i ogniem piekielnym chrześcijańskim fundamentalistą, wiedziałby, co to za bestia może wydać taki krzyk. Gdyby nauczono go, iż Władca Mroku i jego ulubieńcy stąpają po ziemi w cielesnych kształtach,

szukając nierozważnych dusz do pożarcia, natychmiast rozpoznalby bestię. Powiedziałby: To Szatan. Doprawdy, ryk odbijający się po cementowych ścianach tunelu był na to wystarczająco straszny.

I bliski.

Coraz bliższy.

Szybko nadciągał.

Ale Billy był katolikiem. Współczesny katolicyzm zwykł pomijać historie o cuchnących siarką czeluściach piekielnych, podkreślając za to wielką łaskę Boga i Jego nieskończoną dobroć. Ekstremistyczni protestanci fundamentaliści widzieli rękę diabła we wszystkim; od telewizyjnych programów i powieści Judy Blume do „bardotek”. Ale katolicyzm potrafił w spokojniejszą, miłszą sercu nutę. Kościół rzymskokatolicki dał teraz światu śpiewające mniszki, Bingo Środowej Nocy i księży w rodzaju Andrew Greeleya. Toteż Billy Velazquez, wychowany na katolika, nie od razu skojarzył nieziemskie zastępy szatańskie z mrozącym krew w żyłach zawołaniem nieznannej bestii – choć przecież tak żywo pamiętał starą historię komiksową o drodze do piekła. Billy tylko wiedział, że rycząca kreatura, która się zbliżała, jest czymś złym. Bardzo złym.

Była blisko. Coraz bliżej.

Ron Peake dotarł do szczebli, ruszył w górę, upuścił latarkę, nie zawrócił po nią.

Peake był zbyt powolny i Billy krzyknął:

– Ruszaj dupę!

Wrzask nieznannej bestii przeszedł w nieziemskie zawodzenie. Wypełniło podziemne kłębowiska kanałów szczelnie jak powódź. Billy nie słyszał nawet własnego krzyku.

Peake dotarł do połowy drabiny. Teraz za nim było dość miejsca dla drugiego. Billy mógł zacząć wspinaczkę. Położył rękę na szczeblu.

Stopa Peake’a omsknęła się. Spadł o jeden szczebel.

Upiorny lament rósł.

Bliżej, bliżej.

Leżąca na dnie latarka Peake’a była skierowana na tunel Skyline, ale Billy nie odwracał się. Patrzył tylko w górę, w słońce. Jeśli się obejrzy, zobaczy coś potwornego, siły go opuszczą i ono wykończy go, na Boga, wykończy!

Peake ruszył znowu w górę. Tym razem utrzymał nogę na szczeblu.

Betonowy tunel przenosił wibracje. Billy czuł je przez podeszwy butów. Wibracje od ciężkich, szurających, ale szybkich jak błyskawice kroków.

Nie patrz, nie patrz!

Billy złapał za boczne poręcze i zaciskając mocno dłonie ruszył szybko, dużo szybciej niż Peake. Jeden szczebel, dwa, trzy.

Na górze Peake minął właz i znalazł się na ulicy.

Kiedy otwór się odłonił, promienie jesiennego światła chlusnęły na Billy’ego Velazqueza i było w nich coś ze światła przebijającego kościelne okno. Nadzieja?

Minął połowę szczebli.

Uda się, uda się, na pewno się uda, powtarzał sobie w myślach.

Ale ono drze się i wyje! Jezu! Jakbym wpadł w cyklon.

Jeszcze jeden szczebel.

I jeszcze jeden.

Strój ochronny ciążył jak nigdy. Ważył tonę. Jak zbroja. Ściągał w dół.

Znalazł się prawie u wylotu tunelu. Spojrzał z tęsknotą na światło i twarze pochylone w dół, do niego. Nie przestawał się podciągać.

Uda się.

Głowa już ponad włazem.

Ktoś schylił się, podał mu rękę. Sam Copperfield.

Krzyki za Billym ustały.

Wszedł na kolejny szczebel, jedną rękę wyciągnął do generała...

...ale coś ujęło go za nogi, zanim złapał dłoń Copperfielda.

– Nie!

Coś złapało go, ściągnęło ze szczebli, oderwało w tył. Krzycząc (dziwne, słyszał, jak przyzywa matkę!) Billy spadał, rozbił hełm o ścianę tunelu, o szczebel; ogłuszyło go, rozbił sobie łokcie i kolana. Rozpaczliwie próbował chwycić się szczebla, ale nadaremnie. W końcu spadł w potężne objęcia tego niewysłowionego czegoś, co zaczęło go wlec w tył, do kanału pod Skyline Road.

Wykręcał się, kopał, tłukł pięściami – bez skutku. Znalazł się w żelaznym uścisku, wleczony coraz głębiej w kanały.

W odbiciu światła z włazu, a potem w szybko słabnącym promieniu latarki Peake'a, Billy zobaczył trochę stworzenia trzymającego go w uścisku. Nie za dużo. Zaledwie części wyłaniające się z ciemności, znikające w ciemności. Dość, żeby zwieracz i pęcherz żołnierza puściły. Było gadzie. Ale nie było gadem. Owadzie. Ale nie było owadem. Syczało, skomlało i warczało. Szarpało, rwało za strój ochronny, nie przestając ciągnąć Billy'ego. Przepastne szczęki. Zęby. Jezus-maria, Józefie święty – zęby! Podwójny szereg szpikulców ostrych jak brzytwa. Szpony, ogromne szpony. Oczy koloru przyćmionej czerwieni, podłużne źrenice, czarne jak dno grobu. Zamiast skóry, łuski, dwa rogi wyrastające z czoła nad złowrogimi oczami, zagięte do góry, ostre jak sztylety. Nie nos, lecz ryj, ryj kąpiący śluzem. Rozdwojony język, biegający po śmiercionośnych kłach i coś, co wyglądało jak żądło osy – a może szczypce.

Wlokło Billy'ego Velazqueza w kanał Skyline. Billy wpijał paznokcie w beton, rozpaczliwie starając się czegoś złapać, ale udało mu się jedynie poranić palce i zerwać wewnętrzną stronę rękawic. Poczuł na dłoniach zimny, podziemny wiew. Pomyślał, że teraz może ulec skażeniu, ale to było najmniejsze zmartwienie.

Wlokło go w wałace młotem serce ciemności. Zatrzymało się, nie rozluźniając uścisku. Rwało strój. Tłukło w hełm. Szperało przy osłonie twarzy. Dobrało się do żołnierza jak do smakowitego kawałka orzecha w twardej skorupie.

Billy z najwyższym trudem zachowywał resztki zdrowego rozsądku. Ale walczył o trzeźwość umysłu, chciał zrozumieć. Z początku ono wydało mu się czymś sprzed milionów lat, prehistoryczną kreaturą, która przez szczelinę w czasie wpadła do kanałów. Ale to szaleństwo! Czuł, jak rośnie w nim srebrzysty, piskliwy, obłąkańczy śmieszek, i wiedział, że zginie, jeśli pozwoli mu się wydobyć z gardła. Bestia rozerwała już prawie cały strój ochronny. Dotykała go teraz bezpośrednio, dociskała mocno zimnym i obrzydliwie śliskim językiem, który pulsował, jakoś zmieniał się, dotykając Billy'ego. Billy, łapiąc powietrze, łkając, przypomniał sobie nagle ilustrację ze starego katechizmu. Tak, dokładnie to samo na niej było. Rogi. Czarny, rozdwojony język. Czerwone ślepia. Demon rodem z piekła. A potem pomyślał: nie, nie, to też szaleństwo! A kiedy te myśli przelatowały mu przez głowę, drapieżny stwór rozebrał go i kompletnie rozdarł hełm. W nieprzeniknionej ciemności Billy poczuł ryj przeciskający się do twarzy między połówkami zniszczonego hełmu. Węszyło. Billy poczuł, jak język trzepocze o jego usta i nos. Poczuł niewyraźny, choć obrzydliwy smród, nie przypominający żadnej znanej woni. Bestia

dłubała ryjem przy jego brzuchu i udach. Poczł dziwny, brutalny, przesywający płomień: płomień płynnego kwasu. Billy wił się, wykręcał, kopał, szarpał wszystko na próżno. Usłyszał swój własny krzyk. Krzyk grozy, bólu, kompletnego zamętu: To diabeł! To diabeł! Zrozumiał, że wydzierał się tak i krzyczał rozmaite rzeczy prawie nieprzerwanie, od momentu kiedy został ściągnięty ze szczebli. A teraz, niezdolny już do krzyku, bo płomień bez ognia spopielał mu płuca i kłębił się w gardle, Billy modlił się cichym śpiewnym zawodzeniem, odpędzając strach, śmierć i straszliwe poczucie, które go ogarnęło: poczucie własnej małości i bezbronności: *Zdrowaś Mario, Matko Boża, Mario, wysłuchaj mnie... wysłuchaj, Mario, módl się za mnie... módl, módl się za mnie, Mario, Matko Boża, wstaw się za mnie i...*

Otrzymał odpowiedź na swoje pytanie.

Wiedział już, co spotkało sierżanta Harkera.

Galen Copperfield uwielbiał przyrodę i posiadał szeroką wiedzę o gatunkach zwierząt Ameryki Północnej. Jednym z najbardziej interesujących okazów był dlań pajak podkopnik, zmyślny budowniczy, konstruujący głębokie, okrągłe w przekroju gniazda z zawiasową pokrywą na górze. Pokrywa tak idealnie przylegała do gruntu, że robaki wstępowały na nią, nieświadome niebezpieczeństwa czyhającego poniżej. Pajak natychmiast ściągał je w dół i pożerał. Nagłość, z którą to następowało była równocześnie przerażająca i fascynująca. W jednej chwili ofiara stała na drzwiach-pułapce, a w następnej przepadała, jakby nigdy nie istniała.

Zniknięcie kaprała Velazqueza było tak nagłe, jakby wszedł na zapadnię nad legowiskiem pajaka podkopnika.

Przepadł.

Ludzie Copperfielda byli zdenerwowani już od czasu zniknięcia Harkera i przestraszeni koszmarnym wyciem, które urwało się, zanim Velazquez został ściągnięty w dół. Kiedy kaprał przepadł, wszyscy rzucili się w głąb ulicy w obawie, że coś wychyli się z włazu.

Copperfield, sięgający po Velazqueza, odskoczył. Potem zamarł, niezdecydowany. To było do niego niepodobne. Nigdy w sytuacji kryzysowej nie zdarzyło mu się zawahać.

Przez wewnętrzną linię komunikacyjną słycać było wrzaski Velazqueza.

Przełamując lód, który zablokował mu stawy, Copperfield podszedł do włazu i spojrział w dół. Latarka leżała na dole. Ale tylko ona. Nic innego. Ani śladu Velazqueza.

Copperfield zawahał się.

Kaprał przestał krzyczeć.

Posłać innych po biedaka?

Nie. To samobójcze zadanie. Pamiętaj Harkera. Zaoszczędź sobie dalszych strat.

Ale, dobry Boże, te krzyki były straszne. Nie tak straszne jak Harkera. Tamte rodził rozzierający ból. Te – śmiertelna groza. Nie były tak głośne, ale dawały się we znaki. Były okropniejsze niż wszystko, co Copperfield usłyszał na polu bitwy.

Wśród konwulsyjnych krzyków padały pojedyncze słowa. Kaprał rozpaczliwie, bełkotliwie usiłował wyjaśnić tym na górze – a może sobie samemu – co widzi.

– ...jaszczur...

– ...owad...

– ...smok...

– ...prehistoryczny...

– ...demon...

I w końcu krzyk pełen bólu fizycznego i zarazem rozpaczy duszy:

– To diabeł! To diabeł!

Potem krzyki stały się równie okropne jak wołania Harkera. Tyle że trwały krócej, dobre i to.

Kiedy zapadła cisza, Copperfield zasunął z powrotem pokrywę włazu. Z powodu kabli metalowa płyta nie przylegała dokładnie, ale zakrywała większą część otworu.

Ustawił dwóch ludzi na chodniku, dziesięć stóp od wejścia do kanału, i kazał strzelać do wszystkiego, co wyjdzie.

Ponieważ broń nie pomogła Harkerowi, Copperfield i kilku innych zabrali się do produkcji koktajli Mołotowa. Wzięli kilkadziesiąt butelek wina od Brookharta, opróżnili je, wysypali na dno mydła w proszku, dopełnili benzyną i szczelnie zapchali szyjki pakułami.

Czy ogień pomoże tam, gdzie zawiodły pociski?

Co zdarzyło się Harkerowi?

Co zdarzyło się Velazquezowi?

Co czeka mnie?

Pierwsze z ruchomych polowych laboratoriów kosztowało ponad trzy miliony dolarów i Departament Obrony nie wyrzucił pieniędzy na darmo.

Laboratorium stanowiło cud technologicznej mikrominiaturyzacji. Po pierwsze jego komputer – działający na bazie trzech mikroprocesorów Intel 432:690000 tranzystorów wciśniętych na dziewięć silikonowych płytek – zajmował przestrzeń nie większą niż dwie walizki, a równocześnie był zdolny do pełnej analizy medycznej. W istocie ten wyrafinowany system był bardziej dopracowany – miał większą zdolność operacyjną i pojemność pamięci niż większość laboratoriów patologii największych uniwersytetów.

W samochodzie mieszkalnym znajdował się bogaty ekwipunek diagnostyczny, w całości zaprojektowany i rozmieszczony z myślą o maksymalnym wykorzystaniu ograniczonej przestrzeni. Oprócz dwóch końcówek komputera przy ścianie znalazło się wiele urządzeń i maszyn; wirówka do oddzielania głównych komponentów krwi, moczu i innych płynów; spektrofotometr; spektrograf; mikroskop elektronowy z urządzeniem przekazującym odczyt na jeden z ekranów komputera; niewielkie urządzenie liofilizujące krew i próbki tkanek – do magazynowania i do wykorzystania w testach, w których łatwiej było dokonywać drobiazgowego podziału na zmrożonym materiale i wiele, wiele innych urządzeń.

Tuż za kabiną kierowcy znajdował się składany stół do sekcji. Obecnie stół był opuszczony i ciało Gary'ego Wechlasa – mężczyzna, lat trzydzieści siedem, rasa biała – leżało na powierzchni z nierdzewnej stali. Niebieskie spodnie od piżamy rozcięto nożyczkami, zdjęto i odłożono do dalszego badania.

Doktor Seth Goldstein, jeden z trzech najwybitniejszych specjalistów medycyny sądowej Zachodniego Wybrzeża, przygotowywał się do sekcji. Stał po jednej stronie stołu z doktorem Darylem Robertsem.

Generał Copperfield stanął naprzeciwko, patrzył na nich przez martwe ciało.

Goldstein nacisnął guzik na tablicy kontrolnej, osadzonej w ścianie, na prawo. Każde wypowiedziane podczas sekcji słowo zostanie zarejestrowane. Była to zwykła procedura nawet przy rutynowej autopsji. Dokona się również zapisu wizualnego; dwie podwieszane u sufitu kamery nakierowano na trupa. Zaczęły pracować po naciśnięciu guzika.

Goldstein dokładnie obejrzał i opisał ciało; niezwykle wyraz twarzy, całościowe posiniaczenie, dziwny obrzęk. Poszukiwał zwłaszcza ukłuc, otarć, lokalnych kontuzji, ran ciętych, zmian

patologicznych, oparzeń, złamań i innych śladów konkretnych okaleczeń. Nie zdołał nic znaleźć.

Goldstein wyciągnął rękę w rękawiczce nad tackę z narzędziami, zawahał się, nie do końca pewny, od czego zacząć. Zwykle już na początku autopsji miał bardzo jasny obraz przyczyny śmierci. Ale w tym wypadku wygląd ciała niczego nie wyjaśniał, nasuwał raczej pytania; dziwne pytania, niepodobne do tych, przed którymi doktor stawał do tej pory.

Jakby wyczuwając myśli Goldsteina, Copperfield powiedział:

– Musi pan znaleźć przyczynę, doktorze. Prawdopodobnie od tego zależy nasze życie.

Drugi samochód mieszkalny miał wiele tych samych urządzeń diagnostycznych i instrumentów co pierwszy – centryfugę, mikroskop elektronowy, i tak dalej – ale i kilka elementów ekwipunku nie występujących w pierwszym. Nie było tu stołu do sekcji, miał jedną kamerę wideo. Zamiast dwóch końcówek komputera miał trzy.

Doktor Enrico Valdez siedział przy klawiaturze w wielkim fotelu zaprojektowanym dla osób w strojach ochronnych z pojemnikami na sprężone powietrze. Razem z Houkiem i Nivenem pracowali nad analizą chemiczną próbek różnych substancji zebranych z siedzib kilku firm i z mieszkań przy Skyline Road i Vail Lane – takich jak mąka i ciasto ze stołu Cukierni Libermannów. Szukali osadu gazu psychotoksycznego lub innej chemicznej substancji. Jak dotąd, nie znaleźli nic wykraczającego poza normę.

Doktor Valdez nie wierzył, że winowajcą w tym wypadku jest gaz lub choroba.

Zaczął się zastanawiać, czy cała ta sprawa nie zahacza o terytorium Isleya i Arkhama. Ci dwaj mężczyźni bez nazwisk na strojach ochronnych nie byli nawet członkami Cywilnego Oddziału Obrony. Należeli do całkiem innego programu. Kiedy dzisiaj przed świtem przedstawiono mu ich w punkcie zbiornym oddziału w Sacramento i powiedziano, jaki rodzaj badań prowadzą, o mało nie parsknął śmiechem. Pomyślał, że ich program to wyrzucanie w błoto pieniędzy podatników. Teraz nie był tego pewny. Teraz zastanawiał się...

Zastanawiał się... i martwił.

Doktor Sara Yamaguchi także pracowała w drugim samochodzie mieszkalnym.

Przygotowywała kultury bakteryjne. Korzystając z próbek krwi pobranych z ciała Gary'ego Wechlasa, metodycznie zakażała galaretowate mikstury, na których zwykle kwitły bakterie: agar z krwinkami końskimi, owczymi, simpleks, agar czekoladowy i wiele innych.

Sara Yamaguchi była genetyczką, spędziła jedenaście lat na badaniach krzyżówek DNA. Jeśli miałyby się okazać, że Snowfield zaatakował stworzony przez człowieka mikroorganizm, praca Sary będzie miała kluczowe znaczenie dla sprawy. Sara poprowadzi badania nad morfologią mikroba, a po zakończeniu badań odegra główną rolę przy ustaleniu sposobu oddziaływania.

Tak samo jak doktor Valdez, Sara Yamaguchi zaczęła się zastanawiać, czy Isley i Arkham nie okażą się bardziej pomocni, niż sądziła. Rankiem zasięg ich zainteresowań wydawał jej się równie egzotyczny jak woodoo. Ale teraz, w świetle tego, co nastąpiło od przyjazdu oddziału do Snowfield, musiała przyznać, że wiedza Isleya i Arkhama może być bardzo istotna dla sprawy.

I tak samo jak doktor Valdez, martwiła się.

Doktor Wilson Bettenby, szef naukowy Cywilnego Oddziału Obrony CBW Wybrzeże Zachodnie, siedział przy końcówce komputera o dwa stanowiska od Valdeza.

Bettenby realizował program analizy automatycznej kilku próbek wody. Próbki zostały wlane do procesora, który destylował wodę, gromadził osad i poddawał go analizie spektrograficznej i innym testom. Bettenby nie szukał mikroorganizmów; to wymagałoby innych procedur. Maszyna tylko

identyfikowała i określała ilościowo wszystkie elementy mineralne i chemiczne obecne w wodzie. Dane ukazywały się na monitorze.

Wszystkie próbki poza jedną pobrano z kranów kuchni i łazienek domów i firm przy Vail Lane. Okazały się wolne od groźnych dla zdrowia środków chemicznych.

Jedna próbka została pobrana przez zastępcę Autry'ego z podłogi kuchni mieszkania na Vail Lane zeszłej nocy. Według szeryfa Hammonda, kałuże wody i nasiąknięte nią dywany odkryto w kilku budynkach. Do rana jednak woda przeważnie wyschła, a z kilku mokrych jeszcze dywanów Bettenby nie zdołał zebrać czystych próbek. Wlał próbkę zastępcy do procesora.

Po kilku minutach komputer wyświetlił całościową analizę chemiczno-mineralną wody i osadu, który pozostał po wydestylowaniu całości płynu.

Komputer pracował z drobiazgową dokładnością, wyświetlając rezultaty poszukiwań każdej substancji, której zwykle należałoby się spodziewać. Wyniki pozostały takie same. W oryginalnym stanie woda nie zawierała absolutnie żadnych elementów poza swymi dwoma składnikami: wodorem i tlenem. A kompletna destylacja i filtracja nie wyłoniły żadnego osadu, nawet w postaci śladowej. Próbka Autry'ego nie mogła pochodzić z wodociągów miejskich, gdyż nie była ani chlorowana, ani fluoryzowana. Nie była to też woda mineralna. Ta woda miałaby swoisty skład. Być może kran kuchenny miał system filtracyjny – moduł Culligana – ale nawet wtedy woda zawierałaby jakieś minerały. Autry zebrał najczystsza, laboratoryjnie destylowaną i wielokrotnie filtrowaną wodę.

Ale... skąd się wzięła rozlana na kuchennej podłodze?

Bettenby wpatrywał się w ekran. Pogрузzył się w myślach.

Czy małe jezioro w sklepie Brookharta również składało się z tej superczystej wody?

Po co ktoś miałby chodzić po mieście i rozlewać galony destylowanej wody?

A zresztą, skąd wzięłyby jej tyle? Dziwne.

Jenny, Bryce i Lisa siedzieli za stołem w kącie sali restauracyjnej Zajazdu Na Wzgórzu.

Major Isley i kapitan Arkham zasiedli na dwóch stołkach po drugiej stronie. Przynieśli wieści o kapralu Velazquezie. Przynieśli również magnetofon, leżący teraz na środku stołu.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego nie można z tym zaczekać – mówił Bryce.

– Nie zajmujemy dużo czasu – odrzekł major Isley.

– Zespół przeszukiwaczy jest gotowy do wyjścia – powiedział szeryf. – Musimy przeczesać każdy budynek w mieście, policzyć straty, zorientować się, ilu nie żyje, ilu zaginęło. Będziemy szukać jakichś poszlak, żeby dowiedzieć się, co, do diabła, zabiło tych wszystkich ludzi. Oznacza to, że mamy przed sobą kilka dni pracy, zwłaszcza że nie możemy działać po zachodzie słońca. Nie pozwolę, żeby moi ludzie szperali w nocy, w ciemności, kiedy ta potęga może ich dopaść w każdej sekundzie. Niech mnie szlag trafi, jeśli na to pozwolę.

Jenny pomyślała o zjedzonej twarzy Wargle'a. O pustych oczodołach.

Arkham włączył magnetofon.

Lisa usilnie wpatrywała się w majora i kapitana.

Nad czym ona tak duma, zastanawiała się Jenny.

– Zaczniemy od pana, szeryfie – powiedział major Isley. – Czy na czterdzieści osiem godzin przed tymi wydarzeniami pańskie biuro otrzymało jakieś zgłoszenia o przerwach w dostawie prądu lub zanikach łączności telefonicznej?

– Jeśli pojawiają się takie problemy, ludzie z reguły dzwonią do służb miejskich, nie do szeryfa.

– A czy służby miejskie nie informują pana? Czy nie zdarzają się awarie na liniach elektrycznych i telefonicznych, wywołane działalnością przestępczą?

Bryce skinął głową.

– Oczywiście. I z tego, co wiem, nie otrzymaliśmy podobnych alarmowych wieści.

Kapitan Arkham pochylił się w przód.

– A czy w tym regionie wystąpiły problemy z odbiorem programów telewizyjnych i radiowych?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Żadnych zgłoszeń o nie wyjaśnionych wybuchach?

– Wybuchach?

– Tak – powiedział Isley. – Wybuchy, gromy dźwiękowe albo inne niezwykle głośne i niewiadomego pochodzenia hałasy.

– Nie. Nic z tych rzeczy.

Jenny zastanawiała się. O cóż im, do diabła, chodzi?

– Żadnych zgłoszeń o niezwykłych samolotach latających w pobliżu? – spytał Isley po chwili wahania.

– Nie.

– Wy, ludzie, nie należycie do zespołu generała Copperfielda, co? – spytała Lisa. – Dlatego nie macie nazwisk na hełmach.

– I wasze stroje ochronne nie są tak dopasowane jak u innych – dodał Bryce. – Ich są szyte na miarę. Wasze są zdjęte z wieszaka.

– Bardzo trafne spostrzeżenie – powiedział Isley.

– Jeśli nie należycie do programu CBW – spytała Jenny – to co tu robicie?

– Nie chcieliśmy podnosić tego na wstępie – tłumaczył się Isley. – Sądziliśmy, że będziecie odpowiadać bardziej swobodnie, jeśli nie będziecie wiedzieć, za czym się rozglądamy.

– Nie jesteśmy z Korpusu Medycznego Armii – ciągnął Arkham. – Jesteśmy z Sił Powietrznych.

– Program Obserwator Nieba – dokończył Isley. – Może nie jesteśmy tajną organizacją... ale... no cóż... powiedzmy, że unikamy rozgłosu.

– Obserwator Nieba? – rozpromieniła się Lisa. – Mówicie o UFO? O to chodzi? Latające spodki?

Jenny zauważyła, że Isley skrzywił się na „latające spodki”.

– Nie biegamy do każdego ćpuna, alarmującego o zjawieniu się małych zielonych ludzików z Marsa – mówił Isley. – Przede wszystkim, nie mamy na to funduszy. Naszym zajęciem jest rozpatrywanie naukowych, społecznych i wojskowych aspektów pierwszego spotkania gatunku ludzkiego z obcą inteligencją. Jesteśmy przede wszystkim trudem mózgów.

Bryce potrząsnął głową.

– Nikt tu nie doniósł o latających spodkach.

– Ależ o to właśnie chodzi majorowi Isleyowi – tłumaczył Arkham. – Zrozumcie, nasze badania wskazują, że pierwsze spotkanie może zacząć się w tak dziwny sposób, iż nawet się go nie zauważy. Popularne wyobrażenie statku powietrznego, zjeżdżającego z nieba, może być... cóż... całkiem mylne. Może się zdarzyć, że rzeczywiście natrafimy na prawdziwie obcą inteligencję, ale rakiety mogą nie przystawać do naszych wyobrażeń. I nawet nie zauważymy, że wylądowali. Dlatego sprawdzamy dziwne zjawiska, które na pierwszy rzut oka nie wydają się związane z UFO – ciągnął dalej. – Na przykład tego lata w Vermont znalazł się dom, w którym rozrabiał szczególnie niespokojny, złośliwy duch. Meble się unosiły. Talerze fruwały po kuchni i rozbijały o ściany. Strumienie wody lały się ze ścian, z miejsc,

w których nie było rur. Kule ognia wybuchały w powietrzu...

– Duch – powiedział Bryce. – Co duchy mają wspólnego z waszymi zainteresowaniami?

– Nic – odpowiedział Isley. – Nie wierzymy w duchy. Ale zastanawiamy się, czy takie fenomeny nie wynikają z zakłóceń w komunikacji między cywilizacjami. Może to obcy gatunek, komunikujący się tylko telepatycznie, może energia psychiczna, której nie jesteśmy w stanie odebrać, wywołuje niszczycielskie zjawiska, zwykle przypisywane złośliwym duchom.

– I co w końcu zdecydowaliście na temat tego złośliwego ducha w Vermont? – spytała Jenny.

– Zdecydowaliśmy? Nic – stwierdził Isley.

– Tylko że było to... interesujące – dodał Arkham.

Jenny spojrzała na Lisę i zobaczyła, że oczy dziewczyny są bardzo szeroko otwarte. Oto coś, co Lisa była w stanie pojąć, zaakceptować i uznać na trwałe. Oto strach, na który była dokładnie przygotowana dzięki filmom, książkom i telewizji. Potwory z przestrzeni kosmicznej. Najeźdźcy z innych światów. Zabójstwa w Snowfield nie stawały się dzięki temu mniej okropne. Ale było to zagrożenie znane i stąd dużo łatwiej można było na nie przystać niż na nieznaną. Jenny miała poważne wątpliwości, czy tu miało miejsce pierwsze spotkanie gatunku ludzkiego z istotami z gwiazd, ale Lisa gotowa była w to uwierzyć.

– A co ze Snowfield? – spytała. – O co tu chodzi? Czy tu wylądowało coś... stamtąd?

Arkham spojrzał zmieszany na majora Isleya.

Isley chrząknął. Dźwięk przetworzony przez kwadratowe pudełko zabrzmiał jak zgrzyt nie naoliwionego mechanizmu.

– Jest o wiele za wcześnie na wydawanie sądów. Wierzymy, iż pierwsze spotkanie między ludźmi a obcymi może w jakimś nikłym stopniu grozić biologicznym skażeniem. Dlatego mamy porozumienie o wymianie informacji z programem Copperfielda. Niewytłumaczalny wybuch nieznaną chorobą może wskazywać na nie rozpoznany kontakt z pozaziemską rasą.

– Ale jeśli mamy do czynienia z pozaziemskim stworem – Bryce nie krył niewiary – cholerny z niego dzikus jak na „wysoką” inteligencję.

– Pomyślałam to samo – powiedziała Jenny.

Isley uniósł brwi.

– Nie ma gwarancji, że istota o większej inteligencji okaże się pacyfistyczna i miłosierna.

– Uhm – mruknął Arkham. – To powszechny błąd: przyjęcie za pewnik, że obcy nauczyli się żyć w całkowitej harmonii ze sobą i innymi gatunkami. Jak to jest w tej starej piosence...: „wcale tak nie musi być”. Przecież ludzkość zaszła dużo dalej na drodze ewolucji niż goryle, ale nasz gatunek jest z pewnością bardziej wojowniczy niż te zwierzęta w stanie największej agresywności.

– Może któregoś dnia spotkamy życzliwy gatunek obcych, którzy nauczą nas żyć w pokoju – powiedział Isley. – Może подарują nam wiedzę i technologię, dzięki którym rozwiążemy wszystkie nasze ziemskie problemy i nawet sięgniemy do gwiazd. Może.

– Ale alternatywy wykluczyć się nie da – ponuro zakończył Arkham.

Jedenasta godzina w poniedziałek w Snowfield oznaczała godzinę siódmą w poniedziałek w Londynie.

Żałosny mokry dzień ustąpił żalosnej mokrej nocy. Krople deszczu bębniły o okno w maleńkiej kuchni dwupokojowego mansardowego mieszkania Timothy'ego Flyte'a.

Profesor stał nad deseczką do krajania, robił kanapkę.

Zakosztowawszy świetnego, szampańskiego śniadania na koszt Burta Sandlera, nie miał ochoty na lunch. Darował sobie również popołudniową herbatę.

Miał dzisiaj dwie lekcje. Jednemu uczniowi dawał korepetycje z czytania hieroglifów, drugiemu z łaciny. Z brzuchem pełnym śniadania zasnął na chwilkę podczas obu lekcji. Żenujące. Ale płacili tak marnie, że nie powinni chyba zbyt narzekać; to było wyjątkowe.

Właśnie kładł cieniutki platek gotowanej szynki i plasterek szwajcarskiego sera na posmarowany musztardą chleb, gdy usłyszał dzwonek telefonu w hallu frontowym na dole. Profesor nie spodziewał się rozmowy. Rzadko miewał telefony.

Ale w kilka sekund później rozległo się pukanie do drzwi. Pukał hinduski młodzian, wynajmujący pokój na parterze. Łamaną angielszczyzną oznajmił Timothy'emu, że ma telefon. Pilny.

– Pilny? Od kogo? – dopytywał się Timothy, podążając schodami za młodym człowiekiem. – Przedstawił się?

– Sand... lir – zakomunikował Hindus. Sandler? Burt Sandler?

Po śniadaniu ustalili warunki nowego wydania *Odwiecznego wroga*, wersji mającej szansę dotrzeć do przeciętnego czytelnika. Po pierwszym wydaniu, niemal siedemnaście lat temu, Flyte otrzymał kilka ofert spopularyzowania swych teorii o zbiorowych zaginięciach, ale odrzucił je. Czuł wtedy, że ułatwiłby zadanie wszystkim tym, którzy tak nieuczciwie oskarżali go o oszustwo, chęć zbiccia kabzy i schlebianie prymitywnym gustom. Jednakże lata niedostatku sprawiły, że teraz chętniej nadstawił ucha na ten pomysł. Zjawienie się Sandlera i propozycja kontraktu przyszły na czas: coraz większy niedostatek osiągnął krytyczną fazę. Zdarzył się prawdziwy cud. Tego ranka ustalili zaliczkę (potrąconą z tantiem) na piętnaście tysięcy dolarów. Przy obecnym kursie przekraczało to nieco osiem tysięcy funtów. Nie była to fortuna, ale więcej, niż Timothy widział od bardzo, bardzo dawna; w tej chwili wydawała mu się nieprzebranym bogactwem.

Dotarł do stóp wąskich schodów, do małego stoliczka, na którym pod tanią reprodukcją złego obrazu stał telefon. Uczony zastanawiał się, czy Sandler nie dzwoni, aby zerwać umowę.

Serce zaczęło mu bić tak mocno, że niemal odczuwał ból.

Młody hinduski dżentelmen powiedział:

– Ja nadzieja nie jest kłopot, sir.

Wrócił do swego pokoju i zamknął drzwi. Flyte podniósł słuchawkę.

– Halo?

– Dobry Boże, czytał pan wieczorną gazetę?! – zapytał Sandler. Głos miał piskliwy, prawie histeryczny.

Timothy zaczął podejrzewać, że Sandler golnął sobie nieźle. I to mają być pilne sprawy handlowe?

Zanim zdążył odpowiedzieć, Sandler rzekł:

– Chyba się stało! Na Boga, doktorze Flyte, chyba to się właśnie stało! Jest w wieczornej gazecie.

I w radiu. Na razie niewiele szczegółów. Ale wygląda na to, że stało się!

Uczucie niepokoju o kontrakt zmieszało się teraz z rozdrażnieniem.

– Zechciałby pan być nieco bardziej konkretny, panie Sandler?

– Odwieczny wróg, doktorze Flyte. Jeden z tych stworów znów zaatakował. Właśnie wczoraj. W jakimś miasteczku w Kalifornii. Jest kilka trupów. Większość zaginęła. Setki. Całe miasteczko. Przepadło.

– Niech Bóg ma ich w swojej opiece – powiedział Flyte.

– Mam przyjaciela w londyńskim biurze *Associated Press* i czytał mi ostatnie doniesienia agencji telegraficznych – ciągnął Sandler. – Znane mi są sprawy, o których jeszcze nie pisało się w gazetach. Przede wszystkim – policja kalifornijska wysłała za panem APB. Wydaje się, że jedna z ofiar czytała pańską książkę. Kiedy nastąpił atak, ten człowiek zamknął się w łazience. Stwór wykończył go i tak. Ale on miał dość czasu, żeby na lustrze napisać pańskie nazwisko i tytuł książki!

Timothy zaniemówił. Obok stolika stało krzesło. Nagle okazało się potrzebne.

– Władze w Kalifornii nie wiedzą, co się stało. Nawet nie mają pojęcia, że *Odwieczny wróg* to tytuł książki, i nie wiedzą nic o panu. Myślą, że to atak gazowy, uderzenie bronią biologiczną albo nawet kontakt z cywilizacją pozaziemską. Ale człowiek, który napisał pańskie nazwisko na lustrze, był lepiej zorientowany. I my też. Resztę powiem panu w samochodzie.

– W samochodzie?

– Mój Boże, mam nadzieję, że ma pan paszport?

– Uhm... tak.

– Przyjeżdżam zabrać pana na lotnisko. Chcę, żeby poleciał pan do Kalifornii, doktorze Flyte.

– Ale...

– Dziś wieczór. Jest wolne miejsce w rejsie z Heathrow. Zrobiłem rezerwację na pańskie nazwisko.

– Ale mnie nie stać...

– Pański wydawca pokrywa wszystkie koszty. Niech się pan nie martwi. Musi pan jechać do Snowfield. Nie będzie pan pisał popularnej wersji *Odwiecznego wroga*. Już nie. Teraz weźmie się pan za napisanie przystępnej, wzruszającej historii o Snowfield i cały pański materiał historyczny o zbiorowych zaginięciach i pańska teoria odwiecznego wroga posłużą do wsparcia narracji. Kojarzy pan? Czy to nie wspaniałe?

– Ale czy to właściwe ładować się tam teraz?

– O co panu chodzi?

– Czy to wypada? – pytał z niepokojem Timothy. – Czy to nie będzie wyglądało na chęć dorobienia się na strasznej tragedii?

– Niech pan posłucha, doktorze Flyte. Do Snowfield lada chwila zwałą się setki naciągaczy, każdy z umową na książkę w kieszeni. Rozedrą na strzępy pański materiał. Jeśli pan nie napisze odpowiedzialnej książki na ten temat, zrobi to jeden z nich. Pańskim kosztem.

– Setki umarło – powiedział Timothy. Czuł się obolały. – Setki. Ból, tragedia..

Sandler był wyraźnie zniecierpliwiony.

– Cóż... dobra, dobra. Może ma pan rację. Może nie przemyślałem sobie spokojnie tego koszmaru. Ale czy pan nie pojmuje, dlaczego właśnie pan musi powiedzieć na ten temat decydujące słowo, pisząc swoją książkę? Nikt nie dorównuje panu erudycją ani zrozumieniem sprawy.

– Cóż...

Korzystając z wahania w głosie Timothy'ego, Sandler powiedział:

– Dobrze. Pakuj pan szybko walizkę. Jestem za pół godziny.

Sandler wyłączył się, a Timothy siedział chwilę ze słuchawką przy uchu, wsłuchany w buczenie sygnału, osłupiały.

Deszcz zacinął srebrnymi strugami. W światłach taksówki wyglądały jak delikatne warkocze błyszczących włosów anielskich. Na jezdni połyskiwały rtęciowe kałuże.

Taksiarz prowadził po wariacku. Wóz śmigał śliskimi ulicami. Timothy jedną ręką złapał się za uchwyt przy drzwiach. Najwidoczniej Burt Sandler obiecał spory napiwek za pośpiech.

– W Nowym Jorku będzie przerwa, ale niezbyt długa – tokował teraz, siedząc obok profesora. – Nasi ludzie odbiorą pana i zaopiekują się panem. Nie będziemy stawiać na nogi mass mediów w Nowym Jorku. Konferencję prasową zachowujemy na San Francisco. Więc niech pan będzie przygotowany na armię natrętnych reporterów po zejściu z samolotu na Zachodnim Wybrzeżu.

– Czy nie mógłbym zwyczajnie cichcem dojechać do Santa Mira i tam pokazać się władzom? – spytał z rozpaczą Timothy.

– Nie, nie, nie! – Sandler był wyraźnie wstrząśnięty tym pomysłem. – Musi pan mieć konferencję prasową. Jest pan jedyną osobą, która zna odpowiedź, doktorze Flyte. Wszyscy muszą się dowiedzieć, że to pan. Musimy zacząć walić w bęben, zanim Norman Mailer odłoży swoje najświeższe studium o Marilyn Monroe i wskoczy w tę sprawę obiema nogami!

– Jeszcze nawet nie zacząłem pisać tej książki.

– Boże, wiem. A zanim ją wydamy, zapotrzebowanie będzie fenomenalne!

Taksówka ścięła róg. Zazgrzytały opony. Timothy poleciał na drzwi.

– Wydawca spotka się z panem w samolocie w San Francisco. Przepchnie pana przez konferencję prasową – powiedział Sandler. – Tak czy inaczej dostarczy pana do Santa Mira. To naprawdę długa droga, więc może załatwią panu helikopter.

– Helikopter? – spytał zdumiony Timothy.

Taksówka przemknęła przez głęboką kałużę, rozpościerając pióropusze srebrzystej wody.

Lotnisko było w zasięgu wzroku.

Od kiedy Timothy wsiadł do taksówki, Burt Sandler mówił non stop.

– Jeszcze jedno – powiedział teraz. – Na konferencji niech pan im powie o rzeczach, o których wspominał mi pan dzisiaj. O zniknięciach Majów. I trzech tysiącach piechoty chińskiej, która wyparowała. I niech pan nie pominie żadnej możliwej wzmianki o zbiorowych zaginięciach, które miały miejsca na terenie USA – nawet zanim jeszcze to państwo powstało, nawet w poprzednich epokach geologicznych. To wzbudzi oddźwięk amerykańskiej prasy. Związek z lokalnymi wydarzeniami. To zawsze pomaga. Czy pierwsza brytyjska kolonia w Ameryce nie zniknęła bez śladu?

– Tak. Kolonia z Roanoke Island.

– Niech pan o niej nie zapomni.

– Ale nie mogę zaręczyć, że zniknięcie kolonii w Roanoke ma związek z odwiecznym wrogiem.

– Czy istnieje jakaś możliwość, że tak było?

Jak zawsze zafascynowany swym tematem, Timothy zdołał wreszcie oderwać uwagę od samobójczych manewrów taksówkarza.

– Kiedy ekspedycja brytyjska zorganizowana przez sir Waltera Raleigha powróciła do kolonii Roanoke w marcu 1590 roku, okazało się, że wszyscy koloniści przepadli. Stu dwudziestu ludzi znikło bez śladu. Wysunięto na ten temat niezliczone teorie. Według najpopularniejszej społeczność Roanoke Island padła ofiarą Croatoanów, Indian, żyjących nie opodal. Jedyną informacją pozostawioną przez

kolonistów była nazwa tego szczepu w pośpiechu wyrżnięta na korze drzewa. Ale Croatoanie utrzymywali, że nic nie wiedzą o kolonistach. I byli pokojowymi, nie wojowniczymi Indianami. W istocie, na początku pomogli kolonistom przy osiedleniu. Co więcej, w osadzie nie było śladów gwałtu. Nie znaleziono ciał. Kości. Grobów. A więc widzi pan, że nawet najpowszechniej akceptowana teoria stawia więcej pytań, niż udziela odpowiedzi.

Taksówka wzięła kolejny zakręt i przyhamowała gwałtownie, unikając kolizji z ciężarówką.

Ale teraz Timothy prawie nie reagował na szaleńczą jazdę kierowcy. Mówił dalej:

– Ołśniło mnie, że słowo, które koloniści wyryli na drzewie – „Croatoanie” – nie musiało być oskarżeniem. Mogło wskazywać na Croatoanów jako na tych, którzy wiedzą, co się stało. Przeczytałem dzienniki kilku brytyjskich podróżników, którzy później rozmawiali z Indianami o zniknięciu kolonii, i są dowody, że Croatoanie w istocie posiadali pewną wiedzę na temat ówczesnych wydarzeń. Albo uważali, że posiadają. Ale biali ludzie nie wzięli na serio ich wyjaśnień. Croatoanie twierdzili, że równocześnie ze zniknięciem kolonistów bardzo nagle ubyło dzikiej zwierzyny w lasach i na polach, na terenach łowieckich szczepu. Nastąpił gwałtowny spadek pogłowia dosłownie wszystkich gatunków dzikich zwierząt. Kilku podróżników z bardziej otwartymi głowami zanotowało, że Indianie mówili na ten temat z zabobonnym lękiem, jakby sprawę traktowali w kategoriach wierzeń, religii. Ale na nieszczęście biali ludzie, którzy rozmawiali z nimi o zagubionych kolonistach, nie interesowali się indiańskimi zabobonami i nie poszli tym tropem.

– Domyślam się, iż badał pan wierzenia Croatoanów – powiedział Burt Sandler.

– Tak. Nie jest to łatwy temat, gdyż plemię zostało wytępione przed wielu, wielu laty. Dowiedziałem się, że Croatoanie byli spirytualistami. Wierzyli, że duch żyje i chodzi po ziemi nawet po śmierci ciała i wierzyli, iż istnieją „większe duchy”, objawiające się poprzez żywioły – wiatr, ziemię, ogień, wodę, i tak dalej. Co najważniejsze – dla nas – wierzyli też w złego ducha, źródło wszelkiego zła, odpowiadającego Szatanowi w wierze chrześcijańskiej. Zapomniałem dokładnego indiańskiego słowa, ale z grubsza tłumaczy się ono: Ten Kto Może Być Wszystkim Choć Jest Niczym.

– Mój Boże – powiedział Sandler. – To niezłe określenie odwiecznego wroga.

– Czasem w zabobonach tkwi ukryta prawda. Croatoanie wierzyli, że zarówno dzikie zwierzęta jak i koloniści zostali porwani przez Tego Kto Może Być Wszystkim Choć Jest Niczym. Więc... choć nie jestem w stanie jednoznacznie zawyrokować, czy odwieczny wróg miał coś do czynienia ze zniknięciem kolonistów z Roanoke Island, uważam, iż można wziąć to pod uwagę.

– Fantastyczne! – wykrzyknął Sandler. – Niech pan to opowie ze szczegółami na konferencji prasowej w San Francisco.

Taksówka zatrzymała się z piskiem kół przed halą dworca lotniczego.

Burt Sandler wręczył kilka pięćofuntowych banknotów taksiarzowi. Spojrzał na zegarek.

– Doktorze Flyte, ładujemy pana do samolotu.

Ze swego fotela przy oknie Timothy Flyte obserwował, jak światła miasta nikną pod burzowymi chmurami. Odrzutowiec pruł w górę przez deszcz. Wkrótce wzniesli się ponad chmury, burza była pod nimi, czyste niebo nad nimi. Promienie księżyca odbijały się od zwichrowanych grzbietów chmur, a noc wokół samolotu przepełniło łagodne, nieziemskie światło.

Napis nakazujący zapięcie pasów zgasł.

Flyte odpiął pasy, ale nie mógł się rozluźnić. Jego myśli były równie rozwichrzone jak burzowe chmury.

Przeszła stewardesa, pytając, co podać. Poprosił o szkocką.

Czuł się jak nakręcona sprężyna. W ciągu jednego wieczoru całe jego życie uległo zmianie. Jeden dzień dostarczył mu więcej wrażeń niż cały ostatni rok.

Stan napięcia nie był niemiły. Flyte był co najmniej zadowolony, że zostawia za sobą przygnębiający żywot; wkraczał w nowe, lepsze życie tak szybko, jakby wkładał nowy garnitur. Prezentując publicznie swoje teorie znów narazi się na śmiech i wszystkie stare, znane oskarżenia. Ale pojawiła się również szansa, że w końcu udowodni swą rację.

Wypił podaną szkocką. Zamówił następną. Powoli nadchodziło odprężenie.

Wokół samolotu rozpościerała się niezgłębiona noc.

UCIECZKA

Z zakratowanego okna celi dla zatrzymanych tymczasowo Fletcher Kale miał dobry widok na ulicę. Całe przedpołudnie obserwował ściągających dziennikarzy. Tam działo się coś dużego.

Niektórzy współwięźniowie przekazywali wieści z celi do celi, ale żaden z nich nie przekazał niczego Kale'owi.

Nie cierpieli go, często mu urągali, wymyślając od dzieciobójców. Klasy społeczne istnieją nawet w więzieniu i nikt nie stał niżej na tej drabinie niż zabójca dzieci.

To było prawie śmieszne. Nawet złodzieje samochodów, włamywacze, zatrzymani za rozbój i defraudanci czuli potrzebę moralnej wyższości. Więc lżyli i prześladowali każdego, kto skrzywdził dziecko i dzięki temu czuli się wywyższeni jak księża i biskupi.

Durnie. Kale czuł do nich pogardę.

Nie prosił nikogo o podrzucenie informacji. Nie da im tej satysfakcji. A nuż go oleją?

Wyciągnął się na pryczy i z otwartymi oczami marzył o swym wspaniałym przeznaczeniu: sława, władza, bogactwo...

Leżał jeszcze, kiedy o jedenastej trzydzieści przyszedli zabrać go do sądu, żeby postawić w stan oskarżenia pod zarzutem podwójnego morderstwa. Strażnik otworzył drzwi. Drugi mężczyzna – siwy, brzuchaty policjant – wszedł i skuł więźnia.

– Brakuje nam dziś ludzi – powiedział do Kale'a. – Tylko mnie przydzielono do ciebie. Ale nich ci nie strzeli do głowy jakaś kretyńska myśl o ucieczce. Jesteś zaobrączkowany, ja mam broń i nic nie sprawi mi większej przyjemności, niż odstrzelić ci dupę.

Zarówno w oczach strażnika jak i zastępcy widniała odraza.

W końcu Kale pojął, że istnieje realna groźba, iż spędzi resztę życia w więzieniu. Ku własnemu zdumieniu zapłakał, kiedy wyprowadzano go z celi.

Więźniowie gwizdali, wyśmiewali go, obsypywali wyzwiskami.

Brzuchaty mężczyzna szturchnął Kale'a w żebra.

– No, ruszajże się.

Kale pokuśtykał korytarzem na uginających się nogach. Odsunięto przed nim kratę. Wyszli z części więziennej. Strażnik trzymał się z tyłu, ale zastępca popychał Kale'a w kierunku wind, poszturchiwał zbyt często i zbyt mocno nawet wtedy, gdy nie było to konieczne. W Kale'u litość nad samym sobą ustępowała z wolna miejsca gniewowi.

W małej, powoli zjeżdżającej windzie uświadomił sobie, że zastępca przestał dostrzegać w nim zagrożenie. Był pełen obrzydzenia; zniecierpliwiony i zażenowany rozsypką więźnia.

Nim otwarły się drzwi, zmiana zaszła również w Kale'u. Nadal chlipał cicho, ale łzy nie były już autentyczne i trząśł się raczej z podniecenia niż z rozpacz.

Minęli następną wartę. Zastępca przedstawił plik dokumentów strażnikowi, który mówił do niego Joe. Strażnik spoglądał na Kale'a z nie ukrywanym obrzydzeniem. Kale odwracał oczy, jakby wstydził się samego siebie. I nie przestawał płakać.

Wraz z Joem znaleźli się na dworze. Przecinali teraz wielki parking. Szli wzdłuż biało-zielonych policyjnych wozów patrolowych, ustawionych przed ogrodzeniem z grubej siatki, zwieńczonej drutem kolczastym. Dzień był słoneczny, ciepły.

Kale dalej płakał i udawał, że nogi ma jak z waty. Garbił ramiona i trzymał nisko głowę. Ciągnął za

sobą apatycznie nogi jak człowiek załamany, pogrążony.

Poza nim i zastępcą na parkingu nie było nikogo. Tylko ich dwójka. Idealnie.

Przez całą drogę do samochodu Kale czyhał na moment właściwy do ataku. Przez chwilę myślał, że nigdy się nie nadarzy.

Joe pchnął go na samochód, zrobił półobrót do drzwi – i Kale zaatakował. Rzucił się na niego, kiedy mężczyzna pochylił się wkładając kluczyk do stacyjki. Zastępca stęknął i zamachnął się pięścią. Za późno. Kale zrobił unik, doskoczył szybko i całą siłą grzmotnął nim o samochód, przyszpilił do wozu. Twarz Joego zbieleła, rączka od drzwi wbiła mu się mocno w krzyże. Kluczyki wyleciały z ręki, ale w tym samym momencie sięgnął po rewolwer do kabury.

Kale wiedział, że skutymi rękoma nie wydrze mu broni. Jeśli rewolwer zostanie wyciągnięty, będzie po walce.

Więc rzucił mu się do gardła. Zębami. Ugryzł głęboko, poczuł buchającą krew, ugryzł znowu, wepchnął usta w ranę, jak atakujący pies, i ugryzł jeszcze raz. Joe krzyknął, ale był to tylko skowyt-rzęzenie-westchnienie, którego nikt nie mógł usłyszeć. Broń wypadła ze spazmatycznie drgającej ręki na kaburze i obaj upadli ciężko – Kale na górze – i Joe próbował znowu krzyknąć, więc Kale wbił mu kolano w krocze, a krew poleciała wieloma bluzgnięciami z gardła rannego.

– Skurwysynu – powiedział Kale.

Twarz zastępcy zmartwiała. Krew przestała tryskać z rany. Było po wszystkim.

Kale nigdy nie czuł się tak potężny, tak pełen życia.

Rozejrzał się po parkingu. Nikogo w pobliżu.

Podpełzł do kółka z kluczykami, sprawdził jeden po drugim, znalazł klucz od kajdanek. Rozpiął je, wyrzucił pod wóz patrolowy.

Wtoczył pod wóz trupa, usunął z widoku.

Otarł twarz rękawem. Koszulę miał w plamach i smugach krwi. Nic na to nie mógł poradzić. Ani na fakt, że miał na sobie obwisły, niebieski więzienny strój z szorstkiej wełny i parę płóciennych butów na gumie.

Czując się jak na widelcu, pobiegł wzdłuż siatki, minął otwartą bramę. Przeszedł na drugą stronę tylnej uliczki i znalazł się na innym parkingu, za dużym zespołem jednopiętrowych domów mieszkalnych. Spojrzał w okna z nadzieją, że nikt nie patrzy.

Na parkingu stało ze dwadzieścia samochodów. Żółty datsun miał kluczyki w stacyjce. Kale usiadł za kierownicą, zamknął drzwi i odetchnął z ulgą. Przestał rzucać się w oczy i dysponował środkiem transportu.

Pudełko chusteczek higienicznych stało na desce rozdzielczej. Poślinił kilka. Oczyszczył twarz, spojrzął na siebie w lusterko i uśmiechnął się szeroko.

Podczas gdy oddział generała Copperfielda dokonywał autopsji i testów w polowych laboratoriach, Bryce Hammond sformował dwa zespoły przeszukiwawcze i zaczął, budynek po budynku, przeglądać miasto. Frank Autry prowadził pierwszą grupę, a major Isley towarzyszył mu jako członek Programu Obserwator Nieba. Kapitan Arkham dołączył do grupy Bryce'a. Kwartał za kwartałem, ulica za ulicą, dwa zespoły nie oddalały się od siebie bardziej niż o budynek, utrzymując kontakt przez walkie-talkie.

Jenny towarzyszyła Bryce'owi. Znała najlepiej stałych mieszkańców Snowfield i najłatwiej identyfikowała ciała. W większości przypadków umiała również podać, kto mieszkał w domu i ilu ludzi liczyła rodzina – informacje potrzebne do skompletowania listy zaginionych.

Nie mogła odmówić uczestniczenia w zespołach przeszukiwawczych, ale martwiła się również, że naraża Lisę na koszmarnie sceny. A równocześnie nie mogła zostawić siostry w Zajeździe Na Wzgórzu. Nie po tym, co się stało z Harkerem. I Velazquezem. Ale dziewczyna radziła sobie dobrze ze stresem i Jenny była z niej coraz bardziej dumna.

Na razie nie znaleźli ciał. Pierwsze domy, do których weszli, były opustoszałe. W kilku stoły zastawiono do niedzielnego obiadu. W innych stały wanny pełne ostygłej wody. Gdzieniedzie pracowały telewizory, ale nikt nie oglądał programu.

W jednej z kuchni znaleźli niedzielny obiad na elektrycznej kuchence. Jedzenie w trzech garnkach gotowało się tak długo, że cała woda z niego wyparowała. Resztki były suche, spalone i nie dało się ich zidentyfikować. Garnki z nierdzewnej stali zniszczone, powleczone niebiesko czarnym nalotem wewnątrz i na zewnątrz. Plastikowe rączki częściowo stopione. Dom wypełniał ostry, kwaśny smród, jakiego Jenny w życiu nie wąchała. Bryce zgasił palniki.

– To cud, że cały dom się nie spalił.

– Gdyby kuchenka była na gaz, tak by się pewnie stało – powiedziała Jenny.

Nad trzema garnkami znajdował się okap z nierdzewnej stali, zaopatrzony w wentylator. Kiedy jedzenie zapaliło się, okap ograniczył krótko buchające płomienie, co zapobiegło przerzuceniu się ognia na pobliskie szafki.

Kiedy wyszli na zewnątrz, każdy (poza majorem Arkhamem, ubranym w strój ochronny) pełną piersią zaczerpnął czystego górskiego powietrza. Potrzebowali kilku minut na oczyszczenie płuc z koszmarnego smrodu, którym oddychali w środku.

W domu obok znaleźli pierwsze tego dnia ciało. Był to John Farley, właściciel Górskiej Tawerny, otwartej tylko w sezonie narciarskim. Liczył pod czterdziestkę. Uderzająco przystojny mężczyzna, z czupryną koloru „sól z pieprzem”, wydatnym nosem i szerokimi ustami, które często rozciągały się w zabójczo pociągającym uśmiechu. Teraz spuchł i pokrył się sińcami, oczy wylazły mu z orbit, ubranie pękało w szwach na spuchniętym ciele.

Siedział przy stoliku pod ścianą w swojej wielkiej kuchni. Na talerzu przed nim znajdowało się ravioli z serem i małe klopsiki. Szklanka z czerwonym winem. Obok talerza leżał otwarty magazyn. Farley siedział wyprostowany na krześle. Jedną ręką spoczywała na kolanie, drugą miał na stole. Ścisnął w niej kawałek chleba. Usta miał rozchylone, kęs chleba między zębami. Zginał żując; mięśnie szczęk na zawsze zostały napięte.

– Dobry Boże – powiedział Tal – nie miał czasu wypluć ani przełknąć. Śmierć musiała nastąpić natychmiast.

– I nie miał pojęcia, że nadchodzi – dodał Bryce. – Spójrz na jego twarz. Nie wyraża grozy, przerażenia czy szoku, jak u innych. Wpatrując się w zaciśnięte szczęki zmarłego, Jenny powiedziała:

– Nie rozumiem jednego. Dlaczego śmierć w ogóle nie spowodowała rozluźnienia szczęk. Niepojęte.

W kościele Naszej Pani Opiekunki Gór słońce przenikało witraże, złożone głównie z niebieskich i zielonych gomółek. Setki nieregularnie wykrojonych plam błękitu królewskiego, błękitu paryskiego, turkus, akwamaryny, szmaragdowej zieleni i wielu innych odcieni spływało po wypolerowanych drewnianych ławkach, układało się w kałuże w nawach, migotało po ścianach.

To jak zanurzenie się pod wodę, pomyślał Gordy Brogan, idąc za Frankiem Autrym dziwną, pięknie oświetloną nawą.

Tuż za kruchłą strumień purpury rozpląwał się na białej marmurowej kropielnicy z wodą święconą. Była to purpura krwi Chrystusowej. Słońce padało na zranione serce Jezusa i rozsiewało krwiste promienie na wodę lśniąca w jasnej marmurowej wazie.

Z całej piątki tylko Gordy Brogan był katolikiem. Zanurzył palce w wodzie święconej, przeżegnał się i ukląkł.

Kościół stał milczący, cichy, nieruchomy.

Powietrze łagodził miły zapach kadzidła.

W ławkach nie było wiernych. Zrazu kościół wydał się bezludny.

Gordy spojrzał uważniej na ołtarz i zabrakło mu tchu w piersiach.

Frank też to zobaczył.

– Och, mój Boże!

Prezbiterium spowijało więcej cieni niż resztę kościoła, toteż ludzie nie dojrzeli od razu ohydny – i świętokradczego – widoku nad ołtarzem. Świece wcześniej spłonęły do końca i zgasły.

Jednakże kiedy ludzie z oddziału poszukiwawczego z wahaniem zbliżali się do ołtarza środkiem nawy, widzieli coraz dokładniej naturalnej wielkości krucyfik na środku tylnej ściany prezbiterium. Drewniany krzyż, a na nim niezwykle dokładnie pomalowaną, gipsową figurę Chrystusa. Święty wizerunek prawie całkiem przesłonięty był innym ciałem. Prawdziwym ciałem, nie gipsowym odlewem. Ksiądz, ubrany w szaty do mszy; przybity gwoździami do krzyża.

Dwaj ministranci klęczeli przed ołtarzem. Byli martwi, sini, spuchnięci.

Ciało księdza szerniało i nosiło ślady rozkładu. Nie było w takim dziwnym stanie jak inne, znalezione do tej pory. W tym przypadku odbarwienie było typowe dla jednodniowego trupa.

Frank Autry, major Isley i dwaj zastępcy minęli bramkę w balaskach i znaleźli się w prezbiterium.

Gordy nie był w stanie im towarzyszyć. Przeżył tak mocny wstrząs, że musiał usiąść w ławce, żeby nie upaść.

Frank rozejrzał się po prezbiterium i zerknął przez otwarte drzwi do zakrystii, przez walkie-talkie porozumiał się z Bryce'em Hammondem, który był w budynku obok.

– Szeryfie, znaleźliśmy trzech w kościele. Potrzebna jest doktor Paige, chodzi o dokładną identyfikację. Ale jest to tak potworne, że lepiej Lisę z kilkoma ludźmi zostawcie w kruchcie.

– Będziemy za dwie minuty – powiedział szeryf.

Frank zszedł z prezbiterium, siadł obok Gordy'ego. W jednej ręce trzymał walkie-talkie, w drugiej rewolwer.

– Jesteś katolikiem.

– No.

– Współczuję ci, że musiałeś to zobaczyć.

– Zaraz przyjdę do siebie – powiedział Gordy. – Tobie wcale nie jest źle, choć nie jesteś katolikiem.
– Znałeś tego księdza?
– Chyba nazywał się Callahan. Ale nie chodziłem do tego kościoła. Moja parafia to Święty Andrzej w Santa Mira.

Frank odłożył walkie-talkie i podrapał się po brodzie.

– Wszystko inne wskazywało, że atak nastąpił wczoraj wieczorem, niedługo przedtem, jak doktorek i Lisa przyjechały do miasta. Ale teraz to... Jeśli ta trójka zmarła przed południem, podczas mszy...

– To się stało chyba w czasie adoracji – stwierdził Gordy. – Nie podczas mszy.

– Adoracji?

– Adoracji Najświętszego Sakramentu. Niedzielny obrzęd wieczorny.

– Aha. W takim razie to pasuje do reszty. – Rozejrzał się po pustych ławkach. – Co się stało z parafianami? Dlaczego jest tu tylko ksiądz i ministranci?

– Cóż, ludzie nie wałą drzwiami i oknami na adorację – powiedział Gordy. – Prawdopodobnie była jeszcze tylko dwójka lub trójka wiernych.

– Dlaczego ono nie porwało wszystkich?

Gordy nie odpowiedział.

– Dlaczego musiało zrobić coś takiego? – powtórzył Frank.

– Żeby zadrwić z nas. Wysztydzić. Skraść nadzieję – powiedział żałośnie Gordy.

Frank spoglądał na niego.

– Może niektórzy wierzyli, że Bóg dopomoże im przeżyć – mówił Gordy. – Chyba większość tak myślała. Modliłem się dużo do czasu, jak tu przyjechaliśmy. Ty chyba też. Ono wiedziało, że tak postąpimy. Wiedziało, że zwrócimy się do Boga o pomoc. I w taki oto sposób mówi, że Bóg nie może nam pomóc. Albo przynajmniej chce zaszczyć niewiarę. Zawsze tak czyni. Budzi niewiarę w Boga. Zawsze tak czyniło.

– Mówisz tak, jakbyś dokładnie wiedział, z czym mamy do czynienia.

– Może – powiedział Gordy. Spojrzał na ukrzyżowanego księdza, a potem wrócił spojrzeniem do Franka. – A ty, czy ty nie wiesz? Naprawdę nie wiesz, Frank?

Kiedy wyszli z kościoła, za rogiem przecznicy trafili na dwa zniszczone auta.

Cadillac seville przejechał trawnik plebani, taranując po drodze żywopłot, i wpadł na słup werandy na rogu domu. Słup pękł niemal na dwoje. Dach werandy opadł.

Tal Whitman zajrzał przez okno do wnętrza samochodu.

– Kobieta za kierownicą.

– Nieżywa? – spytał Bryce.

– No. Ale nie od wypadku.

Jenny próbowała otworzyć drzwi od strony kierowcy. Były zablokowane. Wszystkie drzwi były zablokowane, a okna podsunięte do samej góry.

Tym niemniej kobieta za kierownicą – Edna Gower, Jenny ją знаła – wyglądała jak inne trupy. Czerniała od siniaków. Spuchnięta. Zamarły krzyk grozy na skrzywionej twarzy.

– Jak to mogło dostać się do środka i zabić? – głośno zastanawiał się Tal.

– Przypomnij sobie zamkniętą łazienkę w Zajeździe Pod Płonącą Świeczką – powiedział Bryce.

– I zabarykadowany pokój u Oxleyów – dodała Jenny.

– To prawie argument za generalną teorią gazu psychotoksycznego – powiedział kapitan Arkham.

Odpiął od pasa miniaturowy licznik Geigera i uważnie zbadał samochód. Ale nie promieniowanie

zabiło kobietę.

Drugi samochód, perłowo biały lynx, stał pół kwartału dalej. Na nawierzchni zostały czarne ślady opon. Lynx blokował w poprzek ulicę. Maską uderzył o bok żółtego mikrobusu chevrolet. Szkody były niewielkie, ponieważ wyhamował prawie do końca, nim uderzył w stojący pojazd.

Kierowcą był mężczyzna w średnim wieku z gęstymi włosami. Miał na sobie skrócone do kolan dżinsy i koszulkę z Dodgersami. Jego Jenny też znała. Marty Sussman. Szef służb miejskich Snowfield przez ostatnie sześć lat. Czarujący, sumienny Marty Sussman. Martwy. Tu także przyczyna śmierci nie miała wyraźnego związku z wypadkiem. Drzwi lynxa były zablokowane, okna podniesione do góry, tak jak w cadillacu.

– Wygląda na to, że oboje usiłowali przed czymś uciec – rzekła Jenny.

– Może – powiedział Tal. – Może wybrali się na przejażdżkę albo jechali coś załatwić, kiedy nastąpił atak. Jeśli próbowali ucieczki, coś przystopowało ich na dobre, zmusiło do zjechania z ulicy.

– Niedziela była ciepła. Ciepła, ale nie za ciepła – przypomniał sobie Bryce. – Nie tak gorąca, żeby jeździć z zamkniętymi oknami i włączoną klimatyzacją. To był taki dzień, kiedy większość ludzi spuszcza szyby w wozach i korzysta ze świeżego powietrza. Więc wygląda na to, że zostali zmuszeni do zatrzymania się, podnieśli szyby, zablokowali drzwi i starali się nie dopuścić czegoś do środka.

– Ale ono i tak ich dopadło – powiedziała Jenny.

Ono.

Ned i Sue Marie Bischoffowie byli właścicielami ślicznego, otulonego wielkimi sosnami elżbietańskiego domku, wzniesionego na ogromnej posesji. Mieszkali tu z dwójką swoich synów. Ośmioletni Lee Bischoff mimo drobnych dłoni już potrafił zadziwiająco dobrze grać na fortepianie, a raz powiedział Jenny, że zamierza zostać następnym Stevie Wonderem – „tylko że nie ślepym”. Sześćoletni Terry wyglądał jak czarnoskóra wersja Złowieszczonego Denisa, ale miał bardzo łagodne usposobienie.

Ned był popularnym plastykiem. Jego oleje szły po co najmniej sześćset, siedemset dolarów, a wydawane w krótkich seriach grafiki kosztowały czterysta, pięćset dolarów sztuka.

Był pacjentem Jenny. Choć miał dopiero trzydzieści dwa lata i osiągnął sukces, leczyła go na wrzody.

Wrzody już nigdy nie miały mu dokuczać. Ned był w swojej pracowni. Leżał na podłodze, przed sztalugami, martwy.

Sue Marie była w kuchni. Jak Hilda Beck i wielu innych ludzi w całym miasteczku, Sue Marie zmarła podczas przygotowywania obiadu. Kiedyś była piękną kobietą. Teraz już nie.

Znaleźli chłopców w sypialni.

Był to wspianały pokój dla dzieciaków, wielki, wysoki, z piętrowym łóżkiem. Półki pełne dziecięcych książek. Na ścianach wisiały malunki, zrobione przez Neda tylko dla jego dzieci, zabawne sceny naszkicowane z nieokiełznaną fantazją, o tematach niepodobnych do tych, z których był dobrze znany: świnia w smokingu, tańcząca z krową w wieczorowej sukni; wnętrze sterowni statku kosmicznego, w którym wszyscy kosmonauci byli żabami; niezemska urzekająca scena: szkolne boisko w nocy, skąpane światłem pełni księżyca, bez dzieci, za to z wielkim, złowieszczo wyglądającym wilkołakiem, który bawi się cudownie, do zawrotu głowy kołysząc się na huśtawce.

Chłopców znaleźli w kącie za rozsypanymi zabawkami. Młodszy, Terry, za Lee, który zdawał się stawiać waleczny opór, broniąc młodszego brata. Patrzyli wybałuszonymi oczami na środek pokoju; ich martwe spojrzenie na zawsze zawisło na wczorajszej grozie. Mięśnie Lee zeszywniały, cienkie ramiona pozostały w tej samej co przez ostatnie sekundy życia pozycji: uniesione jak tarcza, z dłońmi

rozpostartymi w obronie przed zalewem ciosów.

Bryce ukląkł przed chłopcami, przyłożył drżącą dłoń do twarzy Lee, jakby nie wierzył, że dziecko rzeczywiście nie żyje.

Jenny uklękła obok.

– To są chłopcy Bischoffów – powiedziała, nie mogąc opanować drżenia w głosie. – Więc teraz musimy skreślić całą rodzinę.

Łzy płynęły po twarzy Bryce'a.

Jenny usiłowała sobie przypomnieć wiek jego syna. Siedem? Osiem lat? Mniej więcej w wieku Lee Bischoffa. W tej właśnie chwili mały Timmy Hammond leżał w szpitalu w Santa Mira, pogrążony w śpiączce, wciąż tak samo od roku. Niewiele różnił się od rośliny. Tak, ale nawet tamto było lepsze niż to. Wszystko było lepsze niż to tutaj.

W końcu łzy Bryce'a wyschły. Teraz obudził się w nim gniew.

– Dobiorę się za to do nich – zagroził. – Ktokolwiek to uczynił... zapłaci.

Jenny nigdy nie spotkała podobnego mężczyzny. Pełen niezaprzeczalnej męskiej siły i stanowczości, zachował zdolność do wyrażenia czułości.

Chciała go objąć. I znaleźć się w jego objęciach.

Ale jak zawsze, zanadto skrywała swoje emocje. Gdyby była tak otwarta jak Bryce, nigdy nie oddaliłaby się od matki. Ale nie była taka, jeszcze nie, choć ku temu zmierzała. Więc w odpowiedzi na jego przysięgę pomsty za dzieci Bischoffów, powiedziała:

– A co, jeśli nie zabił ich człowiek? Nie całe zło tkwi w ludzkości. Jest i w naturze. Ślepa złośliwość trzęsień ziemi. Obojętne zło raka. To stworzenie może być podobne – odległe, nieosiągalne. Jeśli nie należy do naszego gatunku, nie postawisz go przed sądem. I co wtedy?

– Do diabła, ktokolwiek czy cokolwiek to jest, dopadnę tego. Zapłaci za to, co się tu stało – powtórzył uparcie.

Opuściwszy kościół katolicki, zespół poszukiwawczy Franka Autry'ego przeczesał trzy opuszczone domy. Czwarty nie był pusty. Znaleźli Wendella Hulbertsona, nauczyciela z liceum w Santa Mira, który zdecydował się na mieszkanie w górach, w domu należącym kiedyś do jego matki. Gordy chodził na lekcje angielskiego do Hulbertsona zaledwie pięć lat temu. Nauczyciel nie był posiniaczony ani spuchnięty jak inni; sam odebrał sobie życie. Wciśnięty w kącie sypialni wsadził do ust lufę samopowtarzalnej trzydziestki dwójki i nacisnął spust. Najwidoczniej wołał śmierć z własnej ręki niż to, co ono mogło mu zgotować.

Z rezydencji Bischoffów Bryce poprowadził swoją grupę do kolejnych domów; w czterech nie znaleźli żadnych ciał. Ale w piątym natrafili na starsze małżeństwo zamknięte w łazience, gdzie usiłowali się skryć przed zabójcą. Ona leżała rozciągnięta pod prysznicem. On, jak łachman, na podłodze.

– Byli moimi pacjentami – powiedziała Jenny. – Nick i Melina Papandrakisowie.

Tal dopisał ich nazwiska do listy zmarłych.

Jak Harold Ordny i jego żona w Zajeździe Pod Płonącą Świeczką, Nick Papandrakis usiłował zostawić wiadomość wskazującą na zabójcę. Jodyną wyjętą z szafki z lekarstwami chciał coś napisać na ścianie. Nie dano mu szansy: nie skończył nawet jednego słowa. Na ścianie widniały tylko dwie litery i część trzeciej:

PRC

– Czy komuś z czymś się to kojarzy? – zapytał Bryce.

Wszyscy po kolei tłoczyli się w łazience i przystawali nad ciałem Nicka Papandrakisa, spoglądając na pomarańczowo brązowe litery na ścianie, ale nikt nie doznał żadnego olśnienia.

Pociski.

W domu sąsiadującym z domem Papandrakisów kuchenna podłoga była dosłownie zasłana wystrzelonymi pociskami. Nie całymi nabojami. Kilkadziesiąt samych ołowianych pocisków.

W pomieszczeniu nigdzie nie leżały wyrzucone łuski, zatem nie miała tu miejsca wymiana ognia. Nie unosił się zapach prochu. Nie znaleziono otworów w ścianach ani w szafkach.

Całą podłogę zaścielały jedynie pociski, jakby wyczarowane z powietrza.

Frank Autry wziął do ręki kilka szarych grudek metalu. Nie był ekspertem balistycznym, ale zauważył ze zdziwieniem, że żaden z pocisków nie rozprysnął się ani nie został mocno zniekształcony. Dzięki temu mógł ocenić, że pochodzą z różnej broni. Większość – ogromna większość – odpowiadała typowi i kalibrowi pistoletów maszynowych, w które uzbrojona była osłona generała Copperfielda.

Czyżby pociski z broni sierżanta Harkera? – zastanawiał się Frank. Czy to amunicja, którą Harker wystrzelił w swojego mordercę w Samie Gilmartina?

Zmarszczył brwi, poruszony.

Upuścił pociski, stuknęły o podłogę. Pozbierał kilka innych. Kaliber 22, 32, jeszcze raz 22 i 38. Było nawet dużo śrutu ze strzelb.

Podniósł pojedynczy pocisk kalibru 45 i przyjrzał mu się ze szczególną ciekawością. Był to dokładnie ten rodzaj amunicji, jaki miał w swoim rewolwerze.

Gordy Brogan kucnął obok.

Frank dalej wpatrywał się z namysłem w pocisk. Nie mógł opędzić się od dziwnego przypuszczenia.

Gordy zebrał także kilka pocisków z podłogi.

– W ogóle nie mają zniekształceń.

Frank pokiwał głową.

– Musiały w coś trafić – ciągnął Gordy. – Więc powinny być zniekształcone. Przynajmniej niektóre. – Zamilkł na chwilę. – Hej, jesteś o milion mil stąd. O czym dumasz?

– O Paulu Hendersonie. – Frank podsunął pocisk kalibru 45 przed oczy Gordy’ego. – Paul wystrzelił wczoraj wieczór takie trzy pociski, tam, w podkomisariacie.

– W swojego zabójcę.

– Właśnie.

– Więc?

– Więc chodzi mi po głowie wariackie podejrzenie, że jeśli każemy zrobić testy balistyczne, okaże się, że ten wystrzelono z rewolweru Paula.

Gordy uniósł brwi.

– I podejrzewam – ciągnął Frank – że jeśli poszukamy dokładnie, znajdziemy jeszcze dwie takie same sztuki. Uważaj: nie jeden pocisk. I nie trzy. Dokładnie dwa, z identycznymi śladami.

– Mówisz... że to będą te same trzy pociski, które Paul wystrzelił wczoraj?

– Właśnie.

– Ale skąd się tu wzięły?

Frank nie odpowiedział. Zamiast tego wstał i wcisnął przycisk w swoim walkie-talkie.

– Szeryfie?

Głos Bryce'a Hammonda doleciał wyraźnie z niewielkiego głośnika.

– Co tam, Frank?

– Dalej jesteśmy w tym domu w stylu Sheffield. Zdaje mi się, że lepiej będzie, jak pan tu wpadnie. Jest coś, co powinien pan zobaczyć.

– Znowu ciała?

– Nie, sir. Mhm... coś niesamowitego.

– Idziemy tam, Frank.

– Myślę sobie – powiedział Frank do Gordy'ego – że... w ciągu ostatnich kilku godzin, w jakiś czas po tym, jak sierżant Harker został porwany z Samu Gilmartina, ono było tu, właśnie w tym pokoju. Pozbyło się wszystkich pocisków, które dostało wczoraj wieczór i dziś rano.

– Pocisków, które dostało?

– Tak.

– Pozbyło się? Tak po prostu?

– Tak po prostu – powtórzył Frank.

– Ale jak?

– Wygląda, że... strąciło je z siebie. Zrzuciło te pociski, jak pies zrzuca liniejące futro.

Jadąc przez Santa Mira skradzionym datsunem, Fletcher Kale usłyszał o Snowfield przez radio.

Choć wiadomość zajęła uwagę całego kraju, Kale nie okazał zainteresowania. Tragedie innych nigdy specjalnie go nie obchodziły.

Sięgnął do wyłącznika – wieści o Snowfield były bez znaczenia, dość miał własnych problemów – gdy wtem usłyszał nazwisko, które miało dla niego znaczenie. Jake Johnson. Johnson był jednym z funkcjonariuszy, którzy pojechali wczoraj do Snowfield. Teraz zaginał, może nawet nie żył.

Jake Johnson...

Rok temu Kale sprzedał Johnsonowi solidną chatę z bali na pięcioakrowej działce w górach.

Johnson twierdził, że jest jakoby zapalonym myśliwym i stąd potrzebuje chaty. Jednakże z tego, co mu się tu i ówdzie wypsnęło, Kale wysnuł wniosek, że policjant jest „niezniszczalnym” – jednym z tych ludzi, którzy wierzą, że świat czeka Armageddon, a społeczeństwo rozpadnie się z powodu galopującej inflacji, wojny nuklearnej lub innej katastrofy. Kale coraz mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że Johnson potrzebuje chaty na kryjówkę, którą zapełni żywnością i amunicją – aby potem łatwo przetrwać w czasach wstrząsów społecznych.

Chata leżała wystarczająco daleko, aż na Śnieżnej Górze, po drugiej stronie Snowfield. Żeby się tam dostać, należało wjechać przecinką przeciwpożarową, wąską drogą gruntową – przejezdną wyłącznie dla pojazdów terenowych – a potem na jeszcze trudniejszy szlak. Ostatnie ćwierć mili trzeba było pokonać pieszo.

W dwa miesiące po tym, jak Johnson nabył górską posiadłość, Kale zakradł się tam w letnie czerwcowe przedpołudnie. Wiedział, że właściciel ma służbę w Santa Mira. Chciał sprawdzić, czy, zgodnie z jego podejrzeniami, Jake zamienia to miejsce w nieprzystępną fortecę.

Chata stała jak poprzednio, ale odkrył, że Johnson prowadzi intensywne roboty w jednej z sąsiadujących z nią wapiennych jaskiń. Na zewnątrz leżały worki cementu i piasku, taczka i stos kamieni.

Tuż przy wejściu, na kamiennej podłodze stały dwie benzynowe latarnie Colemana. Kale wziął jedną i zanurzył się w podziemne komnaty.

Pierwsza jaskinia była długa i wąska, prawie jak tunel. Niby nieregularny wapienny korytarz zakosami wiodła do pierwszej obszerniejszej sali.

Oparte o ścianę stały tu pięciofuntowe skrzynki z próżniowo pakowanymi puszkami sproszkowanego mleka, liofilizowanych owoców i warzyw, liofilizowanych zup, słoików z miodem, beczki ziarna. Materac gumowy. I wiele innych rzeczy. Jake musiał pracować na pełnych obrotach.

Pierwszy podziemny pokój prowadził do drugiego. Tu w ziemi natura uformowała dziurę o średnicy dziesięciu cali. Dochodziły z niej dziwne hałasy. Szepty. Złowieszcze śmiechy. Kale mało nie obrócił się na pięcie i nie uciekł, ale uświadomił sobie, że to nic groźnego, tylko plusk płynącej wody. Podziemny strumień. Jake Johnson wprowadził calową gumową rurę do naturalnej studni i osadził w podłodze ręczną pompę.

Wygody jak w domu.

Kale uznał wtedy, że Johnson jest nie tylko przezorny. Ten człowiek ma obsesję...

Pewnego dnia, późnym latem, w końcu sierpnia, Kale powrócił na górską działkę. Ku jego zdziwieniu wejście do jaskini – wysokie na cztery a szerokie na pięć stóp – nie było już widoczne.

Johnson stworzył roślinną zapórę, maskującą skutecznie wejście.

Kale przebrnął przez krzewy uważnie, by ich nie zdeptać.

Tym razem przyniósł własną latarkę. Przeczłogał się przez wejście, wstał, minął trzy zakosy i nagle dotarł do końca ślepego korytarza. Wiedział, że powinien być jeszcze jeden ostry zakręt, a potem pierwsza z obszernych sal. Zamiast tego stał przed wapienną płaską ścianą.

Przez moment Kale wpatrywał się w przeszkodę, zdezorientowany. Jednak przyjrzawszy się jej dokładnie, znalazł ukryte wejście. Ściana faktycznie była cienką fasadą, obwiedzioną epoksydem, przylegającą do drzwi, które Johnson sprytnie wmontował w naturalną framugę pomiędzy ostatnim zakrętem a pierwszą z dużych sal.

Tamtego sierpniowego dnia, oceniając z uznaniem ukryte drzwi, Kale zdecydował, że w razie czego przejmie tą kryjówkę. W gruncie rzeczy, może ci „niezniszczalni” mają nosa. Może jacyś durnie pewnego dnia spróbują wysadzić świat w powietrze. Jeśli tak, Kale pierwszy się tu dostanie, a kiedy Johnson wkroczy przez swoje sprytnie zamaskowane drzwi, Kale po prostu go zdmuchnie.

Ta myśl sprawiła mu przyjemność.

Poczuł się sprytniejszy. Bardziej górą.

Trzydzieści miesięcy później, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu i przerażeniu, Kale ujrzał, że grozi mu koniec świata. Jego świata. Zamknięty w okręgowym więzieniu, oskarżony o morderstwo, wiedział, dokąd się uda, jeśli tylko zdoła zbiec: w góry, do jaskiń. Mógł tam pozostać przez kilka tygodni, aż gliny w końcu przestaną za nim węszyć w Santa Mira i w pobliżu miasta.

Dzięki ci, Jake’u Johnsonie.

Jake Johnson...

Teraz, w skradzionym żółtym datsunie, mając za sobą dopiero kilka minut wolności, Kale usłyszał przez radio o Johnsonie. Słuchał i zaczął się uśmiechać. Los był po jego stronie.

Obecnie największym problemem było pozbycie się więziennego ubioru i zdobycie właściwego, górskiego stroju. Nie bardzo wiedział, jak tego dokonać.

Kiedy tylko usłyszał przez radio, że Jake Johnson nie żyje – albo przynajmniej nie może stanąć mu na drodze, będąc w Snowfield – Kale zdecydował, że pojedzie wprost do jego domu, tu, w Santa Mira. Johnson nie miał rodziny. Jego dom stanowił bezpieczną tymczasową kryjówkę. Johnson nie miał dokładnie wymiarów Kale’a, ale byli dość podobnej budowy. Zamieni ubiór więzienny na odpowiednie ciuchy z szafy zastępcy.

I broń. Jake Johnson – będąc „niezniszczalnym” – na pewno trzyma gdzieś w domu kolekcję broni.

Zastępca mieszkał w tym samym parterowym domu z trzema sypialniami, który odziedziczył po swoim ojcu, Wielkim Ralphie Johnsonie. Trudno było nazwać ten dom wystawnym, Wielki Ralph nie szastał bezmyślnie forszą z „boków” i łapówek; gdy szło o zachowanie pozorów przed agentami urzędu podatkowego, znał się na rzeczy. Oczywiście, nie był to szałas. Dom stał w środku Pine Shadow Lane, szanującej się okolicy, pełnej dużych domów, dużych posesji i dojrzałych drzew. Dom Johnsona, jeden z mniejszych, miał na tylnej werandzie dużą wannę do kąpieli z podwodnym masażem, ogromny salon z antycznym stołem bilardowym i sporo innych urządzeń uprzyjemniających wolny czas, nie rzucających się w oczy z zewnątrz.

Kale był tam dwukrotnie, kiedy sprzedawał Johnsonowi górską posiadłość. Nie miał obecnie trudności z trafieniem.

Wjechał na podjazd, zgasił silnik i wysiadł. Liczył, że nikt z sąsiadów go nie zobaczy.

Obszedł dom od tyłu, stłukł okno w kuchni, wszedł do środka.

Skierował się prosto do garażu. Mógł pomieścić dwa samochody, ale teraz stał w nim tylko dżip z napędem na obie osie. Kale wiedział, że Johnson ma dżipa i oczekiwał, że wóz będzie stał w garażu. Otworzył drzwi i wprowadził skradzionego datsuna. Kiedy zamknął drzwi i datsun przestał być widoczny z ulicy, poczuł się bezpieczniejszy.

W głównej sypialni przejrzał szafę gospodarza i znalazł parę mocnych butów turystycznych tylko o numer większych niż jego własne. Johnson był o kilka cali od niego niższy, więc spodnie nie pasowały, ale wepchnął nogawki w buty i wyglądało to znośnie. W biodrach były za szerokie, ale ścisnął się paskiem. Wybrał sportową koszulkę; przymierzył. Ujdzie.

Ubrany, przejrzał się w dużym lustrze.

– Nieźle wyglądasz – powiedział do swojego odbicia.

Ruszył przez dom, rozglądając się za bronią. Nie mógł nic znaleźć.

Proszę bardzo. Znaczący, jest gdzieś schowana. Jak trzeba, rozwali tę dziurę na kawałki.

Zaczął od głównej sypialni. Opróżnił biurko i szuflady komody. Nie ma broni. Przeszukał obie nocne szafki. Nie ma broni. Wyjął wszystko z szafy ściennej: ubrania, buty, walizki, pudła, kufer podróżny. Nie ma broni. Podniósł brzegi dywanu i poszukał schowka. Nic nie znalazł.

W pół godziny później spływał potem, ale nie był zmęczony. Prawdę mówiąc czuł uniesienie. Ogarnął wzrokiem spustoszenie, którego dokonał, i poczuł dziwne zadowolenie. Pokój wyglądał jak po bombardowaniu.

Przeszedł do następnego pokoju – szperał, zrywał, przewracał; rozwalał wszystko, co stało mu na drodze.

Bardzo chciał znaleźć tę broń.

A miał przy tym kupę zabawy.

Ten dom był wyjątkowo schludny i czysty, ale kolorystyka i wszechobecne frędzelki działały Bryce'owi Hammondowi na nerwy. Wszystko było tu albo zielone, albo żółte. Wszystko. Dywany zielone, ściany bladożółte. W bawialni sofy obleczone tapicerką w kwieciste żółte i zielone wzory tak krzyczące, że myślało się o natychmiastowej wizycie u okulisty. Dwa fotele szmaragdowozielone i dwa krzeselka kanarkowo-żółte. Żółte porcelanowe lampy ze smugami zieleni, abażury *chartreuse* z frędzlami. Na ścianach dwie ogromne reprodukcje: żółte stokrotki na wściekle zielonym polu. Główna sypialnia była jeszcze gorsza: kwieciste tapety jaśniejsze niż tapicerka w bawialni, pałaca żółcień zasłon, marszczone lambrekiny. Kilkanaście rozrzuconych poduszek; część zielona wykończona żółtą koronką, część żółta z zieloną koronką.

Jak mówiła Jenny, dom zajmowali Ed i Theresa Lange z trojgiem kilkunastoletnich dzieci i siedemdziesięcioletnia matka Theresy.

Nie odnaleziono nikogo z mieszkańców. Nie było ciał i Bryce poczuł ulgę. Wydało mu się, że posiniaczone i spuchnięte ciała zaprezentują się wyjątkowo okropnie na tle niemal maniakalnie radosnego wystroju.

Kuchnia również była zielona i żółta.

– Jest coś – odezwał się od zlewu Tal Whitman. – Szefie, lepiej rzuć na to okiem.

Bryce, Jenny i kapitan Arkham podeszli do Tala, ale dwaj zastępcy, z Lisa pośrodku, zostali przy drzwiach. Trudno było przewidzieć, co może mieścić się w kuchennym zlewie, w tym mieście, w środku koszmaru godnego Lovecrafta. Może czyjaś głowa. Albo jeszcze jedna para odciętych rąk. Albo coś gorszego.

Ale to nie było gorsze. Jedynie dziwne.

– Prawdziwy sklep jubilerski – powiedział Tal.

Podwójny zlew był pełen kosztowności. Przeważnie pierścionki i zegarki. Znalazły się tam zarówno męskie jak i kobiece zegarki: wyłącznie z metalowymi bransoletami, lub bez pasków, timexy, seiko, bulova, nawet rolex. I wiele ślubnych i zaręczynowych pierścionków. Brylanty rozsiewały blask. Pierścionki urodzinowe: granaty, ametysty, krwawniki, topazy, turnaliny; pierścionki z rubinowymi i szmaragdowymi kamyczkami. Pierścionki wręczane za ukończenie liceum i college'u. Jubilerskie śmiecie zmieszane z wartościowymi przedmiotami. Bryce zanurzył ręce w kupce kosztowności, jak na filmie pirat wkłada dłonie do kufra ze skarbami. Zamieszał świecidełka i zobaczył też inną biżuterię; kolczyki, bransolety, pojedyncze perły z jednej lub dwóch rozerwanych koliai, złoty łańcuszek, śliczny wisiołek z kameą...

– To wszystko nie może być własnością Lange'ów – powiedział Tal.

– Zaczekajcie. – Jenny wyciągnęła ze stosu zegarek i przyjrzała mu się uważnie.

– Poznajesz go? – zapytał Bryce.

– Tak. Cartier. Model wodoszczelny. Nie klasyczny, z rzymskimi cyframi. Ten ma gładki, czarny cyferblat. Sylvia Kanarski podarowała go w piątą rocznicę ślubu mężowi Danowi.

– Skąd ja znam to nazwisko? – zastanowił się Bryce.

– Są właścicielami Zajazdu Pod Płonącą Świeczką – powiedziała Jenny.

– Och, tak. Twój przyjaciele.

– Są na liście zaginionych – dodał Tal.

– Dan uwielbiał ten zegarek – wyjaśniła Jenny. – Kiedy Sylvia mu go kupiła, to była straszna ekstrawagancja. Zajazd nie stał jeszcze dobrze finansowo, a zegarek kosztował trzysta pięćdziesiąt dolarów. Teraz, oczywiście, jest wart dużo więcej. Dan lubił żartować, że to ich najlepsza inwestycja.

Podniosła zegarek do góry, tak że Tal i Bryce mogli zobaczyć tył złotej koperty. Nad znakiem firmowym Cartiera było wyryte: MOJEMU DANOWI. Na dole pod numerem seryjnym: Z MIŁOŚCIĄ, SYL.

Bryce spojrzął na zlew pełen biżuterii.

– Więc to należy prawdopodobnie do ludzi z całego Snowfield.

– No cóż, powiedziałbym raczej, że należy do tych, którzy zaginęli – powiedział Tal. – Te ofiary, które znaleźliśmy do tej pory, miały biżuterię na sobie.

– Masz rację – skinął głową Bryce. – Więc tych, którzy zaginęli, pozbawiono wszystkich kosztowności, zanim zostali porwani do... do... no, tam gdzie, do diabła, zostali porwani.

– Złodzieje nie zostawiają tak łupu – powiedziała Jenny. – Nie gromadzą go, a potem nie wrzucają do zlewu. Pakują i zabierają ze sobą.

– No to co to tu robi? – zapytał Bryce.

– Zabij mnie, nie wiem – odrzekła Jenny.

Tal wzruszył ramionami.

W dwóch komorach zlewozmywaka biżuteria jarzyła się i błyszczała.

Krzyk mew.

Szczekanie psów.

Galen Copperfield podniósł wzrok znad końcówki komputera, z której odczytywał dane. Pocił się w swym stroju ochronnym, obolały i zmęczony. Przez chwilę nie był pewien, czy naprawdę słyszy ptaki i psy.

Zamiauczał kot.

Koń zarżał.

Generał rozejrzał się po laboratorium, zmarszczył czoło.

Grzechotniki. Dużo grzechotników. Znajomy, śmiercionośny dźwięk: *czika-czika-czika-czika*.

Buczenie pszczół.

Inni również to usłyszeli. Spojrzeli po sobie, niespokojni.

– To dochodzi przez wewnętrzny system komunikacyjny – powiedział Roberts.

– Zgadza się – odezwał się doktor Bettenby z drugiego samochodu mieszkalnego. – My też to tu słyszymy.

– W porządku – powiedział Copperfield – dajmy temu okazję do działania. Jeśli chcecie ze sobą rozmawiać, używajcie systemu zewnętrznego.

Pszczoły przestały buczeć.

Dziecko – nieokreślonej płci, androgynoidalne – zaczęło śpiewać bardzo łagodnie, z oddali:

Jezus kocha mnie, to wiem, w Biblii czytam to co dzień. Każde dziecię do Niego lgnie. One są słabe, w Nim siła jest.

Głos był słodki, melodyjny.

A ścinał krew w żyłach.

Copperfield nigdy nie słyszał niczego podobnego. Choć był to śpiew dziecka, słodki i kruchy, było w nim... coś, czego nie powinno być w głosie dziecka. Kompletny brak niewinności. Może wiedza. Tak,

zbyt głęboka wiedza o zbyt strasznych rzeczach. Groźba. Nienawiść. Szyderstwo. Nie przebijało to wprost z radosnej piosenki, ale pulsowało w głębi mroczne, wywołujące bezgraniczną trwogę.

Tak, Jezus kocha mnie. Tak, Jezus kocha mnie. Tak, Jezus kocha mnie – w Biblii czytam to.

– Mówili nam o tym – powiedział Goldstein. – Doktor Paige i szeryf. Słyszeli to przez telefon i ze zlewu w zajeździe. Nie wierzyliśmy; tak śmiesznie to brzmiało.

– Teraz nie jest śmieszne – rzekł Roberts.

– Nie jest – twierdził Goldstein. Nawet przez obszerny strój widać było, że ma dreszcze.

– Emituje na tej samej długości fal co nasze przekaźniki.

– Ale jak? – zapytał Copperfield.

– Velazquez – powiedział nagle Goldstein.

– Oczywiście – poparł go Roberts. – Strój Velazqueza miał radio. Ono nadaje przez jego radio.

Dziecko przestało śpiewać. Odezwało się szeptem:

– Lepiej odmówcie paciorek. Niech każdy odmówi paciorek. Nie zapomnijcie o paciorku.

Chichot.

Czekali na coś jeszcze. Tylko cisza.

– Zdaje mi się, że ono nam groziło – powiedział Roberts.

– Do cholery, lepiej zatrzymajcie takie myśli dla siebie! – rzekł Copperfield. – Nie popadajmy w panikę.

– Zauważyliście, że mówimy teraz ono? – spytał Goldstein.

Copperfield i Roberts spojrzeli na niego, a potem po sobie, ale nie odezwali się.

– Mówimy ono tak samo jak doktor Paige, szeryf i zastępcy. Więc... zaczęliśmy myśleć zupełnie jak oni?

Copperfield nadal miał w uszach nawiedzony, ludzki choć nieludzki głos. Ono.

– Dość tego – powiedział szorstko. – Jeszcze mamy sporo roboty do odwalenia.

Powrócił do końcówki komputera, ale miał trudności z koncentracją.

Ono.

O 16:30 Bryce odwołał przeszukiwanie. Pozostało jeszcze kilka godzin dnia, ale wszyscy byli utrudzeni do szpiku kości. Zmęczeni wchodzeniem i schodzeniem po schodach. Zmęczeni groteskowym wyglądem trupów. Zmęczeni nieprzyjemnymi niespodziankami. Zmęczeni rozmiarem ludzkich tragedii, grozą stępującą zmysły. Zmęczeni ściskającym w piersiach strachem. Stałym napięciem, nużącym jak ciężka fizyczna praca.

Poza tym dla Bryce'a stało się jasne, że ta praca przekracza ich siły. W pięć i pół godziny załatwili tylko niewielką część miasta. Z tymi siłami i w tym tempie, ograniczeni dziennym światłem, będą potrzebować przynajmniej dwu tygodni na dokładne spenetrowanie Snowfield. A ponadto jeśli zaginięci nie pojawią się do czasu zbadania ostatniego budynku i jeśli nie znajdzie się wskazówek co do miejsca ich pobytu, trzeba będzie wziąć się za jeszcze trudniejsze przeczesywanie okolicznych lasów.

Zeszłej nocy Bryce nie życzył sobie, żeby Gwardia Narodowa rozlaźla się po mieście. Ale teraz jego ludzie mieli miasto dla siebie przez większą część dnia, a specjaliści Copperfielda zebrali próbki i zaczęli pracę. Kiedy tylko Copperfield uzyska całkowitą pewność, że miasto nie zostało porażone czynnikiem bakteriobójczym, można sprowadzić gwardię do pomocy policji.

Na początku, wiedząc niewiele o tutejszej sytuacji, niechętnie myślał o zrzeczeniu się władzy nad miastem, podlegającym jego jurysdykcji. Ale teraz, choć nie chciał się zrzekać władzy, to na pewno

pragnął się nią podzielić. Potrzebował więcej ludzi. Z godziny na godzinę odpowiedzialność coraz bardziej przygniatała go do ziemi i gotów był przerzucić ją na inne barki.

Dlatego też o 16:30 zaprowadził swoje dwa zespoły z powrotem do Zajazdu Na Wzgórzu, zadzwonił do biura gubernatora i porozmawiał z Jackiem Retlockiem. Uzgodniono, że postawi się gwardię w stan gotowości, będą czekać na sygnał Copperfielda, że wszystko gra.

Ledwie odłożył słuchawkę, zadzwonił Charlie Mercer. Miał nowiny. Fletcher Kale uciekł podczas transportu do sądu okręgowego.

Bryce dostał szału.

Charlie pozwolił mu powściekać się chwilę, a kiedy furia opadła, powiedział:

– Jest coś gorszego. Zabił Joego Freemonta.

– On, niech to krew zaleje – jęknął Bryce. – Mary wie?

– No. Sam do niej pojechałem.

– Jak to przyjęła?

– Źle. Byli małżeństwem od dwudziestu sześciu lat. Jeszcze jedna śmierć. Wszędzie śmierć. Chryste!

– Co z Kale'em?

– Podejrzewamy, że zabrał samochód sprzed budynków mieszkalnych po drugiej stronie uliczki. Skradziono tam jeden. Więc postawiliśmy blokady na drogach, ale wychodzi mi z rachunku, że Kale ma nad nami godzinę przewagi.

– Dawno wyparował.

– Prawdopodobnie. Jeśli nie przymkniemy skurwysyna do siódmej, chcę odwołać blokady. Mamy tak mało ludzi – przy wszystkim co się dzieje – że nie możemy wiązać ich przy blokadach.

– Zrobisz, co uznasz za stosowne – powiedział ze znużeniem Bryce. – A co z policją z San Francisco? Wiesz, chodzi o tę wiadomość, którą Harold Ordway zostawił na lustrze.

– Dzwoniłem w tej sprawie. W końcu się odezwali.

– Mają coś sensownego?

– No cóż, pogadali z pracownikami w księgarniach Ordwayów. Pamiętasz, mówiłem ci, że jedna zajmuje się wyłącznie pozycjami nie wznawianymi od dawna i niskonakładowymi. Asystentka kierownika w tym sklepie – nazywa się Celia Meddock – skojarzyła tego Timothy'ego Flyte'a.

– To klient?

– Nie. Autor.

– Autor? Czego?

– Książki. Zgadnij tytuł.

– Jak, do diabła, mogę... Och! Oczywiście. *Odwieczny wróg*.

– Trafiłeś – powiedział Charlie Mercer.

– O czym jest książka?

– To najmocniejsza sprawa. Celia Meddock mówi, że to zdaje się o zbiorowych zaginięciach na przestrzeni dziejów.

Przez moment Bryce nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– Poważnie? Mówisz, że było dużo innych?

– Tak mi się zdaje. Dość, żeby napisać całą książkę.

– Gdzie? Kiedy? Jak to możliwe, że nie obito mi się to o uszy?

– Meddock mówiła o zniknięciu populacji starożytnych Majów...

(Coś drgnęło w umyśle Bryce'a. Przypomniał sobie artykuł czytany w starym magazynie naukowym.

Cywilizacja Majów. Porzucone miasta).

- ...i kolonia Roanoke, pierwsza osada Anglików w Ameryce Północnej – skończył Charlie.
- O tym słyszałem. Było w podręczniku szkolnym.
- Wydaje mi się, że dużo innych zaginięć sięga dawnych czasów. W książce jest to wyjaśnione.
- Co to za teoria?
- Ta baba nie wie. Nie czytała książki.
- Ale Harold Ordway musiał czytać. I w Snowfield musiał zobaczyć dokładnie to, o czym pisał Flyte.

Dlatego Ordway zostawił tę wiadomość.

- Chyba tak.
- Czy policja w San Francisco ma tę książkę? – zapytał Bryce, podniecony.
- Nie. Meddock jej nie miała. Wiedziała o niej tylko dlatego, że ostatnio Ordway sprzedał jeden egzemplarz – kilka tygodni temu.
- A czy my możemy dostać egzemplarz?
- Nakład jest wyczerpany. Tak naprawdę nigdy nie była u nas drukowana. Sprzedano egzemplarz brytyjski. I najwidoczniej z jedyne go – i do tego niewielkiego – nakładu. To rzadka książka.
- A co z osobą, której ją sprzedano? Ten zbieracz. Jak się nazywa? Gdzie mieszka?
- Meddock nie pamięta. Mówi, że facet nie jest stałym klientem. Mówi, że Ordway mógłby wiedzieć.
- Za cholerę nam nie pomoże. Słuchaj, Charlie, muszę mieć tę książkę.
- Staram się – powiedział Charlie. – Ale może nie będzie ci potrzebna. Dowiesz się wszystkiego z samego źródła. Flyte już leci do nas z Londynu.

Jenny przysiadła na skraju biurka dyżurnego w środku hallu, wpatrując się w Bryce'a, który siedział odchylony na fotelu. Była zdumiona tym, co jej powiedział.

- Leci do nas z Londynu? Teraz? Już? I wiedział, że to się stanie?
 - Prawdopodobnie nie – powiedział Bryce. – Ale chyba w chwili kiedy usłyszał wiadomość, wiedział, że to przypadek zgodny z jego teorią.
 - Jaka by nie była.
 - Jaka by nie była.
- Tal stał przed biurkiem.
- Kiedy planowo przylatuje?
 - Będzie w San Francisco krótko po północy. Jego amerykański wydawca zaaranżował konferencję prasową na lotnisku. Stamtąd jedzie prosto do Santa Mira.
 - Amerykański wydawca? – spytał Frank Autry. – Zdaje się, mówiłeś, że nie drukował u nas tej książki.
 - Bo i nie – poinformował Bryce. – Wygląda na to, że pisze nową.
 - O Snowfield? – spytała Jenny.
 - Nie wiem. Może. Prawdopodobnie.
 - Ma rozpęd – powiedziała Jenny. – Nie minął dzień, jak się to stało, a facet podpisuje kontrakt na książkę.
 - Chciałbym, żeby miał jeszcze większy rozpęd. Wiele bym dał, żeby był tu teraz.
 - Chyba doktorkowi chodzi o to, że szanowny pan Flyte może być tylko jeszcze jednym cwaniaczkiem, szukającym łatwego zarobku.
 - Właśnie – potaknęła Jenny.
 - Może tak jest – przyznał Bryce. – Ale nie zapominajcie, że Ordway napisał nazwisko Flyte'a na

tamtym lustrze. W ten sposób Ordway jest jedynym naszym świadkiem. I z jego wiadomości wynika, że to, co się stało, było bardzo podobne do tego, o czym Timothy Flyte napisał.

– Do cholery – zaklął Frank. – Jeśli Flyte naprawdę wie coś, co może nam pomóc, powinien zadzwonić. Nie powinien kazać nam czekać.

– No – potwierdził Tal. – Do północy wszyscy możemy być sztywni. Powinien zadzwonić, żebyśmy wiedzieli, co mamy robić.

– W tym sęk – powiedział Bryce.

– O co ci chodzi? – spytała Jenny.

Bryce westchnął.

– Cóż, mam przeczucie, że zadzwoniłby, gdyby mógł nas poinformować, jak mamy się bronić. Taak, wydaje mi się, że on dokładnie wie, z jakim stworem lub rodzajem oddziaływania mamy do czynienia, ale mocno podejrzewam, że nie ma bladego pojęcia, jak sobie z tym radzić. Podejrzewam, że cokolwiek, może nam powiedzieć, nie może nam powiedzieć tej jednej jedynej rzeczy, która jest nam potrzebna – jak mamy stąd wynieść cało swoje tyłki.

Jenny i Bryce pili kawę przy biurku. Mówili o tym, co odkryli podczas dzisiejszych poszukiwań, próbowali dopatrzeć się sensu w bezsensownych sprawach: szyderczym ukrzyżowaniu księdza, pociskach zaścielających kuchenną podłogę w domu w stylu Sheffield, trupach w zamkniętych samochodach...

Lisa siedziała nie opodal. Wyglądała na całkowicie zaabsorbowaną krzyżówką z magazynu, który znalazła gdzieś po drodze. Nagle podniosła wzrok.

– Wiem, dlaczego w tamtym zlewie leżała biżuteria.

Jenny i Bryce spojrzeli na nią wyczekująco.

– Przede wszystkim – powiedziała dziewczyna, wychylając się z fotela – musicie przyjąć, że wszyscy ludzie, którzy zaginęli, faktycznie nie żyją. Bo tak jest. Oni nie żyją. Nie ma wątpliwości.

– Ale są wątpliwości, skarbie – powstrzymała Jenny.

– Nie żyją – powiedziała cicho Lisa. – Wiem o tym. I wy też. – Spojrzenie jej żywych, zielonych oczu było niemal gorączkowe. – Ono ich porwało i zjadło.

Jenny przypomniała sobie, co Lisa powiedziała wczoraj w podkomisariacie: „Może rozwinęło gdzieś pajęczynę, głęboko w mroku, w piwnicy albo w pieczarze, i może zawiązało wszystkich tych zaginionych, zamknęło w kokonach, żywych. Odłożyło do chwili, kiedy poczuje głód”.

Zeszłej nocy wszyscy wpatrywali się w dziewczynę, tłumiąc śmiech, ale wiedząc, że w tym, co mówi, może tkwić jakaś zwariowana prawda. Niekoniecznie musi to być sieć, kokony albo gigantyczny pająk. Ale coś. Nikt nie chciał tego przyznać, ale taka możliwość istniała. Nieznane. Nieznany stwór. Nieznany stwór, pożeracz ludzi.

I teraz Lisa powróciła do tej samej myśli.

– Ono ich zjadło.

– Ale jak wytłumaczyć biżuterię? – spytał Bryce.

– No więc – powiedziała Lisa – kiedy ono zjadło ludzi, może... może zwyczajnie wypłuło tę biżuterię... tak jak się wypłuwają pestki z wiśni.

Doktor Sara Yamaguchi weszła do Zajazdu Na Wzgórzu, zatrzymała się, żeby odpowiedzieć na pytanie wartownika przy drzwiach i ruszyła przez hall do Jenny i Bryce'a. Nadal miała na sobie strój ochronny, ale już zdjęła hełm, pojemnik ze sprężonym powietrzem i urządzenie do gromadzenia

odchodów. Trzymała złożone ubranie „cywilne” i gruby plik jasnozielonego papieru.

Wstali na przywitanie i Jenny spytała:

– Pani doktor, czy już koniec kwarantanny?

– Już? Mam wrażenie, że tkwię w tym stroju od lat. – Głos doktor Yamaguchi brzmiał inaczej niż przez skrzeczące pudełko. Był kruchy i słodki. Jeszcze bardziej delikatny niż postać. – Jak dobrze oddychać świeżym powietrzem.

– Pracowała pani nad kulturami bakteryjnymi, prawda? – spytała Jenny.

– Zaczęłam.

– Ale... czy nie trzeba czekać dwadzieścia cztery do czterdziestu ośmiu godzin na uzyskanie wyników?

– Tak. Ale uznaliśmy, że oczekiwanie jest bezsensowne. Nie zamierzamy wyhodować bakterii – ani nieszkodliwych, ani nic innego.

„Ani nieszkodliwych, ani nic innego”. To dziwne stwierdzenie zaintrygowało Jenny, ale zanim zdążyła spytać, genetyczka wyjaśniła:

– Poza tym Meddy powiedział nam, że są bezpieczne.

– Meddy?

– To skrót na Medanacomp. Co z kolei jest skrótem od Komputerowy System Analizy Medycznej. Nasz komputer. Gdy Meddy przyswoił sobie wszystkie dane z autopsji i z testów, podał nam stopień prawdopodobieństwa skażenia bakteriologicznego. Meddy mówi, że istnieje możliwość zero, zero dziesiątych na to, że mamy do czynienia ze środkiem bakteriologicznym.

– I ma pani takie zaufanie do analizy komputerowej, że oddycha pani normalnym powietrzem – zdziwił się Bryce, wyraźnie zaskoczony.

– Na osiemset próbnych diagnoz, Meddy nie pomylił się ani razu.

– Ale to nie jest próbna diagnoza – powiedziała Jenny.

– Tak. Ale po tym, co wykazała autopsja i we wszystkich testach patologicznych... – Genetyczka wzruszyła ramionami i podała plik kartek Jenny. – Proszę. Tu są wszystkie wyniki. Generał Copperfield uznał, że może pani mieć ochotę rzucić na nie okiem. Jeśli ma pani jakieś pytania, służę. W tej chwili wszyscy nasi ludzie są w laboratoriach, zdejmują stroje ochronne i aż mnie swędzi zrobić to samo. Dosłownie swędzi. – Uśmiechnęła się i podrapała po karku. Palce w rękawiczkach zostawiły czerwone znaki na gładkiej jak porcelana skórze. – Czy można by się tu umyć?

– Mydło, ręczniki i miednica są w kącie, w kuchni. Nie ma mowy o swobodnym samopoczuciu, ale lepsze to, niż być samemu.

Doktor Yamaguchi skinęła głową.

– To zrozumiałe. Jak się dostanę do tej miednicy?

Lisa wyskoczyła z krzesła, odsunęła krzyżówkę.

– Pokażę pani. I będę uważać, żeby faceci, którzy pracują w kuchni, stali odwróceny plecami i patrzyli przed siebie.

Jasnozielone kartki były to wydruki komputerowe, rozdzielone na jedenastocalowe strony, ponumerowane i chwyczone wzdłuż lewego brzegu plastikowym sprężynowym spinaczem.

Bryce zaglądał Jenny przez ramię, kiedy przeglądała pierwszą część sprawozdania. Był to komputerowy zapis notatek z sekcji wykonanej przez Seta Goldsteina. Goldstein odnotował możliwość uduszenia, uznał za bardziej prawdopodobne oznaki ostrej reakcji alergicznej na niezidentyfikowaną substancję, ale nie potrafił ustalić przyczyny śmierci.

Jenny skupiła uwagę na pierwszych testach patologicznych. Było to mikroskopowe badanie bakterii w długiej serii preparatów zawiesinowych, skażonych przez próbki tkanek i płynów pobranych z ciała Gary'ego Wechlasa; oświetlono nawet ciemne pole mikroskopu, żeby zidentyfikować najmniejsze mikroorganizmy. Szukano bakterii rozwijających się w trupach. Wyniki okazały się zaskakujące.

PREPARATY ZAWIESINOWE

BADANIE AUTOMATYCZNE – MEDANACOMP

WERYFIKACJA WZROKOWA – PRZEPROWADZIŁ BETTENBY

CZĘSTOTLIWOŚĆ WERYFIKACJI – 20%

PRÓBKİ – WYDRUK

PRÓBKA 1

ESCHERICHIA GENUS (E) FORMY OBECNE: BRAK

UWAGA: NIETYPOWY WSKAŹNIK

UWAGA: WARIANT NIEPRAWDOPODOBNY – BRAK OŻYWIONYCH

ESCHERICHIA COLI W ŻOŁĄDKU – PRÓBKA SKAŻONA

CLOSTRIDUM GENUS (C) FORMY OBECNE: BRAK

UWAGA: NIETYPOWY WSKAŹNIK

UWAGA: WARIANT NIEPRAWDOPODOBNY – BRAK OŻYWIONYCH

CLOSTRIDIUM WELCHII W ŻOŁĄDKU – PRÓBKA SKAŻONA

PROTEUS GENUS (P) FORMY OBECNE: BRAK

UWAGA: NIETYPOWY WSKAŹNIK

UWAGA: WARIANT NIEPRAWDOPODOBNY – BRAK OŻYWIONYCH

PROTEUS VULGARIS W ŻOŁĄDKU – PRÓBKA SKAŻONA

Dalej wydruk zawierał listę bakterii poszukiwanych przez komputer i Bettenby'ego. Rezultaty były te same.

Jenny przypomniała sobie, o co chciała zapytać i co powiedziała doktor Yamaguchi: „Ani nieszkodliwe, ani nic innego”. I oto miała przed sobą dane – nietypowe, jak określił je sam komputer.

– Dziwne – powiedziała Jenny.

– Nie rozumiem ani słowa – przyznał się Bryce. – Przetłumaczysz?

– Cóż, rozumiesz, trup jest doskonałą pożywką dla wszystkich bakterii – przynajmniej na krótką metę. Po kilku godzinach od śmierci w ciele Gary'ego Wechlasa powinno się kłębić od *Clostridium welchii*, która występuje przy gazach rozkładowych.

– A nie ma tego?

– Nie dało się znaleźć jednej, jedynej, żywej *C. welchii* w kropli wody, która została skażona materiałem z wnętrzości. A ta właśnie próbka powinna od nich pękać. I powinna się też kłębić od *Proteus vulgaris*, bakterii saprofitycznej.

– Przetłumaczysz? – zapytał cierpliwie.

– Przepraszam. Saprofit rozkwita w nieżywym lub gnijącym materiale.

– A Wechlas niewątpliwie nie żyje.

– Niewątpliwie. A jednak nie ma *P. vulgaris*. Powinny być też inne bakterie. Może *Micrococcus albus* i *Bacillus mesentericus*. W każdym razie nie ma żadnych mikroorganizmów, towarzyszących

rozkładowi, żadnej z form, których należało się spodziewać. Co jeszcze dziwniejsze, nie ma w ciele żywych *Escherichia coli*. Otóż, do cholery, powinny być, rozwijać się jeszcze przed śmiercią Wechlasa. I dalej powinny występować, dalej się rozwijać. *E. coli* gnieździ się w okrężnicy. Twojej, mojej, Gary'ego Wechlasa, każdego. Tak długo jak ogranicza się do przebywania we wnętrznościach, jest nieszkodliwa. – Przekartkowała sprawozdanie. – O, tu. Popatrz na to. Kiedy za pomocą ogólnych i specyficznych barwników zaczęto szukać martwych mikroorganizmów, znaleźli wiele *E. coli*. Ale wszystkie bakterie były martwe. W ciele Wechlasa nie ma żywych bakterii.

– O czym to świadczy? – spytał Bryce. – Że trup nie rozkłada się jak powinien?

– Ze w ogóle się nie rozkłada. Nie tylko to. Coś o wiele dziwniejszego. Wygląda na to, że nie rozkłada się dlatego, iż została mu wstrzyknięta potężna dawka środka sterylizującego i utrwalającego. Konserwantu, Bryce. Trupowi wszczepiono bardzo skuteczny konserwant.

Lisa przyniosła do stołu tackę: cztery kubki z kawą, łyżeczki, serwetki. Dziewczyna podała kawę doktor Yamaguchi, Jenny, Bryce'owi. Czwarty kubek wzięła sobie.

Siedzieli w sali restauracyjnej zajazdu, przy oknie. Ulica za nim była skąpana pomarańczowo złotym słońcem późnego popołudnia.

Za godzinę, pomyślała Jenny, przyjdzie zmrok. I będziemy musieli przeczekać następną długą noc.

Zadrżała. Gorąca kawa bardzo się przyda.

Sara Yamaguchi miała na sobie teraz brązowe sztruksowe dzinsy i żółtą bluzę. Długie, jedwabiste, czarne włosy opadały jej na ramiona.

– Cóż – zaczęła. – Zdaje mi się, że każdy napatrzył się dość na te stare przyrodnicze filmy Walta Disneya, żeby wiedzieć, iż niektóre pająki i osy – i pewne inne insekty – wstrzykują środek konserwujący swoim ofiarom i odkładają je do późniejszej konsumpcji albo jako pokarm dla jeszcze nie narodzonego potomstwa. Konserwant wprowadzony w tkanki pana Wechlasa jest nieco podobny do tych substancji, ale o wiele bardziej skuteczny i złożony.

Jenny pomyślała o nieprawdopodobnie wielkiej ćmie, która zaatakowała i zabiła Stewarta Wargle'a. Ale to nie ten stwór zgładził ludność Snowfield. Na pewno nie. Nawet jeśli setki takich stworzeń kryje się gdzieś w mieście, nie dobrałyby się do wszystkich. Żadna ćma o takich rozmiarach nie dostałaby się do zamkniętego samochodu, domu i zabarykadowanego pokoju. Tu było coś innego.

– Czy chce pani nam powiedzieć, że jakiś insekt zabił tych ludzi? – spytał Bryce.

– Prawdę mówiąc materiał dowodowy na to nie wskazuje. Insekty zabijają i wpuszczają konserwant za pomocą żądła. Znaleźlibyśmy ranę kłutą, choćby najdrobniejszą. Seth Goldstein obejrzał całe ciało Wechlasa przez szkło powiększające. Każdy cal kwadratowy. Dwukrotnie. Nawet użył kremu depilacyjnego w celu usunięcia całego owłosienia z ciała, żeby móc przyjrzeć mu się jeszcze dokładniej. A jednak nie znalazł nakłucia, pęknięcia skóry, którym weszłoby żądło. Obawialiśmy się, że mamy nietypowe lub niedokładne dane. Więc dokonano drugiej sekcji.

– Na Karen Oxley – powiedziała Jenny.

– Tak – potwierdziła Sara Yamaguchi. Pochyliła się do okna, szukając wzrokiem generała Copperfielda i innych. Kiedy obróciła się z powrotem do stołu, powiedziała: – Jednakże wszystkie testy wyszły identycznie. Żadnych żywych bakterii w trupie. Rozkład zatrzymany w sposób nienaturalny. Tkanki przepojone konserwantem. Znowy były to dziwne dane. Ale mieliśmy pewność, że nie są nietypowe ani niedokładne.

– Jeśli konserwantu nie wstrzyknięto, to jak go wprowadzono? – spytał Bryce.

– Narzuca się twierdzenie, że jest wysoce przyswajalny. Dostaje się do ciała przez skórę i w ciągu

kilku sekund przenika tkanki.

– Czy to nie jest jednak gaz psychotoksyczny? – spytała Jenny. – Może działanie konserwujące jest tylko efektem ubocznym.

– Nie – powiedziała Sara Yamaguchi. – Brak śladów na ubraniach ofiar, które znaleźlibyśmy niewątpliwie, gdybyśmy mieli do czynienia z ofiarami chmury gazowej. I choć ta substancja ma działanie toksyczne, analiza chemiczna wskazuje, że podstawowym celem nie jest zatrucie, jak w przypadku gazu. To przede wszystkim konserwant.

– Ale czy to on spowodował śmierć? – pytał Bryce.

– Częściowo. Ale nie potrafimy dokładnie ustalić przyczyny śmierci. Częściowo winna jest toksyczność konserwantu, ale inne czynniki utwierdzają nas w przekonaniu, że śmierć wynikła z odcięcia dopływu tlenu. Ofiary albo dławiły się dłuższy czas, albo miały kompletnie zablokowaną tchawicę.

Bryce pochylił się.

– Jak przy powieszeniu? Uduszenie?

– Tak. Ale nie wiemy dokładnie, co to było.

– Ale jak to możliwe? – spytała Lisa. – Mówicie o rzeczach, które trwają kilka minut. A ci ludzie umierali szybko. W parę sekund.

– Poza tym – powiedziała Jenny – o ile przypominam sobie scenę w małym pokoju Oxleyów, nie było śladów walki. Ludzie pozbawiani życia przez uduszenie przeważnie rzucają się jak diabli, przewracają meble...

– Tak – potwierdziła genetyczka. – To nie ma sensu.

– Dlaczego wszystkie ciała są spuchnięte? – spytał Bryce.

– Myślimy, że to trujący wpływ konserwantu.

– I posiniaczenie też?

– Nie. To... coś innego.

– Co?

Sara nie odpowiedziała od razu. Zmarszczyła brwi, wpatrywała się w kawę w kubku.

– Skóra i tkanka podskórna obydwu trupów wyraźnie wskazują, że posiniaczenie nastąpiło przez nacisk z zewnątrz; to klasyczne kontuzje. Inaczej mówiąc, posiniaczenie nie jest spowodowane obrzękiem i nie jest to oddzielna alergiczna reakcja na konserwant. Wygląda to tak, jakby coś biło ofiary. Mocno. Wielokrotnie. To wariactwo. Przy takim biciu, posiniaczeniu, powinno nastąpić pęknięcie skóry, choć jedno. Inne wariactwo: stopień posiniaczenia jest identyczny na całym ciele. Tkanek uszkodzono dokładnie w takim samym stopniu na udach, rękach, klatce piersiowej, wszędzie. Co jest niemożliwe.

– Dlaczego? – spytał Bryce.

– Od uderzeń ciężkim narzędziem – odpowiedziała mu Jenny – niektóre partie ciała będą bardziej posiniaczone niż inne. Nie da się uderzyć za każdym razem dokładnie z tą samą siłą i dokładnie pod tym samym kątem.

– Poza tym – dodała Sara Yamaguchi – są posiniaczeni nawet tam, gdzie pałka nie byłaby w stanie dotrzeć. Pod pachami, w rowku między pośladkami. I na podeszwach stóp! Chociaż na przykład pani Oxley miała na nogach buty.

– To oczywiste – powiedziała Jenny – że nacisk na tkanki, którego rezultatem jest posiniaczenie, został spowodowany przez coś innego niż bicie.

– Na przykład przez co? – spytał Bryce.

– Nie mam pojęcia.

– I oni zginęli szybko – przypomniała znowu Lisa.

Sara opadła na krzesło, przechyliła je w tył i znów wyjrzała przez okno w kierunku laboratoriów.

– Doktor Yamaguchi, jaka jest pani opinia? – zapytał Bryce. – Nie zawodowa. Osobista, nieformalna. Jak pani sądzi, co się tutaj dzieje? Ma pani jakieś teorie?

Obróciła się do niego, potrząsnęła głową. Czarne włosy rozsypały się, promienie słońca późnego popołudnia zagrały na nich, wydobyły krótkie, miniaturowe kaskady czerwieni, zieleni i błękitu; podobnie jak to czyni światło igrając na czarnej płaszczyźnie ropy i tworząc na niej krótkotrwałe, przemykające tęcze.

– Nie. Obawiam się, że nie mam żadnych teorii. Nic spójnego. Tylko...

– Co?

– Cóż... teraz wierzę, że Isley i Arkham mądrze zrobili zabierając się z nami.

Jenny wciąż zachowywała sceptycyzm co do pozaziemskich wpływów, ale Lisa nadal była zaintrygowana.

– Naprawdę pani myśli, że to coś z innych światów?

– Mogą istnieć inne możliwości – powiedziała Sara – ale w tej chwili trudno orzec jakie. – Zerknęła na zegarek, nachmurzyła się i poruszyła niespokojnie na krześle. – Co ich tak długo zatrzymuje? – Znów skupiła uwagę na oknie.

Drzewa stały bez ruchu.

Markizy przed sklepami zwisły bezwładnie.

Miasto zastygło.

– Mówiła pani, że zdejmują stroje ochronne.

– Tak, ale na to nie trzeba tyle czasu.

– Gdyby coś było nie tak, słyszelibyśmy strzały.

– Albo wybuchy – podsunęła Jenny. – Od tych bomb zapalających, które zmajstrowali.

– Powinni zjawić się już pięć... może dziesięć minut temu – upierała się genetyczka. – A wciąż ani znaku...

Jenny przypomniała sobie, jak niesamowicie, niezauważalnie ono porwało Jake'a Johnsona.

Bryce zawahał się, odepchnął krzesło.

– Myślę, że nie zaszkodzi, jeśli wezmę paru ludzi i zajrzę tam.

Sara Yamaguchi obróciła się od okna. Przednie nogi jej krzesła opadły nagle mocno na podłogę z ostrym stukiem.

– Coś jest nie tak – powiedziała.

– Nie, nie. Prawdopodobnie wszystko w porządku – rzekł Bryce.

– Pan też to czuje. Wiem, że tak. Jezu!

– Proszę się nie martwić – uspokajał Bryce.

Jednakże w jego oczach nie było takiego spokoju jak w głosie. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin Jenny całkiem nieźle nauczyła się czytać w tych przesłoniętych powiekami oczach. Teraz wyrażały napięcie i lodowate, ostre jak igły przerażenie.

– Jest jeszcze o wiele za wcześnie, żeby się martwić – powiedział.

Ale wszyscy wiedzieli.

Nie chcieli tego przyznać, ale wiedzieli.

Groza zaczęła się znowu.

Bryce wybrał Tala, Franka i Gordy'ego, żeby towarzyszyli mu do laboratoriów.

– Idę także – powiedziała Jenny.

Bryce nie chciał tego. Bardziej lękał się o nią niż o Lisę, swoich ludzi czy samego siebie.

Nawiązało się między nimi nieoczekiwane i rzadkie porozumienie. Czuł się z nią dobrze i wierzył, że ona czuje podobnie. Nie chciał jej stracić. Rzekł więc:

– Wolałbym, żebyś nie szła.

– Jestem lekarką – oświadczyła, jakby to nie było tylko jej powołanie, ale tarcza chroniąca przed wszelkim złem.

– Tu jest normalna forteca – przekonywał. – Tu jest bezpieczniej.

– Nigdzie nie jest bezpiecznie.

– Nie powiedziałem bezpiecznie. Powiedziałem bezpieczniej.

– Mogą potrzebować lekarza.

– Jeśli zostali zaatakowani, są albo martwi, albo zaginęli. Jak do tej pory nie znaleźliśmy nikogo rannego, prawda?

– Zawsze jest pierwszy raz. – Jenny obróciła się do Lisy i poprosiła: – Przynieś mi moją torbę lekarską, skarbie.

Dziewczyna pobiegła do punktu opatrunkowego.

– Ona zostaje tu bez gadania – powiedział Bryce.

– Nie – zaprzeczyła Jenny. – Ona idzie ze mną.

– Słuchaj, Jenny, tu jest sytuacja, w której obowiązuje prawo stanu wojennego – tłumaczył rozdrażniony. – Mogę ci rozkazać, żebyś została.

– I zmusisz do wypełnienia rozkazu? Jak? Bronią? – spytała, ale bez gniewu.

Lisa powróciła z czarną skórzaną torbą.

– Pospieszcie się. Szybciej, proszę! – zawołała Sara Yamaguchi od frontowych drzwi zajazdu.

Jeśli ono uderzyło na polowe laboratorium, prawdopodobnie nie było już powodu do pośpiechu.

Spoglądając na Jenny, Bryce pomyślał: Nie mogę cię uchronić, doktorku. Nie rozumiesz tego? Zostań tu, gdzie okna są zamknięte, a u drzwi strażnicy. Nie polegaj na mnie. Nie ochronię cię. Jest jasne jak cholera, że się zawiedziesz. Jak zawiedli się Ellen... i Tim.

– Chodźmy – powiedziała Jenny.

Boleśnie świadomy własnej bezsilności, Bryce wyprowadził ich z zajazdu, w górę ulicy, do rogu – za którym na dobrą sprawę ono mogło czekać na nich. Tal szedł na czele zastępu, obok Bryce'a, w środku Lisa, Sara Yamaguchi i Jenny, Frank i Gordy zamykali tyły.

Ciepły dzień stawał się coraz chłodniejszy.

W dolinie poniżej Snowfield zaczęła gromadzić się mgła.

Do nadejścia nocy pozostało niecałe trzy kwadransy. Słońce spływało ostatnimi strumieniami krwawego światła. Cienie wydłużyły się niezwykle, zniekształciły. Okna gorzały odbitymi słońcami. Przypominają oczodoły wydrążonych dyń, w których płoną świece na Halloween, pomyślał Bryce.

Grobowa cisza ulic była jeszcze głębsza niż poprzedniej nocy. Echo kroków rozbrzmiewało jak w ogromnej, opuszczonej katedrze.

Ostrożnie skręcili za róg.

Trzy zmięte stroje ochronne leżały, ciśnięte na środek ulicy. Następny spoczywał w połowie na chodniku, w połowie na skraju jezdni. I dwa pęknięte hełmy.

Wokół rozrzucono pistolety automatyczne, a nie wykorzystane koktajle Mołotowa stały wzdłuż krawężnika.

Tylne drzwi ciężarówki były otwarte. W środku na stosie leżały także stroje ochronne i broń. Ludzie znikli.

– Generale? Generale Copperfield?! – zawołał Bryce.

Cmentarna cisza.

Cisza powierzchni Księżycy.

– Seth! – zawołała Sara Yamaguchi. – Will? Will Bettenby? Galen? Niech ktoś mi odpowie, proszę.

Nic. Nikogo.

– Nie udało im się nawet raz wystrzelić – powiedziała Jenny.

– Ani krzyknąć – dodał Tal. – Wartownik przy drzwiach frontowych zajazdu usłyszałby nawet krzyk.

– Och, do diabła! – zaklął Gordy.

Tylne drzwi obu laboratoriów były uchylone.

Bryce miał uczucie, że w środku coś na nich czeka.

Chciał odwrócić się i odejść. Nie mógł. Był tu przywódcą. Jeśli ulegnie panice, zarazi nią innych.

A panika jest pierwszym krokiem ku śmierci.

Sara ruszyła do pierwszego laboratorium.

Bryce zatrzymał ją.

– Do cholery, tam są moi przyjaciele – powiedziała.

– Wiem. Ale niech ja zajrzę pierwszy.

Jednak przez moment nie mógł się ruszyć. Strach go sparaliżował. Nie mógł ruszyć się o cal. Ale w końcu oczywiście ruszył.

GRY KOMPUTEROWE

Bryce wyciągnął i odbezpieczył rewolwer. Drugą ręką sięgnął do drzwi, otworzył je szeroko. W tym samym momencie odskoczył i wycelował w laboratorium.

Było puste. Dwa zmięte stroje ochronne leżały na podłodze, trzeci zwisał z obrotowego fotela przed końcówką komputera.

Podszedł do drugiego laboratorium.

– Pozwól, żebym ja to załatwił – powiedział Tal.

Bryce potrząsnął głową.

– Zostajesz. Ochraniasz kobiety; są bez broni. Jeśli coś się pokaże, gdy otworzę drzwi, uciekacie ile sił w nogach.

Bryce zawahał się, stojąc z bijącym sercem u wejścia do drugiego połowego laboratorium. Położył rękę na drzwiach. Znow się zawahał. Pociągnął drzwi jeszcze ostrożniej niż poprzednio.

Tu także było pusto. Dwa stroje ochronne. Nic poza tym.

Ale kiedy Bryce zaglądał do wnętrza, wszystkie światła sufitowe zgasły. Drgnął zaskoczony nagłą ciemnością. Jednak w sekundzie światło zabłyśło na nowo; nie dzięki sufitowym żarówkom; to było niezwykle światło, zielony, zaskakujący błysk. Zorientował się, że to świecą jedynie trzy ekrany końcówek komputera, które włączyły się równocześnie. Teraz wyłączyły. I włączyły. Ciemno, jasno, ciemno, jasno, ciemno... Najpierw zapalały się równocześnie, potem po kolei, jeden po drugim. W końcu zapaliły się wszystkie i tak już zostało. Stanowiska robocze zalał niezmierny blask.

– Wchodzę – powiedział Bryce.

Pozostali zaprotestowali, ale on już był na schodach i mijał drzwi.

Podszedł do pierwszego ekranu, na którym płonęło pięć słów na ciemnozielonym tle.

JEZUS KOCHA MNIE, TO WIEM.

Bryce spojrział na pozostałe dwa ekrany. Widniały na nich te same słowa.

Mrugnięcie ekranu. Nowe słowa:

W BIBLIJ CZYTAM TO CO DZIENŃ.

Bryce zmarszczył brwi.

Cóż to za program? To były słowa jednej z piosenek, które dobiegały z kuchennego zlewu w gospodzie.

BIBLIA TO GNOJÓWKA,

powiedział mu komputer.

Mrugnięcie.

JEZUS RŹNIE PSY.

Ostatnie trzy słowa pozostały na ekranie przez kilka sekund. Bryce'owi wydało się, że zielone światło monitora jest zimne. Tak jak światło kominka niesie suchy żar, tak to promieniowanie niosło przeszywający chłód.

Te monitory nie wyświetlały normalnego programu. Ludzie generała Copperfielda nie mogli włożyć do komputera nic takiego. Czy jako hasło, czy związki logiczne, czy autotesty.

Mrugnięcie.

JEZUS NIE ŻYJE. BÓG NIE ŻYJE.

Mrugnięcie.

JA ŻYJĘ.

Mrugnięcie.

ZAGRASZ W 20 PYTAŃ?

Wpatrując się w ekran Bryce poczuł, jak rośnie w nim prymitywna, zabobonna groza. Groza i onieśmienie. Skręcały kiszki i chwytaly za gardło. Ale nie wiedział dlaczego. W głębi, niemal podświadomie, czuł, że znalazł się wobec czegoś złego, odwiecznego i... znanego. Ale skąd mógł to znać? Przecież nie miał pojęcia, czym to jest. A jednak... a jednak może... dobrze wiedział. W głębi, na dnie. Instynktownie. Gdyby tylko mógł sięgnąć w głąb samego siebie, poza warstewkę oglady, która zawierała tyle sceptycyzmu, gdyby potrafił czytać w pamięci gatunkowej, odnalazłby prawdę o stworze, który dokonał rzezi w Snowfield.

Mrugnięcie.

SZERYF HAMMOND?

Mrugnięcie.

ZAGRASZ ZE MNĄ W 20 PYTAŃ?

Użycie nazwiska podziałało jak wstrząs. A potem nastąpiła daleko większa i dużo bardziej wstrząsająca niespodzianka.

ELLEN

Imię płonęło na ekranie, imię zmarłej żony i każdy mięsień ciała Bryce'a sprężył się, kiedy czekał, aż pojawi się coś więcej, ale przez długie sekundy widniało tylko to drogie imię i nie mógł oderwać od niego oczu, gdy wtem...

ELLEN GNIJE.

Brakło mu tchu.

Skąd ono mogło wiedzieć o Ellen?

Mrugnięcie.

ELLEN KARMI ROBAKI.

Cóż to za świństwa? Czemu służą?

TIMMY UMRZE.

Przepowiednia płonęła, zieleń na zieleni.

Zaczerpnął głośno powietrza.

– Nie – powiedział cicho.

Przez cały rok myślał, że lepiej będzie, jeśli Timmy ulegnie. Lepsze to niż powolne wyniszczenie. Zaledwie wczoraj rzekłby, iż szybka śmierć syna to błogosławieństwo. Ale teraz już nie. Snowfield dało mu lekcję. Wszystko jest lepsze od śmierci. W ramionach śmierci znika nadzieja. A tak długo jak Timmy żył, istniała możliwość wyzdrowienia. Przecież lekarze powiedzieli, że chłopiec nie doznał rozległych uszkodzeń mózgu i jeśli kiedykolwiek obudzi się ze swego nienaturalnego snu, ma dużą szansę odzyskania normalnych zdolności ciała i umysłu. Szansę, obietnicę, nadzieję.

Wiec Bryce powiedział do komputera:

– Nie. Nie.

Mrugniecie.

TIMMY BĘDZIE GNIŁ. ELLEN JUŻ GNIJE. ELLEN GNIJE W PIEKLE.

– Kim jesteś? – zażądał odpowiedzi Bryce.

Odezwał się – i poczuł się głupio. Nie można przemawiać do komputera jak do drugiej ludzkiej istoty. Jeśli chce zadać pytanie, musi użyć klawiatury.

A MOŻE BYŚMY UCIĘLI SOBIE MAŁĄ POGAWĘDKĘ?

Bryce odwrócił się od ekranu. Podszedł do drzwi, wychylił się na zewnątrz.

Wszyscy z ulgą odetchnęli na jego widok.

Chrząknął, usiłując ukryć fakt, że jest mocno poruszony i rzekł:

– Doktor Yamaguchi, potrzebuję tu pani pomocy.

Tal, Jenny, Lisa i Sara Yamaguchi weszli do polowego laboratorium. Frank i Gordy pozostali na zewnątrz, przy drzwiach, nerwowo rozglądając się po ulicy, na której szybko zapadał zmierzch.

Bryce wskazał Sarze monitory komputera.

A MOŻE BYŚMY UCIĘLI SOBIE MAŁĄ POGAWĘDKĘ?

Powiedział, co pokazało się na ekranach, i zanim skończył, Sara przerwała mu mówiąc:

– Ale to niemożliwe. Ten komputer nie dysponuje programem ani językiem, którym mógłby...

– Coś kontroluje pani komputer – powiedział.

Sara nachmurzyła się.

– Kontroluje? W jaki sposób?

– Nie wiem.

– Kto?

– Nie kto – powiedziała Jenny, obejmując siostrę ramieniem. – Raczej co.

– No – odezwał się Tal – to stworzenie, ten zabójca, czymkolwiek, do diabła, jest, ono kontroluje pani komputer, doktor Yamaguchi.

Z wyrazem mocnego powątpiewania na twarzy, genetyczka usiadła przy jednym z monitorów i włączyła automatyczną drukarkę.

– Może będzie wydruk, jeśli faktycznie coś dostaniemy.

Zawahała się. Delikatne, prawie dziecięce palce zawisły nad klawiaturą. Bryce spoglądał na monitor przez jej ramię. Tal, Jenny i Lisa zwrócili się do pozostałych dwóch ekranów. Opustoszały wszystkie w tym samym momencie. Sara wpatrywała się w gładkie pole zielonego światła, w końcu wystukała kod dostępu i napisała pytanie.

JEST TAM KTOS?

Drukarka zazgrzytała od razu i zaczęła wydruk. Odpowiedź przyszła natychmiast.

TAK.

KIM JESTEŚ?

JESTEM BEZMIAR.

– Co to znaczy? – spytał Tal.

– Nie wiem – odpowiedziała genetyczka. Sara wystukała znów pytanie i otrzymała tę samą niejasną odpowiedź:

JESTEM BEZMIAR.

– Spytaj, jak się nazywa – podpowiedział Bryce.

Sara napisała i słowa, których użyła, pojawiły się natychmiast na wszystkich trzech ekranach:

CZY MASZ JAKIEŚ IMIĘ?

TAK

JAKIE ONO JEST?

JEST ICH WIELE.

PODAJ JEDNO Z NICH.

CHAOS.

JAKIE MASZ INNE IMIONA?

JESTEŚ SMĘTNA, GŁUPIA CIPA. ZADAJ INNE PYTANIE.

Wyraźnie zdezorientowana, genetyczka spojrzała na Bryce'a.

– Takiego słowa na pewno pan nie znajdzie w żadnym słowniku komputerowym.

– Proszę nie pytać, kto to jest. Proszę pytać, co to jest.

– No – zastanowił się Tal. – Zobaczymy, czy poda swój opis.

– Ono pomyśli, że chodzi nam o przeprowadzenie autotestu – powiedziała Sara. – Zacznie wyświetlać schematy elektroniczne.

– Nie, nie zacznie – zaprzeczył Bryce. – Niech pani pamięta, my nie prowadzimy rozmowy z komputerem. To coś innego. Komputer jest tylko środkiem komunikacji.

– Och, jasne – powiedziała Sara. – Mimo tego słowa, którego przed chwilą użyło, dalej chcę myśleć o tym jako o dobrym, starym Meddy.

Po chwili namysłu napisała:

PODAJ SWOJĄ CHARAKTERYSTYKĘ.

JESTEM ŻYWE.

Sara zażądała:

BĄDŹ BARDZIEJ KONKRETNE.

JESTEM Z NATURY NIEKONKRETNE.

CZY JESTEŚ ISTOTĄ LUDZKĄ?

STAĆ MNIE I NA TAKĄ FORMĘ.

– Ono tylko bawi się nami – powiedziała Jenny. – Służymy mu do zabawy.

Bryce otarł twarz ręką.

– Proszę zapytać, co stało się z Copperfieldem.

GDZIE GALEN COPPERFIELD?

NIE ŻYJE.

GDZIE JEGO CIAŁO?

PRZEPADŁO.

GDZIE PRZEPADŁO?

SMĘTNA SUKA.

GDZIE INNI, KTÓRZY BYLI Z GALENEM COPPERFIELDEM?

SĄ MARTWI.

CZY TY ICH ZABIŁEŚ?

TAK.

DLACZEGO ICH ZABIŁEŚ?

WY

Sara wystukała:

SPRECYZUJ.

WY JESTEŚCIE SPRECYZUJ. WY JESTEŚCIE WSZYSCY MARTWI.

Bryce dostrzegł, że ręce kobiety drżą. Jednak poruszały się po klawiaturze umiejętnie i dokładnie:

DLACZEGO CHCESZ NAS ZABIĆ?

DO TEGO SŁUŻYCIE.

CZY MÓWISZ, ŻE ISTNIEJEMY TYLKO PO TO, ŻEBY NAS ZABITO?

TAK. JESTEŚCIE BYDŁEM. TRZODĄ. JESTEŚCIE NICZYM.

JAKIE MASZ IMIĘ?

PUSTKA.

SPRECYZUJ.

NICOŚĆ.

JAKIE MASZ IMIĘ?

LEGION.

SPRECYZUJ.

SPRECYZUJ MI PAŁĘ, SMĘTNA SUKO.

Sara zarumieniła się mocno i szepnęła:

– To szaleństwo.

– Prawie czuje się jego obecność – powiedziała Lisa.

Jenny ścisnęła siostrę za ramię, aby dodać jej odwagi i spytała:

– Skarbie, co chcesz przez to powiedzieć?

Dziewczyna mówiła z wysiłkiem, drżącym głosem:

– Czuje się niemal, że ono jest z nami. – Jej wzrok przebiegł po laboratorium. – Powietrze jakby zgęstniało, nie wydaje się wam? I jest zimniej. Jakby coś miało się... zmaterializować tuż przed naszymi oczami.

Bryce rozumiał, co miała na myśli.

Tal pochwyił spojrzenie Bryce'a i skinął głową. Też to czuł.

Jednakże Bryce był pewien, że to, co czują, jest wyłącznie wrażeniem subiektywnym. Tak naprawdę nic się nie miało zmaterializować. Powietrze w rzeczywistości nie było gęstsze niż przed minutą; tylko wydawało się gęstsze, ponieważ wszyscy zeszywnieli z napięcia i naturalnie ciężiej oddychali. A jeśli było zimniej... cóż, to tylko nadchodziła noc.

Monitory opustoszały.

Po chwili:

KIEDY ON PRZYBĘDZIE?

Sara wystukała:

SPRECYZUJ.

KIEDY PRZYBĘDZIE EGZORCYSTA?

– Chryste! – zdziwił się Tal. – A co to?

Sara wystukała:

SPRECYZUJ.

TIMOTHY FLYTE.

– Niech mnie szlag trafi! – szepnęła Jenny.

– Ono zna szanownego Flyte'a – powiedział Tal. – Ale skąd? I boi się go, czy co?

CZY BOISZ SIĘ FLYTE'A?

SMĘTNA SUKA.

Nie zrażona powtarzała:

CZY BOISZ SIĘ FLYTE'A?

NIE BOJĘ SIĘ NICZEGO.

CZEMU INTERESUJE CIĘ FLYTE?

ODKRYŁEM, ŻE ON WIE.

CO ON WIE?

O MNIE.

– Oto wyraźny dowód – powiedział Bryce – że z Flyte’a nie jest żaden cwaniaczek.

Sara uderzyła w klawisze:

CZY FLYTE WIE, KIM JESTEŚ?

TAK. CHCĘ GO TU MIEĆ.

DLACZEGO CHCESZ GO TU MIEĆ?

ON JEST MOIM MATEUSZEM.

SPRECYZUJ.

JEST MOIM MATEUSZEM, MARKIEM, ŁUKASZEM I JANEM.

Sara zmarszczyła czoło, zastanowiła się, spojrzała na Bryce’a. Jej palce fruwały po klawiszach:

CZY CHODZI CI O TO, ŻE FLYTE JEST TWOIM APOSTOŁEM?

NIE. JEST MOIM BIOGRAFEM. ZAPISUJE MOJE UCZYNKI. CHCĘ, ŻEBY TU PRZYBYŁ.

CZY JEGO TEŻ CHCESZ ZABIĆ?

NIE. GWARANTUJĘ MU LIST ŻELAZNY.

SPRECYZUJ.

WY WSZYSCY UMRZECIE, ALE FLYTE’OWI DANE BĘDZIE ŻYĆ. MUSICIE MU POWIEDZIEĆ. JEŚLI NIE DOWIE SIĘ, ŻE DAJĘ MU LIST ŻELAZNY, NIE PRZYBĘDZIE.

Dłonie Sary trzęsły się jak nigdy do tej pory. Uderzyła złą literę, musiała ją skasować i zacząć jeszcze raz. Zapytała:

JEŚLI SPROWADZIMY FLYTE’A DO SNOWFIELD, DASZ NAM ŻYĆ?

NALEŻYCIE DO MNIE.

CZY DASZ NAM ŻYĆ?

NIE.

Do tej chwili Lisa trzymała się dzielnie jak na swój wiek. Jednakże widząc swój los wypisany tak bez ogródek na komputerowym ekranie, załamała się. Zaczęła cicho płakać.

Jenny pocieszała dziewczynę, jak umiała.

– Cokolwiek to jest – oświadczył Tal – nie brak mu arogancji.

– No cóż, jeszcze nie umarliśmy – powiedział Bryce. – Jest nadzieja. Póki życia, póty nadziei.

Sara znów pochyliła się nad klawiaturą:

SKĄD JESTEŚ?

Z CZASU ODWIECZNEGO.

SPRECYZUJ.

SMĘTNA SUKA.

CZY JESTEŚ SPOZA ZIEMI?

NIE.

– To na tyle, jeśli chodzi o Isleya i Arkhama – podsumował Bryce, zanim uświadomił sobie, że Isley i Arkham już nie żyją i przepadli.

– Chyba, że kłamie – powiedziała Jenny.

Sara wróciła do wcześniej postawionego pytania:

CZYM JESTEŚ?

NUDZISZ MNIE.

CZYM JESTEŚ?

GŁUPIA DZIWKĄ.

CZYM JESTEŚ?

ODPIERDOL SIĘ.

Gniew przerósł w niej strach. Waląc tak mocno w klawisze, że Bryce pomyślał, iż je połamie, wystukała znowu:

CZYM JESTEŚ?

JESTEM GLASYALABOLAS.

SPRECYZUJ.

OTO MOJE IMIĘ. JESTEM SKRZYDLATYM CZŁOWIEKIEM Z ZĘBAMI PSA – TOCZĘ Z UST PIANĘ. SKAZANO MNIE NA TO, ABYM TOCZYŁ Z UST PIANĘ CAŁĄ WIECZNOŚĆ.

Bryce wpatrywał się w ekran, nie pojmując. Czy to nie żart? Skrzydlaty człowiek z zębami psa? Na pewno nie. Ono się nimi bawi, znalazło sobie rozrywkę. Ale co w tym zabawnego?

Ekran opustoszał.

Pauza.

Pojawiły się nowe słowa, chociaż Sara nie zadała pytania.

JESTEM HABORYM. JESTEM CZŁOWIEKIEM O TRZECH GŁOWACH – JEDNEJ LUDZKIEJ, JEDNEJ KOCIEJ I JEDNEJ WĘŻOWEJ.

– Co to za pierdoły? – spytał sfrustrowany Tal.

Powietrze stało się bez wątpienia zimniejsze.

To tylko wiatr, napomniął sobie Bryce. Wiatr wpada przez drzwi i niesie chłód nadchodzącej nocy.

JESTEM RANTAN.

Mrugniecie.

JESTEM PALLANTRE.

Mrugniecie.

JESTEM AMLUTIAS, ALFINA, EPYN, FUARD, BELIAL, OMGORMA, NEBIROS, BAAL, ELIGOR I WIELU INNYCH.

Dziwne imiona jaśniały przez moment na trzech ekranach, wygasły.

JESTEM WSZYSTKIMI I NIKIM. JESTEM NICOŚCIĄ. JESTEM WSZYSTKIM.

Mrugniecie.

Trzy ekrany monitorów świeciły jasno, zielone, puste przez sekundę, dwie, trzy. Potem ściemniały.

Zapaliły się światła sufitowe.

– Koniec wywiadu – powiedziała Jenny.

Belial. To było jedno z imion, jakie sobie nadało.

Bryce nie interesował się religią zbyt żarliwie, ale był dość odczytany, żeby wiedzieć, iż Belial to albo jedno z imion Szatana, albo imię jednego z upadłych aniołów. Nie był pewien.

Gordy Brogan, najbardziej spośród nich religijny, był wiernym wyznawcą rzymskiego katolicyzmu. Kiedy Bryce jako ostatni wyszedł z polowego laboratorium, poprosił Gordy'ego, żeby spojrzął na imiona na wydruku.

Stali na chodniku przy laboratorium w gasnącym świetle dnia, a Gordy czytał odpowiednie wersy. Za dwadzieścia minut, może szybciej, zapadnie mrok.

– Tutaj. To imię. Baal. – Gordy wskazał miejsce na komputerowej składance. – Nie wiem dokładnie, gdzie widziałem to wcześniej. Nie w kościele ani w katechizmie. Może w jakiejś książce.

Bryce uchwycił jakiś dziwny ton – i rytm – wypowiedzi Gordy'ego. Było to coś więcej niż nerwowość. Kilka słów wypowiadał zbyt wolno, następne zbyt szybko, znów wolno, a potem

z gorączkowym pośpiechem.

– W książce? – spytał Bryce. – W Biblii?

– Nie. Nie wydaje mi się. Nie taki znów ze mnie czytelnik Biblii. A powinienem. Powinienem stale czytać. Ale to imię zobaczyłem w zwykłej książce. W powieści. Nie pamiętam dokładnie.

– Więc kto jest ten Baal? – pytał Bryce.

– Zdaje mi się, że to chyba bardzo potężny demon – powiedział.

Wyraźnie coś było nie w porządku z jego głosem, z samym Gordym.

– A co z innymi imionami?

– Nic mi nie mówią.

– Zdaje się, że to mogą być imiona innych demonów.

– No cóż, wiesz, Kościół katolicki nie straszy siarką i ogniem piekielnym – mówił Gordy, nadal dziwnie wymawiając słowa. – Może powinien. No. Może powinien. Bo chyba masz rację. Zdaje mi się, że to imiona demonów.

Jenny westchnęła ze znużeniem.

– Więc to tylko kolejna gierka...

Gordy gwałtownie potrząsnął głową.

– Nie. To żadna gierka. Wcale nie. Ono powiedziało prawdę.

Bryce zmarszczył brwi.

– Gordy, chyba nie myślisz poważnie, że to demon albo sam Szatan czy coś w tym rodzaju – chyba nie myślisz tak?

– To wszystko bzdury – skwitowała Sara Yamaguchi.

– Tak – przytaknęła Jenny. – Te wszystkie wyczyny na komputerze, demoniczny *image*, jaki usiłuje stworzyć – wszystko to jest kolejną zmyłką. Ono nigdy nie zechce powiedzieć nam prawdy o sobie, bo wie, że znając prawdę, możemy znaleźć sposób na pokonanie go.

– A ten ksiądz ukrzyżowany na ołtarzu Naszej Pani Opiekunki Gór? – spytał Gordy.

– To tylko jeszcze jedna część szarady – powiedział Tal.

Oczy Gordy'ego były dziwne. Widniał w nich nie tylko strach. Były to oczy człowieka przeżywającego duchowe załamanie, nawet rozdarcie.

Durniu, wcześniej powinieneś to zauważyć, wymyślał się Bryce.

– Zdaje mi się, że nadszedł czas. – Gordy mówił cicho, ale z hipnotyzującą intensywnością. – To koniec. Czas końca. Wreszcie. Jak Biblia powiada. Nigdy w to nie wierzyłem. Wierzyłem we wszystko inne, co naucza Kościół. Ale nie w to. Nie w dzień sądu. Po prostu wydawało mi się, że wszystko będzie trwało wiecznie. Ale teraz nadszedł, no nie? Sąd. Nie tylko dla tych w Snowfield. Dla nas wszystkich. Koniec. Więc zapytuję siebie, jak zostanę osądzony. I boję się. Naprawdę. Otrzymałem dar, wyjątkowy dar, i odrzuciłem go. Otrzymałem dar świętego Franciszka. Zawsze miałem podejście do zwierząt. To prawda. Żaden pies na mnie nie zaszczekał. Macie pojęcie? Żaden kot mnie nie podrapał. Zwierzęta ufały mi. Może nawet mnie kochały. Zawsze tak było. Oswoiłem dzikie wiewiórki. Jadły mi z ręki. To dar. Więc moi starzy chcieli, żebym został weterynarzem. Ale wypiąłem się na mój dar. Zamiast tego zostałem gliną. Przypasałem broń. Broń. Nie było moim przeznaczeniem brać do ręki broni. Nie moim. Nigdy. Zrobiłem to częściowo dlatego, żeby urazić moich starych. Chciałem pokazać, że jestem niezależny, kapujecie? Ale zapomniałem. Zapomniałem tego miejsca w Biblii, gdzie jest powiedziane, żebyś czcił ojca i matkę swoją. A ja skrzywdziłem ich. I wypiąłem się na boski dar. Więcej. Gorzej. Naplułem nań. Wczoraj w nocy zdecydowałem: odchodzę ze służby, odkładam broń i zostanę

weterynarzem. Ale zdaje się, że jest za późno. Sąd już trwa, a ja o tym nie wiedziałem. Naplułem na dar od Boga i teraz... boję się.

Bryce nie wiedział, co powiedzieć Gordy'emu. Jego wyimaginowane grzechy były tak dalekie od prawdziwego zła, że prawie śmiechu warte. Jeśli ktoś tu miał pójść do nieba, to Gordy. Bryce nie wierzył w nadejście Sądnego Dnia. Co to, to nie. Ale nie był w stanie wymyślić czegokolwiek, co mógłby powiedzieć temu wielkiemu, kościstemu chłopakowi, który zabrnął zbyt głęboko w swoje iluzje.

Głos zabrała Jenny:

– Timothy Flyte jest naukowcem, nie teologiem – rzekła z przekonaniem. – Jeśli Timothy dysponuje teorią wyjaśniającą to, co się tutaj dzieje, jest to wyjaśnienie wyłącznie naukowe, nie religijne.

Gordy nie słuchał. Ze szklistych oczu łzy płynęły mu strumieniami po policzkach. Zdawało się, że kiedy podniósł głowę i wpatrywał się w niebo, nie dostrzegł zachodu słońca, lecz jakąś wielką, niebiańską drogę, po której archaniołowie i zastępy niebiańskie wkrótce zjadą na swych płomienistych rydwanach.

W tym stanie nie wolno mu nosić broni. Bryce wyjął mu delikatnie rewolwer z kabury. Zastępca chyba nie zwrócił na to uwagi.

Bryce spostrzegł, że przedziwny monolog Gordy'ego wywarł silne wrażenie na Lisie. Chyba mocno ją to trzepnęło.

– W porządku – powiedział do niej. – To naprawdę nie koniec świata. To nie dzień sądu. Gordy jest tylko... rozstrojony. Wyjdziemy z tego jak amen w pacierzu. Wierzysz mi, Liso? Wytrzymasz jeszcze trochę? No, głowa do góry! Dasz radę?

Nie odpowiedziała od razu, jakby zastanawiając się, czy starczy jej sił i opanowania. Wreszcie skinęła głową. Zdobyła się nawet na słaby, niepewny uśmiech.

– Diabelnie jesteś fajna, mała – uśmiechnął się. – Wypisz, wymaluj starsza siostra.

Lisa spojrzała na Jenny, potem znów zwróciła wzrok na Bryce'a.

– A z pana jest diabelnie fajny szeryf – powiedziała.

Czy mój uśmiech jest też tak niepewny jak jej? – zastanowił się.

Był zażenowany. Nie czuł się godny jej zaufania.

Oklamałem cię, dziewczyno, pomyślał. Śmierć jest wciąż z nami. Może nie w tej godzinie, może nie jutro, ale wcześniej czy później – uderzy.

I rzeczywiście. Choć nie mógł o tym wiedzieć, jedno z nich miało umrzeć w następnej minucie.

PRZEZNACZENIE

Fletcher Kale spędził prawie całe poniedziałkowe popołudnie na rozwalaniu, pokój po pokoju, domu Jake'a Johnsona w Santa Mira. Bawił się świetnie.

W spiżarni obok kuchni w końcu odnalazł skrytkę Johnsona. Nie na półkach, zapchanych wystarczającymi co najmniej na rok zapasami jedzenia w puszkach i słojach, ani na podłodze, również zastawionej zapasami. Nie, prawdziwy skarb był w tajemnym schowku, pod podłogą, pod luźnym linoleum, pod legarami.

Ukryta tu była niewielka, starannie dobrana kolekcja znakomitej broni, każdy egzemplarz osobno opakowany w nieprzemakalny plastik. Czując się jak w bożonarodzeniowy poranek, Kale odwinął je wszystkie. Znajdowała się tu para rewolwerów Smith & Wesson Combat Magnum, chyba najlepsza i najpotężniejsza krótka broń świata. Załadowana amunicją kaliber 357, miała siłę uderzenia wystarczającą, aby powalić brunatnego niedźwiedzia, a ze specjalnymi, lżejszymi pociskami kalibru 38 był to równie użyteczny i wyjątkowo celny rewolwer na drobną zwierzynę. Jedna strzelba dwunastka, Remington 870 Brushmaster z ruchomym celownikiem, ręcznym przeładowaniem, chwytem pistoletowym, przedłużonym magazynkiem, z pasem do noszenia na ramieniu. Dwa sztucery. M-1 półautomat. I wreszcie coś specjalnego: Heckler & Koch HK 91, już załadowany znakomity karabin szturmowy, wyposażony w osiem magazynków na trzydzieści sztuk i kilka tysięcy sztuk amunicji luzem.

Przez niemal godzinę Kale siedział, sprawdzając i bawiąc się długą bronią. Pieścił każdą sztukę. Jeśli gliny namierzą go w górach, pożałują, że nie ruszyli w innym kierunku.

Dziura pod podłogą spiżarni zawierała również pieniądze. Dużo pieniędzy. Banknoty zwinięte w ciasne rulony, opasane gumkami, wsadzone w pięć dużych, hermetycznie zamkniętych szklanych słoików; w każdym pojemniku mieściło się od trzech do pięciu rulonów.

Zabrał słoiki do kuchni, postawił na stole. Zajrzał do lodówki szukając piwa, zadowolili się puszką pepsi, siadł przy stole i przeliczył swój skarb.

63 440 \$.

Jedna z najczęściej powtarzanych legend Santa Mira dotyczyła sekretnej fortuny Wielkiego Ralpha Johnsona, zgromadzonej (jak głosiła plotka) z wymuszeń i łupówek. Oto co pozostało z łupów Wielkiego Ralpha. Właśnie takiego kapitału inwestycyjnego potrzebował Kale na początek nowego życia.

Ironia losu. Gdyby Kale znalazł tydzień wcześniej ten cały szmal, nie musiałby zabijać Joanny i Danny'ego. Miał tu więcej, niż potrzeba, żeby wykaraskać się z kłopotów, jakich przysporzyło mu *High Country Investments*.

Półtora roku temu, kiedy został współnikiem w *High Country*, nie był w stanie przewidzieć, że zmierza do katastrofy. Wtedy wydało mu się to złotą okazją, którą sądzone mu było trafić wcześniej czy później.

Każdy z partnerów *High Country Investments* włożył jedną siódmą kapitału niezbędnego do nabycia, podziału i uzbrojenia trzydziestoakrowej parceli na wschodnim krańcu okręgu Santa Mira, na szczycie Wysokiej Grani. Żeby wystartować w spółce, Kale został zmuszony do wyskrobania ostatniego dolara, ale spodziewane zyski wydały mu się warte ryzyka.

Jednakże projekt okazał się łasym na pieniądze potworem o nienasyconym apetycie.

Umowa brzmiała: każdy z partnerów będzie musiał wyłożyć dodatkowy kapitał, w razie gdyby złożony na wstępie okazał się nie wystarczający wobec planowanych zadań. Jeśli Kale (lub każdy inny

partner) nie zdoła wyrównać należności, będzie natychmiast usunięty ze spółki, bez żadnej rekompensaty za już dokonane wpłaty. Po prostu dziękuję i do widzenia. Pozostali partnerzy dzielą się po równo odpowiedzialnością za spłacenie jego należności i otrzymują – także po równo – część jego udziału w projekcie. Był to ten rodzaj umowy, który wabił (zwykle) inwestorów mających nie tylko dużo gotówki, ale również żelazną odporność psychiczną.

Kale nie spodziewał się żadnych dodatkowych wpłat. Pierwotny kapitał wydawał mu się całkiem wystarczający. Ale pomylił się.

Kiedy wynikła konieczność wpłacenia pierwszej specjalnej należności, wynoszącej trzydzieści pięć tysięcy dolarów, był wstrząśnięty. Ale nie pogrążony. Wykombinował, że pożyczyci dziesięć tysięcy dolarów od rodziców Joanny, a ich własny dom jest wart dość, aby zebrać na hipotekę następne dwadzieścia. Ostatnie pięć da się zbierać.

Jedynym problemem była Joanna.

Od samego początku nie chciała, żeby angażował się w *High Country Investments*. Powiedziała, że umowa przerasta jego możliwości finansowe, niech nie gra wielkiego machera.

A kiedy wszedł w spółkę i przyszło dopłacać, delektowała się jego rozpaczą. Oczywiście nie otwarcie. Była na to za mądra. Wiedziała, że wygra więcej, robiąc z siebie raczej męczenniczkę niż harpię. Nigdy nie zrzędziła a-nie-mówiłam-ci, przynajmniej otwarcie, ale w oczach miała zawsze pełne wyższości oskarżenie, a w sposobie traktowania go wyraźną pogardę.

W końcu nakłonił ją do zastawienia domu i wyprosił przez nią pożyczkę od teściów. Nie było to łatwe.

Uśmiechał się, potakiwał, przetykał wszystkie uwagi i pogardliwy krytycyzm, ale przyobiegał sobie, że w końcu wciśnie ich mordy w całe to gówno, jakim go obrzucali. Kiedy *High Country Investments* wypali, będą mu lizać buty, a Joanna pierwsza.

Potem, ku jego konsternacji, nałożono następną specjalną płatność. Wynosiła czterdzieści tysięcy dolarów.

Byłby w stanie sprostać również temu wymaganiu, gdyby Joanna szczerze chciała jego sukcesu. Mogła odkorkować fundusz powierniczy. Kiedy babka Joanny zmarła (pięć miesięcy po urodzeniu Danny'ego), stara wiedźma zostawiła prawie połowę wartości swojego majątku – pięćdziesiąt tysięcy dolarów – jako fundusz dla jedynego wnuka. Joanna została wyznaczona na głównego kuratora. Więc kiedy przyszło wpłacić drugą specjalną należność dla *High Country*, mogła wziąć czterdzieści tysięcy z funduszu i zapłacić rachunek. Ale odmówiła. Powiedziała: „A co, jak przyjdzie zapłacić jeszcze jedną należność? Stracisz wszystko, Fletch, wszystko i Danny też straci większość tego, co dla niego odłożone”. Usiłował ją przekonać, że nie będzie trzeciej należności. Ale, oczywiście, nie słuchała go, bo w głębi duszy nie chciała, żeby mu się powiodło, bo chciała, żeby stracił wszystko i został poniżony, bo chciała go zrujnować, złamać.

Nie miał wyboru. Musiał zabić ją i Danny'ego. Fundusz był tak ustanowiony, że gdyby Danny miał umrzeć przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami, depozyt ulegnie likwidacji. Pieniądze, po opodatkowaniu, przechodzą na własność Joanny. A gdyby Joanna umarła, cały jej majątek przechodzi na własność małżonka, zgodnie z testamentem. Więc w razie pozbycia się ich obojga, dochód z funduszu – plus dwadzieścia tysięcy premii z ubezpieczenia na życie Joanny – lądował w jego kieszeni.

Ta suka nie pozostawiła mu wyboru.

Nie jego wina, że nie żyje.

Sama się o to postarała, naprawdę. Tak ustawiła sprawy, że nie miał innego wyjścia.

Uśmiechnął się na wspomnienie wyrazu jej twarzy, kiedy zobaczyła ciało chłopca – i pistolet wycelowany w siebie.

Teraz, siedząc przy kuchennym stole Jake'a Johnsona, Kale spoglądał na wszystkie te pieniądze i uśmiech rósł mu na twarzy.

63440 \$.

Kilka godzin temu siedział w więzieniu, dosłownie bez centa, oczekując na sąd, który miał się zakończyć wyrokiem śmierci. Większość ludzi popadłaby w otępienie i rozpacz. Ale Fletcher Kale nie dał się. Wiedział, że jest przeznaczony do wielkich rzeczy. I oto miał dowód. W niewiarygodnie krótkim czasie przebył drogę od więzienia do wolności, od nędzy do 63440 \$. Teraz miał pieniądze, broń, środek transportu i bezpieczną kryjówkę w niedalekich górach.

W końcu zaczęło się.

Jego wyjątkowe przeznaczenie zaczęło się wypełniać.

– Lepiej wracajmy do zajazdu – powiedział Bryce. – Za kwadrans noc zapanuje nad miastem.

Cienie niby rak toczyły resztki wieczoru, sącząc się z kryjówek, w których przespały dzień, olbrzymiejąc w pęczniejące kałuże mroku.

Niebo nabrało kolorów wesołego miasteczka – pomarańczy, czerwieni, żółcieni, purpury – ale rzucało już jedynie skąpy blask na Snowfield.

Odwrócili się od polowego laboratorium, gdzie przed chwilą ono rozmawiało z nimi za pośrednictwem komputera, i skierowali na róg, kiedy zgasły latarnie uliczne.

W tym samym momencie Bryce coś usłyszał. Jęk. Skomlenie. Warkniecie.

Wszyscy jak jeden mąż obrócili się i spojrzeli za siebie.

Za nimi włókł się chodnikiem pies. Minął laboratorium, z trudem usiłując dorównać im kroku. Był to airedale. Lewą przednią łapę miał chyba złamaną. Język zwisał mu z pyska, sierść zmatowiała i skudliła się, wyglądał na zaniedbanego i pobitego. Zrobił kolejny chwiejny krok, przystanął, żeby polizać zranioną łapę, i zapiszczał żałośnie.

Bryce stał jak wmurowany. Oto zjawiała się pierwsza istota, która przeżyła. Nie była w dobrej kondycji, ale przeżyła.

Ale dlaczego przeżyła? Co było w niej aż tak innego, że uratowała się, gdy wszyscy zginęli?

Jeśli zdołają odpowiedzieć na to pytanie, może uratują samych siebie.

Gordy zareagował pierwszy.

Widok zranionego airedale'a dotknął go silniej niż wszystkich pozostałych. Nie mógł patrzeć na ranne zwierzę. Wolał sam cierpieć. Serce zaczęło mu bić żywiej. Tym razem zareagował nawet silniej niż miał w zwyczaju, gdyż wiedział, że nie jest to zwykły pies potrzebujący pomocy i opieki. Ten airedale jest znakiem od Boga. Tak. Znakiem, że Bóg jeszcze raz daje Gordy'emu Broganowi szansę na przyjęcie Jego daru. Gordy miał to samo podejście do zwierząt co święty Franciszek z Asyżu i nie wolno mu było tego odtrącić ani lekko potraktować. Jeśli jak poprzednio odwróci się plecami do boskiego daru, na pewno zostanie potępiony. Ale jeśli zdecyduje się pomóc temu psu... Łzy zapiekły Gordy'ego w kącikach oczu; spłynęły po policzkach. Łzy ulgi i szczęścia. Łaskawość boża rzuciła go na kolana. Nie miał wątpliwości, co powinien zrobić. Pobiegł do airedale'a stojącego dwadzieścia stóp dalej.

Z początku Jenny osłupiała na widok psa. Gapiła się na niego. A potem zaczęła w niej kielkować gorąca radość. Życie jakoś zatriumfowało nad śmiercią. W gruncie rzeczy ono nie dało rady wszystkim żywym istotom w Snowfield. Ten pies (który przysiadł ze zmęczenia, kiedy Gordy ruszył do niego) przeżył, co może było znakiem, że im też jakoś uda się ująć z życiem...

...lecz nagle przypomniała sobie ćmę.

Ćma też była żywym stworzeniem. Ale nie okazała się przyjazna.

I ożywiony trup Stu Wargle'a.

Na chodniku, na skraju cienia, pies złożył łeb na ziemi i piszczał, błagając o zmiłowanie.

Gordy zbliżył się, przykucnął, przemawiał pocieszająco, łagodnie:

– Nie bój się, maleńki. Spokojnie, maleńki. Już dobrze. Jaki ładny piesek. Wszystko będzie dobrze.

Wszystko będzie jak trzeba. Spokojnie...

Groza zakotłowała się w Jenny. Otworzyła usta do krzyku, ale inni ją ubiegli.

– Gordy, nie! – zawołała Lisa.

– Gordy, wracaj! – krzyknął Bryce jednocześnie z Frankiem Autrym.

– Odejdź od niego, Gordy! – wrzeszczał Tal.

Ale Gordy nie zwracał na nich uwagi.

Kiedy Gordy zbliżył się do airedale'a, pies uniósł pysk z chodnika, dźwignął kwadratowy łeb i wydawał ciche, pełne wdzięczności skomlenie. Był to ładny okaz. Kiedy noga mu się zagoi, futro zostanie wymyte i wyszczotkowane do połysku, będzie śliczny.

Gordy wyciągnął rękę do psa.

Pies dotknął jej nosem, ale nie polizał.

Gordy pogłaskał biedaka. Był zmarznięty, niewiarygodnie zmarznięty i trochę wilgotny.

– Biedne maleństwo – powiedział Gordy.

Pies miał dziwny zapach. Kwaśny, wywołujący wymioty. Gordy w życiu nie zetknął się z taką wonią.

– Gdzieżeś ty się wałęsał? – spytał. – W jakim błocie się tarzałeś?

Psina zapiszczała i zadrżała.

Gordy usłyszał za sobą krzyki, ale był zbyt zajęty airedale'em, żeby słuchać. Objął psa, uniósł z chodnika, wstał, przytulił do piersi. Złamana łapa zadyndała.

Nigdy nie dotykał tak zmarzniętego zwierzęcia. Pies zziął nie tylko dlatego, że miał przemoczone futro; zdawało się, że pozbawiony jest całkiem ciepła. Polizał dłoń Gordy'emu.

Miało zimny język.

Frank przestał krzyczeć. Tylko patrzył. Gordy przed chwilą podniósł psisko, zaczął głaskać i rozczulać się nad nim i nic strasznego się nie działo. Może pies...

Nagle...

Pies polizał Gordy'emu dłoń i chłopak zrobił dziwną minę, a pies zaczął się... zmieniać.

Chryste!

Jak kawałek słabo związanego gipsu zmienia kształt pod szybko pracującymi dłońmi niewidzialnego rzeźbiarza, tak zmoczona sierść rozplątywała się, zmieniała kolor, zmieniła fakturę. Pojawiły się łuski, zieleniejące łuski, głowa wsunęła się w ciało, które w ogóle przestawało być ciałem, stawało się bezkształtem, czymś, kęsem drgającej tkanki, łapy skróciły się, zgrubiały, a wszystko to nastąpiło ledwie w pięć, sześć sekund, i wtem...

Gordy, wstrząśnięty, wpatrywał się w stworzenie na swych rękach. Jaszczurcza głowa z groźnymi zielonymi oczami wyłaniała się z amorficznej masy, w którą zdegenerował się pies. Wargi jaszczura wyłoniły się z ciastowatej tkanki, zamigotał rozwidlony jęzor, pojawiło się wiele ostrych, małych zębów.

Gordy usiłował zrzucić z siebie stworzenie, ale przyłgnęło do jego rąk. Jezu, przyłgnęło mocno, formowało się dookoła dłoni i ramion, a członki Gordy'ego przeniknęły do wewnątrz tego czegoś.

Przestało być zimne. Nagle stało się ciepłe. Gorące. Boleśnie gorące.

Zanim jaszczur na dobre się wyłonił z pulsującego kawałka tkanki, rozplątał się i już nowe zwierzę wykształcało się z niej: lis, ale lis zdegenerował się, zanim przybrał zdecydowany kształt i stał się wiewiórkami, parą wiewiórek, złączonych ciałem jak bliźniaki syjamskie, ale szybko rozłączyły się i...

Gordy zaczął krzyczeć. Machał rękami w górę i w dół, usiłował zrzucić z nich stwora.

Gorąco paliło teraz jak ogień. Ból stał się nie do wytrzymania.

Jezu, błagam.

Ból przeżerał się w górę ramion, do barków.

Wrzeszczał, łkał, postąpił chwiejnie naprzód, znów potrząsnął ramionami, usiłował rozewrzeć dłonie, ale stwór nie puszczał.

Na wół uformowane wiewiórki rozplęły się. Z amorficznej tkanki, którą trzymał i która trzymała jego, wyłonił się kot, szybko znikł i zrodziło się coś innego – Jezu, nie, nie, Jezu, nie! – coś owadziego, wielkości airedale'a, ale z sześciorgiem, ośmiorgiem oczu na ohydnej głowie i wieloma ostrymi odnóżami, i...

Ból rozszalał się na dobre. Gordy ciskał się na boki, padł na kolana, potem na bok. Kopał i miotał się w koszmarnym bólu, wił się, tłukł całym ciałem o chodnik.

Sara Yamaguchi wpatrywała się w tę scenę, nie wierząc własnym oczom. Bestia atakująca Gordy'ego zdawała się mieć całkowitą kontrolę nad swoim DNA. Potrafiła dowolnie zmieniać kształt ze zdumiewającą prędkością.

Taka istota nie istniała. Wiedziała o tym doskonale, była biologiem, genetykiem. Niemożliwe. A oto jednak tu była.

Pajęczy kształt zdegenerował się i na jego miejsce nie pojawił się żaden fantom. W naturalnym stanie istota była tylko kawałem galaretowatej tkanki, nakrapianej szaro-kasztanowo-czerwono. Czymś pomiędzy zогromniałą amebą i jakimś obrzydliwym grzybem. Opływała ręce Gordy'ego...

...i nagle jedna z nich wychyliła się spomiędzy otulającego ją śluzu. Ale to nie była już ręka. Boże, nie. To były same kości. Palce szkieletu, sztywne, białe, wytarte do czysta. Ciało zostało wyżarte.

Sara zachłysnęła się, zatoczyła w tył, pochyliła do skraju jezdni, z wymiotowała.

Jenny odciągnęła Lisę dwa kroki w tył, dalej od stwora, z którym zmagał się Gordy.

Dziewczyna wrzeszczała.

Śluz opływał kościstą dłoń, docierał do odartych z ciała palców, obejmował je, spowijał w rękawice pulsującej tkanki. W kilka sekund kości zniknęły również, rozplęły się, rękawica złożyła się w piłkę i spłynęła z powrotem w główne ciało organizmu. Stwór wił się obrzydliwie, kłębił sam w sobie, nabrzmiwał, uwypuklał w jednym miejscu, zapadał w drugim, zapadnięcie pojawiało się tam, gdzie przed chwilą było uwypuklenie; ono gorączkowo zmieniało kształt, jakby chwila bezruchu oznaczała śmierć. Szło w górę ramion Gordy'ego, a on rozpaczliwie usiłował się tego pozbyć, szło dalej, do barków, nie zostawiając za sobą nic, nic, żadnych kikutów, żadnych kości; zżerało wszystko. Zaczęło się również rozlewać po torsie i Gordy po prostu zniknął i nie powracał, jakby zapadał się w kadełko ostrego, żrącego kwasu.

Lisa odwróciła wzrok od umierającego człowieka i przyłgnęła do Jenny. Łkała.

Krzyki były nie do wytrzymania.

Tal miał już w ręce rewolwer. Ruszył do Gordy'ego.

Bryce zatrzymał go.

– Zwariowałeś? Tal, do cholery, jesteśmy bezsilni!

– Możemy zakończyć jego mękę.

– Nie podchodź za blisko do cholerstwa!

– Nie musimy podchodzić za blisko, żeby mieć łatwy cel.

Okrzyki Gordy'ego z każdą chwilą stawały się coraz bardziej nieznośne i teraz zaczął przyzywać pomocy boskiej, tłukł piętami o ziemię, wyginał się w łuk, wibrował od wysiłku, usiłując wyrwać się spod ciężaru koszmarnego napastnika.

Bryce skrzywił się w bolesnym grymasie.

– Dobra. Szybko.

Ostrożnie podeszli bliżej. Otworzyli ogień. Kilka pocisków doszło. Gordy przestał krzyczeć.

Szybko się wycofali.

Nie próbowali zabić stwora, który karmił się Gordym. Wiedzieli, że pociski nie odniosą skutku, i zaczęli rozumieć dlaczego. Pociski zabijają, niszczą główne organy i naczynia krwionośne. Ale wyglądało na to, że ten stwór nie posiadał żadnych organów ani normalnego układu krwionośnego. Ani szkieletu. Wyglądał na kawał niezróżnicowanej – choć bardzo rozwiniętej – protoplazmy. Pocisk przeszycie ją, ale zadziwiająco podatne ciało napłytnie w wycięty kanał i rana zaleczy się w jednej chwili.

Bestia żarła jeszcze bardziej gorączkowo niż przed chwilą, w milczącym szale. Po kilku sekundach znikł wszelki ślad po Gordym. Przestał istnieć. Tylko zmiennokształt urósł, stał się większy niż pies, którym był poprzednio, większy nawet niż Gordy, którego ciało wchłonał.

Tal i Bryce dołączyli do reszty. Imadło ciemności zwolna wypychało z nieba półmrok, a oni nie biegli do zajazdu. Stali wszyscy i obserwowali amebowatego stwora na chodniku.

Zaczął przybierać nowy kształt. W kilka sekund cała dowolnie zmieniająca formę protoplazma nabrała kształtu wielkiego, groźnego, szarego wilka. Kreatura odrzuciła do tyłu łeb, zawyla w niebo.

Przez pysk przeszła fala i poszczególne elementy srogiej maski zmieniły się. Tal dostrzegł, jak poprzez formę wilka usiłują się precyzyjnie przeliczyć ludzkie rysy. Ludzkie oczy zastąpiły oczy zwierza, wyklufa się część ludzkiego podbródka. Oczy Gordy'ego? Podbródek Gordy'ego? Przypominająca majaki choroby wilkołaczej metamorfoza trwała tylko sekundy, a potem rysy stwora znów powróciły do wilczej formy.

Wilkołak, pomyślał Tal.

Ale wiedział, że to nie to. To nic konkretnego. Kształt wilka, choć żywy i budzący lęk, był tak nieprawdziwy, jak wszystkie inne kształty.

Przez moment stało, patrząc im w twarze, obnażając niezwykle wielkie, groźnie zakrzywione ostre zęby. Wilk dużo większych rozmiarów niż jakikolwiek wilk, który kiedykolwiek przemierzał równiny i lasy tego świata. Oczy płonęły mu blaskiem brudno krwistego zachodu słońca.

Zaraz zaatakuję, pomyślał Tal.

Wystrzelił. Kule weszły w cel, ale nie zostawiły widzialnych ran, nie popłynęła krew, nie wywołały bólu.

Wilki odwrócił się od Tala, całkowicie obojętny na ogień, i pobiegł truchtem w kierunku otwartego włazu, w którym zniknęły elektryczne kable idące od połowych laboratoriów.

Nagle coś wysunęło się z włazu, rosło i rosło w szarości zmierzchu, drząc wystrzeliło w powietrze z niewiarygodną mocą; ciemna, pulsująca masa, jak zalew nieczystości, z tym że nie był to płyn, lecz galaretowata substancja, która przybrała kształt kolumny o podstawie prawie szerokości włazu, z którego w dalszym ciągu się wyłaniała obrzydliwymi, rytmicznymi wytryskami. Rosło to i rosło: cztery stopy, sześć, osiem...

Coś uderzyło Tala w plecy. Podskoczył, usiłując się obrócić, i uświadomił sobie, że tylko wpadł na ścianę zajazdu. Nie wiedział, że cofa się przed górującym stworem, który wyrastał z włazu.

Widział teraz, że pulsująca, falująca kolumna jest kolejnym ciałem bezforemnej protoplazmy, jak airedale, który stał się szarym wilkiem. Jednak ten stwór był o wiele większy niż pierwsza kreatura. Był ogromny. Tal zastanawiał się, ile tego jeszcze kryje się pod ulicą, i czuł, że odpływ burzowy był pełny, że widzą ledwie małą część bestii.

Kiedy osiągnęło wysokość dziesięciu stóp, przestało rosnąć i zaczęło się zmieniać. Górna część kolumny poszerzyła się w kaptur, zawój, tak że teraz stwór miał głowę kobry. Potem więcej amorficznego ciała wypłynęło ze śluzowatej, błyszczącej, poruszającej się kolumny i wpłynęło w kaptur. Poszerzał się coraz bardziej, aż w ogóle przestał przypominać kaptur; teraz była to para gigantycznych skrzydeł, ciemnych i membranoidalnych jak skrzydła nietoperza, które wyrastały z (nadal bezkształtnego)

kadłuba. A potem segment pomiędzy skrzydłami zaczął się różnicować – na szorstkie, zachodzące na siebie łuski – formowały się niewielkie łapy i szponiaste kończyny dolne. Oto stawał się skrzydlaty wąż.

Skrzydła zatrzepotały.

Ich dźwięk przypominał strzelanie z bata.

Tal wcisnął się plecami w ścianę.

Skrzydła trzepotały.

Lisa ścisnęła Jenny coraz mocniej.

Jenny obejmowała dziewczynę, ale oczy, umysł i wyobraźnię miała skupione na monstrualnym stworze, który powstał z odpływu burzowego. Kurczył się, pulsował i wibrował w świetle gasnącego słońca. Zdawał się cieniem pobudzonym do życia.

Skrzydła znów zatrzepotały.

Jenny poczuła zimny powiew wiatru.

Wyglądało na to, że ten nowy fantom odłączył się od reszty protoplazmy, spoczywającej w kanale. Jenny spodziewała się, że stwór podskoczy i uniesie się w dal w zapadający mrok – lub spadnie wprost na nich.

Serce Jenny tłuło się. Szalało.

Wiedziała, że nie ma drogi ucieczki. Byle ruch zwróci uwagę onego. Nie warto marnować energii na ucieczkę. Przed takim stworem nie ma się gdzie skryć.

Zapałały się kolejne latarnie. Cienie wślizgiwały się między nich chyłkiem, jak duchy.

Jenny obserwowała w osłupieniu, jak na szczycie dziesięciostopowej kolumny cętkowanej tkanki formuje się węzowa głowa. Para wypełnionych nienawiścią oczu wyłoniła się z bezkształtnego ciała; przypominało to oglądanie w przyspieszonym tempie filmu o rozroście złośliwych guzów. Zamglone oczy, wyraźnie ślepe, mlecznozielone owale szybko przejaśniały i uwidoczniły się podłużne czarne źrenice. Oczy spoglądały złowroźnie w dół, na Jenny i innych. Szeroki na stopę, długi pysk otworzył się gwałtownie: rząd ostrych, białych kłów wyrastał z czarnych dziąseł.

Jenny pomyślała o demonicznych imionach pobłyskujących na zielonych monitorach końcówek komputera, o imionach z piekła rodem, które stwór sobie nadał. Masa amorficznego ciała, przybierająca kształt skrzydlatego węża, była jak demon wezwany stamtąd.

Fantom-wilk, który wchłonął ciało Gordy'ego Brogana, zbliżył się do podstawy górującego węża. Otarł się o kolumnę pulsującego ciała i po prostu został wchłonięty. Nie trwało to dłużej niż mrugnięcie okiem; dwie kreatury stały się jedną.

Najwidoczniej pierwszy zmiennokształt nie był oddzielnym osobnikiem. Stał się obecnie tym, czym prawdopodobnie zawsze był: częścią gargantuicznego stwora, który poruszał się wewnątrz odpływów burzowych, pod ulicami. Ogromne ciało-matka mogło oddzielić części siebie i wysłać je do pojedynczych zadań – takich jak atak na Gordy'ego Brogana – a potem ściągnąć na zawołanie.

Skrzydła zatrzepotały i odgłos ten rozniósł się po całym mieście. Potem zaczęły z powrotem roztapiać się w kolumnie – stawała się coraz szersza, wchłaniała tkanę. Pysk węża też się rozmazywał. Ono znudziło się przedstawieniem. Łapy, trzy palce odnóża i groźne szpony, wycofały się do kolumny i nie pozostało nic poza kłębiącą się jak poprzednio śluzowatą masą ciemno cętkowanej tkanki. Przez kilka sekund stało w zapadającym mroku jak obraz zła, po czym poprzez właz i zaczęło opadać w dół, w odpływ burzowy.

Wkrótce przepadło.

Lisa przestała krzyczeć. Wpatrywała się w przestwór. Płakała.

Inni byli wstrząśnięci równie mocno jak dziewczyna. Spoglądali po sobie, ale nikt się nie odezwał.

Bryce wyglądał, jakby dostał pałką po głowie.

– Chodźmy. Wracajmy do zajazdu, zanim zrobi się ciemno – powiedział w końcu.

Przed frontowymi drzwiami zajazdu nie było wartownika.

– Kłopoty – stwierdził Tal.

Bryce skinął głową. Minał ostrożnie dwuskrzydłowe drzwi i prawie wszedł na rewolwer. Leżał na podłodze. Hall był pusty.

– Do cholery! – odezwał się Frank Autry.

Przeszukali budynek, pokój po pokoju. Nikogo w stołówce. Nikogo w sypialni. Kuchnia też pusta. Nie oddano strzału. Nikt nie zawołał. Nikt też nie uciekł.

Dziesięciu kolejnych policjantów zniknęło. Zapadła noc.

Wszyscy którym udało się zostać przy życiu – Bryce, Tal, Frank, Jenny, Lisa i Sara – stali w oknach hallu Zajazdu Na Wzgórzu. Skyline Road ozdobiona wyraźnymi wzorami z cieni i światła latarni była nieruchoma i cicha. Noc cicho odliczała czas – jak bomba zegarowa.

Jenny wspominała kryty pasaż obok Cukierni Libermannów. Poprzedniej nocy myślała, że coś jest w krokwiach, a Lisie wydało się, że jakieś stworzenie przywarowało przy ścianie. Bardzo możliwe, że obie miały rację. Zmiennokształt, a przynajmniej jego część, wił się bezszelestnie między krokwiemi i przy ścianie. Później, kiedy Bryce dojrzał jakiś przebłysk w odpływie burzowym, z pewnością widział mroczną bryłę protoplazmy, czołgającą się kanałem. Śledziła ich albo zajmowała się jakimś nieznanym, nie dającym się rozszyfrować zadaniem.

– Tajemnice zamkniętych pokoi nagle przestają być tajemnicami – powiedziała Jenny, mając na myśli Oxleyów w zabarykadowanym małym pokoju. – Ten stwór potrafi przesączyć się pod drzwiami albo przewodem wentylacyjnym. Wystarczy najmniejsza dziura lub szczelina. A co do Harolda Ordna... Gdy się zamknął w łazience, stwór dopadł go przez rury umywalni i wanny.

– To samo prawdopodobnie z ofiarami w zamkniętych samochodach – powiedział Frank. – Mogło otoczyć samochód, zamknąć go w sobie i wcisnąć się przez otwory wentylacyjne.

– Może poruszać się naprawdę cicho – dodał Tal. – Dlatego zaskoczyło tylu ludzi. Zakradało się od tyłu, spod drzwi albo z otworów wentylacyjnych, rosło i rosło, ale ludzie nie wiedzieli, że jest, dopóki nie zaatakowało.

Lekka mgła napłynęła z doliny i zaczęła podnosić się na ulicy. Mgliste aureole formowały się wokół lamp ulicznych.

– Jak myślicie, jakie jest duże? – spytała Lisa.

Przez moment nikt nie odpowiedział.

– Duże – odezwał się w końcu Bryce.

– Może wielkości willi – powiedział Frank.

– Albo całego tego zajazdu – dodała Sara.

– Albo nawet większe – uzupełnił Tal. – Przecież uderzyło we wszystkich częściach miasta, prawdopodobnie równocześnie. Może być jak... jak podziemne jezioro, jezioro żywej tkanki pod Snowfield.

– Jak Bóg – powiedziała Lisa.

– Hę?

– Jest wszędzie – ciągnęła Lisa. – Widzi i wie wszystko. Jak Bóg.

– Mamy pięć wozów patrolowych – rzekł Frank. – Jeśli się rozdzielimy, wsiądziemy do wszystkich i wyjedziemy dokładnie o tej samej porze...

– Ono nas zatrzyma – rzekł Bryce.

– Może nie zdoła zatrzymać wszystkich. Może jeden wóz się przedrze.

– Zapanowało nad całym miastem.

– No... taak – przyznał z oporem Frank.

– W każdym razie prawdopodobnie podsłuchuje nas w tej właśnie chwili – powiedziała Jenny. – Zatrzyma nas, zanim dojdziemy do aut.

Wszyscy spojrzeli na wyloty przewodów wentylacyjnych pod sufitem. Nic nie można było zobaczyć

za metalowymi kratkami. Nic – tylko ciemność.

Zgromadzili się wokół stołu w fortecy, która przestała być fortecą. Udawali, że mają ochotę na kawę, ponieważ każdy posiłek dawał im poczucie wspólnoty i normalności.

Bryce nie zwracał sobie głowy wystawianiem straży przy drzwiach. Straż była bezużyteczna. Jeśli ono zechce, dopadnie ich z pewnością.

Mgła gęstniała. Napierała na szyby.

Musieli porozmawiać o tym, co widzieli. Wszyscy mieli świadomość, że śmierć wyciąga po nich rękę, więc chcieli zrozumieć, dlaczego i jak mają umrzeć. Śmierć budzi grozę, o tak; ale dopiero bezsensowna śmierć jest naprawdę straszna.

Bryce wiedział, co to jest bezsensowna śmierć. Rok temu jadąca na oślep ciężarówka nauczyła go wszystkiego na ten temat.

– Ta ćma – zaczęła Lisa – czy była jak airedale, jak ten stwór który... który dopadł Gordy'ego?

– Tak – powiedziała Jenny. – Ćma była tylko fantomem, drobnym kawałkiem tego zmiennokształtu.

– Kiedy Stu Wargle dobierał się do ciebie zeszłej nocy – tłumaczył Tal – to nie był faktycznie on. Zmiennokształt prawdopodobnie wchłonął trupa Wargle'a, gdy złożyliśmy go w pomieszczeniu gospodarczym. A potem, kiedy ono chciało cię sterroryzować, przybrało jego postać.

– Zdaje się – powiedział Bryce – że ten cholerny stwór może przybrać postać każdej osoby lub zwierzęcia, które zjadło.

Lisa zmarszczyła brwi.

– Ale co z ćmą? Jak ono mogło zjeść coś takiego jak ta ćma? Nic takiego nie istnieje.

– No cóż – wyjaśniał Bryce – może owady o takich rozmiarach istniały dawno temu, dziesiątki milionów lat wstecz, w epoce dinozaurów. Może wtedy zmiennokształt żywił się nimi.

Oczy Lisy były jak spodki.

– Mówi pan, że ten stwór z kanału może mieć miliony lat?

– Cóż, na pewno nie odpowiada znanym prawom biologii – prawda, doktor Yamaguchi?

– Prawda – potwierdziła genetyczka.

– Więc dlaczego nie mogłoby być nieśmiertelne?

Jenny miała sceptyczny wyraz twarzy.

– Masz wątpliwości? – pytał Bryce.

– Co do tego, że jest nieśmiertelne? Albo prawie nieśmiertelne? Nie. Kupuję to. To może być coś z mezozoiku i, zgoda, umie się tak odnawiać, że jest dosłownie nieśmiertelne. Ale jak się ma do tego uskrzydłony wąż? Cholernie trudno mi uwierzyć, że coś takiego istniało kiedykolwiek. Jeśli zmiennokształt staje się tylko tym, co uprzednio strawił, to jak może stać się uskrzydłonym wężem?

– Takie zwierzęta istniały – powiedział Frank. – Pterodaktyle były skrzydlatymi gadami.

– Może – powątpiewała Jenny. – Ale ten stwór wyglądał jak z bajki.

– Nie – powiedział Tal. – Był prosto z woodu.

Bryce, zaskoczony, obrócił się do Tala.

– Woodu? A co ty wiesz o woodu?

Tal nie patrzył Bryce'owi w oczy i mówił z wyraźnym oporem.

– W Harlemie, kiedy byłem mały, żyła taka ogromnie tłusta pani, Agatha Peabody. Mieszkała w naszym domu i była *boko*. To taka wiedźma, która stosuje woodu dla niemoralnych i złych celów. Sprzedawała uroki i zaklęcia, pomagała ludziom wyrównywać rachunki z ich wrogami, te rzeczy. Same bzdury. Ale dla dziecka to było straszne i podniecające. Pani Peabody prowadziła otwarty dom, klienci

i natręci wchodzili i wychodzili o każdej porze dnia i nocy. Spędzałem tam dużo czasu, słuchając i patrząc. I było tam sporo książek na temat czarnej magii. W kilku widziałem rysunki haitańskich i afrykańskich wersji Szatana, diabłów woodu i dżdżu. Jednym z nich był gigantyczny skrzydlaty waż. Czarny, ze skrzydłami nietoperza. I straszliwymi, zielonymi oczami. Był dokładnie taki jak stwór, którego widzieliśmy dziś wieczór.

Mgła za oknami stała się bardzo gęsta. Kłębiła się ospale w przyćmionym blasku lamp.

– Czy to naprawdę diabeł? Demon? Coś z piekła?

– Nie – powiedziała Jenny. – To tylko... poza.

– Dlaczego więc ono przybiera postać diabła? – pytała Lisa. – I dlaczego nazywa siebie imionami demonów?

– Wydaje mi się, że bawią je sataniczne fetysze – wtrącił Frank. – Jeszcze jeden sposób, żeby szydzić z nas i nas łamać.

– Podejrzewam, że ono nie ogranicza się do kształtów swych ofiar – zastanawiała się Jenny. – Ono potrafi przybrać kształt wszystkiego, co wchłonęło, i wszystkiego, co jest zdolne sobie wyobrazić. Więc jeśli jedna z ofiar wiedziała o woodu, z jej wiedzy zaczerpnęło pomysł na uskrzydłonego węża.

Ta myśl zaskoczyła Bryce'a.

– Chcesz powiedzieć, że ono wchłania nie tylko ciało ofiar, ale również ich wiedzę i pamięć?

– Tak to właśnie wygląda – przytaknęła Jenny.

– Biologia zna takie przypadki – powiedziała Sara Yamaguchi, przeczesując swe długie czarne włosy rękami i nerwowo wsuwając kosmyki za delikatne uszy. – Na przykład... jeśli przepuścicie pewien gatunek płazińca wystarczającą ilość razy przez labirynt, na którego końcu znajduje się pokarm, w końcu pokona labirynt wcześniej niż na początku. Później, kiedy zmieli się go i nakarmi nim innego płazińca, nowy osobnik pokona labirynt równie szybko. Nowy płazinić w jakiś sposób zjada wiedzę i doświadczenie swego kuzyna, zjadając jego ciało.

– I w ten sposób zmiennokształt wie o Timothy Flyte'cie – powiedziała Jenny. – Harold Ordway wiedział o Flyte'cie, więc teraz ono o nim też wie.

– Ale jak, na Boga, Flyte dowiedział się o nim? – spytał Tal.

Bryce wzruszył ramionami.

– Na to pytanie może odpowiedzieć tylko Flyte.

– Dlaczego ono nie porwało Lisy z toalety? A w ogóle dlaczego nie porwało nas wszystkich?

– Jesteśmy jego zabawkami.

– Ma z nas zabawę. Chorą zabawę.

– Właśnie. Ale myślę, że pozwoliło nam żyć, żebyśmy mogli opowiedzieć Flyte'owi, co widzieliśmy, i żebyśmy go tu zwabili.

– I opowiedzieli Flyte'owi o propozycji żelaznego listu.

– Jesteśmy tylko przynętą.

– A kiedy odegramy naszą rolę...

– Tak.

Coś uderzyło głucho i mocno o mur zajazdu. Okna się zatrzęsły, cały budynek zadygotał.

Bryce zerwał się tak szybko, że przewrócił krzesło.

Następne walnięcie. Mocniejsze, głośniejsze. Drapanie.

Bryce słuchał w skupieniu, próbował umiejscowić dźwięk. Dobiegał jakby od strony północnej.

Klekot, grzechot. Stukot kości. Jak szkielet dawno zmarłego człowieka, szponiastymi dłońmi

drażącego tunel z grobowca.

– Coś dużego – rzekł Frank. – Wspina się po murze.

– Zmiennokształt – powiedziała Lisa.

– Ale nie w galaretowatej formie – dodała Sara. – W swoim naturalnym stanie wzniosłoby się w górę cicho.

Wszyscy wpatrywali się w sufit, słuchali, czekali.

Jaki fantasmagoryczny kształt przybierze tym razem? – zastanawiał się Bryce.

Drapanie. Pukanie. Stukot.

Odgłosy śmierci.

Dłoń Bryce'a była zimniejsza niż chwyt jego rewolweru.

Cała szóstka podeszła do okna. Wyjrzeni. Wszędzie wirowała mgła.

W dole ulicy, prawie przecnicę dalej, w półcieniu i świetle lampy lodowej, coś się poruszyło. Na wpół widzialne. Groźny cień, zniekształcony jeszcze przez mgłę. Bryce dojrzał zarys kraba wielkości samochodu. Mignięcie pajęczego odnóża. Błysnęły monstrualne szczypce z wykrojonymi jak piła brzegami, natychmiast pochłonięte przez mrok. Gorączkowo drżące, szperające czułki. Stworzenie umknęło w noc.

– To właśnie włązi na budynek – powiedział Tal. – Inny cholerny krab. Coś prosto z delirium alkoholika.

Usłyszeli, jak dotarło na dach. Chitynowe odnóża zastukały, drapnęły dachówki.

– O co mu chodzi? – zapytała z niepokojem Lisa. – Dlaczego wciąż udaje coś innego?

– Może po prostu naśladownictwo je bawi – powiedział Bryce. – Wiesz... tak samo jak niektóre tropikalne ptaki lubią imitować dźwięki dla samej przyjemności posłuchania siebie.

Hałasy na dachu ustały.

Czekali.

Noc zdawała się przyczajona jak dzikie zwierzę, wpatrujące się w swą ofiarę, czekające na moment stosowny do ataku.

Byli zbyt niespokojni, żeby usiąść. Nadal stali przy oknie. Na dworze ruchoma była tylko mgła.

– Teraz całościowe posiniaczenie jest zrozumiałe – powiedziała Sara Yamaguchi. – Zmiennokształt obejmował i ścisnął swoje ofiary. Więc posiniaczenie powstawało w wyniku brutalnego, długotrwałego, stosowanego równomiernie uścisku. Stąd też uduszenia: zmiennokształt spowijał ofiary, zamykał w sobie.

– Zastanawiam się – zamyśliła się Jenny – czy wtedy wydziela konserwant.

– Tak, prawdopodobnie – zgodziła się Sara. – Dlatego brak ukłuc na badanych trupach. Konserwant najprawdopodobniej wnika osmotycznie.

Jenny pomyślała o Hildzie Beck, swojej gosposi, pierwszej znalezionej ofierze.

Zadrzała.

– Woda – powiedziała Jenny.

– Co? – spytał Bryce.

– Te kałuże destylowanej wody, które znaleźliśmy. Zmiennokształt wydalął wodę.

– Jak to sobie wyobrażasz?

– Ludzkie ciało składa się głównie z wody. Więc kiedy stwór wchłonał ofiary, zużywał każdy miligram soli mineralnych, każdą witaminę, każdą użyteczną kalorię, a wydalął to, co niepotrzebne: absolutnie czystą wodę. Te kałuże to wszystko, co pozostało z setek zaginionych ludzi. Żadnych ciał.

Żadnych kości. Tylko woda... która już wyparowała.

Hałasy na dachu nie powtórzyły się. Zapanowała cisza. Krab-fantom przepadł.

W ciemności, we mgle, w żółtym świetle sodowych lamp ulicznych nic się nie poruszało.

W końcu odwrócili się plecami do okna i usiedli przy stole.

– Czy to cholera da się zabić? – zastanawiał się Frank.

– Mamy pewność, że pociski nie załatwią sprawy – powiedział Tal.

– Ogień? – spytała Lisa.

– Żołnierze mieli bomby ogniowe własnego wyrobu – przypomniała Sara. – Ale zmiennokształt najwyraźniej uderzył tak nagle, tak nieoczekiwanie, że nikt nie miał czasu złapać za butelkę i zapalić zapalnik.

– Poza tym – zaopiniował Bryce – ogień najprawdopodobniej nie załatwi sprawy. Jeśli zmiennokształt zapali się, to po prostu... cóż... odłączy się od części ogarniętej płomieniami i przejdzie główną partią cielską w bezpieczne miejsce.

– Środki wybuchowe prawdopodobnie też są bezużyteczne – dodała Jenny. – Założę się, że kiedy rozsądzi się tego stwora na tysiąc kawałków, powstanie tysiąc mniejszych zmiennokształtów, które spletną się znów razem, nie zniszczone.

– No to da się go zabić czy nie? – Frank powtórzył pytanie.

Milczeli, zastanawiali się.

– Nie – rzekł wreszcie Bryce. – Ja nie widzę sposobu.

– Więc co możemy zrobić?

– Nie wiem – powiedział Bryce. – Po prostu nie wiem.

Frank Autry połączył się z Ruth i rozmawiał z nią blisko pół godziny. Tal zadzwonił, z drugiego telefonu, do paru przyjaciół. Później Sara Yamaguchi zajęła jedną z linii na prawie całą godzinę. Jenny zatelefonowała do kilku osób, w tym do ciotki w Newport Beach, z którą porozmawiała również Lisa. Bryce porozmawiał z kilkoma policjantami w komisariacie w Santa Mira, z ludźmi, z którymi pracował od lat i z którymi wiązała go więź braterstwa. Porozmawiał też z rodzicami, mieszkającymi w Glendale, i z ojcem Ellen w Spokane.

Rozmowy całej szóstki były pełne animuszu. Mówili, że rozprawią się ze stworem i że szybko opuszczą Snowfield.

Jednakże Bryce wiedział, że wszyscy starają się robić dobrą minę do złej gry. Wiedział, że to nie są zwykle rozmowy telefoniczne; pomimo pozorów optymizmu te wymiany zdań miały jeden ponury cel; szóstka, której udało się przeżyć, mówiła „do widzenia”.

Sal Corello, agent reklamowy wynajęty do opieki nad Timothy Flyte'em na Lotnisku Międzynarodowym San Francisco, był drobnym, ale silnie umięśnionym mężczyzną, z włosami żółtymi jak kolba kukurydzy i oczami w kolorze głębokiego błękitu. Miał wygląd przywódcy. Gdyby mierzył sześć stóp dwa cale zamiast pięciu stóp jednego cala, jego twarz mogłaby być równie sławna jak twarz Roberta Redforda. Jednakże jego inteligencja, spryt i agresywny urok wyrównywały niedostatek wzrostu. Wiedział, jak osiągnąć to, czego potrzebowali jego klienci – i on sam.

Zwykle Corello potrafił przymusić nawet dziennikarzy do takiego zachowania, że można było błędnie uznać ich za ludzi cywilizowanych. Ale nie dzisiaj. Sensacja była zbyt wielka i świeża. Corello w życiu nie widział czegoś podobnego: setki reporterów i ciekawskich runęło na Flyte'a w chwili, kiedy go zobaczyli. Napierali na profesora, szarpali nim, wsadzali pod nos mikrofony, oślepiali fleszami, gorączkowo wykrzykując pytania: – Doktorze Flyte?... Profesorze Flyte?... Flyte! – Flyte, Flyte-Flyte-Flyte, FlyteFlyteFlyteFlyte... Pytania zatarły się w bełkot. Sala Corella bolały uszy. Profesor najpierw był oszołomiony, potem przestraszony. Corello wziął mocno pod ramię starszego pana i przeprowadził przez otaczającą ich ciżbę, działając jak mały, ale bardzo skuteczny taran. Wyglądało na to, że nim dotrą do niewielkiego podium, które Corello i funkcjonariusze ochrony lotniska wzniesli na końcu hali, profesor Flyte wyzionie ducha ze strachu.

Corello stanął przed mikrofonem i szybko uciszył tłum. Nakłonił zebranych, by pozwolili Flyte'owi wygłosić krótkie oświadczenie, obiecał, że będą mogli potem zadać kilka pytań, przedstawił mowę i zmył się z podium.

Kiedy wszyscy uzyskali sposobność dobrego przyjrzenia się Timothy'emu Flyte'owi, nie byli w stanie ukryć sceptycyzmu. Corello dojrzał to na twarzach: doskonale widoczną obawę, że Flyte robi z nich balona. Rzeczywiście Flyte wyglądał na pomyleńca. Siwe włosy stały mu na głowie, jakby właśnie wsadził palec do kontaktu. Oczy miał wytrzeszczone i ze strachu, i z chęci zapanowania nad zmęczeniem, a jego sfatygowana twarz przypominała oblicze roztrzęsionego pijacka. Był nie ogolony. Ubranie wisiało na nim jak worek, wymięte i nieświeże. Corellowi kojarzył się z jednym z tych ulicznych fanatyków, głoszących nieuchronny Armageddon.

Burt Sandler, wydawca z firmy Wintergreen i Wyle, telefonując wcześniej z Londynu, przygotował Corella na to, że Flyte może wyrzucić negatywne wrażenie na dziennikarzach. Sandler martwił się niepotrzebnie. Dziennikarze niecierpliwiili się wprawdzie, gdy Flyte chrząkał dobrych parę razy do mikrofonu, ale kiedy w końcu zaczął mówić, oczarował ich w minutę. Opowiedział im o kolonii Roanoke Island, o zniknięciu cywilizacji Majów, o tajemniczej depopulacji życia morskiego i o armii, która zniknęła w 1711 roku. W tłumie zaległa cisza. Corello odetchnął.

Flyte opowiadał teraz im o wiosce Eskimosów Anjikuni, pięćset mil na północny wschód od posterunku Królewskiej Policji Konnej w Churchill. W śnieżne popołudnie francusko-kanadyjski traper i kupiec, Joe LaBelle, zatrzymał się w Anjikuni – tylko po to, żeby odkryć, iż wszyscy mieszkańcy zniknęli. Cały dobytek, w tym cenne strzelby myśliwskie, porzucono. Posiłki stały, nie dojedzone. Psie zaprzęgi (ale bez psów) zostały, co znaczyło, że nie było sposobu, aby cała wieś mogła przenieść się łądem w inne miejsce. Osiedle, jak później określił to LaBelle, było „niesamowite, jak cmentarz w głuchą noc”. LaBelle szybko udał się na posterunek Policji Konnej w Churchill. Rozpoczęto szeroko zakrojone śledztwo, ale nigdy nie znaleziono śladu po mieszkańcach wioski.

Kiedy reporterzy robili notatki i kierowali mikrofony magnetofonów na Flyte'a, on opowiedział im o swojej (jakże potępianej!) teorii odwiecznego wroga. Rozległy się zduszone okrzyki zdumienia, pojawiły niedowierzające spojrzenia, ale obyło się bez hałaśliwych dopytywań lub wyraźnych oznak niedowiarstwa.

Ledwo Flyte skończył czytać przygotowane oświadczenie, Sal Corello sprzeniewierzył się obietnicy krótkich wywiadów, ujął Flyte'a pod ramię i pociągnął do drzwi za podium.

Dziennikarze zawyli z oburzenia na tę zdradę. Runęli za Flyte'em.

Corello i profesor weszli do służbowego korytarza, w którym czekało kilku pracowników służby bezpieczeństwa lotniska. Jeden ze strażników zatrzasnął i zamknął drzwi na klucz, odcinając dziennikarzy, którzy zawyli jeszcze głośniejsze niż poprzednio.

– Tędy – powiedział strażnik.

– Tą drogą, do helikoptera – dodał drugi.

Szli szybko labiryntem korytarzy, w dół po betonowych stopniach i przez stalowe drzwi przeciwpożarowe wyszli na smagane wiatrem lądowisko, gdzie czekał elegancki niebieski helikopter. Był to wygodny, dobrze zaopatrzony jetranger II bella, maszyna dla kadr kierowniczych.

– To helikopter gubernatora – poinformował Corello Flyte'a.

– Gubernatora? – zdziwił się Flyte. – On tu jest?

– Nie. Ale oddał swój helikopter do pańskiej dyspozycji.

Kiedy wchodzili do wygodnej kabiny pasażerskiej, wirniki zaczęły kręcić się nad ich głowami.

Przyciskając czoło do szyby Timothy Flyte obserwował, jak San Francisco szybko niknie w ciemności nocy.

Ogarnęło go podniecenie. Przed wylądowaniem otumaniony i rozespany – teraz czujny, płonął chęcią poznania prawdy o wydarzeniach w Snowfield.

Jetranger miał wysoką prędkość podróży jak na helikopter i lot do Santa Mira trwał mniej niż dwie godziny. Corello – człowiek sprytny, wyszczekany, dowcipny – pomógł Timothy'emu przygotować następne oświadczenie dla czekającej prasy. Podróż minęła szybko.

Z głuchym uderzeniem dotknęli ziemi w środku ogrodzonego parkingu za komisariatem. Corello otworzył drzwi kabiny pasażerskiej, jeszcze zanim wirniki przestały się kręcić, wyskoczył z maszyny i szarpany podmuchami idącymi od śmigieł podał dłoń Timothy'emu.

Agresywny tłum dziennikarzy – jeszcze większy niż w San Francisco – wypełniał uliczkę. Napierali na drucianą siatkę, wykrzykiwali pytania, wyciągali mikrofony i robili zdjęcia.

– Zapoznamy ich z oświadczeniem potem, kiedy nam będzie wygodnie – powiedział Corello, przekrzykując wrzawę. – W tej chwili policja czeka, żeby połączyć pana z szeryfem tam, w Snowfield.

Kilku zastępców wprowadziło Timothy'ego i Corella do biura, gdzie czekał na nich umundurowany mężczyzna. Nazywał się Charlie Mercer. Był dobrze zbudowany, miał najbardziej krzaczaste brwi, jakie Timothy widział w życiu, i energię oraz skuteczność działania sekretarki prezesa wielkiej korporacji.

Timothy został doprowadzony do fotela za biurkiem.

Mercer wystukał numer w Snowfield. Łączył się z szeryfem Hammondem. Linię połączono z głośnikiem konferencyjnym, tak że Timothy nie musiał korzystać ze słuchawki i wszyscy w pokoju słyszeli całą rozmowę.

Hammond odpalił pierwszy ładunek, ledwie wymienili z Timothyem pozdrowienia.

– Doktorze Flyte, widzieliśmy odwiecznego wroga. Lub przynajmniej to, co pan miał na myśli. Jest to ogromny... ameboidalny stwór. Zmiennokształt, zdolny naśladować wszystko.

Ręce drżały Timothy'emu; uchwycił się poręczy fotela.

– Mój Boże.

– Czy taki jest ten pański odwieczny wróg?

– Tak. Przeżytek z innej ery. Liczy miliony lat.

– Powie pan nam więcej, kiedy pan tu przyjedzie – powiedział Hammond. – Jeśli uda mi się pana przekonać, żeby pan przyjechał.

Do Timothy'ego docierała tylko połowa tego, co szeryf mówił. Myślał o odwiecznym wrogu. Pisał o nim, szczerze wierzył w jego istnienie. A jednak nie był przygotowany na potwierdzenie swej teorii. Teraz przeżył wstrząs.

Hammond opowiedział mu o ohydnej śmierci, jaka dotknęła zastępcę Gordy'ego Brogana.

Poza samym Timothyem tylko Sal Corello wyglądał na oszołomionego i przerażonego opowieścią Hammonda. Mercer i inni najwidoczniej słyszeli to wszystko przed kilkoma godzinami.

– Widzieliście to i żyjecie? – pytał zadziwiony Timothy.

– Ono musiało zostawić kogoś z nas przy życiu – powiedział Hammond – żebyśmy przekonali pana do przyjazdu. Gwarantuje panu list żelazny.

Timothy, zamyślony, żuł dolną wargę.

– Doktorze Flyte? – spytał Hammond. – Jest pan tam?

– Co? Och... tak. Jestem, jestem. Co pan chce przez to powiedzieć, że ono gwarantuje mi list żelazny?

Hammond opowiedział mu zadziwiającą historię o kontakcie z odwiecznym wrogiem za pomocą komputera.

Timothy złał się potem. Na biurku zobaczył pudełko chusteczek higienicznych, zaczerpnął je pełną garścią i otarł twarz.

Kiedy szeryf skończył, profesor wziął głęboki oddech i odezwał się z wysiłkiem:

– Nigdy nie oczekiwałem... to znaczy... no, nigdy nie przyszło mi do głowy, że...

– Że co? – spytał Hammond.

Timothy chrząknął.

– Nigdy nie przyszło mi do głowy, że odwieczny wróg może posiadać inteligencję równą inteligencji człowieka.

– Podejrzewam, że ma nawet wyższą – powiedział Hammond.

– Ale ja zawsze wyobrażałem sobie, że jest tępym zwierzakiem z ograniczoną samoświadomością.

– Jest inaczej.

– To czyni je o wiele bardziej niebezpiecznym. Mój Boże. O wiele bardziej niebezpiecznym.

– Przyjedzie pan tu? – spytał Hammond.

– Nie zamierzałem zbliżyć się bardziej, niż się już zbliżyłem – powiedział Timothy. – Ale jeśli ono jest inteligentne i proponuje mi list żelazny...

W telefonie zaświergotał dziecięcy głos, słodziutki głos małego chłopczyka, może pięcio-, sześciolatniego:

– Proszę, proszę, proszę przyjechać i pobawić się ze mną, doktorze Flyte. Proszę przyjechać na figielki. Dobra?

Zanim Timothy zdążył odpowiedzieć, zabrzmiał kobiecy głos, łagodny jak muzyka:

– Tak, drogi doktorze Flyte, proszę, niech pan nie pozbawia nas swojego towarzystwa. Czekamy z niecierpliwością. Nikt pana nie skrzywdzi.

W końcu na linii usłyszeli głos dojrzałego mężczyzny, ciepły i wyrozumiały:

– Ileż pan jeszcze musi się o mnie dowiedzieć, doktorze Flyte! Ileż wiedzy czeka na zgłębienie! Proszę przyjechać i rozpocząć swe badania. Propozycja listu żelaznego jest szczerą.

Cisza.

– Halo? Halo? Kto to? – pytał zmieszany Timothy.

– Jestem – powiedział Hammond.

Inne głosy zamilkły.

– Teraz jestem tylko ja – powtórzył Hammond.

– Ale kim byli ci ludzie? – zapytał Timothy.

– To faktycznie nie byli ludzie. To fantomy. Naśladownictwo. Nie pojmuję pan? Trzema różnymi głosami ono powtórzyło panu propozycję żelaznego listu. To odwieczny wróg, doktorze.

Timothy spojrział na czterech mężczyzn w pokoju. Wszyscy wpatrywali się z napięciem w czarną konferencyjną skrzynkę, z której dochodził głos Hammonda – i inne głosy.

Ściskając przemoczone chusteczki, Timothy otarł mokrą od potu twarz.

– Przyjadę.

Teraz wszyscy w pokoju spojrzeli na niego.

– Doktorze, nie ma najmniejszego powodu wierzyć, że ono dotrzyma obietnicy. Jeśli już się pan tam wybiera, może pan już spisywać testament.

– Ale jeśli jest inteligentne...

– To nie znaczy, że zagrywa uczciwie – powiedział Hammond. – Wszyscy tutaj wiemy na pewno jedno: ta kreatura jest samą esencją zła. Zła, doktorze Flyte. Czy uwierzyłby pan w obietnicę diabła?

Dziecięcy głosik pojawił się na linii, nadal śpiewny i słodki:

– Jeśli się pan zjawi, doktorze Flyte, oszczędzę nie tylko pana, ale tych sześcioro ludzi, którzy siedzą tu w pułapce. Jeśli pan przyjedzie na figielki, puszczę ich. A jak pan nie przyjedzie, wezmę się za te świnię. Rozwalę ich. Wycisnę z nich całą krew, całe gówno. Zetrę na miazgę, nic z nich nie zostanie.

Te słowa wypowiedziane lekkim, niewinnym, dziecięcym głosem przerażały dużo bardziej, niż gdyby wyrzeszczał je rozwścieczony basso profundo.

Timothy'emu waliło serce.

– To załatwia sprawę – powiedział. – Przyjadę. Nie mam wyboru.

– Niech pan nie bierze nas pod uwagę – przekonywał Hammond. – Ono może oszczędzić pana, bo nazywa pana swoim świętym Mateuszem, Markiem, Łukaszem i Janem. Ale jest jasne jak cholera, że nas nie oszczędzi, bez względu na to, co mówi.

– Przyjadę – powtórzył z uporem Timothy.

Hammond zawahał się.

– Bardzo dobrze. Jeden z moich ludzi z Santa Mira podwiezie pana do blokady w Snowfield. Stamtąd musi pan przyjechać sam. Nie mogę ryzykować życia następnego człowieka. Prowadzi pan?

– Tak, sir – powiedział Timothy. – Pan dostarcza samochód i ja dojeżdżam sam.

Połączenie zostało zerwane.

– Halo? – odezwał się Timothy. – Szeryfie?

Żadnej odpowiedzi.

– Jest pan tam? Szeryfie Hammond?

Nic.

Ono odcięło uczonego od szeryfa.

Timothy spojrzął na Sala Corella, Charliego Mercera i dwóch mężczyzn, których nazwisk nie znał.

Wszyscy wpatrywali się w niego, jakby leżał już w trumnie.

Ale jeśli umrę w Snowfield, jeśli zmiennokształt mnie porwie, pomyślał, nie będzie żadnej trumny. Żadnego grobu. Żadnego wiecznego spoczywania.

– Podwiozę pana do blokady – powiedział Charlie Mercer. – Sam pana podwiozę.

Timothy kiwnął głową. Nadszedł czas wyjazdu.

TWARZĄ W TWARZ

O 3.15 zaczęły bić dzwony kościelne w Snowfield.

W hallu Zajazdu Na Wzgórzu Bryce podniósł się ze swojego fotela. Inni też wstali.

Syrena w remizie wyła.

– Flyte przyjechał – powiedziała Jenny.

Cała szóstka wyszła na dwór.

Lampy uliczne zapalały się i gasły, cienie jak marionetki skakały poprzez ruchome zwały mgły.

U wylotu Skyline Road zza rogu wyjechał samochód. Reflektory nakłuwały ciemność, dodając srebrzystego poblasku mgle.

Lampy przestały mrugać, a Bryce wszedł w łagodny wodosпад żółtego światła z nadzieją, że Flyte ujrzy go przez welony mgły.

Dzwony nie przestawały bić i syrena zawyła, a samochód z wolna wspinał się pod górę. Był to zielono-biały wóz patrolowy wydziału szeryfa. Zjechał do krawężnika i zatrzymał się dziesięć stóp przed Bryce'em; kierowca zgasił silnik.

Otworzyły się drzwi i wysiadł Flyte. Wyglądał inaczej, niż go sobie Bryce wyobrażał. Jego oczy za grubymi okularami wydały się nienormalnie duże. Cienkie, siwe, rozwichrzone włosy tworzyły aureolę nad głową. W komisariacie pożyczono mu nieprzemakalną kurtkę z herbem Wydziału Szeryfa Okręgu Santa Mira na lewej piersi.

Dzwony przestały bić.

Syrena zajęczała i zgasła w gardłowym pomruku.

Zapadła głęboka cisza.

Flyte obiegił spojrzeniem okrytą mgłą ulicę, słuchał i czekał.

– Wydaje się, że ono nie jest gotowe do pokazania się – powiedział Bryce.

Flyte obrócił się do niego.

– Szeryf Hammond?

– Tak. Wejźmy do środka i czekajmy w wygodnych warunkach.

Sala restauracyjna zajazdu. Gorąca kawa.

Trzęsące się ręce z brzękiem postawiły kubki na stole. Zdenerwowane ręce objęły gorące naczynia, usiłując zapanować nad drżeniem.

Cała szóstka – wszyscy którym udało się przeżyć, pochylili się nad stołem, chcąc lepiej słyszeć, co doktor Flyte ma do powiedzenia.

Lisa była wyraźnie oczarowana brytyjskim uczonym. Jenny zrazu miała poważne wątpliwości. Wyglądał jak karykatura roztargnionego profesora. Ale kiedy zaczął wykladać swoją teorię, niekorzystne wrażenie ulotniło się i niebawem Jenny była równie zafascynowana jak Lisa.

Znów opowiedział o znikających armiach w Hiszpanii i w Chinach, o porzuconych miastach Majów, kolonii Roanoke Island.

I opowiedział im o Joya Verde, osiedlu w dżungli Ameryki Południowej, które spotkał los podobny do losu Snowfield. Joya Verde – Zielony Klejnot, było faktorią handlową nad Amazonką, położoną daleko od cywilizacji. Pewnego dnia w 1923 roku sześciuset pięcioro ludzi – co do jednego – zniknęło z Joya Verde. Stało się to w porze między porannymi a wieczornymi odwiedzinami regularnie przyplływających łodzi. Początkowo sądzono, że to pobliscy Indianie, zwykle pokojowo nastawieni,

dokonał niespodziewanego ataku. Jednak nie odnaleziono trupów, nic, co by wskazywało na walkę. Brakło też dowodów grabieży. Odkryto natomiast wiadomość na tablicy w szkole misyjnej, napis: *Ono nie ma kształtu, a jednak przybiera każdy kształt*. Wielu badaczy tajemnicy Joya Verde szybko machnęło ręką na dziewięć wypisanych kredą słów, uznając, że nie mają związku ze sprawą. Flyte żywił odmienne przekonanie, a Jenny wysłuchawszy profesora, przyznała mu rację.

– Wiadomość przypominała tę informację, którą pozostawiono w jednym ze starych miast Majów – powiedział Flyte. – Archeologowie dokopali się fragmentu modlitwy z czasów wielkich zaginięć. – Zacytował z pamięci: – „Żli bogowie żyją w ziemi, moc ich śpi w skale. Obudzeni, podnoszą się jak lawa, ale zimna lawa. Płynąc przybierają wiele kształtów. A dumni ludzie wiedzą, że jesteśmy tylko głosami podczas burzy, twarzami na wietrze, które zostaną zmiecione, jakby nigdy nie istniały”.

Okulary zjechały Flyte’owi z nosa. Poprawił je.

– Otóż są tacy, którzy twierdzą, że ta właśnie część modlitwy odnosi się do trzęsień ziemi i wulkanów. Ja uważam, że chodzi o odwiecznego wroga.

– Tu też znaleźliśmy wiadomość – powiedział Bryce. – Fragment słowa.

– Nie możemy dopatrzeć się w nim sensu – dodała Sara Yamaguchi.

Jenny opowiedziała Flyte’owi o dwóch literach – „P” i „R” – które Nick Papandrakis namalował na ścianie łazienki jodyną.

– Była część trzeciej litery. To mógł być początek „U” lub „O”.

– Papandrakis – przerwał Flyte, gwałtownie kiwając głową. – Grek. Tak, tak, tak – oto potwierdzenie tego, co państwu mówiłem. Czy ten gość, Papandrakis, był dumny ze swego pochodzenia?

– Tak – powiedziała Jenny. – Był z tego niezwykle dumny. O co chodzi?

– Cóż, jeśli był dumny ze swojego greckiego pochodzenia – mówił Flyte – mógł dobrze znać grecką mitologię. Wiecie, w starożytnym greckim micie występuje bożek o imieniu Proteusz. Podejrzewam, że właśnie to pan Papandrakis usiłował napisać na ścianie. Proteusz. Bóg, który żyje w ziemi, wędruje w jej wnętrzu. Bóg pozbawiony własnego kształtu. Bóg, który może przybierać różne kształty i żywi się każdą istotą – ludzką czy zwierzęcą.

– O co chodzi z tymi diabelskimi imionami? – spytał bezradnie Tal Whitman. – Kiedy porozumiewaliśmy się z tym czymś przez komputer, ciągle nadawało sobie imiona demonów.

– Amorficzny demon, bezkształtny i zwykle zły bóg, który może przybrać każdą postać – to stosunkowo powszechne wyobrażenie w większości starożytnych mitów i w większości, jeśli nie we wszystkich religiach świata. Taka mitologiczna kreatura pojawia się pod wieloma imionami we wszystkich kulturach. Weźmy na przykład Stary Testament. Szatan pojawia się najpierw jako wąż, potem koziół, tryk, jelen, żuk, pająk, dziecko, żebrak i wiele innych istot. Jest nazywany, między innymi: Pan Chaosu i Bezkształtu, Pan Podstępu, Bestia o Wielu Twarzach. Biblia mówi nam, że Szatan jest „zmienny jak cienie” i „sprytny jak woda, gdyż jak woda może stać się parą lub lodem, tak i Szatan może stać się tym, czym chce się stać”.

– Czy chce pan powiedzieć, że ten zmiennokształt w Snowfield jest Szatanem? – spytała Lisa.

– Cóż... w pewien sposób – tak.

Frank Autry potrząsnął głową.

– Nie. Nie wierzę w duchy, doktorze Flyte.

– Ja też nie – zapewnił go Flyte. – Nie twierdzę, że ten stwór jest bytem nadnaturalnym. Jest realną, cielesną istotą – choć ma ciało inne niż nasze. Nie jest duchem ani diabłem. A jednak... w pewien sposób... wierzę, że to jest Szatan. Ponieważ, rozumiecie, wierzę, że ta właśnie kreatura – lub inna

podobna, inny monstrualny przeżytek z ery mezozoicznej – zainspirowała mit o Szatanie. W czasach prehistorycznych ludzie zetknęli się z jednym z tych stworów i niektórzy z nich musieli przeżyć, by móc o nim opowiedzieć. Naturalnie opisali swoje przeżycia językiem mitu i zabobonów. Podejrzewam, iż większość demonicznych postaci w różnych religiach świata to w rzeczywistości doniesienia o zmiennokształtach, doniesienia przekazywane przez niezliczone pokolenia. W końcu znalazły się na klinowych tablicach, zwojach papirusowych, a potem spisano je pismem alfabetycznym. To były doniesienia o bardzo rzadkich, bardzo prawdziwych, bardzo niebezpiecznych bestiach... ale opisane językiem religijnego mitu.

Dla Jenny ta część tezy Flyte'a była tak samo zwariowana jak i olśniewająca, nieprawdopodobna, a równocześnie przekonywająca.

– Ten stwór w jakiś sposób wchłania wiedzę i wspomnienia tych, którymi się żywi – powiedziała – stąd wie, że wiele jego ofiar uważa go za diabła i znajduje jakąś perwersyjną przyjemność w odgrywaniu tej roli.

– Szydzenie z nas daje mu radość – dodał Bryce.

Sara Yamaguchi zsunęła długie włosy za uszy i powiedziała:

– Doktorze Flyte, jak pan określi ono językiem naukowym. Jak taka kreatura może istnieć? Jak funkcjonuje pod względem biologicznym? Jak pan tłumaczy jego istnienie w świetle nauki i swojej teorii?

Zanim Flyte zdążył jej odpowiedzieć, ono zjawilo się.

Wysoko na ścianie, pod sufitem, metalowa kratka osłaniająca przewód wentylacyjny nagle wyskoczyła z ramki. Frunęła przez pokój, spadła na pusty stół, ześliznęła się, z brzękiem i trzaskiem spadła na podłogę.

Wszyscy zerwali się na równe nogi.

Lisa krzyknęła, wskazała ręką pod sufit.

Zmiennokształt wylewał się z przewodu. Zawisł na ścianie. Ciemny. Mokry. Pulsujący. Jak potężny, błyszczący, krwawy glut zwisający z nosa.

Bryce i Tal sięgnęli po rewolwery, potem zawahali się. Cóż mogli uczynić.

Stwór dalej wyłaniał się z przewodu, nabrzmiwał, falował, rósł w obrzydliwy, nieforemny guz wielkości człowieka. Następnie, wciąż wylewając się ze ściany, zaczął ześlizgiwać się w dół. Utworzył na podłodze pagórek. Dużo większy niż człowiek, nadal wylewał się z przewodu. Rósł i rósł.

Jenny spojrzała na Flyte'a.

Twarz profesora nie wyrażała jednego uczucia. Mieniła się zadziwieniem, potem grozą, potem zdumieniem, potem obrzydzeniem i znowu zdumieniem, grozą, zadziwieniem.

Lepka, wciąż kłębiąca się masa ciemnej protoplazmy była teraz wielkości trojga, czworga ludzi, a wciąż nowa ohydna materia kurczowo rzygała z przewodu wentylacyjnego.

Lisa zakrztusiła się i odwróciła twarz.

Ale Jenny nie była w stanie oderwać oczu od stwora, opanowana bez reszty groteskowym fascynującym widokiem.

Teraz z ogromnej bryły bezkształtnej tkanki, która wpełzła się do pomieszczenia, zaczęły wyłaniać się członki. Żaden nie istniał dłużej niż kilka sekund. Ludzkie ręce, zarówno męskie jak i kobiece, wyciągały się, jakby w poszukiwaniu pomocy. Cienkie, wymachujące rączyny dzieci wykwitwały z galaretowatej tkanki, niektóre otwarte w geście milczącego żalnego błagania. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że to rzeczywiste ręce dzieci więzionych wewnątrz zmiennokształtu, a nie imitacje, fantomy

ramion, część onego. I szczypcę. Zastrasżające, niezwykle bogactwo szczypiec i zwierzęcych odnóży wyłoniło się z protoplazmowej zupy. Części owadów, niezwykle, przesadnie wielkie, przerażająco ruchliwe i łakome. Ale wszystko spływało na powrót w bezkształtną protoplazmę prawie natychmiast po nabraniu formy.

Zmiennokształt wylał się na całą szerokość sali restauracyjnej. Był teraz większy od słonia.

Kiedy stwór pogrążał się w stałych, nieprzerwanych i pozornie bezcelowych przemianach, wszyscy wycofali się do okien.

Na ulicy mgła wiła się w nieforemnym tańcu jak zjawiskowe odbicie zmiennokształtu.

Nagle Flyte zaczął mówić z pośpiechem, jakby czuł, że ma niewiele czasu, a chciał odpowiedzieć na pytania postawione przez doktor Yamaguchi:

– Jakies dwadzieścia lat temu przyszło mi na myśl, że może istnieje związek między zbiorowymi zaginięciami a nie wyjaśnionymi spadkami populacji pewnych gatunków w erach sprzed pojawienia się człowieka. Na przykład dinozaury.

Zmiennokształt pulsował i dygotał, wznosił się prawie do sufitu, wypełnił cały kąt sali.

Lisa odwróciła twarz, przytuliła się do Jenny.

Nieokreślony, ale obrzydliwy smród przeniknął powietrze. Lekki zapach siarki. Jak powiew z piekła.

– Istnieje wiele teorii tłumaczących wyginięcie dinozaurów – ciągnął Flyte. – Ale żadna pojedyncza teoria nie odpowiada na wszystkie pytania. Więc zastanawiałem się... A jeśli dinozaury zostały wyparte przez innego stwora, naturalnego wroga, który był doskonalszym łowcą i wojownikiem? Musiałby być wielki. I mieć bardzo słaby szkielet lub w ogóle nie mieć szkieletu, gdyż nigdy nie udało się znaleźć śladów kopalnych żadnego osobnika, który byłby zdolny wydać tamtym wielkim jaszczurom zwycięską bitwę.

Drzenie przeszło przez całe cielsko mrocznego, kłębiącego się śluzu. Na całej rozlewającej się masie pojawiła się wielość twarzy.

– A jeśli niektóre z tych ameboidalnych stworów przetrwały miliony lat...

Ludzkie twarze, pyski zwierząt wyrastały z amorficznego ciała, drgały.

– ...żywając w podziemnych rzekach czy jeziorach...

Twarze bez oczu. Inne bez ust. Ale oto wykwitły i oczy. Były to prawdziwe, boleśnie patrzące oczy, pełne strachu i męki.

– ...i w głębokich rowach oceanicznych...

Wyrośli nieobecne dotąd usta; ożyły, rozwarły się.

– ...tysiące stóp pod powierzchnią mórz...

Wargi zarysowały się wokół rozdziawionych ust.

– ...polując na morskie formy życia...

Twarze fantomów krzyczały bezdźwięcznie.

– ...rzadko ruszając na żer...

Pyszczki kocie. Psie mordy. Pyski prehistorycznych gadów.

Jenny wydawało się, że te twarze spozierają z drugiej strony przymglonego zwierciadła. Żadna nie przybrała skończonego kształtu. Musiały odpłynąć, gdyż spod nich wyłaniała się, by znowu zniknąć, nieskończona liczba nowych twarzy. Nieprzerwanie migotał teatr cieni dusz straconych i potępionych.

Twarze przestały się zjawiać.

Ogromna masa uspokoiła się, na moment prawie nieruchoma pulsowała powoli, ledwo dostrzegalnie.

Sara Yamaguchi zajęczała cicho.

Jenny ścisnęła mocno Lisę.

Nikt się nie odezwał. Przez chwilę nikt nie śmiał nawet odetchnąć.

Potem, jakby w nowym pokazie plastyczności, odwieczny wróg wypuścił wiele ramion. Niektóre grube, z przyssawkami kałamarnic lub ośmiornic. Inne cienkie i kleiste, gładkie lub segmentoidalne bardziej obrzydliwe niż poprzednie, tłuste, oślizgłe ramiona. Część tych odrośli ślizgała się w tył i w przód po podłodze, przewracając krzesła i odpychając stoły, inne wiły się w powietrzu jak kobry kołysane muzyką zaklinacza węzów.

Uderzyło. Szybką falą popłynęło do przodu.

Jenny niezdarnie cofnęła się krok do tyłu; była już prawie przy ścianie.

Wiele ramion wystrzeliło w ich kierunku, cięły z sykiem powietrze jak baty.

Lisie zdrewniała szyja, musiała odwrócić głowę. Na widok tego, co zobaczyła, złapała głośno powietrze, zachłysnęła się.

W zaledwie ułamku sekundy ramiona urosły gwałtownie.

Powróż z zimnego, śliskiego, nieludzkiego ciała spadł na dłoń Jenny. Owinął się wokół przegubu.

Nie!

Jenny wyrwała się, drżąc z ulgi. Nie musiała w to wkładać wielkiego wysiłku. Najwidoczniej stwor nie był nią naprawdę zainteresowany. Nie teraz. Jeszcze nie.

Przykucnęła, kiedy ramiona przecięły powietrze nad jej głową, a Lisa przygięła się razem z nią.

Flyte potknął się i upadł, spieszenie usuwając się z drogi stworu.

Ramiona wyciągnęły się ku niemu.

Flyte czmychnął czołgając się tyłem po podłodze, dopadł ściany.

Ramiona poszły za nim, zawisły, gotowe do uderzenia. Cofnęły się. Ono nie było zainteresowane Flyte'em.

Bryce wypalił z rewolweru, choć był to gest bez znaczenia.

Tal krzyknął coś, czego Jenny nie była w stanie zrozumieć, i stanął pomiędzy nią i Lisa a zmiennokształtem.

Pominawszy Sarę, stwor dopadł Franka Autry'ego. Oto kogo ono pragnęło. Dwa grube ramiona owinęły się wokół torsu Franka i odciągnęły go od innych.

Kopiąc, wywijając pięściami i szarpiąc trzymającego go stworu, Frank krzyczał bezgłośnie, jego twarz zniekształciła groza.

Teraz wszyscy wrzeszczeli przeraźliwie – nawet Bryce, nawet Tal.

Bryce rzucił się za Frankiem. Złapał go za prawe ramię. Usiłował wyrwać bestii, która nieustannie ściągała Autry'ego do siebie.

– Oderwijcie to ode mnie! Oderwijcie to ode mnie! – wykrzykiwał Frank.

Bryce próbował oderwać jedno z koszmarnych ramion od zastępcy.

Grube, pokryte śluzem, inne ramię poderwało się z podłogi, zwinęło się, strzeliło, uderzyło Bryce'a z ogromną siłą, rzuciło na podłogę.

Frank został uniesiony z podłogi w powietrze. Oczy wylazły mu z orbit, kiedy patrzył na ciemny, śluzowaty korpus zmieniającego się odwiecznego wroga. Kopał i walczył na próżno.

Jeszcze jedno pseudoodnoże wychyliło się z centralnej bryły zmiennokształtu i uniosło w powietrze, dygocząc od dzikiej żądz. Wzdłuż obrzydliwego ramienia rozstąpiła się nakrapiana, szaro-kasztanowoczerwono-brązowa skóra. Pojawiła się naga, brocząca surowicą tkanka.

Lisa zakrztusiła się, tłumiąc torsje.

Nie tylko na widok ohydneho ropiejącego ciała zbierało się na wymioty. Wzrósł koszmarny smród. Żółtawy płyn zaczął kapać z otwartej rany. Krople upadając na podłogę syczały, pienily się i zżerały płytki.

Jenny usłyszała czyjś głos:

– Kwas!

Wrzaski Franka przeszły w rozpaczliwe przesywające wycie, pełne grozy i rozpaczy.

Kapiące kwasem ramię owinęło się falującym ruchem wokół szyi zastępcy i zaciągnęło mocno jak garrota.

– O Jezu, nie!

– Nie patrz! – powiedziała Jenny do Lisy.

Zmiennokształt prezentował, w jaki sposób pozbawił głów Jakoba i Aidę Libermannów.

Krzyk Franka Autry'ego przeszedł w bełkot, potem w gulgot. Żrące ramię przecięło szyję z niesamowitą szybkością. Głowa Franka wystrzeliła w górę jak korek шамpana, stuknęła o płytki podłogowe.

Jenny poczuła w ustach żółć. Przełknęła ślinę.

Sara Yamaguchi łkała.

Stwór nadal trzymał w powietrzu bezgłowe ciało Franka. Teraz w bryle niekształtnej tkanki otworzyła się wielka, bezzębna gęba. Ramiona wciągnęły ciało w rozwarte, poszarpane usta. Czarne wargi ośliniły trupa. Usta zamknęły się mocno i przestały istnieć. Frank Autry też przestał istnieć.

Zszokowany Bryce spoglądał na odciętą głowę Franka. Niewidzące oczy patrzyły w niego, poprzez niego.

Frank przepadł. Frank, który przeżył kilka wojen, życie wypełnione niebezpieczną pracą, tego nie przeżył.

Bryce pomyślał o Ruth Autry. Jego rozszalałe serce cisnęło się z żalu na myśl o samotnej Ruth. Ona i Frank tworzyli wyjątkową parę.

Ramiona wróciły do pulsującej bryły. Po kilku sekundach znikły.

Bezkształtny, falujący kadłub wypełniał jedną trzecią sali.

Bryce był teraz w stanie sobie wyobrazić, jak ono toczy się szybko przez prehistoryczne mokradła, stapia z błotem, czatuje na ofiary. Tak, dinozaury nie były dla niego równorzędnym przeciwnikiem.

Wcześniej myślał, iż zmiennokształt oszczędził życie jego i kilku innych osób, aby zwabić Flyte'a do Snowfield. Teraz wiedział, że nie w tym rzecz. Mógł ich pożreć i imitować głosy przez telefon, i Flyte zostałby ściągnięty równie łatwo. Zostawiło ich z jakiegoś innego powodu. Być może tylko dlatego, żeby zabijać pojedynczo przed obliczem Flyte'a. Aby ten zobaczył dokładnie, jak ono funkcjonuje.

Chryste!

Zmiennokształt górował nad nimi, dygocąc jak żelatyna. Całe wielkie groteskowe cielsko pulsowało jak od nie zsynchronizowanych uderzeń wielu serc.

– Gdyby było można w jakiś sposób dostać wycinek tkanki! – odezwała się Sara Yamaguchi drżącym głosem. – Dałabym wszystko, żeby zbadać to pod mikroskopem... zdobyć jakieś pojęcie o strukturze jego komórki. Może znaleźlibyśmy jakiś słaby punkt... sposób... żeby pokonać...

– Chciałbym to zbadać... tylko żeby móc zrozumieć... tylko wiedzieć – powiedział Flyte.

Ze środka bezkształtnej masy wypłynęła tkanka. Zaczęła przybierać ludzką postać. Przed ich oczyma formował się Gordy Brogan. Zanim fantom zrealizował się w pełni – ciało było wciąż nieforemne, w połowie zaznaczone, a twarz jeszcze nie wykończona – otworzyły się usta i replika Gordy'ego

przemówiła. Ale nie własnym głosem. Usłyszeli głos Stu Wargle'a, co dodatkowo dawało w najwyższym stopniu niepokojący efekt.

– Idźcie do laboratorium – powiedziało na pół ukształtowanymi ustami, ale bardzo wyraźnie. – Pokażę panu wszystko, co potrzebne, doktorze Flyte. Pan jest mym Mateuszem. Mym Łukaszem. Idźcie do laboratorium. Do laboratorium.

Nie dokończony wizerunek Gordy'ego Brogana rozplynął się jak dym.

Wybrzuszona bryła guzowatej tkanki wielkości człowieka wpłynęła w większą bryłę.

Cała pulsująca i opadająca masa zaczęła wycofywać się poprzez pępowinę, idącą w górę ściany i przez przewód wentylacyjny.

Ile tego jeszcze spoczywa wewnątrz ścian zajazdu? – z niepokojem zastanawiał się Bryce. Ile czeka w kanałach? Jak wielki jest bóg Proteusz?

Kiedy stwór odpływał, otwierały się w nim dziwnie ukształtowane otwory, nie większe od ludzkich ust. Kilkanaście. Kilkadziesiąt. Zaczęły wydawać odgłosy: ćwierkanie ptaków, krzyki mew, buczenie pszczoł, warczenie, syk, słodki dziecięcy śmiech, dalekie śpiewy, pohukiwanie sowy, brzęczy jak terkot grzechotnika. Te dźwięki łączyły się w nieprzyjemny, irytujący, wyraźnie złowrogi chór.

Zmiennokształt znikł w wylocie wentylacyjnym. Tylko odcięta głowa Franka i pogięta kratka na podłodze świadczyły, że było tu coś z piekła rodem.

Zegar elektryczny wskazywał czas: 3.44.

Noc prawie dobiegła końca.

Ile jeszcze do świtu? – zastanawiał się Bryce. Półtorej godziny? Godzina i czterdzieści minut? Więcej?

Podejrzewał, że jest to bez znaczenia.

I tak nie dożyje wschodu słońca.

Drzwi drugiego laboratorium stały otworem. Światła były zapalone. Monitory komputerów świeciły się. Wszystko zostało przygotowane.

Jenny do tej pory usiłowała narzucić sobie wiarę, że stać ich na opór, że jeszcze mają szansę, choć niewielką, wpłynąć na bieg wydarzeń. Obecnie ta krucha, kojąca serce wiara rozplynęła się. Byli bezsilni. Zrobią tylko to, co ono zechce, pójdą tylko tam, gdzie ono im pozwoli.

Cała szóstka tłoczyła się w laboratorium.

– Co teraz? – spytała Lisa.

– Czekamy – powiedziała Jenny.

Flyte, Sara i Lisa siedli przy trzech jarzących się monitorach. Jenny i Bryce oparli się o ladę, Tal stał przy otwartych drzwiach, wyglądał na zewnątrz.

Mgła pieniała się za drzwiami.

Jenny powiedziała do Lisy:

– Czekamy.

Ale czekanie nie jest rzeczą łatwą. Każda sekunda wystawiała ich na próbę; oczekiwali groźnych i ponurych zdarzeń.

Skąd teraz przyjdzie śmierć?

W jakiej fantastycznej postaci?

I kogo tym razem zabierze?

– Doktorze Flyte – odezwał się w końcu Bryce – jeśli te prehistoryczne kreatury przeżyły miliony lat w podziemnych jeziorach i rzekach, w najgłębszych rowach oceanicznych... lub gdziekolwiek... i jeśli wynurzają się na powierzchnię, aby zdobyć pożywienie... to dlaczego zbiorowe zaginięcia nie są częstsze?

Flyte pogładził podbródek cienkimi, długimi palcami.

– Ponieważ ono rzadko natrafia na istoty ludzkie.

– Ale dlaczego rzadko?

– Wątpię, aby przeżyło więcej niż kilka tych bestii. Mogły nastąpić zmiany klimatyczne, które przyniosły śmierć większości, a pozostałą garstkę zepchnęły pod ziemię i powierzchnię oceanów.

– Tym niemniej nawet garstka...

– Nieliczna garstka – podkreślił Flyte – rozrzucona po całej Ziemi. A być może żywią się nieczęsto. Weźmy na przykład boa dusiciela. Ten wąż pobiera pokarm raz na kilka tygodni. Więc może ten stwór żywi się nieregularnie, raz na kilka miesięcy lub nawet na kilka lat. Jego metabolizm tak różni się od naszego, że prawie wszystko jest możliwe.

– Czy jego cykl życiowy nie może zawierać okresów hibernacji – spytała Sara – trwających nie przez jedną czy kilka pór roku, ale całe lata?

– Tak, tak – potwierdził Flyte, kiwając głową. – Bardzo słusznie. Doprawdy bardzo słusznie. To również wyjaśniałoby, dlaczego ten stwór tak rzadko napotyka ludzi. A pozwólcie, że wam przypomnę, iż gatunek ludzki zamieszkuje nikły jeden procent powierzchni naszej planety. Nawet jeśli odwieczny wróg żywił się często, to rzadko kiedy trafiał na nas.

– A kiedy trafiał – uzupełnił Bryce – najprawdopodobniej spotykał ludzi na morzu, ponieważ większa część Ziemi jest pokryta wodami.

– Właśnie – powiedział Flyte. – A porywając wszystkich z pokładu, nie zostawił świadków i nigdy nie mogliśmy dowiedzieć się o tych kontaktach. Morskie opowieści pełne są zaginionych statków-widm, z których zginęła załoga.

– „Mary Celeste” – powiedziała Lisa, zerkając na Jenny.

Jenny przypomniała sobie, że siostra już raz o tym wspomniała. Było to wczesnym niedzielnym wieczorem, kiedy poszły do domu sąsiadów Santinich i trafiły na stół, zastawiony do obiadu.

– „Mary Celeste” to sławny przypadek – zgodził się Flyte. – Ale nie jedyny. Archiwa morskie mówią, że dosłownie setki statków zniknęło w tajemniczych okolicznościach przy dobrej pogodzie, w czasach pokoju, bez żadnego „logicznego” wytłumaczenia. W sumie zaginione załogi muszą liczyć dziesiątki tysięcy ludzi.

– Na tym obszarze Karaibów, gdzie zniknęło tyle statków... – odezwał się Tal od drzwi.

– Trójkąt Bermudzki – szybko podrzuciła Lisa.

– No – przytaknął Tal. – Czy to może być...?

– Robota zmiennokształtu? – powiedział Flyte. – Tak. Prawdopodobnie. Przez lata nastąpiło też kilka tajemniczych spadków pogłowia ryb na tym obszarze, więc teoria odwiecznego wroga ma tu zastosowanie.

Na monitorze pokazał się napis:

POSYŁAM WAM PAJĄKA.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Flyte.

Sara uderzyła w klawiaturę:

SPRECYZUJ.

Pojawił się ten sam napis:

POSYŁAM WAM PAJĄKA.

SPRECYZUJ.

ROZEJRZYJCIE SIĘ.

Jenny zobaczyła to pierwsza. Umieściło się na blacie po lewej stronie monitora Sary. Czarny pająk. Nie tak wielki jak tarantula, ale dużo większy niż przeciętny pajęczak.

Zwinął się w kłębek, wciągnął długie nogi. Zmieniał się. Najpierw zamigotał przyćmionym blaskiem. Znajome barwy zmiennokształtu: szaro-kasztanowo-czerwone zastąpiła czerń. Pająk się rozplątał. Gruda amorficznej tkanki przybrała inny, podłużny kształt: stała się karaluchem, ohydny, nierealistycznie wielkim karaluchem. A potem małą myszką z drgającymi wąsikami.

Nowe słowa na ekranach.

OTO WYCINEK TKANKI, O KTÓRY PAN PROSIŁ, DOKTORZE FLYTE.

– Nagle zrobiło się cholernie chętne do współpracy – zauważył Tal.

– Ponieważ wie, że nic, czego się o nim dowiemy, nie pomoże nam go zniszczyć – powiedział markotnie Bryce.

– Musi być jakiś sposób – upierała się Lisa. – Nie możemy tracić nadziei. Po prostu nie możemy.

Jenny wpatrywał się w zdumieniu w mysz, która rozpląnęła się w plaster tkanki.

BIERZCIE, OTO JEST CIAŁO MOJE, KTÓRE WAM DAJĘ,

powiedziało ono na ekranie, nie przestając z nich szydzić.

Grudka zafalowała i zakłębiła się, tworząc trwające sekundę wgłębienia i wypukłości, guzki i dziury.

STRZEŻCIE CUDU CIAŁA MEGO, BO JENO WE MNIE DOSTĄPIĆ MOŻECIE NIEŚMIERTELNOŚCI. NIE W BOGU. NIE W CHRYSZTUSIE. JENO WE MNIE.

– Rozumiem, o co wam chodziło, kiedy mówiliście, że znajduje przyjemność w szyderstwie i naśmiewaniu – powiedział Flyte.

Ekran zamrugał, pojawił się nowy napis:

MOŻECIE GO DOTKNAĆ.

Mrugnięcie.

NIE STANIE SIĘ WAM KRZYWDA, KIEDY TEGO DOTKNIECIE.

Nikt nie ruszył w kierunku drgającego plasterka dziwnego ciała.

WEŹCIE PRÓBKI DO WASZYCH TESTÓW. RÓBCIE Z TYM CO CHCECIE.

Mrugnięcie.

CHCĘ, ŻEBYŚCIE MNIE ROZUMIELI.

Mrugnięcie.

CHCĘ, ŻEBYŚCIE POZNALI MĄ NIEZWYKŁOŚĆ.

– Posiada nie tylko samoświadomość – powiedział Flyte. – Wydaje się, że ma również dobrze rozwinięte *ego*.

W końcu, z wahaniem, Sara Yamaguchi sięgnęła ręką, dotknęła czubkiem palca małej kulki protoplazmy.

– Nie jest ciepłe jak nasze ciało. Zimne. Zimne i trochę... tłuste.

Mały kawałek zmiennokształtu zadygotał, jakby podniecony. Sara szybko cofnęła rękę.

– Muszę zrobić sekcję.

– No – powiedziała Jenny. – Potrzebujemy kilku przekrojów do zwykłej mikroskopii.

– Jeden pod mikroskop elektronowy – dodała Sara. – I większy wycinek do analizy chemicznej i składu mineralnego.

Poprzez komputer odwieczny wróg zachęcał:

KONTYNUUJCIE, KONTYNUUJCIE, KONTYNUUJCIE,

KONTYNUUJCIE KONTYNUUJCIE KONTYNUUJCIE

SZANSA NA KONTRATAK

Macki mgły wślizgiwały się do laboratorium przez otwarte drzwi. Sara siedziała przy stole roboczym, zgarbiona nad mikroskopem.

– Niewiarygodne – powiedziała cicho.

Jenny przy drugim mikroskopie badała inny wycinek.

– Nigdy nie spotkałam się z taką strukturą komórkową.

– To niepojęte... a jednak istnieje.

Bryce stał obok Jenny. Aż się palił, żeby pozwoliła mu rzucić okiem na wycinek. Oczywiście niewiele z tego zrozumie. Nie dostrzeże różnicy między normalną a nienormalną strukturą komórki. Ale musi spojrzeć.

Flyte, chociaż naukowiec, nie był biologiem; struktura komórki nie mówiła mu więcej niż Bryce'owi. Ale i on niecierpliwie czekał, aż będzie mógł zerknąć. Sterczał Sarze nad głową i czekał. Tal i Lisa trzymali się blisko, z równym niepokojem oczekując chwili, kiedy będą mogli zerknąć na diabła na szklanej płytce.

– Większość tkanek nie ma struktury komórkowej – powiedziała Sara, nadal ze skupieniem wpatrując się w mikroskop.

– To samo z tą próbką – dodała Jenny.

– Ale każda materia organiczna musi mieć budowę komórkową – ciągnęła Sara. – Budowa komórkowa jest wyznacznikiem materii organicznej, podstawą istnienia każdej żywej tkanki roślinnej czy zwierzęcej.

– Większość tego interesu wygląda na nieorganiczne – powiedziała Jenny – ale to oczywiście niemożliwe.

– No – rzekł Bryce. – Wszyscy wiemy aż za dobrze, jak to jest żywotne.

– Faktycznie to widzę gdzieś komórki. Niewiele, kilka.

– W tym wycinku też jest kilka – dodała Sara. – Ale każda istnieje jakby niezależnie.

– Zgadza się, są bardzo oddalone od siebie. Jakby pływały w morzu niezróżnicowanej materii.

– Bardzo sprężyste ścianki. Potrójne jądro. Dziwne. I zajmuje połowę wnętrza komórki.

– Co to oznacza? – spytał Bryce. – Czy to ważne?

– Nie wiem, czy to ważne, czy nie. – Sara odchyliła się od mikroskopu, marszcząc brwi. – Nie wiem, co mam o tym sądzić.

Na trzech monitorach komputera zabłysło pytanie:

CZYŻ OCZEKIWALIŚCIE, ŻE CIAŁO SZATANA NIE BĘDZIE TAJEMNICZE?

Zmiennokształt posłał im kawałek ciała wielkości myszy, ale do tej pory nie cały wycinek był potrzebny do testów. Połówka została na płytce Petriego na kontuarze.

Drgał galaretowato.

Pojawił się znów pająk. Nieprzerwanie biegał po płytce.

Pojawił się karaluch. Przez chwilę biegał tam i z powrotem.

Pojawił się ślimak bez skorupy.

Świerszcz.

Zielony żuk z meszkowatym czerwonym wzorem na pancerzu.

Bryce i doktor Flyte siedzieli teraz przed mikroskopami, a Lisa i Tal czekali swojej kolejki.

Jenny i Sara stały przed monitorami, na których ukazywał się obraz postrzegany przez mikroskop elektronowy. Sara wyrównała ostrość i wystrzyła obraz jądra jednej z komórek.

– Przychodzi pani coś do głowy? – spytała Jenny.

Sara skinęła głową, ale nie odrywała wzroku od ekranu.

– W obecnym stadium mogę stawiać tylko hipotezy. Ale powiedziałabym, że niezróżnicowana materia, najwyraźniej stanowiąca ciało tego stwora, to materiał, który jest w stanie powtórzyć taką budowę komórkową, jaką chce. To tkanka zdolna do naśladownictwa. Może uformować się w komórki psa, królika, człowieka... Ale kiedy stwór odpoczywa, ta tkanka nie ma własnej budowy komórkowej. A co do tych kilku porzrzucanych komórek... cóż, one muszą w jakiś sposób kontrolować amorficzną tkankę. Te komórki wydają rozkazy. Produkują enzymy, chemiczne sygnały, które mówią pozbawionej struktury tkance, czym ma się stać.

– Więc te porzrzucane komórki pozostają nie zmienione, niezależnie od tego, jaką postać przybiera stwór.

– Tak. Na to wygląda. Jeśli zmiennokształt staje się na przykład psem i weźmiemy wycinek tkanki psa, zobaczymy komórki psa. Ale tu i tam w tym wycinku trafimy na te elastyczne komórki z potrójnym jądrem i uzyskamy dowód, że to nie jest naprawdę pies.

– Czy to prowadzi do czegoś, co pomogłoby nam się uratować? – spytała Jenny.

– Nie widzę nic takiego.

Na płycie Petriego kawałek amorficznego ciała znów przybrał postać pająka. Pająk rozplątał się i zjawilo się kilkanaście mrówek, łączących po płycie i po sobie. Mrówki połączyły się tworząc pojedyncze stworzenie – glistę. Glista wiła się przez moment i stała się wielkim kleszczem. Kleszcz chrząszczem. Szybkość zmian jakby rosła.

– A co z mózgiem? – głośno zastanawiała się Jenny.

– O co pani chodzi? – spytała Sara.

– To stworzenie musi mieć ośrodek intelektu. Na pewno jego pamięć, wiedza, zdolności rozumowania nie są zmagazynowane w tych rozproszonych komórkach.

– Ma pani prawdopodobnie rację – powiedziała Sara. – Gdzieś w stworze znajduje się z pewnością organ analogiczny do ludzkiego mózgu. Oczywiście, nie jest taki sam jak nasz mózg. Jest bardzo, bardzo różny. Ale spełnia podobne funkcje. Prawdopodobnie kontroluje komórki, które widziałyśmy, a one z kolei kontrolują bezkształtną protoplazmę.

– Komórki mózgu mają przynajmniej jedną ważną, wspólną z rozproszonymi komórkami cechę – mówiła z rosnącym podnieceniem Jenny. – Same nigdy nie zmieniają kształtu.

– To najprawdopodobniej fakt. Trudno wyobrazić sobie, że pamięć, funkcje logiczne i inteligencja mogą być zmagazynowane w tkance, która nie ma stosunkowo sztywnej, stałej struktury komórkowej.

– Więc mózg jest łatwy do zaatakowania – powiedziała Jenny.

Nadzieja pojawiła się w oczach Sary.

– Jeśli mózg nie jest amorficzną tkanką, to – uszkodzony – nie może naprawić się sam. Wybić w nim dziurę, a dziura pozostanie. Mózg zostanie trwale uszkodzony. Jeśli uszkodzenie będzie odpowiednio rozległe, ono nie będzie mogło kontrolować amorficznej tkanki, która tworzy jego ciało, i ciało też umrze.

Sara nie odrywała wzroku od Jenny.

– Jenny, wydaje mi się, że trafiłaś.

– Jeśli da się zlokalizować mózg i oddać do niego kilka strzałów, pokonamy stwora. Ale jak go zlokalizować? Coś mi mówi, że zmiennokształt dobrze chroni swój mózg, ukrywa go przed nami, daleko

pod ziemią – odezwał się Bryce.

Podniecenie Jenny opadło. Bryce miał rację. Mózg mógł być słabym punktem, ale nie mieli możliwości sprawdzenia tej teorii.

Sara pochyliła się nad wynikami mineralnej i chemicznej analizy wycinka tkanki.

– Niesłychanie zróżnicowana lista węglowodorów. A te, które zwykle występują w stanie śladowym, tu występują w większych ilościach. Bardzo duża zawartość węglowodorów.

– Węgiel jest podstawowym elementem każdej żywej tkanki – powiedziała Jenny. – Co w tym dziwnego?

– Stopień natężenia. Jest takie bogactwo różnych form węgla...

– Czy to może jakoś nam pomóc?

– Nie wiem. – Sara w zamyśleniu kartkowała wydruk, spoglądając na resztę danych.

Kleszcz. Konik polny. Gąsienica. Chrząszcz. Mrówki. Gąsienica. Kleszcz. Pająk, skórek, karaluch, wij, pająk. Chrząszcz-glista-pająk-nagi ślimak-skorek.

Lisa wpatrywała się w kawałek tkanki. Przechodził serię szybkich zmian, dużo szybszych niż poprzednio, a ta szybkość rosła z każdą chwilą. Coś było nie w porządku.

– Petrolatum – powiedziała Sara.

– Co to takiego? – spytał Bryce.

– Parafina mikrokryształiczna – odpowiedziała Jenny.

– Chodzi wam o coś takiego jak... wazelina? – spytał Tal.

– Ale nie twierdzi pani chyba, że amorficzna tkanka jest czymś tak prostym jak petrolatum? – zapytał Flyte.

– Nie, nie, nie – szybko zaprzeczyła Sara. – Oczywiście, że nie. To nie jest żywe. Ale są podobieństwa w ilości węglowodorów. Oczywiście, skład tej tkanki jest dużo bardziej skomplikowany niż skład petrolatum. Ma dużo więcej minerałów i składników chemicznych, niż można znaleźć w ludzkim ciele. Rozmaite kwasy i zasady... Nie mogę wyobrazić sobie, jak ono wykorzystuje pokarm, jak oddycha, jak funkcjonuje bez systemu krwionośnego, bez widocznego systemu nerwowego, jak tworzy nową tkankę, nie opierając się na budowie komórkowej. Ale ten wyjątkowo wysoki stopień obecności węglowodorów...

Urwała. Jej oczy straciły ostrość spojrzenia, nie spoglądała już na wyniki testów.

Obserwując genetyczkę, Tal miał wrażenie, że nagle z jakiegoś powodu ogarnęło ją podniecenie. Nie było widoczne w twarzy, w postaci, w sposobie zachowania. Ale bez wątpienia pojawiło się w niej coś nowego. Tal wiedział, że Sara myśli o czymś ważnym.

Zerknął na Bryce'a. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Pojął, że Bryce również jest świadom zmiany, która zaszła w Sarze.

Prawie bezwiednie Tal zacisnął kciuki.

– Spójrzcie lepiej na to – nagłoco powiedziała Lisa.

Stała nad płytką Petriego, na której leżał kawałek nie wykorzystanego wycinka tkanki.

– Szybko, chodźcie tu! – zawołała, gdy nie zareagowali natychmiast.

Wszyscy podeszli i wpatrywali się w stworzenie na płytce.

Polny konik-glista-wij-nagi ślimak-skorek.

– Zmienia się coraz szybciej i szybciej – powiedziała Lisa.

Pająk-glista-wij-pająk-nagi ślimak-pająk-glista-pająk-glista...

I jeszcze szybciej.

...pająkglistapająkglistapająkglistapająk...

– Zmieniło się tylko do połowy w glistę i zaczęło na powrót zmieniać się w pająka – ciągnęła Lisa. – Jak w gorączce. Widzicie? Coś się z nim dzieje.

– Wygląda, jakby straciło panowanie nad sobą, jakby oszalało – rzekł Tal.

– Rodzaj załamania – dodał Flyte.

Nagle zmienił się skład tkanki. Zaczął się z niej sączyć mleczny płyn. Plasterek rozplynał się w kupkę martwej papki. Ono nie poruszyło się. Nie przybrało innego kształtu. Jenny chciała tego dotknąć, ale nie odważyła się. Sara wzięła małą pipetkę, dźgnęła materię na płytce. Nie poruszyło się. Zamieszała papkę. Tkanka upłynniła się bardziej, ale nie zareagowała.

– Jest martwe – cicho powiedział Flyte.

Bryce był zelektryzowany rozwojem wypadków. Obrócił się do Sary.

– Co było na płytce, zanim położyła pani wycinek?

– Nic.

– Musiał być jakiś osad.

– Nie.

– Niech pani pomyśli, do cholery. Od tego zależy nasze życie.

– Na płytce nic nie było. Wyjęłam ją ze sterylizatora.

– Osad jakiegoś środka chemicznego...

– Była absolutnie czysta.

– Chwila, chwila. Coś na płytce weszło w reakcję z tkanką zmiennokształtu – zastanawiał się Bryce.

– Zgadza się? Dobrze mówię?

– I cokolwiek było na tej płytce – dodał Tal – oto nasza broń.

– To surowiec, którym zabijemy zmiennokształt – powiedziała Lisa.

– Niekoniecznie. – Jenny z przykrością musiała zniweczyć nadzieje dziewczyny.

– To wydaje się proste. – Flyte przeczesywał siwe włosy drżącą ręką. – Nie sądźmy zbyt pochopnie.

– Zwłaszcza kiedy istnieją inne możliwości – powiedziała Jenny.

– Na przykład? – spytał Bryce.

– Cóż... wiemy, że główna bryła stwora potrafi oddzielić kawałki siebie, w jakim tylko zechce kształcie, potrafi kierować działalnością tych oddzielonych części i potrafi przywołać je z powrotem w taki sposób, jak przywołało tę część, która zabiła Gordy'ego. Ale przypuśćmy, że ta oddzielona część zmiennokształtu może przeżyć tylko stosunkowo krótko z dala od ciała-matki. Założmy, że amorficzna tkanka potrzebuje stałego dopływu specjalnego enzymu, niezbędnego do utrzymania spójności, a ten enzym nie jest produkowany w tych z dala od siebie sytuowanych komórkach kontrolnych, rozproszonych po całej tkance...

– ...enzym, który jest produkowany wyłącznie przez mózg zmiennokształtu. – Sara podjęła wywód Jenny.

– Właśnie – przytaknęła Jenny. – Więc... każda oddzielona porcja musi łączyć się z główną bryłą, aby uzupełnić swój zapas tego enzymu o podstawowym znaczeniu, czy tego czegoś tam.

– To nie jest niemożliwe – powiedziała Sara. – Przecież ludzki mózg kontroluje produkcję enzymów i hormonów, bez których nasze ciała nie zdołałyby żyć. Dlaczego mózg zmiennokształtu nie miałby wypełniać podobnych funkcji?

– W porządku – rzekł Bryce. – Jakie znaczenie ma dla nas to odkrycie?

– Jeśli to jest odkrycie, a nie błędne założenie – powiedziała Jenny – możemy zniszczyć cały

zmiennokształt, gdy uda nam się zniszczyć mózg. Stwór nie będzie mógł dzielić się na kilka części, odczołgać i żyć pod innymi postaciami. Bez podstawowych, produkowanych w mózgu enzymów, hormonów czy tego czegoś tam – w końcu wszystkie poszczególne części rozplyną się w martwą papkę, tak jak cząstka na płytce Petriego.

Bryce oklapnął, zawiedziony.

– Wracamy do początku. Musimy zlokalizować mózg i dopiero wtedy będziemy mieli szansę zadania śmiertelnego ciosu. Ale stwór nigdy na to nie pozwoli.

– Nie wracamy do początku – powiedziała Sara. Wskazała na nieżywy śluz na płytce. – To mówi nam o czymś ważnym.

– O czym? – spytał Bryce głosem pełnym zawodu. – Czy o czymś pożytecznym, czymś, co może nas uratować, czy po prostu o kolejnej niesamowitości?

– Wiemy teraz, że ta amorficzna tkanka istnieje w stanie delikatnej chemicznej równowagi, którą można zakłócić.

Dała im czas, by to do nich dotarło. Wyraz głębokiej troski na twarzy Bryce'a złagodniał.

– Ciało zmiennokształtu można zniszczyć – mówiła dalej Sara. – Można go zabić. Dowód jest na płytce Petriego.

– Jak możemy wykorzystać tę wiedzę? – spytał Tal. – Jak możemy zakłócić tę chemiczną równowagę?

– To musimy odkryć – powiedziała Sara.

– Ma pani jakieś pomysły? – zapytała ją Lisa.

– Nie. Żadnych.

Ale Jenny poczuła nagle, że Sara Yamaguchi kłamie.

Sara chciała podzielić się z nimi planem, który przyszedł jej do głowy, ale nie mogła powiedzieć słowa. Przede wszystkim jej strategia dawała jedynie wątłą nadzieję. Nie chciała ich łudzić obietnicami, które miałyby zostać nie zrealizowane. Co ważniejsze, gdyby im powiedziała, co jej przyszło na myśl, a to jakimś cudem faktycznie okazałoby się sposobem na zniszczenie zmiennokształtu – ono mogłoby usłyszeć i przeszkodzić jej. Nie było miejsca, w którym mogłaby bezpiecznie przedyskutować swoje przemyślenia z Jenny, Bryce'em i innymi. Najlepiej będzie, jeśli utrzyma się odwiecznego wroga w stanie błęgiego samozadowolenia.

Ale musiała zapewnić sobie trochę czasu, kilka godzin, podczas których wprawi swój plan w ruch. Zmiennokształt liczył całe miliony lat, był dosłownie nieśmiertelny. Czym jest kilka godzin dla takiego stwora? Na pewno spełni jej prośbę. Na pewno.

Siadła przy jednej z końcówek komputerowych. Oczy piekły ją ze zmęczenia. Potrzebowała snu. Wszyscy potrzebowali snu. Przesunęła ręką po twarzy, jakby to mogło usunąć znużenie.

JESTEŚ?,

wystukała.

TAK.

SKOŃCZYLIŚMY KILKA TESTÓW,

napisała, podczas kiedy inni zebrali się wokół niej.

WIEM,

odpowiedziało.

JESTEŚMY ZAFASCYNOWANI. CHCEMY WIEDZIEĆ WIĘCEJ.

TO JASNE.

CHCEMY PRZEPROWADZIĆ JESZCZE INNE TESTY.

DLACZEGO?

ŻEBY DOWIEDZIEĆ SIĘ O TOBIE WIĘCEJ.

SPRECYZUJ,

odpowiedziało z lekkim szyderstwem.

Sara pomyślała przez moment.

DR FLYTE POTRZEBUJE DODATKOWYCH DANYCH, JEŚLI MA PISAĆ O TOBIE W SPOSÓB ODPOWIEDZIALNY.

ON JEST MOIM MATEUSZEM.

POTRZEBUJE WIĘCEJ DANYCH, ŻEBY OPOWIEDZIEĆ HISTORIĘ O TOBIE, TAK JAK POWINNA BYĆ OPOWIEDZIANA.

Trzy wersowa odpowiedź ukazała się w centrum monitora:

– FANFARY TRIUMFALNE – NAJWSPANIALSZA HISTORIA ŚWIATA TEGO – FANFARY TRIUMFALNE -

Sara nie była pewna, czy ono naśmiewa się tylko z nich, czy też jego wybujałe *ego* serio porównuje swoją historię z historią Chrystusa.

Ekran mrugnął.

KONTYNUUJECIE TESTY?

POTRZEBUJEMY DODATKOWEGO WYPOSAŻENIA LABORATORYJNEGO.

DLACZEGO? MACIE W PEŁNI WYPOSAŻONE LABORATORIUM.

Sara miała mokre ręce. Otarła je o dzinsy, zanim wystukała odpowiedź.

TO LABORATORIUM POSIADA PEŁNE WYPOSAŻENIE JEDYNIEM DO WĄSKIEGO ZAKRESU BADAŃ NAUKOWYCH: DO ANALIZY ŚRODKÓW BOJOWYCH BRONI CHEMICZNEJ I BAKTERIOLOGICZNEJ. NIE PRZEWIDZIELIŚMY SPOTKANIA Z ISTOTĄ O TWOJEJ NATURZE. POTRZEBUJEMY INNEGO WYPOSAŻENIA, ABY WYKONAĆ DOBRZE SWOJĄ PRACĘ.

KONTYNUUJ.

POTRZEBA KILKA GODZIN NA PRZYSŁANIE TU WYPOSAŻENIA,
wystukała znowu.

KONTYNUUJ.

Wpatrywała się w słowo zielone na zielonym tle. Nie do wiary, jak łatwe okazało się uzyskanie dodatkowego czasu.

MUSIMY WRÓCIĆ DO ZAJAZDU I SKORZYSTAĆ Z TAMTEJSZEGO TELEFONU.

KONTYNUUJ, SMĘTNA SUKO. KONTYNUUJ, KONTYNUUJ, KONTYNUUJ, KONTYNUUJ.

Znów miała mokre ręce. Otarła je o dzinsy i wstała.

Z oczu patrzących na nią towarzyszy niedoli wyczytała, że wiedzą, iż coś ukrywa, i rozumieją, dlaczego zachowuje milczenie.

Ale skąd wiedzieli? Czyż aż tak łatwo było ją przejrzeć? Jeśli oni wiedzą, to czy ono też wie?

Odchrząknęła.

– Chodźmy – powiedziała niepewnym głosem Sara Yamaguchi, ale Timothy odezwał się:

– Zaczekajmy. Jeszcze tylko kilka minut. Muszę czegoś spróbować.

Siadł przed monitorem. Chociaż przespał kilka godzin w samolotach, nie miał takiej trzeźwości umysłu, jakiej wymagała chwila. Potrząsnął głową i odetchnął głęboko kilka razy.

TU TIMOTHY FLYTE,

wystukał.

WIEM.

MUSIMY POROZMAWIAĆ.

KONTYNUUJ.

CZY MUSI SIĘ TO ODBYWAĆ POPRZEZ KOMPUTER?

TO LEPSZE NIŻ Z GOREJĄCEGO KRZAKA.

Przez kilka sekund Timothy nie rozumiał, co to ma znaczyć. Kiedy złapał dowcip, prawie roześmiał się na głos. To draństwo miało swoje własne perwersyjne poczucie humoru.

TWÓJ I MÓJ GATUNEK WINNY ŻYĆ W POKOJU.

DLACZEGO?

PONIEWAŻ MY DZIELIMY WŁADZĘ NAD ZIEMIĄ.

TAK JAK ROLNIK DZIELI SWĄ ZAGRODĘ Z BYDŁEM. JESTEŚCIE MOIM BYDŁEM.

NA ZIEMI JEDYNNIE NASZE DWA GATUNKI SĄ INTELIGENTNE.

MYŚLICIE, ŻE WIECIE TAK WIELE. W ISTOCIE WIECIE TAK MAŁO.

POWINNIŚMY WSPÓŁPRACOWAĆ,

uparcie powtarzał Flyte.

STOICE NIŻEJ ODE MNIE.

MOŻEMY WIELE NAUCZYĆ SIĘ OD SIEBIE.

NICZEGO NIE MOŻECIE MNIE NAUCZYĆ.

MOŻE JESTEŚMY MĄDRZEJSI, NIŻ CI SIĘ WYDAJE.

JESTEŚCIE ŚMIERTELNI. CZY TO NIEPRAWDA?

PRAWDA.

PRZY MOIM WASZE ŻYCIE JEST TAK KRÓTKIE I BEZ ZNACZENIA JAK PRZY WASZYM ŻYCIE JĘTKI.

JEŚLI TAK CZUJESZ, DLACZEGO ZALEŻY CI, CZY NAPISZĘ O TOBIE, CZY NIE?

BAWI MNIE, ŻE JEDEN Z EGZEMPLARZY WASZEGO GATUNKU WYDEDUKOWAŁ TEORETYCZNIE MOJE ISTNIENIE. TO JAK NAUCZENIE MAŁPKI TRUDNEJ SZTUCZKI.

NIE SĄDZĘ, ŻE STOIMY NIŻEJ OD CIEBIE,

odważnie napisał Flyte.

BYDŁO.

SĄDZĘ, ŻE DLATEGO ZALEŻY CI NA TYM, BY O TOBIE NAPISAĆ, GDYŻ NABYŁEŚ BARDZO LUDZKIEGO EGO.

MYLISZ SIĘ.

SĄDZĘ, ŻE NIE BYŁEŚ ISTOTĄ INTELIGENTNĄ, DOPÓKI NIE ZACZAŁEŚ SIĘ KARMIC INTELIGENTNYMI ISTOTAMI, LUDŹMI.

TWOJA IGNORANCJA SPRAWIA MI ZAWÓD.

Timothy dalej się mu przeciwstawiał.

SĄDZĘ, ŻE RAZEM Z WIEDZĄ I PAMIĘCIĄ NABYTĄ OD LUDZKICH OFIAR ZDOBYŁEŚ TEŻ INTELIGENCJĘ. ZAWDZIĘCZASZ NAM SWOJĄ EWOLUCJĘ.

Ono nie odpowiedziało.

Timothy skasował napis i wystukał następny:

TWÓJ UMYŚŁ MA BARDZO LUDZKĄ STRUKTURĘ – EGO, SUPER-EGO, I TAK DALEJ.

BYDŁO,
odpowiedziało.

Mrugnięcie.

TRZODA,
powiedziało.

Mrugnięcie.

PEŁZAJĄCE STWORY,
powiedziało.

Mrugnięcie.

NUDZISZ MNIE,
powiedziało.

Wszystkie ekrany pociemniały.

Timothy oparł się o oparcie fotela i westchnął.

– Robił pan, co się dało, doktorze Flyte – rzekł szeryf Hammond.

– Co za arogancja – westchnął Timothy.

– Stosowna u boga – powiedziała Jenny. – Tak mniej więcej myśli o sobie.

– W pewien sposób – oświadczyła Lisa Paige – tym jest.

– No – dodał Tal – faktycznie to ono mogłoby być bogiem. Ma wszystkie zdolności boga, co nie?

– Albo diabła – uzupełniła Lisa.

Poza kręgiem światła latarni i ponad mgłą noc była teraz szara. Pierwszy niewyraźny blask jutrzeńki oprószył daleką krawędź nieba.

Sara żałowała, że Flyte tak śmiało przeciwstawił się zmiennokształtowi. Martwiła się, że zantagonizował go i teraz ono nie wywiąże się ze swej obietnicy i nie da im większej ilości czasu.

Idąc z innymi od polowych laboratoriów do Zajazdu Na Wzgórzu wciąż oczekiwała, że groteskowy fantom dopadnie ich jednym susem lub wyłoni się z mgły. Nie może porwać ich teraz. Nie teraz. Nie teraz, kiedy wreszcie w końcu zabłysła nadzieja.

Wszędzie w mieście, we mgle, w cieniach, rozlegały się dziwne zwierzęce odgłosy, dziwne niezemskie zawodzenia, nie przypominające niczego, co Sara w życiu słyszała. Ono nadal nieustannie zajmowało się parodiami. Jeden piekielny wrzask gdzieś blisko spowodował, że wszyscy zbili się w grupkę.

Ale nie zostali zaatakowani.

Na ulicach, choć już nie cichych, trwał bezruch. Nawet wiatr nie zaszeleścił; mgła zawisła martwo w powietrzu.

Nic także nie czekało na nich w zajeździe.

Sara siadła przy biurku i nakręciła numer centrum operacyjnego Cywilnego Oddziału Obrony CBW w Dugway, Utah.

Jenny, Bryce i inni otoczyli ją i słuchali.

Z powodu sytuacji alarmowej w Snowfield w centrali w Dugway nocnej służby nie miał jak zwykle sierżant. Kapitan Daniel Tersch, lekarz specjalista chorób zakaźnych z Korpusu Medycznego armii, trzeci w drabince służbowej oddziału, czekał w gotowości, aby kierować każdą niezbędną operacją wspomagającą.

Sara opowiedziała mu o ostatnich odkryciach: badaniach mikroskopowych tkanki zmiennokształtu, wynikach testów. Tersch był zafascynowany, choć wszystko to znacznie przekraczało zasób jego wiedzy.

– Petrolatum? – spytał w pewnym momencie, zaskoczony tym, co usłyszał.

– Amorficzna tkanka przypomina petrolatum tylko tym, że ma nieco podobny, bardzo wysoki stopień obecności węglowodorów. Ale oczywiście ma dużo bardziej skomplikowaną budowę, jest dużo bardziej rozwinięta.

Podkreśliła to szczególne odkrycie, gdyż chciała mieć pewność, że Tersch przekaze je innym naukowcom oddziału. Jeśli inny genetyk lub biochemik przejrzy dane, a potem listę materiałów, o które zamierzała poprosić, z pewnością zrozumie jej plan. Wtedy przyślą jej do Snowfield broń, a nie jej składniki.

Nie mogła po prostu powiedzieć Terschowi, co ma na myśli, gdyż była pewna, że odwieczny wróg podsłuchuje. Ten dziwny, daleki syk na linii...

W końcu powiedziała o dodatkowym wyposażeniu laboratoryjnym.

– Większość tego interesu można pożyczyć z uniwersytetu i laboratoriów przemysłowych Kalifornii Północnej – powiedziała do Terscha. – Niech pan wykorzysta siłę roboczą armii, środki transportu i swoją władzę, żeby pozwolono złożyć ładunek do kupy i przesłać mi tak szybko, jak jest to możliwe.

– Czego pani potrzeba? – spytał Tersch. – Wystarczy pani słowo, a dostanie pani wszystko w pięć do sześciu godzin.

Wyrecytowała listę elementów wyposażenia, które faktycznie nie miały dla niej żadnego znaczenia i zakończyła mówiąc:

– Potrzeba mi również czwartej generacji małego cacka doktora Chakrabarty’ego, jeśli da się je wysłać. I potrzebuję też dwa, trzy zestawy do spryskiwania.

– Co to za Chakrabarty? – zapytał zaskoczony Tersch.

– Nic to panu nie powie.

– Co to jest to jego cacko? O co pani chodzi?

– Niech pan zapisze: Chakrabarty, czwarta generacja. – Przeliterowała nazwę.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, co to jest – powiedział.

Dobrze, pomyślała Sara z ogromną ulgą. Idealnie.

Gdyby Tersch wiedział, czym jest małe cacko doktora Anandy Chakrabarty’ego, jeszcze by coś palnął, zanim zdążyłaby go powstrzymać, i odwieczny wróg zostałby ostrzeżony.

– To spoza pańskiej specjalizacji – powiedziała. – Nie jest pan zobowiązany znać się na tym.

Starając się zmienić temat zaczęła teraz mówić szybko, tak płynnie i szybko, jak tylko mogła.

– Nie mam czasu na wyjaśnienia, doktorze Tersch. Inni ludzie z programu CBW na pewno będą wiedzieć, czego mi potrzeba. Proszę się za to wziąć. Doktor Flyte bardzo chce kontynuować badania i potrzebuje wszystkich artykułów z mojej listy jak najszybciej. Pięć do sześciu godzin, powiedział pan?

– Tyle powinno wystarczyć – odparł Tersch. – Jak mamy to dostarczyć?

Sara spojrzała na Bryce’a. Nie chciałby ryzykować życia jeszcze jednego swojego człowieka, każąc mu przywieźć ładunek do miasta.

– Dałoby się użyć helikoptera wojskowego? – spytała.

– Dałoby się.

– Lepiej niech pilot nie ląduje. Zmiennokształt może pomyśleć, że próbujemy ucieczki. Prawie na pewno zaatakuje załogę i zabije ich w momencie, kiedy maszyna usiądzie. Każcie im spuścić pakunek na linie.

– To będzie z pewnością spory pakunek.

– Jestem pewna, że uda im się go spuścić.

- No... dobrze. Już się za to biorę. I powodzenia.
- Dzięki – powiedziała Sara. – Potrzeba nam tego.

Wyłączyła się.

- Pięć, sześć godzin. Teraz wydaje się to tak długo... – westchnęła Jenny.
- Wieczność – powiedziała Sara.

Widać było, że wszyscy są ciekawi jej planu, ale wiedzieli: nie wolno o niego pytać. Jednak nawet w ich milczeniu Sara odczuła optymizm.

Tylko nie róbcie sobie zbyt dużych nadziei, pomyślała z niepokojem.

Możliwe, że jej plan się nie powiedzie. W istocie mało mieli szans. A jeśli plan zawiedzie, zmiennokształt dowie się, co zamierzali, i zgładzi ich w wyjątkowo brutalny sposób.

Wstawał brzask.

Mgła traciła swój blady poblask. Teraz oślepiła najczystsza bielą płynącą z rozbitych promieni porannego słońca.

Fletcher Kale obudził się w sam czas, żeby zobaczyć pierwszą jasność poranka.

Las nadal krył się w mroku. Światło dnia mlecznobiałymi grotami spadało tu i ówdzie przez dziury w zielonej kopule gęsto splątanych koron mamucich drzew. Brzask był rozmyty mgłą, przytłumiony, widoczność słaba.

Kale noc spędził w dziupie Jake'a Johnsona. Teraz wysiadł z wozu, stał obok, słuchał lasu, sprężony, wyczulony na odgłos pogoni.

Ostatniej nocy, kilka minut po jedenastej, kiedy Kale jechał w górę Mount Larson Road, zdążając do sekretnej kryjówki Jake'a Johnsona, i skręcił w pozbawioną twardej nawierzchni przecinkę przeciwpożarową na dzikim stoku Śnieżnej Góry – wpakował się w kłopoty. W odległości dwudziestu stóp reflektory wozu oświetliły znak umieszczony po obu stronach drogi; duże czerwone litery na białym tle wołały: STREFA KWARANTANNY. Jadąc za szybko, minął zakręt i znalazł się tuż przed policyjną blokadą. Wóz patrolowy policji okręgowej stał w poprzek jezdni. Dwóch zastępców zaczęło wysiadać z samochodu.

Przypomniało mu się, że słyszał coś w radiu o strefie kwarantanny, w rejonie Snowfield, ale uznał wtedy, że dotyczy to jedynie drugiej strony góry. Wcisnął hamulec, żałując, że raz przynajmniej nie słuchał dokładniej wiadomości.

Rozesłano za nim list gończy. Ci mężczyźni rozpoznają go i w ciągu godziny wróci za kraty.

Zaskoczenie ich było jego jedyną nadzieją. Nie spodziewają się kłopotów. Trzymać straż na rogatce strefy kwarantanny to łatwe, usypiające zajęcie.

Karabin HK 91 leżał obok na siedzeniu, przykryty kocem. Złapał broń, wyskoczył z dżipa i otworzył ogień do gliniarzy. Półautomat zaszczekał i zastępcy zatańczyli krótki, spazmatyczny taniec śmierci. Widmowe figury we mgle.

Przetoczył trupy do rowu, zjechał wozem patrolowym z drogi na bok. Wsiadł do dżipa i minął rogatkę. Zawrócił pieszo, wstawił wóz na stare miejsce, tak żeby wyglądało, iż zabójca gliniarzy nie kontynuował drogi w góry.

Jechał trzy mile wyboistą przecinką, aż trafił na jeszcze bardziej nierówną, zarośniętą drogę. O milę dalej, na końcu drogi zaparkował dżipa w tunelu zarośli i wysiadł.

Oprócz HK 91 dźwigał wór innej broni ze skrytki Johnsona i 63 440 \$, rozłożone w siedmiu zapinanych na zamki błyskawiczne kieszeniach myśliwskiej kurtki. Poza tym miał tylko latarkę. I tylko to było mu naprawdę potrzebne, gdyż wapienne jaskinie będą dobrze zaopatrzone.

Ostatnie ćwierć mili miał przebyć pieszo i zamierzał dokończyć podróży od razu, ale szybko się okazało, że nawet z latarką trudno było zorientować się w lesie nocą i we mgle. Mógł się zgubić. Raz zszedłszy ze szlaku w tych dzikich ostępach, mógł krążyć o kilka jardów od miejsca przeznaczenia, żeby nigdy się nie dowiedzieć, jak blisko znajdowało się wybawienie. Po kilku zaledwie krokach Kale zawrócił do dżipa i czekał na światło dnia.

Nawet jeśli odnajdą do rana trupy policjantów i gliny wykombinują, że zabójca poszedł w góry, nie rozpoczną obławy przed świtem. Nim dotrą tu jutro, on wygodnie ukryje się w jaskiniach.

Spał na przednim siedzeniu dżipa. Nie był to hotel, ale przecież wygodniej niż w więzieniu.

Teraz, stojąc obok dżipa w skąpych promieniach wczesnego ranka, nasłuchiwał odgłosów obławy. Nie usłyszał nic. Tego właśnie się spodziewał. Nie było mu przeznaczone zgnić w więzieniu. Czekala go

jasna przyszłość. Był tego pewien.

Ziewnął, przeciągnął się i wysikał przy pniu wielkiej sosny.

Trzydzieści minut później, kiedy pokazało się więcej światła, ruszył ścieżką, której nie mógł znaleźć w nocy. I zobaczył coś, czego nie zauważył oczywiście w ciemności: zarośla były dokładnie zdeptane. Niedawno przeszli tędy ludzie.

Ruszył dalej ostrożnie, ściskając HK 91 w prawej ręce, gotów zdmuchnąć każdego, kto spróbowałby go zaatakować.

Nie minęło pół godziny, a wyszedł spomiędzy drzew na polanę przy chacie – i zobaczył, dlaczego ścieżka była zdeptana. Osiem motocykli stało przy ścianie; wielkie harleye, wszystkie z jarzącymi się napisami: CHROMOWY DEMON.

Banda wyrzutek Gene'a Terra. Nie wszyscy. Wyglądało na to, że połowa.

Kale ukląkł i oparł broń o wyrzuczenie wapienia i z uwagą spoglądał na otuloną mgłą chatę. W pobliżu nie było nikogo. Spokojnie sięgnął do torby, wyjął świeży magazynek do HK 91, wymienił częściowo wystrzelony.

Jak Terr i jego zdeprawowani koleżkowie dostali się tutaj? Wyprawa w góry jednośladem była bardzo trudnym, dziko niebezpiecznym, wykańczającym nerwowo motokrosem. Oczywiście, te zwariowane dranie kochały niebezpieczeństwo.

Ale co, do diabła, tu robili? Jak znaleźli chatę? Po co tu zjechali?

Nasłuchując jakiegoś głosu, jakiejś wskazówki, gdzie mogą być intruzi i co zamierzają, Kale uświadomił sobie, że nie słyszy żadnych odgłosów zwierząt ani owadów. Żadnych ptaków. Absolutnie nic. Dziwne.

Nagle usłyszał za sobą szelest. Łagodny dźwięk. Ale w dziewiczej ciszy zabrzmiał jak wystrzał armatni.

Kale do tej chwili klęczał. Z kocią zręcznością upadł na bok, przetoczył się na plecy, uniósł karabin.

Był gotów do zabijania, ale nie był przygotowany na to, co zobaczył. Około dwudziestu jardów dalej, spomiędzy drzew i mgły wyłaniał się Jake Johnson. Nagi. Kompletny gołodupiec.

Znowu szelest. Na lewo od Johnsona. Dalej, wśród drzew.

Kale obrócił błyskawicznie głowę, przesunął karabin w tym kierunku.

Następny mężczyzna wyszedł spomiędzy drzew poprzez mgłę. Wysoka trawa gładziła mu gołe nogi. Był również nagi. Uśmiechał się szeroko.

Kale spoglądał to na jednego, to na drugiego, zdumiony i ogłupiały. Byli tak doskonale podobni jak bliźniacy jednojajowi.

Ale Jake był jedynakiem – czy nie? Kale w życiu nie słyszał o jakimś bliźniaku.

Trzecia postać wychyliła się z cieni spod rozłożystych konarów świerka. To był również Jake Johnson.

Kale'owi zabrakło powietrza w płucach.

Może była minimalna możliwość, że Kale miał brata bliźniaka, ale za cholerę nie pochodził z trojaczków.

Coś było strasznie nie w porządku. Nagle nie tylko nieprawdopodobne trojaczki przeraziły Kale'a. Nagle wszystko zrobiło się groźne: las, mgła, kamienne kontury górskiego zbocza...

Trójka sobowtórów szła z wolna w górę zbocza, na którym leżał rozciągnięty Kale. Zbliżali się z różnych kierunków. Ich oczy były dziwne, ich usta okrutne.

Kale zerwał się na równe nogi. Serce waliło mu mocno.

– Stać! Ani kroku!

Ale nie zatrzymali się, choć dzierżył karabin szturmowy.

– Kim jesteście? Skąd? Co to ma znaczyć?

Nie odpowiedzieli. Szli nadal. Jak zombie.

Złapał za worek pełen broni, cofnął się szybko i niezdarnie przed koszmarnym trio.

Nie. To przestało być trio. Kwartet. Niżej na stoku czwarty Jake Johnson wyłonił się spomiędzy drzew, golusienki jak reszta.

Strach Kale'a graniczył teraz z paniką.

Czwórka sunęła ku Kale'owi prawie bez dźwięku. Szeleściły tylko zeschnięte liście pod stopami; poza tym nic. Nie przeszkadzały im kamienie i ostre trawy, kolce, które musiały ranić stopy. Jeden z nich łakomie oblizywał wargi. Pozostali zaczęli natychmiast robić to samo.

Lodowaty skurcz śmiertelnego strachu przeszył wnętrze Kale'a. A nuż stracił zmysły? Ale ten moment wahania był krótkotrwały. Rzadko doznając zwątpienia, nie potrafił w nim długo trwać.

Cisnął wór, chwycił HK 91 w obie ręce i otworzył ogień. Zatoczył łuk płującą lufą karabinu. Pociski dosięgnęły celu. Widział, jak wdzierają się w ciała czwórki mężczyzn, widział otwierające się rany. Ale krew nie popłynęła. Rany zniknęły w momencie, w którym wykwitły, goiły się w sekundę.

Mężczyźni wciąż się zbliżali.

Nie. Nie mężczyźni. Coś innego.

Halucynacje? Przed laty w liceum Kale brał dużo kwasu. Teraz przypominał sobie, że nawroty po kwasie potrafią prześladować miesiące, ba, lata po tym, jak rzuciło się LSD. Nigdy poprzednio nie miał nawrotu po kwasie, ale słyszał o tym. Czy teraz to właśnie mu się przytrafiło?

Halucynacje?

Może.

Z drugiej strony... Wszyscy czterej lśnili, jakby poranna mgła zbierała im się na nagiej skórze i był to szczegół, którego nigdy nie zauważył w halucynacjach. A w ogóle wszystko bardzo się różniło od tych doznań narkotycznych, jakie przeżył.

Nadal szeroko uśmiechnięty, najbliższy sobowtór uniósł ramię, wskazał na Kale'a. Niewiarygodne: ciało na ręce pękło i spłynęło z palca, i z całej dłoni. Ciało autentycznie spływało w dół, jak wosk rozpuszczający się i cofający przed płomieniem; przegub zgrubiał od tkanki, a potem ukazały się kości, same kości. Jeden bielejący palec wskazywał na Kale'a.

Wskazywał z gniewem, szyderstwem i oskarżeniem.

Kale'owi zawirowało w głowie.

Pozostałe sobowtóry przeszły jeszcze bardziej makabryczne zmiany. Jeden stracił ciało na części twarzy: prześwitywała kość policzkowa, rząd zębów, prawe oko pozbawione powieki i otaczającej tkanki słało wilgotny blask z bielejącego oczodołu. Trzeci mężczyzna zgubił kawałek ciała na klatce piersiowej: odsłoniły się ostre żebra i oślizłe, mokre, pulsujące niewyraźnie wnętrze. Jedna noga czwartego była zdrowa, druga składała się już tylko z kości i ścięgien.

Kiedy zbliżyli się jeszcze bardziej, jeden z nich powiedział:

– Dzieciobójca.

Kale wrzasnął, cisnął HK 91 i rzucił się do ucieczki. Stał prawie natychmiast. Z tyłu, od chaty zbliżali się kolejni dwaj Johnsonowie. Wszystkie drogi odcięte. Pozostawało biec w górę wysokim skalnym wybrzuszeniem, powyżej chaty. Runął tam, sapiąc i charcząc. Pochlipując dopadł zarośli, przedarł się do wejścia do jaskini, obejrzał na moment, zobaczył, że szóstka nie przestawała następować,

wpadł do jaskini, w ciemność, żałując, że porzucił latarki; ręką na ścianie skały wymacał drogę, usiłując przypomnieć sobie szkic miejsca, pamiętał, że jest to jakby długi tunel kończący się serią ostrych zakosów, i nagle uświadomił sobie, że tu wcale nie musi być bezpiecznie: jaskinia może okazać się pułapką. Tak, był teraz pewien: oni chcieli go tu wciągnąć – i obejrzał się. Zobaczył przy wejściu dwóch gnijących mężczyzn, usłyszał własne wycie i biegł coraz szybciej w głęboką czerń, ale wiedział, że to dla nich żadna przeszkoda, otarł dłoń na ostrym występie skalnym, potknął się, zamachał rękami, prął dalej, dopadł zakrętu, jednego, drugiego, potem drzwi, minął je, zatrzasnął za sobą; był pewien, że to ich nie zatrzyma – i wtedy zobaczył światło w następnej komnacie. Posuwał się ku niemu w sennym dzikim przerażeniu przez labirynt stosów pożywienia i ekwipunku.

Światło biło od latarni Colemana.

Kale wszedł do trzeciej komnaty.

W bladym jak szron blasku zobaczył coś, co skłuło go lodem. To wyłaniało się z podziemnej rzeki, spod jaskini, z dziury, w której Jake Johnson umieścił pompę wodną. Wiło się. Kłębiło, pulsowało, falowało. Ciemne, cętkowane krwawo cielsko. Pozbawione kształtu.

Zaczęły formować się skrzydła. Rozmyły się.

Siarkowy odór, niezbyt mocny, ale mdlący.

Na całej siedmiostopowej kolumnie śluzu otworzyły się oczy. Skupiły spojrzenie na Kale'u.

Cofnął się przed nimi, wtulił w ścianę, złapał się kamienia, jakby on wyznaczał ostatnią krawędź rzeczywistości nad przepaścią szaleństwa.

Niektóre oczy były ludzkie. Niektóre nie. Spozierały na niego – a potem zamknęły się i znikły.

W miejscu oczu otworzyły się usta. Pojawiły się zęby, kły. Rozdwojone języki zwisały z czarnych warg. Z innych ust wysunęły się czułki robaków. Zawibrowały w powietrzu, schowały się. Jak skrzydła i oczy, w końcu usta znikły w bezforemnym cielsku.

Na podłodze siedział mężczyzna. Kilka stóp od pulsującej istoty, która wychynęła z podziemi. Siedział na wpół widoczny w blasku latarni. Twarz krył mu cień.

Czując, że Kale go zauważył, mężczyzna lekko pochylił się do przodu, wystawił twarz na światło. Mierzył sześć stóp cztery cale albo więcej, miał długie kręcone włosy i brodę. Na głowie nosił pozwijaną opaskę. Złoty kolczyk zakołysał mu się w uchu. Uśmiechnął się najdziwniejszym uśmiechem, jaki Kale w życiu widział. Uniósł powitalnie dłoń. Na jej wewnętrznej stronie widniało wytatuowane czerwono-żółte oko.

Był to Gene Terr.

Helikopter wojskowy pojawił się trzy i pół godziny po rozmowie Sary z Danielem Terschem, dwie godziny wcześniej, niż obiecał. Widocznie został skierowany bezpośrednio z bazy w Kalifornii i widocznie koledzy Sary z programu CBW odgadli jej plan wojenny. Pojęli, że *de facto* nie potrzebuje większości ekwipunku, o który prosiła, i zebrali tylko to, czego potrzebowała do uderzenia na zmiennokształt. Inaczej nie uwinęliby się tak szybko.

Boże, daj, proszę, żeby to była prawda, myślała Sara. Oby to były odpowiednie materiały!

Wielki, zamalowany kolorami ochronnymi helikopter z dwoma zestawami śmigieł, wisząc kilkadziesiąt stóp nad Skyline Road, mełł poranne powietrze, tworzył turbulencję, ciął resztki mgły. Fale ostrych dźwięków rozbijały się o miasto.

Z boku przesunęły się drzwi, jakiś mężczyzna wychylił się z ładowni i spojrzał w dół. Nie próbował wołać, gdyż rytmiczny stuk wirników i ryk silników zjadłby słowa. Zamiast tego przekazał rękami serię niezrozumiałych sygnałów.

W końcu Sara pojęła, że załoga czeka na jakąś wskazówkę o miejscu zrzutu. Zasygnalizowała, żeby wszyscy razem z nią utworzyli koło na środku ulicy. Nie wzięli się za ręce, stali w odstępach kilkudziesięciu stóp. Koło miało kilkanaście stóp średnicy.

Owinęty w płótno ładunek, nieco większy niż człowiek, został wypchnięty z helikoptera. Był podwiązany do liny spuszczonej na elektrycznym wyciągu. Początkowo ładunek zjeżdżał powoli, potem jeszcze wolniej, w końcu osiadł na jezdni w środku koła tak łagodnie, jakby załoga helikoptera dostarczała surowe jajka.

Bryce wyłamał się z koła, zanim pakunek spoczął na ziemi i znalazł się przy nim pierwszy. Odnalazł karabinek i zwolnił linę, zanim Sara i reszta dołączyli do niego.

Helikopter ściągnął z powrotem linę, spłynął w kierunku doliny i opuścił strefę zagrożenia, równocześnie zwiększając wysokość.

Sara przyklekła i zaczęła rozwiązywać nylonowy sznur, przewleczony przez metalowe oka opakowania. Pracowała gorączkowo i w ciągu paru sekund wydobyła zawartość.

Składały się na nią dwa niebieskie kanistry z białym nadrukiem słowno-literowym (Odetchnęła z ulgą, kiedy go zobaczyła. Jej wiadomość została właściwie zinterpretowana.) i trzy spryskiwacze, podobne do tych, których używa się do rozpylania środków chwastów – i owadobójczych, napędzane nie ręcznie, ale sprężonym powietrzem. Każdy cylinder był zaopatrzony w szelki jak u plecaków. Giętka rura gumowa z czterostopową metalową końcówką i dyszą wytrzymałą wysokie ciśnienie pozwalała utrzymać dystans dwunastu do czternastu stóp od celu.

Sara podniosła jeden z napełnianych pod ciśnieniem cylindrów. Ważył swoje: zawierał ten sam płyn co dwa dodatkowe, niebieskie kanistry.

Helikopter znikł po zachodniej stronie nieba.

– Saro, czy to wszystko, o co pani prosiła? – spytała Lisa.

– To wszystko, czego potrzebujemy – powiedziała wykrętnie Sara.

Rozejrzała się w koło nerwowo, jakby w obawie, że zmiennokształt rzuci się na nich. Ale nie było po nim śladu.

– Bryce, Tal, gdybyście mogli wziąć te dwa cylindry...

Szeryf i jego zastępca złapali za oba zestawy, wsunęli ramiona w szelki, zapięli pasy na piersiach,

poprawili najlepiej jak się dało ładunek na ramionach.

Nie trzeba było słów, aby obaj mężczyźni jasno zrozumieli, że cylindry zawierają broń, która może zniszczyć wroga. Sara wiedziała, że zżera ich ciekawość i była pełna podziwu, że nie zadają pytań.

Sama zamierzała używać trzeciego spryskiwacza, ale okazał się znacznie cięższy, niż się spodziewała. Wysiliwszy się, mogła go unieść, ale nie była w stanie nim manewrować. A podczas następnych kilku godzin przeżycie będzie zależało od szybkości i zręczności.

Ktoś inny musi używać trzeciego urządzenia. Nie Lisa: nie była większa od Sary. Nie Flyte: miał reumatyzm w dłoniach, na co skarżył się w nocy, i wyglądał na wątłego. Pozostawała Jenny. Była tylko dwa czy trzy cale wyższa od Sary, tylko piętnaście czy dwadzieścia funtów cięższa, ale chyba w znakomitej kondycji fizycznej. Prawie na pewno zdoła manewrować spryskiwaczem.

Flyte protestował, ale gdy spróbował podnieść urządzenie, ustąpił.

– Chyba jestem starszy, niż myślałem – powiedział z rozgoryczeniem.

Jenny przyznała, że jest najodpowiedniejszą osobą, i Sara pomogła jej założyć szelki. Byli gotowi do bitwy.

Zmiennokształt nadal nie dawał znaku życia.

Sara otarła pot z czoła.

– W porządku. W momencie w którym ono się pokaże, pryskajcie tym płynem. Nie marnujcie ani chwili. Pryskajcie do oporu, cofając się jednocześnie, ile się da. Starajcie się wyciągnąć jak najwięcej tego z ukrycia i pryskajcie, pryskajcie, pryskajcie.

– To jakiś rodzaj kwasu, czy co? – spytał Bryce.

– To nie kwas – powiedziała Sara. – Choć skutkuje bardzo podobnie, jeśli w ogóle poskutkuje.

– Więc jeśli to nie kwas – spytał Tal – to co?

– Wyjątkowy, bardzo wyspecjalizowany organizm.

– Zarazki? – Oczy Jenny były rozszerzone ze zdumienia.

– Tak. Są zanurzone w pożywcze stymulującej błyskawiczne rozmnażanie.

– Zmiennokształt zachoruje od tego? – spytała Lisa, marszcząc brwi.

– Modlę się o to gorąco – szepnęła Sara.

Nic się nie poruszyło. Nic. Ale coś było w pobliżu i prawdopodobnie nasłuchiwało. Uszami kota. Uszami lisa. Bardzo wrażliwymi niezwykle uszami własnego projektu.

– Jeśli ono zachoruje, to będziemy mogli mówić o wielkim szczęściu – ciągnęła Sara. – Bo chyba tylko choroba może je zabić.

Ale teraz to ich życie znalazło się znów w niebezpieczeństwie, gdyż ono już wiedziało, że wyprowadzili je w pole.

– Ale natura odwiecznego wroga różni się tak gruntownie od natury ludzi i zwierząt... – Flyte potrząsnął głową. – Choroby niebezpieczne dla innych gatunków, na niego w ogóle nie podziałają.

– Zgadza się – powiedziała Sara. – Ale ten mikrobia nie wywołuje zwykłej choroby. Tak faktycznie to on w ogóle nie wywołuje choroby.

Otoczone górami Snowfield wyglądało jak pocztówkowy rysunek.

Rozglądając się niespokojnie, czujna na byle ruch Sara opowiedziała im o Anandzie Chakrabartym i jego odkryciu.

W 1972 roku, w imieniu doktora Chakrabarty'ego, jego pracodawca – General Electric Corporation – złożył wniosek o pierwszy w świecie patent na bakterię stworzoną przez człowieka. Używając skomplikowanej techniki fuzji tkanek, Chakrabarty stworzył mikroorganizm, który żywił się

nierafinowaną ropą, trawił ją i w wyniku tego zmieniał jego węglowodorowe składniki.

Bakteria Chakrabarty'ego służyła przynajmniej jednemu oczywistemu celowi: mogła oczyszczać morza z wylewów ropy. Bakteria dosłownie zjadała plamy ropy, likwidując zagrożenie dla otoczenia.

Po licznych gwałtownych sporach sądowych, wszczętych z wielu stron, General Electric wygrał prawo do opatentowania odkrycia Chakrabarty'ego. W czerwcu 1980 roku Sąd Najwyższy wydał precedensową decyzję, iż odkrycie Chakrabarty'ego „nie jest dziełem natury, lecz jego własnym; w związku z czym stanowi przedmiot prawa patentowego”.

– Oczywiście – powiedziała Jenny – czytałam o tej sprawie. To była wielka sensacja – człowiek konkurujący z Bogiem, i te rzeczy.

– Na początku GE nie zamierzał wypuszczać tej bakterii na rynek – mówiła Sara. – Był to wątpliwy organizm, niezdolny do przeżycia poza ściśle kontrolowanymi warunkami laboratoryjnymi. GE zgłosił wniosek patentowy, aby zbadać sytuację prawną, stworzyć pewien status, precedens, zanim inne eksperymenty inżynierii genetycznej przyniosą bardziej użyteczne i wartościowe odkrycia. Ale po decyzji sądu inni naukowcy spędzili kilka lat na pracy nad tym organizmem i mają teraz wytrzymalszy szczep, żyjący poza laboratorium dwanaście do osiemnastu godzin. Znalazł się na rynku pod nazwą handlową biosan-4 i został z powodzeniem użyty do oczyszczania wylewów ropy na całym świecie.

– I to właśnie jest w tych cylindrach? – spytał Bryce.

– Tak, biosan-4 w płynnym roztworze.

Miasto przypominało cmentarz. Słońce świeciło z lazurowego nieba, ale powietrze było lodowate. Mimo niesamowitej ciszy Sara miała niezachwiane przekonanie, że ono się zbliża. Słyszało wszystko i jest bardzo, bardzo blisko.

Inni też to czuli. Rozglądali się niespokojnie.

– Pamiętacie, co odkryliśmy przy badaniu tkanki zmiennokształtu?

– Masz na myśli wysoką zawartość węglowodorów? – spytała Jenny.

– Tak. Ale nie tylko węglowodory. Wszystkie związki węgla. Wszędzie bardzo duże ilości węgla.

– Mówiła nam pani, że to coś jak petrolatum – powiedział Tal.

– Nie mówiłam, że jest takie samo. Podobne. Mamy tu do czynienia z żywą tkanką, różną od ludzkiej, ale złożoną i ożywioną... Więc, chodzi mi o to, że tkanka tego stworza przypomina organicznego, metabolicznie aktywnego kuzyna petrolatum. Mam nadzieję, że bakteria Chakrabarty'ego...

Coś się zbliża...

– Liczysz na to, że bakteria weźre się w zmiennokształt tak samo jak wżerała w plamy ropy.

Coś... coś...

– Tak – nerwowo odpowiedziała Sara. – Mam nadzieję, że bakteria zaatakuje węgiel i zniszczy tkankę. Lub przynajmniej zakłóci na tyle delikatną chemiczną równowagę, żeby...

Zbliża się...zbliża się...

– ...uhm, zdestabilizować cały organizm – skończyła Sara. Czowała, jak niebezpieczeństwo rośnie z każdą chwilą.

– Czy to nasza jedyna szansa? Naprawdę?

– Chyba tak.

Gdzie ono jest? Skąd nadchodzi? – zastanawiała się Sara, wodząc wzrokiem po opustoszałych budynkach, pustej ulicy, nieruchomych drzewach.

– Wydaje mi się strasznie wątpa – rzekł powątpiewająco Flyte.

– Bo i jest wątpa – powiedziała Sara. – To cień szansy, ale tylko to nam pozostało.

Hałas. Szarpiący nerwy, jeżący włos na głowie syk.

Zamarli. Czekali.

Ale miasto na powrót otuliło się peleryną ciszy.

Poranne słońce ostro odbijało się w niektórych oknach i lśniło na wygiętych kloszach latarni. Czarne dachówki domów wyglądały, jakby wypolerowano je przez noc. Ostanki, mgły osiadły na gładkich płaszczyznach wilgotnym połyskiem.

Nic się nie poruszyło. Nic się nie działo. Dźwięk się nie powtórzył.

Niepokój przesłonił twarz Bryce'a Hammonda.

– Ten biosan... mam nadzieję, że jest nieszkodliwy dla ludzi.

– Całkowicie nieszkodliwy – zapewniła go Sara.

Znów hałas. Krótkotrwały. Cisza.

– Coś się zbliża – powiedziała cicho Lisa.

Boże, dopomóż, pomyślała Sara.

– Coś się zbliża – powiedziała cicho Lisa i Bryce poczuł to również. Wrażenie nadciągającej grozy. Zgęstnienie i chłód powietrza. W spokój miasta wkradł się element drapieżności. Rzeczywistość? Wyobraźnia? Nie był pewien. Wiedział tylko, że to czuje.

Hałas rozległ się znowu. Nie na moment. Trwał. Bryce się skrzywił. Dźwięk rozdzierał uszy. Bzyczenie. Pisk. Odgłos wiertarki, ale Bryce wiedział, że to nic tak nieszkodliwego i powszedniego jak wiertarka.

Owady. Chłód, metaliczność dźwięku – to skojarzyło mu się z owadami. Pszczoły. Tak, było to zwielokrotnione bzyczenie i wizg szerszeni.

– Trójka nie uzbrojona w spryskiwacze, do środka!

– No, otoczmy was i choć trochę osłonimy – powiedział Tal.

Cholernie małe „trochę”, jeśli biosan nie zadziała, pomyślał Bryce.

Dziwny hałas wzrósł.

Monstrum pojawiło się na niebie w dole ulicy, w pobliżu cukierni. Prześliznęło się nad dachami budynków, na kilka sekund zawisło nad Skyline Road. Osa. Fantom rozmiarów niemieckiego owczarka. Nic podobnego nie żyło w ciągu dziesiątków milionów lat, które przeżył zmiennokształt. To na pewno stworzyła jego zła, koszmarna wyobraźnia. Sześciostopowe skrzydła tłukły wściekle powietrze, mieniąc się kolorami tęczy. Złożone czarne oczy tkwiły ukośnie w wąskiej, spłaszczonej, wstrętnej głowie. Cztery nogi, zakończone szczypcami, dygotały. Podwinięty, segmentowy, mlecznobiały odwłok zakończony był czterostopowym żądłem, ostrym jak igła.

Bryce poczuł, jak wnętrzności zamieniają mu się w lodowatą wodę.

Osa runęła do ataku.

Osa mknęła ku nim. Jenny krzyknęła rozdzierająco, ale uniosła dyszę spryskiwacza i nacisnęła dźwignię zwalniającą zawartość. Mlecznobiała, rozszerzająca się stożkowato mgła rozsunęła się na długość sześciu stóp.

Osa znajdowała się o dwadzieścia stóp dalej. Nadciągała szybko.

Jenny wcisnęła dźwignię do oporu. Mgła zamieniła się w strumień sięgający piętnastu, szesnastu stóp.

Bryce wypuścił strumień ze swojego spryskiwacza. Dwie smugi biosanu skrzyżowały się, wyrównały tor, nakierowane na wspólny cel. Płynęły w powietrzu.

Osa weszła w zasięg płynu. Strumień pod wysokim ciśnieniem uderzył, zaćmił tęczowe kolory

skrzydeł, skapał segmenty odwłoku.

Owad zatrzymał się gwałtownie, zawahał, opadł, jakby nie mogąc utrzymać wysokości. Wisiał w powietrzu. Został powstrzymany, ale nadal patrzył na nich wypełnionymi nienawiścią oczami.

Jenny poczuła przyływ ulgi i nadziei.

– Działa! – zawołała Lisa.

W tejże chwili osa wznowiła atak.

Tal już myślał, że niebezpieczeństwo minęło, kiedy osa wznowiła atak. Leciąca wolniej poprzez mgłę biosanu-4, ale nadal leciała.

– Padnij! – krzyknął Bryce.

Przykucnęli i osa śmignęła nad nimi. Mleczny płyn kapał na nich z groteskowych nóg i czubka żądła.

Tal podniósł się, żeby strzyknąć na owada długą strugą.

Zawróciła, ale zanim zdołał ją postrzelić, opadła, zatrzepotała dziko i grzmotnęła o jezdnię. Przewróciła się, bzyczała gniewnie. Usiłowała się podnieść. Nie mogła. Zaczęła się przemieniać.

Osa przemieniała się.

Timothy Flyte zbliżał się do osy razem z innymi i patrzył, jak rozplywa się w bezkształtną masę protoplazmy. Zaczęły wykształcać się tylne nogi psa. I pysk. Z kształtu mordy sądząc, chyba doberman. Otwierało się oko. Ale zmiennokształt nie był już w stanie dokończyć transformacji: psie rysy zniknęły. Amorficzna tkanka drżała, pulsując jak nigdy przedtem.

– Zdycha – powiedziała Lisa.

Timothy wpatrywał się, oszołomiony, w konwulsje dziwnego ciała. Oto ta odtąd nieśmiertelna istota zakosztowała smaku i grozy śmierci.

Na nieforemnej masie otwierały się owrzodzone rany, ciekł z nich rzadki, żółtawy płyn. Stworzenie rzucało się spazmatycznie. Wciąż nowe rany otwierały się z ohydą rozrutnością. Zwyródnienia wszelkich kształtów i rozmiarów, otwory o podłużnych, gwiazdzistych i krągłych brzegach wyskakiwały na pulsującej powierzchni. A w końcu, tak jak mały plasterk tkanki na płytce Petriego, i ten fantom zdegenerował się w martwą kałużę cuchnącej, wodnistej mazi.

– Na Boga, udało się pani! – zakrzyknął Timothy, obracając się do Sary.

Macki. Trzy macki. Za nią.

Wyrosły ze spływu przy krawężniku, piętnaście stóp dalej. Każda grubości przegubu Timothy'ego. Szukające przyssawki już prześliznęły się po jezdni, o jard od Sary.

Timothy wrzasnął ostrzegawczo, ale spóźnił się.

Flyte wrzasnął i Jenny obróciła się. Ono znalazło się wśród nich.

Trzy macki uniosły się z ziemi z szokującą prędkością, falując złowrogo rzuciły się, opadły Sarę. W sekundzie jedna owinęła się wokół jej nóg, druga wokół talii, a trzecia wokół szczupłej szyi.

Chryste, jest za szybkie, za szybkie dla nas! – pomyślała obracając się Jenny i jednocześnie klnąc, nacisnęła dźwignię, plując biosanem-4 na Sarę i macki.

Bryce i Tal weszli do akcji ze swoimi spryskiwaczami, ale na wszystko było za późno.

Oczy Sary rozwarły się szerzej, rozchyliła usta w bezgłośnym krzyku. Została uniesiona w powietrze i...

Nie! – błagała Jenny.

...frunęła w tył i w przód jak lalka...

Nie!

...a głowa spadła jej z ramion, spadła na ulicę z twardym, mdlącym trzaskiem.

Powstrzymując wymioty, Jenny cofnęła się o krok.

Macki uniosły się na dwanaście stóp w powietrze. Dygotały, wiły się, spływały pianą, pękały w ranach. Bakterie niszczyły strukturę wiążącej amorficznej tkanki. Zgodnie z nadziejami Sary, biosan-4 oddziaływał na zmiennokształt prawie tak, jak kwas siarkowy na tkankę ludzką.

Tal przemknął obok Jenny prosto do trzech macek. Wrzasnęła, żeby się zatrzymał.

Co on wyrabia, na Boga?!

Tal biegł przez falujące cienie, rzucane przez macki, modląc się, aby go która nie dopadła. Kiedy dotarł do ścieku, z którego wychynał stwór, dojrzał, że trzy odrośla oddzielają się od głównej masy, dygocącej w kanale. Zmiennokształt pozbywał się zarażonej tkanki, aby bakterie nie mogły dotrzeć do głównej partii ciała. Tal wsadził dyszę spryskiwacza w kratkę ściekową i spuścił biosan-4 do kanału.

Macki oderwały się od reszty stwora. Podskakiwały i wiły się po ulicy. W głębi kanału śluz cofał się przed tryskającym strumieniem, pozostawił pieniający się kawał cielska, który rzucał się spazmatycznie i umierał.

Nawet diabła można zranić. Nawet Szatan jest podatny na cios.

Uniesiony radością, Tal wstrzyknął więcej płynu do kanału.

Amorficzna tkanka znikwała, wczołgiwała się głębiej w podziemne przejścia, bez wątpienia porzucając kolejne partie samej siebie.

Tal obrócił się od kanału i zobaczył, że porzucone macki straciły kształt: teraz wyglądały jedynie jak długie, zasupłane liny ropiejącej tkanki. Podskakiwały bezładnie w wyraźnej męce i szybko zdegenerowały w cuchnącą, martwą breję.

Spojrzał na kolejny otwór ściekowy przy cichym budynku, potem na niebo. Skąd przyjdzie następny atak?

Nagle jezdnia zakotłosała się z hukiem. Flyte, stojący przed nim, padł na ziemię; okulary mu się roztrzaskały. Tal zatoczył się na bok, prawie nadepnął uczonego.

Ulica podskoczyła i zadrżała jeszcze raz, mocniej niż poprzednio, jakby przechodziły pod nią fale wstrząsów. Ale to nie było trzęsienie ziemi. Zbliżało się ono – nie fragment, nie jeszcze jeden fantom, ale główna największa część: może to wielkie cielsko parło ku powierzchni z niewyobrażalną, niszczycielską mocą, powstając jak oszukany bóg, ogarnięty wściekłym gniewem i niosący pomstę ludziom, którzy ośmielili się go zaatakować. Przybrał kształt ogromnej masy włókien mięśniowych i pchał, pchał, aż tłuczniowe leże ulicy wybrzuszyło się i pękło.

Tal padł na ziemię. Mocno walnął podbródkiem o ulicę, zakręciło mu się w głowie. Usiłował się podnieść, żeby być w pogotowiu ze spryskiwaczem, kiedy stwór się zjawi. Ledwo dźwignął się na czworaka. Ulica kołosała się zbyt mocno. Położył się znów, żeby to przeczekać.

Czekamy na śmierć, pomyślał.

Bryce leżał płasko na brzuchu, przyciśnięty do jezdni.

Lisa leżała obok. Może płakała albo krzyczała. Nie słyszał. Hałas był zbyt wielki.

Wzdłuż Skyline Road atonalna symfonia zniszczenia brzmiała crescendo, od którego pękały uszy: piski, zgrzyty, odgłosy pęknięcia i darcia. Cały świat się rozpadał. Powietrze wypełniał kurz bijący z rosnących pęknięć w nawierzchni.

Koryto drogi poruszyło się z niezmierną siłą. Kawały podbudowy wyfrunęły w powietrze: przeważnie żwir, ale i kawałki wielkości pięści, a były jeszcze większe. Kilkudziesięciofuntowe bloki cementu podskakiwały pięć, dziesięć stóp w powietrze, jakby proteuszowy stwór tłukł nieprzerwanie z dołu o nawierzchnię.

Bryce przyciągnął do siebie Lisę i usiłował zasłonić ją własnym ciałem. Czuł, jak szarpia ją gwałtowne dreszcze.

Ziemia uniosła się. Opadła z hukiem. Znow uniosła i opadła. Drobną gruz sypnął w dół, odbił się z brzękiem od cylindra spryskiwacza przytroczonego do pleców Bryce'a, uderzył go w nogi, sieknął boleśnie po głowie.

Gdzie Jenny?

Rozejrzył się w nagłym przypiływie trwogi.

W środku Skyline Road wyrósł garb. Widocznie Jenny leżała po drugiej stronie.

Ona żyje, pomyślał. Ona żyje. Do cholery, ona musi żyć!

Ogromna betonowa płyta wystrzeliła z lewej strony i frunęła na osiem, dziesięć stóp w powietrze. Był pewien, że ich zmiążdży i objął Lisę jak mógł najmocniej, choć nic by to nie pomogło, gdyby płyta na nich spadła. Trafiła Timothy'ego Flyte'a. Uderzając przytrzasnęła mu nogi, złamała kości. Zawył z bólu tak głośno, że Bryce usłyszał go ponad rykiem rozpadającej się nawierzchni.

Wstrząsy nie ustawały. Ulica podniosła się jeszcze wyżej. Ostre zęby pokrytego tłuczniem betonu wgrzyzły się w powietrze poranka.

Za kilka sekund ono przebiję się i dopadnie ich, zanim będą mieli możliwość wstać i podjąć kontratak.

Betonowy pocisk wielkości piłki do baseballu wypluty w powietrze opadł na ziemię, roztrzaskując się kilka cali od głowy Jenny. Odłamek otarł się o jej policzek, wytoczył strużkę krwi.

Ciśnienie z dołu, które wytworzyło uskok, nagle ustało. Ulica przestała się trząść. Przestała falować.

Odgłosy zniszczenia cichły. Jenny słyszała swój własny chrapliwy, przyspieszony oddech.

Kilka stóp dalej Tal Whitman zaczął podnosić się na nogi.

Po drugiej stronie wzniesienia ktoś wył w okropnym bólu. Jenny nie widziała kto.

Próbowała wstać, ale ulica zadrżała jeszcze raz i Jenny znow upadła na płask, twarzą do ziemi.

Tal również upadł. Klął na głos.

Nagle ulica zaczęła się zapadać z jękiem niby torturowana. Wzdłuż linii pęknięć odrywały się płyty, toczyły w dół, w pustkę. Bardzo głęboką pustkę. Brzmiało to tak, jakby spadały w przepaść, nie do kanału. Nagle cały wcześniej wzniesiony garb zapadł się z rykiem piorunu i Jenny znalazła się na krawędzi przepaści.

Leżała na brzuchu z uniesioną głową, czekając, aż coś wyłoni się z głębi. Drżała z lęku na myśl, jaką postać zmiennokształt przybierze tym razem.

Ale ono nie nadeszło. Nie wychyliło się z dziury.

Rozwarcie czeluści miało dziesięć stóp szerokości, pięćdziesiąt długości. Bryce i Lisa, leżący z drugiej strony, próbowali się podnieść. Jenny prawie krzyknęła ze szczęścia na ich widok. Żyli!

Wtedy zobaczyła Timothy'ego. Nogi miał przygniecione ogromnym kęsem betonu. Co gorsza – został złapany w pułapkę na niepewnym odcinku koryta drogi, sterczącym ponad dziurą. W każdym momencie ten odcinek mógł się urwać, spaść do czeluści i zabrać uczonego ze sobą.

Jenny zbliżyła się kilka stóp i zerknęła w dół. Przynajmniej trzydzieści stóp, miejscami prawdopodobnie głębiej. Nie była w stanie ocenić tego dokładnie, ponieważ zbyt wiele cieni zalegało na pięćdziesięciu stopach rozwarcia. Widocznie odwieczny wróg wyłaniał się nie tylko z odpływów burzowych; powstawał z głębokich wapiennych pieczar, spod twardego gruntu, na którym zbudowano ulicę.

Ale jakie niewiarygodne rozmiary, jaką fenomenalną siłę musi ono posiadać, skoro może podnieść nie tylko ulicę, lecz i naturalną formację skalną? I gdzie przepadło?

Czeluść robiła wrażenie pustej, ale Jenny wiedziała, że ono musi gdzieś być w głębokościach, wypełniać szczelnie podziemia, kryjąc się przed biosanem, czekając, nasłuchując.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że Bryce czołga się do Flyte'a.

Usłyszała zgrzyt ostrego pęknięcia. Betonowa półka Flyte'a poruszyła się. Lada chwila beton oderwie się i przekoziółkuje w czeluść.

Bryce dostrzegł niebezpieczeństwo. Wczołgał się na pochyloną płytę i próbował dosięgnąć profesora.

Jenny nie wierzyła, że mu się uda.

Nawierzchnia pod nią jęknęła, zadrzała i Jenny uświadomiła sobie, że sama też leży na zdradliwym gruncie. Zaczęła się podnosić. Beton pod nią pękł z hukiem.

Cienie na ścianach jaskini zmieniały się bezustannie – podobnie jak to, co je rzucało. W dziwnym jak światło księżycy blasku benzynowej lampy stwór wyglądał jak kolumna gęstego dymu; wił się bezkształtny, mroczny jak krew.

Chociaż Kale chciał wierzyć, że to tylko dym, nie łudził się. Ektoplazma. Ot co. Materia nie z tego świata, z której podobno składają się demony, zjawy i duchy.

Kale nigdy nie wierzył w duchy. Pojęcie życia po śmierci to szczydło dla słabeuszy, nie dla Fletchera Kale'a. Ale teraz...

Gene Terr siedział na ziemi, wpatrywał się w widziadło. Złoty kolczyk błyszczał.

Kale stał plecami do zimnej wapiennej ściany. Czuł się jakby wsysany przez skałę.

Ohydny siarkowy smród nadal wisiał w wilgotnym powietrzu.

Na lewo od Kale'a jakiś człowiek wyszedł z pierwszego pokoju podziemnej kryjówki. Nie, nie człowiek. Jeden z sobowtórów Jake'a Johnsona. Ten, który nazwał go dzieciobójcą.

Kale wydał cichy, pełen rozpaczony bełkot.

To była demoniczna wersja Johnsona, ta z czaszką w połowie odartą ze skóry. Jedno mokre, pozbawione powieki oko wyzierało z kościstego oczodołu, wpatrując się złowrogo w Kale'a. Potem demon odwrócił się ku śluzowatej potworności. Podeszedł do kolumny kotłującego się śluzu, rozłożył ramiona, objął żelatynowate ciało i po prostu roztopił się w nim.

Kale patrzył i nie pojmował.

Wszedł następny Jake Johnson. Temu brakowało ciała z boku. Za obnażoną klatką piersiową dygotało okrwawione serce, szerzyły się płuca; a jednak w jakiś sposób organy te nie wylewały się ze szpar między żebrami. Ale wystarczyło powąchać tej siarki, zapachu Szatana, aby uwierzyć, że było to widziadło, postać zrodzona w czeluściach piekieł – i dlatego wszystko było możliwe.

Kale teraz uwierzył.

Musiał uwierzyć, żeby nie oszaleć.

Sobowtóry wkraczały jeden po drugim, spoglądały na Kale'a, a potem wchłaniał je płynny, falujący śluz.

Latarnia Colemana wydawała cichy, nieprzerwany syk.

Galaretowate ciało przybysza nie-z-tego-swiata zaczęło rozwijać czarne, straszne skrzydła.

Syk latarni odbijał się od kamiennych ścian.

Na wpeł sformowane skrzydła zwinęły się w kolumnę śluzu, z której wykwitły. Zaczęły się formować owadzie członki.

W końcu Gene Terr odezwał się. Gdyby nie żywe spojrzenie, można by powiedzieć, że był w transie.

– Wpadamy tu, ja i kilku kumpli dwa, trzy razy w roku. Chwytasz? Tu jest... idealny teren na ubaw „zjeb i skończ”. Nikt nic nie słyszy. Nikt nic nie widzi? Kapujesz?

Jeeter oderwał wzrok od potwora i spojrzał na Kale'a.

– Co to jest, do cholery, ubaw „zjeb i skończ”? – spytał Kale.

– Och, co parę miesięcy, czasem częściej, jakaś dupencja się pokazuje i chce dobić do Chroma, chce się załapać na czyjąś żonkę, wiesz, wisi jej na czyją, albo jest gotowa dać każdemu, kto chce zmienić szparę. Chwytasz? – Jeeter siedział ze skrzyżowanymi nogami w pozycji lotosu. Ręce trzymał nieruchomo na kolanach. Wyglądał jak zły Budda. – Czasem któryś rozgląda się za generalną podmianką

albo dupencja naprawdę jest niezła i robimy jej miejsce. Ale nieczęsto. Przeważnie każemy jej wysuwać.

Owadzie nogi spłynęły z powrotem w oślizłą kolumnę błota. Zaczęło się formować wiele rąk, palce otwierały się jak płatki dziwnych kwiatów.

– Od czasu do czasu się pokazuje klasa dupencja, ale nam jej nie trza, a mamy chęć się zabawić. Albo widzimy dzieciaka, co nawiał z chaty, wiesz, słodka szesnastka, jakaś stopowiczka się nadarzy i bierzemy ją, chce czy nie. Dajemy jej trawy albo dżoju, żeby się rozkręciła, i wieziemy tu, daleko, i się bierzemy za dupczenie, aż jej się mózg puszcza uszami. Kilka dni pod rząd posuwamy ją do upadu, aż nikomu nie staje i kończymy ją na naprawdę ciekawe sposoby.

Demoniczna istota znów się zmieniła. Bogactwo rąk odplynęło. Wzdłuż ciemnej kolumny pojawiła się masa ust, pełnych kłów ostrych jak brzytwa.

Gene Terr spojrział na ostatnie wcielenie, ale nie wyglądał na przestraszonego. Prawdę mówiąc Gene Terr uśmiechał się.

– Kończycie je? – spytał Kale. – Zabijacie?

– No – powiedział Jeeter. – Na naprawdę ciekawe sposoby. I zakopujemy. Kto kiedy znajdzie trupy w takiej pustce? To nam daje kopa. Napęd. Aż do niedzieli. W niedzielę po południu się było na trawce obok chaty, piliśmy i obrabialiśmy na spółę dupencję i ni z gruchy, ni z pietruchy Jake Johnson wyłazi z lasu z gołym tyłkiem, jakby też chciał posunąć sukę. Sobie myślę, dobra, skończymy go po dziewczynie, się pozbędziemy świadka, wiesz, ale zanim zdążyliśmy go dopaść, następny Jake wyłazi z lasu, potem trzeci...

– To samo było ze mną – powiedział Kale.

– ...i następny, i następny. Strzelamy do nich, walimy prosto w klatkę, w mordę, ale nie padają, nie stają nawet, tylko następują. No to Mały Willie, jeden z moich najlepszych ludzi, wychodzi na najbliższego z kosą, ale się nie robi nic dobrego. Ten Johnson łapie Williego, Willie się nie może wyrwać i nagle... no... nagle Johnson przestaje być w ogóle Johnson. Zamiast niego jest coś, cholerne coś, bez żadnego kształtu. Coś wsuwa Williego... wsuwa go jak... no, do cholery, jakoś rozpuszcza Williego, człowieku. I rośnie, i się zmienia w najdzikszego, wielkiego, cholernego wilka...

– Jezu – wtrącił Kale.

– ...największego wilka, jakiegoś widział, a potem drugi Jake zmienia się w inne coś, jakby w wielkiego jaszczura z najokropniejszymi szczękami, ale jeden z nich to nie jaszczur ani wilk, ale coś, czego po prostu się opisać nie da – i wszyscy idą na nas. Nie możemy się dostać do motorów, bo te cosie wparowały między nas a maszyny, więc zabijają kilku moich ludzi, a potem zaczynają zaganiać nas w górę wzgórza.

– Do jaskiń – wtrącił znów Kale. – Jak i mnie.

– Nie wiedzieliśmy w ogóle o tych jaskiniach – powiedział Terr. – Więc wpadamy tu po pachy w ciemność i to coś ciągnie dalej zabijanie, człowieku, zabija nas po ciemku...

Pełne kłów usta znikły.

– ...i słyszę te wszystkie wrzaski, chwytasz, i nie wiem, gdzie jestem, więc się wczolguję w ką, żeby się skryć, liczę, że mnie nie wyniucha, choć kojarzyłem, że jak zechce, to i tak wyniucha.

Tkanka pokryta krwawymi smugami pulsowała, falowała.

– ...i po jakimś czasie koniec wrzasku. Każdy trup. Jest naprawdę cicho... i wtedy słyszę, że się coś blisko mnie rusza.

Kale słuchał Terra, ale wpatrywał się w kolumnę śluzu. Pojawił się na niej inny rodzaj ust: ssawki, jakie widuje się u egzotycznych ryb. Wciągały łakomie powietrze, jakby szukając ciała.

Kale zadrżał. Terr uśmiechnął się.

Kolejne ssawki pojawiły się na całym stworze.

– No i siedzę tu po ciemku – mówił dalej uśmiechnięty Terr – i słyszę ruch, ale nic się na mnie nie rzuca. Zamiast tego się robi jasno. Najpierw trochę, potem bardziej. To jeden z Jake’ów zapalił colemana. Mówi, żebym z nim szedł. Ja nie chcę. Łapie mnie za ramię, a rękę ma zimną, człowieku. Silną. Nie puszcza, zmusza, żebym szedł, kurde, za nim, a tu to coś wyłazi z ziemi. W życiu czegoś takiego nie widziałem, nigdy, nigdzie. Mało się nie zerznąłem w gacie. Każe mi sięść, zostawia mi latarnię, podchodzi do tego ciekącego syfa i się łączy z nim, zostawia mnie z tym. A ono od razu zaczyna się zmieniać ile wlezie.

Kale patrzył: usta jak ssawki znikły. Groźnie zakończone rogi uformowały się wzdłuż kłębiących się boków potwora; mnóstwo zagiętych i prostych rogów, o różnych powierzchniach i kolorach wyłaniało się z żelatynowatej masy.

– I tak minęło półtora dnia – mówił Terr – siedzę tu sobie, patrzę na to, chyba że sobie przysnę albo przejdę po coś do żarcia. Od czasu do czasu ono do mnie zagaduje, wiesz. Wie chyba wszystko, co można o mnie wiedzieć, takie sprawy, o których tylko moi najbliżsi bracia z Chromu wiedzieli. Wie o wszystkich pochowanych trupach i wie o skurwielach Mex, cośmy ich skończyli, jakżeśmy od nich przejęli interes z narkotykami, i wie o gliniarzu, któregośmy porabali dwa lata temu, chociaż, rozumiesz, inni gliniarze nawet nie podejrzewają, że mamy z tym coś wspólnego. To coś, to dziwne, piękne coś, zna wszystkie moje największe sekrety, człowieku. A jak czegoś nie wie, to się pyta i umie posłuchać. Pochwala mnie, człowieku. Nigdy nie myślałem, że naprawdę to poznam. Zawsze tego pragnąłem, ale żem się nigdy nie spodziewał. Czciłem to od lat, człowieku, i cała banda robiła te czarne msze raz na tydzień, ale nigdy nie sądziłem, że naprawdę mi się pokaże. Składaliśmy mu ofiary, nawet ludzkie ofiary, śpiewaliśmy jakie trzeba zaklęcia, ale nigdy do niczego nie doszliśmy. No i jest cud. – Jeeter zaśmiał się. – Szedłem jego drogą całe życie, człowieku. Się modliłem całe życie, modliłem do Bestii. Teraz jest. Cud jebany.

Kale nie chciał zrozumieć.

– Zgubiłem się. Nie chwytam.

Terr spojrzał na niego.

– Nie, nie, chwytasz. Wiesz o czym mówię, człowieku. Ty wiesz.

Kale nie odezwał się.

– Myślałeś, że to musi być demon, coś z piekła. I jest z piekła, człowieku. Ale to nie demon. To O n. O n. Lucyfer.

Wśród wielu ostro zakończonych rogów otworzyły się małe, czerwone oczy. Mnóstwo przesywających, czerwonych oczu płonęło szkarłatem, nienawiścią i wiedzą złą.

Terr skinął na Kale’a, żeby podszedł bliżej.

– Dał mi pociągnąć dalej, bo wie, że jestem jego wiernym uczniem.

Kale nie ruszył się. Serce wyskakiwało mu z piersi. To nie strach napędział mu adrenalinę. Nie tylko strach. Wstrząsało nim inne uczucie, opanowywało całego. Uczucie, którego nie potrafił do końca określić...

– Pozwolił mi żyć – powtórzył Jeeter – bo wie, że zawsze szedłem jego drogą. Ci inni... może nie byli naprawdę do końca mu oddani, więc ich zniszczył. Ale ja... to co innego. Pozwolił mi żyć, żebym szedł jego drogą. Może on da mi życie wieczne, człowieku.

Kale zamrugął.

– A tobie też. Dlatego pozwolił ci żyć, chwytasz? – powiedział Jeeter. – Pewnie. Musowo. Pewnie. Bo idziesz jego drogą.

Kale potrząsnął głową.

– Nigdy nie czciłem... diabła. Nigdy w niego nie wierzyłem.

– Nieważne. I tak idziesz jego drogą i masz z tego radochę.

Czerwone oczy obserwowały Kale'a.

– Zabiłeś żonę – powiedział Jeeter.

Kale kiwnął tępo głową.

– Człowieku, zabiłeś nawet swojego małego. Jak to nie jest jego droga, to co to jest?

Żadne ze świecących oczu nie zamrugało i Kale zaczął pojmować, co za uczucie go przepełniało. Uniesienie, zachwyt... religijne upojenie.

– Kto wie, co jeszcze narobiłeś przez lata – mówił Jeeter. – Musiałeś machnąć furę spraw, które są jemu po drodze. Jesteś jak ja, człowieku. Się urodziłeś, żeby iść za Lucyferem. Ty i ja... mamy to w genach. W genach, człowieku.

W końcu Kale odsunął się od ściany.

– I o to chodzi – powiedział Jeeter. – Chodź tu. Chodź blisko niego.

Uniesienie ogarnęło Kale'a bez reszty. Zawsze wiedział, że jest inny niż reszta. Lepszy. Wyjątkowy. Zawsze to wiedział, ale tego nigdy się nie spodziewał. Ale oto stało się, miał niezaprzeczalny dowód, że został wybrany. Przepełniła go gwałtowna, spalająca serce radość.

Ukląkł obok Jeetera w pobliżu cudownej istoty.

Dotarł do celu.

Spełnił się jego czas.

Oto, pomyślał Kale, moje przeznaczenie.

ŚRODEK PIEKŁA

Beton pod Jenny pękł z hukiem armatniego strzału.

RRAANG!

Odczołgała się, ale nie dość szybko. Nawierzchnia się uniosła i Jenny traciła pod sobą grunt.

Zaraz spadnie w czeluść. Chryste, nie! Jeśli nie zabije się podczas upadku, ono wypełnie z ukrycia, dopadnie jej i ściągnie w dół, głęboko; zeżre, zanim ktokolwiek zdoła pospieszyć na ratunek...

Tal Whitman zdążył złapać ją za łydki. Nie popuszczał. Wisiała nad czeluścią, głową w dół. Obok kawał betonu spadł w dziurę i rozbił się z hukiem. Nawierzchnia pod stopami Tala zatrzęsała się, o mało nie puścił nóg Jenny. Cofał się powoli, ciągnąc bezbronną, byle dalej od pękającej krawędzi. Kiedy znów poczuła grunt pod stopami, pomógł jej wstać.

Serce wbrew anatomii podjechało jej do gardła. Przełknęła ślinę i poczekała, aż znajdzie się na swoim miejscu.

– Boże mój! – rzekła bez tchu – dzięki ci Tal! Gdyby nie ty...

– Mam to w zakresie obowiązków – powiedział.

A przecież o mało nie spadł z nią razem do pułapki pająka!

„Bułka z masłem”, zacytowała w myślach Jenny.

Zobaczyła, że Timothy Flyte nie miał tyle szczęścia. Bryce nie dotrze na czas.

Nawierzchnia pod uczyonym, długa na osiem, szeroka na cztery stopy płyta betonu, zsunęła się w głąb, ściągając za sobą archeologa. Nie rozbiła się jak płyta nad Jenny. Ześliznęła się ze trzydzieści stóp niżej, wsparła o gruz.

Flyte nadal żył. Krzyczał w męce.

– Musimy go stamtąd szybko wydostać.

– Nawet nie warto próbować – powiedział Tal.

– Ale...

– Spójrz!

Ono przyszło po Flyte'a. Wskoczyło z jednej z widniejących na dnie czeluści dziur, które prowadziły w dół, do głębokich pieczar. Ogromna nibyczuka uniosła się dziesięć stóp w powietrze, zadrżała, opadła na ziemię, oderwała od ciała-matki i sformowała w obrzydliwie tłustego czarnego pająka wielkości kuca. Od Timothy'ego Flyte'a dzieliło go ledwie dwanaście stóp. Ruszył w morderczych zamiarach przez potrzaskane kawały nawierzchni.

Rozciągnięty bezradnie na betonowych saniach, które zniosły go w czeluść, Timothy dojrzał nadejście pająka. Zalała, go fala dzikiego przerażenia.

Czarne, sprężyste nogi znajdowały łatwe oparcie w sterczących ruinach betonu. Stworzenie pokonywało odległość dużo szybciej niż człowiek. Na cienkich odnóżach błyszczały tysiące sztywnych jak druty włosów. Obrzmiały odwłok połyskiwał, gładki i matowy.

Jeszcze dziesięć stóp. Osiem.

Wydawało odgłos mrozący krew w żyłach: na wpół pisk, na wpół syk.

Sześć stóp. Cztery.

Stało przed Timothyem. Ujrzał parę potężnych zuchw, ostro zakończonych chitynowych szczęk.

Rzeczywistość czy szaleństwo?

Nagle na Timothy'ego spadł mleczny deszcz. Przez moment sądził, że to pająk tryska trucizną. Potem uświadomił sobie, że to biosan-4. Stali nad nim, w górze, na skraju czeluści ze spryskiwaczami skierowanymi w dół.

Płyn pokrywał też pająka. Białe plamy zaczęły się odcinać na czarnym ciele.

Bryce nie mógł wycisnąć kropli płynu ze spryskiwacza. Zniszczyły go kawałki gruzu.

Klnąc odpiął szelki i pozbył się ciężaru. Tal i Jenny strzelali biosanem z drugiej strony czeluści. Bryce podbiegł do krawężnika po dwa dodatkowe kanistry z roztworem. Wcześniej przetoczyły się po nawierzchni, spoczęły przy krawężniku. Bryce złapał oba za uchwyty. Zaciążyły. Powrócił na skraj czeluści, zawahał się, prześliznął ostrożnie przez krawędź i dalej, w dół pochyłości, aż na samo dno. Jakoś udało mu się utrzymać na nogach. Nadal mocno ścisnął oba kanistry. Nie szedł do Flyte'a. Jenny i Tal zrobią wszystko co możliwe, by zniszczyć pająka. Bryce pochylił się i pognął przez gruz ku dziurze, z której zmiennokształt wysłał ostatniego fantoma.

Timothy Flyte patrzył ze zgrozą, jak pająk pochylony nad nim przemienił się w ogromnego ogara. To nie był normalny pies; był to Piekielny Ogar z pyskiem na wpół zwierzęcym, na wpół ludzkim, z sierścią (tam gdzie nie spryskał jej biosan) dużo czarniejszą niż ciało pająka. Z wielkich łap sterczały zakrzywione pazury, z paszczy zęby dłuższe niż palce Timothy'ego. Oddech cuchnął siarką i czymś jeszcze gorszym.

Na ogarze pojawiały się zmiany chorobowe. Bakterie zjadały amorficzne ciało. Nadzieja.

Przeszywając ślepiami uczonego, ogar odezwał się głosem grzmącym jak żwir walący w dół blaszanego zsypu:

– Myślałem, żeś moim Mateuszem, a okazałeś się Judaszem.

Otworzyły się gigantyczne szczęki.

Timothy wrzasnął.

Mimo postępującej degeneracji stwór zwarł szczęki i bezlitośnie odgryzł mu twarz.

Stojąc na brzegu czeluści i patrząc w dół, Tal Whitman dzielił uwagę pomiędzy koszmarną scenę śmierci Flyte'a a samobójczą misję Bryce'a z kanistrami.

Flyte. Choć pies-fantom rozpuszczał się pod wpływem działających jak kwas bakterii, nie zdychał dość szybko. Ugryzł Flyte'a w twarz, potem w szyję.

Bryce. Dwadzieścia stóp od Piekielnego Ogara dopadł dziury, z której protoplazma wyłoniła się kilka minut temu. Zaczął odkręcać zakrętkę kanistra.

Flyte. Ogar wżarł się koszmarnie w jego głowę. Tylne partie ciała bestii traciły formę, pieniały się, ale fantom walczył zaciekle o utrzymanie kształtu, żeby jak najdłużej szarpać i żuć ciało uczonego.

Bryce. Zdjął zakrętkę. Tal słyszał, jak odrzucona zadzwięczała o kawałek betonu. Tal był pewien, że coś wyskoczy z dziury, z podziemnych pieczar i chwyci Bryce'a w śmiertelny uścisk.

Flyte. Przestał krzyczeć.

Bryce. Przechylił kanister i wylał roztwór w podziemny labirynt, na dno czeluści.

Flyte umarł.

Z ogara pozostał tylko wielki łeb. Choć pozbawiony członków, choć pokryty ranami i toczący ropę, dalej targał ciało uczonego.

Timothy Flyte leżał w dole. Krwawy strzęp.

Był z niego taki miły staruszek.

Trzęsąc się ze wstrętu. Lisa cofnęła się od krawędzi. Ruszyła wzdłuż krawężnika, zatrzymała się, zastygła, wstrząsana dreszczami...

...aż uświadomiła sobie, że stoi na kratce odpływowej. Przypomniała sobie, jak macki wyslizgujące się z odpływu usidliły i zabiły Sarę Yamaguchi. Szybko dała susa na chodnik.

Spojrzała na budynek z tyłu. To ten z krytym przejściem służbowym między dwoma firmami. Z obawą zerkała na zamkniętą furtkę.

Czy coś czai się w pasażu? Obserwuje ją?

Już chciała zrobić krok z powrotem na jezdnię, kiedy zobaczyła kratkę ścieku. Została na chodniku.

Zrobiła niepewnie krok w lewo. Zawahała się. Ruszyła w prawo. Znow się zawahała. Drzwi i służbowe przejścia znajdowały się i tu, i tam. Nie ma sensu się ruszać. Nigdzie nie jest bezpiecznie.

Bryce właśnie zaczął wlewać biosan-4 do otworu na dnie czeluści, kiedy wydało mu się, że coś się poruszyło w mroku poniżej. Oczekiwał fantoma, który wyskoczy i zaciągnie go na swe podziemne leże. Ale opróżnił cały kanister i nic go nie zgarnęło.

Ciągnąc drugi kanister, zlany potem, przedarł się przez spiętrzone płyty, ostre odłamki i połamane rury. Ostrożnie obszedł potargany i trzeszczący kabel elektryczny, przeskoczył małą kałużę; to woda ciekła z pękniętej rury. Minął zmiętego trupa Flyte'a i cuchnące resztki gnijącego fantoma.

Dotarł do następnej dziury, kucnął, odkręcił zakrętkę i wlał zawartość drugiego kanistra w podziemne komnaty. Pusty. Odrzucił go, obrócił się, pobiegł, zaczął się z trudem wspinać w górę.

Pokonał ledwie jedną trzecią drogi na pochyłej ścianie, kiedy usłyszał za sobą coś strasznego.

Jenny patrzyła, jak Bryce wbijając paznokcie w ścianę wspina się do ulicy. Wstrzymała oddech.

Nagle jej wzrok przyciągnęła pierwsza zalana biosanem dziura. Wytrysnął z niej zmiennokształt, wyskoczył z podziemi. Wyglądał jak fala zgalaretowaciałych nieczystości; poza fragmentami, które skropił bakteryjny roztwór, był teraz ciemniejszy niż przedtem. Falował, wił się, kłębił gwałtowniej niż kiedykolwiek. Być może dowodziło to rozkładu. Mleczny ślad infekcji rozciągał się wyraźnie po całym stworze: tworzyły się pęcherze, nabrzmiwały, pękały, wstrętne rany otwierały się i wydalały wodnisty, żółty płyn. W ciągu kilku sekund dziura wypluła przynajmniej tonę amorficznej tkanki. Wyglądało na to, że w całości została dotknięta chorobą. Żywa żelatynowata tkanka coraz szybciej, w coraz większej ilości chlustała gwałtownie, wybuchała jak lawa także z drugiej dziury. Lawa płynnego śluzu przeskakiwała gruzowisko, tworzyła pseudomacki – bezkształtne, bijące na oślep ramiona – które unosiły się w powietrze, ale szybko opadały, piniąc w atakach spazmów. A potem, także z drugiego otworu, dobiegł upiorny chorał: głosy tysięcy ludzi i zwierząt krzyczących w bólu, grozie i czarnej rozpacz. Ten rozdzierający lament łamał serce Jenny. Był nie do zniesienia – zwłaszcza kiedy kilka głosów zabrzmiało niesamowicie znajomo, jak głosy starych przyjaciół i bliskich sąsiadów. Przycisnęła ręce do uszu, ale na próżno: nadal słyszała ryk cierpiącego tłumu. Był to, oczywiście, śmiertelny krzyk jednego tylko stwora, zmiennokształtu, ale ponieważ ono nie miało własnego głosu, zmuszone było korzystać z głosów ofiar, nadając nieczłowieczym uczuciom i nieczłowieczej grozie niezwykle człowieczy wyraz.

Ono skoczyło przez gruzy. Do Bryce'a.

Bryce był w połowie drogi, gdy hałas za nim przeszedł od lamentu tysiąca głosów w jeden ryk rozpaczy.

Ośmielił się obejrzeć. Trzy czy cztery tony amorficznej tkanki wytrysnęły fontanną do rozpadliny, a napływały kolejne fale, jakby ziemia opróżniła swe trzewia. Ciało odwiecznego wroga drżało, podskakiwało, pękało. Usiłowało tworzyć skrzydlate fantomy, ale było zbyt słabe lub miało zbyt zachwianą równowagę, aby móc skutecznie cokolwiek naśladować; na wpół wykształcone ptaki i ogromne insekty albo rozkładały się w szlam przypominający ropną wydzielinę, albo zapadały z powrotem w jezioro tkanki. Tym niemniej odwieczny wróg zbliżał się do Bryce'a w gorączce drgawek i falowania. Podpłynął prawie do podstawy pochyłości i teraz wysyłał ku niemu degenerujące się, ale nadal potężne macki.

Szeryf obrócił się i podwoił wysiłki, aby zdążyć...

Dwa duże okna w Starym Miejskim Barze-i-Grillu, przed którego frontem przystanąła Lisa, wystrzeliły na chodnik. Ostry odłamek szkła smagnął ją po czole, ale poza tym była nietknięta. Większość odłamków spadła na chodnik między nią a budynkiem.

Ohydna, ciemna masa wylała się wylamanym oknem.

Lisa cofnęła się.

Obrzydliwe śluzowate cielsko wypełniło chyba cały budynek.

Macki wysliznęły się z kratki ściekowej za plecami dziewczyny. Złapały.

Krzycząc, próbowała się od nich uwolnić – i okazało się to zaskakująco łatwe. Cienkie jak glisty macki odpadły. Ropne rany zjawiły się na ich całej długości, otwały się szerzej i w kilka sekund macki zredukowały się do nieożywionego śluzu.

Obrzydliwe cielsko, które wypuściło pędy z restauracji również poddawało się bakterii. Kęsy pniącej się tkanki odpadały na chodnik. A jednak ono nadal parło do przodu, wylaniało z siebie macki, które wymachiwały w powietrzu, poszukiwały Lisy, choć macały niepewnie – jak coś chorego i ślepego.

Tal widział, że okna w Starym Miejskim Barze-i-Grillu z drugiej strony ulicy wystrzeliły na chodnik, ale ledwie zdążył zrobić krok, by pomóc Lisie, za nim również pękły szyby w hallu i sali restauracyjnej Zajazdu Na Wzgórzu. Obrócił się, zaskoczony, frontowe drzwi zajazdu frunęły, otwarte na oścież a z drzwi i z okien wylały się tony protoplazmy, która pulsowała (Och, Jezu, jak wielki jest ten cholerny stwór? Jak całe miasto? Jak góra, z której się wyłonił? Nieskończony?), wiła się, wypuszczała całe zastępy tnących powietrze macek, oznaczonych chorobą, ale wyraźnie mających więcej życia niż odrosty posłane za Bryce'em. Zanim Tal zdążył podnieść dyszę spryskiwacza i nacisnąć dźwignię, zimne macki odnalazły go, złapały z oszałamiającą siłą, a potem pociągnęły po ulicy do zajazdu, ku płynnej ścianie śluzu, który nadal wylewał się przez potraskane okna – i macki zaczęły go palić przez ubranie, poczuł, jak pali go skóra, pokrywa się bąblami, zawył, gryzący kwas wżerał się w ciało, poczuł, jak rozpalone żelaza goreją mu na ramionach, poczuł rozżarzony pręt na lewym udzie, przypomniał sobie, jak macka obcięła głowę Franka Autry'ego, szybko wżerając mu się w szyję, pomyślał o ciotce Becky, pomyślał...

Jenny uchyliła się przed macką, która się na nią zamierzyła.

Prysnęła na Tala i wszystkie trzy węzowe odrośla, które go złapały.

Gnijąca tkanka odpadała z macek, ale nie degenerowały się całkowicie.

Lecz nawet tam, gdzie nie dosięgnął spryskiwacz, ciało stwora pokrywało się ranami. Cała bestia

została skażona. Ono było zżerane od wewnątrz. Nie pożyje długo. Może tylko tyle, żeby zdążyć zabić Tala Whitmana.

Krzyczał strasznie, rzucał się.

Jenny cisnęła spryskiwacz i jak oszalała rzuciła się ku niemu. Chwyliła jedną z obejmujących go odrośli, usiłując uwolnić policjanta.

Następna macka złapała Jenny.

Jenny wywinęła się z niezdarne go uchwytu i nagle uświadomiła sobie, że wyzwoliła się bez trudu. A zatem ono szybko przegrywa bitwę z bakterią.

Pod rękami Jenny zamierały kawałki, fragmenty ohydnie cuchnącej zmarłej tkanki.

Dusząc się, zacisnęła mocniej ręce i macka w końcu odpadła od Tala, potem druga, trzecia. Padł na jezdnię. Łapał powietrze, okrwawiony.

Ślepe, niezdarne odrośle nie dotknęło Lisy. Rzygająca masa opadała przed Stary Miejski Bar-i-Grill. Teraz dysząca potworność rzucała się spazmatycznie, odrzucając pienne, zainfekowane kawały.

– Ono zdycha – powiedziała głośno Lisa, choć nikt nie stał dość blisko, żeby ją usłyszeć. – Diabeł zdycha.

Bryce czołgając się po stromiznie z trudem pokonał kilka ostatnich stóp czeluści. Wreszcie dotarł do krawędzi, wydzwignął się na ulicę.

Spojrzał w głąb na przebytą drogę. Zmiennokształt nie doszedł go. Niewiarygodnie wielkie żelatynowate jezioro amorficznej tkanki rozlewało się martwo po gruzowisku. Kilka ludzkich i zwierzęcych form usiłowało się z niego wyłonić, ale odwieczny wróg stracił zdolność do mimikry. Fantomy były niedoskonałe, niewyraźne. Zmiennokształt z wolna zniknął pod pokładem swej własnej, martwej tkanki.

Jenny ukłękła przy Talu.

Na ramionach i piersi siniejące rany. Świeże, ociekające płynem surowiczym rany widniały także na lewym udzie.

– Boli? – spytała.

– Przedtem bolało. Teraz mniej – powiedział, choć wyraz jego twarzy świadczył, iż nadal cierpi.

Ogromne śluzowate cielsko, które chlusnęło z Zajazdu Na Wzgórzu, zaczęło się wycofywać do ścieków kanalizacyjnych, zostawiając za sobą parujący, zgniły osad.

Odwrót Mefistofelesa. Z powrotem do podziemi. Z powrotem do środka piekła.

Pewna już, że nie grozi im bezpośrednie niebezpieczeństwo, Jenny uważniej obejrzała rany Tala.

– Niedobrze? – spytał.

– Nie tak źle, jak myślałam. – Zmusiła go, by się położył. – W kilku miejscach zżarta skóra. I trochę tkanki tłuszczowej spod spodu.

– Żyły? Arterie?

– Nie. Było za słabe, żeby wezreć się tak głęboko. Dużo zniszczonych naczyń krwionośnych w powierzchniowej tkance. Dlatego krwawisz. Ale mniej, niż można by się spodziewać. Jak tylko będzie bezpiecznie, pójde po torbę i opatrzę cię; może się wdać infekcja. Może kilka dni poleżysz na obserwacji w szpitalu. Chcę mieć pewność, że nie nastąpi opóźniona reakcja alergiczna na kwas albo inną truciznę. Ale naprawdę myślę, że wszystko będzie w porządku.

– Wiesz co? – powiedział.

– Co?

– Mówisz, jakby było po wszystkim.

Jenny zamrugła.

Spojrzała na zajazd. Przez rozbite okna widać było wnętrze sali restauracyjnej. Odwieczny wróg znikł.

Obróciła się i spojrzała przez ulicę. Lisa i Bryce okrążali rozpadlinę, podążając ku nim, na drugą stronę czeluści.

– Bo tak myślę – powiedziała. – Myślę, że jest po wszystkim.

Fletcher Kale nie czuł już strachu. Siadł obok Jeetera i obserwował, jak ciało Szatana przechodzi metamorfozy w jeszcze dziwniejsze kształty.

Od dobrej chwili czuł swędzenie na lewej łydce. Drapał się nieprzerwanie, bezmyślnie, obserwując doprawdy cudowne transformacje demonicznego gościa.

Zamknięty w jaskiniach od soboty Jeeter nie wiedział o niczym, co zdarzyło się w Snowfield. Kale wyjawiał mu tę część wiedzy, którą znał, i Jeeter był zachwycony.

– Wiesz, to znak. To, co on uczynił w Snowfield, jest znakiem dla świata. On nadchodzi. Zacznie się jego panowanie. Będzie rządził ziemią tysiąc lat. Tak sama Biblia mówi, człowieku – tysiąc lat piekła na ziemi. Każdy będzie cierpiał – poza tobą, mną i takimi jak my. Bo my jesteśmy wybrani, człowieku. My jesteśmy jego apostołowie. Będziemy rządzić światem z Lucyferem. Świat będzie nasz i każdego będziemy dręczyć po skurwysynie, jak nam się spodoba. Każdego. I nikt nas nie tknie, nikt, nigdy. Chwytasz? – Terr natarczywie ścisnął Kale'a za ramię, mówił głosem wzburzonym, podniecony, telepiąc się w proroczej pasji, która łatwo udzielała się Kale'owi i budziła w nim oszalamiające, grzeszne uniesienie.

Mając rękę Jeetera na swoim ramieniu, Kale miał wrażenie, że czuje gorące spojrzenie czerwono-żółtego tatuowanego oka. Czarodziejskiego oka, które zaglądając mu w duszę odnajdywało tam mroczne pobratymstwo.

Kale odchrząknął, poskrobał się w kostkę, w łydkę.

– No, no, rozumiem, naprawdę rozumiem.

Kolumna śluzu zaczęła formować biczowaty ogon. Wyłoniły się skrzydła, rozłożyły, zawachlowały. Wyrosły ramiona, potężne i umięśnione. Ogromne ręce z potężnymi palcami, zwięzającymi się w szpony. Na szczycie kolumny płynna masa przybrała kształt twarzy: podbródek i szczęki jak wyrzyte w granicie. Rozcięcie ust, cienkie wargi, spękane krzywe zęby, zmijowe kły. Nos przypominający świński ryj. Szalone czerwone oczy, nieludzkie, wyglądające jak pryzmatyczne oczy muchy. Na czole wyrosły rogi. Włosy jak robaki: błyszczące, tłuste, zielonoczarne, bezustannie skręcały się w supły.

Otworzyły się okrutne usta. Diabeł przemówił:

– Czyście uwierzyli?

– Tak – powiedział z oddaniem Jeeter. – Jesteś mój pan.

– Tak – potwierdził drżącym głosem Kale. – Wierzę. – Podrapał się w prawą łydkę. – Naprawdę wierzę.

– Czy należycie do mnie? – spytało widziadło.

– Tak, na zawsze – powiedział Terr, a Kale potwierdził.

– Nie wyrzekniecie się mnie?

– Nie.

– Nigdy.

– Czy chcecie mi służyć?

– Tak – przyrzekł Terr, a Kale dodał:

– Zrobimy, co zechcesz.

– Wkrótce odejdę – powiedziała zjawa. – Mój czas jeszcze nie dojrzał. Ten dzień nadejdzie. Niebawem. Ale są warunki proroctwa, które należy wypełnić. Wtedy powtórną się zjawię, nie tylko, aby

przekazać znak całej ludzkości, ale aby zostać tu na millenium. Do tego czasu otoczę was opieką, ochronię mocą, która jest wielka. Nikt was nie dosięgnie ani wam nie zagrozi. Przepowiadam wam życie wieczne. Obiecuję, że dla was piekło będzie miejscem ogromnych rozkoszy. W zamian musicie wykonać pięć prac.

Powiedział, co winni wykonać, żeby się sprawdzić. Kiedy przemawiał, pękały na nim krosty, wypryski, wrzody, tryskające rzadkim, żółtym płynem.

Kale zastanawiał się, co znaczą te rany, i uświadomił sobie nagle, że Lucyfer jest ojcem wszystkich chorób. Może było to niezbyt subtelne przypomnienie straszliwych plag, które na nich spuści, jeśli nie spełnią pięciu prac?

Ciało pieniało się, rozpuszczało. Bluzgało plwocinami; kilka odprysków padło na ściany studni, gdy stwór rzucił się i wił. Ogon diabła odpadł i podrygiwał na ziemi; w ciągu kilku sekund zredukował się do nieożywionego szlamu, cuchnącego śmiercią. Zapytał jeszcze:

– Zawarliśmy pakt?

– Tak – powiedział Terr, a Kale:

– Tak, pakt zawarty.

Pokryta otwartymi ranami twarz Lucyfera rozplynęła się. Podobnie rogi i skrzydła. Kłębując się, wydzielając ropną papkę, stwór zapadł w ziemię, znikł w płynącej głęboko rzece.

Dziwne. Cuchnąca, martwa tkanka nie znikła całkowicie. Po ektoplazmie należałoby się spodziewać, że zniknie, kiedy nadnaturalna istota odejdzie. A to coś zostało: ohydne, mdlące, błyszczało w świetle lampy.

Zachwyt Kale'a opadł stopniowo. Przez spodnie poczuł zimno bijące od wapiennej skały.

Gene Tarr zakaszłał.

– No...no, to ci dopiero, nie?

Kale podrapał swędzącą łydkę. Pod tym miejscem wyczuwał teraz niewielki bolący punkt. Pulsował.

Wchłonęło dosyć karmy. Wistocie przekarmiło się. Teraz, w ciągu dnia, zamierzało ruszyć serią pieczar, podziemnych kanałów i szlaków wodnych – do morza. Chciało opuścić kontynent, wejść w oceaniczne rowy. Trudno zliczyć, ile razy już spędzało okres letargu – czasem trwający wiele lat – w zimnych, mrocznych głębinach. Tam gdzie ciśnienie było tak ogromne, że rzadko która forma życia zdolna była przetrwać, tam gdzie absolutny brak światła i cisza odgradzały od bodźców, odwieczny wróg zwalniał procesy metaboliczne; zapadał w wielce upragniony sen, zaznawał idealnej samotności.

Ale tym razem ono miało nigdy nie dotrzeć do morza. Już nigdy. Umierało.

Myśl o własnej śmierci była dlań tak nowa, jeszcze nie przystosowało się do ponurej rzeczywistości. W geologicznej substrukturze Śnieżnej Góry zmiennokształt nadal porzucał zarażone partie. Człgał się coraz głębiej w podwodną rzekę, płynącą w styksowych ciemnościach, jeszcze głębiej, jeszcze dalej w infernalne regiony, do komnat Orkusa, Hadesa, Ozyrysa, Ereba, Minosa, Loki, Szatana. Za każdym razem, kiedy zdawało mu się, że uwolniło się od żrącego mikroorganizmu, rodziło się znowu przedziwne swędzenie, nieprzyjemność, a potem następował ból, całkiem podobny do ludzkiego bólu, i było zmuszane pozbywać się kolejnej porcji zarażonej tkanki. Schodziło głębiej w dół, w Gehennę, w Szeol, Abbadon, w Czeluść. Od setek lat grało rolę Szatana i innych postaci zła, które ludzie mu przypisali, i zabawiało się, podsycając ich zabobony. Teraz zostało skazane na los, którego mitologię pomogło stworzyć. Czulo gorzką ironię tej sytuacji. Zostało zepchnięte w dół. Zostało przeklęte. Zamieszka w mroku i rozpaczy do końca swego życia – odmierzanego w godzinach.

Przynajmniej zostawiło za sobą dwóch apostołów. Kale'a i Terra. Będą czynić swoje, nawet gdy ono przestanie istnieć. Będą siać terror i wezmą pomstę. Idealni do tego zadania.

Teraz, zredukowany tylko do mózgu i minimalnej ilości podtrzymującej tkanki, zmiennokształt krył się w chthonicznej niszy gęsto zbitej skały i oczekiwał końca. Spędzi ostatnie minuty, sycząc z nienawiścią, przeklinając cały ludzki ród.

Kale podwinął spodnie i obejrzał nogę. W świetle lampy spostrzegł dwa małe pulchne czerwone punkciki. Nabrzmiały, swędziały.

– Ślady po insektach – powiedział.

Gene Terr spojrział.

– Kleszcze. Wchodzą pod skórę. Będą swędziały, dopóki nie wyciągniesz. Wypal papierosem.

– Masz?

– Parę skrętów z trawką – wyszczerzył zęby. – Podziałają tak samo, człowieku. A kleszcze zdechną na odlocie.

Spalili skręty i Kale rozżarzoną końcówką wypalił kleszcze. Nie bolało bardzo.

– W lesie – powiedział Terr – wsadź nogawki w cholewy butów.

– Były wsadzone.

– Taak? No to jak te kleszcze wlażyły do środka?

– Nie wiem.

Kiedy wypalili więcej trawki, Kale zmarszczył się i powiedział:

– On obiecał, że nikt nas nie dosięgnie. Powiedział, że będzie nas chronił.

– Zgadza się, człowieku. Jesteśmy nie do pokonania.

– No to dlaczego muszę zawracać sobie głowę tymi kleszczami?

– Hej, człowieku, to pryszcz.

– Ale jeśli naprawdę jesteśmy pod jego ochroną...

– Słuchaj, może te ugryzienia to sposób na przypieczerowanie umowy. Trochę krwi. Chwytasz?

– No to czemu kleszcze nie ugryzły ciebie?

Jeeter wzruszył ramionami.

– Nieistotne, człowieku. Poza tym jebane kleszcze wżarły się w ciebie, zanim zawarłeś umowę, nie?

– Aha. – Kale pokiwał głową, oszołomiony narkotykiem. – No. Też racja.

Milczeli przez chwilę.

– Jak ci się zdaje? Kiedy będziemy mogli stąd wyjść? – spytał w końcu Kale.

– Oni chyba wciąż mocno za tobą niuchają.

– Ale jak nie mogą mnie dosięgnąć...

– Sensu nie ma się podkładać – powiedział Terr.

– Chyba tak.

– Przywarujemy kilka dni. Do tej pory minie najgorsze.

– A potem załatwiamy piątkę, jak on chce. A wtedy?

– Naprzód, człowieku. W drogę. Na nowe szlaki.

– Dokąd?

– Gdzieś tam. On wskaże drogę. – Terr milczał chwilę. Potem zagadnął: – Opowiedz mi o tym, jak zabijałeś żonę i dzieciaka.

– Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko, co można, człowieku. Powiedz mi, jak się czułeś. Jak to jest, kiedy się skreśla starą. Przede wszystkim gadaj o dzieciaku. Jak to jest, jak się kończy dzieciaka? No? Nigdy taki młody mi się nie trafił, człowieku. Zabiłeś go szybko, czyś przeciągał sprawę? Inaczej się czułeś niż przy niej? Jak to dokładnie zrobiłeś dzieciakowi?

– Tylko to, co musiałem. Stali mi na drodze.

– Ściągali cię w dół, co?

– Oboje.

– Jasne. Wiem, jak to jest. Ale co zrobiłeś?

– Ją zastrzeliłem.

– Dzieciaka też?

– Nie. Porąbałem. Tasakiem do mięsa.

– Nie pieprzysz?

Palili jeszcze trawkę, a kiedy latarnia syczała, a szept i chichot podziemnej rzeki dobiegał przez dziurę, Kale opowiadał o zabiciu Joanny, Danny'ego i o zastępcach szeryfa okręgu.

Od czasu do czasu, nabuzowany marihuaną, Jeeter prychał rozbawiony i pytał:

– Hej, człowieku, się zabawimy? Się zabawimy razem, ty i ja? Gadaj jeszcze. Gadaj. Człowieku, się zabawimy?

ZWYCIĘSTWO?

Bryce stał na chodniku, uważnie omiatając wzrokiem miasto. Nasłuchiwał. Czekał. W pobliżu nie było zmiennokształtu, ale szeryfowi trudno było uwierzyć, że on nie żyje. Obawiał się, że wyskoczy na niego, w chwili gdy on, Bryce, rozluźni się.

Tal Whitman leżał rozciągnięty na jezdni. Jenny i Lisa opatrywały mu oparzenia po kwasie, zasypywały antybiotykiem w pudrze, bandażowały tymczasowo opatrunki.

A Snowfield trwało, tak ciche, jakby to ono leżało na dnie morza.

– Powinniśmy natychmiast dostarczyć go do szpitala – powiedziała Jenny, kończąc opatrywanie Tala.
– Rany nie są głębokie, ale może nastąpić spóźniona reakcja alergiczna na jedną z toksyn zmiennokształtu. Mogą nagle przyjść kłopoty z oddychaniem lub ciśnieniem krwi. Szpital ma urządzenia na najgorsze ewentualności, ja nie.

Ogarniając wciąż spojrzeniem ulicę, Bryce zapytał:

– A co jeśli wsiądziemy do wozu i znajdziemy się w takiej ruchomej pułapce, a ono powróci?
– Weźmiemy ze sobą parę spryskiwaczy.
– Może zabraknąć czasu na ich użycie. Ono wyskoczy z wjazdu, przewróci samochód i zabije nas nie dotykając, nie dając szansy na użycie spryskiwacza.

Słuchali miasta. Nic. Tylko powiew wiatru.

– Zdechło – odezwała się w końcu Lisa.
– Nie mamy pewności – powiedział Bryce.
– Nie czujecie? – upierała się Lisa. – Jest różnica. Przepadło! Zdechło. Czuje się różnicę w powietrzu.

Bryce uświadomił sobie, że dziewczyna ma rację. Zmiennokształt posiadał nie tylko fizyczną osobowość, emanował także pewną aurą.

Szeryf wyczuwał wcześniej promieniujące zeń, prawie dotykalne zło.

Wyglądało na to, że odwieczny wróg oddziaływał – wibracjami, nadzmysłowymi falami? – których nie dało się zobaczyć ani usłyszeć, ale które były rejestrowane instynktownie. Kładły się cieniem na duszy. A teraz te wibracje przepadły. W powietrzu nie czuło się zagrożenia.

Bryce wziął głęboki oddech. Powietrze było czyste, świeże, słodkie.

– Jeśli nie chcecie się jeszcze łądować do wozu, to się nie przejmujcie – powiedział Tal. – Możemy chwilę zaczekać. Jestem w porządku. Nic mi nie będzie.

– Zmieniłem zdanie – rzekł Bryce. – Możemy jechać. Nic nie może nas zatrzymać. Lisa ma rację. Ono zdechło.

– Pamiętacie, co Flyte powiedział o inteligencji stwora? – spytała Jenny, kiedy już znaleźli się w wozie patrolowym i Bryce zapalił silnik. – Kiedy Flyte rozmawiał z nim, powiedział, że prawdopodobnie zdobyło inteligencję i samoświadomość dopiero po skonsumowaniu istot inteligentnych.

– Pamiętam – odezwał się z tylnego siedzenia Tal, zajmujący miejsce obok Lisy. – Nie podobało mi się to.

– Ach, tak? – powiedział Bryce. – O co ci chodzi, doktorku?

– Cóż, jeśli ono zdobyło inteligencję wchłaniając naszą wiedzę i mechanizmy poznawcze... to czy w ten sam sposób nie nabyło również okrucieństwa i zła? Od nas, od ludzkości. – Widziała, że zaniepokoiła Bryce'a i drążyła dalej temat. – Jak się temu przyjrzeć głębiej, do końca, to może jedynymi

prawdziwymi diabłami są ludzie. Nie wszyscy, nie cały gatunek, tylko ci pokręceni w środku, ci, którzy nigdy nie doznali empatii lub współczucia. Jeśli zmiennokształt był mitologicznym Szatanem, to może zło w człowieku nie jest odbiciem diabła, być może diabeł jest tylko odbiciem dzikości i brutalności naszego gatunku. Może to my... tworzymy diabła na nasz obraz i podobieństwo.

Bryce milczał.

– Może masz rację – powiedział wreszcie. – Myślę, że się nie mylisz. Nie bójmy się diabłów, demonów i stworów, które się tłuką po nocy... ponieważ w końcu piekło jest tam, gdzie my je stworzymy.

Jechali Skyline Road.

Snowfield wyglądało radośnie i pięknie.

Nic nie próbowało ich zatrzymać.

Odwiedzili Tala w szpitalu w Santa Mira w niedzielny wieczór, tydzień po tym, jak Jenny i Lisa wjechały do Snowfield pogrążonego w cmentarnej ciszy, pięć dni po śmierci zmiennokształtu. U Tala jednak nastąpiła reakcja na trucizny w płynach wydzielanych przez zmiennokształt i rozwinęła się również drobna infekcja, ale nie groziło mu ani przez chwilę poważne niebezpieczeństwo. Teraz zdrów jak ryba palił się do pójścia do domu.

Kiedy Lisa i Jenny weszły, siedział w fotelu przy oknie i czytał magazyn. Miał na sobie mundur. Broń i kabura leżały obok na stolyczku przy łóżku.

Lisa uściskała go, zanim się podniósł, Tal oddał jej uścisk.

– Wyglądasz bombowo – powiedziała.

– Wyglądasz bosko – zawtórował.

– Jak milion dolców.

– Ty jak dwa.

– Panie będą mdlały na twój widok.

– Chłopcy przy tobie padną jak strucla.

Był to rytuał, który powtarzali codziennie, mały dowód uczuć, zawsze wywołujący uśmiech Lisy. Jenny była szczęśliwa, widząc to. W tych dniach Lisa nie uśmiechała się. W zeszłym tygodniu nie uśmiechnęła się wcale, ani razu.

Tal powstał z krzesła i Jenny też go uściskała.

– Bryce jest u Timmy’ego – rzekła. – Pobędzie tam chwilę.

– Wiesz – powiedział Tal – chyba teraz znosi tę sytuację o niebo lepiej. Cały zeszły rok widać było, że stan Timmy’ego go dobija. Teraz daje sobie z tym radę.

Jenny skinęła głową.

– Wbił sobie do głowy, że dla Timmy’ego lepsza byłaby śmierć. Ale tam, w Snowfield, serce podpowiedziało mu coś innego. Wydaje mi się, że uznał, iż w gruncie rzeczy nie ma losu gorszego od śmierci. Póki życia, póty nadziei.

– Tak mówią.

– Za rok, jeśli Timmy nadal będzie w śpiączce, Bryce może zmieni znów zdanie. Ale w tej chwili wystarczy mu tylko posiedzieć przy synku codziennie i trzymać jego ciepłą rękę. – Spojrzała na Tala i spytała surowo: – Co mają znaczyć te służbowe ciuchy?

– Wypisano mnie.

– Fantastycznie! – zawołała Lisa.

Oprócz Timmy’ego w pokoju leżał osiemdziesięcioosmiolatek, podłączony do kroplówki, popiskującego monitora wskazującego pracę serca i rżężącego respiratora.

Choć Timmy był podłączony tylko do kroplówki, spoczywał w objęciach nieświadomości tak całkowitej jak starzec. Raz, dwa razy na godzinę, nigdy częściej, powieki chłopca trzepotały, a usta poruszały mu się lub zadrgały policzek.

Bryce siadł przy łóżku z ręką opartą na barierce, łagodnie ścisnął dłoń syna. Od czasu Snowfield zadowalał go nawet ten skąpy kontakt. Każdego dnia opuszczając pokój, czuł się lepiej.

Na ścianie u wezłowania łóżka wisiła lampka, rzucając słaby blask na głowę i ramiona Timmy’ego;

reszta ciała okrytego pościelą zostawała w cieniu. W tym wąłym świetle Bryce widział, jak mimo kroplówki jego chłopiec jest wycieńczony. Kości policzkowe rysowały się zbyt wyraźnie. Ciemne podkowy pod oczami. Podbródek i dolna szczęka żałośnie kruche. Jego syn zawsze był za drobny jak na swój wiek. Ale teraz ręka, którą trzymał Bryce, wydawała się ręką dziecka młodszego niż Timmy. Przypominała rękę niemowlęcia.

Ale była ciepła. Ciepła.

Po chwili Bryce niechętnie rozluźnił uścisk. Pogładził włosy synka, naciągnął pościel, ubił poduszkę.

Powinien już wyjść, ale nie mógł; jeszcze nie. Płakał. Nie chciał wejść do hallu ze łzami na twarzy.

Wyciągnął chusteczkę higieniczną z pudełka na stoliku nocnym, wstał, podszedł do okna i patrzył na Santa Mira.

Choć płakał każdego dnia, kiedy tu się zjawiał, te łzy różniły się od wcześniejszych. Wraz z nimi pierzchała żałość. I leczyły. Niespiesznie, powoli leczyły.

– Wypisany? – powiedziała Jenny i nachmurzyła się. – Kto to mówi?

– Ja to mówię – wyszczerzył zęby Tal.

– A od kiedy to jesteś swoim własnym lekarzem?

– Uznałem, że przydałaby się druga diagnoza, więc zaprosiłem siebie na konsultacje i zaleciłem sobie pójście do domu.

– Tal...

– Doktorku, czuję się świetnie, naprawdę. Opuchlizna ustąpiła, Temperatury nie miałem od dwóch dni. Jestem pierwszorzędnym kandydatem do zwolnienia. Jeśli spróbujesz mnie dłużej zatrzymać, moja śmierć spadnie na twoją głowę.

– Śmierć?

– To szpitalne jedzenie wykończy mnie raz-dwa.

– On się nadaje na dansing – uznała Lisa.

– A od kiedy to ty masz dyplom lekarza? – spytała Jenny. Zwróciła się do Tala: – No... niech cię zbadam. Zdejmuj koszulę.

Pozbył się jej szybko i łatwo, bez śladu wczorajszej sztywności, Jenny ostrożnie zdjęła bandażę i okazało się, że miał rację: koniec z opuchlizną, strupy nie popękane.

– Wyszliśmy z tego – zapewnił ją.

– Zwykle nie zwalniamy pacjentów wieczorem. Polecenia są wypisywane rano, a zwolnienia odbywają się między dziesiątą a dwunastą.

– Przepisy są po to, żeby je łamać.

– Okropne! Żeby policjant mówił takie rzeczy! – drażniła się z nim. – Tal, wolałabym, żebyś został tu jeszcze przez noc, tylko na wypadek...

– A ja wolałabym nie zostawać, żeby nie dostać fioła.

– Jesteś naprawdę zdecydowany?

– On jest naprawdę zdecydowany – powiedziała Lisa.

– Doktorku, mój rewolwer trzymano tu w sejfie razem z narkotykami. Musiałem naciskać, prosić, błagać i zabawiać słodką pielęgniarkę imieniem Paula, żeby wydobyła go po południu. Powiedziałem, że na pewno wypuścisz mnie dziś wieczór. Teraz zrozum: Paula to bratnia dusza, bardzo atrakcyjna dama, samotna, chętna, cudowna...

– Nie rozpalaj się tak – powiedziała Lisa. – Wyświadczyła ci drobną uprzejmość.

– Chciałbym umówić się z Paulą – prosił Tal. – Chciałbym spędzić wieczność z Paulą. Ale zrozum, doktorku, jeśli zabronisz mi iść do domu, będę musiał zwrócić rewolwer do sejfu i może szefowa Pauli dowie się, że mi go wydano, zanim mnie formalnie wypisano, i Paula straci robotę, a kiedy straci ją przeze mnie, to nigdy się ze mną nie umówi. A jeśli ona się ze mną nie umówi, nie ożenię się z nią, nie będzie żadnych małych Talów Whitmanów biegających wesoło, nigdy, przenigdy, bo pójdę do klasztoru i złożę ślub czystości, na dowód że wybrałem Paulę na jedyną kobietę mego życia. Więc jak mnie nie zwolnisz, to nie tylko zrujnujesz mi życie, ale pozbawisz świat małego czarnego Einsteina albo małego czarnego Beethovena.

Jenny roześmiała się i potrząsnęła głową.

– Dobra, dobra. Wypiszę zwolnienie i możesz sobie wyjść dziś wieczór.

Uściskał ją i szybko włożył koszulę.

– Paula niech lepiej uważa – zaśmiała się Lisa. – Za bardzo lubisz sypać słodkimi słówkami, żeby cię wypuszczać między kobiety bez dzwonka na szyi.

– Ja i słodkie słówka? – Zapiął pas na biodrach. – Jestem tylko stary, poczciwy Tal Whitman, nieśmiały do przesady. Zawsze wstydlivy.

– No pewnie – powiedziała Lisa.

– Jeśli... – zaczęła Jenny.

I nagle Tal oszalał. Pchnął Jenny na podłogę. Uderzyła ramieniem o kant łóżka i rozciągnęła się bezwładnie na podłodze. Usłyszała strzał, zobaczyła padającą Lisę. Nie wiedziała, czy dziewczyna została trafiona, czy po prostu szuka osłony; przez moment myślała, że Tal strzela do nich. Ale nie wyciągnął jeszcze broni z kabury.

Równocześnie z hukiem wystrzału rozległ się brzęk tłuczonej szyby. W oknie za Talem.

– Rzuć to! – wrzasnął Tal.

Jenny obróciła głowę, zobaczyła Gene'a Terra, stojącego w drzwiach. Sylwetkę miał obwiedzioną silniejszym światłem korytarza.

Stojąc w głębokim cieniu przy oknie, Bryce osuszył łzy i zmiął mokrą chusteczkę. Usłyszał za sobą cichy dźwięk, pomyślał, że to pielęgniarka, obrócił się – i zobaczył Fletchera Kale'a. Na moment skamieniał.

Kale stał u nóg łóżka Timmy'ego, ledwo widoczny w słabym świetle. Nie dostrzegł Bryce'a. Wpił się wzrokiem w chłopca – szczyrzył zęby w szerokim uśmiechu. Szaleństwo wykrzywiło mu twarz. Trzymał w ręku broń.

Bryce odsunął się od okna, sięgnął po rewolwer. Zbyt późno uświadomił sobie, że nie ma na sobie munduru i pasa z bronią. Poza służbą trzydziestkę ósemkę o krótkiej lufie nosił w kaburze na łydce, sięgnął po nią.

Ale Kale zobaczył go. Broń w jego ręku podskoczyła, szczeknęła trzykrotnie raz po razie.

Bryce poczuł, jak pneumatyczny młot wali go wysoko w lewy bok, ból przeszył mu całe ciało. Kiedy padał bezwładnie na podłogę, słyszał, jak broń zabójcy huknęła jeszcze trzy razy.

– Rzuć to! – wrzasnął Tal i Jenny zobaczyła Jeetera. Następny pocisk odbił się od poręczy łóżka i musiał pójść w sufit, bo jedna dźwiękochłonnych płytek spadła na dół.

Tal, pochylony, oddał dwa strzały. Pierwszy trafił w lewe udo, drugi w brzuch Jeetera; podniosło go i cisnęło do tyłu, w kąt pokoju. Wylądował w fontannie krwi. Nie ruszył się.

– Co jest, do cholery?! – krzyknął Tal.

Jenny wołała Lisę. Na czworakach przebiegła obok kantu łóżka, żeby zobaczyć, czy siostra żyje.

Kale chorował od kilku dni. Miał gorączkę. Oczy paliły go, jak posypane piaskiem. Naszło go to nagle. Miał też bóle głowy i stojąc u nóg łóżka chłopca, poczuł mdłości. Nie mógł utrzymać się na nogach. To było niepojęte; miał być chroniony, niezwyciężony.

Zobaczył ruch w cieniu. Odwrócił się od łóżka. Mężczyzna. Atakuje. Hammond. Kale otworzył ogień, wystrzelił sześć razy, nie ryzykując. Był oszołomiony, w oczach mu się ćmiło, czuł słabość w ramieniu i ledwie potrafił utrzymać broń; nawet na tak bliską odległość nie mógł zaufać swej celności.

Hammond runął jak kłoda i legł nieruchomo.

Choć światło było przyćmione i oczy odmawiały Kale'owi posłuszeństwa, widział krople krwi na ścianie i podłodze.

Ze śmiechem ulgi, w poczuciu, że choroba opuści go na dobre, teraz kiedy wykonał jedną z prac zadanych przez Lucyfera, Kale pochylił się nad ciałem, zamierzając zadać *coup de grace*. Jeśli nawet Hammond był stuprocentowym trupem, wsadzi pocisk w tę, fałszywą, pyszną mordę, strzaska ją na dobre.

Potem skończy chłopaka.

Tego chciał Lucyfer: pięciu trupów. Hammond, chłopak, Whitman, doktor Paige i dziewczyna.

Podszedł do Hammonda, zaczął się pochylać...

...i szeryf poruszył się. Rękę miał jak błyskawica wyrwał broń z kabury na tyłce i zanim Kale zdążył zareagować, z lufy wyskoczył błysk.

Kale został trafiony. Rewolwer wyleciał mu z dłoni. Usłyszał, jak zadzwieczał obijając się o nogę łóżka.

To być nie może, powiedział sobie. Jestem chroniony. Nic nie może mi grozić.

Lisa żyła. Padła za łóżko, nie postrzelona, szukając osłony. Jenny ścisnęła ją mocno.

Tal pochylił się nad Terrem. Przywódca gangu leżał martwy, z wielką dziurą w klatce piersiowej.

Gromadził się tłum: pielęgniarki, sanitariuszki, kilku lekarzy, kilku pacjentów w szlafrokach i kapciach.

Podbiegł rudy sanitariusz. Był zszokowany jak po nalocie bombowym.

– Na pierwszym też była strzelanina!

– Co się tu dzieje? – zapytał Tal.

– Bryce – powiedziała Jenny i przeszło ją zimne ostrze strachu.

Pobiegła do drzwi na końcu korytarza, otworzyła je z rozmachem, zbiegła w dół po dwa schody naraz. Tal dogonił ją na półpiętrze. Otworzyła drzwi, wbiegli na korytarz pierwszego piętra.

Tłumek gromadził się przy drzwiach pokoju Timmy'ego. Z sercem bijącym sto dwadzieścia razy na minutę, Jenny roztrąciła gapiów.

Na podłodze leżało ciało. Nad nim pochylała się pielęgniarka.

Jenny pomyślała, że to Bryce. Potem zobaczyła go na fotelu. Inna pielęgniarka rozcinała mu koszulę na ramieniu. Był tylko ranny.

Bryce uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Lepiej przyhamuj, doktorku. Jeśli zawsze będziesz pojawiać się tak wcześnie na miejscu przestępstwa, zacznę wołać na ciebie *ambulance chaser*.

Nie mogła opanować łez. Nic w życiu nie sprawiło jej takiej radości, jak dźwięk jego głosu.

– To tylko zadrapanie – powiedział.

– Teraz mówisz jak Tal. – Śmiała się przez łzy. – Timmy w porządku?

– Kale chciał go zabić. Gdyby mnie tu nie było...

– To jest Kale?

– No.

Jenny otarła łzy rękawem i zbadała ramię Bryce'a. Pocisk przeszedł w całości. Nie było powodu do obaw, ale mimo to zaleciła prześwietlenie. Krew płynęła niezbyt obficie i Jenny nakazała pielęgniarkę zatamować upływ opatrunkiem gazowym, zanurzonym w kwasie bornym.

Bryce szybko wydobrzeje.

Spokojna o jego zdrowie, Jenny zajęła się mężczyzną na podłodze. Był w cięższym stanie. Pielęgniarka rozerwała mu wiatrówkę i koszulę; dostał w pierś. Kaszłał. Jasna krew pojawiła się na jego ustach.

Jenny posłała pielęgniarkę po nosze i zadzwoniła z prośbą o szybką interwencję chirurgiczną. Nagle zauważyła, że Kale silnie gorączkuje. Miał rozpalone czoło, rumieńce. Kiedy wzięła go za rękę, chcąc zmierzyć puls, dostrzegła wysypkę. Podwinęła mu rękaw i okazało się, że wysypka sięga do połowy przedramienia. Także na drugiej ręce. Twarz i szyja pozostały czyste. Poprzednio dostrzegła bladoczerwone plamki na klatce piersiowej, ale mylnie wzięła je za krew. Obejrzała je znów, tym razem dokładniej. Przypominały wysypkę na rękach.

Odra? Nie. Coś innego. Coś gorszego niż odra.

Pielęgniarka powróciła z dwoma sanitariuszami i noszami na kółkach.

– Musimy objąć to piętro kwarantanną – powiedziała Jenny. – I górne też. Mamy tu jakąś chorobę i nie jestem całkiem pewna, co to jest.

Po prześwietleniu i zszyciu rany, Bryce został umieszczony w pokoju niedaleko Timmy'ego. Ból w ramieniu wzmógł się, gdy porażone nerwy odzyskały sprawność działania. Odmówił przyjęcia środków przeciwbólowych. Zamierzał zachować trzeźwość umysłu, dopóki nie dowie się, co się wydarzyło i dlaczego.

Po półgodzinie, kiedy już zapakowano go do łóżka, przyszła w odwiedziny Jenny. Wyglądała na wyczerpaną, ale znużenie nie zgasiło jej urody. Jej widok okazał się dla Bryce'a najlepszym lekarstwem.

– Jak ma się Kale? – spytał.

– Pocisk nie zniszczył serca. Ma uszkodzone jedno płuco, lekko arterię. W normalnych warunkach diagnoza byłaby optymistyczna. Ale czeka go nie tylko rekonwalescencja po operacji, musi również uporać się z tyfusem plamistym Gór Skalistych.

– Tyfus plamisty? – zmarszczył się Bryce.

– Ma dwa wypalenia papierosowe na prawej łydce albo raczej blizny po wypaleniach w miejscu, z którego pozbywał się kleszczy. Sądząc po wyglądzie tych blizn, ugryzienia nastąpiły pięć, sześć dni temu. To jest okres wylęgania tyfusu plamistego. Objawy dały mu się we znaki podczas ostatnich kilku godzin. Musiał mieć zawroty głowy, dreszcze, osłabienie...

– To dlatego tak źle celował! – powiedział Bryce. – Wystrzelił do mnie trzy razy z bliskiej odległości, a trafił tylko raz.

– Powinieneś podziękować Bogu za to, że wpuścił mu do spodni tego kleszcza.

Pomyślał nad tym i rzekł:

– To rzeczywiście wygląda na cud, prawda? Ale co oni zamierzali? Dlaczego zaryzykowali napad

z bronią? Mogę zrozumieć, że Kale chciał zabić mnie, a nawet Timmy'ego. Ale dlaczego Tala, ciebie i Lisę?

– Nie uwierzysz – powiedziała. – Od ostatniego wtorku rano Kale pisze coś, co nazywa „Wydarzenia po Epifanii”. Wygląda na to, że Kale i Terr zawarli pakt z diabłem.

O czwartej nad ranem w poniedziałek, zaledwie w sześć dni po epifanii, o której pisał, Kale zmarł w szpitalu okręgowym. Nim zakończył życie, otworzył oczy, spojrzał dziko na pielęgniarkę, potem w dal. Zobaczył coś przerażającego, czego ona nie widziała. Ostatkiem sił uniósł ręce, jakby próbował się przed czymś zasłonić i wrzasnął. Był to cienki, dławiony przez śmierć wrzask. Kiedy pielęgniarka usiłowała go uspokoić, powiedział:

– Ale to nie jest moje przeznaczenie.

A potem umarł.

Trzydziestego pierwszego października, w Halloween, ponad sześć tygodni po wydarzeniach w Snowfield, Tal Whitman i Paula Thorne (pielęgniarka, z którą chodził) urządzili zabawę kostiumową w domu Tala w Santa Mira. Bryce przebrał się za kowboja, a Jenny za jego dziewczynę. Lisa przebrała się za wiedźmę w wysokim spiczastym kapeluszu i dużą ilością czarnego tuszu.

– Cip, cip – powiedział Tal, otwierając drzwi. Miał na sobie strój kurczaczka.

Jenny nigdy nie widziała zabawniejszego kostiumu. Śmiała się tak bardzo, że przez chwilę nie zauważyła rozbawienia Lisy.

Dziewczyna śmiała się. Pierwszy raz od sześciu tygodni. Poprzednio udawało się jej tylko uśmiechnąć. Teraz zaśmiewała się tak, że łzy ciekły jej po twarzy.

– No, no, tylko spokojnie – skarcił ich Tal, udając obrażonego. – Jako wiedźma też wyglądasz wyjątkowo kretyńsko.

Mrugnął do Jenny i domyśliła się, że wybrał strój kurczaczka ze względu na efekt, jaki wywrze na Lisie.

– Na litość boską – powiedział Bryce – wynoś się z progu i wpuszczaj nas do środka. Jeśli ludzie zobaczą nas w tych kostiumach, stracą resztkę szacunku dla wydziału szeryfa.

Tego wieczoru Lisa brała udział w rozmowie i zabawach i śmiała się dużo. Skończyło się stare. Zaczęło nowe.

W rok później w sierpniu, pierwszego dnia ich miodowego miesiąca, Jenny podeszła do Bryce'a na balkonie hotelowego pokoju z widokiem na Waikiki Beach. Bryce był zamyślony.

– Martwisz się, że jesteś tak daleko od Timmy'ego?

– Nie. Ale właśnie o nim myślałem. Ostatnio... miałem takie uczucie, że wszystko w końcu dobrze się ułoży. To dziwne. Jakby przecucie. Śniłem ostatniej nocy, że Timmy ocknął się ze śpiączki, powiedział mi „cześć” i chciał zjeść hamburgera. Tylko że... Ten sen różnił się od wszystkich moich dotychczasowych snów. Był tak prawdziwy.

– Cóż, przecież nigdy nie straciłeś nadziei.

– A nie. Straciłem na chwilę. Ale odzyskałem.

Stali w milczeniu, wystawieni na powiewy ciepłego morskiego wiatru. Wsłuchiwali się w fale bijące o brzeg. Potem znów się kochali.

Tego wieczoru jedli kolację w dobrej chińskiej restauracji w Honolulu. Cały czas popijali szampanem, choć kelner uprzejmie sugerował, aby przy daniu głównym przeszli na herbatę, co pozwoli

nie „brudzić” podniebienia.

– W tym śnie Timmy mówił jeszcze coś – przypominał sobie Bryce przy deserze. – Kiedy zaskoczony okazałem zdziwienie, że obudził się ze śpiączki, powiedział: „Ale tato, jak jest diabeł, to musi być i Bóg. Nie wpadłeś na to, kiedy spotkałeś diabła? Bóg nie pozwoliłby mi przespać całego życia”.

Jenny wpatrywała się w niego niepewnie.

Uśmiechnął się.

– Nie przejmuj się. Nie zamierzam odpaść i dać ci czadu. Nie zamierzam posyłać forsy tym szarlatanom, kaznodziejom telewizyjnym, błagając, żeby modlili się za Timmy’ego. Cholera, nie zamierzam nawet chodzić do kościoła. Niedziela to jedyny dzień, kiedy mogę wypocząć! Mam na myśli nie odsypiane na stojąco, ulizane msze...

– Tak, ale to naprawdę nie był diabeł.

– Nie?

– To prehistoryczny stwór, który...

– A nie mogło to być jedno i drugie?

– W co my się tu pakujemy?

– Dyskusja filozoficzna?

– Podczas miesiąca miodowego?

– Ożeniłem się z tobą również dlatego, że umiesz myśleć.

Później w łóżku, tuż przed zaśnięciem, stwierdził:

– Cóż, wiem tylko jedno: zmiennokształt uświadomił mi, że w świecie jest dużo więcej tajemnic, niż sobie wyobrażałem. Niczego już nie wykluczam. I wracając do tego, co się stało w Snowfield: biorąc pod uwagę, że Tal właśnie założył pas z bronią, kiedy wparował Jeeter, biorąc pod uwagę, że tyfus spieprzył Kale’owi celność... cóż, wydaje mi się, że sądzone nam było przetrwać.

Spali, obudzili się przed świtem, kochali się i znów zasnęli.

– Jedno wiem na pewno – powiedziała rano Jenny.

– Co takiego?

– Było nam sądzone się pobrać.

– Bez dwóch zdań.

– Wszystko jedno jak, wcześniej czy później los skrzyżowałby nasze drogi.

Kiedy po południu spacerowali po plaży, Jenny pomyślała, że fale hałasują jak wielkie, toczące się koła. Ten dźwięk przypominał jej stare powiedzenie, że żarna niebios mielą powoli. W wyobraźni zobaczyła trące o siebie niezmiernie wielkie kamienne koła. Huk fal podkreślił siłę obrazu.

– Więc myślisz, że to ma sens? Cel? – spytała.

Nie musiał pytać, o co jej chodzi.

– Tak. Każdy zakręt i obrót życia. Istnieje sens i cel.

Morze pieniało się na piasku.

Jenny wsłuchiwała się w huk młyńskich kamieni i zastanawiała się, jakież to tajemnice i cuda, jakie okropności i wspaniałości nabierają raz kształtu, aby zdarzyć się w czasie, który dopiero nastąpi.

Do wiadomości Czytelnika

Jak wszystkie osoby występujące w tej powieści, Timothy Flyte jest postacią fikcyjną, ale wiele ze zbiorowych zaginięć, do których się odwołuje, to nie tylko wymysł autora. Zdarzyły się rzeczywiście. Zniknięcie mieszkańców kolonii Roanoke Island, tajemniczo opustoszała wieś Eskimosów Anjikuni, zniknięcie populacji Majów, nie wytłumaczone zaginięcie tysięcy hiszpańskich żołnierzy w 1711 roku i równie tajemnicze zaginięcie chińskich batalionów w 1939 roku oraz inne przypadki wspomniane w *Odwiecznym wrogu* są faktycznie dobrze udokumentowanymi zdarzeniami historycznymi.

Podobnie istnieje prawdziwy doktor Ananda Chakrabarty. W *Odwiecznym wrogu* szczegóły dotyczące jego opatentowanego mikroorganizmu są zaczerpnięte z informacji prasowych. Bakteria Chakrabarty'ego była, jak zasygnalizowano w tej książce, zbyt wątła, aby przeżyć poza laboratorium. Biosan-4, handlowa nazwa domniemanego, wytrzymalszego szczepu bakterii Chakrabarty'ego, jest płodem wyobraźni; o ile się orientuję, nie podjęto wysiłków, aby uszlachetnić i ulepszyć odkrycie. Pozostaje tylko je odnotować jako laboratoryjne dziwo, głównie ze względu na rolę, jaką odegrało w precedensowej decyzji Sądu Najwyższego.

A odwieczny wróg jest, rzecz jasna, produktem wyobraźni autora. Ale co, jeśli...